

Władcy Dusz

Elizium



Mike A. Clearance

Mike A. Clearance

Władcy Dusz

Tom I: Elizium

Moim KREWnym

Mike Clearance

Korekta i redakcja: Grażyna Dobromilska

<http://madgraf.eu>

Okładka: Monika Szewczyk

<http://misha-dragonov.deviantart.com>

<facebook.com/miszarty>

epub ISBN: 978-83-944356-0-8

mobi ISBN: 978-83-944356-1-5

pdf ISBN: 978-83-944356-2-2

Copyright © Mike A. Clearance

www.wladcydusz.pl

www.elizium.pl

Wydanie drugie, poprawione, 2022 r.

Wydanie pierwsze, 2016 r.

Wszelkie prawa zastrzeżone

Od autora

Występujący w książce pradawny język z Thenorafrein, którym posługują się Arad úš, inspirowany jest językiem starożytnych Sumerów. Większość wykorzystanych słów odpowiada znaczeniem swym tłumaczeniom, ponieważ jednak wiedza autora w zakresie lingwistyki jest mocno ograniczona, a łatwo dostępnych źródeł niewiele, gramatyka prawdopodobnie znaczaco różni się od gramatyki rzeczywistej mowy mieszkańców dawnego Ur.

Książka jest dostępna za darmo pod adresem www.wladcydusz.pl.
Proszę o nieumieszczenie książki na innych stronach internetowych.

Prolog

Siódmy dzień trzeciego obiegu Bliźniaków. 83 dzień roku. Góry Wielkiej Czapy.

Południe.

Góry, *cholerne góry* – sapał ciężko, pokonując stromą końcówkę wzniesienia. Minęły trzy lata, odkąd przybył do Lotherebemm, jednak nic nie wskazywało na to, by kiedykolwiek miał polubić górskie wędrówki. I chociaż widok zapierał dech w piersiach w jakikolwiek stronę by nie spojrzał, to właśnie w takich chwilach najbardziej tęsknił do rodzinnych stron, gdzie płaski po horyzont teren porastała bezkresna dżungla. Gorszy od gór wydawał się tylko mróz. Tam, skąd pochodził, pogoda zawsze była taka sama: nieustanny upał i deszcz w okolicach południa. Kolejna mroźna zima spędcona w górach Wielkiej Czapy dała mu się więc we znaki. Na jego szczęście wiosna zbliżała się wielkimi krokami i z każdym dniem robiło się coraz cieplej.

Dostrzegał też całkiem sporo zalet życia na północy. Szybko przyzwyczaił się do tutejszej kuchni, pomimo iż kompletnie różniła się od tej, którą znał do tej pory. Jedzono więcej zbóż oraz warzyw, za to mniej ryb i owoców. W miastach było mniej robactwa, a wychodząc z domu, nie musiał się obawiać, że zaatakuje go jakiś dziki zwierz. No i ta cisza: żadnego jazgotu małp, wycia drapieżników czy wrzasków ich ofiar. Jedynie delikatny śpiew ptaków.

Jednak to nie jedzenie, czystość ani cisza były największym atutem Lotherebemm, lecz uroda jego mieszkańców. Były wyższe, miały bardziej krągłe kształty i jasną, delikatną skórę, gdyż słońce nie świeciło tu tak bezlitośnie. Ale chyba najważniejsza była mnogość typów ich urody. Każda wydawała mu się inna, podczas gdy jego krajanki, z nielicznymi wyjątkami, to zwykle drobne brunetki o piwnych oczach i ciemnej cerze. Przebywając z wizytą w lotherebemmskim mieście, co chwila napotykał dziewczyny, które w jego rodzinnych stronach uznano by za królowe piękna. Miał niestety swoje obowiązki i nie mógł sobie pozwolić na bliższe z nimi znajomości, obawiając się, że mogłoby to wywołać gniew i zazdrość Białej Pani. Co do zazdrości nie był jednak pewien.

Do ich górskiej kryjówki zbliżył się niedostrzeżony przez nikogo. Nikt go też nie przywitał. Drewniana chata pokryta strzechą składała się z jednej dużej i kilku mniejszych izb. Nie zauważył, by w jej skromnym wyposażeniu zaszła jakakolwiek zmiana. Zmęczony wielodniową podróżą miał ochotę położyć się na topornie wykonanej kanapie, lecz wiedział, że najpierw musi złożyć raport. Dla Merist, Białej Pani, ich misja była najważniejsza. Plecak i sakwy położył pod ścianą, podniósł znajdująca się w rogu pomieszczenia klapę prowadzącą do piwnicy i zstąpił w półmrok.

Chłód przeszył go dreszem. Podziemna część siedziby była znacznie rozleglejsza. Posuwając się wzdłuż ściany, dotarł do końca długiego korytarza i otworzył ciężkie, drewniane drzwi do laboratorium. Obszerne pomieszczenie oświetlało kilka oliwnych lamp. Wzdłuż ścian

ciągnęły się prymitywnie wykonane szafy, stoły i regały, całe wyłożone rozmaitymi składnikami i aparaturą, wykorzystywany w alchemicznych eksperymentach.

— Witaj Sal. Czekałam na ciebie.

Nie na mnie, a na wiadomości – pomyślał.

Siedziała przy małym biurku, a przed nią leżały pergamin i pióro.

— Witaj Pani, piękna jak zawsze. — Nie silił się już na ambitniejsze komplementy. Kiedyś faktycznie uważała ją za najpiękniejszą kobietę na świecie. Jej jasna cera i blond loki, na punkcie których nigdyś oszalał, tak rzadkie w ich rodzinnej krainie, w Lotherebemm były czymś zwyczajnym.

Zbyła tanie pochlebstwo milczeniem. Wyglądała na przemęczoną, postanowił więc nie igrać z jej cierpliwością.

— Wszystko załatwione po naszej myśli. Możemy wysyłać pierwszą dostawę elizium do Welfare — oznajmił, licząc, że nie zapyta go o szczegóły.

Merist milczała przez dłuższą chwilę, lecz z każdą sekundą jej oblicze zdawało się coraz bardziej rozchmurzać. W końcu powiedziała zalotnie:

— Widzę, że jesteś zadowolony z siebie nawet bardziej niż zazwyczaj. I masz do tego pełne prawo. Jednak na podziękowanie, na które liczysz, przyjdzie czas wieczorem. Teraz chcę ci coś pokazać.

Wstała zza biurka, chwyciła go za dłoń i wyprowadziła z laboratorium.

Nie spodziewał się takiego zachowania. Przez ostatnie tygodnie praca nad ulepszeniem receptury elizium pochłonęła ją bez reszty. Wciąż chodziła zamyślona, denerwowała ją wszysko wokół, była opryskliwa i po prostu nie do zniesienia. Przed jego wyjazdem oznajmiła mu, że jeśli nie załatwi wszystkiego tak, jak ustalili, to nie ma po co wracać. Teraz szła z nim za rękę, podekscytowana niczym dziecko, które chce się czymś pochwalić przed rodzicami.

Po opuszczeniu chaty i pokonaniu kawałka otaczającego ją otwartego terenu weszli do lasu. Drzewa rosły tu rzadko, dominowały sosny oraz świerki i tylko gdzieniegdzie można było dostrzec cis lub modrzew. Rześkie powietrze wypełniał przyjemny zapach wiosny oraz śpiew ptactwa.

— Będziemy musieli poczekać kilka minut — powiedziała Merist, gdy się zatrzymali. — Jest ponad milę stąd, ale już do nas idzie.

— Ponad milę? — zapytał z niedowierzaniem. Dobrze wiedział, o kogo jej chodzi.

— Tak. Wreszcie udało mi się wzmacnić recepturę. Twój wuj byłby ze mnie dumny.

— Wątpię. Raczej powiedziałby, że ci się poszczęściło. Yer'flam'din potrafi być dumny tylko z siebie samego.

— No cóż, właściwie to trudno mu się dziwić.

Sala na samą myśl o wuju przechodził zimny dreszcz, dlatego postanowił zmienić temat. Po niespełna kwadransie błahej rozmowy zauważająca się do nich Unę, dziewczynę, którą porwali przed miesiącami, by badać na niej działanie elizium. Miała szesnaście lat, średni wzrost, a jej wychudzona, piegowata twarz wyrażała szczęście w sposób, jaki spotyka się czasami u osób chorych na umyśle. Był to jedyny niepożądany efekt uboczny przedawkowania elizium, jaki do tej pory zaobserwowała Merist.

— Czy wykonałaś swoje zadanie?

— Tak, Biała Królowo, najlepiej jak potrafiłam. Niech Rzeka wyschnie, jeśli mówię nieprawdę. — Dziewczyna sięgnęła ręką do kieszeni wełnianego płaszcza i wyciągnęła z niej garść cebulek nieznanej Salowi rośliny.

— Czy to ten składnik, za pomocą którego udoskonaliłaś elizium? — spytał.

— Nie, głuptasie, to cebulki górskich kwiatów, których nazwy nawet nie potrafię wymówić. Przysmak miejscowych. Muszę przyznać, że są całkiem dobre. — Wzięła z ręki dziewczyny jedną cebulkę, wsadziła do ust i zaczęła żuć. — Spróbuj.

Postuchał. Ich smak był delikatnie słodki, ale nie wzbudził w nim szczególnego zachwytu. Interesowało go co innego:

— Co z nią teraz zrobisz?

— Coś, co ci się nie spodoba — powiedziała Merist, pochłaniając kolejną cebulkę. — Muszę przeprowadzić ostateczny test działania elizium. Daj jej swój miecz.

Spojrzał na nią podejrzliwie, ale wykonał polecenie. W końcu była jego władcynią i przysięgał jej wierność oraz posłuszeństwo. Rozchylił płaszcz i z przypiętej do pasa pochwy wyciągnął swoją zawadiacko wyprofilowaną falcatę. Dziewczyna wyrzuciła resztę lokalnego przysmaku, po czym wyciągnęła dłoń w kierunku Sala. W jej oczach zaszała jakaś zmiana. Ich spojrzenie stało się nieobecne, nieprzytomne.

Podał jej broń rękojeścią do przodu. Następnie wszystko zadziało się już bardzo szybko. Una oddaliła się na kilkanaście stóp, zrzuciła płaszcz, usiadła na podkulonych nogach i bez żadnego wahania przebiła się mieczem na wylot.

Salowi zrobiło się jej żal. Nie podejrzewał siebie o taką słabość, udało mu się jednak nie ukazać jej Merist. Gdy dziewczyna wydała swe ostatnie tchnienie, wyraźnie zadowolona Biała Pani znów chwyciła go za rękę i ruszyli w drogę powrotną.

Ten, kto staje się potworem, zrzaca z siebie ciężar bycia człowiekiem

– Samuel Johnson

Rozdział pierwszy – Demony przeszłości

Szósty dzień trzeciego obiegu Białego Karła. 91 dzień roku. Welfare. Południe.

Siedział na przydrożnym kamieniu, czekając na umówione spotkanie. Tuco Rabkin, młodzik, który tak bardzo chciał dołączyć do jego bractwa, spóźniał się już pół godziny. Zaciągnął się po raz ostatni, wytrzepał reszkę tytoniu na ziemię i schował fajkę do kieszeni. Jego cierpliwość się skończyła. Był członkiem Arad úš, najstarszej, najbardziej tajemniczej organizacji w całym Lotherbemm i nie zamierzał czekać pół dnia na jakiegoś gówniarza. Wstał i ruszył w stronę miasta.

Choć znał datę swoich urodzin, nie miał pojęcia, jak stary jest jego organizm w rzeczywistości. Według normalnej rachuby liczył trzydzieści pięć lat, ludzie zazwyczaj dawali mu dziesięć więcej, on zaś czuł się jeszcze starzej. Był niski, barczysty i nadnaturalnie umięśniony, a ostatnimi czasy wyhodował sobie pokaźnych rozmiarów brzuszyisko. Długie, ciemne włosy nosił rozpuszczone, co sprawiało, że jego duża głowa wydawała się jeszcze większa. Gęsta broda i wąsy kontrastowały z jasną cerą oraz maskowały braki w użebieniu. Szary, skórzany płaszcz o długich, luźnych rękawach całkowicie zakrywających dlonie, nadawał mu wygląd mnicha, który łakomstwo uważał raczej za cnotę niż przywarę. Czasami więc udawał wędrownego kaznodzieję, w czym dodatkowo pomagał mu niski, tubalny głos, który idealnie nadawał się do prawienia o wierze, gdy sytuacja wymagała uwiarygodnienia fałszywej tożsamości. Zazwyczaj jednak przedstawiał się jako Melbarr, kupiec z Sinmow. Jego prawdziwe imię znali tylko członkowie bractwa i nieliczni przyjaciele spoza organizacji.

Niespiesznie zbliżając się do miejskiej bramy, poczuł burczenie w brzuchu. Dochodziło południe, pora obiadu, a jedzenie było jednym z poważniejszych spośród jego wielu nałogów. Wiedział, kto zatrudnia najlepszego kucharza w całym Welfare i nie potrafił odmówić sobie złożenia tej osobie wizyty, tym bardziej, że i tak miał do niej sprawę. Tuco Rabkin musiał poczekać.

Po Upadku Shal to Welfare stało się stolicą północnej prowincji i najzamożniejszym miastem całego Trójkrólestwa. Jego bogactwo było efektem kontroli nad wszystkimi szlakami handlowymi wiodącymi do Sinmow. Ten górzysty kraj o mroźnym klimacie, zajmujący północną część kontynentu, posiadał liczne kopalnie metali szlachetnych i drogocennych klejnotów, będących przedmiotem chorobliwej zazdrości jego większych sąsiadów. Dzięki trudnemu ukształtowaniu terenu i wyjątkowemu hartowi ducha jego mieszkańców, pomimo ponad pięciokrotnie mniejszej populacji, Sinmow wciąż pozostawało niepodległe. Teraz panował pokój, handel kwitł, a Welfare rozrastało się w zastraszającym tempie, jednak pamięć o okropieństwach

ostatniej wojny, która zakończyła się czternaście lat temu wraz z nagłym i niewyjaśnionym unicestwieniem Shal, była wciąż świeża w sercach i umysłach mieszkańców obu zwaśnionych państw.

Miejskie bramy przekroczyły, nie zwracając uwagi straży. Mury obronne Welfare zostały wzniesione przed wiekami, gdy miasto nie odgrywało jeszcze znaczącej roli i nie było zbyt zamożne. Zbudowane z bazaltowych bloków, miały zaledwie piętnaście stóp wysokości i otaczały teren około dziesięciu akrów. W porównaniu z obwarowaniami Wartegall, stolicy królestwa, czy też Rodawnzar, olbrzymim miastem położonym daleko na południowym-zachodzie, wydawały się śmiesznie małe.

Niedużym, kamiennym mostem pokonał strumyk mający swoje źródło wśród wzgórz, na których od północy opierało się Stare Miasto. Idąc dalej, po swojej lewej stronie minął niezbyt imponujący zamek zarządcy Welfare i całej prowincji, noszącego również tytuł zwierzchnika Północy. W przeciwieństwie do dwóch pozostałych rejonów Trójkrólestwa, nad którymi władała była dziedziczona, urząd ten sprawowała osoba wybierana przez radę, w której skład wchodzili najpotężniejsi ludzie Północy. Obecnie stanowisko to piastował Bruno Somej, uzdolniony polityk, któremu dzięki różnym mniej lub bardziej uczciwym zabiegom udało się zaskarbić przychylność zarówno najbogatszych obywateli, jak i niższych warstw społecznych.

Oprócz części zajmowanej przez rodzinę zwierzchnika i jego świętę, w warowni znajdował się garnizon straży miejskiej, więzienie, a także siedziby Wywiadu Zewnętrznego i Wewnętrznego. Naprzeciwko zamku ciągnęły się miejskie stajnie oraz liczne domy i warsztaty rzemieślników na stałe zatrudnionych przez władcę. Tę część miasta charakteryzowała regularność zabudowy i nieduży ruch, dzięki czemu można było poczuć się tu dość swobodnie.

Gdy tylko przeszedł przez wschodnią bramę i znalazł się w dzielnicy kupieckiej, wszystko uległo zmianie. Budynki stały tu jeden na drugim. Niektóre były bardzo małe, inne z kolei całkiem spore. Uliczki odchodzące od głównej drogi, której wciąż się trzymał, były wąskie, kręte i często kończyły się ślepymi zaulkami. Po chwili dotarł do Alei Klejnotów. Każdy kupiec w Welfare marzył o tym, by mieć tutaj swój sklep lub chociażby stragan. Można tu było dostać każdy produkt, jaki wytwarzano w całym królestwie, oprócz żywności, która nie była w stanie wytrzymać podróży z dalekiego południa. Znajdowały się tu też liczne domy rozrywki: te mniejsze oferowały jedynie alkohol, płatną miłość i hazard, większe dodatkowo organizowały rozmaite turnieje, walki na pięści i występy artystyczne. Na każdym kroku spotykało się ulicznych grajków, kuglarzy czy też malarzy oferujących wykonanie portretu. Co chwilę słyszać było krzyki straży, która starała się utrzymać przejezdność drogi, jednak czasami tłum stawał się tak gęsty, że wozy z towarami musiały się zatrzymywać. Cała Aleja liczyła około trzech mil. Na południu łączyła się z Północnym Gościńcem, a na północy rozpoczynała trakt wiodący do Ostatniego Portu.

Zatrzymał się przy kramie sprzedawcy orzechów i poprosił o woreczek pistacji. Kiedy sięgał po mieszek, dostrzegł kręcącego się w pobliżu chłopca. Od razu rozpoznał w nim kieszonkowca. Sam zaczynał jako złodziej i doskonale znał wszystkie sztuczki dolinarzy. Odchylił połę płaszczu, ukazując dzieciakowi przytroczyony do pasa miecz, po czym uśmiechnął się szeroko, acz zły. Brakowało mu wszystkich trójk oraz czwórek, mimo iż reszta zębów pozostawała w idealnym stanie. Chłopak odpowiedział mu uśmiechem i uciekł.

Sprzedawca skończył nasypywać orzechy i czekał na zapłatę. Liczba trzy uchodziła w Lotherbemm za świętą i doskonałą, w związku z czym również system monetarny Trójkrólestwa opierał się na jej wielokrotnościach: trzydzieści monet brązowych – asów – dawało jedną monetę srebrną, czyli koronę, tych zaś było potrzeba aż trzysta, by otrzymać w zamian pieniążek złoty – suwerena.

Miał tyle pieniędzy, że nie wiedział, co z nimi robić, więc dla wygody nie nosił ze sobą drobniaków. Dał handlarzowi srebrnika, przepłacając dwukrotnie, po czym ruszył Aleją Klejnotów w stronę centrum dzielnicy kupieckiej.

Gildia Złodziei, do której siedziby właśnie zmierzał, była najprężniej działającą organizacją w Lotherbemm, a liczebnością ustępowała jedynie królewskiej armii. Zasięgiem obejmowała całe Trójkrólestwo, jedynie najmniejsze wioski pozostawały wolne od jej wpływów. Działała półoficjalnie, za cichym przyzwoleniem Wywiadu Wewnętrznego, z którym dzieliła się spora częścią zysków. Większość dochodów uzyskiwała z haraczu, którym obłożeni zostali praktycznie wszyscy handlarze i rzemieślnicy w królestwie. Sprawa była prosta: kto nie płacił, ten musiał liczyć się z częstymi nieprzyjemnościami w postaci rabunku towaru bądź wyposażenia zakładu pracy. Jedyny sposób na uniknięcie tej daniny stanowiło wynajęcie na stałe porządnej ochrony. Opłacało się to tylko najbogatszym kupcom, a i tak nie zawsze. Wolni od opłat byli jedynie ci usługodawcy, którym nie sposób było ukraść towaru czy narzędzi pracy, na przykład uliczni śpiewacy lub prostytutki. Pośrednio jednak płacił każdy, gdyż działalność Gildii zaważyła ceny wszystkich produktów dostępnych na rynku. Systematyczne uiszczanie haraczu oczywiście nie zwalniało nikogo z płacenia danin nakładanych przez władze poszczególnych prowincji. Państwowi poborcy podatkowi w swej pracy korzystali nawet z danych o obywatelach, jakie gromadziła Gildia. W Lotherbemm funkcjonowało więc swoiste podwójne opodatkowanie. Przez lata ludzie zdążyli się już przyzwyczaić do tej sytuacji i mało kto, próbując domknąć domowy budżet, zastanawiał się, gdzie w tym wszystkim sens i sprawiedliwość.

Oprócz zainwestowania w solidną ochronę, istniał jeszcze jeden, bardziej skuteczny sposób na uniknięcie haraczu. Jeśli ktoś dysponował ciekawą tajemnicą, mógł się nią podzielić z poborcą i zostawał czasowo zwolniony z opłaty lub jej części. Również osoby nie podlegające daninie mogły przyjść do siedziby Gildii i anonimowo sprzedać taką informację. Dochodziło nawet do tego, że agenci wywiadu, czy to wewnętrznego, czy też zewnętrznego, za odpowiednio

wysoką cenę zdradzali incognito największe państowe sekrety. W ten sposób Złodzieje gromadzili masę danych, które potem odsprzedawali zainteresowanym osobom bądź wykorzystywali w inny sposób.

Poza burczeniem w brzuchu to właśnie informacje sprowadziły Jarmisa do Gildii Złodziei. Jej velfarowska placówka mieściła się w jednym z najokazalszych budynków dzielnicy handlowej. Nad jej główną bramą widniał przewrotny napis *Dom kupiecki*, lecz Jarmis, chcąc uniknąć niepożądanej uwagi, wszedł do środka bocznym wejściem. Natychmiast skierował się ku schodom i szybko opuścił załoczony parter, na którym obsługiwano zwykłych potentów.

Na każdym piętrze mijało strażników, ale nikt go nie zatrzymywał. Bywał tu nierzaz i wszyscy zdążyli się nauczyć, że może odwiedzać szefa, kiedy tylko ma na to ochotę. W końcu zabójca wdrapał się na szczyt schodów i znalazł się przed drzwiami do komnat Carla Tepucmany, przywódcy północnej Gildii Złodziei. Zapukał.

— Zapraszam — rozległ się głos za drzwiami.

Zabójca wszedł do środka. Na jego widok gospodarz podniósł się z gracją ze swojego ozdobnego, rzeźbionego fotela. Był mężczyzną po czterdziestce, wysokim, przystojnym, ubranym w szykowną tunikę z czarnej wełny, zapinaną na srebrne guzy, oraz spodnie z szarego lnu. Jarmisowi zdarzało się zabijać różne dystyngowane osoby, ale do tej pory Carl był jedyną, którą zdołał dobrze poznać.

— Oto i moje ulubione ostrze do wynajęcia. — Na twarzy arcyzłodzieja pojawił się delikatny uśmiech.

— I najdroższe. — Jarmis uścisnął dłoń gospodarza, po czym odwiesił płaszcz oraz pas z bronią na fantazyjnie wymodelowany wieszak. Ściągnął także ciężkie karwasze. Nie zdjął natomiast rękawic. Poza Wyspą robił to bardzo rzadko.

— Wiesz, jaką mam słabość do tego, co drogie. A propos, dopiero co otworzyłem nową beczułkę dumserlańskiego. Jest wyborne. Skosztujesz czy może wolisz zimny Specjał?

— Niech będzie wino. Specjału mogę się napić w każdej knajpie.

— Wspaniale. Już nalewam. — Złodziej wyciągnął z pięknie zdobionego kredensu dwa kryształowe puchary. Misterność ich faktury przedstawiającej rozmaite zwierzęta była oszołamiająca. Nalał wina i podał kielich Jarmisowi, po czym usiadł w swoim fotelu. — Jak się miewasz? Dalej dokucza ci ból pleców?

— Niestety, choć z każdym dniem czuję się coraz lepiej. Zima odchodzi. — Zabójca rozsiadł się na kanapie ze skóry czerwonej mantykory. Za taki mebel można było kupić mały pałacyk. — A niedługo wyruszam na Milfgard, gdzie człowiek jest w stanie zapomnieć o najpaskudniejszym bólu.

— Och tak, Wyspa Rozkoszy. Też chciałbym się tam kiedyś wybrać. Twoje opowieści o tym miejscu pobudziły moją fantazję i często próbuję je sobie wyobrazić. Jednak obowiązki trzymają mnie w mieście. — Złodziej westchnął i napił się wina.

— Z chęcią cię tam zabiorę, gdy będziesz już gotowy odejść na emeryturę. Obawiam się jednak, że to nigdy nie nastąpi. Za bardzo zrosłeś się z tym miejscem i swoimi zabawkami. — Jarmis spróbował alkoholu i wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu na znak aprobaty.

— Pewnie masz rację, chociaż w obecnej sytuacji i tak nie jest to największy problem. Nie wiem, czy słyszałeś, ale Milfgard jest kompletnie odcięty od kontynentu. Piraci zablokowali Zatokę Gryfów. Żaden statek nie może swobodnie pływać w tamtym rejonie.

— Jak to zablokowali? — zapytał zaskoczony Jarmis. Czekał na wyjazd od roku, a teraz dowiedział się, że coś może pokrzyżować jego plany. — I nikt nie reaguje? Przecież to najlepszy burdel w całym królestwie.

— Sprawa jest skomplikowana, gdyż piratom udało się pojmać Nicka Brucondeisa. Wyobraź sobie jednak, że wcale nie chcą za niego okupu. Po prostu przetrzymują go od trzech miesięcy i straszą, że jeśli w pobliżu pojawi się jakikolwiek okręt królewskiej floty, książę zginie.

— Jeśli nie chcą pieniędzy, to czego?

— Nikt tego nie wie. Nawet my nie mogliśmy się niczego dowiedzieć. Piraci mają swoje bazy zbyt daleko na południu, by można było ich infiltrować. Póki co sytuacja jest patowa. Przykro mi, ale twoje wakacyjne plany mogą okazać się niemożliwe do zrealizowania.

— Piraci mogą sobie szantażować Koronę, ale nie mnie. Dostanę się na Milfgard, chociażby wpław, nawet jeśli chłopak Brucondeisa miałby przypłacić to życiem. Ale dość już o tym, bo zaczynam się denerwować. — Jarmis pociągnął potężny tyk z kielicha, nie bawiąc się już w żadną degustację.

— Mam nadzieję, że mój kucharz zaradzi coś na twoje skołtane nerwy. Obiad zaraz powinien być gotowy.

— Kamień spadł mi z serca. Bałem się, że będziemy gadać do wieczora.

Kucharz pamiętała o upodobaniach Jarmisa odnośnie mięsa i zaserwował mu na wpół surowy stek z młodymi ziemniakami i szparagami w sosie czosnkowym. Na przystawkę podano pierożki z wieprzowiną i ziołami oraz barszcz na zakwasie.

Zabójca i złodziej jedli, pili oraz rozmawiali o wszystkim i o niczym. Znali się i przyjaźnili od lat. Nie licząc pozostałych Arad úš, mało było osób, przy których Jarmis czuł się tak swobodnie. Poza przynależnością do kryminalnej elity Lotherbemm i interesami łączyło ich coś jeszcze. Obaj byli bajecznie bogaci, a swoje fortuny zbili na ludzkim nieszczęściu. Carl kolekcjonował drogie przedmioty, zaś Jarmis co roku spędzał lato w najdroższym zamku Lotherbemm, ale była to dla nich jedynie odskocznia od problemów, a nie sens życia. Mieli też

świadomość własnego zła i wielkich możliwości, lecz nie uważali ich ani za powód do dumy, ani do wstydu. Byli jacy byli i nie zwykli się nad tym rozwodzić.

— Dziś rano poinformowano mnie o morderstwie, do jakiego doszło w Spoczynku Górnika. — Carl przerwał milczenie, które zapadło na pewien czas po zakończonym posiłku. — Nie jest to jakaś wyjątkowa rzadkość w tej dzielnicy i normalnie bym o tym nie wspominał, gdyby nie to, że zamordowanymi są bracia McPoyle. O ile mnie pamięć nie zawodzi, na początku naszej znajomości poprosiłeś mnie, bym ich dla ciebie odszukał. Mam nadzieję, że nie byli twoimi przyjaciółmi?

Jarmis z trudem ukrył zaskoczenie, w jakie wprawiły go słowa złodzieja. To właśnie braci McPoyle dotyczyło zadanie Tuco Rabkina, lecz chłopak nie miał ich mordować, a jedynie okraść.

— Bez obaw. Byli tylko starymi znajomymi z wojska. Nie zamierzam ich opłakiwać — odparł po chwili i od razu zmienił temat. — Przyszedłem do ciebie w innej sprawie. Orientujesz się może, co dzieje się za naszą południową granicą? Mówiąc naszą, mam na myśli Lotherbemm, a nie Północ.

— Nie bardzo rozumiem, o co ci chodzi.

— Chodzi mi o Dżunglę. Styszałeś ostatnio jakieś plotki o Dzikich? Może ustalono, jak daleko sięgają ich tereny? Cokolwiek.

— Po co ci ta wiedza? — dociekał Carl.

— Nieważne — odparł lekko pojrytowany Jarmis, po czym westchnął ciężko. — No dobra, mam kolegę, który postanowił się zapuścić w tamte rejony. Chcę wiedzieć, z jak poważnym niebezpieczeństwem się to wiąże. Tylko nie pytaj mnie, co to za kolega i po co tam się pcha.

— W porządku, o nic już nie pytam — uspokoił swojego rozmówcę Carl, po czym pociągnął z kielicha. — Zresztą, i tak nie ma to znaczenia. Nikt nie zaspacza się w głąb Dżungli. Nawet drwalom odwagi starcza jedynie na pracę na obrzeżach. Ani Gildia, ani nikt inny nie wysyła szpiegów na południe. Mogę oczywiście skontaktować się z Dumserlan, by upewnić się, czy coś się w tej kwestii ostatnio nie zmieniło, ale szczerze mówiąc...

— Nie kłopocz się — przerwał mu zabójca. — Szkoda twojego czasu.

— Przykro mi, że tym razem nie mogłem ci pomóc. — Złodziej rzeczywiście brzmiał na zakłopotanego, co nie zdarzało mu się często. — Powiedz swojemu przyjacielowi, by na siebie uważał.

— No cóż, jak to mówią, nawet Lewiatan zdechnie na mieliźnie. — Jarmis podniósł i opuścił ręce w geście bezradności. Jego potężna sylwetka zajmowała większość trzyosobowej kanapy. — A o mojego przyjaciela się nie martw. Nikt nie rozumie lasu lepiej od niego, więc i z Dżunglą powinien sobie poradzić. Niepotrzebnie zaprzątam ci głowę jego dziwnymi pomysłami. No nic, na mnie już czas.

Zabójca dźwignął się z kanapy i podszedł do stojącego przy drzwiach wieszaka. Z kieszeni płaszcza wyciągnął niewielką, misternie wykonaną, jadeitową figurkę przedstawiającą Ziza z rozpostartymi skrzydłami.

— Natrafiłem na coś takiego podczas ostatniej roboty. Pomyślałem, że może ci się spodobać — powiedział brodacz, po czym wręczył prezent Carlowi.

— Piękna rzecz — orzekł złodziej, obracając figurkę w dłoniach. — W sam raz do mojej kolekcji. Wielkie dzięki, jak zwykle jesteś dla mnie zbyt szczodry.

— Żaden problem. Ten, któremu ją zwiniałem, i tak nie będzie miał już z niej pożytku. — Jarmis uśmiechnął się nieprzyjemnie. — Dzięki za gościnę.

— To ja dziękuję za odwiedziny. Wpadaj częściej. — Wymienili uścisk dłoni i zabójca opuścił apartament.

Musiał odnaleźć Tuco. Do zmierzchu wciąż pozostawało kilka godzin, a on preferował pracę po ciemku, dlatego postanowił poczekać w jakimś barze. Wstąpił do pierwszego napotkanego lokalu, gdzie samotnie wypił kilka piw, rozmyślając o tym, co mogło wydarzyć się zeszłej nocy i co począć z młodym rekrutem.

W końcu zapadła noc i Jarmis opuścił bar. Dzielnicę kupiecką i Ryzyko, slumsy, w których mieszkał Tuco, dzieliło około trzech mil. Poczuł chłód, więc postanowił się przebiec.

Zabudowa Ryzyka była bardzo chaotyczna, budynki nie posiadały numerów, brakowało też punktów orientacyjnych. Do tej pory Jarmis tylko raz odwiedził Tuco w jego domu, lecz nie bał się, że nie odnajdzie drogi. Kiedy uznał, że jest już dość blisko, poluźnił mentalne więzy tłamszące Bestię. Siłą woli wymusił na niej posłuszeństwo i oddał jej część świadomości.

Momentalnie wyostrzył mu się wzrok, słuch, a przede wszystkim węch, za pomocą którego chciał odnaleźć Tuco. Zanurzył się w oceanie tysięcy zapachów. Czuł ludzi przez ściany, wiedział, co jedli na kolację, mógł nawet określić ich płeć, przybliżony wiek oraz trapiące ich choroby. Potrafił ignorować ogólny smród miasta i koncentrować się tylko na tej woni, która w danej chwili go interesowała. Uwolnienie Bestii z mentalnych okowów miało też inne skutki uboczne. Stawał się wytrzymalszy, szybszy, silniejszy. Ceną za wzrost umiejętności była zwiększoną agresją oraz bardziej instynktowne niż przemyślane reagowanie na rozwój wydarzeń.

Przez jedenaście lat, które minęły od przemiany, nauczył się panować nad tym, jak dużą część świadomości oddaje Behemotowi. Czasami potrzebował zaledwie ułamka jego zdolności, czasami zdecydowanie więcej i tylko kilka razy całkowicie stracił nad sobą kontrolę. Działo się to w sytuacjach dramatycznego zagrożenia życia. Bestia przejmowała wtedy władzę i wpadała w amok, który pozwalał na wydostanie się z najgorszych opresji. Ponowne panowanie nad ciałem odzyskiwał dopiero po przebudzeniu ze snu, który przedzej czy później musiał zmorzyć potwora.

Przemierzał Ryzyko szybkim krokiem, co jakiś czas zatrzymując się, by powięszyć dokładniej. W końcu natrafił na właściwy trop. Tuco znajdował się już niedaleko. Gdy zlokalizował dom, w którym przebywał, powtórnie zepchnął Behemota w głąb umysłu. Wiązało się to z niemałym wysiłkiem psychicznym, po którym przez jakiś czas pozostawał podenerwowany. Wziął kilka głębokich oddechów, by się uspokoić, po czym podszedł do drewnianej chaty. Drzwi zastał zamknięte. Miał ochotę je wyważyć, lecz zamiast tego z kieszeni płaszcza wyciągnął wytrych. Tani zamek ustąpił bez oporu.

— To ty, mistrzu? — Tuco nie spał i na odgłos otwieranych drzwi poderwał się na równe nogi.

W ciemnym pomieszczeniu paliła się pojedyncza świeczka. Długie, przetłuszczone włosy Tuco lśniły w jej blasku.

Jarmis zamknął za sobą drzwi i podszedł bliżej szczupłego chłopaka. Nawet pomimo ujarzmienia Bestii wyczuwał smród strachu.

— Mówiłem ci, byś mnie tak nie nazywał. — Głos zabójcy zdradzał złość. — Dlaczego zabiłeś McPoyle'ów? Miałeś ich tylko okraść.

— To... to... to nie ja. To był ktoś inny. — Tuco z trudem wypowiadał słowa i nie wiedział, gdzie skierować wzrok.

— I ty chcesz dołączyć do Gildii? Trzęsiesz się jak wóz gówna i tak samo śmierdzisz. Siadaj na dupie i opowiadaj wszystko po kolei. — Wskazał mu miejsce przy rozlatującym się ze starości stole i sam usiadł po jego drugiej stronie.

— Wczoraj wie... wieczorem, jak co dzień od na... naszego ostatniego spotkania obserwowałem McPoyle'ów. Spili się mocniej ni... niż zazwyczaj i pomyślałem, że... że... że...

— Jeśli zaraz nie przestaniesz się jąkać, to już nigdy nie będziesz musiał myśleć o czymkolwiek. — Jarmis wpatrywał się w chłopaka ciernymi oczami.

Tuco nigdy nie widział, by ktoś miał tak zmęczony wzrok. Zaczerpnął w płuca kilka haustów powietrza i po chwili zdołał zapanować nad głosem.

— Pomyślałem, że to może być moja okazja. Gdy wyszli z baru, śledziłem ich aż pod dom. Chciałem odczekać z godzinę, by mieć pewność, że zasnęli. Wtedy to w świetle Księcia zobaczyłem, że ktoś wkrada się do ich mieszkania tym samym oknem, przez które sam chciałem wejść. Nie wiedziałem, co robić, więc czekałem. Minęła kolejna godzina, może półtorej, nim intruz wyszedł i zniknął w noc. Teraz to ja zakradłem się do środka. Po chwili przyzwyczałem się do ciemności i ujrzałem ciała McPoyle'ów przywiązanego do krzesel. — Mówił sklepnie i powoli, lecz jego dlonie nadal się trzęsły. — Zostali zakneblowani i pocięci na kawałeczki. Oprawca odciągnął im palce, uszy, nos, wydłubał oczy i zadał całą masę innych, paskudnych ran. Zrobiło mi się niedobrze i się porzygałem. Uciekłem z mieszkania i przybiegłem tutaj. Siedzę tu od tego czasu.

— Przyjrzałeś się chociaż zabójcy? Jesteś w stanie powiedzieć o nim cokolwiek?

Tuco pokręcił przecząco głową.

— Było zbyt ciemno. Jedyną rzeczą, którą zapamiętałem, poza widokiem posiekanych ciał, był napis na jednej ze ścian: *Exordium*, cokolwiek to znaczy. Zabójca wymalował go krwią.

— *Exordium* — wyszeptał do siebie Jarmis, a złość na jego twarzy została wyparta przez powagę. Po chwili zamyślenia zwrócił się ponownie do Tuco. — Jesteś pewien, że zabójca cię nie śledził?

— Nie wiem. Chyba nie.

— Chyba. — Jarmis powtórzył z pogardą. — *Chyba* to za mało, by zostać członkiem Gildii. Nie potrafiłeś odnaleźć się w niespodziewanej sytuacji, a to podstawa w naszym fachu. Nie zostaniesz zabójcą.

— Co się teraz ze mną stanie? — Oczy Tuco się zaszklily. Bał się śmierci.

— Nie wiem, chłopcze. Mnie już w każdym razie nie zobaczysz.

Jarmis wstał, podszedł do Tuco, położył mu dłoń na barku i powiedział:

— Żegnaj.

Gdy wychodził z budynku, młody złodziej spytał go niepewnym głosem:

— Czym jest *Exordium*?

— Demonem przeszłości, tym najstarszym — po chwili zastanowienia odparł Jarmis, po czym zniknął w noc.

Po wyjściu zabójcy z Tuco opadły emocje i chłopak poczuł ogromne znużenie, gdyż nie spał od dwóch dni. Stwierdził, że najlepiej będzie położyć się do łóżka i dopiero nazajutrz zastanowić nad tym, co robić dalej. Nie ściągając ubrania ani butów, rzucił się na postanowienie i szybko zasnął.

Po niecałej godzinie snu jego serce zaczęło bić coraz wolniej i wolniej, aż w końcu całkiem się zatrzymało.

Rozdział drugi – Koniec dzieciństwa

Drugi dzień czwartego obiegu Władcy. 95 dzień roku. Chilsund. Ogrody Harmonii.

Wieczór.

Ludzie zamieszkujący pustynną krainę Morsstand, leżącą w południowo-zachodniej części kontynentu, nie wyznawali żadnych bogów, lecz dążyli do osiągnięcia harmonii. Byli potomkami zbiegów z Thenorafrein, uczestników drugiej z trzech udanych fal emigracji. Wiatr i prądy oceaniczne powiodły ich na południe od nieistniejącego jeszcze wówczas Lotherbemm, ale porośnięta pełną niebezpieczeństw dżunglą południowo-wschodnia część kontynentu, nazwanego przez nich Miliphen, nie przypadła im do gustu. Przeszli więc na zachodnią stronę Górz Podziału i zaczęli osiedlać się wzdłuż wybrzeża. Z czasem coraz lepiej radzili sobie z panującym tu suchym, gorącym klimatem i w swych ekspedycjach zapuszczały się coraz to dalej na północ. W końcu natrafili na gigantyczne jezioro położone w samym środku kamienistej pustyni.

Kształtem zbliżone do okręgu, rozmiary miało tak duże, że na obejście go dookoła potrzeba było pięciu dni. Pierwotnie nadano mu dwie nazwy: Someren i Melpar, wzięte od imion dwóch śmiałków, którzy dostrzegli je jako pierwsi. Najczęściej jednak mówiono o nim Klejnot Pustyni, Słodkie Morze bądź po prostu Jezioro. Odkrywcy zachodzili w głowę, jak to możliwe, że Jezioro nie wysycha. W końcu zrozumieli, że coś, co początkowo wzięli za podłużną zatokę, jest w rzeczywistości ujściem potężnej, podziemnej rzeki. Jej źródło znajdowało się w Górzach Podziału i było zasilane deszczami zenitalnymi padającymi po ich wschodniej stronie.

Na cześć przewodnika wyprawy, która dokonała tego arcyważnego odkrycia, założone nad brzegiem Jeziora miasto nazwano Chilsund. Z czasem rozrosło się ono do niebotycznych rozmiarów, znacznie przewyższając liczbą ludności największe miasta obecnego Lotherbemm. Mieszkańcy Morsstand nie założyli nigdy prawdziwego państwa, lecz tworzyli dość luźno powiązane ze sobą społeczności skupiające się wokół miast i osad. Czymś, co łączyło pustynny lud, było dążenie do harmonii, a Chilsund wraz ze swoimi mnichami zamieszkującymi Ogrody Harmonii, było ich nieoficjalną, duchową stolicą.

Niebieskim Braciom, nazywanym tak z powodu koloru ich szat, wzniesienie siedziby zakonu zajęło przeszło dwa stulecia. Efekt okazał się oszałamiający. Ogrody Harmonii stały się największą budowlą znanego świata, a każdy, kto ją ujrzał, twierdził, że również najpiękniejszą. Tworzyło ją pięć kondygnacji, każda o podstawie kwadratu i wysokości sześcidziesięciu stóp. Najniższa z nich miała bok długości ćwierć mili, zaś najwyższa siedemdziesięciu jardów. Wszystkie poziomy były dodatkowo podzielone wewnętrznie, zarówno poziomo, jak i pionowo, w sposób zależny od ich przeznaczenia. Przestrzeń na zewnątrz zajmowały tarasy zamienione w bajeczne ogrody z roślinnością spotykaną w pobliżu Wielkiego Jeziora, jak również przywiezioną z innych

części kontynentu. Ogrody Harmonii były także zamieszkałe przez liczne gatunki ptactwa. Problem nawadniania został rozwiązyany poprzez zastosowanie wielkich wiatraków. Na dwóch ostatnich poziomach znajdowało się osiem takich maszyn, które pompowały wodę na szczyt budowli. Ta była dalej rozprowadzana rynnami i kaskadami.

Spacerując zacienionymi alejkami Ogrodów, kontemplując piękno przyrody oraz wsłuchując się w szum wody i śpiew ptaków, mnisi dążyli do uzyskania wewnętrznego spokoju. Dodatkowo w osiągnięciu harmonii pomagało im podziwianie licznych posągów oraz barwnych płaskorzeźb, którymi pokryte były zewnętrzne ściany klasztoru.

Minął tydzień, odkąd Iryk został wyściecony na mnicha na tarasie przedostatniego poziomu Ogrodów Harmonii. Choć całe życie spędził w Chilsund, nigdy nie obszedł Klejnotu Pustyni dookoła. Ostatnie siedem dni poświęcił więc na dokonanie tego wyzwania i jednocośnej medytacji nad nurtującym go pytaniem: *Co dalej?* Było wiele ścieżek, którymi mógł podążyć, należało jednak wybrać tę najważniejszą, by móc jak najlepiej służyć harmonii. Niebiescy Bracia zajmowali się rozmaitymi rzeczami. Najbardziej pomysłowi poświęcali się rozwojowi nauki. Tworzyli nowe i doskonaliли już istniejące wynalazki, szukali lekarstw na choroby czy po prostu próbowali lepiej zrozumieć otaczający ich świat. Uzdolnieni artystycznie oddawali się sztuce. Spośród tych najliczniejsi byli muzycy, gdyż to właśnie słuchanie pięknych melodii w największym stopniu pomagało w osiągnięciu wewnętrznego spokoju. Obdarzeni talentem dydaktycznym zajmowali się nauczaniem przyszłych pokoleń mnichów. Docieśli i mający ciągoty w kierunku filozofii zgłębiali istotę harmonii i wszystkiego, co z nią związane.

Iryk wiedział, że nie nadaje się do żadnego z tych zadań. Na poważnie rozważał tylko dwie opcje. Mógł wybrać życie wędrowca i dzielić się z napotkany ludźmi wiedzą i umiejętnościami, które zdobył podczas długiego procesu edukacji. Podobał mu się ten pomysł, gdyż od małego lubił pomagać innym. Miały też możliwość podróżowania po świecie, którego zawsze był ciekaw. Alternatywny wybór stanowiło zostanie mentorem. Choć wszyscy Niebiescy Bracia byli poważani w społeczeństwie, to właśnie mentorzy cieszyli się największą estymą. Ich rola polegała na wysłuchiwaniu ludzkich problemów oraz wątpliwości i naprowadzaniu błędzących na drogę harmonii. Niektórzy poświęcali się doradzaniu pospolitej ludności. Tych spotykano na placach i ulicach. Każdy mógł do nich podejść i zasięgnąć rady. Inni służyli najznamienitszym osobistościom: włódrzom miast, bogatym handlarzom, generałom. Często pełnili też rolę dyplomatów, rojemców, arbitrów. Było to zatem wielce odpowiedzialne zajęcie, lecz właśnie wstąpienie na tę drogę sugerował Irykowi brat Rimugol, który był jego opiekunem. Młody mnich pozostawał w rozterce. Pragnął podjąć się tego wyzwania, jednak z drugiej strony bał się, że wykorzysta swój niespotykany talent nie do tego, by ludziom doradzać, lecz raczej narzucać im swoją wolę.

Jego krótka pielgrzymka dobiegała już końca, a zachodzące słońce rzucało na niego cień Ogrodów Harmonii. Wtem miejsce, w którym się znalazły, przywołało wspomnienia dawnych wydarzeń. To właśnie tutaj przed ośmiu laty po raz ostatni widział Yewina. Byli równolatkami, trafiły do klasztoru w tym samym czasie i od razu zostali najlepszymi przyjaciółmi. Ich przyjaźń zakończyła się gwałtownie, podczas tak zwanej Próby Wody. Polegała ona na tym, by z pobliskiego pomostu wskoczyć do jeziora i pozostać pod wodą tak długo, aż zaczęło się topić. Wtedy jeden z braci, którzy nadzorowali test, podawał tonącemu długą, drewnianą laskę i wyciągał go z toni. Eksperyment ten miał na celu nauczyć chłopców kontrolować swoje ciało w ekstremalnych sytuacjach. Niestety, próba Yewina zakończyła się nieszczęściem. Chłopiec nie wychował się w Chilsund, lecz w małej, pustynnej osadzie, w związku z czym nie potrafił pływać. Gdy zaczął się topić, wpadł w panikę i nie zdołał chwycić kija. Nie utopił się jednak. Brat opiekun, gdy zobaczył, co się dzieje, natychmiast wskoczył do jeziora i wyciągnął go na brzeg. Yewin wykrztusił wodę, której się opił, i Irykowi, obserwującemu całe zajście z pewnej odległości, wydawało się, że wszystko jest już w porządku. Jeden z mnichów zabrał niedoszłego topielca do Ogrodów Harmonii, by doszedł do siebie, a reszta chłopców kontynuowała Próbę Wody. Kiedy Iryk wrócił do dormitorium, nie zastał tam Yewina. Chłopiec nie pojawił się też na kolacji ani nie wrócił na noc. Nazajutrz po śniadaniu brat Rimugol poinformował młodych kandydatów, że Yewin zmarł.

Brat opiekun oznał, że do śmierci chłopca przyczyniła się ryba rozdymka. Yewin ponoć połknął ją, gdy się topił. Ta, zahaczywszy się kolcami, stanęła mu w przełyku, a po pewnym czasie zastosowała typową dla niej taktykę obronną, to znaczy nadęła się. Z tego powodu Yewin nie mógł zaczerpnąć powietrza i się udusił.

Usłyszawszy smutne wiadomości, Iryk rozpłakał się, a na skutek histerycznych spazmów zwrócił także śniadanie. Rozpaczał bardzo długo, a gdy przestał, był jeszcze bardziej zły. Zrozumiał bowiem, iż nie zapanował nad emocjami, przez co oddalił się od harmonii.

Rozmyślając o przeszłości, uzbierał na plaży kilka płaskich kamieni, po czym usiadł na pomoście. Woda Jeziora była przejrzysta. Widział dno i ławice maleńkich ryb grasujących w poszukiwaniu pożywienia. W dzieciństwie puszczań kaczek należało do jego ulubionych zabaw. Pierwsza po długiej przerwie próba okazała się nieudana. Rzucony kamień opadł niemal pionowo, a wystraszone ryby rozpierzchły się na wszystkie strony. Wtedy naszła go niepokojąca myśl. Yewin podchodził do testu jako jeden z ostatnich. Dodatkowo, wokół niego kąpali się inni chłopcy, głośno go dopingując. *Skąd więc wzięła się tam ta feralna ryba? Dlaczego nie uciekła jak te tutaj?* Siedział na pomoście jeszcze przez dłuższą chwilę, lecz nie potrafił znaleźć odpowiedzi na te pytania. Trudy wielodniowej wędrówki przypomniały o sobie zmęczeniem. Wyrzucił pozostałe kamienie do wody i ruszył w kierunku Ogrodów Harmonii.

Gdy znalazł się w dormitorium, dotarło do niego, że nadal nie wie, co powie jutro bratu Rimugolowi i pozostałym opiekunom. Poczuł się głodny, ale postanowił nic nie jeść. Wiedział, że jedzenie w nocy jest niezdrowe i pogarsza sen. Poza tym panowanie nad łaknieniem było umiejętnością, której uczyli się wszyscy mnisi. Oddał się więc medytacji. Kiedy głód i niepokój przed jutrzejszym spotkaniem odeszły w niebyt, położył się spać. Gdy zasnął, nie śnił o niczym.

Trzeci dzień czwartego obiegu Władcy. 96 dzień roku. Chilsund. Ogrody Harmonii.

Ranek.

Znał swój organizm doskonale i umiał nad nim panować. Potrafił obudzić się o zaplanowanej godzinie, nawet jeśli kładł się spać wyczerpany. Tak zdarzyło się i tym razem. Choć nic mu się nie przyśniło, już chwilę po przebudzeniu wiedział, co ma zrobić. *Powinienem poradzić się Starszego Mentora.* Dziwiło go, czemu wcześniej o tym nie pomyślał. Nie tylko zwykli ludzie mogli szukać pomocy u Niebieskich Braci, robili to także sami mnisi, a nawet mentorowie. Jedyną różnicą było to, że ze swoimi problemami zgłaszały się właśnie do Starszych Mentorów. Byli to najbardziej doświadczeni i najznamienitsi przedstawiciele swojej profesji.

W tym czasie w Chilsund przebywało trzech Starszych Mentorów. Dwóch przyjmowało interesantów w Ogrodach Harmonii, co było zrozumiałe, jako że była to siedziba zakonu i zamieszkiwało ją z górami trzy tysiące mnichów i około tysiąca kandydatów. Trzeci urzędował w Domu Dobréj Rady położonym przy jednym z większych placów Chilsund. To właśnie do niego Iryk postanowił się wybrać.

Przed wyjściem odbył poranną gimnastykę, zażył kąpieli i zjadł śniadanie. Klasztorne jedzenie, choć proste, było smaczne i zdrowe. Dziś zaserwowało mu ryż gotowany na mleku z dodatkiem różnych, zarówno świeżych, jak i suszonych owoców. Spotkanie z opiekunami, zwane Obraniem Drogi, było zaplanowane na popołudnie. Czasu miał zatem wciąż sporo, wszakże nie zamierzał się ociągać. Opuścił Ogrody Harmonii i ruszył na wschód traktem okalającym jezioro.

Wszedł w pierwsze zabudowania po kwadransie marszu. Kochał miasto, jego przemyślaną, a zarazem finezyjną, ceglaną architekturę, gwar zatłoczonych ulic, atmosferę działania i współpracy. Nawet pojawiające się miejscami nieprzyjemne zapachy nie przeszkadzały mu. Rozumiał, że są one po prostu częścią życia olbrzymiej metropolii. Jednak najbardziej fascynowali go ludzie. Mieszkańców Chilsund cechowała otwartość, życzliwość i energiczność. Uwielbiał ich obserwować, rozmawiać z nimi, a przede wszystkim pomagać potrzebującym.

Po raz pierwszy chodził po mieście ubrany na niebiesko i zauważał różnicę w sposobie, w jaki postrzegali go ludzie. Tylko nieliczni kandydaci zostawali mnichami, więc gdy nosił jeszcze białe szaty, dorośli podczas rozmowy z nim, choć uprzejmi, traktowali go czasem protekcyjально. Teraz w ich oczach dostrzegał szacunek i podziw. Jednakże największą zmianę zauważał w zachowaniu dziewcząt. Uśmiechały się do niego, puszczały oczka, próbowały zaczepiać. Mnisi, w

przeciwieństwie do kandydatów, nie mieli zakazu wchodzenia w związki z kobietami. Pomimo tego większość z nich utrzymywała celibat w przekonaniu, że ułatwia on osiągnięcie harmonii. To tylko potęgowało zainteresowanie płci pięknej, w tym głównie młodych dziewczyn, które często traktowały poderwanie mnicha jako wyzwanie.

Iryk cieszył się adoracją nie tylko ze względu na swój ubiór, lecz także dlatego, że był przystojnym młodzieńcem. Średniego wzrostu, szczupły, aczkolwiek proporcjonalnie zbudowany. Rysy twarzy miał dość ostre, typowe dla ludzi pustyni, niemniej było w nich coś wzbudzającego zaufanie. W przeciwieństwie do większości braci nie ogolił się na tylso, a długie, ciemnobrązowe włosy upinał miedzianą opaską, by spływały swobodnie za uszami. Kolor jego oczu przyprowadził dziewczętom na myśl gorące wody Klejnotu Pustyni.

Młody mnich pozostawał obojętny na zaczepki. Musiał spotkać się ze Starszym Mentorem, a nie wiedział, jak długo będzie musiał czekać w kolejce na wizytę. Dotarł do Domu Dobrej Rady i od razu wszedł do środka. W recepcji poinstruowano go, by udał się na ostatnie piętro. Gdy wspiął się już po schodach, ucieszył się, ponieważ na korytarzu nie zastał nikogo. Po kwadransie gabinet opuścił nieznany mu, leciwy brat, zapewne przybysz z innego miasta, a on sam został zaproszony do środka.

Starszy Mentor wzrostem raczej nie grzeszył, był też sporo młodszym, niż spodziewał się tego Iryk. Mógł mieć co najwyżej czterdzieści pięć lat. Jego również Iryk nigdy wcześniej nie spotkał.

— Harmonia to pokój, bracie – przywitał go gospodarz.

— Harmonia to mądrość.

Usiedli naprzeciw siebie na podłodze, z nogami złożonymi jak podczas medytacji. Jeśli było to możliwe oraz nie naruszało panujących w danym miejscu zasad, mnisi zawsze siadali w ten sposób. Starszy Mentor poprosił Iryka, by opowiedział o swoim problemie.

Młodzieniec przedstawił mu sytuację, zarysował swoją sylwetkę, mocne i słabsze strony oraz męczące go wątpliwości. Zataił tylko jeden szczegół, który ukrywał przed wszystkimi. Jego monolog trwał kwadrans i tylko kilka razy został przerwany pytaniami starszego brata. Gdy Iryk skończył, mentor potrzebował chwili do namysłu. W końcu był gotów do udzielenia rady.

— To normalne, że odczuwamy lęk, gdy po raz pierwszy stajemy przed jakimś wyzwaniem. Drugi, trzeci, a nawet kolejne też nie są łatwe. Nie mówię o czynnościach prostych, lecz poważniejszych, takich, które mają wpływ na nasze życie. Egzamin, publiczna przemowa, randka. Tak, tak. — Mężczyzna pokiwał głową, widząc lekkie zdziwienie na twarzy Iryka. — Nawet Starsi Mentorzy spotykają się z kobietami. Powiem więcej, zwłaszcza oni powinni to robić, by wiedzieli, o czym mowa, gdy przyjdzie do nich jakiś zakochany mnich. Twoja sytuacja jest jednak inna. Ty nie lękasz się, że wybierzesz złą ścieżkę dla siebie. Ty się boisz, że mógłbyś źle doradzić komuś innemu. Świadczy to tylko o jednym, a mianowicie o tym, że doskonale nadajesz się do

roli mentora. Podczas rozmowy z tobą dostrzegłem, że stawiasz dobro innych ponad swoim. To najpiękniejsza cecha, jaką można posiadać. Oczywiście nie pomoże ona w pozbyciu się lęku przed udzieleniem złej rady, wręcz przeciwnie. Sprawi ona jednak, że, nim wskażesz komuś drogę, którą ma podążyć, najpierw zastanowisz się dziesięć razy, a jeśli nadal będziesz odczuwał wątpliwości, to się do tego przyznasz. Wielu braci wraz z wiekiem zaczyna uważać się za nieomylnych, lecz czuję, że tobie to nie grozi. Dlatego moja rada i prośba brzmi: zostań mentorem.

Iryk z jednej strony czuł się zawstydzony tymi wszystkimi komplementami, z drugiej zaś sprawiły mu one przyjemność. Niemniej najważniejsze było to, że miłe słowa w połączeniu z autorytetem Starszego Mentora rozwiały jego wątpliwości. Wiedział już, kim chce zostać. Ulga wypełniła go radością i energią.

Po krótskiej chwili ochlonął z obezwładniającego stanu nagiego olśnienia i zdobył się na odpowiedź.

— Dziękuję bracie za twe słowa i poświęcony czas. Bardzo mi pomogłeś. Zdecydowałem się pójść za twoją radą.

— To wspaniale. Mam nadzieję, że nigdy nie pożałujesz tej decyzji. Życzę ci pomyślności. Pokój z tobą.

— Pokój i harmonia.

Iryk poklonił się głęboko i opuścił gabinet.

Gdy wyszedł z Domu Dobrej Rady, był w świetnym nastroju. Postanowił nawet uczcić tę chwilę i na pobliskim straganie kupił gotowaną kolbę kukurydzy polaną topionym masłem. Usiadł na środku placu w typowej dla mnichów pozycji i oddał się konsumpcji.

Jadł, starając się nie ubrudzić szat skapującym masłem, i przyglądał się otaczającym go ludziom. W pewnym momencie jego uwagę przykuła dziewczynka, która wyszła z Domu Dobrej Rady. Wyglądała jakoś dziwnie. Był przekonany, że nie pochodziła z Chilsund. Mogła w ogóle nie być mieszkanką Morsstand. Nie chodziło o to, że była wychudzona. Surowy klimat pustyni sprawiał, że większość ludzi była bardzo szczupła. Jej ubranie też wyglądało całkiem zwyczajnie. Urodą również się nie wyróżniała: czarne włosy, ostre rysy. Typowe dziecko nad Jeziorem. Tym, na co zwrócił uwagę, było jej zachowanie. Szła, powłócząc nogami, z głową spuszczoną w dół, jakby wszystko straciło dla niej sens. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz widział kogoś w takim stanie. Normalne dzieciaki zawsze biegały jak szalone, śmiejąc się na głos, zaś dorośli mieszkańców Chilsund przyjmowali otaczający ich świat z czołem podniesionym wysoko. Nie było tu żebractwa czy bezdomnych, a gdy ktoś popadał w tarapaty, jego bliscy, znajomi, ale także obcy ludzie pomagali mu wyjść na prostą.

Dziewczynka podeszła do handlarza, który oferował orzeźwiający sok z pomarańczy. Iryk zastanawiał się, czy będzie miała czym zapłacić. Okazało się to niekonieczne, bowiem kupiec, który najwyraźniej również dostrzegł jej smutek, wręczył jej gliniany kubeczek z napojem za

darmo. Mała podziękowała, po czym wróciła pod gmach Domu Dobrej Rady. Usiadła, opierając się plecami o ścianę, i ku zdziwieniu Iryka, wylała cały sok na ziemię. Następnie stulkła naczynie o ścianę, podniosła jeden z otrzymanych kawałków gliny i podcięła nim sobie żyły.

Mnich szybko otrząsnął się z osłupienia. Odrzucił niedojedzoną kolbę kukurydzy i popędził w stronę dziewczynki. Znał podstawy anatomii i medycyny, wiedział więc, co robić. Błyskawicznie zrzucił habit, oderwał rękaw i wydarł z niego pas materiału. Siłą ułożył przytomne wciąż dziecko płasko na ziemi, uniósł krwawiącą rękę do góry i obwiązał ranę. Ucisnął krwawiące miejsce, jednocześnie wołając o pomoc. Najszybciej zareagował handlarz sokiem. Podbiegł prędko do dziewczynki i podniósł ją niczym piórko, gdyż był rostym mężczyzną. Kupiec biegł z dzieckiem na rękach, a Iryk dotrzymywał mu kroku, uciskając ranę i krzycząc, by ludzie ustąpili im drogi.

Na szczęście szpital znajdował się niedaleko. Jego również prowadzili Niebiescy Bracia. Gdy cała trójka wpadła do środka, nie musieli nawet tłumaczyć, co się stało. Zaprowadzono ich do niewielkiego pomieszczenia z kamienną ławą pośrodku. Położono na niej dziewczynkę, a jeden z mnichów natychmiast zajął się zszywaniem rany. Iryk już wcześniej zdążył się zorientować, że jest ona powierzchowna. Dziewczynka cięła nadgarstek w poprzek, a gliniane fragmenty naczynia okazały się niezbyt ostre. Handlarz natomiast, który nie miał pojęcia o medycynie, był roztrzęsiony i przekonany, że dziecko umrze. Na dodatek obwiniał o wszystko siebie, w końcu to on dał jej kubek z sokiem, który później posłużył za narzędzie samobójczej próby. Mnich starał się go uspokoić, jednak nic do niego nie docierało. Niespodziewanie dla samego siebie, Iryk zrobił coś, przed czym powstrzymywał się od dziesięciu lat: użył swojego talenu. Przybrał odpowiednią barwę głosu i w prostych słowach wytłumaczył kupcowi, że dziewczynce nic nie grozi. Mężczyzna od razu się uspokoił.

Po chwili z sali operacyjnej wyszedł mnich-chirurg i oznajmił, że krwawienie zostało powstrzymane. Iryk chciał porozmawiać z dziewczynką, lecz okazało się to niemożliwe, gdyż przed zabiegiem podano jej środek usypiający. Pragnął poznać przyczynę targnięcia się na własne życie przez małą, postanowił więc ponownie udać się do Domu Dobrej Rady, gdyż to właśnie stamtąd wyszła na chwilę przed podcięciem sobie żyły.

Recepcjonista był zaskoczony, gdy Iryk opowiedział mu o całej sytuacji. W celu jej prędkiego wyjaśnienia zaprowadził go do mentora, który przyjął dziewczynkę i nawet wyprosił obsługiwanej właśnie osobę. Kiedy już wyszła, długowłosy mnich zażądał informacji o tym, jak przebiegała wizyta niedoszłej samobójczyni. Początkowo mentor zasłaniał się zasadą zachowania tajemnicy, lecz w starciu z talentem Iryka był bez szans. Opowiedział mu wszystko, co ten chciał wiedzieć.

Historia, którą usłyszał, była smutna i makabryczna. Do tej pory nie zdawał sobie sprawy, że na świecie może istnieć takie зло. Dziewczynka miała dziesięć lat, a na imię Victoria. Faktycznie

nie należała do pustynnego ludu, lecz pochodziła z Południowych Krańców. Ta położona na wschód od Górz Podziału kraina była zwana również Buforem Bestii, gdyż ochraniała Morsstand przed napływem koszmarności z Dżungli, z którą graniczyła od północy. Victoria mieszkała razem z rodzicami w niewielkiej wiosce leżącej pośrodku trawiastej niziny oddzielającej dżungłę od oceanu. Pewnego dnia, pod koniec zeszłego roku, osada została zaatakowana przez Pierwotnych. Starów wymordowano na miejscu, zaś dzieci i ludzi w sile wieku, w tym jej rodziców, wzięto do niewoli. Z całej wioski tylko jej udało się uratować. Od tego czasu szukała pomocy, wędrując wciąż na zachód. Po drodze była świadkiem wielu podobnych rajdów. Jeśli wierzyć jej relacji, całe Południowe Krańce spotkał taki sam los.

W końcu przekroczyła Wschodnie Wrota Harmonii i znalazła się w Morsstand. Została skierowana do obozu uchodźców, gdyż nie była jedyną uciekinierką z Południowych Krańców. Jej krajanie okazali się dla niej rozczałowaniem. Nie planowali powrotu na swe ziemie ani tym bardziej próby odbicia zniewolonych bliskich. Byli zbyt nieliczni, a pustynny lud nie miał ochoty wesprzeć ich zbrojnie. Victoria nie potrafiła się z tym pogodzić. Ponad wszystko pragnęła odzyskać rodziców, lecz nie wiedziała, co ma począć.

W obozie spotkała Niebieskiego Brata, który zajmował się pomocą uchodźcom. Dowiedziała się od niego, że jedynie mnisi byliby w stanie zmobilizować mieszkańców Morsstand do walki z Pierwotnymi, ale tylko wtedy, gdyby uznali to za słuszne. Wyruszyła więc do Chilsund, gdzie znajdowała się główna siedziba zakonu.

Mentor doszedł w swej opowieści do momentu, gdy Victoria przybyła do Domu Dobrej Rady. Iryk przerwał mu pytaniem.

— Znam już jej historię. Teraz powiedz bracie, co jej doradziłeś?

— To, co uznałem za słuszne: aby zgłosiła się do sierocińca bądź wróciła do obozu uchodźców oraz by postarała się odnaleźć harmonię.

— To wszystko? Dlaczego nie wysłałeś jej do Ogrodów Harmonii, by opowiedziała starszyźnie o tym, co dzieje się na Południowych Krańcach?

— Starszyna zakonu wie już o tych wydarzeniach. W zeszłym tygodniu obradowano w tej sprawie.

Iryk westchnął ciężko. Nie przypuszczał, że podczas jego pielgrzymki doszło do tak rzadkiego zdarzenia, jakim były obrady zakonu.

— Wiesz, jaką decyzję podjęto?

— Morsstand nie zaangażuje się w tę wojnę. W każdym razie zakon nie będzie do tego namawiał. Postaramy się natomiast pomóc ocalonym uchodźcom w ułożeniu sobie życia po tej stronie gór. Gospodarz Chilsund już zgodził się na przyjęcie trzech tysięcy uciekinierów. W przyszłym tygodniu ma ruszyć budowa nowego osiedla, które zostanie przez nich zamieszkane.

Iryk miał ochotę wyrzucić mentorowi, że tą decyzją zakon przeszedł do porządku dziennego nad zniewoleniem całego ludu. Powstrzymał się w porę. Pod wpływem jego talentu ludzie zachowywali się jak bezwiedne marionetki i wyładowanie na nich złości nie miało żadnego sensu.

— Dziękuję za twoją relację, bracie. Harmonia to męstwo — powiedział Iryk i opuścił pomieszczenie.

Mnisi nie kojarzyli męstwa z harmonią, dlatego skołowany mentor nic mu nie odpowiedział.

Młodzieniec udał się ponownie do szpitala. Bez pytania wszedł do sali, w której położono nieprzytomną Victorię, tylko po to, by stwierdzić, że dziewczynka zniknęła. Prędko odnalazł brata, który ją operował, i wziął go na sptyki.

— Gdzie jest dziewczynka?

— Wypuściliśmy ją.

— Czy wyście oszaleli? Przecież ona może znów próbować się zabić! — Iryk nie pamiętał, kiedy po raz ostatni zwrócił się do kogoś w tak agresywny sposób.

Skrzyczany mnich nie obruszył się, gdyż czuł, że faktycznie postąpił niezbyt rozpropnie.

— Co mogliśmy zrobić? — zaczął się tłumaczyć. — Mała po przebudzeniu wstała i chciała wyjść, lecz ją zatrzymaliśmy. Wtedy zaczęła się szarpać, wrzeszczeć, normalnie, jakby coś w nią wstąpiło. Zamknęliśmy ją w pustej sali. Darła się jeszcze z dziesięć minut. Potem zaczęła walić głową w ścianę. Baliśmy się, że się zabije. Poszedłem do niej i powiedziałem, że ją uwolnimy, jeśli obieca nic sobie nie zrobić. Zgodziła się, więc ją puściliśmy.

— I uwierzyliście jej? — Iryk chciał powiedzieć coś więcej, lecz zabrakło mu słów.

Stał tylko i kręcił głową z niedowierzaniem. W końcu zapytał:

— Powiedziała chociaż, gdzie zamierza się udać? Widzieliście, w którą stronę poszła?

— Nie wiem, bracie. Akurat przynieśli innego pacjenta i jemu musiałem poświęcić swą uwagę.

— To powiedz mi chociaż, jak dawno wyszła.

— Góra kwadrans temu.

Iryk wybiegł z budynku bez pożegnania. Ulicą płynęła rzeka ludzi. Co gorsza, w tym miejscu nie było żadnych handlarzy, których mógłby spytać, czy nie widzieli, w którą stronę skierowała się Victoria. Czuł zdenerwowanie, co nie przystoi mnichowi. Przez chwilę rozważał medytację, by się uspokoić, jednak porzucił ten pomysł. Harmonia pomagała w dilematach moralnych i egzystencjalnych, ale nie była w stanie wytropić zagubionej dziewczynki. Przed wstępaniem do zakonu w podobnej sytuacji rzuciłby monetą. Tego mnichowi również nie wypadało robić.

Zaczął zastanawiać się, co on zrobiłby na jej miejscu. Z rozmowy z mentorem, którego odwiedziła, wiedział, iż jej głównym celem było odzyskanie rodziców. *Mnisi odmówili pomocy, co więc jej pozostało?* Po krótkim namyśle uznał, że mogła zdecydować się na powrót do obozu uchodźców albo wyruszyć do Lotherbemm i tam szukać pomocy. W obu przypadkach musiała udać się na południe, bowiem do otoczonego przez pustynię Chilsund prowadziła tylko jedna droga. *Oczywiście pod warunkiem, że rzeczywiście odrzuciła opcję samobójstwa.*

Ruszył pędem na południe, licząc na to, że dziewczynka będzie trzymać się głównej drogi. Tłok na ulicach przeszkadzał w utrzymaniu dobrego tempa. Balansował w biegu najlepiej jak potrafił, lecz i tak co chwilę na kogoś wpadał. Kilka najbardziej poturbowanych osób go zbeształo, ale niebieskie szaty uchroniły go przed bardziej nieprzyjemnymi konsekwencjami. Po chwili droga stała się zdecydowanie szersza, tłum się przerzedził i pogóń stała się łatwiejsza. Chyba pierwszy raz w życiu docenił ciężkie treningi sprawnościowe, do których przymuszano kandydatów. Gdyby nie one, z pewnością już dawno dostałby zadyszki.

Po pewnym czasie zwolnił, bojąc się, że w pośpiechu prześcignie Victorię, nie zauważając jej. Nie zważając na dziwne spojrzenia ludzi, zaczął krzyczeć jej imię. Krzyku mnichów nie uczyono i szybko rozbolało go gardło. Chciał już przestać i wtedy ją zobaczył.

Na dźwięk własnego imienia odwróciła się odruchowo, podświadomie licząc, że to ktoś znajomy. Rozczarowała się, gdy zobaczyła, kto ją woła.

W przeciwnieństwie do niej, Iryk poczuł się szczęśliwy. Zbliżył się i uklęknął przed nią.

— Znalazłem cię — wypalił bez namysłu.

— Czego ode mnie chcesz? Nie możecie zostawić mnie w spokoju? — mówiła z silnym, aczkolwiek zrozumiałym akcentem. Język mieszkańców Południowych Kresów był niemalże identyczny, gdyż ich przodkowie pochodzili z Morsstand.

— Chcę ci pomóc.

— Na razie tylko mi przeszkodziłeś. Gdyby nie ty, miałabym już spokój. — Starała się mówić beznamiętnie, ale mimo to słyszał w jej głosie nutę rozpaczy i bezradności. — Nie pójdę do żadnego bidula.

— Nie zabiorę cię do bidula. Chcę ci naprawdę pomóc. — Przez moment myślał o wykorzystaniu swojego talentu, ale szybko zrezygnował z tego pomysłu. — Powiedz mi, co planowałaś teraz zrobić? Chciałaś udać się do Lotherbemm, prawda?

— Nie. Mój tatko mawiał, że wszyscy Lotherbemczycy to zwykłe szuje, którym zależy tylko na złocie. Ja nie mam złota. Postanowiłam wrócić do domu. Może rodzicom udało się uciec dzikusom i teraz mnie szukają?

— Tak, to całkiem możliwe. — Iryk uważało, że to mało prawdopodobne, jednakże nie chciał pozbawiać jej nadziei. — Mimo to nie powinnaś podróżować sama, to niebezpieczne.

— Dałam radę dojść aż tutaj, więc dam też radę wrócić — powiedziała z dumą. Po chwili przypomniała sobie, po co pokonała tak długą drogę i dodała: — Jeśli rzeczywiście chcesz mi pomóc, możesz iść ze mną.

— Tak zrobię, tylko musisz na mnie poczekać. Mam do załatwienia kilka spraw. Wyruszmy jutro, dobrze?

— Nie ma mowy. Dopiero co się pojawiłeś, a już chcesz mnie spowalniać. Skoro musisz, to załatw te swoje sprawy i mnie dogoń. Masz dłuższe nogi, dasz radę.

Odwróciła się i ruszyła przed siebie.

Iryk nie starał się jej znowu zatrzymywać. Wyczuwał w niej brak zaufania i nie chciał jeszcze bardziej jej denerwować. Jedyne, co zrobił, to krzyknął:

— Tylko trzymaj się głównej drogi, bym mógł cię odnaleźć.

Już i tak nie miał najmniejszych szans wrócić przed rozpoczęciem uroczystości Obrania Drog, więc się nie spieszył. Idąc, rozmyślał o wszystkim, co się wydarzyło, i o tym, co powie bratu Rimugolowi. Dzień się jeszcze nie skończył, a on już zdążył więcej razy postąpić wbrew harmonii niż przez ostatnie pół roku. Nie wiedział nawet, czy czyni słusznie. Czy *w ogóle jestem w stanie pomóc temu dziecku?* Obawiał się czekającej go wyprawy. Potrafił przekonać każdego do swoich racji, lecz czuł, że w dżungli jego talent nie zda się na wiele. *Jak nie zabije mnie jakieś jadowite zwierzę, to umrę od strzały wystrzelonej z zarośli.* Ponure myśli długo nie chciały go opuścić.

Będąc już niedaleko Ogrodów Harmonii, przypomniał sobie o porannej wizycie u Starszego Mentora, po spotkaniu z którym był gotów sam zająć się doradzaniem innym. Wystarczyły dwie godziny, a on porzucił to postanowienie i zdecydował się wyruszyć w daleką podróż. *Może postąpiłem zbyt pochopnie?* Rozważył możliwość niedotrzymania obietnicy przyłączenia się do Victorii. *Jeśli okazałbym się dobrym mentorem, mógłbym pomóc wielu ludziom. Gdy pójdę z nią, to tylko zginę i nie pomogę nikomu.* Był w jeszcze większej rozterce niż wczoraj o tej samej porze. *Ciekawe, czy życie poza klasztorem często się tak gmatwa.*

Przekroczywszy olbrzymią, główną bramę klasztoru, znalazł się w szerokim na sto stóp korytarzu. Jego wysokość odpowiadała wysokości pierwszej kondygnacji, a regularne przeszklenia sufitu zapewniały dobre oświetlenie. Nieco ciemniej robiło się w środkowej części korytarza, gdzie zastosowanie świetlików było niemożliwe z powodu znajdującego się powyżej kolejnego piętra budowli. Wzdłuż ścian ciągnęły się kamienne skrzynie wypełnione ziemią, w których rosły krzewy i miniaturowe drzewa. Mnisi strzygli je regularnie, formując z nich żywe, zielone rzeźby. Od głównego korytarza odchodziły mniejsze, a od nich jeszcze mniejsze i tak dalej. Wszystkie razem tworzyły prawdziwą sieć, lecz mimo to zgubić się było niemożliwością. W razie zabłędzenia wystarczyło po prostu odnaleźć korytarz szerszy niż ten, którym się obecnie poruszało, i tym sposobem zawsze można był dotrzeć do wyjścia.

Pierwszy poziom klasztoru mnisi oddali w użytkowanie miastu Chilsund. Zakon miał bowiem przede wszystkim służyć. Znajdowały się tu rozmaite magazyny, spichlerze, szkoła powszechna, szkoły cechowe, sierociniec, szpital i jadłodajnia dla ubogich. Była tu też gigantyczna sala mogąca pomieścić pięćdziesiąt tysięcy ludzi, wykorzystywana zarówno podczas świąt świeckich, jak i duchowych.

Na wyższe kondygnacje wstęp mieli tylko zakonnicy. Druga była przeznaczona na dormitoria kandydatów i młodych mnichów, sale medytacji, sale wykładowe, warsztaty i pomieszczenia gospodarskie zakonu. Trzecią zamieszkiwali bardziej doświadczeni bracia. Większość czwartej zajmowała Świątynia Harmonii, a pozostała jej część została wydzielona na kwatery starszych.

Ostatni poziom owiany był tajemnicą. Korzystać z niego mogli tylko ci, którzy prawdziwie i na stałe osiągnęli harmonię. Decyzję o tym, kto faktycznie tego dokonał, podjąć mogło tylko walne zgromadzenie wszystkich mnichów zamieszkujących Ogród Harmonii. Kandydat do tego najwyższego zaszczytu nigdy nie zgłaszał się sam, gdyż byłoby to nieskromne. Robił to ktoś, kto docenił jego nieskazitelną postawę. Podczas zgromadzenia przeprowadzano tajne głosowanie, w którym jeden głos sprzeciwu wystarczył do odrzucenia kandydatury.

Iryk musiał udać się na trzeci poziom, by stawić się z wyjaśnieniami u ojca Rimugola. Chwilę trwało, nim odnalazł go na tarasie medytującego na trawie naprzeciw gładkiego, kamiennego bloku. Na jego widok na twarzy starego opiekuna pojawiło się zdziwienie. Dopiero teraz Iryk przypomniał sobie, że jego szaty są podarte i pokrwawione. Był może z powodu jego wyglądu przywitał go taką, a nie inną wersją standardowego powitania.

— Harmonia to skromność, bracie.

— Harmonia to empatia.

— Cieszy mnie twój powrót. Gdy nie pojawiłeś się na Obraniu Drogi, wstąpił we mnie niepokój. Musiałem oddać się medytacji, by go zwalczyć. Teraz widzę, że zatrzymało cię coś poważnego. Opowiedz, proszę, co się stało.

Iryk szczegółowo przedstawił mu przebieg całego dnia. Przyznał się nawet do nieuprzejmości względem mentora, który przyjął Victorię, oraz brata-chirurga. Zataił tylko to, co skrywał od zawsze.

— Starszy Mentor dobrze cię ocenił — przemówił opiekun po krótkim namyśle. — Cenisz życie innych ponad swoje. Boję się tylko, że ta cecha doprowadzi cię do zguby, bo inni ludzie będą cię wykorzystywać. Spójrz na tę rzeźbę. — Wskazał ręką kamienny prostopadłościan. — Jak myślisz, co przedstawia?

Iryk nie miał zadatków na filozofa, powiedział więc to, co od razu przyszło mu na myśl.

— Nie wiedziałem, że to jest rzeźba. Myślałem, że ten blok czeka na obróbienie.

— Od wielu lat wszystkie posągi są wykonywane w warsztatach, a dopiero potem transportowane na swoje docelowe miejsce. Dzięki temu w ogrodach nie panuje hałas. Ale to tylko tak dla wyjaśnienia. — Starzec zrobił pauzę przed przejściem do istotniejszej części wypowiedzi. — Ten blok, jak go nazwałeś, przedstawia ciebie. Ciebie oraz każdego innego młodego mnicha. Jest nieukształtowany, tak samo jak wy. Gdyby nie dobre maniery, mógłbyś mi zarzucić, że to nieprawda. W końcu kształtwaliście się przez dziesięć lat kandyatury. Były próby, testy, zadania. Niby to prawda, lecz przez cały ten czas wiedziałeś, czego się spodziewać. W końcu każdy mnich musiał kiedyś przez to przejść, miałeś też kolegów, którzy stawiali czoła wyzwaniom razem z tobą. Dzisiaj natomiast zostałeś sam, rzucony na głęboką wodę. Rozumiesz już, o czym mówię?

Iryk przypuszczał, do czego w swoim wywodzie zmierza starzec, lecz przez grzeczność zaprzeczył.

— Wyobraź sobie, że chcesz z tego kamiennego bloku wykonać prawdziwą rzeźbę. Masz do wyboru dwa zestawy narzędzi. W skład pierwszego wchodzi niewielkie dłuto i odpowiadający mu rozmiarem młoteczek. Drugi zaś ma tylko jeden element – dziesięciofuntowy kafar. Który wybierzesz?

— Pierwszy — odparł od razu, lecz zaraz dopowiedział: — Ale dzisiaj przekonałem się, że życie poza klasztorem nie jest takie proste i nie można go porównać do rzeźbienia w kamieniu.

— Owszem, to porównanie, zresztą podobnie jak każde inne, jest tylko porównaniem. Mimo wszystko uważam, że zawiera w sobie wiele mądrości. — Zamyślił się przez moment. Po chwili kontynuował, lekko zafrasowany. — Przepraszam, zabrzmięło to nieskromnie. To nie ja jestem autorem tego porównania. Opiekunowie od wielu lat przytaczają je młodym mnichom, którzy myślą o wielkich czynach czy dalekich wojażach.

— Rozumiem, że chcesz mnie ostrzec. Co mogę jednak zrobić? Mam zostawić to dziecko samemu sobie?

— Nie jestem w stanie udzielić ci jednoznacznej odpowiedzi. Wiesz natomiast, w jakiej roli bym cię widział, a Starszy Mentor tylko potwierdził moją opinię. Proszę cię o jedno: nie podejmuj pochopnych decyzji. Postaraj się odnaleźć harmonię, przecież właśnie tego uczyłeś się przez ostatnie dziesięć lat.

Iryk musiał uznać słuszność tych słów. Pośpiech z pewnością nie był dobrym doradcą.

— Czy zgodzisz się pomedytować razem ze mną, bracie? — zapytał opiekuna, pragnąc mu udowodnić, że nie cała nauka poszła na marne.

— Oczywiście.

Usiedli przed najbardziej toporną rzeźbą świata i rozpoczęli poszukiwania wewnętrznego spokoju. Irykowi dosyć szybko udało się ujarzmić niepokój spowodowany dzisiejszymi wydarzeniami. Zaczynał już czuć się komfortowo, gdy nagle przypomniał sobie o Yewinie i

wątpliwościach dotyczących jego śmierci. Ta sprawa nie chciała dać mu spokoju. Męczył się straszliwie, lecz nie mógł się wyciszyć. W końcu nie wytrzymał i zwrócił się do swojego opiekuna.

— Bracie Rimugolu, przepraszam za przerwanie medytacji, ale trapi mnie coś bardzo ważnego. Czy przypominasz sobie chłopca, który nazywał się Yewin Nin?

— Yewin Nin? — Brat opiekun zmarszczył czoło. — Nie bardzo.

— To był ten chłopiec, który utopił się podczas Próby Wody, osiem lat temu. Właściwie to się nie utopił, lecz zadławił rybą rozdymką.

— Ach tak. Teraz sobie przypominam. Kolejna smutna historia. Dlaczego o niego pytasz?

Iryk szanował brata Rimugola, traktował go niemal jak własnego ojca. Jednakże coś podświadomyego, jakiś wewnętrzny głos kazał mu wykorzystać swój talent. Czuł, że jeśli nie będzie miał absolutnej pewności, wątpliwości będą go męczyć przez lata.

Sam do końca nie wiedział, jak to robił. Po prostu w odpowiedni sposób zmieniał barwę głosu i każdy musiał mówić prawdę lub wykonywać jego polecenia. Nawet podążający od pół wieku ścieżką harmonii opiekun nie był w stanie oprzeć się tej sztuczce.

— Co tak naprawdę się z nim stało? — zapytał Iryk.

— Musieliśmy go odesłać. Był magiem wody.

— Magiem wody? Jak to?

— To wyszło na jaw właśnie podczas Próby Wody. Po to ją przeprowadzamy. Gdy chłopiec zaczął się topić, uśpiona w nim moc zaczęła odpychać wodę na bok, tworząc wokół niego wolną przestrzeń. Taką relację złożył nam brat opiekun, który nadzorował próbę. Całe szczęście, że zainterweniował w porę i inni chłopcy nie zdążyli nic zobaczyć.

Iryk nie mógł uwierzyć własnym uszom. Co prawda kandydatów uczyono, że wszelka magia to зло i wystąpek przeciwko harmonii, sądził jednak, że to tylko bajania ludzi ze skłonnościami do fantazjowania. Dotychczas nigdy nie spotkał się z żadnym magiem, nie słyszał też, by przytrafiło się to komuś z jego znajomych. Pragnął dowiedzieć się więcej.

— Często udaje wam się wykryć jakiegoś maga?

— Bynajmniej. Znawcy tematu uważają, że tylko jedna osoba na tysiąc ma zdolności magiczne. Biorąc pod uwagę fakt, że rocznie przyjmujemy około dwustu kandydatów, to powinno dać nam jeden taki przypadek na pięć lat. Myślę, że to się mniej więcej zgadza.

— I co się dzieje dalej z tymi chłopcami?

— Teraz odsyłamy ich do Sinmow, które dużo za nich płaci. Kiedyś mieli znacznie gorzej.

— To znaczy?

— Byli zabijani. Magia to najgorszy wróg harmonii. Jest nieprzewidywalna i daje zbyt dużo władzy jednostkom utalentowanym w tym kierunku.

Iryk był w szoku. Przez całe swoje życie uważały zakon za ostoję dobra i sprawiedliwości. W jednej chwili wyobrażenie to prysło, zostało zrównane z ziemią, wyrwane z korzeniami. Miał ochotę przerwać rozmowę, lecz wciąż nie wiedział wszystkiego.

— Jeśli magia jest taka zła, to czemu dalej ich nie zabijamy, a odsyłamy do Sinmow.

— Sinmow oferuje duże sumy pieniędzy za wysoce uzdolnionych magów, a poza tym oni potrafią tam nad nimi zapanować. Zresztą, ja nie wiem wszystkiego. O szczegóły musiałbyś pytać starszych.

— A Yewin również został odesłany, tak? Nie zabiliście go?

— Nie, to jest tak, to znaczy... eee. Niefortunnie ułożyłeś pytanie, bracie. W każdym razie chłopiec przeżył.

— Powiedz mi jeszcze jedno. Czy słyszałeś kiedyś o takim rodzaju magii, który pozwala osobie się nim posługującej zmuszać innych ludzi do posłuszeństwa?

— To, co opisujesz, brzmi jak magia umysłu. Ponoć jest to najrzadziej spotykany rodzaj talentu magicznego, a na pewno najbardziej znienawidzony. Osoby, które nim dysponują, nazywane są Władcami Umysłów lub Namawiaczami. Nawet magowie innych aspektów boją się ich i zwalczają z całych sił. Jeśli zaś chodzi o zakon, to w naszych oczach jedynie magia krwi jest bardziej ohydna od magii umysłu, a to dlatego, że choć z różną skutecznością, to jednak każdy może się nią posługiwać.

Dowiedział się więcej, niż oczekwał. Zrozumiał, kim jest i dlaczego nigdy nie pochwalił się nikomu swoim darem. Tak samo jak uśpiona moc Yewina próbowała uratować go przed utonięciem, tak w jego przypadku wewnętrzny głos podpowiadał, by zachować tajemnicę.

Nakazał bratu Rimugolowi wrócić do medytacji. Osoba poddana działaniu magii umysłu wykonywała wydane jej rozkazy tylko przez pewien czas. W końcu, jeśli nie została ponownie zauroczona, odzyskiwała kontrolę nad swoimi poczynaniami. Z własnego doświadczenia Iryk wiedział, że okres ten trwał od kilku minut do pół godziny. Najważniejsze było jednakże to, że po wydostaniu się spod mocy zaklęcia ofiara nie pamiętała o całym zdarzeniu.

Rozmowa z opiekunem rozwiała wszelkie wątpliwości. Nie miał ochoty zostać w Chilsund ani chwili dłużej. Po raz pierwszy w życiu czuł się tu obco i nieswojo. Był dziwolągiem, który nie pasował do tego miejsca. Dziwolągiem, który chciał pomóc nieznajomej dziewczynce.

Miał nadzieję, że dogoni ją przed zmrokiem.

Rozdział trzeci – Arad úš

Siódmy dzień trzeciego obiegu Białego Karła. 92 dzień roku. Okolice Welfare.

Przed świtem.

Po uśmierceniu Tuco Jarmis czuł złość. Nie było to jednak spowodowane poczuciem winy za odebranie młodzieńcowi życia. Podobne emocje bardzo rzadko przebijały się przez barierę zobojętnienia, jaką zdążył wyhodować przez lata. Chodziło o to, że Gildia potrzebowała nowych członków, a chłopak okazał się kolejnym rozczarowaniem. Na dodatek Jarmis musiał wyrzucić nasączoną trucizną rękawiczkę, którą dotknął barku rekruta przed opuszczeniem chaty. *Robię się zbyt delikatny. Trzeba było wbić mu sztylet między żebra albo po prostu skręcić kark.* Zabójca był wszakże osobą zapobiegliwą i na wszelki wypadek nosił przy sobie zapasową parę rękawic. Bez nich był skazany na niepotrzebne pytania i zwiększoną podejrzliwość ludzi.

Jednakże złość wywołana nieudaną rekrutacją i straconą rękawicą była niczym wobec niepokoju spowodowanego napisem pozostawionym przez mordercę braci McPoyle. To, że również ktoś inny mógł się mścić za dawne wydarzenia z Exordium budziło w nim mieszane uczucia. Nie wiedział, co ma o tym wszystkim sądzić.

Chcąc ukoić zszargane nerwy, udał się do burdelu. Wybrał dobrze znany mu przybytek, by nie przytrafiła mu się kolejna, niemiła niespodzianka. Nie lubił, gdy dziwki były zbyt gadatliwe. Najchętniej w ogóle by z nimi nie rozmawiał. Wyjątek od tej reguły robił tylko dla kurtyzan z Milfgardu, ale one należały do zupełnie innej ligi. Ucieszył się więc, gdy okazało się, że tego wieczora pracowała jego ulubiona dziewczyna z tego zamku. Postugiwała się pseudonimem Nykho, lecz on zawsze pytał po prostu: *Czy jest Ruda?*

Rozładował napięcie szybko i energicznie, niczym zwierzę, którym był w jednej trzeciej. Gdy humor mu nie dopisywał, nie miał w zwyczaju przedłużać sprawy. Mimo wszystko na odchodnym pochwalił dziewczynę i zapłacił jej dwie korony, choć usługa kosztowała tylko jedną. Zostawianie napiwków było nawykiem, który pozostał mu jeszcze z czasów młodości. Był wtedy złodziejem i prowadził hulaszczy tryb życia, a roztrwanianie cudzych pieniędzy stanowiło jego część. Przed wyjściem z lupanaru zakupił od burdeltamy butelkę gorzałki, za którą dał jedną koronę, przepłacając ponownie.

Czekała go długa wędrówka, a noce wciąż były zimne. W takich sytuacjach gorzała okazywała się niezastąpiona. Oprócz rozgrzewania organizmu i zabijania nudy miała jeszcze jedną, cenną dla Jarmisa właściwość: pomagała ujarzmić Behemota.

Bestia nie znosiła alkoholu, uważając go za zwykłą truciznę, zaś jej przyspieszony metabolizm tylko potęgował jego wchłanianie. Toteż, gdy zabójca sobie porządnie golnął, bestia wolała sama usunąć się w głąb umysłu. Tylko raz zdarzyło się inaczej. Jarmis spił się wówczas tak bardzo, że dostał zapaści. Behemot, bojąc się śmierci i wykorzystując brak oporu ze strony

gospodarza, przejął kontrolę nad ciałem, dostarczając mu przy okazji dodatkowej dawki energii. Następnie zaczął biegać jak opętany, by wypocić truciznę. Silmer Kylmmite, również członek Gildii i najwytrwalszy kompan pijackich wyczynów Jarmisa, będący świadkiem tego zdarzenia, opowiadał mu później, że widok był przeszabawny. Na szczęście Silmer zachował dość świadomości, by na wszelki wypadek wdrapać się na pobliskie drzewo i z niego śledzić dalszy rozwój wypadków. W przeciwnym razie mógłby nikomu nie opowiedzieć już żadnej historii. Bestia bowiem w każdym widziała wroga.

Zmierzał na zachód Północnym Gościńcem. Choć pijany, szedł szybkim tempem, nadkładał jednak drogi, gdyż nie był w stanie utrzymać prostego kursu. Śpiewał na głos popularną pieśń, dla której Silmer wymyślił nowy, mniej poetycki, za to bardziej pasujący zabójcom tekst:

*Zabijać czasem to normalna rzecz
Uśmiercać ludzi, by mieć za co zjeść
I czasem, gdy przyłapią cię
A tobie uda wymsknąć się
Jakże to piękna, niepowtarzalna rzecz*

Takie nocne zawodzenie z dala od ludzkich zabudowań już nie raz przysporzyło mu kłopotów, lecz sytuacje te zawsze dużo gorzej kończyły się dla tych, którzy odważyli się go zaczepić. Tym razem obyło się bez żadnych przygód.

Gdy dotarł do kapliczki krwi, zaczynało już świtać, a on zdążył trochę wytrzeźwieć. W całym Lotherbemm znajdowała się tylko trzy takie ołtarze służące do składania zleceń Gildii Zabójców. Wykonane były z dwóch kamiennych płyt. Na ustawionej pionowo wyryty był napis: *Za czystą śmierć płaci się złotem*. Oznaczało to, że Gildia zapewnia szybką śmierć wskazanej ofiary oraz gwarantuje pełną anonimowość zleceniodawcy. Część dotycząca złota miała przypominać o tym, że najniższą kwotą, jaką będzie należało zapłacić za zabójstwo, jest jeden suweren. Na płycie poziomej stał wysoki na dwie i pół stopy, również kamienny, kielich. Z boku posiadał otwór, a od góry był przykryty, by nie lał się do niego deszcz. Jeśli ktoś chciał skorzystać z usług Gildii, wkładał dłoń do otworu i dociskał ją do ostrza schowanego w kielichu. Gdy krew z rany skapywała w głąb ołtarza, należało myśleć o osobie, której życzyło się śmierci. Na sam koniec trzeba było pociągnąć za wajchę wbudowaną w poziomą płytę kapliczki. Od tego momentu resztą zajmowała się Gildia.

Jarmis rozejrzał się wokół, by upewnić się, że nikt go nie obserwuje. Następnie podszedł do kapliczki od tyłu, odgarnął obrastające ją chwasty i włożył dłoń głęboko w otwór, który odsłonił. Wymacał trzy kamienne przyciski i wcisnął je w odpowiedniej kolejności. Gdyby się pomylił, do końca życia musiałby podcierać się lewą ręką. Uruchomiony mechanizm odsłaniał

kolejny otwór znajdujący się w poziomej płycie, bezpośrednio pod kielichem. Stamtaąd Jarmis wyciągnął pojemnik z małymi, wełnianymi szmatkami. To na nie spływała krew zleceniodawców, a ruch wajchy powodował odsunięcie najwyżej położonej szmatki na bok.

— I chuj — głośno skomentował brak zleceń. Wsunął pojemnik z powrotem w głęb ołtarza, zamknął otwór pod kielichem i na ile mógł, naprostował odgięte zarośla.

Gildia Zabójców nadal korzystała ze swej archaicznej nazwy Arad úš. Słowa te, wywodzące się ze starożytnego języka używanego przed tysiącami lat na Thenorafrein, tłumaczyło się na: *Słudzy Krwi*. To właśnie na starym kontynencie istniało niegdyś bractwo, z którego pochodzili założyciele lotherbemmiskej Gildii Zabójców.

Antyczne Arad úš było jeszcze stosunkowo młode, kiedy mieszkańcy Thenorafrein po raz kolejny zdecydowali się na migrację za wielką wodę. Pośród uczestników trzeciej i ostatniej udanej ucieczki ze starego kontynentu znalazło się czterech młodych i zdolnych członków bractwa: Trazamow, Schajb, Pinchof i Vontheelvēb. Na Thenorafrein byli zbójami pierwszego sortu, biegłymi w magii krwi, lecz z niewielkimi szansami, by wdrapać się na szczyt prężnie rozwijającej się organizacji. Wsiedli więc na statki, zakładając, że jeśli dopłyną do obiecanego lądu, będzie musiało powstać nowe państwo, przy którego formowaniu ludzie z ich zdolnościami będą rozchwytywani. Nie mylili się. Nowe Arad úš błyskawicznie zyskiwało sławę i poszerzało swoje szeregi. Cztere założyciele w końcu odeszli tam, dokąd wysyłaniem innych trudnili się całe życie, lecz Gildia trwała dalej. Raz wiodło się jej lepiej, raz gorzej. Teraz znajdowała się w największym kryzysie od wielu lat.

Jarmis kontynuował podróż gościć przez kolejne trzy mile, po czym skręcił w lewo i wszedł w las. Po przedarciu się przez pierwszych kilkaset jardów zarośli odnalazł ukrytą ścieżkę, o której istnieniu wiedzieli tylko Słudzy Krwi. Wiła się ona pośród drzew i chaszcy, urywając się co jakiś czas, by pojawić się znowu kilkadziesiąt stóp dalej. Jej trasa omijała wszelkie strumyki, jary i inne przeszkody, jakie można było napotkać w kniei. Nie należała do najkrótszych dróg wiodących na Wyspę, ale przynajmniej zapewniała jakikolwiek komfort podróży. Było to istotne zwłaszcza wtedy, gdy któryś z członków ciągnął ze sobą wózek z zaopatrzeniem zakupionym w Welfare. Jako że Jarmisowi się nie spieszycie, wybrał właśnie tę dróżkę, by nie musiał przedzierać się przez leśną gęstwinę.

Po około czterech godzinach wędrówki przez puszcę dotarł wreszcie nad skraj jeziora. Długie na siedem, a szerokie na cztery mile, posiadało na środku wyspę, na której znajdowała się główna siedziba Arad úš. Na swoją kryjkę zabójcy mówili po prostu: Wyspa. By się na nią dostać, Jarmis odszukał w zaroślach jedną z wielu łodzi schowanych wzduż całego brzegu. Wiosując w poprzek jeziora, żałował, że nie mogą, podobnie jak Gildia Złodziei, działać oficjalnie i zajmować jakiegoś przyjemnego lokalu w centrum miasta.

W końcu dopłynął do ukrytego między zwisającymi nad wodą konarami pomostu i wygramolił się z łódki. *Znowu nikt nie pełni warty*, pomyślał, spojrzawszy na strażniczą budkę zamaskowaną wśród koron drzew. Z daleka wydawało się, że mającą czterdzięści akrów wyspę w całości porasta las, było jednak inaczej. Pokonawszy pas przybrzeżnych zarośli, znalazł się na otwartej przestrzeni. Na jej środku stał rozległy, dwupoziomowy budynek wykonany z bali. Wokół niego znajdowały się inne, mniejsze zabudowania: warsztaty, magazyn, szopa na drewno, wędzarnia, plac do ćwiczeń, studnia oraz dwa wychodki. Resztę terenu w większości wykorzystano na uprawę warzyw i owoców. Przy jednej z grządki krzątał się Nomac Corseen.

— Zabójca ogrodnik. — Jarmis zwrócił się do pracującego kolegi. — Gdyby ludzie wiedzieli, czym zajmujemy się na co dzień, przestaliby się nas bać.

Nomac nie usłyszał, jak Jarmis się do niego zbliża, i wyprostował się przestraszony. Szybko się opanował i odpowiedział na zaczepkę.

— Gdy w końcu powinie ci się nogą, to może wtedy ja zostanę egzekutorem i będę mógł zajmować się poważniejszymi zadaniami.

— Masz fart Świeżak, że nie jestem przesadny, bo kazałbym ci odszukać to krakanie. — Jarmis wymienił z Nomaciem uścis kłębów.

— W środku. Wczoraj Ray przyprowadził Nowego. Mam nadzieję, że od tej pory to na niego będziesz wołał Świeżak.

— Pewnie, że tak. Będę tak wołał na was obu i będziecie się zastanawiać, o którego z was mi chodzi.

— Bardzo śmieszne — odparł Nomac, kiwając głową z dezaprobatą.

— Dobra, wracaj do tej swojej cebuli, a ja idę zobaczyć tego Nowego — zakończył rozmowę Jarmis i odszedł w stronę zabudowań.

Był ciekaw, kogo tym razem zwerbował Ray, który przed laty wprowadził do Gildii również jego. W przeciwieństwie do Jarmisa, stary zabójca miał nosa do rekrutów.

Wszedł głównym wejściem. Trzema krokami pokonał wiatrołap i znalazł się w głównej izbie, w której przebywała większość Arad úš.

— Chyba muszę przestać pić. Wczoraj śniło mi się, że walczę z kaczką wielkości konia — Silmer zwierzał się Montiemu.

— Prędzej przejdę na wegetarianizm, niż ty przestaniesz pić — stwierdził Jarmis, zwracając na siebie uwagę towarzyszy.

Kilku przywitało go krótkim Cześć, paru nie zareagovalo w ogóle i tylko Silmer wyraźnie ucieszył się na jego widok.

— W końcu wróciłeś, skurczybyku! — Podszedł do Jarmisa i obdarzył go silnym, choć niezdarnym uściskiem, gdyż pomimo iż był kilka cali wyższy, ciężko mu było objąć nienaturalnie szerokiego przyjaciela. — Wreszcie będzie się z kim porządnie napić.

— To by było na tyle, jeśli chodzi o twoje postanowienie — podsumował Monty głosem obojętnym jak zawsze.

— Nie masz z kim pić? — zapytał Jarmis, gdy skończyli poklepywać się po plecach. — A gdzie jest Sierściuch?

— Sierściuch jak to Sierściuch, łazi swoimi ścieżkami. Ale powinien wrócić na dzisiejsze Zgromadzenie.

— To dobrze. Też mam ochotę się nawalić.

Stary, poczciwy Silmer uśmiechnął się jak dziecko, które dostało cukierka, a Jarmis postanowił wreszcie dać pooddychać skórze dłoni. Był wśród samych swoich i nie musiał się już z niczym ukrywać. Ściągnął rękawice. W miejscu paznokci miał grube, czarne pazury, spiłowane równo z opuszkami.

— No i gdzie ten Nowy? — zapytał towarzyszy, chowając rękawice do kieszeni płaszczu.

— Już się wami znudził?

Jak na zwołanie schody na piętro zaczęły skrzypieć. Jarmis odwrócił się i ujrzał Nowego.

Był wyższy od niego o głowę, mocarnie zbudowany, choć z zachowaniem proporcji. Rozpuszczone, ciemne blond włosy sięgały mu połowy pleców, a brodę w tym samym kolorze zaplótł w długi na łokieć warkocz. Jarmis oceniał, że zbliża się do trzydziestki, lecz zarost mógł go postarać.

Nowy podszedł do Jarmisa i wyciągnął dłoń.

— Dew Lazykk — przedstawił się.

— Jarmis Reggick. — Doświadczony zabójca odchylił głowę, by móc spojrzeć w oczy Nowego.

Dłoń rosłego Dew zniknęła w karykaturalnie wielkiej grabie Jarmisa. Rekrut poczuł się nieswojo, niczym brzędzący witający się z dorosłym mężczyzną.

— Głupie uczucie, co? — powiedział Silmer, zauważwszy grymas na twarzy Dew. — Nie przejmuj się, z czasem się przyzwyczaisz.

— Masz takie wielkie łapy od urodzenia czy coś ci się stało? — Dew zapytał Jarmisa.

— Mam tak od przemiany. Jestem zwierzoludzem. Dziwne, że ten stary pijak nie zdążył ci jeszcze wszystkiego wyśpiewać. — Jarmis skinął głową w stronę Silmera. — To największa plotkara w Gildii.

Stary zabójca pokazał mu środkowy palec, gest uważany za obraźliwy w Lotherbemm. Jego przeciwnieństwem były wyprostowane trzy środkowe palce, którymi życzyło się komuś powodzenia.

— Czuję, że sobie poradzisz. — Jarmis zwrócił się do Dew. — Zresztą Ray cię wybrał, a to mówi samo za siebie.

Wspomniany stary zabójca, do tej pory przysłuchujący się im z boku, włączył się do rozmowy.

— Ja go zrekrutowałem, ale jestem już za stary, by go szkolić. Miałem nadzieję, że przejmiesz moje obowiązki w tym zakresie.

— Nie wiem, czy ktokolwiek powinien się uczyć ode mnie. Poza tym młody nie wygląda na takiego, co by potrzebował szkolenia. — Niski zabójca wzruszył potężnymi ramionami. — Coś tam mu jednak mogę pokazać, skoro prosiś.

— Ja go mogę nauczyć, jak się pije. — Gadatliwy Silmer myślał tylko o jednym.

— Na to będzie czas wieczorem. — Ray się uśmiechnął. On również nie stronił od używek. — Teraz musimy objaśnić Dew, na czym polega Zgromadzenie.

— Tylko nie zanudźcie go na śmierć — powiedział Jarmis. — Ja idę spać. Padam na twarz.

— Idź, idź. — Zgodził się Ray. — Obudzimy cię na Zgromadzenie.

Nim znalazł się w swojej sypialni, zahaczył jeszcze o kuchnię, skąd zabrał pół bochna chleba, garniec smalcu ze skwarkami i pętę kiełbasy. Pieczywo krajał w grube pajdy i wygarniał nim swój przysmak z glinianego naczynia, zagryzając co chwilę mięsem i popijając winem z bukłaka. Gdy zjadł już wszystko, zablokował drzwi i zaczął się rozbierać. Płaszcz odwiesił na krzesło, a grube na ćwierć cala karwasze oraz pas, wraz ze schowanymi w pochwach mieczem i sztyletem, odłożył na biurko. Następnie ściągnął skórzany kaftan z jedwabną podszewką i szeroką, stalową taśmą chroniącą kręgosłup. Zdjął buty, onuce i spodnie. Na koniec zrzucił Indianę koszulę i pozostał w samej bieliźnie. Wskoczył do łóżka, przykrył się przyjemnym w dotyku, jedwabnym prześcieradłem, a na wierzch naciągnął skórę śnieżnowołu. Zasnął od razu.

Po kilku godzinach obudziło go walenie do drzwi i krzyk Silmera.

— Wstawaj, łajzo. Odbębniemy Zgromadzenie i możemy łoić. Trzeba należycie uczcić przyjęcie nowego członka.

— Już schodzę, stara moczymordo.

Jarmis miał ochotę spać dalej, ale udział w Zgromadzeniu był obowiązkowy i nawet on nie mógł tego lekceważyć. Wstał z łóżka, ubrał spodnie oraz koszulę i założył skórzane łapecie z obciętymi czubkami. Palce u stóp były zakończone podobnymi pazurami, jak te u rąk. Czarne, spiłowane równo z opuszkami, różniły się tylko tym, że były jeszcze grubsze i szersze.

Zabójca podszedł do drzwi i ściągnął blokującą je belkę. Zamykanie się od wewnętrz podczas snu było praktykowane przez wszystkich Arad úš i miało na celu chronić przed ewentualnym zdrajcą w ich szeregach. Drewniane, ażurowe schody skrzypiały boleśnie, gdy po nich schodził. W kuchni odnalazł worek z pistacjami, nasypał sobie garść do glinianej miseczki i udał się do głównej izby.

Wszyscy byli już obecni i siedzieli przy długiej ławie. Piętnastu zabójców, nie licząc Jarmisa. Brakowało tylko dwóch członków, którzy zostali oddelegowani do placówek Gildii w

Wartegall i Rodawnzarze. Jarmis zajął miejsce w rogu stołu, obok swojego najlepszego przyjaciela, kotołaka Treya Legarrdo.

— Skoro nasz gwiazdor raczył się w końcu pojawić, to możemy zaczynać. — Roni Senbaj, delikatnie rzecz ujmując, nie przepadał za Jarmisem.

Jarmis zignorował przytyk i tylko skubał pistacje.

Zwyczajowo za przebieg Zgromadzenia odpowiadał najstarszy członek Gildii. Obecnie był nim siedemdziesięcioletni Ted Waymurs. — Zi Dingir Mitu Kanpa! ¹ — Siwy, zasuszony starzec zainkantował słowa starożytnej przysiegi Arad úš. Nieliczni Słudzy Krwi mu zawtórowali i Zgromadzenie zostało rozpoczęte.

— Witam wszystkich zebranych na drugim Zgromadzeniu roku dwa tysiące pięćset dwudziestego piątego — kontynuował Ted. Z powodu sędziwego wieku wysławiał się powoli i bardzo oficjalnie, co męczyło większość zabójców, jednak ze względu na szacunek dla seniora nikt nie dawał tego po sobie poznać. — Choć czasy mamy ciężkie, dziś powinniśmy świętować, albowiem podczas tego spotkania do naszej organizacji dołączy już oficjalnie nowy towarzysz. Wydarzenie to jest tym ważniejsze, iż od kilku lat nasze szeregi się nie poszerzały.

Następne słowa staruszek skierował do Dew.

— Wiem, że zdążyłeś już poznać większość z nas, jednak dawny obyczaj nakazuje, abym przedstawił ci nasze sylwetki podczas Zgromadzenia. Niestety moja pamięć mnie zawodzi, dlatego wolałbym, aby ktoś mnie w tym wyręczył. Nie chciałbym po prostu czegoś przekręcić. — Tłumaczylek lekko zawstydzony.

Po krótkiej przerwie zapytał.

— Kto podejmie się tego zadania?

Nikt z zebranych nie przejawiał chęci poprowadzenia Zgromadzenia. Większość udawała, że pytanie nie padło, pozostali rozglądali się na boki, Jarmis łupał pistacje. Niezręczne milczenie przerwał Silmer.

— Ja cię wspomogę, mistrzu. Elita zabójców, a boją się przemówień, he, he.

— No cóż, niech tak będzie. — Niechętnie zgodził się Ted, gdyż Silmer zdążył już trochę wypić. — Oddaję ci głos.

— Będzie wesoło — zauważył Trey.

— Gdzie tam. Kiedy trzeba, potrafię być poważny. — Silmer wstał i chwycił się oparcia swojego krzesła, by łatwiej trzymać pion. — No dobra, z tego, co pamiętam, zaczyna się od

¹ Boże, Duchu Śmierci, pamiętaj !

osoby, która jest najdłużej w Gildii i leci się w dół. Czyli rozpoczęliśmy od naszego szacownego prowadzącego.

— Aha — zwrócił się do Dew — możesz zadawać pytania każdemu z członków, po tym, jak go przedstawię.

Nowy skinął głową na znak, że zrozumiał.

— Ted Waymurs. — Silmer wskazał starca dłonią, pochylając przy tym głowę z szacunkiem. — Służy Krwi ponad pół wieku. Przez ponad dwadzieścia lat był egzekutorem. Jeden z trzech członków Rady Starszych. Drugi spośród tu zgromadzonych, biorąc pod uwagę liczbę wykonanych zleceń. Zrekrutował Raya, Willa i z tuzin innych, których nie ma już wśród nas. No i mnie, czego pewnie w tej chwili żałuje, he, he. Zanim stał się Arad úš, był żołnierzem. Wojował z Sinmow, podczas gdy Lottar Scond robił jeszcze w pieluchy. Jeśli będziesz chciał się czegoś dowiedzieć o historii naszej organizacji, zwróć się do niego. Właściwie to możesz się do niego zwrócić z każdym problemem, gdyż mądrością przewyższa wszystkich w tej izbie. — Silmer lubił prawić komplementy tym, których darzył sympatią, zwłaszcza, gdy był pijany. — Myślę, że z grubsza to będzie na tyle.

Doceniony Ted był ukontentowany w charakterystyczny dla starszych osób sposób.

— Mam pytanie. — Dew powstrzymał Silmera przed przedstawieniem kolejnego zabójcy.

— Świetnie. Wal śmiało, a ja w tym czasie przepłuczę gardło.

— Czym zajmuje się Rada Starszych?

— Rada Starszych, eee, jakby to powiedzieć.

Starzec był wyraźnie zakłopotany. Niegdyś Rada Starszych podejmowała ważne decyzje w imieniu Gildii, gdy z jakiegoś powodu nie można było zwołać Zgromadzenia lub kiedy nie było na to czasu. Decydowała też wtedy, gdy w głosowaniu Zgromadzenia padał remis. Jednak ostatnimi czasy utraciła swą pozycję i jej funkcja była jedynie symboliczna.

— Członkowie Rady służą nam wszystkim swoją mądrością, są strażnikami tradycji oraz posiadają klucze do sejfu, w którym przetrzymywane są fiołki z krwią wszystkich Arad úš. — Wygadany Silmer wyręczył skołowanego Teda.

— A po co trzymana jest ta krew?

— By w razie potrzeby móc odnaleźć jej właściciela. Służy to bezpieczeństwu Gildii i jej członków. Dziś wieczór pobierzemy krew również od ciebie.

— Rozumiem. — Dew skinął głową, dając Silmerowi znak, by kontynuował.

— Drugi stażem jest Liddo Deby. Półwiecze w Gildii. Egzekutorem był dwadzieścia siedem lat, co jest czwartym wynikiem w historii. Również należy do Rady Starszych. Jest mistrzem dla Johnniego i Montyego. — Wymieniając imiona poszczególnych członków, Silmer kierował w ich kierunku swój wzrok. — W życiu przed Gildią był zielarzem i alchemikiem. Ekspert w

wytwarzaniu trucizn, odtrutek, maści i leków. Pomoże ci również, gdy będzie cię męczył kac albo dostaniesz srażki.

Liddo i kilku innych zabójców parsknęli śmiechem.

— Mam nadzieję, że to ostatnie nie będzie konieczne — skomentował nowy.

— Czas na Raya. Niedawno obchodził rubinową rocznicę dołączenia. Ależ to była impreza. Treya do dzisiaj boli głowa.

— Nawet mi tego nie przypominaj — wtrącił kotołak.

— To dzięki niemu tu jesteś, więc musiałeś się napić. Podobnie zresztą jak Ryll, Waldo, Jarmis, Roni i Growar. Ray jest naszym najskuteczniejszym rekruterem, dlatego nie mam wątpliwości, że również ty okażesz się cenny dla bractwa. Egzekutorem był przez krótki czas, lecz jego wartość dla Gildii jest nieoceniona. Wie najwięcej o magii krwi, co zawdzięcza swojemu dziadkowi i księgiom, które przestudiował.

Dew nie miał żadnych pytań i Silmer kontynuował.

— Kolejny będzie Will Manby. Trzydzieści sześć lat stażu. Siedem lat temu przestał być egzekutorem. Najmłodszy ze Starszych. Ale to głupio zabrzmiął, he, he. — Pociągnął z piersów. — Specjalista od broni i świetny kowal. Zreperuje ci wyszczerbiony miecz albo wykuje nowy.

— To może od razu spytam. Jaką bronią posługiujecie się na misjach? Bo do tej pory walczyłem mieczem dwuręcznym, ale dla skrytobójcy to raczej nienajlepszy wybór.

— Dobrze mówisz — przyznał Will. — Miecz dwuręczny to okrutny oręż, ale nie da rady tego nigdzie schować, a przecież teraz w przeważającej liczbie miast nie można nosić broni. Większość z nas używa zestawu: miecz jednoręczny plus sztylet. Łatwo to ukryć pod łachami, a i obronisz się przed wszystkim. Znajdziemy ci coś odpowiedniego w naszej zbrojowni.

— Klawo — ucieszył się Dew. — Kto następny?

— Johnnie Kothmo. Trzydzieści jeden lat z nami. Jeden z najlepszych szermierzy, jakich poznaliem. Sposób, w jaki niegdyś walczył, ehh, to była poezja miecza. Nie ja jeden uważam, że mógłby się mierzyć z Wielkim Czempionem. Niestety, w potyczce z czterema przeciwnikami otrzymał ranę, która pozbawiła go czucia w prawej ręce. Później, na domiar złego, złamał nogę, która nie zrosła się jak należy. Nie mógł dalej być egzekutorem, ale nadal służy Krwi, doglądając naszej filii w Rodawnzarze. No i dalej potrafi się napić.

Silmer przerwał, by sobie gołnąć. Niektórzy z zebranych również zaczęli popijać rozmaite wyskokowe trunki. Nomac wydłużał ziemię spod paznokci, a Jarmis dalej skubał pistacje. Ze względu na rozmiar dłoni jego zmagania z niewielkimi orzechami wyglądały dość zabawnie.

— Teraz czas na najprzystojniejszego, najdowcipniejszego i najzdolniejszego członka Gildii. Silmer Kylmmite, do usług. — Stary pijaczyna ukłonił się nisko, zachwiał i gdyby nie krzesło, którego się chwycił, runąłby na ziemię. Udał, że nic się nie stało i kontynuował autoprezentację.

— Arad úš od trzech dekad, egzekutor od dwóch. Zrekrutowałem Nomaca, by zawsze mieć się z kim napić. W końcu mistrzowi się nie odmawia, he, he. — Zaślonił usta, gdyż śmiech sprawił, że odbiło mu się kwasem. — Aha, jeszcze jedno. Tylko ja spośród tutaj zebranych mogę poszczycić się arystokratycznym pochodzeniem. Nie, żeby to cokolwiek znaczyło, ale pochwalić się można.

— Ponownie pociągnął z piersówka, tym razem opróżniając ją do końca, i powiedział. — A teraz panowie wybaczcie, ale muszę do wychodka.

Po wyjściu Silmera pozostali stwierdzili, że nie ma sensu przedłużać posiedzenia i sami zaczęli się przedstawiać. Pod nieobecność chlejusa zdążyli się zaprezentować: Sarwat Chelit, Waldo Doron, Monty Anhiomi i Ryll Greasb. Silmer wrócił, gdy ten ostatni właśnie kończył przemawiać.

— Nie czekaliście na mnie, tajdaki — zauważył z udawaną urazą w głosie. — Na szczęście wróciłem na czas, by przedstawić naszego gwiazdora, jak raczył go określić Roni. Ja jednak jestem gotów go tak nazywać bez cienia sarkazmu. Drogi, nowy przyjacielu, przedstawiam ci naszą gwiazdę, Jarmisa Reggicka.

— Nie musisz mnie przedstawać. Już się poznaliśmy — wtrącił Jarmis.

— Siedź cicho i łup te swoje orzeszki. Teraz ja mówię.

Silmer oparł się obiema rękoma o krzesło i przyjął poważną minę. Spojrzał Dew prosto w oczy.

— Jeśli w swojej karierze uczynisz dla Arad úš piątą część tego, co Jarmis, to zapewniam cię, że po śmierci twoja podobizna zostanie wyryta na jednym z drzew w naszym Gaju Pamięci.

Jarmis pokręcił głową, zażenowany. Silmer udał, że tego nie widzi.

— Jest z nami od czternastu lat, a już wykonał więcej zleceń niż nasz wielce szacowny, pochylający głowę pod ciężarem doświadczenia, Ted.

Starzec od dłuższego czasu drzemał z brodą wbitą w pierś, cicho pochrapując.

— Od kiedy dziesięć lat temu został egzekutorem, bierze na siebie większość misji, w tym wszystkie najtrudniejsze. Dzięki niemu mamy jeszcze za co jeść i balować, bo regularnie przynosi złoto za farty, które zdobywa podczas zadań. To tylko drobiazgi, teraz czas na ważniejsze dokonania. Uratował życie mnie, Rayowi i Growarowi. Wyciągnął Treya z Lochów Inkwizycji. Zabił czterech Wielkich Inkwizytorów oraz kilkunastu pomniejszych, doprowadzając do zniszczenia tej parsywej instytucji. — Po raz kolejny pociągnął gorzały. — Na koniec kilka ciekawostek. Walczył w ostatniej wojnie, przeżył Upadek Shal, w pojedynkę wygrał dwójkowe zawody Wielkiego Turnieju, ale to i tak nic w porównaniu z tym, czego dowiesz się zaraz. W jego rozrośniętym cielsku gnieżdżą się trzy du...

— Skończ już albo ktoś inny będzie musiał dokończyć tę szopkę — pogroził mu Jarmis podniesionym głosem.

— Tak jest! — Silmer zasalutował niezdarnie, naigrawając się z powagi przyjaciela, niemniej usłuchał jego ostrzeżenia.

— Zapamiętaj młody, gdy Jarmis robi się zły, to lepiej go słuchać. Na zakończenie dodam tylko, że jego ojciec jest szwecem i zdążył nauczyć syna podstaw swego fachu. W związku z tym większość z nas chodzi w jarmisowych butach. Jak ładnie poprosisz, to i dla ciebie zrobi parę.

— Po tym wszystkim, co usłyszałem, miałbym do Jarmisa więcej niż jedno pytanie, zachowam je jednak na później. Nie ma co przedłużać.

— Świeżak, właśnie zaczynam cię lubić — oświadczył zirytowany Jarmis, który miał już dość Zgromadzenia.

Chwilę trwało, nim do mocno już pijanego Silmera dotarło, że może kontynuować.

— No dobra, skoro tak wam się spieszy, to postaram się streszczać. Zostali nam Trey, Roni, Growar i Nomac. — Obrócił się w stronę kotołaka. — Trey Legarrdo. Podobnie jak Jarmis jest zwierzoludzem, czego trudno nie zauważyc. Chociaż wygląd ma dziki, to chłop do rany przyłów. Doskonały myśliwy, świetnie się skradający, zwinny jak łasica. A właściwie to jak kot, he, he. Wszyscy kochamy go za to, że jest wspaniałym kucharzem.

— Ŝe-ga² — potwierdził Monty.

Zawtórowało mu kilka innych, równie podchmielonych głosów.

— Roni Senbaj, nasz najlepszy szermierz. Ciągle trenuje i czyta księgi, zgłębiając arkana alchemii, trucicielstwa, zielarstwa i innych nauk, których nazw nawet nie rozumiem. Jak tak dalej pójdzie, to będzie mistrzem we wszystkich dziedzinach naszej profesji. Jego największą wadą jest to, że nie lubi pić.

Roni zmierzył Silmera chłodnym wzrokiem, nieporuszony jego słowami.

— Growar Teres. Cóż mogę o nim powiedzieć. Jest rudy, przytoczę więc znane powiedzenie: *Uważaj bratku na głowę czerwoną, jej właściciel ma duszę spaczoną*. A już na poważnie: wciąż jest młody i na pewno się czymś jeszcze wykaże.

Growar obdarzył Silmera wzrokiem pełnym pogardy. Stary zabójca był do tego przyzwyczajony i ciągnął dalej.

— No i nasz najnowszy nabytek, nie licząc ciebie, oczywiście. Nomac Corseen. Póki co również nie ma na koncie specjalnych sukcesów, ale kiedyś z pewnością się to zmieni, gdyż jest ambitny i pracowity. — Usiadł i westchnął, tak jak mógłby zrobić to ktoś, kto właśnie dokonał wielkiego dzieła. — Moja rola skończona. Teraz ty musisz opowiedzieć nam o sobie.

Dew wstał, prezentując swoją potężną sylwetkę. Sześć i pół stopy wzrostu gwarantowało mu tytuł najwyższego członka Gildii. Przy ponad siedemnastu kamieniach wagi ciężarem

² Zgadzam się

ustępował tylko Jarmisowi. Przywykł do zabijania, a nie do przemówień, dlatego nie wiedział, co zrobić z rękami. Skrzyżował je zatem na klatce piersiowej, co sprawiło, że wyglądał jeszcze groźniej.

— Tym, którzy zdążyli zapomnieć, przypomnę: nazywam się Dew Lazykk. Urodziłem się w Rodawnzarze, dwadzieścia siedem lat temu. Od małego wiedziałem, że nie chcę być robolem. Szybko urosłem i gdy miałem piętnaście lat, zapisałem się do straży miejskiej. Musiałem skłamać co do wieku, bo inaczej by mnie nie przyjęli. W straży nauczyłem się podstaw machania mieczem. Po dwóch latach rzuciłem tę nudną robotę w cholera i dołączyłem do ferajny Chciwego Billa. Dla tych, co nie wiedzą, jest to najbardziej znany łowca nagród po zachodniej stronie gór.

Opowiadając, nieświadomie zaczął bawić się pierścieniem, który spinał splecioną w warkocz brodę.

— Ganiałem z nimi dłuższy czas. Zmieniłem broń na miecz dwuręczny, który w połączeniu z moim wzrostem okazał się doskonałym wyborem. Chciwy Bill dostrzegł mój potencjał i zaczął wykorzystywać mnie do najgorszej i najbardziej niebezpiecznej roboty. Ja ryzykowałem, a ten stary kutas zgarniał całą kasę, oddając mi tylko jakieś ochłapy. W końcu stwierdziłem, że pierdolę taki interes, i odszedłem. Pozostałem jednak w branży, robiąc w pojedynkę, na własne konto. — Od mówienia zaschło mu w gardle, poprosił więc siedzącego obok Johnniego, by użyczył mu swojego wina. Przed Zgromadzeniem nie wiedział jeszcze, czy można pić w jego trakcie, więc nic sobie nie przygotował. — Billowi nie spodobała się nowa konkurencja. Podpłacił jakąś kobietę, aby zeznała, że ją zgwałciłem. Nawet wyznaczył suwerena nagrody za pomoc w moim ujęciu. Nie mogłem stawić czoła całej bandzie, a nie chciałem też odejść z interesu. Odnalazłem więc najbliższy ołtarz krwi i oto jestem.

— Kolejny uciekinier. — Roni z pogardą szepnął do Growara. Poza rudym zabójcą usłyszał go tylko obdarzony kocim słuchem Trey.

— Ciekawe, co powie ten chciwy Bill, gdy odwiedzisz go z nowymi kolegami — rzucił beznamiętnym głosem Monty.

— Wiesz przecież, że nie działamy w ten sposób — skarcił go Liddo Deby.

— No niby nie — przyznał wzruszwszy ramionami. — Ale Jarmis mógłby załatwić tę bandę na własną rękę, w końcu jemu wolno więcej. To również przez takich jak ten Bill mamy mało zleceń. Uważam, że powinniśmy to rozważyć.

— Še-ga — przyznał Silmer.

— A kto wam powiedział, że mam ochotę uganiać się za jakimiś łajzami? — Uciął dyskusję Jarmis. — Obudźcie Teda, trzeba pobrać krew od młodego, a on ma fiolki.

Po chwili najstarszy zabójca był już w pełni przytomny. Podszedł do Dew, który siedział u szczytu stołu, i położył przed nim wyciągniętą zza pazuchy glinianą miseczkę, dwie fiolki oraz nóż.

— Czy zdążyłeś nauczyć się formuły wstępienia do Gildii?

Podczas gdy Dew przypominał sobie w głowie starożytne słowa, by upewnić się, że nic nie pokręci, odezwał się Jarmis.

— Może odpuścimy mu chociaż tę część tej szopki. To przecież nie jest żadne zaklęcie. Liczy się tylko krew.

— To prawda, jednak tradycja jest ważna. Wszyscy z nas musieli to powiedzieć i nie ma powodu, by to zmieniać.

Jarmis pokiwał tylko głową z politowaniem. Drażniły go puste formułki, dawne zwyczaje i temu podobne bzdury.

— Dam radę — Dew był już pewien, że się nie pomyli. — Mogę zaczynać.

— Świetnie. Weź do ręki nóż. Gdy wypowiesz słowa, przejedź nim po wnętrzu dłoni. Musisz napełnić miskę krwią mniej więcej do połowy wysokości. Potem przelejemy ją do fiolek.

Dryblas nie czekał dłużej.

— Ĝe siskur ġu úš tab Arad úš. Ni ġe ùru, ni ġe alri.³

— Zi Dingir Mitu Kanpa! — odpowiedział mu chór głosów.

Bez zmrużenia oka ani grymasu bólu rozciął dłoń. Gdy krwi uzbierało się już dość, Ted skinił głową na znak, że może miskę odsunąć. Jak na swój wiek, starzec zadziwiająco sprawnie przelał krew do fiolek i wraz z Liddo oraz Willem poszli umieścić ją w sejfie. Nim wrócili, Ryll zdążył opatrzyć ranę Dew.

— W porządku, panowie. — Ted zwrócił się do zabójców, którzy ponownie zasiedli przy ławie. — Zakończyliśmy część Zgromadzenia związaną z przyjęciem nowego członka. Czas przejść do stałych punktów naszych spotkań. Czy w pozostałych placówkach wydarzyło się coś istotnego?

Sarwat i Waldo, którzy przybyli odpowiednio z Rodawnzaru i Wartegall, pokiwali przecząco głowami.

— Czy jest coś, co powinniśmy omówić przed odczytaniem zleceń?

— Ja mam pytanie do Jarmisa — oznajmił Roni. — Ty też miałeś rekruta. Tak go zachwalałeś jeszcze niedawno. Jak mu tam było?

Jarmis obdarzył go chłodnym spojrzeniem. Nie miał ochoty z nim rozmawiać, Zgromadzenie rządziło się jednak swoimi prawami.

— Tuco Rabkin.

— I co się z nim stało?

— Nie nadawał się.

— Kolejny rekrut, który gryzie glebę. Czyli potwierdza się opinia, że nie znasz się na ludziach.

³ Ofiarowuję swą krew, by stać się Sługą Krwi. Ona mnie ochroni, ona mnie ukaże.

— Potrafię rozpoznać dupka, gdy z nim rozmawiam.
— Panowie, wystarczy tych uprzejmości. — Przerwał im Ted, nim zdążyły paść mocniejsze słowa. — Jeśli nie ma więcej spraw bieżących, zajmijmy się zleceniami. Czy ktoś poświęcił krew?

Jarmis i Waldo pokręcili przecząco głowami. Jedynie Sarwat sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej zakrwawiony skrawek materiału.

— Czyli tylko jedno zlecenie. No cóż, lepsze to niż nic. Kto chce je odczytać?
— Po co mamy się kaleczyć, skoro i tak Jarmis je zgarnie? — zapytał Roni.
— Słuszna uwaga — odparł Jarmis. — Po co miałbyś się kaleczyć, przecież to boli i jest krew, straszna sprawa. Lepiej zostaw to odważniejszym od siebie.

Silmer chichrał się pod nosem, starszyna z niezadowoleniem kiwała głowami, a pozostali czekali, co odpowie Roni, ale ten nie był w stanie dość szybko znaleźć odpowiedniej riposty i tylko czerwienił się ze złości.

— Chodź, młody — Jarmis skinął na Dew — odczytasz sobie pierwsze zlecenie.
— Ale, ale ja nie umiem czytać — przyznał lekko skołowany Dew.
— Nie szkodzi, nie o takie czytanie chodzi.
Jarmis wziął ze stołu szmatkę i wraz z Dew podeszli do wysokiego na cztery stopy stojaka zwieńczonego żelazną misą. Znajdował się w niej przygotowany wcześniej chrust. Starszy z zabójców podpalił go przy pomocy ściągniętego z pobliskiej ściany kaganka.
— Rób i mów to, co ja — poinstruował towarzysza Jarmis. — Tym razem słowa mają znaczenie.

Delikatnie naciął nożem mały palec i wycisnął w płomień kilka kropli.
— Znowu trzeba się ciąć? — zapytał Dew.
— Tak, taki rytuał, nic nie poradzisz. Wystarczy odrobina juchy.
Po tym, jak Dew poświęcił swoją krew w ogniu, Jarmis wrzucił do niego zakrwawiony materiał i wyinkantował:

— *Ati mé petá bábka. Peta bábkama lurúba anaku.*⁴
Dew powtórzył zaklęcie i obaj rozpoczęli wizję. Ich świadomość została odsunięta na bok. W jej miejsce pojawiło się wszystko to, o czym myślał zleceniodawca podczas wizyty przy ołtarzu krwi. Jarmis doświadczał objawień ponad setkę razy, zachowywał się więc spokojnie. Dew nigdy wcześniej nie przeżył niczego podobnego i stracił panowanie nad ciałem. Reszta zabójców wiedziała, że pierwszy raz jest trudny i kilku z nich uchroniło go przed runięciem na podłogę. Przytrzymali go do końca transu, który trwał około minuty. Po tym czasie debiutant zaczął dochodzić do siebie.

⁴ Strażniku Bramy, otwórz dla mnie swe wrota. Otwórz wrota, bym mógł w nie wkroczyć.

— Napij się i opowiadaj, co ujrzałeś — powiedział Monty, podając mu wino.

Dew pił łapczywie i masował czoło otwartą dłonią. Arad úš śmiali się z reakcji Nowego i wypominali sobie nawzajem, jak wyglądały ich pierwsze rytuały krwi. W końcu dryblas był gotowy zrelacjonować wizję.

— O kurwa! Nie spodziewałem się czegoś takiego. Normalnie jakbym wszedł w głowę tego faceta.

— Wiemy jak to jest. Mów, co widziałeś — rzucił nadal czerwony na twarzy Roni.

— Koleś nazywa się Lukas Einem, jest starszym wioski Girtab, położonej niedaleko Nimeraarot, przy Północnym Gościńcu. Mają problem z bandą grasantów dowodzoną przez gościa o ksywie Pięknousty. Facet ma zdeformowane wargi albo w ogóle ich nie ma, nie jestem pewien. Na początku tylko łupili tę wiochę i kupców przez nią przejeżdżających, ale teraz stali się brutalniejsi, doszło nawet do kilku gwałtów. Krótko mówiąc, mamy pozbyć się tych skurwysynów.

— Wiesz, dlaczego nie zgłosili się po pomoc do garnizonu w Nimeraarot? — spytał Liddo.

— Zgłosili się, ale ich olano. Wiocha co prawda podlega pod Nimeraarot, ale Pięknousty ze swoimi łupieżcami ukrywają się ponoć w lesie, który należy już do Północnej Prowincji. W związku z tym Północ i Wschód zwalają odpowiedzialność na siebie nawzajem i nic nie robią.

— I bardzo dobrze. — Stwierdził Silmer. — Dzięki temu wpadnie nam trochę złota do kieszeni.

— Łowcy nagród też nie zainteresowali się sprawą?

— Starszy wioski wyznaczył nagrodę, ale póki co, nikt się nie podjął zadania.

— Nie zdziwiłbym się, gdyby ten cały Pięknousty był dogadany z kimś wysoko postawionym — zabrał głos Trey. — Widocznie udział w zyskach Gildii Złodziei to dla władzy za mało.

— To możliwe — zatwierdził mu Monty. — Te skurwysyny tylko by nakładali na ludzi daniny, a w zamian nie dają nic, nawet ochrony.

Liddo zwrócił się do Jarmisa, który do tej pory tylko się przysłuchiwał.

— Czy Dew dobrze odczytał wizję? Nie zapomniał o czymś ważnym?

— Gdybyście go dopytali, na pewno by wam powiedział, że Pięknousty ma pod sobą około dziesięciu ludzi. Poza tym przekazał wam wszystko, co istotne.

— Dziesięciu ludzi to sporo. Nie jest to robota dla jednej osoby. Kto jest chętny podjęcia się tego zadania?

— Ja — uprzedził wszystkich Dew.

— Ha, cóż za entuzjazm — pochwalił go Silmer. — Poszedłbym z tobą, ale wiem, że Jarmis nie odda nikomu tego zlecenia. Gdyby nie te gwałty, to byłaby jakaś szansa, a tak to już mi szkoda tych łajdaków.

— Jeśli Ray się zgodzi, to wraz z Treyem zabiorę młodego na to zadanie — powiedział Jarmis. Dew, jako świeża upieczony członek Gildii, potrzebował zgody swojego mistrza.

— Jestem przekonany, że sobie poradzi. Może iść.

— Świetnie. Planuję wytropić i dorwać skurwieli w lesie, a nasz kotołak jest w tym najlepszy. Dwuręczny miecz Dew w starciu z tak licznym przeciwnikiem też będzie pomocny. — Jarmis miał wszystko zaplanowane już chwilę po zakończeniu rytuału. — Wyruszamy za trzy dni. Dobrze się złożyło z tym zadaniem, bo i tak mieliśmy z Treyem rozpocząć urlop w przyszłym tygodniu. Jedziemy na Milfgard, więc ta wiocha będzie nam po drodze.

— A zatem ustalone — stwierdził Ted. — Chyba, że ktoś wnosi sprzeciw?

Nie było żadnych sprzeciwów. Chociaż stanowili niebezpieczną zbieraninę, nikt nie miał ochoty uganiać się po lesie za kilkunastoma zbirami. Zbyt wiele niespodzianek mogło wydarzyć się podczas tej misji. Tylko Roni i Growar mruczeli pod nosem, że znowu Jarmis zgarnie chwałę i złoto.

Ostatni punkt programu Zgromadzenia został wypełniony. Na zakończenie ceremonii zabójcy jeszcze raz wezwali na świadka boga Ugae, wypowiadając słowa mrocznej przysięgi. Dochodziła północ, więc starszyzna i ci, którzy nie mieli ochoty na popijawę, udali się do swoich pokoi na spoczynek. Pozostali świętowali pozyskanie nowego członka do białego rana.

Rozdział czwarty – Brzydkie kaczątko

Pierwszy dzień czwartego obiegu Władcy. 94 dzień roku. Wartegall. Pałac królewski.

Wieczór.

Siedziała w swojej komnacie, czekając aż zjawi się Etoin. Choć jako jedyne dziecko króla była pierwsza w kolejce do tronu, co zazwyczaj gwarantowało popularność i wielu znajomych, nie miała innych przyjaciółek. Arystokracja ograniczała kontakty swoich córek z królewną do minimum, by ta nie sprowadziła ich na złą drogę. Królestwo plotkowało o rozwiązłości Rossy i jej ciągotach do używek, ale tak długo, jak nie było żadnych mocnych dowodów jej przewin, przyszła władcyni miała to gdzieś. Dworskie życie i polityka tylko ją nudziły. Chciała się bawić, szaleć, kolekcjonować silne doznania. Taka postawa była również jej sposobem na walkę z kompleksami spowodowanymi lekką nadwagą i problemami z cerą.

Chociaż zdawała się sobie tego nie uświadamiać, była samotna. Brakowało jej przede wszystkim wsparcia w rodzinie. Jej brat zginął dwanaście lat temu podczas wydarzenia znanego jako Upadek Shal. Wieść o śmierci jedynego syna zabiła jej matkę, a ojca popchnęła w stronę przesadnej pobożności. Czteroletnia wówczas Rossy nie rozumiała, dlaczego nagle wszyscy przestali poświęcać jej uwagę. Miała oczywiście służki i opiekunki, jednak żadna z nich nie obdarzyła jej miłością pozwalającą na wytworzenie poczucia własnej wartości.

Zaczęła przygotowywać się do wyjścia. Założyła gorset, by uwydnić piersi i ukryć niedoskonałości figury, oraz czerwoną, wulgarnie skrojoną suknię. Następnie nałożyła mocny makijaż, by przykryć trądzik, i wzięła się za układanie fryzury. W swoim wyglądzie lubiła tylko gęste, złociste włosy i duże, niebieskie oczy. Denerwowała ją natomiast wąskie usta i zadarty nosek. Niska samoocena kazała jej uważać, że wygląda jak świnka, choć tak naprawdę jej uroda nie odbiegała od przeciętnej. Gdyby trochę schudła i zwalczyła skórne problemy, mogłaby wręcz uchodzić za atrakcyjną.

W końcu pojawiła się Etoin. Wysoka, zgrabna brunetka, starsza od Rossy o trzy lata. Królewna zazdrościła jej urody, ale jednocześnie była nią zafascynowana. Tylko ona była gotowa szukać razem z nią przygód poza bezpiecznymi murami pałacu. Znajomość z Etoin miała też inne nieocenione zalety. Dziewczyna była córką Leo Jo'Keeffea, szefa Wywiadu Wewnętrzного. Król Lottar Scond, od lat pogrążony w żałobie po synu i żonie, spędzał większość czasu w zamkowej kaplicy. Zdolny i ambitny Leo zaskarbił sobie zaufanie władcy i w jego imieniu decydował o większości spraw dotyczących królestwa. Służba wywiadowcza, którą kierował, od zawsze cieszyła się ponurą renomą, toteż nikt nie miał odwagi otwarcie mówić o nieprzyzwoitym zachowaniu królewnej, gdyż tym samym obciążałby częścią winy Etoin. Władca nie zdawał więc sobie sprawy z poczynań córki.

Dziewczęta wyściiskały się na przywitanie, po czym niezwłocznie opuścili królewskie komnaty. Zanim wyszły z pałacu jedną z bocznych bram, narzuciły na siebie ciemne płaszczce i naciągnęły na głowy kaptury, by nie rzucać się w oczy.

Skierowały się w stronę najbliższego mostu. Szły, plotkując i popijając słodkie wino, które przyniosła ze sobą Etoin. Po dwóch kwadransach dotarły na Plac Najsłodszej Wody, gdzie na chwilę się rozdzieliły. Królewna została na dziedzińcu, natomiast Etoin poszła spotkać się ze swoim zaufanym sprzedawcą.

Czekając na przyjaciółkę, królewna obserwowała bezdomnych, kaleki i innych nędzników, których nie brakowało w tej części miasta. Lubiła to robić. Ich krzywda napawała ją wesołością. Czasami naigrywała się z nich, rzucając im coś, co przypominało monetę. W pierwszym momencie nieszczęsnicy dziękowali jej serdecznie, by po chwili przeżyć solidne rozczarowanie. Bywało też, że płaciła dwóm biedakom, by bili się do utraty przytomności przez jednego z nich. Tego wieczora ograniczyła się jednak do samego patrzenia.

Etoin wróciła po kilkunastu minutach, wyraźnie zadowolona, gdyż udało się jej zakupić działkę najnowszego hitu na narkotykowym rynku.

— Nazywa się elizium. Ponoć jest rewelacyjny i nie da się go do niczego porównać. Niektórzy twierdzą, że daje lepsze przeżycia niż seks.

— Ciężko mi w to uwierzyć — stwierdziła Rossa, próbując zaimponować przyjaciółce. — Jak się to zażywa?

- Normalnie. Wciaga nosem.
- No to syp. — Królewna wyciągnęła przed siebie dłoń.
- Nie tutaj, głupia! Chciałabyś przeżywać coś lepszego niż seks na tym obsranym placu?
- Może i racja. No to gdzie pójdziemy?
- Jest taki jeden, ciekawy lokal, niedaleko stąd.
- Prowadź zatem, królewska przewodniczko — powiedziała z uśmiechem podekscytowana Rossa.

Wspomniany lokal mieścił się w pobliżu rzecznego portu i nosił nazwę *Kojące fale Bawterlue*. Chociaż okolica nie należała do najspokojniejszych, tawerna nie była żadną speluną, a przy wejściu obowiązywała selekcja. Bramkarze rozpoznali, z kim mają do czynienia, i od razu wpuszczili je do środka. Knajpa była schludna i obszerna. Przebywali tu głównie oficerowie ze statków, których całe mnóstwo pływało po największej rzece Lotherbemm. Kelner zaprowadził dziewczęta do wolnej niszy, odgrodzonej od głównej sali zasłonami dającymi odrobinę prywatności. Po chwili doniósł im zamówione drinki oraz tytoń od Morleya.

Przyjaciółki oddawały się czerpaniu przyjemności z pospolitych używek, gdy nagle zza kotary wyłonił się młody mężczyzna. Szczupły, średniego wzrostu, o pociąglej, delikatnej twarzy i kruczoczarnych, kręconych włosach od razu wpadł w oko Rossa. Dystynkcje wskazujące rangę

kapitana dodatkowo przyspieszyły tępno królewny. Choć podpity, nadal panował nad językiem, a gawędziarz był z niego przedni. Etoin starała się zachować dystans, lecz spadkobierczyni tronu co rusz rechotała z jego opowieści. Od początku kierowała w jego stronę niedwuznaczne aluzje, więc marynarz poświęcił jej całość uwagi. W końcu zaczęły się całować i obściskiwać. Etoin poczuła się nieswojo i przez chwilę nie wiedziała, co ze sobą począć. Wtedy przypomniała sobie, po co tu przyszły.

— Może odkleisz się na chwilę od pana kapitana i spróbujemy w końcu elizium. Założę się, że jest lepsze niż najbardziej doświadczony wilk morski.

— Zazdrość przez ciebie przemawia, moja droga. — Królewna niechętnie odsunęła się od mężczyzny. — Ale niech ci będzie. Łączenie różnych przyjemności daje najlepsze doznania, a nasz kapitan się przecież nigdzie nie wybiera, prawda?

— Prawda. Słodka prawda niczym wody Zatoki Gryfów. — Żeglarz wyprostował się na kanapie i dolał wina do swojego pękatego kielicha.

Etoin usypała na stoliku dwie krótkie ścieżki czerwonego proszku.

— Gdzie się podziały twoje dobre maniery, kochana? Nie poczęstujesz naszego gościa? — zapytała z oburzeniem Rossy.

Przyjaciółka wzruszyła obojętnie ramionami i chciała już usypać trzecią ścieżkę, kiedy to wtrącił się kapitan.

— Zaiste miłe to i szczodre z waszej strony, złociutkie, będę jednak zmuszony odmówić. Jutro muszę dowodzić moją załogą, najprzebieglejszą bandą matrosów, jakich widziały wszystkie rzeki i morza Miliphen, która tylko czeka na moje potknienie, by zająć miejsce za sterem. Nie wiem, jaki wpływ będzie miał na mnie ten wasz wesoły proszek, więc podziękuję za tę propozycję, choć przyznam, że robię to z ciężkim sercem.

Rossy próbowała jeszcze nakłonić mężczyznę do zmiany decyzji, lecz ten pozostał nieprzejednany. W końcu dała za wygraną i zażyła narkotyk. Efekt okazał się natychmiastowy. Królewna poczuła się lekka jak piórko i wypełniło ją kojące ciepło. Opanowała ją nieopisana błogość i spokój. Całkowicie zapomniała o kompleksach, które prześladowały ją od kilku lat. Poczuła się czysta oraz dobra i, co najdziwniejsze, miała ochotę czynić добро. Nie знаła wcześniej takich uczuć ani potrzeb, toteż rozsiadła się wygodnie na kanapie, by spróbować je zrozumieć i cieszyć się nimi.

Etoin nie była tak odważna, jaką zgrywała, i bała się nieznanej substancji. Wolała odczekać aż Rossy przetestuje jej działanie na sobie. Jednocześnie nie chciała, by przyjaciółka uznała ją za cykora, dlatego udała, że wciąża proszek, zarazem zgarniąc go niepostrzeżenie ze stołu. Następnie wyciągnęła się w fotelu i zamknęła oczy, imitując zachowanie królewnej. Kapitana przez moment bawił odlot dziewcząt, pił więc wino i je obserwował. Z czasem zaczął się jednak nudzić i spróbował znów dobierać się do Rossy. Wzbranianie się od pieszczot przez

królewnej zbiło go chwilowo z tropu, wrócił zatem do kielicha. Alkohol pobudził tylko jego żądze i prędko ponownie wziął się za macanki. Dziewczyna nadal stawała opór, lecz przestało go to interesować. Wsadził jedną rękę między monarsze nogi, a drugą zasłonił królewskie usta. Od gwałtu czy czegokolwiek, co planował kapitan, królewnej uchronił krzyk Etoin, która na czas otworzyła oczy. Do wnęki, w której przebywali, wtargnął potężny ochroniarz i odciągnął kapitana za kołnierz munduru, a następnie błyskawicznie obezwładnił, wykręcając mu rękę za plecami.

— Co mam z nim zrobić, pani? — zwrócił się do Rossy.

— Jak to co, baranie? Puść mnie natychmiast. — Zamiast królewny odpowiedział mu kapitan. — Wiesz, kim jestem? Wiesz, kim Ja jestem? — Ze złością aż się zapowietrzył. — Jestem kapitanem i mam znajomości. Zniszczę cię, jak mnie zaraz nie puścisz.

Ochroniarz pozostał niewzruszony i odparł spokojnym, wręcz znudzonym głosem:

— Ty jesteś tylko kapitanem, a to jest dziedziczka tronu. — Pociągnął mężczyznę za wykręcaną rękę, zmuszając go do obrócenia się w stronę królewnej. Następnie skierował go ku Etoin. — Zaś jej towarzyszka to córka szefa Wywiadu Wewnętrznego. Jedno ich słowo, a będziesz wisiał.

Żeglarz pobladł ze strachu. Przez cały wieczór myślał, że ma do czynienia z córkami zamożnych handlarzy bądź też przedstawicielkami podupadłej arystokracji. Zawsze wygadany, pierwszy raz od wielu lat zapomniał języka w gębie.

— To nie będzie konieczne – ciszę przerwała Rossy. Mówiła spokojnie, a w jej głosie można było wyczuć zrozumienie i litość. — Kapitan się upił, ale na pewno nie chciał mnie skrywdzić. Poza tym nie zdradziłam mu swojej tożsamości i to przeze mnie doszło do tego nieporozumienia. Proszę, niech go pan puści i nie wspomina o tym zajściu nikomu. Nie chcę, by mój pan ojciec się o tym dowiedział.

Osiłek był zdziwiony jej słowami, słyszał bowiem o porywczym usposobieniu królewnej, niemniej zastosował się do prośby i puścił kapitana. Ten rzucił się na kolana i zaczął całować Rossy po stopach, dziękując za darowanie życia. Potem w ten sam sposób potraktował Etoin. W końcu podniósł się z klęczek i wybiegł z tawerny, zapominając zabrać czapki i kordelasa. Przyjaciółki posiedziały jeszcze godzinę, aż działanie narkotyku zelżało, po czym wróciły do pałacu.

Królewna nie pamiętała, kiedy ostatni raz wyspała się tak dobrze. Zazwyczaj jej sen był niespokojny, często budziła się w nocy, miewała też koszmary. Tym razem było inaczej. Śniło jej się, że Lotherbemm miało nowego władcę, a właściwie władcynię. Młoda królowa, łudząco podobna do niej, ale jakby piękniejsza, pozdrawiała wiwatujący tłum. Poddani ją pokochali, gdyż w królestwie zapanował długi czas dobrobytu. Założyła też rodzinę i wiodła spokojne, szczęśliwe życie.

O dziwo, po przebudzeniu nie czuła się rozczarowana, że był to tylko sen, lecz uznała go za wyznacznik celu, coś, do czego chciała od teraz dążyć. Błogość, którą wywoływał narkotyk zaraz po zażyciu, przeminęła, ale jej samopoczucie i tak okazało się lepsze niż na co dzień. Była pełna energii i chęci do życia.

Dziś znów była umówiona na wspólne wyjście z Etoin. Tym razem, jak co tydzień w Dzień Ujścia, miały udać się na plac przylegający do budynku stołecznego sądu, gdzie znajdował się pregierz. Obcinano tu ręce złodziejom, wieszano morderców i chłostano winnych mniej istotnych przestępstw. Przed laty, gdy funkcjonowała jeszcze Inkwizycja, widowisko było rozszerzone o torturowanie i tracenie na najprzemyślniejsze sposoby ludzi oskarżonych o posługiwanie się magią. Czasy Inkwizycji przeminęły, gdyż ta zakazała korzystania z usług Arad úš, z którymi kontakt był możliwy tylko przy użyciu magii krwi. W przeciągu dwóch lat od tej decyzji życie straciło kilkudziesięciu wysokich rangą hierarchów instytucji, w tym kolejnych pięciu Wielkich Inkwizytorów. W końcu zaczęło brakować ludzi chętnych do prowadzenia tej organizacji i czasy religijnego terroru dobiegły końca. Co prawda spora część społeczeństwa nadal była uprzedzona do osób parających się sztukami magicznymi czy nawet zielarstwem, przez co dochodziło czasem do samosądów, niemniej nie istniała już instytucja, która zajmowałaby się ściganiem takich ludzi oficjalnie.

Rossy lubiła przyglądać się karaniu przestępcołów. Dzięki swojemu wysokiemu urodzeniu miała możliwość obserwowania krwawych przedstawień z tarasu sądu, skąd widok był najlepszy. Choć wszystkie widowiska były do siebie podobne, królewna rzadko kiedy je opuszczała. Dziś jednak nie miała na nie ochoty i zastanawiała się, jak powiedzieć o tym Etoin.

Przyjaciółka jak zawsze przybyła punktualnie. Weszła do komnaty bez pukania i już miała się przywitać z Rossą, gdy nagle wybuchnęła śmiechem.

— Jak ty się ubrałaś? Wstępujesz do zakonu?

Rossy miała na sobie prostą, białą suknię bez dekoltu, z delikatną koronką na rękawach i wokół szyi. Daleko jej było do habitu, lecz w porównaniu z innymi ubraniami królewny faktycznie prezentowała się skromnie.

— Dawno nie nosiłam tej sukni. Poza tym nie muszę się zawsze ubierać jak kurtyzana.

— Będziesz musiała uważać, by jakiś złodziej nie trysnął na ciebie krwią z kikuta. Na tej czerwonej, którą miałaś wczoraj, nie byłoby nic widać, ale na tym prześcieradle, to co innego.

— Nie mam ochoty iść na pregierz. Może porobimy coś innego? — zaproponowała Rossy.

— Czy ty się dobrze czujesz? — Etoin nie poznawała przyjaciółki. — Brałaś dzisiaj elizium?

— Nie.

— Pytam, bo to, jak wczoraj potraktowałaś kapitana, wprawiło mnie w osłupienie. Nie rozumiem, dlaczego nie kazałaś go chociaż trochę obić. A teraz nie chcesz iść na przegierz? — Etoin pokiwała głową z troską. — Ten narkotyk ma na ciebie dziwny wpływ.

— To nie przez elizum, lecz przez sen, jaki miałam dziś w nocy. Śniła mi się moja koronacja. Ludzie wiwatowali na moją cześć: *Biała Pani, Biała Pani*. W tym śnie byłam szczęśliwa jak nigdy. Pomyślałam więc, że może powinnam się zmienić, bo inaczej pospółstwo nigdy mnie nie pokocha i mój sen się nie ziści.

— Naprawdę zaczynam się o ciebie martwić. — Etoin zmarszczyła brwi. Jak dziwnej miny by nie przybrała, zawsze wyglądała pięknie, co zazwyczaj irytowało zazdrosną Rossy, jednak dzisiaj królewna była wolna od negatywnych emocji.

— Nie martw się. Czuję się lepiej niż kiedykolwiek. Ten sen był wspaniały, taki realistyczny.

— Realistyczny czy nie, był to tylko sen. Poza tym, żebyś została królową, twój tatuś musi najpierw kopnąć w kalendarz. Chyba nie życzysz staremu śmierci?

— Oczywiście, że nie. — Rossy posmutniała. — Nie pomyślałam o tym.

— Najlepiej się stanie, jeśli zapomnisz o tym śnie. Nie będziemy już brały elizum. Są inne, dobre prochy, które nie mączą tak w głowie. A teraz chodź, bo się spóźnimy na przegierz.

Zbita z tropu królewna nie oponowała dłużej.

Bogato zdobiona kareta, w której dziewczęta opuściły pałac, miała mało oryginalny kształt gryfa. Według legendy to rzadkie stworzenie uratowało trzecią falę uciekinierów z Thenorafrein, późniejszych założycieli Lotherbemm. Płynęli oni statkami na zachód w poszukiwaniu lądu bardziej nadającego się do zamieszkania. Na Thenorafrein albowiem znajdował się gigantycznych rozmiarów wulkan, którego rzadkie, lecz regularne eksplozje, za każdym razem pozbawiały życia setek tysięcy ludzi. Podróż przez ocean trwała ponad trzy miesiące i w końcu wyczerpały się zapasy wody pitnej. Wszyscy pogodzili się już z nieuchronnością śmierci, niektórzy nawet sami odbierali sobie życie, nie chcąc umierać z pragnienia. Wtem pojawiły się gryfy.

Wylądowały na wodzie, blisko statków, i na oczach ludzi zaczęły pić morską wodę. Ci, choć przestraszeni groźnym wyglądem nieznanych im zwierząt, poszli ich śladem i ku własnemu zdziwieniu stwierdzili, że woda jest słodka. Nie wiedzieli, jak to możliwe, ale nie miało to wówczas znaczenia. Pożeglowali dalej na zachód i po kilku godzinach dostrzegli upragniony ląd. Potem okazało się, że akwen, na którym po raz pierwszy ujrzały gryfy, jest zatoką, do której uchodzą trzy olbrzymie rzeki. Ich przepływ jest na tyle duży, że górną warstwą wód zatoki nadaje się do picia wiele kilometrów od ich ujścia, nawet tam, gdzie nie widać już brzegu. Na pamiątkę tych wydarzeń nowe państwo założone przez uciekinierów z Thenorafrein obrało za swoje godło

gryfa na białym tle, unoszącego się nad trzema niebieskimi, pofalowanymi liniami symbolizującymi wspomniane rzeki. Dlatego też taki, a nie inny, był wygląd karocy.

Tym razem, w przeciwnieństwie do ich nocnych eskad, królewnie i jej przyjaciółce towarzyszyło dziewięciu członków królewskiej straży. Ich liczba również nie była przypadkowa. Gryfów, które uratowały ludzi na statkach, było trzy i tyle samo rzek uchodziło do Zatoki Świętych Rzek. Stąd wzięło się przekonanie, że trójka jest liczbą szczęśliwą. Jednak trzech strażników mogłoby nie podać zadaniu ochrony Rossy, więc było ich dziewięciu. Wszelkie wielokrotności trójki również uważały się za liczby przynoszące szczęście.

Królewscy gwardziści nosili pełne zbroje płytowe, a na wierzch narzucali tuniki w biało-niebieskie pasy. W razie potrzeby walczyli długimi mieczami i blokowali ciosy tarczami migdałowymi, na których oczywiście widniał gryf. Dosiadali olbrzymich ogierów, z których każdy miał co najmniej siedem stóp wysokości w kłębie i ważył ponad tonę. Nie były to najszybsze konie, ale nadawały się idealnie do rozganiania motłochu.

Tego dnia nie napotkali po drodze na żaden tłum. Nawet przed budynkiem sądu zebrało się wyjątkowo mało gapiów. Było to spowodowane faktem, iż nie miała się dziś odbyć żadna egzekucja. Zaplanowano jedynie kilka biczowań i jedną amputację. Rossy i Etoin zajęły swoje stałe miejsca na tarasie. Jak co tydzień czekały na nie świeże owoce oraz rozmaite ciasteczka, a do picia wino i lemoniada.

Wymierzanie sprawiedliwości przebiegało według ustalonego porządku. Herold wywoływał na środek skazanych, czekających na swoją kolej w więzniarce pilnowanej przez miejską straż. Następnie odczytywał ich przewiny oraz karę, którą im zasądzono. W pierwszej kolejności wzywano tych, którzy mieli zostać poddani biczowaniu. Zazwyczaj czerpiąca radość z widowiska Rossy, dziś czuła się nieswojo. Nie tknęła ani jednego ciasteczka, choć nigdy nie potrafiła się im oprzeć. Bała się, że gdy dojdzie do bardziej brutalnych scen, nie będzie w stanie zatrzymać ich w żołędziu. Dziwiła się reakcji własnego organizmu, nie mogła jednak nic na nią zaradzić. Etoin również dostrzegła nietypowe zachowanie przyjaciółki, ale powstrzymywała się od komentarzy.

W końcu przyszła pora na ostatni punkt programu. Ubrany w czerwoną tunikę oraz fantazyjną czapkę w tym samym kolorze herold wyczytał nazwisko skazanego:

— Zajdan Kimerys. — Na miejsce kańi przyczłapał kulejący, ubrany w łachmany mężczyzn. Był mizernej postury i pomimo młodego wieku miał już sporą lysinę. — Skazany dopuścił się oszustwa polegającego na przyjęciu pieniędzy w zamian za towar, którego nigdy nie dostarczył. Karą za jego zbrodnie będzie ucięcie wybranej przez skazanego ręki.

W tym momencie herold odwrócił się w stronę nieszczęśnika.

— Która rękę skazany zdecydował się poświęcić?

— Lewą — odparł łamiącym się głosem mężczyzną.

Formalnościom stało się zadość i kat zaciągnął Zajdana Kimerysa do specjalnie przygotowanych dyb. Więzień wkładał w nie głowę i jedną rękę, podczas gdy drugą mógł mieć swobodnie wyciągniętą przed siebie. Była ona następnie przytwierdzana do wysokiego na trzy stopy pniaka. Nieopodal, przy rozgrzanym palenisku, czekał medyk. Miał on przypalić i opatrzyć ranę po amputacji. Nie wydano przecież wyroku śmierci i nie można było dopuścić do tego, by skazany się wykrwawił.

Rossy zrobiło się gorąco. Nie była pewna, co się z nią dzieje, wszakże do wczoraj uczucia, takie jak empatia czy litość, były jej obce. Wiedziała natomiast, że musi zrobić wszystko, by zapobiec wykonaniu okrutnego wyroku. Zwróciła się więc do siedzącego nieopodal sędziego Alfronda Jacleitusa, który nadzorował przebieg procesu wymierzenia sprawiedliwości.

— W imieniu króla nakazuję przerwać to bestialstwo!

— Słucham? — Sędzia wybałuszył oczy ze zdziwienia. W całej swojej wieloletniej karierze nie spotkał się z podobną sytuacją.

— Król ma prawo ułaskawić każdego, jeśli uzna to za słuszne. Proszę więc uwolnić tego człowieka.

Monarcha, będący jednocześnie zarządcą stolicy, faktycznie dysponował prawem łaski wobec osób skazanych przez sąd w Wartegall.

— Ale przecież króla nie ma tu z nami? — Sędzia rozejrzał się wokół siebie, dalej nie wiedząc, co się dzieje.

— Owszem, nie pojawił się, gdyż nie czuje się ostatnio najlepiej. Jednak rozmawiał ze mną dziś rano i rozkazał mi dopilnować, by darowano karę temu mężczyźnie. — Królewna blefowała, gdyż nie widziała się z ojcem od kilku dni. Była gotowa ponieść ewentualne konsekwencje kłamstwa, jeśli miało ono pomóc w uratowaniu dłoni oszusta. — Proszę się spieszyc, bo zaraz będzie za późno, a wtedy to pan stanie przed sądem, i to królewskim.

Chociaż łygała w żywe oczy, Alfrond Jacleitus nie odważył się jej dłużej sprzeciwiać. Wykrzycał nowe rozkazy w momencie, gdy kat już szkował się do amputacji. Chwilę później nie wierzący w swe szczęście skazany był wolny i na wszelki wypadek prędko opuścił plac, w razie gdyby jego wyrok znów miał ulec zmianie. Ludzka zbieranina na placu pomrukowała z niezadowolenia, lecz szybko rozeszła się, by powrócić do swoich zajęć.

Ukontentowana, choć odczuwająca lęk spowodowany własnym kłamstwem, Rossy ukloniła się sędziemu i w eskorcie straży opuściła gmach sądu. Etoin, która całej scenie przyglądała się w milczeniu, podążyła za nią.

Pałacowa kaplica miała sześćdziesiąt sześć stóp szerokości i dziewięćdziesiąt dziewięć długości. Wchodziło się do niej od boku, gdyż w miejscu, gdzie spodziewać się można wejścia, to znaczy naprzeciw ołtarza, mieściła się sadzawka. Szerokimi na łokieć kamiennymi rynnami

spływały do niej trzy strumyki ciągnące się przez całą długość świątyni. Symbolizowały one święte rzeki Lothrbemm: zaczynającą swój bieg daleko na północy Taluvis, niosącą najwięcej wody Bawterlue i Vergonril, do której źródła nie udało się jeszcze nikomu dotrzeć. Za ołtarzem wznosił się wysoki na trzydzieści stóp posąg mężczyzny w średnim wieku. Skierowany twarzą ku zachodowi, w prawej dłoni trzymał miecz, a w lewej jabłko. Tak właśnie wyobrażano sobie Sprawiedliwego, jedynego boga Trójkrólestwa, który za dobro wynagradzał, a za зло karał. Według wierzeń na Thenorafrein panował inny bóg, zwany Okrutnym, który ograniczał się jedynie do karania. Istniała też pewna grupa ludzi przekonana, że daleko na zachodzie musi leżeć nieodkryty dotąd ląd, nad którym władzę będzie sprawował Miłosierny. W krainie tej nie będzie smutku i cierpienia, a wierni będą spędzać czas na nieustannych ucztach i zabawach.

Rossy założyła, że ojciec przebywa w kaplicy. Nie myliła się. Król Lottar Scond klęczał przed ołtarzem z zamkniętymi oczami. Jego złota, wysadzana brylantami i rubinami korona leżała obok. Królewna nie pamiętała, kiedy po raz ostatni była w tym miejscu. Dawno temu przestała się modlić, uważając, że to głupie. Nie była nawet pewna, czy w ogóle wierzy w Sprawiedliwego. Czuła się nieswojo. Olbrzymi posąg zdawał się patrzeć na nią surowym wzrokiem. Musiała jednak porozmawiać z ojcem o tym, czego dopuściła się wcześniej tego dnia.

— Witaj, ojcze — przywitała się nieśmiało.

— Witaj, dziecko. Przyszła się pomodlić? — Król nie otworzył nawet oczu.

— Nie, ojcze. Przyszłam, bo muszę z tobą porozmawiać. Dzisiaj na pregierzu, ja... —

Przerwała, by zebrać w sobie odwagę na wyznanie prawdy ojcu, lecz ten nie dał jej dokończyć.

— Wiem, co zrobiłaś. Doniesiono mi o wszystkim.

Lottar Scond powstał z klęczek i odwrócił się w kierunku córki. Pomimo upływu lat zachował czerstwą sylwetkę, a jego oblicze nie straciło na szlachetności. Jedynie, gdy przeglądał się w zwierciadle, siwe włosy przypominały mu, że zbliża się do sześćdziesiątki.

Rossy była zaskoczona. Co prawda nie mogła spotkać się z nim bezpośrednio po powrocie do pałacu, gdyż trwała królewska narada, ale była pewna, że król nie dowie się o całym zajściu tak szybko. Poza tym, kto miałby go o nim poinformować? Oprócz sędziego i jej straży nikt nie przychodził jej do głowy.

— Nie bój się, nie ukarzę cię. Chociaż uważam twój postępek za bezmyślny, to muszę przyznać, że w pewnym sensie postąpiłaś szlachetnie. Wstawiłaś się za tym biedakiem, a następnie przyszła do mnie, bym cię osądził. Kto wie, może to Sprawiedliwy kierował tobą w tamtej chwili. — Monarcha się zadumał. — Jednak z drugiej strony to dziwne, by Pan miał wysługiwać się kimś, kto unika modlitwy. Intencje Najwyższego wciąż pozostają dla mnie nieodgadnione.

Królewna poczuła ulgę. Bała się tej rozmowy, gdyż ostatnio nie miała z ojcem prawie żadnego kontaktu i nie wiedziała, jak zareaguje. Czy było to spowodowane ukrytą głęboko

potrzebą rodzicielskiej miłości, czy też zażyciem elizum, wypowiedziała słowa, których nie używała, odkąd przestała być dzieckiem:

— Kocham cię, tato. Powinniśmy spędzić ze sobą więcej czasu.

— Ja też cię kocham, dziecko. Codziennie modlę się w twojej intencji. Jeśli będziesz miała ochotę spędzić ze mną trochę czasu, zawsze możesz przyjść tutaj, pomodlić się razem.

Rossy liczyła, że ojciec ją przytuli, ten jednak wrócił pod ołtarz i padł na klęczki. Nim ponownie oddał się modlitwie, rzucił tylko:

— Idź już spać, Rossy, na pewno jesteś bardzo zmęczona.

Spędzający większość czasu w świątyni władca miewał problemy z okrešeniem pory dnia. Tak było i tym razem, gdyż polecił córce pójście do łóżka, mimo iż dopiero zaczynał się wieczór.

Królewna patrzyła na jego pobožną sylwetkę jeszcze przez kilka uderzeń serca, po czym opuściła kaplicę.

Rozdział piąty – Piękna i Bestia

Drugi dzień czwartego obiegu Władcy. 95 dzień roku. Siedziba Arad úš. Ranek.

Trzej zabójcy skończyli śniadanie i zajęli się sprawdzaniem ekwipunku, który mieli ze sobą zabrać na zlecenie. Jarmis, choć czasami zdarzało mu się działać chaotycznie, to gdy pracował w grupie, starał się zawsze dmuchać na zimne. Większość drogi i tak mieli pokonać konno, więc dodatkowy bagaż nie stanowił problemu. Przygotowali masę suchego prowiantu, dziewięć bukłaków – dla każdego po dwa na wodę i jeden z winem – koce, liny, bandaże, narzędzia chirurgiczne oraz inne przedmioty, które mogły się przydać podczas wyprawy. W sumie dziesięć kamieni wyposażenia, a do tego musiała dojść jeszcze broń.

— A wy co, wyprowadzacie się na stałe? — skocowany Silmer, który dopiero się obudził, zszedł na dół, by się czegoś napić.

— Tak, młody mówi, że dłużej nie wytrzyma twojego chrapania — odparł Trey.

— Ha ha ha, bardzo śmieszne. Śpi trzy pokoje dalej, nie może nic słyszeć.

— Ja śpię na drugim końcu korytarza i słyszę.

— Ty jesteś zwierzoludzem i usłyszałbyś nawet pierdnięcie komara. To już nie mój problem.

Jarmis wrócił ze swojego pokoju obładowany żelastwem. Z głośnym brzękiem zrzucił wszystko na ławę.

— A ty po akcji nie miałeś jechać na wakacje do burdelu? Bo wygląda, jakbyś chciał otworzyć sklep z bronią. — Tym razem Silmer zaczepił Jarmisa.

— Weź ty się napij, bo rzucasz same czerstwe dowcipy, a my mamy już dość suchego prowiantu.

— Wszyscy mnie krytykują, a ja po prostu chciałem wykazać zainteresowanie. Co mogę poradzić, że na trzeźwo jestem nudnym, smutnym dziadem. Dopiero po pijaku staję się duszą towarzystwa.

— Dlatego też mówię, żebyś się napił. Świeżak, chodź tu. — Jarmis zwołał Dew. — I przynieś swoje zabawki.

Dew, który właśnie skończył pakowanie wspólnego ekwipunku do trzech sporawnych plecaków, zszedł i podał mu swój dwureczny miecz oraz sztylet, który wybrał sobie ze zbrojowni Gildii. Jarmis zważył obie sztuki broni w dłoniach.

— Miecz jest porządnny, rzadko się takie widuje. Skąd go masz?

— Zdobyczny, wykonany w Dobrej Stali. Musiałem zmienić głowicę rękojeści, bo była dedykowana.

— Bardzo słusznie.

Wywinął mieczem młynka i zamarkował cios, po czym jeszcze raz kiwnął głową z uznaniem dla ostrza i oddał je właścicielowi. Następnie zbadał dokładniej drugą z broni. Po krótkiej inspekcji rzekł:

- Sztylet dostaniesz lepszy.
- Will zapewniał mnie, że ten jest najlepszy z całej zbrojowni.
- Mój drogi. — Silmer ubiegał niewysokiego zabójcę z odpowiedzią. — Jarmis bawi się w dobrego wujka i chce ci sprezentować coś ze swojej prywatnej kolekcji. A co do broni od Willa, to wiesz, chłop ma talent, ale brakuje mu surowców. Gdy musi coś naprawić, przetapia jakieś stare graty, by pozyskać z nich stal. Rozumiesz więc, że taka broń nie jest najtrwalsza.
- No proszę, czasami nawet na trzeźwo potrafisz powiedzieć coś sensownego. — Jarmis nachylił się nad ławą i ze sterty oręża wyciągnął sztylet o ostrzu długości półtorej stopy i finezyjnej, srebrnej rękojeści. — Will twierdzi, że zgodnie z fachowym nazewnictwem jest to puginał, a nie sztylet. Ja się aż tak dobrze nie znam, wiem jedynie, że zwędziłem go z zamku w Ostatnim Porcie przy okazji wymiany jego włodarza.

Jarmis wręczył broń nowemu koledze.

- Dzięki. Nie wiem, co mam powiedzieć. Naprawdę dzięki.
- Nie ma problemu. U mnie w szafie tylko się marnował.
- Będziecie się teraz całować czy co? — przerwał im Trey, który już od dłuższego czasu był gotowy do wyjścia. — Pora wychodzić, kawał drogi przed nami.
- Nie gorączkuj się tak, kocia mordo. Jeszcze tylko przystroję się w moje świecidełka i ruszamy.

Jarmis nachylił się nad stertą własnego wyposażenia. Chwycił za pochwę z mieczem i przymocował ją do pasa, nad lewym biodrem. Sztylet, również w pochwie, zawisł po prawej stronie. Następnie zajął się rozmieszczeniem noży do rzucania. Po jednym trafiło do podeszwy każdego buta, dwa za pas na brzuchu, a dwa za plecami. Na przedramiona założył toporne karwasze i pod nie również schował po jednym nożu. Podniósł ze stołu swój łuk. Był to oręz unikatowy, wykonany ze specjalnej, sprężystej stali i na dodatek składany. Jarmis ściągnął grubą cięciwę i po odkręceniu dwóch solidnych śrub złożył go na pół. Podszedł do swojego plecaka. Z jednej strony przytroczył łuk, a z drugiej kołczan ze strzałami, które również były stalowe.

Na wierzch narzucił płaszcz, także nietypowy. Od wewnętrznej strony miał mnóstwo kieszeni z ampułkami, fiolkami i woreczkami, w których zabójca trzymał trucizny, leki i inne substancje o rozmaitym zastosowaniu. Oprócz tego można było w nim znaleźć fajkę i tytoń, pilnik do pazurów, igłę i nić do szycia, wytrychy, kilka jardów cienkiego sznurka oraz inne przedmioty mogące się przydać w najmniej oczekiwany momencie.

Szykowanie się Jarmisa do wyjścia nie trwało więc krótko i jego kompani, którzy zdążyli już założyć ciężkie plecaki, przebierali nogami. Poza Silmerem jedynie Ray przyszedł pożegnać trójkę zabójców.

— Uważaj na nich — zwrócił się do Jarmisa. — Pamiętaj, że ustępują ci fizycznie, więc nie szarżuj.

— Nie zawstydzaj chłopaków, bo zamkną się w sobie — odparł rozbawiony Jarmis. — Poza tym, nie masz się o co martwić, to będzie zwykłe polowanie, trochę zabijania. Łatwy pieniądz.

— Szkoda, że nie mamy więcej zleceń — wtrącił Silmer. — Reszcie chłopaków też przydałoby się trochę adrenaliny. Ostatnio zaczynamy bardziej przypominać jakiś zakon niż gildię zabójców.

— Še-ga — zgodził się Jarmis.

Wymieniono pożegnalne uściski dłoni i trójka Arad úš ruszyła w kierunku północnego brzegu Wyspy. Dotarli do pomostu, gdzie każdy wsiadł do osobnej łódki. Odpływając, spłoszyli stado kaczek skrywających się w przybrzeżnych zaroślach.

Pokonali jezioro, płynąc blisko siebie i dowcipkując. Humory nieznacznie im się pogorszyły, gdy znów założyli ciężkie plecaki i zaczęli przedzierać się przez las. Po drodze zrobili sobie jedną dłuższą przerwę na zjedzenie drugiego śniadania. Po sześciu godzinach od opuszczenia kryjówki wydostali się z lasu i znaleźli na Północnym Gościńcu.

— Mam nadzieję, że zapamiętałeś drogę. Wracać będziesz sam, bo po wykonaniu zadania ja i Trey jedziemy na Milfgard — Jarmis zwrócił się do Dew.

— Mogłeś mi to przypomnieć jak wyleźliśmy z łódek. Ale bez obaw, dam sobie radę.

— Świeście. Całe szczęście teraz będziemy poruszać się już tylko porządnymi drogami. Do wieczora powinniśmy dojść do Welfare.

Podczas gdy Jarmis i Dew gadali o niczym, Trey odwiązał przytroczoną do plecaka długą, czarną szatę z kapturem i założył ją na wierzch. Wyglądał w niej niczym pokutnik, nie miał jednak wyjścia. Podczas ratującej mu życie metamorfozy w kotołaka nabył zbyt wiele zwierzęcych cech. Najbardziej w oczy rzucały się usta i nos przypominające koci pysk, spiczaste, ruchliwe, kocie uszy oraz długi na cztery stopy ogon. Trey obcinął go kilka razy, nim w końcu dał sobie spokój. Podobnie jak kły i pazury Jarmisa, ogon zawsze odrastał. Taka była cena igrania z magią krwi. Uzębienie i paznokcie Treya również nie były normalne i przejawiały zarówno kocie, jak i ludzkie cechy. Całe ciało kotołaka porastała sierść, która na szczęście miała jasny kolor i z daleka jego twarz mogła wydawać się w miarę normalna. Zachował też ludzkie włosy, które miał brązowe i wyjątkowo gęste. Czasami po pijaku rozpuszczał je, formując grzywę, i ryczał, udając lwa. Wyglądał wtedy raczej komicznie niż groźnie i wszyscy mieli niezły ubaw.

Dew swój pięciostopowej długości miecz nosił na plecach. Gdy wyszli na trakt, poprawił włosy, by dokładnie zakrywały rękęjeść oręża. Co prawda noszenie broni było zakazane tylko w miastach, lecz zabójcy nie chcieli się z nią obnosić, by nie wzbudzać niepotrzebnego zainteresowania. Miecz Jarmisa i Treya były dużo krótsze i bez problemu mieściły się pod płaszczami. Jedynie kołczan ze stalowymi strzałami musiał zostać owinięty kawałem szmaty, by nie rzucał się w oczy.

Gdy dotarli do zachodnich przedmieścia Welfare, zaczynało się już ściemniać. Zatrzymali się pół mili od stajni, z której planowali wypożyczyć wierzchowce. Opuściwszy gościniec, Jarmis zaczął się rozbierać. Pozbył się płaszcza oraz usztywnionego kaftana i został w samej koszuli. Z jednej z licznych kieszeni wierzchniego okrycia wyciągnął średniej wielkości słoiczek i zaczął nacierać się znajdującą w nim mazią.

- Co ty robisz? — zapytał zdziwiony Dew.
- Przygotowuję się do jazdy konnej, nie widać?
- Bardziej wygląda, jakbyś szykował się na randkę z koniem.

Trey wybuchnął śmiechem.

— To ci się udało młody, muszę przyznać. A ty Sierściuchu się tak nie śmiej, bo dostaniesz kociej mordy. A nie, czekaj, już chyba za późno. — Jarmis skończył rozprowadzać specyfik i ubrał się ponownie. — Konie nie lubią zapachu Bestii, dostają sału, gdy znajdują się w pobliżu. Ta breja sprawia, że stajesz się kompletnie bezwonny. Maskuje każdy, nawet najintensywniejszy zapach — wytłumaczył.

— Mocna rzecz, nie powiem. Przydałaby się Silmerowi, aby nie przypominał chodzącej gorzelni — stwierdził Dew i zwrócił się do Treya. — A ty nie musisz tego używać?

— Mnie koniki lubią. Tylko wyglądam głupio, ale to im nie przeszkadza. Zapach mam w porządku.

— Dobra, młody, masz tu kasę i sprowadź nam po koniu. — Jarmis rzucił mu sakiewkę z pieniędzmi. — Nie muszą być to żadne czempiony, wystarczą zwykłe chabety. Nigdzie nam się nie spieszy, więc po co przepłacać.

Dew zostawił plecak oraz miecz i ruszył wykonać polecenie.

Stajnie umożliwiające wypożyczenie wierzchowca znajdowały się w każdym mieście oraz w wielu wioskach leżących przy głównych drogach Trójkrólestwa. Były finansowane przez Koronę, gdyż używali ich głównie królewscy gońcy. Gęsta siatka punktów, w których można było zmienić konia, pozwalała na szybkie przesyłanie ważnych informacji i rozkazów. Poza górcami mało kto z nich korzystał. Większość społeczeństwa była zbyt uboga oraz nie za bardzo miała po co podróżować po kraju. Arystokracja zaś zazwyczaj posiadała własne konie, nie musiała więc ich wypożyczać. Wyjątkiem były sytuacje, gdy jakiemuś szlachcicowi bardzo się spieszyło. Średnio zamożnych, którzy potrzebowaliby takiej usługi, było niewielu.

Dew wszedł do niewielkiej przybudówki do stajni, w której urzędował jej zarządcą. Mały, łysy mężczyzna z wąsem ucieszył się niezmiernie na widok potencjalnego klienta. Każde zwierze udostępnione komuś innemu niż gońcowi było dla niego czystym zyskiem.

- Witam wielmożnego pana. W czym mogę pomóc?
- Trzy konie potrzebuję. Nie muszą być szybkie, ważne, by były wytrzymałe.
- Oczywiście. Przejedźmy do stajni, to wspólnie coś wybierzemy.

Korzystając z wewnętrznego przejścia, znaleźli się w części zajmowanej przez boksy ze zwierzętami. Zarządcą szedł i zachwalał każdego mijanego wierzchowca. Dew w końcu stracił cierpliwość.

— Słuchaj pan. Daj mi pan trzy takie konie, żeby każdy mógł udźwignąć mnie i jeszcze pięć kamieni bagażu oraz tyle owsa, by nie zdechł z głodu po drodze do następnej wiochy.

Mężczyzna skurczył się jeszcze bardziej. Pojął, że ma się streszczać i przeszedł do konkretów.

- Oczywiście. Już się robi. Muszę jeszcze tylko wiedzieć, jak daleko się pan wybiera.
- Do Girtab. Jest tam królewska stajnia? Czy trzeba jechać aż do Nimeraarot?
- Jest stajnia, jest. To będzie około trzysta pięćdziesiąt mil, dziesięć dni jazdy bez zmiany koni. Już szukam czegoś odpowiedniego.

Zarządcą przeszedł się wzdułż boksów, obudził śpiących chłopców stajennych i wydał im polecenia. Ci szybko osiodłali trzy wskazane przez mężczyznę zwierzęta i przytroczyli im juki na bagaż oraz paszę. Po chwili mały człowiek wrócił do Dew.

— Trzy konie na dziesięć dni. Dwa srebrniaki na dzień za konia, jak nic wychodzi sześćdziesiąt koron. Ale jak dla pana, niech będzie pięćdziesiąt.

— Za te chabety? Nie jestem w ogóle pewien, czy mnie uniosą. Pewnie sam będę musiał je prowadzić za uzdę. Czterdzieści, nie więcej.

- Niech będzie moja strata, czterdzieści.

Zarządcą zgodził się zbyt szybko i Dew zrozumiał, że przepłacił. Do niedawna wszędzie jeździł na własnym koniu bądź przemieszczał się na piechotę, dlatego nie wiedział, jakie są koszty wynajmu. Zarządcą zniknął z pieniędzmi w swoim biurze, by po chwili wrócić z kwitem wypisany na pergaminie.

— Odda to pan stajennemu w Girtab. — Wręczył mu dokument. — To wszystko. Życzę udanej wyprawy.

Dew dosiadł konia, który wydał mu się najmocniejszy, a postronki do prowadzenia pozostałych dwóch przywiązał do siodła. Gdy ruszył, zarządcą zdążył jeszcze krzyknąć za nim:

— Niech pan uważa na siebie. Gdyby napadli pana bandyci, proszę im powiedzieć, że te konie należą do królewskich stajni. To powinno zapobiec ich rabunkowi.

Dew tylko machnął na niego ręką gestem przypominającym przeganianie muchy. Wrócił do towarzyszy i wspólnie rozmieściли bagaż do juków.

Trey z oczywistych względów dosiadł najdrobniejszego z koni.

Jarmis zauważył, że Dew wybrał dla siebie największego wierzchowca, mimo iż ważył kilka kamieni mniej. Pozostawił to bez komentarza. Podszedł do swojej szkapy powoli, gdyż nie ufał zwierzętom. Przyczajona głęboko w nim Bestia wszystkie stworzenia nie będące innymi Behemotami, w tym ludzi, postrzegała jako pożywienie. Dodatkowo nie był pewien, czy maść całkowicie usunęła zapach monstrum. Jego obawy okazały się nieuzasadnione. Gniada klacz zachowywała się spokojnie. Wskoczył na nią ze sprawnością, która zaskoczyła Dew.

- Nie spodziewałem się po tobie podobnej zwinności.
- A czego się spodziewałeś?
- Bez urazy, ale wyglądasz jak mały niedźwiedź.
- I to z nadwagą — wtrącił Trey.

Jarmis poklepał się po wydatnym brzuchu.

— Faktycznie, nie jestem w życiowej formie, ale jak to mówią *Dobry koń pod dachem stoi*. Poza tym wciąż jestem w jednej trzeciej bestią. Nigdy nie mierz zwierzoludzi ludzką miarą, bo kiedyś źle na tym wyjdzieś.

— Może kiedyś dacie mi większy pokaz swoich umiejętności? — zapytał Dew. — Ciekawi mnie, co potrafiście. Nigdy wcześniej nie miałem do czynienia z przemienionymi.

— Nie zamierzam się popisywać, ale pewnie i tak w trakcie misji zobacysz to i owo — odpowiedział Jarmis. — Póki co powiem ci tylko tyle, że w wyścigu na dwadzieścia mili żadna z tych szkap nie miałaby szans z naszym kotołakiem.

Choć był to fakt, Trey odebrał go jako komplement i postanowił się zrewanżować.

— Z kolei Jarmis jest królem długich dystansów i gdyby odbywał tę podróż samotnie, to nie wynajmowałby żadnego konia. Pomimo kilku zbędnych kilogramów i tak przedzej poruszałby się na piechotę. Najwyżej zabrąałby trochę mniej bagażu.

- Nieźle — stwierdził Dew. — Imponujące zdolności. To co, polecamie mi metamorfozę?
- Nie! — odpowiedzieli chórem.

Dwunasty dzień czwartego obiegu Władcy. 105 dzień roku.

Podróżowali nocą, z rana oraz wieczorem. Gościniec był wtedy prawie nieuczęszczany i Trey nie musiał przejmować się swoim nietypowym wyglądem. Poza tym noce wciąż były chłodne, a podczas jazdy łatwiej było się rozgrzać i zachować ciepło. Nad samym ranem, gdy panował największy mróz, owijali się kocami. W ciągu dnia schodzili z traktu i na łąkach bądź leśnych polanach robili długie postoje dla odpoczynku swojego oraz koni. Spali na zmiany, z zachowaniem jednoosobowej warty. Dew dostrzegł, że nadzwyczajne zdolności zwierzoludzi

mają swoją cenę. Jego towarzysze potrzebowali więcej snu od niego. Często też zdarzało im się zasnąć podczas jazdy. Na szczęście konie z królewskich stajni były świetnie ułożone i same potrafiły pilnować drogi.

Trey już na pierwszym postoju upolował sporych rozmiarów jelenia. Przez pierwsze trzy dni zwierzoludzie nie żywili się niczym innym. Byli drapieżnikami, uwielbiali smak surowego mięsa, toteż nawet go nie piekli, co przyprawiało Dew o mdłości. Gdy czwartego dnia dziczyna zaczęła już porządnie śmierdzić, Jarmis na raz pożarł około dziesięciu funtów padliny, a resztę wyrzucił. Dew był przekonany, że po takim posiłku nie będzie nic jadł przez kolejną dobę. Nie mógł bardziej się pomylić. Głów Bestii był olbrzymi.

Dew był bardziej wymagający, jeśli chodzi o odżywianie, i kiedy mijali jakąś gospodę, robili krótki postój, by mógł zjeść coś normalnego. Jego towarzysze nie wchodzili do środka, by nie straszyć ludzi po nocach. Młody zabójca zaczął się zastanawiać, po co zabrali ze sobą tyle suchego prowiantu, skoro tylko on się nim posiła, ale powstrzymał się od pytań.

Piątego dnia Trey upolował małego dzikorożca. Zmutowane zwierzę było jednym z wielu niezbyt udanych eksperymentów magii krwi przeprowadzanych przez szamanów zamieszkujących wielką dżungłę. Uzyskane z połączenia świnie i nosorożca pancernego, w zamyśle swoich twórców miało być łatwe w hodowli, a jego skóra miała być pozyskiwana w celu wytwarzania z niej pancerzy. Okazało się jednak, że nie była aż tak wytrzymała, jak tego oczekiwano. Pozostałe przy życiu zwierzęta wypuszczono i dzięki ich mocno rozwiniętym zdolnościom adaptacyjnym oraz reprodukcyjnym w krótkim czasie przedstawicieli nowego gatunku można było spotkać na niemal całym kontynencie. Rozmiarami i zwyczajami dzikorożce zbliżone były do dzika. Przednią część ciała chroniły skórne zgrubienia, a tylną porastała gęsta sierść. Ze środka podłużnego pyska wyrastał róg, którego długość była różna. Wraz z typowymi dla dzików szablami, róg służył do rycia w ziemi oraz obrony. Z powodu jego oręża, dzikorożca nazywano również trójrożcem.

Jarmis liczył na to, że podróżując gościńcem, sami sprowokują atak bandy Pięknoustego, tym samym oszczędzając sobie trudu poszukiwań. Jednak mysz nie przyszła do kota, musieli więc dalej postępować wedle ustalonego planu.

Zgodnie z wyliczeniem zarządcy stajni w Welfare, dotarli do Girtab dziesiątego dnia około południa. Trey wolał nie pokazywać się w wiosce i wraz z większością ekwipunku ukrył się w pobliskim lesie. Pozostała dwójka wzięła ze sobą jego wierzchowca i wjechała do osady.

W swojej bogatej karierze Jarmis zwiedził większość Lotherbemm i widział setki podobnych miejscowości. Większość zabudowań stanowiły drewniane domostwa mieszkańców Girtab, różniące się między sobą jedynie kolorem frontowej elewacji. Królewskie stajnie

znajdowały się oczywiście na obrzeżach, a gospoda i kilka barów w centrum wioski. Na kopule niewielkiej, murowanej świątyni widniała kamienna rzeźba przedstawiająca gryfa.

Zwrócili konie, a przy okazji wypytyali stajennego o to, gdzie mieszka starszy wioski. Dowiedzieli się, że dom Lukasa Einem znajduje się w samym centrum osady. Idąc główną i jedyną ulicą Girtab, przykuwali zaniepokojone spojrzenia jego mieszkańców. Wyczuwali panującą w wiosce atmosferę strachu i wściekłości.

Lukas Einem był starym, prostym i dobrodusznym człowiekiem. Mieszkańców Girtab traktował jak swoją wielką rodzinę. Gdy Arad úš zjawili się w jego domu, od razu zrozumiał, kim są. Choć wiedział, że nie przyszli po niego, i tak pobladł ze strachu. Udało mu się wszakże zachować jasność umysłu.

— Odpowiadamy na twą ofiarę krwi. — Jarmis potwierdził przypuszczenia starca co do ich profesji i od razu przeszedł do konkretów. — Kiedy po raz ostatni widziano bandę Pięknoustego?

— Cztery dni temu. — Minęła chwila, nim mężczyzna zebrał dość odwagi, by odpowiedzieć. Jego podenerwowanie objawiało się energicznym rozmasowywaniem reumatycznych dloni. — Napadli na północną część wsi. Obrabowali kilkanaście domostw, zgwałcili dwie kobiety. Robią się coraz bardziej zuchwali. Dobrze, żeście się pojawiли, dobrodzieje.

W konfrontacji z Jarmisem, z powodu strachu, ludziom często brakło języka w gębie lub używali oni różnych absurdalnych sformułowań, jednak od bardzo dawna nikt zdający sobie sprawę z jego fachu nie nazwał go *dobrodziejem*. Ukrywając rozbawienie, egzekutor kontynuował:

— Dowiedzieliście się czegoś więcej o ich kryjówce?

— Chowają się w lesie, na zachód od gościńca.

Podczas gdy Jarmis wypytywał starca, drugi z zabójców bezceremonialnie krążył po obszernej sieni, w której zostali przyjęci, i zaglądał do sąsiadujących z nią pomieszczeń.

— Na północ od wsi czy południe?

— Nie wiem, panie, ciężko powiedzieć. Wiem, że to olbrzymi las, ale przypuszczam, że ta kryjówka nie może być dalej niż dzień drogi od gościńca. Inaczej nie mogliby go dokładnie kontrolować.

— I tak nie kontrolują — wtrącił Dew. — Myśmy przyjechali gościńcem i nikt na nas nie napadł.

— Może złekli się waszego widoku, panie. Ale możecie mi wierzyć, że kontrolują drogę. W zeszłym tygodniu napadli kupca wiozącego cytrusy z Dumserlan. Pobili go okrutnie, ale przeżył.

— Dobra, jakoś ich odnajdziemy — uciął temat Jarmis.

Gdy wypowiadał kolejne słowa, Dew po raz pierwszy ujrzał w jego zazwyczaj obojętnych, zmęczonych oczach jakiś przebłysk emocji. Nie spodobał mu się ten przebłysk.

— Teraz opowiedz mi o gwałcicielach. Ilu gwałciło i jak wyglądały?

— Ja tego nie wiem, panie. Musiałbyś porozmawiać z pokrzywdzonymi kobietami.

— To je tutaj sprowadź. Poczekamy.

Starosta przywołał z górnego piętra budynku swojego wnuka i wydał mu polecenie. Zaledwie kilkuletni dzieciak, wyraźnie przejęty powagą swego zadania, wybiegł z domu z prędkością strzały.

— Trochę to może potrwać. Nasza wieś jest duża, panie — zawczasu zaczął uspokajać groźnych przybyszów.

— Widziałem większe — stwierdził Dew. — Powiedz mi, jak to jest, że tak duża, jak sam twierdzisz, wieś, nie potrafi poradzić sobie z garstką rozbójników? Wystarczyłoby kilkunastu ludzi z kuszami i po sprawie.

— Dobry panie, to nie takie proste. Te zbiry atakują z zaskoczenia. Najpierw część z nich chwyci kilka kobiet i dzieci, których potem używa jako te, jak to się mówi, eee... — przez dłuższą chwilę szukał odpowiedniego zwrotu, aż w końcu pomógł mu Jarmis:

— Żywe tarcze.

— Ano tak, jako żywe tarcze. W tym samym czasie pozostali zajmują się rabunkiem. Jeśli ktoś spróbowałby coś zrobić, zabiliby zakładników.

— Czasami roztropny przywódca musi poświęcić jedną czy dwie osoby, by ludzie wiedzieli, że nie można z nim pogrywać.

— Jakże bym mógł poświęcić kogoś z mieszkańców wioski, panie. — Mężczyzna się oburzył, ale delikatnie, gdyż nadal bał się przybyszy. — My tu wszyscy są jako ta wielka rodzina. Sumienie by mnie męczyło po nocach.

— Jak to dobrze, że ja nie mam sumienia. To chyba strasznie kłopotliwa rzecz. — Jarmis wykrzywił twarz w ponurym uśmiechu.

Starzec nic nie odpowiedział, tylko pobladł jeszcze bardziej. Po chwili rozległo się walenie do drzwi. Starosta otworzył, przekonany, że to jego wnuk, lecz w drzwiach pojawiła się roztrzęsiona, młoda kobieta.

— Ratujcie starosto, ratujcie. Tragedia straszna, ratujcie — krzyczała i płakała jednocześnie.

— Co się, co się stało, Nola? Opanuj się i powiedz, co się stało.

— Mój Dolan, mój syn. Dusi się. Osa go użędziła i się dusi.

— Jak to się dusi? Przez osę?

— Tak, bo on ją połknął i wtedy ona go użędziła i teraz on się dusi — mówiła prędko, na bezdechu.

— Ale jak ja ci mogę pomóc? Powinnaś pobiec po znachora, a nie po mnie.

— Córkę wysłałam po znachora, a sama do ciebie przybiegłam. Ty zawsze wiesz, co...

— Prowadź nas do dzieciaka — przerwał jej Jarmis. — Czasu jest mało.

Kobieta dopiero teraz zauważała, że w pokoju znajduje się ktoś jeszcze. Patrzyła na zabójców załawionymi oczami, próbując zrozumieć, kim są i skąd się wzięli.

— Rób, co pan mówi. — Starosta wyrwał ją z chwilowego otępienia.

Kobieta wybiegła z budynku, a za nią podążyli trzej mężczyźni. Doprowadziła ich do swojego domostwa, gdzie na starej, wysłużonej kanapie leżał nieszczęsny chłopiec. Wokół krzątało się pełno ludzi, którzy na widok groźnie wyglądających nieznajomych szybko się rozstąpili. Dzieciak był cały spocony i czerwony na twarzy, miał problemy z zaczerpnieniem powietrza. Jarmis dotknął jego szyi i wyczuł palcami opuchliznę.

— Niech ktoś mi znajdzie jakąś rurkę, pustą w środku łodygę, coś takiego. Tylko żeby nie była grubsza od palca.

Zebrani w pomieszczeniu stali nieruchomo, jakby Jarmis mówił w obcym języku. Jedynie Dew zareagował.

— Ruszać dupy, kurwa — ryknął. Wygonił wszystkich z budynku i sam również pobiegł na poszukiwania.

Chłopiec zmieniał barwy niczym kameleon. Początkowo czerwony, po chwili zrobił się błydy, a następnie siny. Jarmis położył go na podłodze, przyłożył usta do jego ust i z całą siłą wdmuchiwał w nie powietrze, jednak bez efektów. Wtem do chaty wparował znachor z siostrą pechowca. W dłoni trzymał przekrojoną na pół cebulę. Na widok Jarmisa przeprowadzającego sztuczne oddychanie zawahał się przez chwilę, lecz w końcu opadł na kolana obok chłopca i powiedział:

— Odsuń się pan. Ja się tym zajmę.

— I co niby zrobisz?

— Trzeba natrzeć cebulą. Cebula zmniejsza opuchliznę.

— W dupę se wsadź swoją cebulę. Gówno to da.

Konował próbował odciągnąć Jarmisa, lecz ten jedną ręką odepchnął go z taką siłą, że ten aż poleciał na ścianę. Gdy znachor próbował się pozbierać, do środka wbiegli niemalże wszyscy, którzy udali się na poszukiwania żądanego przez Jarmisa przedmiotu. Jego znalazcą okazał się Dew.

— Łodyga rdestu, pusta w środku.

Jarmis wyciągnął sztylet, chwycił podany mu długi badyl i skrócił go do długości pół stopy.

— Trzymaj go za głowę, by się nie wiercił — rozkazał koledze.

Sam usiadł okrakiem nad chłopcem i nogami docisnął mu ręce do tułowia. Spoczął na nim niemal całym ciężarem. Odłożył łodygę i wyciągnął z kieszeni szczypczyki, których używał do czyszczenia zabrudzonych ran.

— Trzymaj mocno — powtórzył.

Chwycił sztylet za ostrze, dwa cale od jego końca.

Matka chłopca zrozumiała, co Jarmis zamierza zrobić, i w swej medycznej niewiedzy rzuciła się w jego stronę. Nie zdążyła nic zdałać, gdyż Dew powalił ją silnym ciosem w mostek. Dolan od pewnego czasu nie dawał już znaków życia. Pozostali obecni czekali w napięciu.

Błyskawicznym, pewnym ruchem zabójca naciął tchawicę chłopca. Nie wyciągając sztyletu z rany, rozwarł ją szczypcami. Kazał przytrzymać szczypce starośćce, a sam chwycił łodygę i wepchnął ją w głęb rany. Podniósł się trochę na podkurczonych nogach, by odciążyć chłopca i dmuchnął w rurkę. Po kilku próbach, ku zdziwieniu zebranych, dziecko ożyło. Dolan zaczął oddychać samodzielnie i po paru minutach nabrał normalnych kolorów. Jarmis poszperał w swoim płaszczu, wyciągnął z niego maść, którą posmarował ranę wokół rurki i założył chłopcu bandaż.

— Górniarz będzie żył — oznajmił, gdy skończył. — Położcie go do łóżka, niech odpoczywa. Gdy opuchlizna zniknie, wyciągnąć rurkę i zaszyć ranę. Chyba znajdzie się ktoś, kto umie szyc?

— Tak, ja to zrobię — odparł znachor, który ewidentnie był pod wrażeniem umiejętności Jarmisa.

— Po zaszyciu posmaruj ranę tą maścią. — Zabójca wręczył mu mały słoiczek. — To wszystko.

Jarmis skinął na Dew i ruszyli ku wyjściu.

Byli już na zewnątrz i wraz ze starostą szli w kierunku jego domu, gdy dogoniła ich matka chłopca. Rzuciła się na Jarmisa i wylała na niego istny potokków słów.

— Nie wiem, jak mam panu dziękować... nie wiem nawet, kim pan jest... skąd pan się wziął... i kto pana przysłał... to musiał być Sprawiedliwy... tak, na pewno Sprawiedliwy... proszę nie odchodzić, zrobię coś do jedzenia, po...

Sługa Krwi odepchnął ją bezceremonialnie i spojrzał groźnie na starostę. Ten odciągnął kobietę na bok i powiedział jej coś takiego, że ta bez zajęknięcia wróciła do domu.

Przed posiadłością starszego wioski czekały dwie kobiety, które zostały zgwałcone przez bandę Pięknoustego. Jarmis dowiedział się, że gwałcicieli było trzech i uzyskał ich w miarę szczegółowe opisy. Gdy kobiety zostały już odprawione, starszy zabójca zwrócił się do starosty.

— Wiemy już wszystko, co nam potrzebne. Wróćmy za kilka dni. A jak ludzie zaczną wypytywać, kim jesteśmy, to mów, że zwykłymi łowcami głów, jasne?

— Tak jest, panie. Tak zrobię, ale nie jestem pewien, czy uwierzą.

Zabójcy odwracali się już w stronę północnego krańca wioski i lasu, w którym zostawili Treya, gdy starzec zapytał:

- Może dobrodzieje jednak życzą sobie kolacji?
- Dobrodzieje życzą sobie złota, po robocie — pożegnał go Jarmis.

Założyli obóz w głębi lasu. Poszukiwania bandy Pięknoustego prowadzili na zamianę Trey z Jarmisem, których wyostrzone zmysły były nieocenione w takich sytuacjach. Pomimo protestów Dew, Jarmis zadecydował, iż jeden ze zwierzoludzi zawsze będzie mu towarzyszył. Ograniczało to znacznie prędkość przeczesywania lasu, lecz przywódca wyprawy nie chciał dopuścić do tego, by bandyci zaskoczyli młodego zabójcę w obozowisku.

Pierwszy dzień tropienia okazał się bezowocny. Jarmis ograniczył kontrolę nad Bestią do minimum gwarantującego możliwość ponownego, szybkiego nad nią zapanowania. Będąc w tym stanie, kierował się głównie węchem, poruszał zaś biegiem, zatrzymując się jedynie wtedy, gdy chciał lepiej zbadać jakąś woń. W przeciągu dwunastu godzin przemierzył około sześćdziesięciu mil trudnego terenu, lecz nie natrafił na żaden ślad bandytów. Gdy wrócił nad ranem, czuł się potwornie zmęczony. Obżarł się nieprzyzwoicie i poszedł spać.

Obudził się wieczorem i wówczas na zwiadu wyruszył Trey. W przeciwnieństwie do Jarmisa kotołak całkowicie zjednał się z duszą pumy, z której złożono ofiarę podczas rytuału ratującego mu życie. Jego zmysły oraz metabolizm nie były więc regulowane, lecz zostały zmienione na stałe. Węch Treya nie był aż tak dobry, zdecydowanie lepiej rozwinął się u niego słuch i to głównie na nim polegał podczas poszukiwań.

Pod nieobecność kotołaka pozostali Słudzy Krwi czekali w obozie, oddając się błogiemu nicnierobieniu. Z czasem Dew zaczęła doskwierać nuda, sprowokowała więc małomównego, sprawiającego wrażenie wiecznie zamyślonego Jarmisa do rozmowy.

- Zauważyłem, że ty to taki kłamczuszek jesteś.
- Że co? — zapytał zaskoczony zabójca, który oczywiście był zamyślony.
- Wczoraj, gdy byliśmy u starosty, zgrywałeś twardziela i powiedziałeś, że nie masz sumienia. Kwadrans później zaprzeczasz samemu sobie, ratując życie kompletnie obcemu chłopcu.
- Nie uratowałem go z powodu sumienia —stwierdził beznamiętnie.
- To dlaczego?
- Uratowałem go, bo mogłem. Bo chciałem sprawdzić, czy dobrze rozumiem ludzką anatomię. Bo nic mnie to nie kosztowało, no, może poza odrobiną maści przeciw zakażeniom.
- No właśnie, odnośnie tej anatomii. Skąd wiedziałeś, co zrobić?
- Czasami, gdy załatwiałem kogoś na jakimś odludziu i gdy wiem, że nikt mi nie przeszkodzi, kroję delikwenta na kawałki, żeby obejrzeć, jak jest w środku zbudowany. — tłumaczył Jarmis. —

Oczywiście nie robię tego z ofiarami naszych zleceń, bo zabraniają tego zasady. Badam tylko tych, których zabiję na własną rękę. A że często ktoś mnie wkurwi, no to już się trochę nakroiłem.

— Hmm, ja też załatwiałem już wielu kolesi i nieraz widziałem flaki na wierzchu, ale gdybym miał się im dokładniej przyglądać, to pewnie i tak bym się nic nie nauczył — z uznaniem stwierdził Dew.

— Nie martw się. Gdy wrócisz z tego rozdziejewiczącego zlecenia, rozpocznesz szkolenie na Wyspie. Najpierw nauczysz się czytać i pisać, potem pozostali Arad úš przekażą ci podstawy anatomii, zielarstwa, alchemii. Ryll poduczy cię w szkole przetrwania w dzicy, a Will w kowalstwie. Z Ronim będziesz ćwiczyć szermierkę. W każdym razie czeka cię dużo nauki.

— Nie mogę się doczekać — powiedział z przekąsem rekrut.

Na dłuższą chwilę znowu zapanało milczenie. Jarmis co rusz pociągał wino z bukłaka, by przegonić Bestię w głąb ich wspólnego umysłu. Pił codziennie i to niemało. Dew w każdej odwiedzanej karczmie musiał uzupełniać jego zapas alkoholu.

— Nie chcę cię pouczać, ale czy nie myślałeś o tym, by ograniczyć picie? — zapytał młody zabójca.

Jarmis tylko obrzucił go zdziwionym spojrzeniem i na powrót pograżył się w myślach.

— Zawsze jesteś taki małomówny czy to moja wina? — Dew wreszcie wyrzucił z siebie pytanie, które dręczyło go, odkąd opuścili Wyspę.

— Nic do ciebie nie mam — odparł obojętnym głosem Jarmis. — Nie jestem też małomówny. Wręcz przeciwnie. Rozmawiam cały czas, po prostu ty tego nie słyszysz.

— Nie rozumiem. — Dew był skołowany.

— Rozmawiam z Piękną. — Widząc, że Dew dalej nie wie, o co mu chodzi, dodał: — Z moim pasażerem.

— O czym ty mówisz, człowieku?

— Hmm, widocznie Silmer musiał wziąć do siebie moją uwagę o jego plotkarstwie i nic ci nie powiedział. — Osuszył kolejny bukłak, po czym odrzucił go na bok. — Nie lubię o tym gadać, ale lepiej, żebym sam ci to wyjaśnił, bo inaczej nasłuchasz się różnych bzdur. — Zamilkł na chwilę, gdyż nie wiedział, od czego zacząć. — Nie jestem zwykłym zwierzoludzem, tak jak Trey. On ma tylko jedną półludzką-półzwierzącą duszę. Ciągnie go do lasu, musi polować, ale poza tym czuje się dobrze. Ze mną jest inaczej. Zanim wchłonąłem duszę Bestii, przeszedłem jeszcze jedną przemianę. Na początku mojej kariery w Gildii, podczas zlecenia na hrabiego Challumisa, władcę Daying, zostałem śmiertelnie ranny, jednak Ray, z którym wykonywałem misję, nie pozwolił mi umrzeć.

Dew słuchał w pełnym skupieniu. Przestał nawet bawić się brodą.

— Zaciągnął mnie do pierwszego z brzegu domostwa. Zamieszkiwała je samotna, młoda kobieta. Rubie. Ray związał ją i odprawił rytuał. Jej ciało umarło, by moje mogło żyć dalej. Od

tego czasu Rubie siedzi w mojej, w naszej głowie. To z nią cały czas rozmawiam. — Jarmis wyciągnął fajkę, wsadził ją w dziurę po wyrwanych kłach i zaczął szukać tytoniu. — Właściwie to ciężko nazwać to rozmową, jest to raczej wymiana myśli, w której nie mamy przed sobą żadnych tajemnic. Dzielimy też wszystkie wspomnienia i wiedzę. Częściowo odrębne są tylko emocje.

— Łaskawy gryfie, nigdy nie przypuszczałem, że opowieści o pożeraczach dusz mogą być prawdziwe. — Dew masował dlonią czoło, próbując sobie wyobrazić, jak może czuć się Jarmis. — Czy to boli?

— Nie boli, lecz męczy, ale tylko wtedy, gdy się kłócimy. Na całe szczęście Piękna mi wybaczyła i zazwyczaj żyjemy w zgodzie. Gorzej jest z Bestią. Nie wiem, dlaczego, ale jej dusza również zachowała odrębność, zamiast scalić się z moją lub z duszą Pięknej. W każdym razie Behemot potrafi jedynie nienawidzić, co doprowadza nas oboje do obłędu. To dlatego piję. Alkohol uspokaja Bestię.

— Nie jestem w stanie tego wszystkiego pojąć. — Dew kręcił głową z niedowierzeniem.
— A dlaczego Piękna? — W końcu zdobył się na pytanie. — Faktycznie była taka ładna za życia?

— No rzeczywiście nie pojmujesz tego układu. W momencie, w którym zadałeś pytanie, ja odruchowo odpowiedziałem na nie w swoich myślach. A jak już ci tłumaczyłem, ona zna te myśli i przez ciebie teraz jest na mnie obrażona. Ale nie martw się, przejdzie jej, jak każdej babie, która jest skazana na swego faceta. A nie da się być bardziej na siebie skazanym niż nasza dwójka. — Jarmis uśmiechnął się ponuro. — To Silmer po raz pierwszy nazwała ją Piękną. Wiesz, Piękna i Bestia, jak w tej bajce.

Dew nasłuchał się dość, by mieć o czym myśleć przez całą noc i nie pytał o nic więcej.

Minęła noc, a Trey nie wracał. Dew zaczął się niepokoić i chciał ruszać na poszukiwania towarzysza. Jarmis wybił mu ten pomysł z głowy. Znał Treya znacznie dłużej i wiedział, że ten z powodu swojej kociej natury zawsze chadza swoimi ścieżkami. Czasami potrafił opuścić bez słowa siedzibę Arad úš i wrócić dopiero po kilku dniach. Spytany wówczas, co robił, odpowiadał: *Nic, szwendałem się i było to prawda*.

Spokój Jarmisa okazał się uzasadniony. Kotołak wrócił przed południem w bardzo dobrym humorze.

— Znalazłem skurczybyków. Koty góram — powiedział i pokazał język Jarmisowi.
— Schowaj ten swój szorstki ozór i idź przytulić młodego. Strasznie się o ciebie martwił.
— Naprawdę? — Kotołak udał wzruszenie. — To urocze. Młody, jesteś pierwszą osobą, którą cokolwiek obchodzę. Gdybym mógł swobodnie poruszać się po mieście, to kupiłbym ci jakiś prezent w nagrodę.
— Dosyć tego pierdolenia, jest robota do zrobienia. — Dew przerwał strumień drwin skierowanych w jego kierunku. — Powiedz lepiej, czego się dowiedziałeś.

— Oho, patrzcie go, jaki obowiązkowy. Zaraz wam wszystko opowiem, dajcie mi tylko coś do zjedzenia, bo padam z głodu.

Okazało się, że kotołakowi udało się szczegółowo zinfiltrować obozowisko bandytów. Zakraść się do niego w nocy, a zwierzęcy wzrok pozwolił mu na swobodne poruszanie się i uchronił przed obudzeniem kogokolwiek. Zbirów było dwunastu i czuli się na tyle pewni siebie, że nie trzymali porządnego wart. Ich obóz znajdował się trzy godziny marszu od miejsca, w którym biwakowali zabójcy. Nie został ogrodzony, a najłatwiej było się do niego dostać, idąc w górę pobliskiego strumienia.

Trey musiał najpierw odpocząć po długiej wyprawie, dlatego nie mogli wyruszyć od razu. Jarmis zaplanował, że podkrańną się do bandy Pięknoustego już po zmroku i pod osłoną nocy zabiją tylu jej członków, ilu im się uda.

Obudzili kotołaka o umówionej porze. Ten nie był z tego powodu zadowolony, gdyż miał ochotę pospać choć odrobinę dłużej. Wzięli tylko to, czego potrzebowali do wykończenia misji, czyli głównie broń. Resztę ekwipunku ukryli w krzakach. Dew po raz ostatni sprawdził, czy jego miecz jest należycie naostrzony, i wyruszyli zabijać.

Kierowali się w górę strumienia, zachowując pewien dystans od brzegu. Trey nasłuchiwał, a Jarmis węszył. Poza spłoszeniem kilku nocnych stworzeń nie przytrafiły im się żadne niespodzianki. Gdy dotarli na miejsce, było już ciemno, lecz z obozowiska wciąż dało się słyszeć rozmowy i pijackie śpiewy. Musieli poczekać kilka godzin, nim głosy ucichły.

— Dobra. Chyba usnęli. — Jarmis szepnął do towarzyszy. — Ja i Trey idziemy sprawić, by już nic im się nie przyśnioło, a ty młody tu zostajesz.

— Że co, kurwa? — Dew obruszył się, ale wymuszony szept mocno ograniczał jego stanowczość. — Nie ma mowy, idę z wami.

Jarmis skinął porozumiewawczo na kotołaka. Młody zabójca otrzymał kopniaka pod prawe kolano i opadł na ziemię. Nim zdążył zareagować w jakikolwiek sposób, poczuł pstrykaczka w ucho.

— W przeciwnieństwie do nas, w nocy gówno widzisz. Nawet nie zauważysz nadchodzących ciosów. Mam nadzieję, że z nimi będzie podobnie. — Jarmis wskazał ręką odległe ognisko. — Ale nie łam się. Może nie uda nam się załatwić wszystkich po cichu i wtedy będziesz mógł się wykazać. Zrozumiałeś?

— Tak. — Dew nie był w stanie podważyć jego argumentacji.

— Świeśnie. Czekaj więc tu spokojnie aż wrócimy albo damy ci znak.

Zwierzoludzie podeszli do obozowiska z dwóch różnych stron. Trzymali się jego obrzeża, z dala od światła rzucanego przez ognisko. Dziewięciu rozbójników spało pod namiotami, których podłoga została podniesiona kilka cali nad grunt, by nie namakać i lepiej chronić od zimna. Trzech

pozostałych, w tym Pięknousty, musiało przebywać w niewielkiej, prymitywnie wykonanej, drewnianej chacie.

Trey był zwinniejszy i potrafił poruszać się ciszej od Jarmisa, lepiej też widział w ciemności. Jarmis ufał jego umiejętnościom i postanowił ograniczyć się do asekuracji przyjaciela. Kotołak w krótkim czasie niemalże bezszelestnie poderżnął sześć gardła i skradał się do siódmego namiotu, gdy nagle otworzyły się drzwi szatni. To jeden z bandytów poczuł silną potrzebę opróżnienia pęcherza. Niefart chciał, że właśnie w tym momencie Trey przechodził przed wejściem do chaty i padające z niej światło oświetliło jego postać. Nim rzucony przez Jarmisa nóż przebił mu gardło, zbir zdążył podnieść alarm. Arad úš woleli nie ryzykować walki z liczniejszym przeciwnikiem i wycofali się do lasu.

Wyrwany ze snu Pięknousty wybiegł z chaty. Skakał od namiotu do namiotu, starając się poznać rozmiar strat. Zarówno herszt, jak i jego pozostałe przy życiu zbiry, robili wiele hałasu. Przekrzykiwali się nawzajem, próbując ustalić dalsze działanie, i odgrążali się ukrytym w zaroślach napastnikom. W końcu któryś z bandziorów zaproponował, by schować się w chacie, a Pięknousty przystał na ten plan. Łotry wbiegły do środka i zabarykadowały się od wewnętrz.

Zabójcy nie wiedzieli, czym kierował się herszt, podejmując tak idiotyczny krok. Od razu zdecydowali się wykurzyć zbirów ogniem. Jarmis zlecił to zadanie Dew, by ten nie czuł się kompletnie bezużyteczny.

Nie minął kwadrans, nim chata nie stanęła w płomieniach. Bandyci, nie mając innego wyjścia, rozwalili barykadę i wybiegli na zewnątrz. Instynktownie utworzyli okrąg wokół ogniska. Stali plecami do siebie, z bronią w rękach. Dwóch trzymało kusze, trzech kolejnych miecze. Czekali na ruch napastników, nadal nie wiedząc, kto ich napadł.

Nie musieli czekać długo. Jarmis od razu wziął się za składanie swojego stalowego łuku.

— Patrzcie na tych debili. Ustawili się jak kukły na strzelnicę. I oni byli w stanie terroryzować pobliskie tereny od ponad pół roku? Powiadam wam, to państwo jest w stanie rozkładu. — Założył strzałę na cięciwę, naciągnął, wycelował, strzelił. Pocisk przeszył pierś jednego z kuszników na wylot i zniknął w zaroślach za ogniskiem. Mężczyzna padł nieżywy. — Kuźwa, za mocno naciągnąłem. Będę musiał szukać strzały.

Przerażeni bandyci nie widzieli wroga ukrytego w lesie, rzucili się więc do ucieczki. Pobiegli razem w kierunku strumienia. Po chwili rozdzielili się na dwie dwuosobowe grupy. Jarmis podążył za jedną, a drugą kazał ścigać towarzyszom.

Nikt nie mógł równać się z Treyem w krótkodystansowych biegach. Kotołak błyskawicznie przegonił uciekających i zagrodził im drogę, zmuszając ich do walki. Jednym z bandytów okazał się Pięknousty. Strumień odbijał na tyle dużo światła Zewnętrznego Pierścienia, że udało im się stawić opór Treyowi do czasu, aż zjawił się Dew. Młody zabójca w walce przypominał tornado. Pędził przed siebie, wymachując zamaszyście olbrzymim mieczem. Wykorzystując przewagę siły i

zasięgu, zabił przeciwników trzema ciosami. Pierwszy zdekapitował Pięknoustego, drugi odrąbał nogę jego kamrata. Gdy pozbawiony oparcia bandzior wylądował już na ziemi, trzeci cios przeszył go na wylot z taką mocą, że ostrze na stopę zagłębiło się w leśnej ściółce.

Trey kazał Dew zabrać ze sobą głowę Pięknoustego, po czym z powrotem udali się do obozowiska bandytów. Jarmis nie wracał dłuższą chwilę i Dew znów chciał ruszać na pomoc, lecz tym razem to Trey kazał mu się nie wygłupiać.

W końcu zjawił się trzeci zabójca, prowadząc przed sobą jednego ze zbirów. Jarmis obalił swego więźnia na ziemię nieopodal ogniska i zwrócił się do Dew.

— Przypilnuj go, a jeśli masz takie ciągoty, to możesz go już napocząć.

— Co masz na myśli?

— Obić go, wyładować złość, dać nauczkę.

— Nie mam problemów z zabijaniem, ale brzydzę się torturami — obruszył się Dew.

— Też za nimi nie przepadam, ale dla gwałcicieli robię wyjątek. Skoro nie mogę liczyć na twoją pomoc, sam będę musiał go ukarać. Popilnujcie go, zaraz wracam — powiedział Jarmis i wszedł w las.

Wrócił po chwili, niosąc małą choinkę. Złamał ją wpół na kolanie i wziął się za oczyszczanie górnej części z gałęzi. Gwałciciel błagał o litość, zarzekając się, że nigdy nikogo nie zgwałcił. Zabójcy zdawali się go w ogóle nie słuchać. W końcu Jarmis uzyskał z drzewka to, czego potrzebował. Krzyknął na więźnia:

— Wstawaj i rozbieraj się!

— Nie, błagam nie, zrobię wszystko, tylko mnie nie krzywdźcie — skomlił łamiącym się głosem.

— Wszystko powiadasz? To gadaj, gdzie są schowane łupy.

— Ja tego nie wiem, dobry panie. Pięknousty je gdzieś poukrywał.

— Kolejny jebany ćwok — Jarmis kopnął klęczącego mężczyznę w brzuch. — Czy ja ci, kurwa, wyglądam na dobrego pana? Jeśli nie wiesz, gdzie jest kasa, to jesteś bezużyteczny. Wstawaj.

— Nie! Już sobie przypomniałem. W chacie stoi kufer z pieniędzmi. Może się nie spalił, był z żelaza.

— Dew, sprawdź to — rozkazał Jarmis.

Z szału zostały już tylko zgliszczka i jedynie gdzieniegdzie tliła się jeszcze jakaś deska. Wysoki zabójca przeczesywał mieczem popioły, mając nadzieję, że natrafi na kufer. Wreszcie usłyszał metaliczny dźwięk. Wygrzebał niewielką, wciąż gorącą skrzynkę, chwycił ją przez szmaty zdarte z ciała jednego z zamordowanych rozbójników i zaniósł ją do towarzyszy.

— Jak to otworzyć? — zapytał Jarmis.

— Pięknousty nosił klucz przy sobie. Przeszukajcie jego kieszenie.

Wystarczyło, że Jarmis spojrzał wymownie na Treya, a ten już pognał w las, by odnaleźć zwłoki przywódcy bandy. Wrócił prędko i otworzył kluczem zamek. Skarb był niewielki, składały się na niego jedynie srebrne monety. Jarmis szybko oszacował ich liczbę na pół tysiąca.

— Co to ma być? — ryknął. — Pół roku napadów i nagrabiliście tylko tyle? Przecież tutaj nawet nie ma dwóch suwerenów. Gadaj, gdzie reszta pieniędzy?

— To wszystko, Sprawiedliwy mi świadcikiem. Większość tego, co zrabowaliśmy, Pięknousty oddawał jakiemuś możnowładcy, by nas nie ścigano. Mówię prawdę, przysięgam.

— Co to za możnowładca? Jak się nazywa?

— Nie wiem, naprawdę nie wiem. Pięknousty utrzymywał jego imię w tajemnicy. Gwarantowało mu ono przywództwo nad naszą bandą. Gdyby srebro przestało płynąć do tego człowieka, od razu władze by się nami zajęły.

— Szkoda, że Pięknousty już gryzie glebę. Znam ludzi, którzy zapłaciliby sporą sumkę, by dowiedzieć się, kto was krył. — Jarmis ponownie chwycił w dłoń pień choinki. — Dobra, nie ma co tego przedłużać. Wstawaj gnoju!

Gwałciciel ponownie zaczął lamentować, lecz miecz przystawiony do gardła zmusił go do wykonywania poleceń. Pozostali zabójcy szybko oddalili się na sporą odległość, by nie musieć słuchać jego krzyków. Jarmis pastwił się nad nim przeszło kwadrans, nie okazując litości. Gdy wreszcie skończył, nieszczęsnik nadal żył. Jarmis chciał, by konał długo.

Arad úš zabrali ze sobą pieniądze oraz głowę Pięknoustego i wrócili do swojego obozu. Było dawno po północy, a oni padali ze zmęczenia, więc od razu położyli się spać. Jako że nie mieli się już kogo obawiać, tym razem nikt nie pełnił warty.

Wstali koło południa, zjedli syte śniadanie, po którym odpoczęli jeszcze przez dłuższą chwilę i dopiero wtedy ruszyli do Girtab, by odebrać nagrodę. Na miejsce dotarli późnym wieczorem. Trey po raz kolejny został przy drodze, z dala od wsi, podczas gdy jego towarzysze udali się do starosty.

Pukanie do drzwi obudziło sędziwego mężczyznę, który otworzył im zaspany i ubrany w pidżamę. Kiedy Jarmis wyciągnął z worka pozbawioną warg głowę Pięknoustego, starzec pobladł jeszcze bardziej niż ostatnim razem.

— Zlecenie wykonane. Ofiara krwi wymaga zapłaty w złocie. Twierdziliście, że rozbójników jest jedenastu i tylu zabiliśmy. Co prawda był jeszcze jeden, ale ten umrze dopiero za kilka dni. Jego śmierć dostaniecie gratis. Należy się nam jedenaście suwerenów.

Oczy starosty zrobiły się wielkie, jakby właśnie ujrzał ducha. Dew również wydawał się zdziwiony.

— Panie, ja nie mam, znaczy wioska... w całym Girtab nie ma tyle pieniędzy. — Starzec mówił z trudem, głos mu się łamał. — Bandyci grabili nas od miesięcy, niewiele nam zostało.

— Ile uzbierałeś?

— Trzy suwereny i dwieście pięćdziesiąt koron. Ludzie oddali ostatnie oszczędności, by pozbyć się Pięknoustego i jego bandy. To naprawdę wszystko, co mieli.

Jarmis kiwał głową. Liczył na więcej. Lubił sam decydować o wszystkim, ale zwrócił się po opinię do Dew.

— Co uważasz, młody? Co powinniśmy zrobić?

Starzec stał w milczeniu, oczekując werdyktu niczym skazaniec.

— Prawo Gildii stanowi, że za zlecenie płaci się złotem. Nie mówi jednak, czy mamy brać suwerena od każdego zabitego, czy za wykonane zadanie. Uważam, że to, co oferuje nam starosta, jest uczciwą zapłatą — stwierdził z powagą Dew.

Jarmis analizował jego słowa, patrząc mu w oczy. Po chwili rzekł.

— Niech tak będzie. Przyjmuję twoją ofiarę. — Upuścił na podłogę zakrwawiony wór i wziął od starca pękającą sakiewkę. — Zi Dingir Mitu Kanpa! — zawała melodyjnie swym niskim basem, po czym odwrócił się na pięcie i wyszedł z domu.

Dew podążył za nim i dogonił go po kilkunastu krokach.

— Czy na zachód od gór znacie takie powiedzenie: *Miękkie serce, twarda dupa?* — zapytał Jarmis.

— Chyba nie. W każdym razie ja go nie kojarzę.

— Warto, byś je zapamiętał. W lesie zauważylem, że męczyło cię patrzenie na to, jak postąpiłem z tym gwałcicielem. Tak, jakbyś go żałował. Podobna sytuacja ze starostą. Na potrzeby swojej argumentacji nagiąłeś nawet naszą dewizę.

— Coś przekręciłem? Myślałem, że zacytowałem ją dokładnie.

— Powiedziałeś: *Za zlecenie płaci się złotem*, podczas gdy brzmi ona: *Za czystą śmierć płaci się złotem*.

— W takim razie się pomyliłem. — Dew zasępił się. — Czy to znaczy, że wzięliśmy za mało złota i Gildia będzie robić mi problemy?

— O to się nie martw. Gildii powiesz, że zlecenie dotyczyło tylko Pięknoustego. Resztę zabiliśmy przy okazji, bo tak było najłatwiej. A jeśli mimo to będą marudzić, to powiedz im, że to ja byłem przywódcą misji i niech zamkną mordy do czasu aż wrócę. — Jarmis mówił spokojnie, bez emocji. — Radzę ci natomiast przestać litować się nad kimkolwiek. Bo co niby zrobisz, gdy dostaniesz kiedyś zlecenia na kobietę albo dziecko?

— Nie wiem. Nie myślałem o tym wcześniej.

— Ta, nikt z nas o tym nie myślał przed staniem się Arad úš. Każdemu się wydawało, że będzie zabijał zdemoralizowanych szlachciurów, ewentualnie bandziorów, takich jak Pięknousty. Ale dostajemy też zlecenia na kilkuletnich górniarzy, bo przykładowo mają pierwszeństwo dziedziczenia przed kimś, komu się to nie podoba. I co wtedy? — zapytał, by po chwili dodać. — Póki co to ja zawsze wykonuję takie zlecenia, ale przedzej czy później mnie zabraknie.

Dew nie wiedział, co powiedzieć, i zapadła cisza.

Udali się do królewskich stajni i wypożyczyli te same konie, które przewiozły ich do Girtab. Jechali kilka minut w milczeniu, aż w końcu starszy zabójca znów się odezwał.

— Następnym razem, gdy ktoś nie będzie miał dość kasy, by zapłacić za zlecenie, to mu powiesz, że ma, dajmy na to, pół roku, by ją zebrać. Po tym czasie po nią wracasz i możesz mi wierzyć, że jeszcze nigdy się nie zdarzyło, by ktoś nie uzbierał.

— Zapamiętam to sobie.

Wrócili do miejsca, gdzie zostawili Treya. Podzielili między siebie pieniądze odzyskane od bandytów oraz połowę tego, co dał im starosta Girtab. Drugą połowę Dew miał oddać Gildii. Gdy objuczyli już konie, Jarmis nabił fajkę tytoniem i zapalił.

— Dobra, młody, tutaj nasze drogi się rozchodzą. — Wypuścił dym przez luki w uzębieniu, po czym sięgnął do plecaka i odczepił od niego łuk oraz strzały. — Wyświadcz mi małą przysługę i zabierz mój łuk ze sobą. Mam nadzieję, że nie będę go potrzebował na urlopie.

— Nie ma sprawy. — Dew upchnął otrzymaną broń w swoim bagażu, a następnie wskoczył na wierzchowca. — Ja będę się już zbierał. Pamiętam, że kilka mil stąd jest gospoda. Może uda mi się do niej dojechać przed zamknięciem. W przeciwnieństwie do was nie przepadam za podróżowaniem nocą.

— Współpraca ze zwierzoludźmi bywa uciążliwa. — Trey uścisnął mu dłoń na pożegnanie.

— Świetnie się spisałeś w lesie. Nigdy nie widziałem, żeby ktoś odrąbał komuś głowę w tak pięknym stylu. Wróżę ci udaną karierę w Służbie Krwi.

— Še-ga. — Jarmis potwierdził opinię przyjaciela i również wymienił uścisk dłoni z Dew.

— Szerokiej drogi.

— Udanych wywczasów — pożegnał ich młody zabójca i odjechał.

Chwilę później zwierzoludzie ruszyli w przeciwnym kierunku.

Czwarty dzień czwartego obiegu Białego Karła. 119 dzień roku. Wschodnia Prowincja.

Jechali na południe przez jedenaście dni, omijając po drodze Wartegall, stolicę Lotherebemm. Nie licząc polowań, podróż nie dostarczyła im żadnych przygód. Narzekali tylko na pogodę, albowiem nazajutrz po rozstaniu z Dew zaczął padać deszcz, który ustąpił dopiero po trzech dniach. W końcu zostawili za sobą Dumserlan i dotarli do końca Wschodniego Gościńca. Tam skręcili na wschód i kamiennym mostem przekroczyli rzekę Vergonril. Obaj chcieli odwlec ten moment jak najbardziej, lecz w końcu kilka mil za przeprawą Trey zatrzymał konia.

— Nie ma sensu, bym jechał dalej. Pora się rozstać.

— Na pewno nie chcesz popłynąć ze mną na Milfgard? — Jarmis po raz kolejny spróbował namówić przyjaciela na ostatnie wspólne wakacje.

— Jak nie odejdę teraz, to później będzie jeszcze trudniej. Podjąłem decyzję.

— Zobaczyłyś, że dziwki z Milfgardu nie są takie, jak reszta ludzi. Wśród nich poczułbyś się normalnie, mówię poważnie.

— Może i byłyby uprzejme i taktowne, ale tylko dlatego, że tak je wyszkolono. Poza tym, co to za szacunek, za który trzeba płacić? Nawet gdybym z tobą pojechał, to złota i tak wystarczyłoby mi jedynie na kilka miesięcy. A co potem? — zapytał kotołak, unosząc przy tym swoje kocie wąsy. — Chcę na stałe czuć się swobodnie i nie musieć ukrywać siebie ani tego cholernego ogona. Tylko w Dżungli mogę odnaleźć prawdziwą akceptację.

— Pod warunkiem, że Dzicy nie zabiją cię przy pierwszym spotkaniu.

— Tak, wiem, że od kilkuset lat nikt stamtąd nie wrócił. Nie wydaje mi się jednak, by wśród tych zaginionych było wiele kotołaków. A od śmierci bardziej boję się tego, że nawet jeśli poznam sposób na rozwiązanie twojego problemu, nie będą miał jak cię o tym powiadomić.

— Widzę, że cię nie odwiodę od tego pomysłu. Pamiętaj tylko, że nie chcę, byś przeze mnie podejmował dodatkowe ryzyko. — Jarmis rozumiał, że prawdopodobnie widzą się po raz ostatni. Zrobił przerwę, by znaleźć słowa, które nie zabrzmiłyby banalnie. — Trudno jest się pogodzić ze stratą najlepszego przyjaciela, nawet jeśli jest cholernym sierściuchem z kocią mordą. Mam nadzieję, że odnajdziesz to, czego szukasz.

— Dzięki, stary druhu. Dobrze, że zwierzęta nie potrafią płakać. Wyobrażasz sobie ten widok? Dwóch płaczących Arad úš?

Jarmis parsknął śmiechem.

— Jakby chłopacy się dowiedzieli, to wyjebaliby nas z Gildii.

— Niestety nasz regulamin nie przewiduje wydalenia członka. Nie żywego. Dlatego boję się o ciebie. Nikt nie uwierzy, że nie wiedziałeś o moich planach.

— Nic mi nie zrobią, zresztą, jak zawsze, gdy coś przeskrobię. Jestem dla nich zbyt cenny — przekonywał Jarmis.

— Mimo wszystko uważaj na siebie. Zwłaszcza na Wyspie.

Wyściiskali się tak mocno, że Jarmis omal nie połamał przyjacielowi żeber.

— Jak już spotkasz dzikusów, poinformuj ich, że mam fiolkę z twoją krwią i mogę sprawdzić czy żyjesz. Naopowiadaj im jakichś bajek, że mam piętnaście stóp wzrostu jak Behemot, którego duszę wchłonąłem, czy coś w tym stylu.

— Obawiam się, że mogą się nie przestraszyć — odparł Trey. — Idę, bo inaczej będziemy tak gadać do zmroku. Hé šag⁵.

— Hé šag.

Kotołak zsiadł z konia i założył plecak. Nie wiedział, co czeka go w dżungli, z drugiej zaś strony nie chciał dźwigać zbyt dużo. Z tego powodu zapakował do niego tylko najistotniejsze

5 Powodzenia (Żegnam)

rzeczy oraz suchy prowiant swój i Jarmisa, którego nawet nie ruszyli od momentu opuszczenia Wyspy. Po raz ostatni spojrzał w oczy najlepszego przyjaciela i odszedł, nie odwracając się za siebie ani razu.

Rozdział szósty – Habit czy spódniczka?

Czwarty dzień czwartego obiegu Władcy. 97 dzień roku. Morsstand. Popołudnie.

Dogonił dziewczynkę dopiero po zmroku. Musiała iść szybko, nie odpoczywając po drodze. Zdumiewało go, jak, pomimo tak wyczerpującego i pełnego przeżyć dnia, odnajdywała w sobie siły, by przeć naprzód. *Czy to pragnienie odnalezienia rodziny, czy wytrzymałość zdobyta podczas miesięcy spędzionych na wędrówce?* Chciał ją o to zapytać, ale bał się, że mógłby ją zranić.

Przez pierwsze dwa dni wspólnej podróży szli wzduż południowego brzegu Klejnotu Pustyni, kierując się na wschód. Victoria wciąż mu nie ufała i nie odzywała się ani słowem. Czekała jednak na niego, gdy zatrzymywał się, by napełnić wodą bukłak lub nazrywać daktyle. Ucieszył się, kiedy zgodziła się zjeść pieczoną rybę, którą otrzymał od jednego z rybaków.

Rankiem trzeciego dnia wkroczyli na trakt nazywany Wyzwaniem Wędrowca bądź Katorgą. W zgodnej opinii wszystkich ludzi pustyni była to najtrudniejsza do pokonania trasa w całym Morsstand. Liczyła ponad osiemdziesiąt mil, wiodła przez kamieniste pustkowie, a na jej szlaku znajdowało się tylko jedno miejsce, w którym można było uzupełnić zapasy wody. Miejscem tym była oaza o wdzięcznej nazwie Przerwa w Katorze. Pomimo solidnego wyszkolenia fizycznego, które odebrał jako kandydat na mnicha, Iryk był wykończony pierwszą częścią Katorgi. Poprosił więc Victorię, by odpoczęły w oazie jeden dzień. Dziewczynka, choć nie dawała tego po sobie poznać, również czuła się przemęczona, przystała więc na jego propozycję. Oaza była niewielką kulką roślinności skoncentrowaną wokół sadzawki o krystalicznie czystej wodzie. Pustynni ludzie słusznie przypuszczali, że jeziorko musi być zasilane wodami gruntowymi. Pomimo tego wszystkie próby wykonania studni artezyjskich w jego pobliżu spełzały na niczym. Twarde, trudne do spenetrowania skaliste grunty były tu porozdzielane warstwami ruchomych piasków, które pochłonęły wiele ofiar. Z ich powodu budownicze poddawali się zbyt szybko, nigdy nie dokopawszy się dość głęboko. Małe oaza pozostała więc obowiązkowym przystankiem dla wszystkich osób podróżujących Wyzwaniem Wędrowca, przez co zawsze była bardzo zatłoczona.

Przed opuszczeniem Ogrodów Harmonii Iryk zabrał z dormitorium zapasowe, mnisie szaty, gdyż ich pierwszy komplet został zniszczony podczas ratowania Victorii po jej samobójczej próbie. Szybko okazało się, że wracając po nowy ubiór, postąpił słusznie. Zdecydowana większość mieszkańców Morsstand szanowała mnichów, którzy zawsze byli gotowi służyć pomocą, nie prosząc o nic w zamian. Dzięki takiej postawie zakonnicy zazwyczaj mogli liczyć na darmowy posiłek lub nocleg pod dachem. Tym razem dzięki niebieskiemu habitowi udało im się znaleźć miejsce w cieniu palm. Choć musieli się gnieździć jak pszczoły w ulu i tak było to znacznie

przyjemniejsze od przebywania na pełnym słońcu. To właśnie wśród tego tłumu Victoria odezwała się do niego po raz pierwszy od momentu, gdy dołączył do niej na dobre.

— Druga część Katorgi jest trudniejsza. Jest dłuższa i mniej płaska.

Iryk z uśmiechem odpowiedział, że jakoś da radę. Choć próbował pociągnąć rozmowę dalej, były to jedyne słowa, które dziewczynka wypowiedziała tego dnia.

W oazie spędzili półtorej doby. Z powrotem na trakt wyruszyli wieczorem, tak by pierwszą część drogi pokonać pod osłoną nocy. Gdy nastąpiło południe, zatrzymali się na kilka godzin, by odpocząć w cieniu kamiennych kurhanów. Wzdłuż trasy znajdowało się wiele takich prymitywnych budowli dających podróżnym schronienie w najgorętszej porze dnia. Możliwość uformowania kurhanów była jedną z wielu zalet hamady w porównaniu z pustynią piaszczystą. Zgodnie z dobrym obyczajem, każda osoba podróżująca Wyzwaniem Wędrowca powinna dorzucić choć jeden kawałek skały do dowolnego kopca. Również i oni tak postąpili, a kiedy skwar nieco zelżała, kontynuowali swój marsz.

Łącznie z postojem w oazie pokonanie obu odcinków Katorgi zajęło im pięć dni. W momentach kryzysu Iryk wyobrażał sobie, że po prostu przechodzi kolejną próbę konieczną do zostania mnichem. Starał się zapomnieć o zmęczeniu oraz upale i oddawał się medytacji. Przekonał się jednak, że odnalezienie harmonii w czasie marszu przez pustynię jest znacznie trudniejsze, niż gdyby siedział wśród zakonnych ogrodów. Pełnię wewnętrznego spokoju odzyskał dopiero wtedy, gdy ujrzał kres Katorgi, jakim było miasto Corsunk.

Poza Chilsund, Corsunk było jedynym naprawdę dużym, nie położonym nad oceanem skupiskiem ludzi w Morsstand. W odróżnieniu od duchowej stolicy pustynnych ludzi, Corsunk nie zostało zbudowane nad ogromnym jeziorem, lecz wzdłuż rzeki, która była wyjątkowo kręta i z tego powodu nazwano ją Niebieskim Węzłem. Tutaj ludzie również mieli problemy z wykonaniem porządnego studni. Pięćset stóp od brzegu okazywało się to zazwyczaj niemożliwe i w związku z tym miasto miało niebywale podłużny kształt. Jego przejście wszerz w dowolnym miejscu zajmowało mniej niż kwadrans, lecz na pokonanie go wzdłuż potrzeba było całego dnia. Choć powodowało to sporo utrudnień, przez stulecia mieszkańcy zdolali się do nich przyzwyczać. By podkreślić niezwykłość swojej małej ojczyzny, przed przyjezdnymi często chwalili się, że w Corsunk jest więcej mostów niż w całym Lotherebemm. W rzeczywistości przestało być to prawdą kilka wieków temu, ale powiedzenie to nadal było popularne.

Gdyby nie to, że obiecał Victorii jak najszybciej odnaleźć jej rodziców, Iryk z chęcią zatrzymałby się w Corsunk na dłużej. Mieszkańcy miasta oddalonego od Chilsund jedynie o tydzień drogi byli niesamowicie życzliwi dla mnichów i żyli w zgodzie z harmonią. Byli dumni, że mieszkają nad Niebieskim Węzłem, gdyż to właśnie węże powszechnie uznawano za symbol harmonii. Wzięło się to prawdopodobnie stąd, iż żadne inne stworzenie nie posiadało równie prostej i symetrycznej budowy ciała, będąc jednocześnie pełnym gracji i cierpliwości podczas

polowania. Jeśli ktoś chciał zezłościć osobę pochodzącą z Corsunk, nazywał miasto Gadzią Naroślą. Pomimo iż określenie to wiernie odzwierciedlało charakter jego zabudowy, uchodziło za jedną z najgorszych obiegów.

Gdy ugasili pragnienie wodą Niebieskiego Węża i ochłonęli trochę po wędrówce, Iryk postanowił zdobyć dla nich coś do jedzenia oraz załatwić nocleg. Ostatnie pieniądze wydał w Przerwie Katorgi. Choć mężczyzna prowadzący stragan nad oazą był gotów oddać mu całe jedzenie, jakiego potrzebowali, za darmo, sumieniu Iryka nie mogło się na to zgodzić. Mnich niemal siłą wcisnął handlarzowi w dłoń kilka monet, za które normalnie nie dostałby nawet połowy otrzymanego towaru. Teraz zdał sobie sprawę z tego, że jeśli nie chce opóźniać marszu szukaniem sposobu na uczciwy zarobek, będzie musiał zwalczyć wyrzuty sumienia i chodzić po łasce niczym zwykłym darmozjad.

Victoria zauważyła jego wewnętrzną rozterkę i podziękowała mu za to, że podczas Wyzwania Wędrowca niósł jej bukłak z wodą oraz cały bagaż, jaki mieli. Wdzięczność dziewczynki była impusem, którego Iryk potrzebował. Poczuł dumę i przypomniał sobie, jak ważna jest jego misja. *Niech zapłata za dobroć, którą okażą nam napotkani ludzie, będzie szczęście tego dziecka,* pomyślał.

Pospacerowali chwilę, kierując się z biegiem rzeki, aż mnich nie znalazł odpowiedniego domostwa. Wyglądało bardziej elegancko od pozostałych budynków w tej okolicy, uznał więc, iż zamieszkujący je ludzie powinni być w miarę zamożni i pomoc, o której ich poprosi, nie odbije się zbyt mocno na ich sytuacji materialnej. Podszedł do sznurka, którego jeden koniec przytwierdzony był do wysokiego pachołka wbitego w ziemię na zewnątrz posesji, a drugi przechodził przez okno i znikał wewnątrz domu. Pociągnął za linkę. Czekali dłuższą chwilę, aż Victoria zaczęła się niecierpliwić.

— Nie możemy po prostu zapukać do drzwi? — zapytała. Głos miała wciąż dziecięcy, lecz jej akcent wydawał się Irykowi bardzo surowy, co w jego ocenie dawało dość komiczne połączenie.

— To byłoby niegrzeczne — odparł.

— A ten sznurek to niby jak działa? U nas w domu nie używamy czegoś takiego.

— W tej części Morsstand wszyscy bardzo cenią sobie spokój — rozpoczął wyjaśnienia mnich. — Po pracy ludzie bardzo często oddają się medytacji. Gdybyśmy zapukali do drzwi, mogliby to rozkojarzyć próbujących się wyciszyć domowników. Dlatego też do sznurka wewnątrz domu doczepione są dwa patyki, kamyki lub coś innego. Nie ma to większego znaczenia. Założmy, że są to kamyki. W momencie, gdy pociągnąłem za sznurek, jeden z kamyków poluzował się i zjechał w dół linki. Zauważ, że jest ona nachylona, opadając w kierunku domu. Kamyk zjechał powoli i stuknął delikatnie w drugi, zamocowany na stałe w jednym miejscu. Dźwięk, jaki się rozległ przy zderzeniu, był bardzo cichy, tak by można go było usłyszeć jedynie w

pomieszczeniu, do którego wpada sznurek. Zazwyczaj jest to kuchnia. Jeśli ktoś w niej przebywa, od razu zauważ, że ktoś przyszedł. Jeśli nikogo w kuchni nie ma, trzeba poczekać, aż ktoś do niej wejdzie i zobaczy, że luźno umocowany kamyk się przesunął.

— Bezsensowna strata czasu. W ten sposób możemy stać tu do wieczora.

— Być może dla kogoś, kto nie szuka harmonii, jest to bez sensu. Nic nam jednak się nie stanie, nawet jeśli musielibyśmy czekać do wieczora. Przecież i tak mamy zamiar zanocować u tych ludzi.

Dziewczynka nic na to nie odpowiedziała, więc Iryk uznał, iż przyznała mu rację. Po kwadransie czekania ktoś widocznie zajrzał do kuchni i drzwi wejściowe się otworzyły. Stanął w nich niewysoki, szczupły mężczyzna. Na widok mnicha bardzo się ucieszył i od razu zaprosił ich do środka. Kiedy Iryk pokrótkę przedstawił mu swoją prośbę, mężczyzna uradował się jeszcze bardziej. Kazał im się rozgościć w salonie, a sam wraz z żoną zajął się przygotowywaniem kolacji. Gdy posiłek był już prawie gotowy, gospodarz wyszedł na chwilę z domu, by zaraz wrócić razem z trójką dzieci, które bawiły się nad rzeką.

Wszyscy zasiedli do stołu, który pani domu przykryła odświętym obrusem i przystroiła ładnymi kamykami i różnobarwnymi muszlami. W Lotherbemm takie ozdoby prawdopodobnie wywołyłyby uśmiech politowania, lecz pośrodku pustyni, gdzie cały teren położony bezpośrednio nad rzeką przeznaczony był pod uprawę warzyw i owoców, kwiaty były rzadkością. Zaserwowało im smażonego pstrąga, małe w oleju oraz sałatkę z pomidorów, ogórków i papryki. Na deser podano suszone morele, daktyle oraz rodzynki.

Pomimo swojego postanowienia, Iryk czuł się trochę zakłopotany, starał się więc jak najwięcej dyskutować z gospodarzami, którym jego obecność ewidentnie sprawiała radość. Victoria była zdecydowanie mniej rozmowna i odezwała się zaledwie kilka razy. Domownicy nie mieli jej tego za złe, bowiem mnich opowiedział im z grubsza o tym, czego doświadczyła. Gdy zaczęło się ściemniać, gospodarz nakazał swojemu najstarszemu synowi spać tej nocy z rodzeństwem i oddał jego pokój do dyspozycji Victorii. Po tym, jak dzieci położyły się do łóżek, dorośli rozmawiali jeszcze kilka godzin. W końcu małżeństwo udało się do swojej sypialni, a Iryk położył się na kanapie w salonie. Od bardzo długiego czasu nie udało mu się zasnąć tak szybko.

Dziewczynka przebudziła się pierwsza, a jako że nie była w stanie znowu zasnąć, stwierdziła, że szkoda dnia na bezczynne leżenie w łóżku. Choć słońce dopiero co weszło, bezceremonialnie obudziła Iryka, szarpiąc go mocno za ramię. Półprzytomny mnich próbował odwrócić się na drugi bok i spać dalej, ale jego podopieczna mu na to nie pozwoliła. W końcu Iryk dał za wygraną i wstał.

Victoria nalegała, by wzięli coś do jedzenia na drogę i po prostu wyszli. Mnich nie chciał się zgodzić na wyjście bez pożegnania się z domownikami, którzy tak uprzejmie ich ugościli. Ich

drobna sprzeczka obudziła gospodarza, co oszczędziło Irykowi niezręczności, jaką byłoby obudzenie go pukaniem do drzwi sypialni.

Wciąż ziewając, zakonnik wytłumaczył mężczyźnie, że bardzo im się spieszy, podziękował za gościnę i chciał już wychodzić, lecz spotkał się z kulturalnym, aczkolwiek zdecydowanym sprzeciwem. Gospodarz szybko przyrzdził im śniadanie, a podczas gdy jedli, spakował im także prowiant na drogę. Kiedy już skończyli się posialać, poprosił ich, by poszli z nim w jeszcze jedno miejsce. Victorii początkowo nie spodobał się ten pomysł, ale kiedy dowiedziała się, że i tak jest im to po drodze, nie sprzeciwiała się dalej.

Idąc z nurtem Niebieskiego Węża, po kilkunastu minutach doszli do dużego gospodarstwa, które okazało się należeć do szwagra mężczyzny. Ich dobroczyńca polecił im zaczekać na zewnątrz, a sam wszedł do środka bez ciągnięcia za sznurek czy pukania, kompletnie nie dbając o to, czy kogoś obudzi lub nakryje w nieodpowiednim momencie. Po krótkiej chwili wrócił wyraźnie zadowolony.

— Nie powiedziałem wam wcześniej o moim pomyśle, obawiając się, że może nie wypalić — powiedział. — Jednak szwagier na wszystko się zgodził. Jako że czeka was długa droga, pożyczycy wam wielbłąda. Będziecie mogli się szybciej przemieszczać, no i mniej się zmęczyć.

W momencie, gdy skończył mówić, zza rogu budynku zjawił się wspomniany szwagier, prowadząc za wodze największego wielbłąda, jakiego Iryk kiedykolwiek widział.

— Harmonia z tobą, bracie — przywitał się.

— Pokój i harmonia — odparł mnich.

— Wielkie bydlę, ale wyjątkowo łagodne i ułożone. — Właściciel pochwalił wielbłąda, zauważwszy niepokój rysujący się na twarzy zakonnika. — Nie będzie sprawiał trudności, jak harmonii pragnę.

— Piękne zwierzę — wybąkał skonfundowany Iryk. — Piękne zwierzę i wspariały gest, ale niestety, muszę zaprotestować. Nie możemy przyjąć tego prezentu, to zbyt duża hojność i źle bym się z tym czuł.

Victoria szarpnęła go mocno za rękaw habitu, a gdy zwrócił wzrok w jej stronę, spojrzała na niego groźnie. Mnich nie zareagował, zaś szwagrowie nie zauważyli tego gestu.

— Ależ bracie — zwrócił się do Iryka właściciel wielbłąda. — Ja nie chcę ci go oddać na własność, lecz pożyczyc, byście mogli udać się do Głównej Węża. Słyszałem, że tam chcecie wsiąść na statek i dalej popłynąć już morzem. Wystarczy, że znajdziecie w mieście jakiegoś kupca, który będzie się wybierał do Corsunki i oddacie mu zwierzę. Dam wam trochę srebra, byście mieli czym wynagrodzić jego fatygę.

— Widzisz, dobry człowiek, sam zakładasz, że ten, który będzie wracał z wielbładem, zażąda pieniędzy, ale ode mnie ich nie wymagasz. Ale tu nawet nie chodzi o zapłatę. Nigdy nie

miałem styczności z wielbładami i lękam się, że nie będę potrafił należycie się nim zająć, że coś mu się stanie po drodze.

Victoria kopnęła go w kostkę, lecz ponownie ją zignorował.

— Jak już mówiłem, to bardzo spokojne zwierzę, nie sprawi kłopotów. Wystarczy, że podczas odpoczynku dacie mu się trochę popaść nad rzeką i nic mu nie będzie. I tak będącie szli wzdułż Węża, więc o trawę ani wodę nie musicie się martwić.

— Mimo wszystko nie mogę się zgodzić.

— Musisz się zgodzić — krzyknęła nagle Victoria. — Jeśli się nie zgodzisz, to daj mi spokój i wracaj do swojego zakonu. Sama sobie poradzę. Z wielbładem też — wywreszczała jednym tchem. Podeszła do właściciela zwierzęcia, wyciągnęła rękę i zapytała, wskazując wzrokiem na wodze. — Mogę?

Mężczyzna był kompletnie skołowany i bezwiednie przekazał jej dwa skórzane paski.

— Dziękuję obu panom. Do widzenia. — Ukloniła się niezgrabnie, odwróciła i ruszyła przed siebie. Wielbłąd podążył za nią posłusznie.

Trzej mężczyźni przez kilka dobrych sekund stali jak wryci. Jako pierwszy mowę odzyskał Iryk. Przeprosił za wybryk dziewczynki, ale postawiony w tak niezręcznej sytuacji, ostatecznie zdecydował się na zatrzymanie zwierzęcia. Podziękował im serdecznie za wszystko, przeprosił jeszcze raz i popędził za Victorią, która już zdążyła zniknąć mu z oczu. Gdy dwaj mężczyźni otrząsnęli się z osłupienia, wrócili do domu i wychylili po kubku trzcinówki.

Okazało się, że właściciel dromadera miał rację. Zwierzę było wyjątkowo posłuszne. Zdawało się, że wielbłąd wręcz odczytuje zamiary ludzi. Gdy Victoria, która nigdy wcześniej nie miała styczności z tymi stworzeniami, chciała go dosiąść, ten sam z siebie wykonał przysiad, by jej to ułatwić. Nie było też potrzeby nim kierować, gdyż sam trzymał się trasy.

Victoria jechała na wielbładzie, a Iryk szedł obok, udając obrażonego. Musiał znacznie wydłużać krok, by nadążyć za zwierzęciem. Dziewczynkę nie bardzo to obchodziło, lecz w końcu zmęczyła się jazdą, do której nie była przyzwyczajona, i zsiadła. Urządzili postój nad Niebieskim Wężem. Mnich wykorzystał okazję, by przytroczyć do siodła wielbłąda ich wspólny bagaż, który do tej pory cały czas niósł.

— Postąpiłaś bardzo nieładnie. — Uznał, że udawanie obrażonego jednak nie przystoi mnichowi.

— Ale za to skutecznie. Dzięki temu dotrzymy do Saviserun o dwa albo trzy dni szybciej.

— To prawda, ale następnym razem wolałbym, byś nie zachowywała się tak nieprzewidywalnie. Im będziemy dalej od Chilsund, tym ludzie będą dla nas mniej życzliwi.

— Dawałam ci znaki, żebyś zgodził się zatrzymać wielbłąda, ale mnie ignorowałaś. Dorośli zawsze ignorują dzieci, a ty nie jesteś od nich lepszy.

Po tych słowach mnich poczuł się winny.

— Przepraszam. Obiecuję, że już nigdy więcej nie zignoruję twojego zdania — powiedział.

Dziewczynka wzruszyła ramionami w taki sposób, że Iryk nie wiedział, czy przyjęła przeprosiny, czy jest jej wszystko jedno. Jednakże, gdy już odpoczęli, zaproponowała mu, by razem dosiedli wielbłąda, co uznał za gest pojednania.

Czwarty dzień czwartego obiegu Bliźniaków. 110 dzień roku. Saviserun. Południe.

Oboje nie mieli wprawy w jeździe i ich tyłki oraz plecy dawały im o tym boleśnie znać. Z tego też powodu początkowo czasami zsiadali z wielbłąda i poruszali się na piechotę. Po trzech dniach, gdy już oswoili się z siodłem, opuszczali grzbiet zwierzęcia tylko podczas postojów.

Jechali w dół biegu Niebieskiego Węża, który wraz z mijanymi milami był coraz mniej kręty, a ludzie mieszkający na południe od Corsunk używali wobec niego innej nazwy — Niverrus. Dla Iryka, który całe życie spędził w Chilsund, podróż okazała się niezwykle interesująca. Choć krajobraz mógł wydawać się monotonny, mnich wyraźnie dostrzegał powolnie zachodzące w nim zmiany. Gdy piątego dnia pustynia wreszcie przeszła w mocno wyschnięty step, na którym co jakiś czas dało się wypatrzeć zająca lub usłyszeć nieświszczuka, mnich musiał się mocno starać, by nie dać po sobie poznać wzruszenia.

Po tygodniu podróży na grzbiecie wielbłąda dotarli wreszcie do Saviserun, które mieszkańców Corsunk, w swym uwielbieniu dla rzeki, nad którą żyli, nazywali Głową Węża. Tutaj ta nazwa nie była zbyt popularna, gdyż obywatele Saviserun bardziej niż z rzeką, związani byli z oceanem.

Tym razem Victoria również nie dała Irykowi czasu na zwiedzanie miasta. Nie marudził jednak z tego powodu, bowiem i tak był zadowolony, że nie sprzeciwiała się oddaniu wielbłąda handlarzowi, który miał go zwrócić do właściciela. Obawiał się, że dziewczynka będzie nalegała na sprzedaż zwierzęcia i zachowanie pieniędzy na ewentualne, późniejsze wydatki. Dopiero podczas rozmowy z kupcem Iryk zorientował się, że nie zna nazwiska właściciela dromadera, o które zapomniał zapytać przez niespodziewany wybuch Victorii. Nie miał więc innego wyjścia, jak wysłać zwierzę do jego szwagra. Kupiec okazał się pochodzić z Chilsund, w związku z czym również nie chciał przyjąć żadnej zapłaty. Iryk, nauczony ostatnimi doświadczeniami, nie protestował.

Po przekazaniu zwierzęcia, mnich i dziewczynka bez zwłoki udali się do portu. Zachwyt i wzruszenie, jakich Iryk doznał na widok otwartego oceanu, były wielokrotnie głębsze od tych wywołanych przez step. Po policzku zakonnika spłynęła słona łza, którą szybko otarł rękawem. Na szczęście Victoria, pracę niestrudzenie naprzód, nic nie zauważała. Mnich pragnął być dla niej oparciem, lecz co rusz przekonywał się, że dziewczynka jest od niego dzielniejsza i bardziej

pewna zarówno siebie, jak i swego celu. *Dobrze chociaż, że mam mój niebieski habit. Gdyby nie on, byłbym kompletnie bezużyteczny.*

Dzielnica portowa opadała stromo w stronę oceanu. Idąc w dół głównej drogi wiodącej do nabrzeża, mogli podziwiać dziesiątki wielkich statków handlowych i setki znacznie mniejszych łodzi rybackich. Mimo to Iryk i tak uległ wrażeniu, że przystań świeci pustkami. Przy większości pirów stały pojedyncze łajby, a niektóre w ogóle nie były używane. Nabrzeże miało ponad dwie mile długości, więc mnich uznał, że chodzenie od statku do statku i pytanie ich załóg, czy nie zmierzają przypadkiem do Południowych Krańców, trwałoby zbyt długo. Zamiast tego zdecydował się udać do Urzędu Morskiego, licząc na to, że tam będzie w stanie uzyskać wszelkie potrzebne informacje.

Bez problemu zlokalizował interesujący go budynek. Na tle niskich, rozległych, drewnianych magazynów, które zdominowały portową zabudowę, strzelisty, murowany z jasnego granitu gmach Urzędu Morskiego wyglądał niczym pałac.

Wolałby sam załatwić sprawę, lecz obiecał Victorii, że nie będzie traktował jej jak dziecka, weszli więc do środka razem. Wnętrze budynku aż razifo przepychem. Królowała tu różowe i kremowe marmury, spławiane do Saviserun Niebieskim Węzem z dalekich gór skrywających jego źródło. Meble wykonano z ciemnego, niezwykle wytrzymałe drewna pozyskiwanego z południowych obrzeży Dżungli, wykończonego masą perłową. Pod wysokim sufitem wielkiego holu podwieszono kompletne szkielety wielorybów oraz innych morskich potworów.

Iryk zauważył, że wystrój wnętrza zrobił wrażenie nawet na Victorii, która do tej pory zdawała się nie zwracać uwagi na otaczający ją świat i skupiała się tylko na podróży. Dziewczynka, podobnie jak mnich, całe życie spędziła w głębi lądu. Wiedziała, że Dżungla jest zamieszkała przez straszliwe bestie, lecz z jakiegoś powodu opowieści o gigantycznych stworach z oceanu zawsze uznawała za niedorzecze bajki. Kości wiszące nad jej głową sprawiły, że zmieniła zdanie.

Podeszli do urzędnika, który zajmował się udzielaniem informacji i kierowaniem petentów do odpowiednich pokoi. Mnich przedstawił mu swój problem i został wysłany na pierwsze piętro budynku. Po drodze na wskazane miejsce minął kilku interesantów. Choć wszyscy byli ubrani podobnie, w stylu zarezerwowanym dla ludzi morza, w ich zachowaniu i mowie dostrzegał różnice świadczące o tym, że pochodzili z rozmaitych części Morsstand.

Mieli szczęście i nie musieli czekać w kolejce. Mnich zapukał delikatnie w drzwi o kolorze przejrzystych wiśni i weszli do środka. Przywitał ich młody mężczyzna.

- Młodszy skryba Corbek Jupgeff. W czym mogę bratu,... yyy, to znaczy państwu służyć.
- Dzieci nie były częstymi gośćmi w urzędzie, stąd też obecność Victorii zaskoczyła mężczyznę.
- Chcielibyśmy się dowiedzieć, jakie statki w najbliższym czasie odpływają do Południowych Krańców — zapytał Iryk.

— Do Południowych Krańców? — zdziwił się skryba. — To ostatnio mało popularny kierunek. I wyjątkowo niebezpieczny. Chce brat tam popłynąć czy jedynie nadać przesyłkę lub list?

— Musimy się tam dostać, a przypuszczam, że droga lądowa jest jeszcze mniej bezpieczna. Dlatego szukamy statku.

— Skoro tak, to oczywiście postaram się pomóc.

Skryba wstał zza biurka i podszedł do regału, którego półki wypełniały równo ustawione zwoje papieru. Z tej najwyższej zagarnął całe ich naręcze, wrócił na swoje stanowisko i zaczął przeglądać dokumenty.

Wzdłuż wszystkich ścian pomieszczenia rozmieszczono podobne regały, lecz tylko na tym jednym przechowywano zwoje. Na pozostałych trzymano opaśle księgi zawierające szczegółowe dane o wszystkich statkach, jakie zawitały do portu w czasie ostatniego roku. Iryk domyślił się tego po datach widniejących na grzbietach ksiąg.

Dokumenty portowe były wypełniane według ustalonego schematu, więc ich przeglądanie szło szybko. Po chwili skryba podzielił je na dwie kupki. Pierwsza była bardzo wysoka, a drugą tworzyły zaledwie trzy zwoje.

— Tak jak wspominałem, niewiele statków płyną daleko na wschód. Oczywiście moglibyście najpierw popłynąć do Pasterot, które w normalnych czasach więcej handluje z Południowymi Krańcami, ale obawiam się, że teraz sytuacja tam wcale nie przedstawia się lepiej niż u nas. W każdym razie ze statków, które obecnie stoją w naszym porcie, tylko trzy płyną do Południowych Krańców.

— A gdzie dokładnie płyną te statki? — zapytała wyraźnie ożywiona Victoria.

— Dwa z nich płyną jedynie do Fogeestaat, a trzeci do Peachsout.

— Peachsout! — pisnęła dziewczynka. — Mój tatko jeździł czasami do Peachsout na handel. To cztery dni drogi od mojego domu. Musimy płynąć tym statkiem.

Iryk po raz pierwszy usłyszał w jej głosie radość.

— Pochodzisz z tamtych rejonów? — Corbek Jupgeff nie krył zdziwienia. — To bardzo, hmm, interesujące. Nie chciałbym nastawiać was pesymistycznie, ale z zaciagnięciem się na akurat ten statek możecie mieć problemy.

— Dlaczego? — spytał Iryk.

— Jego kapitanem jest Bart Norplent, na którego wszyscy, nawet on sam, mówią Szalony. Członków swojej załogi Szalony nazywa Głupcami, zaś swoją łajbę ochrzcił mianem *Szalonego Statku Głupców*. Wydaje mi się, że nie wymaga to dalszego komentarza.

— Hmm, faktycznie kapitan musi być dość oryginalną osobistością, lecz czy jest niebezpieczny? Mógłby nam coś zrobić? — Mnich drążył temat.

— Czy niebezpieczny? Sam nie wiem. Na pewno nieprzewidywalny. Jakby to wam wytlumaczyć. — Skryba pomasował czoło, szukając odpowiednich słów. — Jeśli ujrzałby Lewiatana, całkiem prawdopodobne, że próbowałby go złapać. O Szalonym krążą różne legendy. Nie wiem, ile w nich prawdy, w każdym razie w przeciwnieństwie do innych kapitanów jego głównym celem nie jest zarobek. Dla niego liczy się przede wszystkim przygoda. Zapewne z tego też powodu płynie do Peachsout.

— Jeśli naprawdę kocha przygody, to nas zrozumie i przyjmie na statek — stwierdziła Victoria. — Niech pan powie, gdzie go znajdziemy.

Skryba spojrzał pytająco na mnicha. Iryk skinął głową w sposób zezwalający na szczerą odpowiedź.

— Statek stoi przy siódmym pirsie. Zawsze cumuje przy siódemce, chociaż każdy normalny marynarz wystrzega się tej liczby. Gdzie obecnie przebywa Szalony, tego nie wiem. Pewnie w jakieś knajpie bądź burde... — Skryba przez chwilę zapomniał, że rozmawia z mnichem i małą dziewczynką. — Bądź gdzie indziej. Tak czy owak, statek odpływa pojutrze rano.

— Dziękujemy serdecznie. To wszystko, co potrzebujemy wiedzieć — powiedziała Victoria. Dziewczynka ukloniła się grzecznie i wyszła z pokoju.

Swoim zachowaniem ponownie wprowadziła Iryka w zakłopotanie. Skryba musiał odnieść wrażenie, że to ona jest przywódczynią tego duetu. Skołowany mnich życzył urzędnikowi harmonii i pokoju i również opuścił pomieszczenie.

Victoria koniecznie chciała od razu udać się na statek, by sprawdzić, czy nie zastaną tam jego kapitana. Choć Iryk nie był do końca przekonany, czy chce zostać jednym z Głupców, nie próbował się sprzeciwiać. Zdążył się już nauczyć, że nie ma to sensu. Jedynie poprosił dziewczynkę, by trzymała się blisko niego, gdyż przez nabrzeże przewijał się tłum ludzi, a wiele osób wyglądało co najmniej nieprzyjemnie. Mnich nie zwykł oceniać nikogo po wyglądzie, lecz do tej pory całe życie spędził w Chilsund, którego społeczeństwo było wyjątkowo spokojne i praworządne. Dzielnicą portowa w Saviserun nie mogła pochwalić się tym samym.

Dotarli do siódmego pirsu. Był on zdecydowanie krótszy od pozostałych, bo i tak nikt nie chciał z niego korzystać. Nikt oprócz Szalonego. Ujrzał statek, na który mieli nadzieję się zaciągnąć. Karaka wyróżniała się swymi kolorowymi, aczkolwiek wypłoszonymi żaglami, i nieszablonową nazwą niedbale wymalowaną czerwoną farbą na dziobowej nadbudówce. Podeszli do opuszczonego trapu. Victoria chciała wbiec na statek, lecz Iryk zatrzymał ją w porę chwytem za ramię.

— O co ci znowu chodzi? — zapytała pojrytowana.

— Dla marynarzy statek jest jak dom — powiedział. — Nie wiem, czy wolno nam wparowywać na niego bez pytania.

— To co zrobimy?

— Możemy na przykład zwołać.

— Dobrze. To wołaj — odparła.

Mnich nie wiedział, jak nawołują się marynarze, krzyknął więc nieśmiało.

— Halo, jest tam kto?

Nie było żadnego odzewu. Mnich zwołał jeszcze kilka razy, ale bez rezultatu. Statek wydawał się opuszczony.

Niecierpliwa jak zawsze Victoria przyłożyła dlonie do ust, formując z nich krótką tubę.

— Hej głupki, słyszcie mnie? — wrzasnęła swym wysokim głosem. — Szalony kapitanie, pokaż się.

Iryk miał nadzieję, że na statku rzeczywiście nikogo nie ma. Mylił się. Na drugim końcu trapu pojawił się mężczyzna. Wyglądem bardziej przypominał pirata niż porządnego marynarza. Miał na sobie luźne, podarte i postrzępione spodnie oraz rozpiętą, zdecydowanie za dużą, barwną koszulę. Wokół szyi, oprócz czerwonej chusty i opaski na oko, zwisał mu naszyjnik z zębów rekina. Jego długie do ramion, czarne włosy nie widziały grzebienia od kilku dni, a mydła od znacznie dłuższego czasu. Był na bosaka i gdy schodził po trapie, drzazga wbijała mu się w stopę.

— Lewiatan to jebał — zaklął po marynarsku. — Czego chcecie, szczury lądowe? Szukacie problemów?

— Nie, nie, bynajmniej — zająknął się Iryk.

— Ty jesteś Szalony? — spytała się Victoria, która w przeciwieństwie do mnicha nie zlekkała się mężczyzną.

— Ja, Szalony? Nie. Ja jestem tylko Głupcem, skoro z wami rozmawiam. Gadać, czego chcecie, bo mdli mnie od patrzenia na wasze niezaprawione solą gęby.

— Musimy dostać się do Peachsout i jesteśmy gotowi zostać Głupkami — oznajmiła dziewczynka.

— Głupcami, a nie głupkami, bowiem głupkami to już jesteście. Macie chociaż czym zapłacić? — Mężczyzna spojrzał na nich groźnie. — Dobre rady klechy nas nie interesują, a ty jesteś za mała, by płacić w naturze. Może i jesteśmy szaleni, ale nie zboczeni. Przynajmniej w większości, he, he.

Irykowi coraz mniej podobał się pomysł płynięcia tym statkiem, lecz Victoria się nie zrażała.

— Nie mamy pieniędzy, ale mogę śmiało powiedzieć, że jestem bardziej szalona niż wasz kapitan.

— Ciesz się, że nie zwykłem bić dzieci, gówniaro. Nikt nie jest bardziej szalony od Szalonego. Jakim prawem taki szczał jak ty się do niego porównujesz?

— Jak już mówiłam, chcemy dostać się do Peachsout, a tam panuje wojna. Czy to nie oznacza, że jesteśmy szaleni? — zapytała pewna swego.

Głupiec zmierzył ich uważnie podejrzliwym wzrokiem. Kiedy już się napatrzył, rzekł:

— W porządku. Chodźcie za mną. — Odwrócił się i ruszył w górę trapu.

Weszli za nim do dziobowej nadbudówki. Łajba lata świetności miała już za sobą. Pokład trzeszczał boleśnie pod ich stopami, a część ścian była osmolona po niedawnym pożarze. Brak było jakichkolwiek wyszukanych wykończeń stolarki oraz ozdob. Wszystko zostało wykonane topornie i naznaczone zębem czasu.

Wspięli się po schodach na najwyższy poziom nadbudówki i zatrzymali przed wejściem do kapitańskiej kajuty. Głupiec załomotał do drzwi i nie czekając na odpowiedź, wszedł do środka, zostawiając ich na zewnątrz. Po krótkiej chwili pojawił się znowu. Energicznym ruchem główny zezwolił im, by weszli.

Wnętrze kapitańskiej kajuty rozświetlało słońce wpadające przez liczne bulaje. Wszystkie meble znajdujące się w pomieszczeniu ustawiono na jego środku i zabezpieczono przed przemieszczaniem się za pomocą przybitych do podłogi kantówek oraz zastrzałów. Ściany pomieszczenia niemal w całości pokrywała morska panorama z mnogością scen przedstawiających przygody załogi statku. Pełno w nich było groźnych, wodnych stworzeń, morskich bitew, rajskich wysp, portów o niespotykanej architekturze i innych marynistycznych motywów.

Przy jednym z miejsc, gdzie malowidło było niekompletne, stał Szalony. Zbliżył się do czterdziestki, lecz lata spędzone na morzu sprawiły, że wyglądał poważniej. Miał jasne, mocno kręcone włosy i orli nos, który nadawał jego twarzy groźny wyraz. Ubrany był w bardzo elegancką, czerwoną marynarkę założoną na gołe ciało oraz spódnicę w kratę. Podobnie jak Głupiec chodził boso. Zarówno Irykowi, jak i Victorii, w swym ekscentrycznym stroju rzeczywiście wydał się szalony.

— Zaraportowano mi, iż ponoć uznajesz się za bardziej szaloną ode mnie — zwrócił się do dziewczynki, mierząc ją rozbieganymi oczyma. — Jak zamierzasz udowodnić tę wyjątkowo śmiałą tezę?

Victoria nabrąła powietrza w płuca i niemal na bezdechu wylała z siebie istny potok słów:

— Mieszkałam cztery dni drogi na północ od Peachsout. Dzicy napadli moją osadę i wzięli wszystkich do niewoli, w tym moich rodziców. Tylko ja się uratowałam. Na piechotę przeszedłem całe Południowe Krańce, po drodze wielokrotnie ukrywając się przed barbarzyńcami. Przekroczyłem Wschodnią Bramę, uciekłam z obozu uchodźców, pokonałam Katorgę z jednym, małym bukłakiem wody i dotarłam do Chilsund. Tam odmówiono mi pomocy, więc podcięłam sobie żyły, ale ten oto tu dobry człowiek nie pozwolił mi zginąć. Z mojego powodu sam popadł w szaleństwo i porzucił zakon. Zgodził się pomóc mi w uwolnieniu rodziców z rąk dzikusów. By tego

dokonać, musimy dostać się do Peachsout. Tylko wasz statek tam płynie, dlatego tu przyszliśmy.
— Przerwała, by nabrać powietrza. Następne słowa wypowiedziała spokojnie, pewnym, przez co także nieco prowokującym głosem. — Czyż to nie oznacza, że jestem szalona?

Szalony nie potrafił skupić wzroku w jednym miejscu choćby na sekundę, a im dłużej mówiła, to rozbieganie jego oczu zdawało się tylko nasilać, lecz słuchał uważnie.

Gdy dziewczynka zakończyła swoją opowieść, kapitan niespodziewanie zaczął gwizdać. Nie było to jednak zwykłe pogwizdywanie, lecz wyjątkowo skomplikowana i melodyjna zabawa dźwiękiem. Iryk nie wiedział, co takie zachowanie ma oznaczać, był jednak pewien, że nigdy nie spotkał nikogo obdarzonego tak wielkim talentem w tej dziedzinie.

W końcu kapitan przestał gwizdać i rzekł:

— Więc miałbym przyjąć na mój statek mnicha oraz małą, bo małą, ale jednak babę? — zapytał Szalony i zmierzył Victorię groźnym spojrzeniem.

— Tak — opowiedziała głośno i zdecydowanie.

— Zatem witajcie na pokładzie.

Uśmiechnął się szeroko i jego surowa do tej pory twarz przyjęła wyjątkowo przyjazny wyraz. Przykucnął przed Victorią i dodał:

— Faktycznie jesteś szalona. Szalonego w swej odwadze i wytrwałości. Ja oszalałem z nudów, a ty z powodu straty rodziców i dlatego miałaś rację, twierdząc, że twoje szaleństwo jest większe. — Chwycił śmiertelnie poważną dziewczynkę za policzek i delikatnie go wytarł. — A teraz głowa do góry. Załoga Szalonego Statku Głupców ci pomoże, pod warunkiem, że się rozchmurzysz. — Wyprostował się i przyciągnął Victorię za ramię do miejsca, gdzie świenny obraz był niekompletny. — Jak już odnajdziemy twoją rodzinę, to namaluję tutaj twój portret, by zawsze przypominał mi o tym wydarzeniu.

Chociaż Victoria zdawała sobie sprawę z tego, że odnalezienie jej rodziców nie jest niczym pewnym, z jakiegoś powodu optymizm kapitana ją zaraził. Uśmiechnęła się mimowolnie.

Iryk poczuł zazdrość. Jemu ani razu nie udało się wywołać u niej uśmiechu.

— No, od razu lepiej. — Wilk morski pieszczołwiście poczochrał dziewczynkę po włosach.

— A teraz chodźcie, znajdziemy wam jakąś kajutę.

Marynarz z naszyjnikiem z rekinich zębów okazał się być Pierwszym Głupcem, co na normalnym statku odpowiadałoby stopniowi pierwszego oficera. Naprawdę nazywał się Sage Pajem i był najbliższym przyjacielem kapitana, jego prawą ręką i osobą, która starała się chronić go przed najbardziej szalonymi pomysłami. Do zamiaru ratowania rodzin Victorii podszedł entuzjastycznie i się mu nie sprzeciwiał. Był do tego stopnia pozytywnie nastawiony względem nowej dwójki Głupców, że odstąpił im swoją oficerską kajutę, a sam zamieszkał ze zwykłymi marynarzami.

Tę część reszty załogi, która nie spędzała czasu na portowych pijatykach, poznali w mesie podczas obiadu. Była to wyjątkowo specyficzna i kolorowa zbieranina. Wszyscy Głupcy lubowali się w noszeniu najdziwniejszych, często absurdalnych wręcz strojów. Jedynym ograniczeniem była funkcjonalność ubioru, bowiem, jak wytłumaczył im Szalony, ciężko jest wspinać się po maszcie w balowej sukni.

Wszystkim bardzo spodobał się habit Iryka. Do tej pory nikt z nich nie wpadł na pomysł przebrania się za mnicha. Towarzystwo było rubaszne i głośne, ale serdeczne w stosunku do nowych kompanów. Nikt nie zostawał Głucem z przymusu, a Szalony nie tolerował nieuzasadnionej agresji, kłamstwa, zawiści oraz innych destrukcyjnych zachowań i dzięki temu ekipa była bardzo zgrana. Służba na Szalonym Statku Głupców nie była zwykłą pracą, lecz przede wszystkim stylem życia.

Zwariowani ludzie morza od razu przypadli Victorii do gustu. Sposób, w jaki się zachowywali i wyglądały, był tak niecodzienny, że pozwolił jej chociaż na chwilę zapomnieć o zmartwieniach. Szczególnie mocno polubiła Szalonego, a ten zdawał się odwzajemniać to uczucie. Pokazał jej cały statek oraz spędzili kilka godzin na snuciu opowiadań o swoich ryzykownych przygodach, które wspierały dodatkowo malunkami ze ścian swojej kajuty.

Ukształtowany przez ceniących prostotę, skromność i ciszę mnichów Iryk był bardziej sceptyczny, choć starał się tego nie okazywać. Szaleństwo dosyć mocno kłóciło się z harmonią, nie chciał więc w nie popadać bardziej, niż było to konieczne. Uznał, że Victoria jest bezpieczna w towarzystwie kapitana, postanowił się zdrzemnąć. Wyczerpany wielodniową wędrówką oraz stresem związanym z pilnowaniem niepostosznej dziewczynki, spał do rana.

Nazajutrz, na śniadaniu, obecni byli już wszyscy Głupcy. Po posiłku wzięto się do pracy. Należało przygotować statek do rejsu, uzupełnić zapasy oraz załadować towar przeznaczony na handel. Szalony postanowił wypełnić ładownie żywnością, gdyż podejrzewał, że pogrążone w chaosie Południowe Krańce mogą cierpieć z powodu głodu. Prace szły sprawnie i statek z każdą minutą nieznacznie zwiększał zanurzenie. Mnich pomagał, nosząc worki wypełnione mąką i warzywami oraz wtaczając na pokład beczki z suszonym mięsem i rybami. Po południu łajba była już gotowa do wyjścia w morze, więc Szalony pozwolił wszystkim chętnym po raz ostatni przed wypłynięciem zejść na ląd. Iryk postanowił skorzystać z okazji i powiedzieć miasto.

Głupcy próbowali go jeszcze namówić, by poszedł z nimi do knajpy, lecz udało mu się wykręcić, powołując się na mnisie zasady.

Starając się opuścić zatłoczona dzielnicę portową, wybrał drogę wiodącą obok Urzędu Morskiego. Zatrzymał się na chwilę przed budynkiem, by przyjrzeć mu się uważniej, na co nie miał czasu poprzedniego dnia. Odchylił głowę mocno do tyłu i podziwiał wysoką wieżę, która pełniła jednocześnie funkcję latarni morskiej i dzwonnicę.

Nim zdążył nacieszyć oczy widokiem strzelistej konstrukcji, podszedł do niego Corbek Jupgeff, skryba, który wczoraj obsługiwał jego i Victorię.

— Harmonia z tobą, bracie — przywitał się.

— Pokój i harmonia, przyjacielu. Czy mogę ci w czymś pomóc? — spytał się Iryk.

— Pomóc? Nie. Jest jednak ktoś, kto chciałby pomówić z bratem, oczywiście, jeśli nie stanowi to dla brata kłopotu.

— Żyję, by służyć — odparł mnich, używając starej, zakonnej maksymi. — Któż taki chce ze mną rozmawiać?

— Diram Willaw, Niebieski Brat, mentor naszego wielce szacownego zarządcy portu. Czeka na ciebie w swoim gabinecie, na czwartym piętrze. Jeśli brat sobie życzy, mogę mu wskazać drogę.

— Mentor chce ze mną rozmawiać?

Iryk miał mieszane uczucia. Jego wiara w szczytne cele zakonu została ostatnio mocno zachwiana i stracił zaufanie do bardziej doświadczonych braci, z drugiej zaś strony był ciekaw, co może chcieć od niego mentor, którego nawet nie znał. Ostatecznie ciekawość zwyciężyła.

— Prowadź zatem.

Po chwili wspinaczki po schodach znaleźli się na miejscu. Skryba otworzył drzwi, zaanonsował Iryka, a gdy ten wszedł do środka, opuścił pomieszczenie. Diram Willaw okazał się być sędziwym, wszakże energicznym mężczyzną. Jego gabinet był skromny, lecz niczego w nim nie brakowało. Gospodarz poczęstował Iryka słodką, gorącą herbatą, po czym zaprosił go na taras, z którego rozciągał się widok na cały port. Rozsiedli się w wiklinowych fotelach i oddali rozmowie. Iryk poinformował mentora o tym, co słyszać w Ogrodach Harmonii, a ten zrewanżował mu się krótką opowieścią o Saviserun. Młody mnich był jednak pewien, że nie został zaproszony tylko na herbatę i ploteczki. Nie mylił się.

— Ponoć podróujesz razem z jakąś dziewczynką? — zapytał wreszcie Diram Willaw.

— Tak, to prawda. — *Oho, zaraz się dowiem, po co tu przyszedłem.* — Victoria pochodzi z Południowych Krańców. Pomagam jej wrócić do domu i odnaleźć rodziców.

— Więc to dlatego zamierzacie się u Szalonego?

— Owszem. Kapitan obiecał nam swą pomoc. Przyznam, że zachowuje się dosyć osobliwie, ale po bliższym poznaniu mimo wszystko wydaje się sympatyczny. Chyba nic nam nie grozi z jego strony? — Iryk postanowił upewnić się w swym osądzie u kogoś bardziej doświadczonego.

— Szalony kapitan jest niegroźny. Co najwyżej znowu zapragnie zapolować na Lewiatana lub odnaleźć jakiś nowy kontynent, ale krzywdy wam nie zrobi. Bardziej powinieneś obawiać się tego, co zastaniesz w Południowych Krańcach — stwierdził z powagą mentor.

— No właśnie, czy brat ma jakieś informacje o tym, co tam się teraz dzieje?

— Wiem co nieco i nie wygląda to zbyt dobrze, a przypuszczam, że w rzeczywistości może być jeszcze gorzej. Pierwotni spustoszyli niemal całe Południowe Krańce. Spalili osady, ludzi wyrzucili lub wzięli w niewolę. Nie odważyli się zaatakować jedynie największych miast leżących nad oceanem. Ponoć większa część ich armii wróciła już do Dżungli, lecz małe bandy wciąż bezkarnie grasują po krainie.

— Faktycznie nie brzmi to najlepiej — przyznał Iryk. — Może uda mi się namówić kilku Głupców Szalonego, by eskortowali nas chociaż do rodzinnej osady Victorii.

— Na pewno nie zaszkodzi spróbować. Jest spora szansa, że w razie czego rozbroją przeciwnika samym swym wyglądem. — Mentor skrzywił się w wymuszonym uśmiechu. — Jednak póki jest jeszcze czas, przede wszystkim radziłbym ci zastanowić się nad sensem całej wyprawy.

— Obawiam się, że na to jest już za późno. Obiecałem Victorii, że jej pomogę. Nie mogę się wycofać, złamałbym przysięgę.

— Rozumiem, że byłoby to niezręczne, pozwól jednak, że coś ci opowiem.

Nie czekając na przyzwolenie Iryka, mężczyzna kontynuował.

— Jesteś bardzo młody, zapewne dopiero niedawno zostałeś mnichem. Wiem też, że kandydaci są nauczani o historii nie tylko Morsstand, lecz całego Miliphen. Niestety ta nauka skupia się głównie na czasach odległych i niewiele mówi się o obecnej sytuacji panującej na świecie. Było tak już za moich czasów i nie przypuszczam, by cokolwiek w tej kwestii się zmieniło.

Zrobił przerwę, by napić się herbaty.

— Wiesz zapewne, że gdy nasi przodkowie uciekali z Thenorafrein, ich statki dobiły do brzegów Południowych Krańców. Choć kraina ta wydała im się nieprzyjazna, postanowili ją zasiedlić. Zaczęły powstawać wioski, miasta, porty, a budowano głównie z drewna. Trzeba było też karczować puszczę, by pozyskać tereny pod uprawy roślin. Wtedy pojawiły się Pierwotni i powiedzieli, że Dżungla to ich dom i nie życzą sobie, by ją niszczono. Większość ludzi to zrozumiała i zdecydowała się dalej szukać swojego miejsca na tym nowym dla nich kontynencie. Przekroczyli Góry Podziału i odkryli krainę, którą teraz nazywamy Morstaand. Te tereny również nie były nazbyt przyjazne, ale przynajmniej nie napotkano tam problemów z wrogo nastawionymi sąsiadami. Jednak nie wszyscy opuścili Południowe Krańce. Tych, co zostali, ktoś mógłby nazwać odważnymi, lecz ja uważam, że byli po prostu bezczelni i egoistyczni. Pierwotni byli tu pierwsi i w związku z tym mieli prawo do swej Dżungli. Ktoś, kto włazi z buciorami do cudzego domu, nie szuka harmonii, lecz problemów. Nie inaczej było w tym przypadku. Pierwotni i uparci osadnicy zaczęli ze sobą walczyć i walka ta trwa do dzisiaj.

Napił się ponownie.

Iryk mu nie przerywał, choć mentor nie powiedział mu nic, czego by nie wiedział. Siedział w fotelu i obserwował statki wchodzące i wychodzące z portu.

— Wybacz mi, że cię zanudzam. — Diram zauważał, że młody mnich nie poświęca mu całej uwagi. — To była tylko taka powtórka z historii. Teraz postaram się przejść do spraw bardziej aktualnych. Mieszkańcy Południowych Krańców uważali się początkowo za poszukiwaczy harmonii, lecz jak już wspomniałem, gdy nieustannie się wojuje, jej osiągnięcie jest niemożliwe, więc z czasem większość z nich przestała do niej dążyć. Pustkę po tym dążeniu zaczęli wypełniać różnymi mniej lub bardziej absurdalnymi wierzeniami. Choć każda wiara w jakiekolwiek bóstwa, cuda czy inne niestworzone rzeczy jest po prostu głupia, ich wierzenia były w gruncie rzeczy nieszkodliwe. Do czasu aż przed dwiema dekadami nie pojawił się Eutan Tou. Słyszałeś o nim?

— Brat Rimugol coś tam o nim wspominał. Eutan uznał się za proroka i boga jednocześnie, a sporo ludzi uwierzyło w jego wyjątkowość i zaczęło go wielbić. Chyba nic więcej nam nie powiedział.

— Nic dziwnego. Kiedy byłem kandydatem, brat Rimugol pełnił już funkcję opiekuna. Jego wiedza o świecie jest już trochę nieaktualna. Nie wiem, czy Eutan Tou posiada magiczne zdolności, czy po prostu jest dobrym mówcą, bądź co bądź w jego boskość uwierzyła znaczna część mieszkańców Południowych Krańców. Jego poglądy są dosyć drastyczne, można by ująć je w zdaniu: *Kto nie z nami, ten przeciwko nam*. Ci, co nie chcieli wielbić go dobrowolnie, albo zostali zmuszeni do tego siłą, albo zrobiono z nich niewolników. Obecnie tylko w Fogeestaat jego wierni nie stanowią większości. Wszędzie indziej żyje się zgodnie z jego naukami, a te, z naszego punktu widzenia, są nie tylko idiotyczne, lecz również bardzo rygorystyczne, by nie powiedzieć, barbarzyńskie. Przykładowo, jego wyznawcom nie wolno nosić czerwonych ubrań czy używać ognia w czwarty dzień ich tygodnia, a mąż nieposłusznej żony ma prawo tłuc ją do woli. Najgorsze są jednak targi niewolników, gdzie za cenę wołu można kupić dziecko. To tylko kilka przykładów na to, jak nisko ci ludzie upadli, ale zapewniam cię, że jest tego więcej. Czy rozumiesz już, dlaczego ci o tym wszystkim mówię?

Słowa o handlu ludźmi momentalnie przypomniały Irykowi o Yewinie. *Ciekawe, czy wie o tym, że zakon również handluje dziećmi? A jeśli nie wie, ciekawe, jakby zareagował, gdybym mu powiedział*. Rozumiał, że celem starca jest zniechęcenie go do dalszej podróży z Victorią. Nie był tylko pewien, czy kierowała nim troska o młodego mnicha, czy niechęć wobec mieszkańców Południowych Krańców. A może jedno i drugie?

Mentor dostrzegł, że Iryk bije się z myślami, i zdecydował się przemówić do niego prostszymi słowy.

— Dziewczyna nie jest winna temu, że urodziła się w takim, a nie innym miejscu. Chcę jednak, abyś wiedział, że nawet jeśli uda ci się odnaleźć jej rodziców, nie oznacza to, że będzie ona potem wiodła spokojne, szczęśliwe życie. Wojna z Pierwotnymi nigdy się nie skończy, a wyjątkowo trudny okres, którego doświadczają Południowe Krainy, tylko umocni fanatyzm.

Zastanów się więc, czy warto ryzykować życie dla sprawy, w której nawet wygrana będzie miała gorzki smak. Ja uważam, że nie, ale decyzja należy do ciebie.

Spojrzał Irykowi prosto w oczy. Następne słowa wypowiedział z wyraźną troską w głosie:

— Jeśli nie udało mi się odwieść cię od tego pomysłu, to obiecaj mi chociaż, że nie będziesz paradował po Południowych Krainach w habicie. Najlepiej, jakbyś w ogóle zapomniał o tym, że jesteś mnichem. Nas, nauczycieli harmonii, wyznawcy Eutana nienawidzą najbardziej. Słyszałem plotki o tak straszliwych zbrodniach popełnionych przez nich na naszych braciach, że za każdym razem, gdy sobie o nich przypomnę, przechodzą mnie ciarki.

Na tym Diram Willaw zakończył swój wykład.

Iryk nie wiedział, czy trwali w milczeniu minutę, pięć czy piętnaście. Tym razem to Diram wpatrywał się w ocean, szukając harmonii w jednostajnym szumie fal, Iryk natomiast starał się ułożyć w głowie wszystko to, co od niego usłyszał. Jeszcze zanim przybył do Saviserun, był pełen obaw związanych z podróżą na skraj Dżungli, a rozmowa z mentorem tylko te obawy spotęgowała. Chciał wszystko przeanalizować na chłodno, lecz obecność starca go irytowała. Nie mógł się skupić, zdecydował więc, że najlepiej będzie, jak już sobie pójdzie. Podziękował mentorowi za poświęcony czas, pożegnał się wedle zakonnego zwyczaju i opuścił budynek Urzędu Morskiego.

Do końca dnia wciąż pozostawało kilka godzin, jednak nie miał już ochoty na zwiedzanie miasta. Wrócił na nabrzeże, znalazł pirs, przy którym nie cumowały żadne statki, i udał się na jego koniec. Usiadł w pozycji lotosu i oddał się medytacji, licząc na to, że ta, jak zawsze, pomoże mu podjąć właściwą decyzję.

Rozdział siódmy – Zła rzeka

Trzeci dzień piątego obiegu Władcy. 126 dzień roku. Wartegall. Pałac królewski.

Wieczór.

Przez ostatnie kilka tygodni przeżywała istną huśawkę nastrojów. Pod wpływem elizium była pełna pozytywnej energii, optymizmu, zmotywowania do samodoskonalenia oraz pomocy innym. Interesował ją świat, a przede wszystkim Lotherbemm, którego królową miała kiedyś zostać. Wróciła więc do dawno porzuconej nauki, by być dobrze przygotowaną do mądrego rządzenia królestwem. Zaczęła częściej widywać się z ojcem i namówiła go nawet, by pozwolił jej przysłuchiwać się królewskim naradom. Czasami szła na targowisko z kilkoma strażnikami, wykupywała od piekarza całe pieczywo i rozkazywała przerzucić je do drewnianego wózka. Następnie gwardziści ciągnęli wóz przez miasto, a ona rozdawała chleb i bułki biedocie. Jedynie do modlitwy wciąż nie mogła się przekonać, choć namawiał ją do tego król.

Gdy działanie narkotyku ustępowało, stawała się przygnębiona, drażliwa, a nawet agresywna. Chociaż spała po kilkanaście godzin dziennie, wciąż czuła się zmęczona. Znow wydawała się sobie nieatrakcyjna, a jej życie żałosne. Ciągnęło ją do używek, ekstremalnych doznań, przemocy. Inni przedstawiali się liczyć, najważniejsza była ona sama i jej zachcianki. Wtedy też spotykała się z Etoin, której pod wpływem elizium unikała, i jak dawniej wymykały się nocami z pałacu.

Wolała świat i siebie samą po zażyciu narkotyku. Na początku przygody z elizium było ono trudne do dostania, lecz zawsze udawało jej się załatwiać działkę bądź dwie. Z czasem jednak liczba chętnych do nabycia narkotyku zaczęła rosnąć szybciej niż jego ilość na czarnym rynku. Choć popyt wielokrotnie przekraczał podaż, cena działań elizium nie rosła. Nawet Rossy, która nie była ekspertem od zachowań rynku, wydawało się to kompletnie nielogiczne. Najbardziej złościło ją to, że nie mogła wykorzystać swojej pozycji i majątku dla zdobycia czerwonego proszku. Gdyby cena wzrosła, biedota musiałaby zrezygnować z narkotyku bądź ograniczyć jego dawkowanie i ludziom zamożnym, takim jak ona, łatwiej byłoby go dostać.

Jej organizm stopniowo uodparniał się na działanie specyfiku, musiała więc zażywać go coraz częściej. Niestety Etoin, która zawsze chętnie załatwiała jej wszelkie używki, nie chciała robić tego samego w przypadku elizium. Uważała, że narkotyk jest ogłupiający, czyni ludzi słabymi, ale przede wszystkim obwiniała go o to, że przez niego królewna nie chce się z nią spotykać. Rossy była więc zmuszona pozyskiwać go z innych źródeł. Do tej pory polegała na zaprzyjaźnionym gwardziście imieniem Arreed, lecz ostatnio nawet on miał problemy z dostaniem towaru.

Ostatnia działka wystarczyła tylko na trzy dni. Od dwóch była na głodzie. Nic ją nie swędziało, nie bolało, nie odczuwała naprzemiennych fal ciepła i gorąca. Nie wymiotowała, nie

trzęsła się ani nie miała żadnych innych objawów, które występują po odstawieniu innych narkotyków. Miała po prostu ogromnego doła i chciała się go pozbyć. Arleed znów nie był w stanie jej pomóc, postanowiła więc sama zapuścić się w niebezpieczną część miasta i zdobyć elizium.

Opuściła pałac po zmroku. Jak zawsze podczas nocnych eskapad, na wierzch założyła ciemny płaszcz z kapturem, by nie rzucać się w oczy. Gdy włóczyła się z Etoin, nigdy nie odczuwała strachu, albowiem z niewiadomego dla niej powodu ufała, iż obecność przyjaciółki gwarantuje jej bezpieczeństwo. Jednakże teraz była sama i nie czuła się już tak pewnie. Wiedziała, że elizium najprędzej dostanie w najniebezpieczniejszej części stolicy, jaką był Dół.

Dzielnica wcale nie znajdowała się w zagłębieniu terenu, a teorie dotyczące pochodzenia jej nazwy były dwie. Pierwsza łączyła ją z faktem, iż Dół był najdalej na wschód położoną częścią miasta, a w związku z tym znajdował się w dole rzeki Bawterlue. Druga odnosiła się do charakteru tej okolicy. Często bywało tak, że ktoś, kto raz znalazł się w Dole, już z niego nie wychodził. Rossy jeszcze nigdy nie zdarzyło się odwiedzić Dołu, ale słyszała, że roi się tam od handlarzy narkotyków, dziwek i wszelkiej maści zbirów. Jeśli miała gdzieś dostać elizium, to właśnie tutaj.

Przed wyjściem schowała do płaszcza kilka srebrniaków i swój rodowy sygnet. Liczyła na to, że w razie problemów za jego pomocą będzie mogła udowodnić swoją tożsamość, co zapewni jej nietykalność.

Szła prędko, drogą wiodącą wzdłuż rzeki, chowając swoją dziewczętą twarz pod kapturem. Po godzinie marszu dotarła do krańca względnie bezpiecznej części miasta. Dół był od niej oddzielony szerokim na około pięćset stóp pierścieniem przestrzeni pozbawionej jakichkolwiek zabudowań. Stołeczna straż nie zapuszczała się poza tę granicę, gdyż Dół był zbyt niebezpieczny nawet dla nich. Dzielnica stanowiła więc getto, w którym nie obowiązywało królewskie prawo ani nawet prawo pięści, lecz prawo sztyletu.

Kiedy znalazła się na pasie ziemi niczyjej, przeszły ją zimny dreszcz. Spojrzała w niebo. Władca właśnie przeganiał Czarnego Księcia. Nie była pewna, czy to dobry, czy zły omen. W przeciwieństwie do większości Lothebemczyków nie doszukiwała się znaków we wzajemnym położeniu ciał niebieskich tworzących dwa pierścienie okalające planetę.

Pierścień zewnętrzny, zwany także Dużym, przysłaniający dziesiątą część nieboskłonu, składał się głównie z niezählonej liczby niewielkich okruchów, które co dzień po południu wywoływały częściowe zaćmienie słońca trwające około godziny, zaś w nocy bajecznie migotały, rozświetlając mrok. Jedynym dużym obiektem wchodząącym w skład Zewnętrznego Pierścienia, a zarazem największym satelitą planety, był Księże. Jego rozmiary i związana z nimi grawitacja tworzyły dookoła niego wyrwę w obręczy kosmicznego pyłu.

Jedno okrążenie Księcia wokół Ziemi trwało kalendarzowy rok. Mieszkańcy Lotherbemm przyjmowali, że dzień, w którym pojawienie się Księcia na niebie następuje dokładnie o świcie, wyznacza początek zarówno nowego roku, jak i kalendarzowej zimy. Natomiast, gdy po pół roku satelita ukazywał się dopiero o zmierzchu, uważało, że oto rozpoczyna się lato. Zima była więc okresem panowania Białego Księcia, lato Czarnego, jesień należała do Księcia Półmroku, a wiosna do Księcia Półjasności.

Pierścień wewnętrzny, zwany również Małym, był nachylony względem Dużego pod kątem dwudziestu sześciu stopni. Był też węższy, lecz wyłączając Księcia, uformowany ze znacznie większych obiektów. Astronomowie naliczyli ich przeszło tysiąc, ale tylko kilkadziesiąt największych otrzymało własne nazwy, a do mierzenia upływu czasu wykorzystywano jedynie cztery najbardziej charakterystyczne.

Pierwszym z nich był Władca – największy satelita wchodzący w skład Małego Pierścienia, choć mimo wszystko znacznie mniejszy od Księcia. Nazwę zawdzięczał swoim rozmiarom oraz temu, że sam posiadał własne, krążące wokół niego księżyce. Kolejne były Bliźniaki, dwa niemalże identycznych rozmiarów ciała niebieskie wirujące względem siebie w powolnym tańcu. Ostatni był Biały Karzeł. Otoczony przez większe od niego, ciemne, kosmiczne skały, wyróżniał się swym jasnym kolorem.

Pomimo iż Mały pierścień krążył wokół planety w szaleńczym tempie, nie było to zauważalne, bowiem w czasie, gdy planeta wykonywała trzydzieści obrotów względem własnej osi, pierścień robił wokół niej trzydzieści jeden okrążeń. W związku z tym osobie obserwującej ruch Białego Karła z Ziemi wydawało się, że jego podróż przez nieboskłon trwa ponad trzydzieści razy dłużej niż w rzeczywistości.

Pojawienie się Władcy na niebie oznaczało w Lotherbemm początek nowego miesiąca. Każdy normalny miesiąc trwał trzydzieści dni. Pierwsze trzynaście dni należało właśnie do Władcy. Choć był on widoczny jeszcze przez dwa następne, to były one już dniami Bliźniaków, podobnie zresztą jak siedem kolejnych. Przez ostatnie osiem dni miesiąca królował Biały Karzeł. Gdy więc ktoś mówił, że jakieś wydarzenie miało miejsce *czwartego dnia Bliźniaków*, oznaczało to siedemnasty dzień miesiąca. Poszczególne miesiące nie posiadały własnych, unikatowych nazw, lecz jedynie je numerowano. Częściej też używano określenia *obieg* niż *miesiąc*. Przykładowe, pełne datowanie brzmiało więc tak: *Trzeci dzień piątego obiegu Władcy w roku dwa tysiące pięćset dwudziestym piątym*.

Lotherbemmski tydzień trwał sześć dni. Ich nazwy czciły święte rzeki oraz jedynego boga Trójkrólestwa i poczynając od pierwszego dnia tygodnia, brzmiały następująco: Dzień Źródła, Dzień Potoku, Dzień Strumienia, Dzień Rzeki, Dzień Ujścia, Dzień Sprawiedliwego. Ten ostatni był wolny od pracy.

Jako że dni w roku było trzysta sześćdziesiąt pięć, która to liczba nie jest wielokrotnością trzydziestu, to poza podstawowymi dwunastoma miesiącami, w Lotherebemm występowały również miesiące zerowe oraz trzynaste. Mieszkańcy Morsstand, którzy posługiwali się odmiennym i w ich przekonaniu dużo prostszym kalendarzem, często naśmiewali się ze swoich północnych sąsiadów z powodu ich skomplikowanego sposobu liczenia upływu czasu.

Królewna stała przez chwilę, myśląc o tym, by zwrócić, ale ostatecznie zatrzymała uzależnienie. Weszła między mizerne, rozwalające się drewniane chaty i uliczki tak wąskie oraz kręte, że nie mogłyby istnieć w innej części miasta, gdyż nie zezwoliłby na to naczelnego architekta stolicy. Miała nadzieję nabyć elizium gdzieś na obrzeżach Dołu i szybko z niego uciec, niestety, okazało się to niemożliwe, albowiem były one kompletnie wymarłe.

Kluczyła między zabudowaniami przez dobrych kilka minut, nim wreszcie znalazła się na szerszej drodze. Dopiero tutaj pojawiły się pierwsi ludzie, lecz byli to głównie zataczający się pijaczkowie, z którymi wolała nie mieć do czynienia. Podążała dalej główną ulicą, licząc na to, że napotka jakieś prostytutki, jako że ich obawiała się najmniej. W końcu kobiety lekkich obyczajów zaczęły się sporadycznie pojawiać, jednak żadna nie miała bądź nie chciała sprzedawać elizium. Piąta z zaczepionych dziwek powiedziała jej wprost:

— Ty się urwałeś z Bliźniaków czy z Karła? Gdybym miała elizium, to bym tu nie stała, nie? — Źuła gumę z żywicy świerku, by zwalczyć odpychający zapach psujących się zębów. Zabieg nie przynosił większych rezultatów. — Popytaj lepiej chłopaków z Cichej Rzeki, oni mają monopol na handel elizium.

— A gdzie ich znajdę i jak rozpoznam?

— Pfff, ty tu chyba faktycznie nigdy nie byłaś, co złociutka? Nie wiem, skąd pochodzisz, ale tutaj za informacje trzeba płacić.

Rossy sięgnęła do kieszeni, wyjąła z niej srebrniaka i wręczyła ladacznicę. Ta zważyła monetę w dłoni, jakby coś się jej nie zgadzało. Podniosła pieniążek wysoko, by obejrzeć go w świetle Księcia, który pomału chował się już za horyzont.

— Korona? Ot, tak, chodzisz sobie po Dole z koronami w kieszeni? Za mądra to ty nie jesteś. Masz szczęście, że trafiłaś na mnie, a nie na jakiś zwykłą kurwę — powiedziała z pełną powagą. — Idź tą drogą aż dojdziesz do placu. Każdy zbir, którego tam spotkasz, należy do Cichej Rzeki. Tylko nie brzęcz im tam tymi srebrniakami, bo zabiorą ci wszystko. Masz chociaż jakieś miedziaki?

— Nie — przyznała zakłopotana Rossy.

— Na litość boską, dziewczyno, chyba gryf cię tu zrzucił. — Teraz to dziwka sięgnęła do swojej kieszeni. — Masz tu pięć asów, więcej nie potrzebujesz.

— Dzię... dziękuję — powiedziała z niedowierzaniem królewna.

Nigdy nie spodziewałaby się takiego zachowania po prostytutce i to w takim miejscu.

Dziesięć minut później dotarła do placu. Po tym, co widziała do tej pory, nie przypuszczała, że będzie taki duży, choć i tak z centralnymi placami innych dzielnic nie mógł się równać. Wokół placu znajdowała się cała masa spelun tak odpychających, że bałaby się do nich wejść nawet w obstawie królewskich gwardzistów. Na szczęście na zewnątrz też kręciło się sporo ludzi. Wypatryła wśród nich groźnie wyglądającego, wysokiego mężczyznę z toporem ostentacyjnie zwisającym u pasa. Pełna obaw podeszła do niego i nieśmiało zagadnęła.

— Najmocniej pana przepraszam. Czy nie ma pan może na sprzedaż elizium?

Mężczyzna był wyraźnie zaskoczony pytaniem.

— Zdejm kaptur, jak do mnie rozmawiasz — rozkazały stanowczym tonem.

Rossy wykonała polecenie.

— Kim jesteś? Jakąś nową kurwą? Bo cię nie kojarzę?

— Nie, ja nie. Ja tylko chcę kupić trochę elizium — bardziej wymruczała, niż powiedziała.

— Czy ja ci wyglądam na handlarza? Ty jakaś pomylona jesteś czy ki chuj?

— Przepraszam, nie chciałam panu przeszkadzać. To ja już sobie pójdę.

Już się odwracała, gdy chwycił ją mocno za ramię.

— Gdzie uciekasz? Elizium chcesz, tak? To ja ci pokażę, gdzie dostaniesz elizium. — powiedział i przyciągnął ją stanowczo do siebie.

Próbowała się przeciwstawić, ale prędko zrozumiała, że to bez sensu. Sporą rolę odegrał też wewnętrzny głos, który szeptał: *Musisz zdobyć elizium, a ten człowiek ci w tym pomoże*. Zbir wyprowadził ją z placu i znów znalazła się wśród krętych uliczek. Po chwili kluczenia między drewnianymi domami dotarli przed budynek, który nie pasował do otoczenia. Po pierwsze był murowany z kamienia, a po drugie naprawdę duży. Przed wejściem stało dwóch drabów, którzy złowieszczo uśmiechnęli się do prowadzącego ją mężczyznę.

Weszli do środka.

Szerokimi, uformowanymi w łuk schodami dostali się na piętro zrujnowanego dworu. Idąc korytarzem, słyszała odgłosy libacji oraz miłosne jęki jakiejś kobiety. Zatrzymali się przed solidnymi drzwiami, przy których stało kolejnych dwóch ochroniarzy. Jej przewodnik szepnął coś do jednego z nich. Mężczyzna wszedł do środka. Po minucie drzwi się otworzyły i kazano im wejść. W progu minęła kobietę, której to zawodzenie słyszała przed momentem. Pomieszczenie było obszerne, znajdowało się w nim sporo mebli, ale najbardziej w oczy rzucało się olbrzymie łóżko z baldachimem.

— Przepraszam za najście szefie, ale mam tu kogoś, kto może cię zainteresować. — Bandzior wreszcie puścił ramię Rossy.

— Zobaczmy. — Przywódca gangu stał koło łóżka, trzymając w ręce puchar z winem. Ubrany był jedynie w płócienne spodnie. Był już po trzydziestce, miał piwny brzuch, a braki

owłosienia na głowie nadrabiął gęstą szczeciną na klatce, ramionach i górze pleców. — Ściagnij te szmaty i pokaż, co pod nimi skrywasz.

Królewna zrobiła krok w stronę drzwi, lecz drogę zastąpił jej zbir z toporem.

— Ja chciałam tylko kupić trochę elizium. Nic więcej — wyjąkała.

— Mam elizium, mam całą skrzynię tego magicznego, czerwonego proszku, którego tak wszyscy pożąдают. — Podniósł z szafki drewnianą szkatułkę i otworzył ją. W środku była taka ilość narkotyku, która wystarczyłaby Rossy na cały rok. — Niestety jego dostawca zmusił mnie, bym nie przekraczał ceny pięciu asów za działkę. Nie wspomniał jednak nic o tym, że nie mogę pobierać opłaty w inny sposób. Chyba więc rozumiesz, że pieniądze wolę brać od zapijaczonych dziadów i starych, bezżeńskich kurew, a dzierlatki, takie jak ty, płacą całe.

— Nie waż się mnie tknąć — rzuciła do topornika, który wyciągnął ręce, by zerwać z niej ubrania. — Wystarczy jedno moje słowo, by skazać was wszystkich na śmierć. — Siegnęła do kieszeni po sygnet. — Jestem Rossy Scond, królewska córka i następczyni tronu. Oto dowód. — Pokazała złoty pierścień półnagiemu mężczyźnie.

Szef bandytów wyszarpał biżuterię z jej dłoni, obejrzał uważnie i sprawdził zębami autentyczność złota. Pokiwał z uznaniem głową i położył przedmiot na szafce, obok szkatułki z narkotykiem.

— Wygląda na prawdziwy, ale to niewiele zmienia — oznajmił chłodnym głosem po chwili namysłu. — Nie masz ze sobą ochrony. Jestem pewien, że nikt nie wie o tym, iż opuściła swoje komnaty. Nawet jeśli byś nie wróciła, to miejsce jest ostatnim, w którym będą cię szukać. Mimo wszystko nie jestem potworem i dopilnuję, byś dotarła na zamek w jednym kawałku. Dostaniesz nawet elizium.

Gestem dłoni dał Rossy znak, by mu nie przerywała. Podniósł głos.

— Ale dać dupy będziesz musiała. Widzisz, wychowałem się w slumsach, a doszędłem na sam szczyt przestępczego świata. Myślałem, że resztę życia spędzi na ruchaniu dziwek i chlaniu drogiego wina. Rycerzem przecież nie zostanę. Innymi słowy, monotonia jak chuj. Aż tu nagle zjawiasz się ty. Ilu moich poprzedników ruchało królewne, ha? Żaden. Dlatego ci nie odpuszczę. Pozostaje pytanie, czy zgodzisz się na to po dobroci, czy będziemy musieli cię zmusić?

Była bliska łez, ale się nie rozpłakała. Pomyślała sobie, iż królewnie nie przystoi płakać przed byle zbirem. Nie mogła już nic zrobić, postanowiła więc przyjąć swój los z honorem. Zrzuciła płaszcz i zaczęła ściągać błękitną suknię, którą miała pod spodem. Bandyta, który ją tu przyprowadził, zrozumiał, że nie będzie już potrzebny i wyszedł. Herszt Cichej Rzeki dolał sobie wina, rozsiadł się wygodnie na łóżu i przyglądał się królewnie.

Czwarty dzień piątego obiegu Władcy. 127 dzień roku. Wartegall. Pałac królewski. Sala Narad. Południe.

Królewskie narady odbywały się trzy razy w tygodniu. W Dniu Źródła monarcha rozmawiał z królewskim skarbnikiem oraz królewskim zarządcą o państwowych finansach, gospodarce, rolnictwie i potrzebnych inwestycjach. Decydował, na co przeznaczyć dodatkowe pieniądze, a gdzie szukać oszczędności. W Dniu Strumienia spotykał się z marszałkiem królewskiego wojska i szefem Wywiadu Zewnętrznego, by omówić problemy armii i wysuchać raportu o zagranicznych wydarzeniach. W Dniu Ujścia naczelnego dyplomata przekazywał mu istotne wiadomości z życia lotherbemmskiej arystokracji, doradzał, jak odpowiedzieć na kierowane do niego prośby, i pomagał w rozstrzyganiu sporów między szlachcicami, natomiast szef Wywiadu Wewnętrznego informował go o nastrojach społecznych, wykrytych spiskach, bulwersujących przestępstwach i poczynaniach niepaństwowych organizacji.

Tego dnia przypadał właśnie Dzień Ujścia i naczelnego dyplomata David Nowesh oraz szef Wywiadu Wewnętrznego Leo Jo'Keeffe czekali w sali narad na przybycie monarchy. Siedzieli w ciszy, gdyż nie darzyli się sympatią. Nowesh posiadał wszystkie cechy wymagane od osoby na jego stanowisku: był doświadczony, zawsze opanowany, elokwentny, przekonywujący, potrafił załagodzić najgorętszy spór oraz być zdecydowanym, gdy zachodziła taka konieczność. Prywatnie był osobą bardzo życzliwą, ciepłą i uczynną. Kochał Lotherbemm i jego króla, z którym znał się od dzieciństwa, gdyż wychowywali się razem. Szef Wywiadu Wewnętrznego uważał za żądnego władzy karierowicza. Obawiał się, że dobro kraju nie jest dla niego najistotniejsze, jednak póki co nie mógł zarzucić mu nic konkretnego i mimo wszystko musiał docenić jego talenty oraz skuteczność, z jaką wykonywał swoje obowiązki.

Lottar Scord wreszcie się pojawił. Nowesh i Jo'Keeffe wstali z krzeseł i poklonili się nisko. Władca zasiadł do niewielkiego, trójkątnego stołu i dał im znak, że również mogą spocząć. W Sali Narad znajdował się jeszcze jeden stół, znacznie większy, z którego korzystano podczas rzadko zwoływanych, zazwyczaj w czasach wojny, Narad Wyjątkowych. Mebel miał kształt wieloboku złożonego z wąskich trójkątów skierowanych ostrym wierzchołkiem do środka. Na Naradę Wyjątkową król miał możliwość zaproszenia każdego, kto mógł okazać się pomocny, lecz na ogół ograniczał się do swoich doradców, przedstawicieli zachodniej i północnej prowincji oraz najbardziej doświadczonych generałów.

— Przepraszam was panowie za to, że musieliście czekać. Zasiedziałem się w kaplicy. — Król nie musiał tłumaczyć się przed nikim, lecz na starość spokorniał i traktował wszystkich z rzadko spotykanym u monarchów głębokim szacunkiem i przesadną kurtuazją. — Davidzie, może zaczniemy od twojej relacji?

— Oczywiście, Wasza Wysokość. — Prywatnie Nowesh zwracał się do króla po imieniu, lecz gdy w pobliżu znajdują się ktoś jeszcze, zawsze przestrzegał dworskiej etykiety. — Z

przykrością informuję, że twój siostrzeniec nadal jest więziony przez piratów na jednej z wysp Zatoki Gryfów. Jednym ich żądaniem wciąż pozostaje to, byśmy nie wysyłali w ten rejon żadnych okrętów.

— Codziennie modlę się o tego chłopca. Nie mogę zrozumieć, o co chodzi tym porywaczom. — Król nerwowo stukał palcami o blat stołu. — Przecież w tamtym rejonie nie ma nic ważnego, czemu więc zależy im na jego blokadzie?

— Niestety, również nie jestem w stanie odpowiedzieć na to pytanie — przyznał z nieudawanym smutkiem Nowesh.

— Może to wcale nie jest porwanie — wtrącił Leo. — Może twój siostrzeniec wszystko upozorował.

— Dlaczegoż miałyby zrobić coś podobnego? — zapytał zdziwiony król.

Szef szpiegów potarł się po fantazyjnie wymodelowanym zaroście. Choć zbliżała się już do czterdziestki, wyglądał znacznie młodziej. Był szczupły, przystojny i uwielbiał nosić modne, drogie ubiory. Rekompensował sobie w ten sposób lata przepracowane na niższych szczeblach kariery w wywiadzie, podczas których często musiał nosić zwykłe łachy, gdyż tego wymagała misja. Teraz był szefem Agencji, jedną z najpotężniejszych osób w kraju, co lubił podkreślać swym wyglądem. Poprawił puchate mankiety rękawów i przedstawił swoją teorię wydarzeń.

— Zawsze lubił przygody i obracał się w egzotycznym towarzystwie, zaś jego ojciec próbował go ograniczać i trzymać blisko siebie. Może młody wymyślił to porwanie, by móc swobodnie podróżować. Przed wyjazdem z Rodawnzaru powiedział, że chce popłynąć na Milfgard. To najdroższy, przepraszać Waszą Wysokość za wyrażenie, burdel na świecie. Zapewne wziął ze sobą dużo pieniędzy, ale wcale nie popłynął na Milfgard, lecz daleko na południe, do Południowych Krańców, lub dalej na zachód, do Morsstand.

— Muszę przyznać, że to możliwe. — Władca zmarszczył czoło w zamyśleniu. Jego siostrzeniec zawsze sprawiał problemy, nie mógł go jednak zostawić bez pomocy. Był drugi w kolejce do tronu Lotherbemm, a jego ojciec piastował urząd zwierzchnika Zachodu. — Dobrze, że moja świętej pamięci siostra nie musi się już martwić o tego nicponia. Niestety, dopóki nie mamy pewności, że faktycznie nie został porwany, musimy spełniać żądanie piratów, tym bardziej, że nic nas ono nie kosztuje.

— Co sądzicie panowie?

— Król oczywiście ma rację. — Monarcha był jedyną osobą, której Jo'Keffe się jeszcze podlizywał. — Zapewniam Waszą Wysokość, że moi ludzie od początku zaistnienia sytuacji robią wszystko, by potwierdzić lub wykluczyć uwięzienie Nicka przez piratów. Jednak ze względu na ich żądania nasza praca jest utrudniona.

Dzięki swojemu doświadczeniu Nowesh dostrzegł niezauważony przez władcę niepokój w głosie szpiega. Przez chwilę zastanawiał się, czym mógł być on spowodowany. Król oczekujący jego opinii wyrwał go z zamyślenia:

— Davidzie, czy masz coś do dodania? Jeśli nie, to możesz przejść do następnych spraw.

— Przepraszam najmocniej. Zadumałem się nad niepewnym losem twoego siostrzeńca, Wasza Wysokość. — Wyszkolony dyplomata zamienił swoje zamyślenie w troskę o monarszego krewniaka. — Niestety, mam kolejną smutną wiadomość. W wieku pięćdziesięciu ośmiu lat zmarł Roger Moya, władca na zamku w Libdun. Przyczyną śmierci był atak serca. Władzę po nim odziedziczył jego syn Gujckas.

— To faktycznie przygnębiająca nowina. Stary, dobry Roger był mi wiernym przyjacielem. Szkoda, że tak rzadko się widywaliśmy. Jak napiszesz już list z kondolencjami, przynieś mi go, bym mógł się osobiście podpisać — król polecił dyplomacie.

— Oczywiście. Poza tymi dwiema sprawami chciałem jeszcze powiadomić waszą wysokość o rosnącym napięciu między zachodnią i północną prowincją. Twój szwagier wystosował ponoć dość ostry list do Bruno Someja, myślę jednak, że sir Leo będzie miał w tym temacie więcej do powiedzenia ode mnie.

— O co im znowu chodzi? Dlaczego nie mogą się dogadać? — Król zwrócił się do szefa wywiadu.

— Chodzi cały czas o to samo, a mianowicie o handel z Sinmow. Twój szwagier, panie, oskarża Welfare o przekupywanie władz Sinmow, by te nie zezwalały kupcom na korzystanie ze szlaku prowadzącego do Daying. W ten sposób cały handel odbywa się na Północy.

— Czy posiadasz jakieś dowody potwierdzające te oskarżenia?

— Nie, ale sprawa rzeczywiście jest podejrzana. Co prawda droga z Sinmow do Daying jest trudniejsza od tych wiodących do Welfare, mimo wszystko nie tłumaczy to, dlaczego choćby jeden kupiec nie chce z niej korzystać. Dziwi to tym bardziej, że Zachód kusi ich korzystniejszymi cenami od tych oferowanych przez Północ.

— Nie mogę nic zrobić, skoro nie mamy żadnych twardych dowodów. Musimy poczekać na rozwój wydarzeń. Leo, niech twoi ludzie spróbowią dowiedzieć się czegoś więcej.

— Tak jest, Wasza Wysokość. Jeśli można, przejdę teraz do mojego raportu.

Król skinięciem głowy wyraził swoje przyzwolenie.

— Brak wymiany handlowej z Sinmow nie jest jedynym problemem Zachodu. Od kilku obiegów po zachodniej stronie Górz Podziału nie spadła kropla deszczu i już wiadomo, że w tym roku będą co najwyżej dwa żniwa. Nie bez znaczenia jest też fakt zmniejszania się terenów uprawnych wskutek rozrostu pustyni na południu. Niektórzy hrabiowie w ciągu kilku ostatnich lat utracili większość swoich ziem. Żądają oni od szwagra Waszej Wysokości przyznania im nowych włości, lecz jest to niemożliwe, gdyż Zachód nie ma już żadnej ziemi do rozdania. Głodujący

chłopi porzucają swych panów i migrują na północ. Większość z nich osiedla się na obrzeżach Welfare. Jeśli tempo tej ucieczki się utrzyma, to już niedługo Welfare będzie ludniejsze od Wartegall. Generalnie rzecz ujmując, sytuacja Zachodu jest nieciekawa. Zarówno pospółstwo, jak i szlachta, są mocno niezadowolone.

— Na powiększanie się pustyni oraz susze nawet król nie jest w stanie nic poradzić — zauważył Lottar Scond. — A nawet gdybym mógł coś z tym zrobić, to nie ośmieliłbym się ingerować w plany Sprawiedliwego. Pogoda i wszystkie zjawiska z nią związane są jego domeną. Zostawmy więc już Zachód i powiedz mi, co dzieje się w pozostałych prowincjach.

— Północ wciąż się bogaci, chociaż też zaczyna im powoli brakować ziem. W najlepszej sytuacji jest oczywiście Południe, którego terytorium rośnie na skutek wycinania puszczy. Póki co, w tym roku pogoda dopisuje, a nadwyżki pożywienia są sprzedawane na Zachód. Niepokoić mogą jedynie coraz częstsze głosy domagające się autonomii dla Południa. W Dumserlan nie spodobało się, iż Wasza Wysokość osiedlił ostatnio na ziemiach graniczących z Dżungią kilku szlachciców z północnej części naszej prowincji. Moi ludzie skrupulatnie zbierają informacje o tych, którzy otwarcie okazują swoje niezadowolenie.

— Bardzo dobrze — przyznał z aprobatą władca. — Gdyby zaczęli się poważnie buntować, podejmij stosowne kroki według własnego uznania. Ufam w twój słuszny osąd sytuacji.

— Dziękuję za te słowa, Wasza Wysokość. — Szef wywiadu rzucił Noweshowi krótkie, wyzywające spojrzenie. Zdawało się mówić: *Uważaj*. Umknęło ono oczywiście uwadze króla. — Powiedziałbym, że w stolicy i pozostałych miastach naszej prowincji panuje względny spokój, gdyby nie coraz częstsze donosy moich agentów o ludziach bredzących coś o jakiejś Białej Królowej.

— Białej Królowej? A kto to niby jest? — Lottar nie krył zdziwienia.

— Początkowo przypuszczałem, iż chodzi o twoją córkę, Wasza Wysokość. Rossy zaczęła ostatnio rozdawać żywność stołecznej biedocie i dokonywać innych, szlachetnych czynów. Często chodzi też ubrana w białą suknię, myślałem więc, że pospółstwo zaczęło ją wielbić i stąd te pogłoski o Białej Królowej.

— Nie wiedziałem, że Rossy udziela się charytatywnie. Wyrosła na szlachetną i skromną dziewczynę. Obawiam się tylko, że nie są to najważniejsze cechy dla władcyni. Swoją drogą ciekawe, dlaczego nie chciała wziąć udziału w dzisiejszej naradzie. Ostatnimi czasy nie opuściła żadnego posiedzenia. Gdy skończymy nasze spotkanie, przypomnijcie mi, bym polecił straży sprawdzić, czy wszystko u niej w porządku.

— Oczywiście — przytaknęli obaj mężczyźni.

— Mówisz jednak, że to nie ona jest tą Białą Królową?

— Tak. Po przesłuchaniu kilku osób, które o niej wspominały, okazało się, iż wszystkie były uzależnione od nowego narkotyku, który nazywa się elizium. Staramy się ustalić, kto go wytwarza, ale na razie bez rezultatów. Mogę zapewnić Waszą Wysokość, że wkrótce będę wiedział więcej w tej kwestii.

— Czyli rozumiem, że to tylko bełkot ćpunów. Że też ludzie popadają w takie paskudne nałogi. Najwyraźniej brakuje im wiary i modlitwy. Poproszę kapłanów, by mocniej przyłożyli się do szerzenia nauk Sprawiedliwego. Może to ograniczy popularność tego święństwa.

— Świeży pomysł, Wasza Wysokość — stwierdził Leo.

— Czy to już wszystko, o czym chcieliście mnie dzisiaj poinformować?

Obaj potwierdzili. Nowesh był już zmęczony lizusostwem i drobnymi zaczepkami szpiega, a Jo'Keffe informował króla tylko o tym, o czym musiał.

— Dobrze, w takim razie zaraz kończymy naradę. Mam tylko jeszcze jedno pytanie. Do ciebie, Leo.

— Tak, Wasza Wysokość?

— Podслушаłem wczoraj przez przypadek dwóch strażników. Rozmawiali o ostatnich poczynaniach Gildii Zabójców. Zainteresowało mnie to, gdyż zazwyczaj działają oni w sposób, który nie pozostawia żadnych śladów. A tym razem ponoć specjalnie zostawili kogoś przy życiu. Czy wiesz może coś więcej w tej sprawie?

— Owszem, choć nie przypuszczałem, że może to zainteresować Waszą Wysokość.

— Czuję wyjątkowo silny wstręt do tej organizacji. Pamiętacie zapewne, jak wypowiedzieli wojnę Wierze i Inkwizycji. Gdyby Inkwizycja nadal istniała, na pewno nie byłoby chociażby takich problemów z narkomaństwem jak teraz, nie wspominając już o innych sprawach. Problemy ludzi w większości wynikają z odejścia od nauk Sprawiedliwego. I nie zdziwiłbym się, gdyby to Gildia Zabójców stała za tym elizium.

— Być może. Będziemy musieli się temu przyjrzeć — stwierdził szpieg, choć nie wierzył, by elita zabójców nagle zajęła się handlem narkotykami. — Wracając do ich ostatniej akcji, faktycznie przy Wschodnim Gościńcu znaleziono wciąż żywego mężczyznę, którego Arad úš okaleczyli w sposób wyjątkowo brutalny. Nie chciałbym tu wchodzić w szczegóły, gdyż opis tortury, której został poddany, nawet we mnie wzbudził obrzydzenie. Muszę jednak zaznaczyć, że jego zeznania nie są do końca wiarygodne, gdyż w trakcie ich składania miał wysoką gorączkę wywołaną zakażeniem, które ostatecznie zakończyło jego życie dwa dni później. Na dodatek jego opis zabójców był dosyć osobiasty. Twierdził, że jeden z nich silą i posturą przypominał małego niedźwiedzia, drugi miał siedem stóp wzrostu, a ostatni posiadał ogon.

— Wcale nie musiał kłamać — ocenił król. — Jeśli dobrze pamiętam, Arad úš oznacza *Słudzy Krwi*. Nawet w nazwie chwalą się paraniem plugawą magią. Bezbożnicy. — Król dawno nie był tak rozgniewany.

— Jeśli mogę spytać, kim był ten nieszczęśnik? Kto złożył na niego zlecenie i dlaczego? — Nowesh, który od długiego czasu milczał, włączył się do rozmowy. W przeciwieństwie do króla, zaślepionego przez wiarę i jej sztywne zasady, chciał ujrzeć sprawę z szerszej perspektywy.

— Miejscowi twierdzą, że był rozbójnikiem. Wraz ze swoją bandą napadał na okoliczne wioski i podróżujących kupców. Przypuszczamy właśnie, że to tamtejsza ludność zorganizowała się i wezwała Gildię.

— A dlaczego ludzie zgłaszają się z takimi sprawami do Gildii Zabójców, a nie do swoich panów? — Dyplomata drążył temat, w którym dostrzegał poważniejszy problem. Podobnie jak większość społeczeństwa czuł respekt do Arad úš. Wiedział, że nie zabijają oni dla zabawy, lecz tylko na zlecenie. W jego opinii byli więc, co prawda legendarnym, ale tylko narzędziem.

— Bandyci mieli ukrywać się w lesie, którego jedna część leży na naszym terenie, a druga w Północnej Prowincji. Hrabiowie odpowiedzialni za te ziemie przerzucali się nawzajem odpowiedzialnością. Poza tym prawo też jest tu pewną przeszkodą. Arad úš nie pyta o dowody, nie robi żadnej rozprawy, tylko bierze złoto i zabija wszystkich, jak leci. Dlatego ludzie się do nich zwracają. — Leo był wyraźnie znudzony tym tematem.

— Barbarzyńcy. Barbarzyńcy i bezbożnicy. Dobrze byłoby się z nimi kiedyś w końcu rozprawić. Samym swoim istnieniem obrażają Sprawiedliwego i podważają autorytet państwa. Wiem, że akurat mi najmniej przystoi uskarżanie się na nich. Gdyby tylko nie byli tak niebezpieczni, z chęcią zerwałbym tę hanebną umowę. — Monarcha miał na myśli porozumienie zawarte pomiędzy Arad úš i Koroną przed dwoma wiekami. Na jego mocy Zabójcy zobowiązali się nie przyjmować zleceń na członków rodziny królewskiej, a władze odstąpiły od prób wytoutienia i zniszczenia organizacji.

— Uważam, że powinniśmy zostawić ich w spokoju. — stwierdził dyplomata. — Jak widać czasami nawet wyręczają nas w obowiązkach.

— Popieram — zgodził się z nim szpieg. — Nie ma się co nimi przejmować, Wasza Wysokość. Nie mają istotnego wpływu na państwo. Niech dalej ukrywają się w swojej norze, gdziekolwiek ona jest, a my zajmujmy się poważnymi sprawami.

— Mówicie tak, bo wiara nie jest w was dość silna. — Władca spojrzał w oczy swych rozmówców, by wywreszć na nich presję i przymusić do poważniejszego traktowania nauk Sprawiedliwego oraz jego kapelanów. — Ale niech już wam będzie, skoro i tak nie możemy nic zrobić. Koniec na dzisiaj. Pójdę do kaplicy przemyśleć jeszcze raz to, czego się od was dowiedziałem.

Zgodnie z protokołem najpierw wstali doradcy, natomiast król jako pierwszy opuścił pomieszczenie.

**Czwarty dzień piątego obiegu Władcy. 127 dzień roku. Pałac królewski. Komnata Rossy.
Południe.**

Z jednej strony królewna czuła się lepiej, bowiem znów znalazła się pod wpływem elizium, lecz nawet niesamowity narkotyk nie był w stanie całkowicie wymazać upokorzenia, którego wczoraj doświadczyła. Najpierw herszt bandytów kazał jej wykonać dla siebie erotyczny taniec. Miał przy tym spory ubaw, gdyż królewnie nie szło zbyt dobrze. Gdy miał już dosyć tego komicznego przedstawienia, dobrał się do niej na swym olbrzymim łożu z baldachimem.

By ją bardziej upodlić, handlarz narkotyków kazał jej zwracać się do siebie *mój książę*. Wszystko trwało dość krótko. Oścień szybko znudził się królewną, która cały czas płakała. Kiedy skończył, dał jej zaledwie dwie działki elizium i kazał się wynosić. Bandыта był przebiegły. Wiedział, że za niecały tydzień królewna znów będzie na głodzie. Mogła co prawda spróbować zdobyć narkotyk z innego źródła, ale zabronił jej tego robić pod groźbą, że pozbędzie się jej rodowego sygnetu, którego nie chciała jej oddać.

Rossy nie wiedziała, co ma począć. Została zgwałcona, wykorzystana, okradziona. Gdyby nie kojące działanie elizium, prawdopodobnie doszłoby do jeszcze większej tragedii. Narkotyk powstrzymał ją także przed szukaniem pomocy. Już wcześniej krążyły o niej różne nieprzychylne plotki, będące wynikiem jej nocnych przygód, ale zawsze mogła się z nich wyłgać. Większość z nich i tak była przesadzona, gdyż królewna wcale nie była tak odważna, jaką starała się udawać. Ta sprawa była jednak dalece poważniejsza, a co najgorsze, Rossy nad nią nie panowała. Bolało ją również to, że wpadła w pułapkę w momencie, gdy dopiero co zaczęła pracować nad poprawą swojego wizerunku.

Jedyną osobą, z którą mogłaby o wszystkim porozmawiać, była Etoin. Ojciec jej przyjaciółki mógł jednym rozkazem zniszczyć Cichą Rzekę i wrącić jej herszta do najgłębszego lochu, by gnił tam po kres swych dni. Z pewnością byłby też w stanie wszystko zorganizować w taki sposób, by nikt nie dowiedział się o prawdziwych przyczynach akcji. Mimo wszystko Rossy wstydziła się zwrócić ze swoim problemem do przyjaciółki. Nie mogła być też pewna, czy szef wywiadu odważyłby się okłamać króla, gdyby ten zaczął zadawać mu niewygodne pytania. Najbardziej bała się nie samej kary czy potępienia ze strony ojca, lecz tego, jak ten zniósłby to psychicznie. Miał już przecież swoje lata i zdążył wiele wycierpieć. Nie chciała przysparzać mu dodatkowych smutków.

Zdecydowała się dać sobie więcej czasu na przemyślenie całej sprawy. Na razie przede wszystkim chciała zająć się czymś, co chociaż na chwilę pozwoliłoby jej zapomnieć o tym, co się wydarzyło. Pod wpływem elizium najwięcej przyjemności sprawiało jej uszczęśliwianie innych, postanowiła więc zrobić coś szlachetnego. Choć miała ostatnio sporo wydatków związanych z dokarmianiem biedoty, wciąż pozostało jej trochę złota.

Przypomniała sobie, że w efekcie niedawnych, kilkudniowych ulew, Bawterlue wylała w zachodniej części miasta, niszcząc wiele budynków, w tym jeden z największych sierocińców w stolicy. Postanowiła się tam udać i sprawdzić, czy będzie mogła w jakiś sposób pomóc.

Poinformowała o swych planach dowódcę królewskiej straży, który szybko wyznaczył sześciu ludzi do jej ochrony. Pojechali konno, albowiem czekała ich długa droga. Przydzieleni jej gwardziści byli jednymi z najbardziej elokwentnych, lecz i tak tematy do rozmów z królewską szybko im się wyczerpały i dalej Rossy jechała w milczeniu. Nie miała do nich pretensji, koniec końców ich głównym zadaniem była ochrona, a nie zabawianie królewny.

Rossy na swojej białej klaczy jechała na czele kolumny, z dwoma gwardzistami po bokach. Czterech pozostałych podążało za nimi w dwóch rzędach. Ci najbardziej z tytułu dyskutowali bez przerwy. Choć starali się zachować półszept, królewna i tak wszystko słyszała. Jeden z fragmentów ich rozmowy zainteresował ją szczególnie.

— Słyszałeś o tej akcji Arad úš? — wymamrotał strażnik jadący po prawej stronie.

— Jo, niezła jatka. Ponoć trzech zabójców wyrżnęło kilkunastu srogich zbirów. Mają rozmach skurwysyny.

— Zastanawiam się, jak poszłoby im z nami.

— Nie chciałbym mieć z nimi do czynienia. Dość nasuchałem się historii o tym, jak wyglądała ich wojna z Inkwizycją. Krótkimi słowy, chłopaki się w tańcu nie pierdolą.

— Robert kiedyś opowiadał, że gdyby nie przyjęli go do straży, to próbowałby się zaciągnąć właśnie do Gildii Zabójców. Ciekawe, czy by mu się to udało.

— Ni chuja. Takie jest moje zdanie.

W tym momencie gwardzista jadący po prawej dostrzegł, iż królewna się im przysłuchuje, więc porozumiewawczym skinieniem głowy zakończył rozmowę.

Po godzinie jazdy dotarli na miejsce. Ulice wciąż były pokryte szlamem naniesionym przez wezbraną rzekę, a gdzieniegdzie piętrzyły się wysokie sterty uformowane ze szczątków zniszczonych przez nią budynków.

Sierociniec, choć w przeciwieństwie do większości znajdujących się tu budowli nie był drewniany, lecz murowany, i tak nie sprostał próbie wody. Jego zachodnia i południowa ściana runęły, dach również uległ całkowitemu zniszczeniu. To, co z bidula pozostało, groziło zawaleniem. Obecnie dzieciaki wraz z opiekunami mieszkały w czymś, co przypominało stodołę, skleconą naprędce z odzyskanych po powodzi desek.

Królewna poprosiła o rozmowę z zarządcą sierocińca. Mężczyzna, który przedstawił się jako Dolf Gebbo, nie krył zdziwienia z powodu wizyty królewskiej córki. Początkowo miał trudności ze złożeniem choćby jednego sensownego zdania, lecz Rossy była wyrozumiała. Dała mu czas, by trochę ochłonął, i zapewniła, że nie musi się stresować ani bać. Nie przeszkadzało jej również to, że zwracał się do niej *panienko*, zamiast *Wasza Miłość*.

— Powiedz mi, dobry człowiek, czy będącie w stanie wyremontować sierociniec?

— Nie, miła panienko, budynek musi być rozebrany. Tak powiedział mi budowniczy wysłany tu na oględziny dzielnicy przez naczelnego architekta stolicy.

— Jakie są więc wasze plany? Czy ktoś zaproponował wam już nowy lokal? Przecież dzieci nie mogą mieszkać w takich warunkach.

— To prawda, nie możemy tak funkcjonować na dłuższą metę. Ciężko jest ogrzać tę szopę. Wiatr wdziela się do niej przez ściany, a od ziemi bije chłód. Jednak najgorsze jest to, że powódź zabrała ze sobą nasze zapasy żywności, a większość ludzi, która do tej pory zawsze nas wspierała, sama potrafiła swoje majątki. Nie wypada mi więc zwracać się do nich po pomoc. Zostaliśmy sami.

— Czyli nikt nie zaproponował wam nowego lokum?

— Przepraszam, panienko, że nie odpowiedziałem na to pytanie. Nie, nikt nam niczego nie proponował. Jesteś pierwszą ważną osobą, która się nami zainteresowała.

Byli otoczeni przez królewską straż, lecz nie powstrzymało to małego chłopca, który przedarłszy się przez jej kordon dopadł do królewny. Chwycił się jej nóg i oznajmił, że jest głodny. Okazało się, że od kilku dni dzieci żywiły się jedynie suchym chlebem, a i tak nie dostawały go dość, by pozbyć się nieustannego burczenia w brzuchach.

Rossy, która zawsze miała wszystkiego pod dostatkiem, musiała zareagować. Rozkazała czwórcie swych strażników udać się prędko na najbliższy rynek i zakupić tyle jedzenia, ile będą w stanie przewieźć. W pierwszej chwili mężczyźni zaprotestowali, oznajmiając, że nie mogą jej zostawić pod opieką jedynie dwójkę swych towarzyszy. Kiedyś w takiej sytuacji królewna nakrzyczałaby na nich, straszcząc skargą u króla. Pod wpływem elizium nie była już tak wojownicza, posłużyła się więc o wiele groźniejszą bronią, jaką jest kobiecy płacz. Poprzez łzy błagała ich, by naruszyli regulamin straży i pomogli biednym sierotom. Skonsternowani gwardziści w końcu ustąpili i udali się na zakupy.

Wrócili po pół godzinie obładowani żywnością. Przywieźli chleb, słodkie drożdżówki, owoce i wędzone mięso oraz ryby. Dzieciaki rzucili się na jedzenie, jakby ktoś mógł zaraz im to wszystko zabrać. Dla żołników niektórych z nich syty posiłek okazał się zbyt dużym szokiem i zaczęły wymiotować. Na szczęście dla nich wciąż zostało jeszcze trochę pieczywa i owoców, do których tym razem zabrały się znacznie spokojniej.

Rossy była szczęśliwa, choć wiedziała, że jednorazowa pomoc nie jest rozwiązaniem problemu. Najbardziej martwiły ją warunki, w jakich sieroty musiały mieszkać. Wpadł na szalony pomysł, by zabrać je do pałacu i umieścić w jego zachodnim skrzydle. Ta część budynku była wykorzystywana jedynie podczas największych państwowych uroczystości, na które król zapraszał całą chmarę gości. W najbliższym czasie nie planowano żadnych świąt, co przemawiało

za jej planem. Przywołała do siebie zarządcę sierocińca oraz strażników i poinformowała ich o wszystkim. Gdy skończyła, najstarszy stopniem gwardzista, imieniem Logan, zabrał głos.

— Wasza Miłość, jeśli jesteś pewna swojej decyzji, to oczywiście spełnimy twój rozkaz. Jednak, kiedy dotrzemy do pałacu, słowo twoego ojca będzie miało większą moc. Jeśli zabierzemy te dzieci ze sobą, a król nie wyrazi zgody, by zostały, czeka je wielkie rozczarowanie.

— Rzeczywiście, mogłyby to przyjąć z trudem — przyznał Dolf. — Większość z nich i tak dużo już wycierała. Może panienka powinna najpierw spytać jej ojca, czy wyrazi zgodę.

— Mój ojciec to dobry człowiek. Jak mógłby odmówić mi w tak ważnej sprawie? — Królewna nie chciała ustąpić.

— Wasza Miłość. — Logan starał się przemówić jej do rozsądku — Nikt nie wątpi, iż król Lottar to dobry człowiek. Mimo to przyznasz mi chyba rację, jeśli powiem, że jest również bardzo wierzący. W związku z tym mógłby uznać, że powódź, która zniszczyła sierociniec, została zesłana na nasze miasto przez Sprawiedliwego. Jak bowiem mamy przyjmować gniew jednej ze świętych rzek, jeśli nie jako akt boga?

Królewna przypuszczała, a pozostali strażnicy wiedzieli, że Logan nie jest gorliwie wierzący, lecz nie o jego wiarę tu chodziło. Granicząca z fanatyzmem pobożność króla nie była żadną tajemnicą. Monarcha często wykazywał bierność w rozwiązywaniu problemów, których pochodzenie przypisywał woli Sprawiedliwego.

— Rzeczywiście, król może tak zareagować — przyznała Rossy. — Nie zmienia to jednak faktu, że musimy zapewnić dzieciakom dach nad głową. Czy ktoś widzi jakieś inne rozwiązanie tego problemu?

Pierwszy swoim pomysłem podzielił się gwardzista Jack, jeden z tych, którzy w czasie jazdy rozmawiali o Arad úš.

— Można by umieścić dzieciaki w jakiejś dużej oberży. Ile jest tych baborów?

— Dzieci — poprawił go Dolf. — Trzydzieści siedmioro dzieci.

— Sporo. Gospody przy głównych gościńcach są największe. Wśród nich powinniśmy szukać lokalu.

— Wynajęcie całej oberży będzie kosztowało mnóstwo pieniędzy — zauważyła Rossy.

— Niekoniecznie — powiedział Logan. — Jeżeli wysłać do oberzysty dobrego negocjatora, działającego na dodatek w imieniu Korony, cena wcale nie musi być wygórowana.

— To brzmi, jakbyś chciał zrzucić koszt utrzymania dzieci na oberzystę. Nie mogę się zgodzić na takie działanie.

— Wasza Miłość, to i tak jest tylko rozwiązanie tymczasowe. Jestem pewien, że za kilka dni znajdziesz jakieś lepsze i tańsze miejsce dla sierot. Może król zgodzi się odstąpić jakiś królewski przybytek, jeśli poprosisz go w odpowiedni sposób.

Królewna zrozumiała, co sugerował. Jako że nie przychodziło jej na myśl nic innego, przystała na pomysł z wynajęciem oberży. Dolf pobiegł do swych podopiecznych, by ogłosić im radosną nowinę. Powódź zabrała niemal wszystko, więc dzieci nie musiały niczego pakować. Wzięły ze sobą jedynie resztki żywności zakupionej przez strażników.

Błękitny Gościniec, który znajdował się najbliżej, wiódł na zachód, ku Górom Podziału. Przemieszczały się pomału, spowalniani przez najmłodsze dzieci. Na obrzeżach miasta natrafili wreszcie na wystarczająco dużą gospodę. Z jej właścicielem rozmówił się Logan, któremu towarzyszyła królewna. Mężczyzna dostał propozycję nie do odrzucenia i już po chwili do jego przybytku wparowała cała gromada rozwrzeszczanych maluchów. Dolf zapewnił przerażonego oberzystę, że będzie pilnował, by zachowywały się grzecznie. Królewna obiecała mu natomiast, że postara się wynagrodzić mu jego poświęcenie w niedalekiej przyszłości.

Zaczynało się ściemniać i gwardziści coraz bardziej nalegali na powrót do zamku. Rossy w końcu im uległa, choć miała ochotę zanocować w oberży. Czuła się dumna i szczęśliwa, pomagając sierotom. Pomyślała sobie, że gdyby nie była szlachetnie urodzona, po śmierci matki pewnie sama skończyłaby w bidulu. Gdy wychodziła, ktoś z dzieci nazwało ją Białą Królową.
Czyżby mój sen zaczął się spełniać?

Kładąc się spać do swego łóżka z baldachimem, mimowolnie wróciła wspomnieniami do wczorajszego upokorzenia. Wtuliła się mocno w atlasową pościel, bezskutecznie próbując wypchnąć je z pamięci. Szukając sposobu na zakończenie znajomości z hersztem Cichej Rzeki, przypomniała sobie szeptaną rozmowę dwóch gwardzistów.

Rozdział ósmy – Dobry, zły i pijany

Szósty dzień czwartego obiegu Białego Karła. 121 dzień roku. Wschodnia Prowincja.

Późny wieczór.

Po rozstaniu z Treyem Jarmis udał się dalej na wschód, aż dotarł do Obserwatorium, jedynego dużego miasta leżącego nad Zatoką Gryfów. Swoją nazwę zawdzięczało ono licznym punktom widokowym rozmieszczonym wzduż wybrzeża, wykorzystywanym do podziwiania skrzydlatych hybryd. Święte dla Lotherbemczyków zwierzęta zamieszkowiły skaliste wyspy położone na południowy-wschód od miasta i upodobały sobie spokojne wody zatoki, które stanowiły wyjątkowo dogodne miejsce do polowania na ich ulubioną ofiarę, tuńczyka.

Fascynacja i umiłowanie gryfów były tak silne, że niektóre wieże obserwacyjne zostały wyposażone w najlepsze lunety w całym Trójkrólestwie. Korzystanie z nich było darmowe, przez co ustawiały się do nich niemiłosiernie długie kolejki. Pospółstwo wierzyło, że ten, kto zobaczy gryfa, ma zapewnione szczęście przez kolejne trzy dni. Jarmis miał kiedyś ochotę ukraść jedną z drogich lunet, by być pierwszą osobą w historii, która się na to odważyła. Ostatecznie jednak odpuścił sobie ten pomysł, gdyż nie mógł znaleźć wieży, pod którą nie stałby tłum ludzi, czy to w dzień, czy w nocy.

Obserwatorium było wyjątkowe z jeszcze jednego powodu. Choć leżało nad samym morzem, nie sposób było w nim dostać świeżej ryby, co stanowiło ewenement na skalę całego kontynentu. Powodem takiego stanu rzeczy był całkowity zakaz połówów obowiązujący w zatoce. Dawno temu hierarchowie Sprawiedliwego uznali, że niegodnym byłoby odbieranie pokarmu gryfom i nikt nigdy nie sprzeciwił się temu przepisowi. Nawet statki handlowe wypływające z Obserwatorium przed opuszczeniem zatoki trzymały się blisko brzegu, by nie przeszkadzać bestiom podczas żeru.

Jarmis przybył do miasta, by znaleźć statek, który zabrąłby go na Milfgard. Niestety, wiadomości uzyskane od Carla Tepucmany, szefa Gildii Złodziei, jak zawsze okazały się prawdziwe. Piraci nadal blokowali cały ruch w zatoce. Grozili, że jeśli choćby jeden okręt pojawi się w jej pobliżu, przetrzymywany przez nich siostrzeniec króla straci życie. Co prawda zakaz nie obejmował jednostek handlowych, lecz nie znalazł się żaden kapitan, który miałyby ochotę ryzykować rejs po wodach opanowanych przez piratów. Port w Obserwatorium był wymarły.

Miały to być jego siódme wakacje na Wyspie Rozkoszy. Jej nazwa nie wzięła się znikąd i zabójca był zdeterminowany, by się na nią dostać. Gdyby znał się na żeglowaniu, wynająłby lub kupił niewielką łódź i sam popłynął na wyspę. Był jednak szczurem lądowym, dlatego musiał zdać się na innych. Na myśl przychodziła mu tylko jedna osoba — Al Lumdon.

Jarmis poznał go podczas pierwszego pobytu na Milfgardzie. Oprócz najładniejszych prostytutek, ten wyjątkowy burdel oferował swym klientom również inne rozrywki. Kuszeni wysokimi zarobkami, na wyspę przybywali najlepsi artyści Lotherbemm. Przeważali wśród nich bardowie, komedianti i grupy aktorskie. Czasami jednak można było natrafić na występ osoby obdarzonej mniej popularnym talentem. Kimś takim był Al, który jak nikt inny potrafił snuć morskie opowieści.

Choć sam był żeglarzem, w opowiadanych przez niego przygodach bohaterem zawsze był ktoś inny. Widzowie nie wiedzieli, co takiego miały w sobie jego historie, lecz zawsze słuchali ich w napięciu od początku aż do samego końca. Najdłuższa, a w opinii miłośników cielesnych uciech również najlepsza z nich, mówiła o żeglarzu z Lotherbemm, który wyruszył w samotny rejs na Thenorafrein. Po długiej walce z oceanem udało mu się dotrzeć do celu. Poznał mieszkańców starego kontynentu, którzy, choć przyjęli go serdecznie, to zabronili mu powrotu do Miliphen. Marynarz nie tępknął za domem, lecz mimo to cierpiał, gdyż zakazano mu także żeglować, a walka z oceanem była czymś, co kochał najbardziej. W końcu udało mu się uciec z niewoli i choć w rejsie powrotnym jego życie wiele razy wisiało na włosku, zdołał w końcu dobić do brzegów Lotherbemm. Po zakończeniu opowieści wszyscy słuchacze nagradzali Ala gromkimi brawami. Wszyscy, oprócz Jarmisa. Zabójca nie był pewien, czy podpowiadała mu to kobieca intuicja Pięknej, czy też zwierzęcy instynkt Bestii, lecz coś mu w tej historii nie pasowało.

Poza zabawianiem gości burdelu Al zajmował się także ich transportowaniem na wyspę. Po dziewczycy, choć nie mającym nic wspólnego z dziewczycami pobycie Jarmisa na wyspie, bazarowi przypadło odwiezienie na kontynent również jego. Akurat złożyło się tak, że nikt więcej nie podróżował z nimi podczas tego rejsu. Drugiego dnia żeglugi, rozmyślający o ostatnich przeżyciach i czekającym go powrocie do pełnej niebezpieczeństw oraz brutalności służbie krwi, Jarmis w końcu odkrył sekret opowiadań Ala.

Z własnego, bogatego już w tamtym czasie doświadczenia wiedział, że najbardziej niestworzone historie często kryją w sobie prawdę. Początkowo chciał zapytać marynarza wprost, czy słusznie przypuszcza, że ten w swych opowiadaniach opisuje własne przygody. Stwierdził jednak, iż Al mógłby skłamać, wydawał się bowiem skromną i zamkniętą w sobie osobą, postanowił więc wydobyć z niego prawdę przy pomocy podstępów. Rozwiążanie miał pod ręką, gdyż pośród wielu różnych specyfików w swoim zasobnym płaszczu nosił także serum prawdy. Przez chwilę zastanawiał się nad moralną stroną jego wykorzystania, ale jako że w przeszłości robił już dużo gorsze rzeczy, nie trwało to długo.

Jak większość marynarzy, Al również lubił wypić, nie odmówił więc, gdy Jarmis zaproponował mu wino ze swojego ulubionego bukłaka, z którym już wówczas rzadko kiedy się rozstawał. Żeglarz co chwila musiał brać korektę na wiatr, nie zauważał więc, jak przebiegły Arad úš wlał mu do kubka miksturę prawdomówności. Przez dłuższy czas obaj rozmawiali o wszystkim

i o niczym, jak to przy alkoholu. W końcu Jarmis wypalił z pytaniem: *Czy na Thenorafrein też wszyscy mają bzika na punkcie liczby trzy?* Al zaprzeczył, jednocześnie potwierdzając przypuszczenia zabójcy. Działaniu mikstury prawdomówności nie było sposobu się oprzeć; jej stworzenie wymagało użycia potężnego rytuału i poświęcenia mnóstwa krwi osoby go sporządzającej.

Na drugi dzień, gdy alkohol przestał krążyć w ich organizmach, Jarmis przypomniał marynarzowi ich wczorajszą rozmowę i to, że ten przyznał się do dopłynięcia do Thenorafrein. Al był zły na siebie, iż po pijaku zdradził swoją tajemnicę, lecz nie próbował odwracać kota ogonem i zwalać wszystkiego na karb wypitego trunku.

Jarmis był dopiero drugą osobą, która poznala i uwierzyła w sekret marynarza, co sprawiło, że obaj mężczyźni zbliżyli się do siebie i zostali dobrymi znajomymi. Niestety, z powodu swych zawodów widywali się jedynie wtedy, gdy Jarmis udawał się na urlop lub wykonywał zlecenie w południowo-wschodniej części Lotherbemm. Nigdy też zabójca nie odważył się przyznać przyjacielowi do zastosowania na nim serum prawdy, obawiając się, że mogłoby to popsuć ich relacje.

Zatoka Gryfów była oddzielona od oceanu dwoma półwysepami, które przypominały rozczapierzone szpony orła. Położony bardziej na północ nosił nazwę Górnego Szponu, a ten na południu — Dolnego Szponu. Al, gdy nie żeglował, mieszkał w niewielkim miasteczku leżącym właśnie na samym końcu Dolnego Szponu i noszącym tę samą nazwę, co półwysep. Chcąc dostać się tam drogą lądową, Jarmis musiał przebyć sześćdziesiąt mil. Konia Treya i swojego oddał do królewskich stajni zaraz po przybyciu do Obserwatorium, gdyż zwierzęta, które normalnym ludziom ułatwiały podróżowanie, jego tylko spowalniały.

Znał zwyczaje Ala i wiedział, że ten przeważnie wychodził w morze z samego rana, narucił więc sobie wysokie tempo, gdyż do świtu zostało niecałe osiem godzin. Nie chciał rozminąć się z kolegą o kilka głupich minut, tym bardziej, że podróż na Milfgard i z powrotem zajmowała na ogół cztery dni.

Zbędne kilogramy, skrupulatnie odkładane przez kilka ostatnich lat, boleśnie ciążyły Jarmisowi w biegu. Z trudem utrzymywał rytm i nawet urzekające malowniczością krajobrazy trasy wiodącej brzegiem zatoki, rozświetlanej zarówno przez Księcia, Białego Karła, jak i wyjątkowo jasny tej nocy Zewnętrzny Pierścień, nie pomagały mu pozbyć się myśli o tym, że najlepsze lata ma już za sobą. Mimo wszystko przybył do Dolnego Szponu, zanim pierwsze promienie słońca rozpoczęły mrok.

Potwornie zmęczony dowlókł się przed drzwiami chaty Ala i zapukał. Gospodarza nie było w domu. Zły z faktu, że cały wysiłek poszedł na marne, odnalazł klucze do domostwa, które przyjaciel zawsze chował pod jedną z obluzowanych desek podłogi ganku. Wszedł do środka,

zrzucił z siebie plecak oraz większość odzienia, rozbroił się i padł na łóżko. Pomimo wyczerpania, nie spał dobrze, gdyż nie pozwoliła mu na to Bestia, zatruwając jego sny rządzą krwi.

Gdy na zewnątrz zaczynało już ciemnieć, obudziły go głód i pragnienie. Miał ochotę zjeść coś porządnego, odpuścił więc sobie przeszukiwanie spiżarni przyjaciela i postanowił udać się do najbliższej karczmy. Po dotarciu na miejsce okazało się, że przybytek jest wyjątkowo zatłoczony. Jarmis słusznie założył, iż jest to spowodowane blokadą zatoki. Choć klientela była liczna, to oblegała głównie bar i w jednym z rogów sali udało mu się znaleźć cały wolny stolik. Mało wymagający i oryginalny, jeśli chodzi o kulinarne gusta, zabójca zamówił pięć porcji dzicyzny i dzban piwa.

Karczemna służka, zabiegana z powodu dużego ruchu, nie spieszyła się z realizacją jego zamówienia. Kiedy w końcu przyniosła mu jedzenie, Jarmis był już solidnie poiertywany czekaniem. Zazwyczaj niespotykanie hojny, postanowił nie dać jej żadnego napiwku. Zaczął grzebać w swym podręcznym mieszkus, ale znajdowały się w nim same srebrniaki, zmuszony był więc wyciągnąć drugą sakwę z pieniędzmi. Trzymał w niej głównie suwereny, choć wydawało mu się, że przez przypadek mogło być tam również trochę asów. Olbrzymie dłonie z nałożonymi nań rękawicami nie ułatwiały wyłuskiwania niewielkich, brązowych monet, ostatecznie jednak odliczył dokładną sumę i zapłacił kelnerce.

Pierwsze dwie porcje mięsiva pochłonął w czasie nieosiągalnym dla zwykłego śmiertelnika. Mimo to jego zdenerwowanie tylko narastało, zauważył bowiem, że jest obserwowany przez kilku mężczyzn stojących przy barze.

Byli marynarzami, których piraci chwilowo pozbawili zajęcia, spędzaли więc wieczory na alkoholowych maratonach, a poranki na leczeniu kaca. Blokada zatoki ciągnęła się trzeci miesiąc i waga powietrza w ich kieszeniach już niemalże dorównywała wadze monet. Nic więc dziwnego, że zainteresowali się nieznajomym o dwóch pękatych mieszkach, zamawiającym ilość jedzenia, którą pożywiłaby się przeciętnej wielkości lotherbemmska rodzina. Czekali aż zabójca skończy konsumować i bez pytania o pozwolenie we trzech przysiedli się do jego stolika.

Największy i zarazem najstarszy z nich usiadł obok Jarmisa, a pozostała dwójka zajęła miejsca po drugiej stronie stołu. Wszyscy byli stosunkowo wysocy, ale marynarski żywot nie jest lekki i żaden z nich nie mógł pochwalić się więcej niż przeciętną muskulaturą. Zaślepieni chciwością podsycaną wypitym alkoholem oraz oszukani przez mylący wygląd Jarmisa, wzięli go za opasłego kupca. Siedzący po prawicy zabójcy żeglarz już szykował się, by zabrać głos, lecz został uprzedzony:

— Wypierdalać — powiedział beznamiętnie Arad úš, który przerabiał podobny scenariusz wiele razy.

Mężczyźni byli skołowani, a piwne odurzenie tylko spowalniało ich reakcje, więc Jarmis powtórzył, tym razem głośniej, tak by słyszano go w całej karczmie.

— Wypierdalać, póki możecie.

Stary marynarz wykonał ruch jako pierwszy. Lewą ręką próbował chwycić Jarmisa za ramię, podczas gdy prawą chciał sięgnąć do ukrytego w cholewie wysokiego buta sztyletu. Zabójca jednym ruchem łokcia odtrącił rękę napastnika i grzmotnął w splot słoneczny, pozbawiając go tchu. Następnie błyskawicznie wstał, przechylając jednocześnie solidną, bukową ławę przy której siedzieli, i docisnął ją do piersi dwóch pozostałych przeciwników z siłą uniemożliwiającą im wykonanie jakiegokolwiek ruchu. Zaparłszy się nogami, przytrzymywał stół jedynie za pomocą brzucha, dzięki czemu miał wolne ręce. Wyciągnął swój krótki miecz i jedną z sakw. W tym momencie już wszyscy obecni w karczmie patrzyli w jego kierunku, więc zawałał:

— Lekcja na dziś, wsioki, brzmi następująco: *skąpstwo nie popłaca*. I choć to nie ja płacę za moje wcześniejsze skąpstwo wobec służki, lecz tych trzech frajerów — Jarmis zatoczył mieczem półokrąg, wskazując wciąż nie mogących się poruszyć marynarzy — to i ja z tej lekcji wyciągnę naukę. Wiem, że licho u was z forsą, dlatego pytam — w tym momencie skierował broń w stronę ludzi zebranych wokół baru: — Który z was przeprawi mnie na Milfgard? Zapewniam, że zapłata będzie hojna.

— Jak hojna? — niepewnie zapytał ktoś spośród tłumu.

— Wątpisz w moją hojność, obesrańcu? Gdy mówię *hojna*, to znaczy, że nie będziesz żałował. W końcu płynę na Milfgard, a tam biednych nie wpuszczają.

— Tylko ten stary dziwak Lumdon ma na tyle nie po kolei w głowie, by nadal pływać po Zatoce. Z nim możesz pogadać — zauważał karczmarz.

— Po pierwsze, bacz na słowa, kmiotie, bo Al to mój przyjaciel. Po drugie, jego łodzi nie ma w porcie — Jarmis sprawdził to po drodze do gospody — a on nie zwykł zwierzać się nikomu ze swych planów, więc nie wiadomo, kiedy wróci. Dlatego pytam ponownie: Czy nikt z was nie ma dość jaj, by popłynąć na Wyspę Rozkoszy?

Zebrani w izbie odpowiedzieli mu milczeniem. Wtem najstarszy z nieszczęsnej trójki napastników, wciąż kulący się z bólu u stóp zabójcy, podniósł nieśmiało rękę na znak, że chciałby zabrać głos.

Jarmis skierował na mężczyznę groźne spojrzenie.

— Czego?

— Ja po... yhhh... pop... yhhh... tynę — wciąż miał problemy ze złapaniem oddechu.

Arad úš zastanawiał się przez chwilę, po czym rzekł:

— Zaskakujesz mnie. Nie spodziewałem się odwagi po kimś, kto hańbi się napaścią na samotnych nieznajomych. Mam nadzieję, że to faktycznie męstwo, a nie po raz wtóry chciwość.

— Przyłożył czubek ostrza do gardła mężczyzny. — Tylko tym razem bez żadnych sztuczek, rozumiesz?

Marynarz pokiwał twierdząco głową. Jarmis schował miecz, jedną ręką chwycił mężczyznę pod ramię i posadził go z powrotem na ławie.

— Czekaj tu na mnie jutro z samego rana. Trzeźwy — rozkazał. — Posiadasz własną łódź?

— Nie, panie.

— Nie szkodzi, wynajmiemy coś w porcie. Do jutra — pożegnał się krótko, opuścił róg sali, w którym miało miejsce całe przedstawienie, i bez zbędnych słów wyszedł z karczmy.

Tej nocy, zanim położył się do łóżka w chacie Ala, nie zapomniał o uraczeniu się winem, które zapewniało nieco spokojniejszy sen. Dziki pasażer w jego głowie wpędzał go coraz głębiej w alkoholizm.

Sen miał płytki i często budził się w nocy, ale przynajmniej dzięki tej przypadłości nie zaspał. Wstał z kwaśnym posmakiem w ustach, lecz to nie zgaga wywołała bolesny grymas na jego twarzy. Odpowiedzialny za to był wyjątkowo silny tego ranka ból pleców — pamiątka po upadku z wysokością sprzed kilku lat, której rezultatem było trwałe uszkodzenie jednego z kręgów piersiowych. *Kurwa, przecież na południu miało być lepiej.* Znowu napił się wina. Przewlekłe cierpienie nie pomagało w walce z uzależnieniem.

Przed opuszczeniem chaty zostawił Alowi notkę informującą o tym, iż korzystał ze spiżarni pod jego nieobecność oraz że popłynął na Milfgard i chętnie by się tam z nim spotkał. Gdy dotarł do karczmy, marynarz-rozbójnik już na niego czekał. Razem udali się do portu w celu wynajęcia łodzi. Zarządcą przystani, kiedy dowiedział się o celu ich podróży, oprócz standardowej opłaty zażądał również uiszczenia kaucji o równowartości nowej łodzi. Jarmis umówił się ze swym sternikiem, iż ten po powrocie z wyspy będzie mógł zachować zwrot pieniędzy. Marynarz ochoczo przystał na tę propozycję, jako że chodziło o pięćdziesiąt koron.

Wiatry nie były nazbyt pomyślne, a dodatkowo jego przewoźnik swymi żeglarskimi umiejętnościami nie dorównywał Alowi, toteż dopłynęli na Milfgard dopiero trzeciego dnia wieczorem. Nieprzepadający za morskimi podróżami, wymęczony falowaniem, bryzą i pierwszymi tegorocznymi upałami, Jarmis z ulgą postawił stopę na pomoście Wyspy Rozkoszy. Krótkimi słowami pożegnał marynarza, który pomimo niefortunnego początku ich znajomości swym zachowaniem podczas krótkiego rejsu zdołał nie wywołać u zabójcy dodatkowej niechęci. Było to nie lada osiągnięcie, gdyż Jarmis, delikatnie mówiąc, nie przepadał za obcymi. Tolerował jedynie tych, którzy potrafili siedzieć cicho i nie zwracać mu głowy.

Oprócz ekskluzywnego domu uciech, na wyspie znajdowała się także niewielka osada, w której mieszkały rodziny osób w nim zatrudnionych. Poza właścicielką najstynniejszego w Lotherebemm burdelu, Runą Titner, i jej kurtyzanami, w przybytku pracowali znakomici kucharze, dbający o zdrowie gości lekarze, pilnujący porządku strażnicy i duża grupa ogólnie pojmowanej służby. Jarmis nie miał do załatwienia żadnego interesu w osadzie, toteż z nabrzeża od razu

skierował się do zamku. Zresztą, określenie zamku nie bardzo pasowało do Milfgardu, gdyż ten bardziej przypominał twierdzę, o jakiej większość lordów Trójkrolestwa mogła jedynie pomarzyć.

Fortyfikacje, idealnie wkomponowane w strome skały stanowiące centrum wyspy, zaprojektowano w sposób, który czynił przybytek niemalże niemożliwym do zdobycia przez szturm. Obleganie go również byłoby kłopotliwe, gdyż skalista wyspa posiadała sadzawki słodkiej wody zasilane padającymi tu często, aczkolwiek zazwyczaj krótko, intensywnymi deszczami, oraz dostęp do zalanej przez morze podziemnej jaskini, gdzie znajdowała się ukryta przystań. Wypełniona wodą grota była też idealnym miejscem do połówu ryb, co ostatecznie przesądzało o tym, że Milfgard był jedną z najbezpieczniejszych fortec w całym królestwie.

Droga wiodąca z nabrzeża do Domu Rozkoszy wiła się wśród skalnych urwisk, zamieszkanych przez liczne gatunki morskiego ptactwa. Jego nieustające śpiewy i popiskiwanie były jedyną rzeczą, jaka irytovala Jarmisa na wyspie. Po pół godzinie marszu, podczas którego zastanawiał się, ile nowych dziewcząt zatrudniono przez ostatni rok, zabójca dotarł do niewielkich, stalowych bram twierdzy.

— Pan Melbarr z Sinmow. — Stojący w glifowanym, strzelniczym oknie strażnik rozpoznał go po posturze. — Witamy ponownie na Wyspie Rozkoszy.

— I ja was pozdrawiam. Jesteście jedynymi strażnikami w całym Miliphen, których widok wywołuje u mnie pozytywne emocje.

— Miło nam to słyszeć. Zapraszamy do środka.

Rozległ się zgrzyt zasuwy i Jarmis wszedł przez wmontowane w zewnętrzną bramę drzwi. Znalazł się pod murami. Znał panujące tu reguły bezpieczeństwa, ściągnął więc wypełniony śmiertelnymi specyfikami płaszcz i powięczał noże ukryte w różnych częściach garderoby. Przez kraty oddał również miecz i sztylet oraz pozbył się wzmacnianego kaftana i pancernych bransolet. Dopiero wtedy uzbrojeni w halabardy i krótkie miecze strażnicy otworzyli wewnętrzne wrota i pozwolili mu wejść na teren burdelu. Dla pewności przeszukali go jeszcze osobiście. Nie miał im tego za złe, a tym bardziej nie zamierzał się im sprzeciwiać, bowiem Milfgard posiadał nie tylko najlepsze kurtyzany – jego strażnicy również należeli do elity. Pomimo swej nadnaturalnej siły i szybkości, bez broni miałby niewielkie szanse w starciu z nimi.

— Wszystko w porządku — oznajmił strażnik po zakończeniu rewizji. — Jak zwykle najpierw zapraszam do biura szefowej.

— Oczywiście. Spokojnej warty, panowie — pożegnał się Jarmis.

Około dwudziestu jardów za bramą, wiodący pomiędzy stromymi skałami, wąski korytarz rozszerzał się gwałtownie, tworząc dolinę o kształcie zbliżonym do okręgu. Rozmiarami dorównywała ona jednej trzeciej terenu zajmowanego przez pałac królewski w Wartegall. Zważywszy na fakt, iż przybytek nigdy nie gościł więcej niż dziesięciu gości naraz, przestrzeni było pod dostatkiem. Każdy z wizytujących Milfgard miał do wyłącznej dyspozycji sporych rozmiarów

wieżę wyposażoną we wszelkie możliwe udogodnienia. Oprócz wież przeznaczonych dla gości były jeszcze dwie: pierwszą zajmowali strażnicy, a drugą zamieszkiwała właścicielka przybytku, Runa Titner. To właśnie do niej skierował się Jarmis w celu uiszczenia opłaty za pobyt na wyspie.

Jej biuro znajdowało się na poziomie terenu, by nie narażać gości na trud związany z chodzeniem po schodach. Ostatecznie przyjechali tu odpoczywać, a nie ćwiczyć wspinaczki. Oczywiście zawsze można było skorzystać z windy napędzanej siłą mięśni służby, jakie posiadała każda z wież, lecz Runa troszczyła się o swoich podwładnych i starała się nie dokładać im dodatkowej pracy.

Wejścia do biura pilnował kolejny halabardnik, który otworzył przed Jarmisem drzwi i z kurtuazją godną królewskiego lokaja zaprosił go do środka. Zabójca podziękował mu delikatnym skinięciem głowy. Gdy znalazł się wewnętrz, został powitany już w mniej dworski, jednakże zdecydowanie bardziej mu odpowiadający sposób:

— Jarmis, stary łobuzie. Tak myślałam, że to ty. — W przeciwnieństwie do strażników, Titner знаła jego prawdziwe imię.

— Miło cię widzieć, Runa — rzekł Jarmis i objął ją po przyjacielsku.

— Czuję, że nadal ci się powodzi. Kiedyś, obejmując cię, prawie byłam w stanie złączyć dlonie. A teraz? Nawet nie obejmuję połowy twych pleców.

— No cóż. Świat jest niesprawiedliwy. Jedni z wiekiem tyią, a inni, tak jak ty, pięknieją. — Zabójca nie zwykł prawić kobietom komplementów, bo i niewiele miał z nimi do czynienia, ale dla Runy zrobił wyjątek. I choć jeszcze nikt nie oszukał upływu czasu, to jego słowa aż tak bardzo nie rozmijały się z prawdą. Pomimo iż zbliżała się do pięćdziesiątki, burdel mama wciąż zachwycała urodą. Wysoka, smukła, w kluczowych miejscach zaokrąglona, Mulatka pociągała wyglądem każdego mężczyznę, lecz Jarmisowi zawsze najbardziej podobał się jej delikatny głos.

— Ech, ty komplemenciarzu. Teraz mi głupio przez to, co powiedziałam. Ale nie martw się. Gdy moje dziewczyny wezmą cię w obroty, to zaraz zgubisz zbędne kilogramy. A że ruch mamy ostatnio niewielki, to mogę ci przydzielić nawet pięć z nich. Co ty na to?

— Na łaskę Ziza, w obecnej formie nie wiem, czy dam radę jednej. Prędzej będę potrzebował pięciu kucharek. — Poklepał się po brzuchu. — Co u ciebie? Widziałaś się ostatnio z Alem?

— Dziękuję, prywatnie wszystko w jak najlepszym porządku, a służbowo to mam problem z tymi cholernymi piratami. Jeśli blokada potrwa dłużej, będę musiała obciąć dziewczynom pensje albo zacząć je zwalniać. — Runa pokręciła głową w geście rezygnacji, jednak zaraz uśmiechnęła się ponownie. — A Ala widziałam piętnaście minut temu. Jest w mojej wieży i męczy się ze swoją książką. Idź się z nim przywitać, na pewno ucieszy go twój widok.

— Eee. — Zabójca machnął ręką. — Niech pisze, skoro się w końcu za to zabrał. Spotkam się z nim jutro. Teraz wolałbym się położyć spać, bo Gryf mi świadkiem, że morze to nie moja dziedzina.

— Na pewno nie chcesz żadnej dziewczyny na dzisiejszą noc? — zapytała z niedowierzeniem Runa.

— Dziś chcę się wyspać. Jutro sobie coś wybiorę. — Jarmis siegnął po sakwę z pieniędzmi. — Nic się nie zmieniło? Trzy suwereny za miesiąc?

— Owszem. Wszystko po staremu.

Stali blisko siebie i zdołała zajrzeć do wnętrza mieszka.

— Jak długo planujesz zostać? Za całe to złoto mogłabym uczynić cię współwłaścicielem.

— Chciałbym, moja droga, nawet bardzo. Obawiam się jednak, że skończyłoby się to źle dla nas obojga. — Odliczył dziewięć monet. — Tylko trzy miesiące, niestety.

Runa przyjęła zapłatę, odłożyła ją na swoje biurko i wyciągnęła z szuflady duży, srebrny klucz.

— Wieża numer pięć. Twoja ulubiona, zaraz przy kuchniach.

— Dzięki. Dobrej nocy. — Zabójca cmoknął ją w policzek i ruszył ku wyjściu.

— Niech Bestia śpi spokojnie — życzyła mu na odchodnym.

— To się nie zdarza, kochana — odparł i zniknął za drzwiami.

Obchodząc dolinę od północy, po prawej miał niewysokie gospodarcze zabudowania, a po lewej skromnych rozmiarów amfiteatr otoczony przez rajske ogrody, które z tego, co słyszał, ustępowały swym czarem jedynie położonym daleko na południowym zachodzie Ogrodom Harmonii. Minawszy cztery pierwsze wieże znalazł się wreszcie przed własną. Przywitała go kobieta-łokaj. Na wyspie na stałe zatrudnionych było niewielu mężczyzn, głównie strażnicy, kilku robotników fizycznych i dwóch lekarzy. Resztę załogi stanowiły kobiety, w większości również nienagannej urody. W patriarchalnie urządżonym Lotherebemm klientami Wyspy Rozkoszy byli wyłącznie mężczyźni, a ci woleli, by usługiwały im przedstawicielki płci pięknej.

Jarmis poprosił służącą, by przyniesiono mu dzban piwa i jakieś mięswo. Polecenie zostało wykonane błyskawicznie. Pół godziny później Arad úš leżał już wygodnie w olbrzymim łóżu, okryty najlepszą pościelą, jaką można było dostać w Lotherebemm, i czekał naadejście snu.

Nigdzie nie spało mu się tak dobrze jak na Milfgardzie. Obudził się przed południem, czując się lepiej niż przez wszystkie dni, jakie minęły od jego poprzedniej wizyty rok temu. Nawet ból pleców zdecydowanie zelzał. Zazwyczaj łapczywy, śniadanie konsumował powoli, delektując się każdym kęsem. Gdy wyczyścił oba półmiski rozmaitych przysmaków, jakie mu zaserwowano, udał się do Wybieralni. Tak nazywało się miejsce, w którym klienci codziennie w południe wybierali dziewczęta, z jakimi chcą spędzić kolejną dobę. Oprócz Jarmisa na wyspie przebywało aktualnie jedynie trzech gości, a kurtyzan było aż dwadzieścia, każdemu przypadało więc po pięć.

System selekcji był prosty: wizytujący wybierali po kolej po jednej dziewczynie, aż do ich wyczerpania lub gdy stwierdzili, że wystarczy im tyle, ile mają. Jeśli jednego dnia ktoś decydował jako pierwszy, nazajutrz trafiał na koniec kolejki, tak aby było sprawiedliwie.

Ponieważ Jarmis dopiero co przybył na wyspę, wyznaczał właśnie jako ostatni, nie miało to jednak dla niego znaczenia. Wszystkie córki Milfgardu były nieziemsko piękne i doskonale wyszkolone w sztuce miłości. Zabójca wybrał dla siebie trzy: wysoką, szczupłą brunetkę, nieco niższą blondynkę o szafirowych oczach i mogącą poszczycić się naprawdę imponującym biustem szatynką. Miał jeszcze ochotę na którąś z dwóch rudych dziewcząt, ale padły one łupem innych klientów i tego dnia musiał obejść się smakiem. Polecił swym wybrankom, by czekały na niego w wieży, a sam poszedł szukać Ala.

Odnalazł przyjaciela pograżonego w myślach, chowającego się przed słońcem pod palmami ogrodów. Wieloletnie zmagania z morzem nadały jego twarzy surowy wygląd. Zaawansowana łysina i krótka, częściowo siwa już broda tylko dodawały mu powagi.

— Jarmis, skurczybyku.

Marynarz wstał z ławki i wyściąkał zabójcę. Niedawno przekroczył pięćdziesiątkę, lecz sprawności i krzepy mogłyby mu pozadrościć większość trzydziestolatków.

— Kiedy przypłynąłeś?

— Wczoraj. Runa ci nie powiedziała?

— Nie. Widocznie chciała mi zrobić niespodziankę. Ale kto cię do cholery przywiózł?

Myślałem, że już nikt nie pływa po zatoce. — Al był wielce zdziwiony.

— Odrobina srebra potrafi dodać człowiekowi odwagi.

— Eee, to chciwość, a nie odwaga. Jednakowoż dobrze cię widzieć.

— Ciebie również, wilku morski, ciebie również — odparł zabójca. — To co, idziemy do ciebie czy do mnie? Na zewnątrz jest dla mnie zdecydowanie za gorąco.

— Chodźmy do mnie. Będziemy mieli większy spokój.

Jarmis zaakceptował propozycję żeglarza i ruszyli w stronę wieży Runy, w której to pomieszkwał związany z nią Al.

— Opowiadaj, co słyszać — poprosił zabójca, gdy niespiesznie przemierzali wyludniony o najgorętszej porze dnia ogród.

— Nic nie słyszać. Mamy mało klientów, nie mam kogo wozić. Runa zabroniła mi też pływać po prowiant, mówi, że to świetna okazja, by pozbyć się starych zapasów. Nudzę się okrutnie.

— I dobrze, czasami trzeba się ponudzić. Poza tym, dzięki temu wziąłeś się w końcu za swoją książkę.

— Daj spokój. — Twarz marynarza przybrała wyraz obrzydzenia. — Męczę się z nią strasznie.

— Nie znam nikogo, kto potrafiłby opowiadać swoje przygody w bardziej interesujący sposób od ciebie. W czym więc problem?

— Bajać a pisać to nie to samo. Nie wiem, skąd to się bierze, ale każde zapisane zdanie po chwili wydaje mi się miałokie. Siedzę nad tym cholerstwem od miesiąca i do tej pory wypoczętem zaledwie kilkanaście stron. Najchętniej wybrałbym się w jakiś porządky rejs i odpoczął.

— To weź sobie kogoś do pomocy. Ty będziesz opowiadał, a ten ktoś będzie spisywał to, co mówisz.

— Co to da? Jak zobaczę tekst, to i tak mi się nie spodoba i będę chciał go poprawić.

— To go nie oglądaj. — Tłumaczył zabójca. — Po prostu wydaj to tak, jak zostanie zapisane.

— Hmm, jest to jakiś pomysł. Sam nie wiem. Zastanowię się nad tym. Ale dość już o tym.

— Al machnął stanowczo ręką. — Mów, co u ciebie.

— Z Rubie żyję ostatnio w zgodzie. Właśnie mówi, że masz nie marudzić jak baba, tylko pisać, a tak w ogóle, to pozdrawia. Za to Behemot chciałby rozszarpać cię na strzępy, czyli normalka. — Zabójca zrobił krótką pauzę. Zazwyczaj zwierzał się tylko Pięknej, co właściwie działało się samoczynnie, postanowił jednak otworzyć się także przed Alem. — A właściwy Jarmis, jeśli w ogóle jeszcze taki gdzieś tam w środku jest — postukał się palcem po głowie — dowiedział się ostatnio, że jest zwykłym tchórzem.

— Tchórzem? Nazwałbym cię nonszalanckim dupkiem albo bezdusznym skurwysynem, ale tchórzem? Przegrałeś jakiś głupi zakład i teraz nie chcesz przebiec nago przez królewski stadion podczas Gry w Pochodnie czy co?

— Bieg nago przez stadion? Brzmi jak jeden z pomysłów Silmera. — Jarmis mimowolnie uśmiechnął się na myśl o poczciwym pijaczynie, ale zaraz znów spoważniał. — Chodzi o coś innego. Opowiem ci wszystko albo prawie wszystko, ale najpierw muszę się napić.

— Dobrze się składa, bo mam u siebie w komnacie beczkę dumserlańskiego.

— A jakie inne wino miałbyś mieć? Chyba nie zamawiacie nic gorszego?

— Zamawiamy, zamawiamy. — Al zaczął grzebać w kieszeni w poszukiwaniu klucza. — Niektóre szlachciury wolą czasami wypić coś podlego. To, że jesteś wysoko urodzony, nie oznacza automatycznie, że masz wyrafinowany gust.

— Mnie tego nie tłumacz. Sam lubię zeżrąć jakąś padlinę i schać się zwykłym bimbrem.

Weszli do środka obszernego i przyjemnie chłodnego pomieszczenia. Jarmis od razu rozsiadł się w jednym z foteli, natomiast Al zabrał się za nalewanie wina.

— No to mów wreszcie, co cię trapi — polecił marynarz, wręczywszy przyjacielowi puchar z trunkiem.

— Kojarzysz z mych opowiadań Treya, kotołaka?

— Ciężko zapomnieć o facecie z ogonem.

— Właśnie. — Przyznał Jarmis, jednym haustem opróżniwszy pół kielicha. — A jeszcze trudniej zapomnieć o tym, że z pleców wyrasta ci ogon. W związku z tym Trey od dawna nosił się z zamiarem wyprawy do Dżungli i odszukania jemu podobnych dziwolągów. Przez ostatnie kilka lat studiował nawet księgi z czasów Wojen Potworności, by dowiedzieć się więcej o Dzikusach i lepiej poznać ich język.

— Przecież Wojny Potworności miały miejsce z jakieś trzysta lat temu. Skąd on wytrzasnął te księgi?

— Czterysta lat temu — poprawił go zabójca. — A księgi wykradliśmy razem z królewskiej biblioteki. Kilka opasłych, rozlatujących się woluminów, mimo wszystko wciąż czytelnych. Mniejsza z tym. Istotne jest to, że natrafił w nich na obszerny opis ludzi takich, jak ja. Mieszańców ludzi z hybrydami zwierząt. Podczas Wojen Potworności Dzicy próbowali stworzyć armię podobnych mi pomyleńców. Wtedy też pojawiły się Behemoty. Ale to też nie jest ważne. Ważne jest to, że Trey natrafił na wzmiankę o tym, iż nieudane egzemplarze, będące produktem rytuału wchłonięcia duszy, przed ich uśmierceniem poddawano innemu rytuałowi, który miał uwolnić je od męki.

— Czyli ponownie odseparować połączone wcześniej dusze? — dopytywał się Al.

— Tego nie wiem. To była jedynie krótka, nieprecyzyjna wzmianka, ale zawsze jest to jakiś ślad. Coś, czego można się chwycić. Czego ja powiniensem się chwycić. A ja, kurwa, zamiast wyruszyć do Dżungli razem z nim, przyjechałem na dziwki.

— No dobra, przedstawiłeś mi sytuację, ale pytanie brzmi: *Dlaczego nie ruszyłeś razem z nim?*

— Sam nie wiem. A co, jeśli taki rytuał nie istnieje, a dzikusy zajebią nas, zanim dojrzymy ich w zaroślach? A jeśli nawet istnieje, to skąd pewność, że dusze zostają rozdzielone, skoro mieszaniec i tak potem umiera? Przed śmiercią jest im w stanie o tym powiedzieć czy jak?

— I co, chcesz, żebym cię przytulił? — Marynarz nie lubił gdybania w stylu: *Co by było, gdyby? Czy warto? A co, jeśli?* Nie przepadał również za zabawą w psychologa. — Powiem ci tak: sprawdzenie tego tropu to twój obowiązek. Wszystkie skurwysyństwa, których dopuściliście się w swym życiu, tyle trupów, to wszystko jest nic przy tym, co wyrządziłeś Rubie i sobie samemu. Sam zresztą kiedyś mi o tym powiedziałeś.

— Wiem. — Jarmis przyznał rację przyjacielowi. — Problem w tym, że z tej jebanej Dżungli nikt nie wraca.

— Zawsze musi być ten pierwszy raz. O Thenorafrein też tak mówili, zanim postanowiłem to sprawdzić. Poza tym, kto miałby być tym pionierem, jak nie ty?

Jarmis wiedział, że żeglarz ma rację, co tylko go zdenerwowało, lecz nie dał tego po sobie poznać. Siedzieli przez chwilę w milczeniu, po czym wrócili do rozmowy na mniej poważne tematy.

Po spotkaniu z Alem podpity zabójca udał się na obowiązkowe dla gości Milfgardu badania lekarskie. Ich nadzorem celem było wykluczenie ewentualnych chorób wenerycznych. Jarmis przeszedł testy bez problemu. Występujące u niego anatomiczne anomalia w postaci zwierzęcych pazurów nie stanowiły żadnej przeszkody, a fakt, iż był mieszańcem, z punktu widzenia lekarza był wręcz korzystny. Szanse, iż któraś z podopiecznych Runy zaszłaby w ciąży z Jarmisem, były dużo mniejsze, niż miało to miejsce w przypadku zwykłych klientów.

Załatwiony wszystkie formalności, udał się wreszcie do wieży na spotkanie ze swoimi jednodniowymi wybrankami. Dziewczyny traktował z godnością, jeżeli proceder seksu za pieniądze pozostawia jakiekolwiek miejsce na godność. Gdyby było inaczej, Piękna robiłaby mu wyrzuty, a tego nie potrzebował. I tak miał dość ciągłej walki z Bestią. Nie kręciły go również żadne łóżkowe udziwnienia. W przeciwieństwie do większości klientów nie wymagał od kurtyzan przebierania się w stroje księniczek, kapłanek czy karczmareczek ani nie nalegał, by przez cały dzień chodziły nago po wieży. Ze względu na swe gabaryty nie był też w stanie uprawiać seksu w zbyt wielu pozycjach. Zresztą, na te bardziej wymyślne lub wymagające większego wysiłku i tak był zbyt leniwy. Podczas jego poprzednich pobytów na wyspie zdarzały się nawet dni, gdy ograniczał się jedynie do podziwiania dziewcząt zabawiających się z samymi sobą.

Późnym wieczorem, po kilku godzinach wspólnych igraszek, udał się wraz ze swoją erotyczną obstawą na występ wizytującego na wyspie barda. Właściwie to nie miał ochoty ruszać się z wieży, lecz dziewczyny zapewniały go, iż jest to artysta wybitny, wobec talentu którego nikt nie pozostaje obojętny, więc ostatecznie uległ ich słodkim namowom.

Gdy dotarli do amfiteatru, okazało się, że występ trwa już od dłuższego czasu. Liczna publika, którą stanowili w większości pracownicy Domu Rozkoszy i ich rodziny, słuchała w skupieniu. Duża grupa kobiet zrezygnowała nawet z miejsc siedzących i stała pod samą sceną, wpatrzona w muzyka jak w obrazek.

Ze względu na wykonywany zawód, spotykając jakiegoś mężczyznę po raz pierwszy, Jarmis przede wszystkim starał się określić, ile kłopotów sprawi mu jego zabicie, gdyby zaistniała taka konieczność. Obecność Pięknej w jego głowie powodowała, że drugorzędnym kryterium oceny była również jego atrakcyjność. Czasami, gdy przykładowo zaczynała fantazjować o tym, jak dany jegomość może wyglądać nago, Jarmis wewnętrznie krzywił się w obrzydzeniu bądź, mając dosyć, osłabiał bariery trzymające Bestię w przestrzeniach umysłu dalekich od tych zajmowanych przez Rubie. Zmuszało ją to do porzucenia sprośnych myśli i zajęcia się ochroną własnej, mentalnej domeny.

Reakcja Pięknej na wygląd i śpiew barda zadziwiła zabójcę. Nigdy wcześniej nie doświadczył za jej pośrednictwem tak silnych emocji. Nie było to jednak pożądanie czy zwykły podziw dla muzycznego talentu, lecz totalne, bezwarunkowe uwielbienie. Zakochała się od pierwszego wejrzenia, jakby ktoś rzucił na nią urok. Siła jej uczuć odczuwana przez Jarmisa, choć i tak stłumiona przez jego emocjonalne otępienie, przeraziła go. Nie miał wyjścia i musiał postużyć się Bestią. Choć zabieg ten tym razem odniósł dużo słabszy skutek niż zazwyczaj, pozwolił mu przynajmniej na dalsze uczestnictwo w widowisku i uchronił przed kompromitacją, jaką przyniosłyby piski zachwytu, które chciała na nim wymusić Rubie.

Wysłuchawszy kilku kolejnych piosenek, Jarmis zaczął odnosić wrażenie, że już kiedyś słyszał tego grajka. Przeczucie zamieniło się w pewność po tym, jak muzyk zapowiedział swój następny utwór:

— Ten kawałek na pewno znacie. Od niego wszystko się zaczęło. Dziś pewnie nie napisałbym takiego tekstu, ale młodość rządzi się swoimi prawami. — Zrobił pauzę, by zbudować napięcie, choć większość widzów i tak wiedziała, co zaraz zaśpiewa. — Piosenka Turniejowa:

*Ilu was było, kto policzy
I czy w ogóle ma to sens
Który najbardziej się poświęcił
Kto bardziej na ślepy liczył traf
Nie sprawdzi nikt, nikt nie odgadnie
Od trzech lat Mistrz i tak ten sam*

*Przez sześć dni
Krew pot i łzy
Siódmego dnia
Wygram jaaaaa
(Kobiety pod sceną: Wygra ona)
I ma muzykaaaaa
(Kobiety pod sceną: To Muzyka)
Złamie się miecz i skruszy topór*

*Pęknięta tarcza rozleci na pół
Wiotczęjmięśnie, słabnie dłoń
W końcu na zawsze wypuścisz broń
Dlatego pytam się ja was
Czy nie lepiej śpiewać i grać*

*Przez sześć dni
Krew pot i łzy
Siódmego dnia
Wygram jaaaaaa
(Kobiety pod sceną: Wygra ona)
I ma muzykaaaaa
(Kobiety pod sceną: To Muzyka)*

*Dość mam pieśni o miłości
Od słodyczy aż mam mdłości
Słabe głosy, wolne rytmu
Chyba wolę słuchać ciszy
Więc poczuj moc refrenu tego
Tekstu samo się spełniającego*

*Przez sześć dni
Krew pot i łzy
Siódmego dnia
Wygram jaaaaaa
(Kobiety pod sceną: Wygra ona)
I ma muzykaaaaa
(Kobiety pod sceną: To Muzyka)*

Bestia nasiliła swą aktywność i Jarmis mógł w końcu obiektywnie przysuchać i przyjrzeć się muzykowi. Już od czasów młodości złoto i przygody interesowały go zdecydowanie bardziej niż sztuka. Podobnie było i tym razem, gdyż piosenka nie zachwyciła zabójcy. Owszem, była skoczna, wesoła i wpadająca w ucho, lecz nic poza tym.

Co do wyglądu barda, to los obdarzył go nieprzeciętną urodą. Jego budząca zaufanie twarz przedstawiała idealne połączenie męskości i delikatności, a w ciemnych oczach płonął ogień. Był wysoki i postawny. Gdy śpiewał, czarne, długie do ramion włosy przysłaniały mu twarz.

Bard poprawił strojenie lutni i odsunął na bok bęben, na którym do tej pory przygrywał prawą nogą. Wyciągnął z kieszeni harmonijkę i coś w rodzaju miniaturowego stelażu, który miał przytrzymywać ją blisko ust. Jego mocowanie składało się z trzech pręcików: dwa zakładało się za uszy, naczym okulary, a trzeci, prostopadły do nich, opierało się o pierś. Zapowiadając kolejną

pieśń, jednocześnie przypinał do nogawek spodni zestaw dzwoneczków o zróżnicowanej wielkości.

— Dziękuję wam za wspólnie spędzony wieczór. Kolejna piosenka będzie zarazem ostatnią. Skomponowałem ją niedawno, lecz jest dla mnie bardzo ważna. Być może najważniejsza. Jest to rozrachunek z ostatnią dekadą. Dzięki niej uporałem się ze swoimi demonami. Dzięki niej jestem tu dziś z wami. Dzięki niej oraz dzięki Alowi, który nie bacząc na piratów, przywiózł mnie na wyspę. Brawa dla Ala.

Gdy burza oklasków minęła, kontynuował:

— Kochani, mam nadzieję, że mój występ was nie rozczarował. Na pożegnanie, specjalnie dla was: *Chwytając się brzytwy*.

*Puste butelki, bukłaki, w końcu beczki
Tonę, budując z nich ratunkową szalupę
Dobrze wiem, nim skończę, będę trupem
To wciąż moja ulubiona droga ucieczki*

*Czasem się ocknę, gdy o dno uderzę
Zwalczę kaca, odkopię stare plany
I postanowienia, schemat dobrze znany
Ile jeszcze razy tę drogę przemierzę*

*Prędzej czy później opadam z sił
Cel zbyt daleki, po drodze przeszkód las
Jeszcze chwilę sam z sobą będę się bit
By w końcu uznać, że jeszcze nie czas
To jeszcze nie ten czas*

*Więc jeśli kiedykolwiek mnie spotkasz
Nie żałuj mnie i nie dawaj porady
Zamiast tego postaw piwo i napij się ze mną
Bo w głębi duszy czujesz, że jesteś taki sam
Razem ze mną brzytwy się chwyć
Choćby teraz, choćby dziś
Razem ze mną brzytwy się chwyć
Choćby teraz, choćby dziś*

W śpiewie i grze barda zaszła niewielka, a jednocześnie ogromna zmiana. Nie chodziło o głos czy melodię, lecz o emocje, jakie muzyk w nie wkładał. Choć tekst był ponury i przygnębiający, bard zdawał się czerpać z niego siłę. Widownia również chlonęła mistyczną moc piosenki. Stała oniemiała, wzruszona i szczęśliwa zarazem.

To, co przeżywali zwykli słuchacze, było niczym wobec tego, czego doświadczył zabójca. Nie chodziłobynajmniej o to, że tekst piosenki mówił o walce z alkoholizmem, z którym sam się zmagał. Gdy utwór przebrzmiał, Jarmis z niedowierzeniem uświadomił sobie, iż nawet Bestia ochlonęła w swej żądzy krwi. Stała się kompletnie spokojna, przestała nienawidzić. Jarmis poczuł się lepiej niż kiedykolwiek w swoim życiu. Był wolny. Wreszcie wolny. Rozplakałby się, gdyby potrafił.

Efekt ustąpił kwadrans po tym, jak muzyk zszedł ze sceny. Pozostali widzowie przedstawienia doszli do siebie nieco wcześniej i zaczęli rozchodzić się już po kilku minutach od jego zakończenia.

Piękna, po tym jak zabójca ponownie objął ją mentalną ochroną przed Behemotem, nalegała, by poszli spotkać się z artystą. Jarmis byłby gotów przystać na tę prośbę, jednak najpierw musiał sobie wszystko poukładać w głowie. Chwilowa wolność była dla niego zbyt dużym szokiem.

Skierował się do wieży, a kurtyzany podążyły za nim. Dopiero teraz przypomniał sobie o ich obecności – przez cały występ nie zamienił z nimi ani słowa. Z powodu swego rozkojarzenia oraz tymczasowego oswojenia Bestii, zaczął podejrzewać utalentowanego muzyka o nadprzyrodzone zdolności.

— Jak podobał się wam koncert, dziewczyny?

Wygadane i zazwyczaj rozmowne, jeśli nie przeszkadzało to klientowi, pięknotki zapominały języka w gębie. Jako pierwsza przełamała się ubrana w białą, delikatną suknię brunetka:

— Co tu można powiedzieć. Gareth Tovesh. — W jej głosie mieszały się uwielbienie, pożądanie i fanatyzm. — Każda z dziewczyn uciekłaby z nim bez zastanowienia, bodaj do końca życia miała żyć o wodzie i chlebie.

— Co racja, to racja — przytaknęła odziana w czerwień szatynka i westchnęła.

Blondynka o szafirowych oczach i takiejże kreacji nadal nie potrafiła zdobyć się choćby na słowo. Jarmis nie drążył dalej tematu.

Po powrocie do komnaty z wielkim łożem nie miał wcale ochoty na igraszki. Polecił dziewczynom oddalić się do swych pokoi, a sam pograżył się w rozmyśleniach. Gareth Tovesh był zagadką, której nie mógł rozgryźć. Odczuwał też zazdrość. Nie chodziłobynajmniej o to, że wydawał się rozkochiwać w sobie każdą niewiadomą, lecz o zdolność zauroczenia Bestii. Gdyby to

on dysponował takimi umiejętnościami wizja nieskończoności spędzonej razem z Behemotem nie byłaby aż tak okropna.

Przez umysł przebiegła mu myśl, która u Rubie wywołała przeróżenie, zaś u Bestii aprobatę.

W zaśnięciu ponownie pomogła mu jego ulubiona trucizna, jaką był alkohol, natomiast rano na nogi postawiło go solidne śniadanie i tytoń od Morleya. Gdy kac ostatecznie przeminął, polecił dziewczynom dokonać Wyboru za niego, według ich własnego uznania, a sam udał się na spotkanie z bardem. Jako gościowi Milfgardu, słono płacącemu za pobyt na wyspie, muzyk nie mógł mu odmówić krótkiej rozmowy.

Artyści zamieszkiwali niewysokie zabudowania siedzące z wieżą Runy. Ich kwatery nie były aż tak ekskluzywne, jak te przeznaczone dla klientów, ale na brak komfortu nikt nie miał prawa narzekać. Bard został uprzedzony o wizycie pana Melbarra z Sinmow, któremu rzekomo niezmiernie spodobało się wczorajsze wystąpienie. Zabójca zjawił się u niego w samo południe.

— Gareth Tovesh. Miło mi — przedstawił się muzyk i wyciągnął dłoń na powitanie.

Jarmis planował ograniczyć uprzemości do lekkiego skinięcia głową, lecz nie wypadało mu nie podać ręki gospodarzowi. Na szczęście pamiętał o założeniu rękawic przed wyjściem, choć podczas pobytu na wyspie zazwyczaj tego nie robił.

— Melbarr z Sinmow.

Muzyk, jak każdy, kto doświadczył uścisku dłoni Jarmisa, poczuł się nieswojo i stał zmieszany przez krótką, niezręczną chwilę.

— Zapraszam. Proszę się rozgościć. — Wreszcie się otrząsnął i wskazał zabójcy skórzany fotel. — Czy zechce się pan czegoś napić?

— Z chęcią. Może być cokolwiek, byleby miało procenty. — Jarmis ledwo wcisnął się w zaprojektowany dla zdecydowanie szczuplejszych od niego mebel. — Nie przesadzajmy też z grzecznością. Przejedźmy na ty.

— Świeśnie. — Bard nalał wina do dwóch kielichów i wręczył jeden gościowi. — Jak podobał ci się wczorajszy koncert?

Jego uzależnienie było już na tyle silne, że odruchowo najpierw się napił, a dopiero potem odpowiedział.

— Niesamowity. Zaiste niesamowity. Aż dziw, że nie jesteś bardziej znany. Często bywam na północy, w Welfare, ale nie słyszałem, abyś tam występował.

— To prawda. Dawno nie grałem w Welfare. W ogóle miałem długą przerwę w koncertowaniu. Zdecydowałem się wrócić na scenę pod koniec zeszłego roku. Przybyłem na Milgard, by zarobić na trasę po królestwie.

Mówiąc, Gareth wpatrywał się uważnie w twarz zabójcy.

— Wybacz mi, że tak się tobie przyglądam, ale odnoszę wrażenie, jakbyśmy się już kiedyś spotkali.

— Nie wydaje mi się. — Skłamał Jarmis, a potrafił kłamać, jak mało kto. — Na pewno bym zapamiętał. Rzadko spotyka się kogoś z takim talentem.

— Nie, nie, nie. Na pewno gdzieś cię widziałem. — Muzyk wziął łyk wina, delektował się nim przez dłuższą chwilę i wreszcie przełknął. — Wiem! Oczywiście! To było na Turnieju. To ty wygrałeś dwójkowe zawody miecza. Pamiętam, że wtedy też cały czas chodziłeś w rękawicach.

Sługa Krwi z trudem ukrył złość. Okazało się, że oprócz talentu muzycznego, bard jest także obdarzony doskonałą pamięcią do twarzy. Wielki Turniej odbył się przed dziesięcioma laty, Jarmis był wówczas pięć kamieni lżejszy, ostrzyżony na Łoso i nie miał brody. Nie spodziewał się, że Gareth będzie w stanie go rozpoznać.

— No dobra, przyłapałeś mnie. To ja. — Zamiast iść w zaparte, zabójca postanowił obrócić wszystko w żart. — Ukrywam się przed wielbicielami, dlatego trochę zmieniłem wygląd.

— Ukrywać się na Milfgardzie, mógłbym tak całe życie. — Muzyk roześmiał się ciepłym, rozbrajającym śmiechem. — Nie martw się. Nie napiszę o tobie piosenki. No, chyba że zechcesz.

Choć najważniejszy dla Garetha utwór traktował o jego alkoholizmie, bard wciąż nie był wolny od nałogu. Nauczył się go jedynie kontrolować. Pili i wspominali stare, dobre czasy. Po kilku głębszych muzyk stał się na tyle wylewny, iż opowiedział Jarmisowi o najtrudniejszym dla siebie okresie życia: dziesięcioletniej walce z depresją po słynnym turnieju. Nakreślił mu też swoje plany na przyszłość. Artysta chciał podróżować po Lotherbemm i przy pomocy muzyki dodawać ludziom otuchy, zachęcać do zmiany na lepsze i otwierać im oczy na panującą w kraju niesprawiedliwość.

Zabójca mówił niewiele. Właściwie to nie wiedział, dlaczego zdecydował się na spotkanie. Oczywiście, pragnął jeszcze raz doświadczyć błogiego spokoju i zapomnieć na moment o Bestii, lecz z drugiej strony rozumiał, że Gareth nie może mu pomóc. Nie żywy. Nie mógł mu przecież śpiewać bez przerwy. Jedynie wchłaniając jego duszę, Behemot mógłby uspokoić się na dobre. Jednak na to nawet Jarmis by się nie odważył. Nie po raz drugi.

Nie ujawnił też swej prawdziwej tożsamości, przeczuwając, że bardzo emocjonalnie odbierający otaczający go świat muzyk mógłby jej nie zaakceptować. Jego losy nie były opowieścią o złamanym sercu, lecz o rzece krwi i setkach nagle przerwanych istnień. Dla Garetha nadal pozostawał Melbarrem z Sinmow. Choć muzyk wiedział, że imię to było fałszywe, nie dociekał prawdy. Lubił mówić o sobie, a w dodatku czuł potrzebę zwierzenia się komuś.

Po kilku godzinach snucia opowieści i niemierzalnej ilości wypitego wina, Gareth zaczął przysypiać na fotelu, więc Jarmis wrócił do wieży. On również czuł się już senny i ponownie nie pokusił się o to, po co wszyscy inni przybywali na wyspę. Nawet nie dowiedział się, jakie dziewczyny przypadły mu tego dnia w udziale.

Dni mijały nieubłaganie szybko. Przez większość czasu chodził pijany winem bądź piwem. Cięższych trunków nie ruszał, chcąc od nich odpocząć. Bimber był ulubionym trunkiem Silmera i gdy Jarmis przebywał w siedzibie Arad úš, rzadko kiedy pili co innego. Czasami trzeźwiał na kilka godzin, by skorzystać z usług pięknych kurtyzan lub spotkać się z Alem. Nim się spostrzegł, minęły dwa miesiące.

Trzeci dzień siódmego obiegu Władcy. 186 dzień roku. Milfgard. Południe.

Tego dnia obudził się z wyjątkowo silnym kacem. Nie widział innego wyjścia niż wbicie klina i zjedzenie solidnego śniadania. Miał ochotę na krwisty stek, co nie było niczym niezwykłym. Przez głowę przebiegła mu myśl, że być może chodzi jedynie o krew. Nie był to jednak najlepszy moment na rozmyślanie. Nalał sobie wina i złożył zamówienie u służby.

Kobieta-lokaj wróciła po czasie zdecydowanie zbyt krótkim na przygotowanie potrawy. Stanęła w progu drzwi, spuściła wzrok i wyszeptała niepewnie:

- Przykro mi, ale wołowina się skończyła, proszę pana.
- Że co? — Walczący z bólem czaszki Jarmis nie był pewien, czy dobrze ją zrozumiał.
- Nie mamy już wołowiny, proszę pana. To przez piratów i ich blokadę. Nasze podziemne chłodnie świecą pustkami — powiedziała nieco głośniej. — Z mięs zostało nam jeszcze trochę drobiu, no i ryby.

Zabójca przez chwilę analizował usłyszane słowa, które w tym akurat momencie brzmiały dla niego niczym wyrok.

— Ryby, kurwa? — warknął i wstał z łóżka. — Ryby mam żreć? Może jeszcze sałatkę z samych warzyw mi zaproponujesz? — zapytał przerażonej kobiety.

- Przepraszam, ale to nie nasza wina — wydukała.

Miała ochotę uciec przed roznegliżowanym, przypominającym rozjuszzonego dzika mężczyzną.

Krzyk Pięknej w jego głowie powstrzymał go przed czymś, czego żałowałby do końca życia. Przemoc na Milfgardzie była niedopuszczalna i nawet jego zażyłe stosunki z Runą mogłyby nie uchronić go przed konsekwencjami pobicia służby, tym bardziej, że osoby przez niego pobite rzadko kiedy wracały do zdrowia.

— Masz rację — wydusił przez zaciśniętą szczękę. Kły odrosły mu już na tyle, że znów były dłuższe od reszty zębów i zaczęły wystawać na zewnątrz ust. — To nie twoja wina — przyznał po chwili, lecz na przeprosiny się nie zdobył. Przepraszanie nie leżało w jego naturze nawet wtedy, gdy jeszcze był tylko i wyłącznie sobą.

Zaczął krążyć nago po pokoju, nie przejmując się zupełnie stojącą w drzwiach kobietą. Obolały, podzielony na troje umysł znajdywał tylko trzy rozwiązania problemu braku mięsa. Nie

chciał jednak skracać urlopu, a ludożerstwo na wyspie też nie wchodziło w rachubę, pozostawała więc tylko jedna opcja.

— Przekaż Alowi, że chcę się z nim widzieć. Jak najprędzej. I przekaż mu to osobiście, nikt inny nie może się dowiedzieć — rozkazał służącej.

— Tak jest — Z ulgą przyjęła polecenie i czym prędzej uciekła z komnaty.

Kwadrans później Al zjawił się na szczytce wieży numer pięć.

— Dobrze, że nie zwlekałeś. — Jarmis przywitał żeglarza.

— Nie chciałem się narazić najmniejszemu olbrzymowi świata — zażartował Al. — O co chodzi? Po co ten pośpiech?

— Wyjdźmy na taras.

Gdy znaleźli się na zewnątrz, zabójca wskazał palcem na znajdujące się na południowym wschodzie skupisko skalistych wysepek.

— Tam stacjonują ci jebani piraci?

— Tak.

— Jaka to odległość? Pięć mil?

— Raczej dziesięć — ocenił fachowym okiem marynarz.

— Mówiąłeś, że doskwiera ci nuda. Że tęsknisz za morzem. Coś się zmieniło w tej kwestii?

— Nic.

— Świețnie. Czas zakończyć tę jebaną blokadę. Przerzucisz mnie w nocy na ich wyspę.

Al spojrzał na przyjaciela przymrużonymi oczyma.

— Chyba za dużo ostatnio pijesz. Co niby chcesz zrobić?

— Popłyniemy tam łódką, uwolnię młodego Brucondeisa, wróćmy, a ty go potem przerzucisz na kontynent. Szczeniak powiadomi kogo trzeba, a tydzień później nasza flota przegoni te łajzy w pizdu.

— I to jest twój plan? — Al kiwał głową z politowaniem. — Tam stacjonuje minimum dwa galeony piratów, czasami trzy. A ty chcesz po prostu, ot, tak, odbić ich najważniejszego więźnia?

— Właśnie taki jest mój plan. — Jarmisa ze złośćcią protekcyjonalny ton przyjaciela i podniósł głos. — Pomożesz mi czy nie? Jak będzie trzeba, to popłynę wpław.

— Runa nigdy mi nie daruje, jeśli coś ci się stanie. Wiesz, jakiego ma fioła na punkcie bezpieczeństwa gości.

— Tym bardziej zakończenie blokady jest jej na rękę — zauważył zabójca.

— Może i tak, ale nigdy nie zgodziłaby się, abyś się dla niej narażał.

— Chyba zapomniałeś, że jestem Sługą Krwi. Zabijam ludzi dla pieniędzy...

— Nie zapomniałem, choć może i bym chciał — przerwał mu Al, który nigdy do końca nie zaakceptował, że jego przyjaciel żyje z mordu.

— Dla mnie będzie to jak trening. — Jarmis nie dał się zbić z tropu i przekonywał dalej. — Tyle tylko, że tym razem nie zginie nikt niewinny, a przy okazji uwolnię Brucondeisa i zakończę problemy Milfgardu.

Al westchnął i pokiwał głową. W końcu jednak dał za wygraną.

— W porządku. Pomogę ci, ale jak coś pójdzie nie tak, to pamiętaj, że odradzałem ci to szaleństwo.

— Będę pamiętał — zgodził się zabójca.

— No dobra. Ale musimy opuścić Milfgard tak, by Runa się o tym nie dowiedziała.

Przypuszczam też, że będziesz potrzebował swojej broni?

— Owszem. Miecz, sztylet, pas i noże do rzucania.Więcej mi nie trzeba.

— Pogadam z szefem straży. On też jest wkurwiony całą tą sytuacją. Jego chłopaki muszą trzymać podwójne warty i chodzą niewyspani. Powiniem wydać mi broń.

— Świeście. Ile czasu potrzebujemy, by tam dopłynąć?

— To zależy od wiatru. Góra dwie godziny w jedną stronę. Sugeruję, byśmy wyruszyli godzinę przed północą.

— Zgoda. Wszystko więc ustalone. Dzięki, że się zgodziłeś. — Jarmis poklepał przyjaciela po plecach. — W końcu jakaś rozrywka. No i Bestia nie będzie mnie tak męczyć, gdy ubiję kilku piratów.

— Podziękujesz mi, gdy będzie już po wszystkim. Teraz się ogarnij. I nie pij już więcej.

— Dobrze, *tato* — zabójca zażartował z opiekuńczości Ala i odprowadził go do drzwi.

Spotkali się na przystani o wyznaczonej porze. Nieboskłon przysłaniały chmury, przez co noc była ciemniejsza niż zazwyczaj. Jarmisowi, który dobrze widział w mroku, było to na rękę.

Wiało w stronę kontynentu, co ich spowalniało, lecz jednocześnie oznaczało, że powrót będzie szybszy. Pierwszą część drogi pokonali, wykorzystując siłę wiatru. Potem, by zminimalizować ryzyko wypatrzenia przez piratów, zwinęli żagiel i dalej wiosłowali.

Gdy podpływeli już dość blisko, okazało się, że piraci obozują na dwóch największych spośród skupiska wysp. Jarmis zakłłł pod nosem, bowiem komplikowało to poszukiwania Brucondeisa. Schowali łódź za skałami nieopodal większej z wysp i Jarmis polecił Alowi zrzucić kotwicę. Sprawdził mocowanie broni u pasa i wskoczył do wody.

Noce były ciepłe, a na dodatek drzewa tu nie występowały, więc korsarze nie palili ognisk. Ci, którzy zdecydowali się zejść ze statku i spać na wyspie, wykorzystywali w tym celu namioty. Jedne były większe, drugie mniejsze, lecz poza rozmiarem niczym się nie różniły. Trzymający się na pewną odległość od obozowiska Jarmis dostrzegł zaledwie kilku wartowników.

Obszedł wyspę dookoła, ale nadal nie miał pojęcia, gdzie mogą przetrzymywać szlachetnie urodzonego więźnia. Zwrócił się po pomoc do Bestii. Zmniejszył kontrolę nad

potworem i uzyskał lepszy wzrok, słuch i węch. Ten ostatni znów okazał się najbardziej pomocny. Po kilku minutach węszenia poczuł zapach, który nie pasował do pozostałych. Zapach kobiety.

Skierował się w jego stronę. Namiot, z którego dochodził, był jednym z większych, a jego wejścia pilnował strażnik. Piasek doskonale tłumiał kroki i Jarmis bez problemów zakradł się do niego od tyłu. Olbrzymią dlonią chwycił pechowca za brodę, jednocześnie zakrywając mu usta, a drugą położył mu na czubku głowy. Szarpnął. Kark trzasnął niczym sucha gałąz.

Wślizgnął się do namiotu. Wewnątrz, pod kocami, spały dwie osoby: młoda kobieta, którą wywieszył, i mężczyzna zbyt stary, by być tym, kogo szukał. Pirat podzielił los wartownika, lecz przynajmniej ostatnie godziny życia musiał mieć bardziej udane. Dziewczyna nadal spała twardo, więc Jarmis obudził ją stanowczym szarpięciem za ramię, uprzednio zakrywając jej usta dlonią, by nie narobiła hałasu. Ocknął się, choć przeróżona, leżała spokojnie. Jarmis gestem nakazał jej zachować ciszę:

— Mówisz po naszemu? — zapytał szeptem.

Dziewczyna pokiwała twierdząco głową.

— Młody Brucondeis jest w obozowisku?

Znów odpowiedź na tak.

— Gdzie? Tylko cicho — ostrzegł i zdjął swe łapsko z jej delikatnej twarzy.

— Namiot obok. Na prawo od wyjścia — wyszeptała.

Jarmis wskazał palcem kierunek, by upewnić się, czy dla niego prawo jest w tę samą stronę, co dla dziewczyny. Otrzymał potwierdzenie.

— Przybyłeś, by go uratować? Weź mnie ze so... — Nie zdążyła dokończyć.

Al wybrał na akcję małą łódkę, by zminimalizować ryzyko wypatrzenia przez nieprzyjaciela. Jarmis miał wątpliwości, czy zmieszcza się do niej trzy osoby. Cztery nie miały na to żadnych szans. I choć Rubie wyła wściekle, chcąc go powstrzymać, Jarmis pacnął dziewczynę w policzek. Lekkie jak na jego możliwości uderzenie wystarczyło, aby straciła przytomność.

Najpierw wystawił z namiotu jedynie głowę, a gdy stwierdził brak obecności dodatkowych strażników, błyskawicznie przeskoczył do namiotu wskazanego przez dziewczynę. Krótkie spojrzenie wystarczyło, by ocenić, że śpiący na rozłożonym na ziemi kocu młodzieniec nie jest jednym z piratów. Choć zniszczone, jego ubranie nie było strojem korsarza z dalekiego południa, rysy twarzy też miał zdecydowanie zbyt delikatne. Zastosował ten sam sposób pobudki, co namiot wcześniej.

— Zabieram cię stąd. Jesteś w stanie iść czy mam cię nieść?

Chmury chwilowo się rozrzedziły i wpadające przez uchylone płaty wejścia namiotu światło Księcia pozwoliło zabójcy dokładnie przyjrzeć się chłopakowi. Zaskoczyło go, iż w jego oczach nie dostrzegł ni lęku, ni zdziwienia, a jedynie coś, co mogło być mieszkanką spokoju i zaciekawienia.

— Mogę iść sam — odpowiedział wyjątkowo trzeźwo, jak na osobę obudzoną kilka sekund wcześniej.

— Świetnie. Trzymaj się blisko mnie — poradził mu Jarmis i chciał już ruszać, lecz zatrzymał go szarpienie za nogawkę.

— Namiot obok jest dziewczyna. Musimy ją zabrać. — Cicho, aczkolwiek stanowczo powiedział Nick Brucondeis.

Jarmis z trudem opanował nagłą falę wściekłości. Spuszczona z uwięzi Bestia potęgowała złe emocje.

— Nie możemy. Nie ma miejsca na łódce.

— To weź ją zamiast mnie. Ja sobie poradzę.

W głosie młodzika nie dało się odczuć ani odrobiny wahania, natomiast Jarmis, choć doświadczony, zawahał się na ułamek sekundy. Ułamek ten wystarczył, by Nick odskoczył przed ciosem, który miał go ogłuszyć.

— Ratuj dziewczynę albo zacznę krzyczeć — ostrzegł bawiącego się w wyzwoliciela skrytobójcę, wycofawszy się w głąb namiotu.

— Kurwa, akurat musiał mi się trafić prawy szlachciura. A normalnie to ze świecą takiego szukać — wymruczał pod nosem Arad úš. — Dobra, weźmiemy ją, tylko nie rób już scen i chodź za mną.

Jarmis opuścił namiot. Nick podążył za nim, zachowując jednakże ostrożność na wypadek kolejnej próby ataku ze strony nieznajomego. Zabójca ponownie wszedł do pierwszego namiotu i wyniósł zeń nieprzytomną białogłówkę. Następnie wyszli poza skraj obozowiska i ruszyli wzdłuż plaży do miejsca, gdzie czekał na nich Al.

Gdy znajdowali się w połowie drogi do łodzi, Jarmis dostrzegł jakiś ruch. To jeden z piratów robił właśnie obchód niewielkiej wyspy. Mocarz dał znać chłopakowi, by się nie ruszał, a sam, nie odkładając nawet przerzuconej przez ramię niewiasty, podkradł się bliżej. Przykucnął, by wyjąć schowane w butach noże do rzucania. Jeden przytrzymywał zębami, a drugi zachował w dłoni. Wycelował i rzucił. Choć trafił tam, gdzie chciał, na wszelki wypadek błyskawicznie poprawił drugim nożem. Pirat, z przebitą szyją i sercem, osunął się na ziemię. Skonał po cichu, w przeciągu pół minuty. Jeszcze zanim wydał ostatnie tchnienie, Jarmis odzyskał broń z jego ciała i wraz z księciem wznowili swą ucieczkę. Dotarli do ukrytej między skałami łodzi, nie napotkawszy więcej przeszkód.

Dziewczyna nadal nie odzyskała przytomności, musieli więc ułożyć ją na dnie łodzi, przez co zajmowała jeszcze więcej miejsca. Al i Nick usadowili się na rufie, po obu burbach, by stworzyć przeciwwagę dla Jarmisa, który siadł okrakiem na dziobie. Jednak łódź miała zbyt małą wyporność, zanurzenie było za duże i szybko zaczęły nabierać wody.

— Dobra, to nie ma sensu — stwierdził Jarmis i zeskoczył do wody. Wracając na brzeg, wydał Alowi instrukcje. — Zostawcie dziewczynę na Milfgardzie, niech ktoś się nią zajmie, a chłopaka zabierz od razu do Obserwatorium. Piraci mogą próbować go szukać.

— A co z tobą? Chcesz się do nich zaciągnąć? — Al nie miał zamiaru zostawiać przyjaciela. — Nie wygłupiaj się. Mam tu linę, obwiążesz się nią i będziemy cię holować.

— Tego się nauczyłeś przez całe życie na morzu? Co chwilę będącie mnie wciągać pod wodę. Mówiłem ci, że mogę popłynąć wpław i taki mam zamiar.

— Mam tu gdzieś małą beczułkę. — Al zaczął szperać po dnie łodzi — Utrzyma cię na powierzchni.

— Wracacie sami. Koniec dyskusji — warknął na niego Jarmis. — Poza tym jeszcze nie zrobiłem tego, po co tu przypłyńskałem. — Następne słowa skierował do Nicka. — Młody, nie wiesz, czy piraci nie mają jakieś wołowiny?

— Wołowiny? — powtórzył zdziwiony chłopak.

— Tak, kurwa, wołowiny. Mięsa z krowy.

— Na statkach mogą mieć trochę solonej, ale to tylko dla oficerów. Załoga od dawna je tylko ryby.

— Dobra. Sprawdę to. Pomyślnych wiatrów — pożegnał się i potruchał w kierunku galeonu zacumowanego z drugiej strony wyspy.

— Powodzenia — rzucił za nim zdezorientowany Nick.

— Powodzenia, ty durniu — zawtórował mu wściekły żeglarz.

Al wraz z ocalonymi z niewoli odpłynął w kierunku Milfgardu, zaś Jarmis ruszył na poszukiwanie ukochanego mięsa. W końcu udało mu się je odnaleźć w kabinie kapitana jednego z dwóch pirackich galeonów. Nie było tego dużo, ale w końcu *lepszy rydz niż nic*. Zachcianka zabójcy kosztowała życie przywódcę korsarzy i kilku marynarzy, którzy pełnili wachtę na pokładzie. Pochłonąwszy całe solone mięso, Sługa Krwi postanowił podpalić statek, którego załoga tak bardzo zalazła mu za skórę. Chwilę trwało, nim udało mu się zaproszyć ogień. Kiedy ocenił, że płomienie szaleją już wystarczająco żwawo, wybiegł na pokład i wskoczył do wody.

Nigdy nie nauczył się porządnej techniki pływania, więc pomimo korzystnych prądów powrót na Milfgard zajął mu sześć godzin. Gdy dotarł do bram domu uciech, Runa Titner już na niego czekała.

— Ty nonszalancki dupku! Myślałam, że się utopiłeś. — Była rozgniewana i zarazem uradowana.

— No tak, mogłabyś wtedy zarekwirować resztę mojego złota. Niedoczekanie twoje.

— Przysięgam, że jeszcze jeden taki numer i za żadne złoto świata nie będziesz miał wstępu na moją wyspę.

Ich przekomarzanie trwało kilka minut, podczas których Jarmis dowiedział się, że Al, zgodnie z jego poleceniem, zabrał Brucondeisa na kontynent, a dziewczyną zaopiekowały się pracownice Runy.

Wyczerpany nocną przygodą Jarmis w końcu udał się na spoczynek do swej wieży.

Flota Lotherbemm zawitała na Milfgard tydzień później. Sam Pierwszy Admirał pofatygował się pod bramy burdelu, by oświadczyć, że ma ze sobą nagrodę dla wybawiciela Nicka Brucondeisa. Skrytobójcy nie zależało na popularności, więc nie zgodził się na spotkanie z dowódcą Marynarki. Przywykły do bezwarunkowego posłuszeństwa admirał z trudem przełknął tę zniewagę i wściekły wrócił na swą olbrzymią fregatę. Jednak złoto, w ilości trzydziestu sześciu suwerenów – równowartość opłaty za roczny pobyt na Wyspie Rozkoszy, zostawił.

Przez pozostałe trzy tygodnie urlopu Jarmis znów pił, jadł i sporadycznie uprawiał łożkową gimnastykę. Przedostatniego dnia pobytu, jak co kilka miesięcy, poddał się bolesnemu zabiegowi wyrywania wciąż odrastających kłów.

Wreszcie nastąpił czas pożegnań. Najpierw rozmówili się z Runą, która w nagrodę za jego dokonania obiecała, że już nigdy nie weźmie od niego zapłaty za pobyt na wyspie. Po zdjęciu blokady Milfgard znów miał pełne obłożenie klienteli. Dwa dni później, w Dolnym Szponie, przyszło mu żegnać się z Alem.

- Mam nadzieję, że zobaczymy się za rok — ni to stwierdził, ni zapytał marynarz.
- I ja mam taką nadzieję — przyznał zabójca lekko sepleniąc. Opuchlizna po usuwaniu zębów jeszcze nie ustąpiła.
- Czy mogę mieć do ciebie prośbę? — zapytał nieśmiało Al.
- Wal śmiało.
- Pamiętasz, jak opowiadałem ci o stalowych statkach, które widziałem na Thenorafrein?
- Ano.
- Często o nich myślę. Chciałbym kiedyś takim popłynąć. Rozmawiałem z wieloma szkutnikami i kowalami na południowym-wschodzie kraju, lecz wszyscy zgodnie twierdzą, że nie byliby w stanie ich zbudować. Kadłub statku jest zbyt duży, by można go było odlać w całości, a uformowanie go z mniejszych, łączonych ze sobą fragmentów wykracza poza ich możliwości. W ogóle uważają, że to niemożliwe. Ale przecież ja widziałem stalowe statki na własne oczy.
- No dobra, ale jak ja mogę ci pomóc? — zapytał Jarmis.
- W Dobrej Stali pracują najlepsi metalurgowie na całym kontynencie. Jeśli bylibyś kiedyś w pobliżu, może mógłbyś z nimi o tym porozmawiać. Zrobiłbyś to dla mnie?

— Podpalitem piracki galeon i przepłynąłem dziesięć mil, by móc zjeść krwisty stek. A ty, mój przyjaciel, pytasz się mnie, czy pogadam dla ciebie z jakimiś kolesiami? — Jarmis udał oburzenie.

— Dzięki.

— Nie ma sprawy. Trzymaj się, żeglarzu. Ahoj.

— A ty bądź grzeczny. Ahoj.

Rozdział dziewiąty – Witaj w Dżungli

Pierwszy dzień siódmego obiegu Władcy. 184 dzień roku. Tysiąc mil na południe od Dumserlan. Południe.

Przemieszczał się bardzo powoli. Miejscami dżungla była gęsta niczym jego sierść. Co rusz zdarzało się, że wyrastała przed nim niemożliwa do przebycia ściana roślinności i musiał szukać innej drogi. Czasami, gdy nie chciał zbytnio zbaczać z ustalonego, południowego kierunku, wyrąbywał sobie przejście mieczem. Większość napotykanych przez niego rzek płynęła na południowy-wschód, lecz ani razu nie odważył się na próbę spływu. Nie wiedział, jakie stwory mogą żyć w wodzie, a on sam nie czuł się w niej najpewniej. Gdyby został zjednoczony z jaguarem, być może byłoby inaczej, ale jego życie śmiercią przypłaciła puma.

Po miesiącu wędrówki w otaczającej go florze i faunie nastąpiły na tyle duże zmiany, że poznawał jedynie ich pojedyncze gatunki. Dżungłę zamieszkiwało zdecydowanie więcej hybryd, a roślinność szokowała intensywnością kolorów. Żywił się głównie małymi ssakami, sypiał w koronach drzew, uważając, że tak jest bezpieczniej.

Tylko raz naprawdę mocno się wystraszył. Miało to miejsce poranną porą, pośród nieco przerzedzonego fragmentu zarośli. Nie do końca przebudzony, dostrzegł zagrożenie w ostatniej chwili. Nie więcej niż piętnaście jardów od niego swój łowiecki rewir patrolował kroguar, najpotworniejszy po Behemocie i mantykorze wytwarzający eksperymentów z magią krwi. Wysoka na cztery i długa na siedem stóp, nie licząc ogona, maszynowa bestia była krzyżówką krokodyla i jaguara. Posiadała pancerz gada, choć pojedyncze płytka miały czarny kolor, przez co przypominały cętki kota. Kroguar jednakowo skutecznie polował wśród drzew, na które wspinał się z łatwością, jak i w wodnych głębinach. Długi na dwie stopy pysk skrywał zróżnicowane uzębienie pozwalające na duszenie, rozrywanie i miażdżenie.

Na widok stwora Trey odruchowo znieruchomiał i zjeżył sierść. Hybryda przyglądała mu się przez krótki moment, który kotołakowi zdawał się nie mieć końca, po czym leniwie ruszyła w swoją stronę. Od tego spotkania zabójca zachowywał się zdecydowanie bardziej ostrożnie, przez co tempo jego ekspedycji jeszcze spadło.

Jak większość kotowatych, był samotnikiem, mimo to po dwóch miesiącach spędzionych w dzicy zaczął doskwierać mu brak towarzystwa. Gdy zdał sobie sprawę z tego, że rozmawia sam ze sobą, nabrął obaw o stan swojej psychiki i szans na powodzenie wyprawy. Coraz częściej myślał o jej porzuceniu i powrocie do Lotherbemm. *Jeśli się pospieszę, wrócę na Wyspę przed końcem urlopu i nikt nie będzie mógł mi niczego zarzucić. Jarmis mnie zrozumie. Nawet on bał się Dżungli. Może za kilka lat spróbujemy ponownie, razem.* Czuł, że jest bliski decyzji o rezygnacji, lecz nie było dane mu jej podjąć.

Dżungla była dla niego zbyt hałaśliwa. Nieustanny jazgot małp, śpiew ptaków, cykanie owadów i ostrzegawcze ryki rozmaitych bestii, wszystko to sprawiało, że jego najbardziej rozwinięty zmysł, słuch, nie uprzedził go przed zbliżającym się niebezpieczeństwem.

W chwili pojmania był na siebie wściekły, lecz po pewnym czasie zrozumiał, że i tak nie miał szans na ucieczkę. Spośród ośmiu liczących się plemion Dzikich natrafił akurat na to, które posiadało najlepszych tropicieli i gońców, Psowatych.

Niektoří wykazywali więcej cech ludzkich, inni byli na tyle zmutowani, że poruszali się na czterech łapach, węsząc nosem nisko przy ziemi. Ich twarze, a może raczej pyski, wydawały się Treyowi tak samo komiczne, jak i przeróżające. Patrząc na nich, dowiedział się, co czuli normalni ludzie na jego widok.

Otoczyli go błyskawicznie i ciosem, którego nawet nie próbował uniknąć, powalili na ziemię. Odebrali mu broń, torbę z ekwipunkiem i zdarli z niego ubranie. Noszącego obco wyglądający strój przedstawiciela Kotowatych, za którymi delikatnie rzecz ujmując, nie przepadali, przed szybką egzekucją uratował niewielki przedmiot znaleziony podczas rewizji jego rzeczy: osobliwe, bo pokryte z jednej strony łuską, czerwone pióro. W Lotherbemm wierzono, iż jest to fragment upierzenia legendarnego stwora, Ziza.

W historycznych źródłach zarówno starego, jak i nowego kontynentu, można było doszukać się zaledwie kilku wzorów o jego pojawienniu. Wszystkie były zgodne co do tego, że przypominał sępa i był czerwony, różniły się natomiast podawanymi rozmiarami bestii. Według jednych rozpiętość skrzydeł Ziza wynosiła sto jardów, w innych dochodziła ona nawet do dwóch mil. Łuska pokrywająca pióro olbrzymiego potwora przestworzy miała świadczyć o tym, że jest on jednocześnie Lewiatanem, grozą mórz i oceanów.

Trey wątpił w istnienie ptaka o tak gigantycznych rozmiarach, mogącego na dodatek zmieniać się w coś przypominającego wieloryba, niemniej pochodzenie dziwnych piór pozostawało zagadką również dla niego. Na szczęście dla kotołaka, Arad úš obrali sobie ten niezwykle rzadki przedmiot na swój symbol. W całej historii Trójkrólestwa odnaleziono zaledwie kilkadesiąt piór Ziza. Ponad połowa należała do Gildii, resztę można było podziwiać w największych państwowych muzeach. Zabójcy nosili je przy sobie, by móc udowodnić swą tożsamość, gdyby zostali aresztowani podczas wykonywania misji. Zawarta pomiędzy Gildią a Koroną umowa gwarantowała każdemu schwytanemu Słudze Krwi szybką egzekucję bez żadnych przesłuchań oraz stanowiła, że żaden członek królewskiej rodziny nie może zostać obrany na cel zlecenia Arad úš czy też samemu korzystać z ich usług.

Wyglądało na to, że osoba posiadająca przy sobie niezwykłe, czerwone pióro była traktowana w wyjątkowy sposób także w Dżungli. Choć części najbardziej zewierzęconych Dzikusów było to nie w smak, decyzją przywódcy o twarzy przypominającej pysk wilczura, Trey pozostał przy życiu. Psowaci próbowali wyciągnąć z niego jakieś informacje, lecz nie byli w stanie

się porozumieć. Ich mowa brzmiała dla niego bardziej jak szczekanie, niż język, który studiował z ksiąg przez ostatnie kilka lat. W końcu dali za wygraną, związali mu ręce i założyli na szyję linę, na której przywódca-wilczur prowadził go niczym na smyczy. Dla członków tego plemienia było to najgorsze do wyobrażenia upokorzenie, jednak cieszący się z zachowania życia kotołak nie przejął się tym ani trochę.

Psowaci wędrowali zbyt szybko i robili za mało przerw na odpoczynek, więc gdy po kilku godzinach dotarli na miejsce, Trey czuł się wykończony. Przywiązano go do słupa zajmującego centralny punkt leżącej pośród przesieki osady, której większość zabudowań przypominała raczej budy niż chaty. Potwornie zmęczony zabójca osunął się na ziemię i zasnął. Gdy spał, starszyna wioski decydowała o jego dalszym losie.

Obudzono go nazajutrz z samego rana i wraz z czterema strażnikami wyruszył w dalszą drogę. Przez pierwszy tydzień podróżowali pieszo. Tubylcy dobrze znali swój teren i ukryte w gęstwinie ścieżki. Trey cierpał z powodu zmęczenia i głodu, gdyż żywił się jedynie reszkami posiłków swej obstawy. Kiedy w końcu dotarli do rzecznej przystani i wsiedli na tratwę, którą mieli pokonać pozostałą część trasy, zabójca mógł wreszcie trochę odpocząć.

Początkowo niewielki strumyk, który momentami zmuszał ich do zsiadania z tratwy i przenoszenia jej na głębszą wodę, stopniowo zamienił się w słusznych rozmiarów rzekę. Co pewien czas napotykali wodne stworzenia, na których widok kotołakowi jeżyła się sierść na karku, co u Psowatych wywoływało nieskrywane rozbawienie. W końcu zabójca przestał przejmować się czymkolwiek i spędzał czas, wylegając się na deskach tratwy oraz rozmyślając o tym, co może go czekać, gdy dotrą tam, dokąd zmierzali.

Po dziesięciu dniach spływu, podczas których przemierzył podobny dystans, co przez dwa miesiące samotnej wędrówki, ich rzeka połączyła się z inną, zdecydowanie większą. Trey, jako mieszkaniec Lotherbemm, był przekonany, że święte rzeki Trójkrólestwa nie mają sobie równych. Co prawda w dzieciństwie słyszał historie o wielkim ciągu wodnym wijącym się pośród niezbadanej Dżungli, traktował je jednak podobnie jak bajania o mitycznym Zizie. To, co ujrzał, wprawiło go w osłupienie. Przez następne kilka tygodni miał się czuć podobnie jeszcze niejeden raz.

W miejscu, w którym na nią wpłynęli, Zamona miała nieco ponad milę szerokości. Ruch na rzece był duży. Niesione prądem, napędzane siłą wiatru bądź wysiłkiem wioślarzy płynęły po niej rozmaite wodne jednostki. Trey zachodził w głowę, ilu ludzi czy może raczej ile istot człekokształtnych zamieszkuje Dżungle. Po kolejnych dwóch dniach dotarli do jej serca, stolicy Dzikich, Byhrid.

O niebotycznych rozmiarach miasta miał przekonać się dopiero później, gdyż jego przeważająca część wcinała się szeroką przesieką daleko w głąb Dżungli. Zsiedli z tratwy na zdającej się ciągnąć bez końca wzdłuż lewego brzegu Zamony przystani. Gdyby Trey nie był w

szoku spowodowanym wyglądem osobników tworzących tłum przewijający się przez to miejsce, mógłby stwierdzić, że swoją zabudową jest ono nawet podobne do dzielnic portowych największych miast Trójkrólestwa. Dźwigi, magazyny, domy kupieckie, gospody i bary: było tu to wszystko, choć jedynym stosowanym budulcem okazało się drewno. I ten tłum — po prostu nie mógł oderwać od niego oczu. Pół-ludzie przejawiający zwierzęce cechy nie tylko ssaków, ale również ptaków i gadów. Niektórzy byli krzyżówką więcej niż dwóch gatunków, choć co jakiś czas dostrzegał także mężczyzn i kobiety, co prawda drobniejszej budowy i ciemniejszej karnacji od Lotherebemczyków, lecz poza tym wyglądających zupełnie normalnie. Udało mu się wypatrzeć zaledwie kilku kotołaków, jednak wystarczyło to, by poczuł się odrobinę lepiej.

Strażnicy, z którymi przypłynął, po zacumowaniu tratwy naradzali się przez chwilę na pomoście, po czym chwycili go pod pachy i wciagnęli w motłoch mieszkańców. Po pół godzinie przedzierania się przez nieregularną sieć zabudowań znaleźli się na skraju graniczącej z portem dzielnicy zamieszkowanej wyłącznie przez hybrydy ludzi i psów, zwanej Psiarnią. Podobnie jak miało to miejsce na początku ich wspólnej podróży, został zawleczony w pobliże budynku nadarszyny, przywiązanego do słupa i pozostawionego samemu sobie. Towarzyszące mu przez ostatnie trzy tygodnie Kindle, bo tak złośliwie nazywano w Byhrid półludzi-półpsy, nie wracały przez dłuższy czas.

Znajdujący się na wrogim terenie kotołak wzburdził spore zainteresowanie ich współplemieńców. Nikt nie odważył się go uderzyć, lecz nie szczędzono na niego śliny i resztek żywności. Sługa Krwi mimo wszystko stał dumnie. W liczącej kilkudziesięciu osobników zbieraninie nie dostrzegł nikogo, kto miałby z nim szanse w uczciwym starciu. Kindle nadawały się do tropienia, ale nie do walki.

Wreszcie narady dobiegły końca, a Trey, otrzymawszy nową, złożoną z miejscowych obstawę, ponownie ruszył w drogę. Miał już dość łażenia w tą i we w tą, ale ucieszył się, gdy okazało się, że opuszczają Psiarnię. Znów znaleźli się w Dzielnicy Portowej, choć tym razem kierowali się bardziej na wschód. Dotarli nad Zamonę i wkroczyli na coś, co w pierwszej chwili zabójca wziął za wyjątkowo długi pomost. Dopiero po kwadransie marszu zrozumiał, iż jest to most płynący. Długa na trzy mile przeprawa, w swej środkowej części wykonana była z lżejszych, łatwiejszych do składania i rozkładania fragmentów. Pozwalało to zachować w miarę płynny ruch na rzece.

Dopisało im szczęście, bo udało im się pokonać most bez konieczności czekania na przepuszczenie statków. Pokonanie niespotykanej długiej konstrukcji zajęło im godzinę. Gdy znaleźli się na drugim brzegu, zostali zatrzymani przez groźnie wyglądających strażników czystej krwi, uzbrojonych we włócznie i tarcze wykonane z pancerza nieznanego Treyowi zwierzęcia. Kindle zaczęły wyjaśniać im cel swojej wizyty w Dzielnicy Ludzi i w końcu dostały pozwolenie na przejście.

Prawobrzeżna część Byhrid diametralnie różniła się od lewobrzeżnej. Dominującym budulcem okazał się tu dający przyjemny chłód kamień, zabudowa była regularna, panował porządek i nie było tak tłoczno. Hybrydy, które minęły po drodze do Pałacu Czystości, Trey mógłby policzyć na palcach łyap.

Wzniesiony z białego piaskowca, monumentalnych rozmiarów budynek, przyprowadził kotołakowi na myśl dwory najbogatszych arystokratów Loherbemm, był jednak znacznie większy. Zatrzymali się przed wiodącymi do niego, mającymi kształt sierpa, wysokimi i rozległymi schodami. Znajdujące się na ich szczycie złote wrota rozwarczyły się i zszedł do nich ubrany w jedwabną tunikę mężczyzną w podeszłym wieku. Delikatnym gestem ręki dał Kundlom do zrozumienia, że nie będą już potrzebne. Posłuszne hybrydy oddaliły się bez słowa.

— Witaj w Dżungli, nieznajomy — zwrócił się do Treya w jego języku. — Nazywam się Gerwulf. Goniec poinformował mnie o twoim przybyciu.

— Skąd znasz... zresztą nieważne. — Zabójca był zbitą z tropu. Znajdował się w sercu Dżungli, a stał przed najwspanialszym budynkiem, jaki kiedykolwiek widział, i został przywitany nienagannym loherbemmskim. — Trey Legarrdo. Masz dobry akcent.

— Dziękuję. — Starzec uklonił się skromnie. — Dziś wieczór dostąpisz zaszczytu audiencji u naszej władcyni. Najpierw jednak musimy doprowadzić cię do porządku. Podążaj za mną, proszę.

— Prowadź.

Został nakarmiony, wykąpany i otrzymał nowe, Iniane ubranie. Pozwolono mu przespać się kilka godzin, a kiedy się obudził, z zadowoleniem odkrył, iż zwrócono mu większość zarekwiowanego przez Kundli ekwipunku. Brakowało jedynie broni, piórka Ziza i kła Behemota, który otrzymał od Jarmisa. W końcu ponownie przyszedł po niego sympatyczny starzec.

— Wiem, że u was na północy spotkanie z królem wymaga przestrzegania pewnej etykiety. U nas niegdyś było podobnie, lecz nasza obecna władcyni nie lubi przesadnego poddaństwa — tłumaczył mu, gdy pokonywali zdobione rozmaitymi dziełami sztuki, wyłożone marmurem, korytarze pałacu. — Wystarczy, że zachowasz podstawowe zasady kultury i będziesz zwracał się do niej *Pani*.

— W porządku.

— Choć na audiencji obecni będą doradcy mej Pani, będziesz rozmawiać tylko z nią. Verdish zna wasz język nie gorzej ode mnie, można wręcz powiedzieć, że uczeń przerósł mistrza.

Sala tronowa zaskoczyła go tym, iż w przeciwieństwie do reszty pałacu nie raziała przepychem. Brak było tu jakichkolwiek ozdób. Jedynie tron był artystycznie rzeźbiony, fotele monarszych doradców były proste i skromne, podobnie jak ławy dla gości, które zajmowały większość pomieszczenia. W niewielkiej odległości naprzeciw królowej ustawiono wygodne krzesło przeznaczone dla Treya.

Zabójca zbliżył się i przemówił:

- Witaj, Pani.
- Witaj przybyszu. Usiądź, proszę.

Trey wykonał polecenie.

- Czy czujesz się już lepiej po podróży?

Gerwulf nie chwalił jej bezzasadnie. Posiadała łagodny głos, co czyniło jej akcent jeszcze lepszym. Włosy miała czarne, jak wszyscy Dzicy, których spotkał do tej pory, lecz jej cera była jaśniejsza, a rysy delikatniejsze.

- Owszem. Przyjęto mnie z niespotykaną gościnnością.

— Przypuszczam, że po tym, jak traktowali cię Psowaci, nie było to nazbyt trudne. Ale i tak jesteś prawdziwym szczęściarzem. Gdybyś nie miał przy sobie piórka Ziza, nie rozmawialiśmy teraz. Swoją drogą zastanawia mnie, jak wszedłeś w jego posiadanie?

— To symbol mojej gildii, Arad úš. — Trey nie zamierzał niczego ukrywać bądź kłamać w obawie, że mogłoby kosztować go to życie. Skoro Gildia dysponowała serum prawdy, Dzicy z pewnością również.

- Arad úš?

Nazwa ta obiła się Verdish o uszy, lecz nie mogła sobie przypomnieć, w jakim kontekście. Z pomocą pospieszył jeden z siedzących po jej bokach doradców.

— To lotherbemmska Gildia Zabójców, choć jej korzenie sięgają aż na Thenorafrein. Jej założyciele należeli do trzeciej fali ucieczki ze starego kontynentu. Organizacja elitarna i poważana, korzystająca z możliwości oferowanych przez magię krwi.

— Fascynujące, doprawdy fascynujące. — Władczyni zdawała się być zachwycona. — A ja obawiałam się, że możesz okazać się zwykłym, nudnym mieszańcem, któremu doskwierał brak tolerancji naszych północnych sąsiadów. Mam jednak nadzieję, że nie przybyłeś do Byhrid, by kogoś zabić?

- Zarzekam się, że nie, Pani.

- Jeśli nie po to, to po co?

- Chciałem przekonać się, jak żyłoby mi się wśród innych przemienionych.

- Czyli jednak brak tolerancji? — Verdish udała rozczarowanie.

- Obawiam się, że tak.

— Hmm, no cóż. Przebyłeś taki kawał drogi, że nie mam serca przeszkadzać ci w realizacji twoego pragnienia. Będziesz mógł udać się do Leżyska, lecz nie mogę ci obiecać, że zostaniesz tam ciepło przyjęty. Kotołak czy nie, jesteś tutaj obcy. Na wszelki wypadek wydam odpowiednie rozkazy, tak by włos nie spadł ci z głowy. Ze swoją wiedzą o Lotherebemm jesteś dla nas zbyt cenny, zwłaszcza zważywszy na naszą obecną sytuację.

— Dziękuję, Pani. — Trey nie miał pojęcia, dlaczego akurat teraz może okazać się przydatny, ale póki co nie bardzo go to obchodziło. Cieszył się z ochrony, jaką chciała go otoczyć Verdish. — Postaram się być pomocny.

— Nie wątpię — stwierdziła z tajemniczym uśmiechem. — Nieszczęsnym trafem Leżysko jest najdalej położoną stąd dzielnicą Byhrid i może to być dla ciebie uciążliwe, niemniej nalegam, byś meldował się u Gerwulfa dwa razy w tygodniu. Będziesz składał mu raporty o tym, jak ci się powodzi, i odpowiadał na jego pytania dotyczące Trójkrólestwa. Mam nadzieję, że nie proszę o zbyt wiele?

— Bynajmniej, Pani. Spełnię twoją prośbę z przyjemnością — zapewnił i ukłonił się na lotherbemmską modłę.

— Zabójca o dworskich manierach. Spodobałeś mi się, kotołku. Moi ludzie wskażą ci drogę do Leżyska. Powodzenia.

— Po raz wtóry dziękuję. Zaszczytem było cię poznać, Pani. Niech fortuna ci sprzyja. Hé šag⁶.

Ze względu na podeszły wiek Gerwulf nie mógł go odprowadzić, przydzielono mu więc innego przewodnika. Dotarcie do Leżyska, ostoi Kotowatych, zajęło im niespełna trzy godziny. Po drodze eskortujący go mężczyzna opowiadał mu o Byhrid. Trey dowiedział się, że miasto składa się z jedenastu dzielnic. Prawobrzeżną część miasta zamieszkiwali wyłącznie ludzie czystej krwi. Po drugiej stronie rzeki znajdowały się: zamieszkała przez Kindle Psiarnia, Małpi Gaj będący domeną ludzi-małp, Wężowisko należące do mieszanek ludzi z gadami, Gawry niedźwiedziaków i Leżysko, do którego zmierzali. Poza tym były tu jeszcze uczęszczane zarówno przez ludzi, jak i wszystkie rodzaje hybryd, dzielnice portowa i kupiecka. W dolnym biegu Zamony znajdowało się rozwidlenie będące enklawą ludzi-ptaków, a niedaleko ich terenu, na rzece, dryfowały baseny Wodniaków: mieszkańców ludzi i ssaków wodnych, głównie delfinów. Na samym skraju dżungli rozpościerała się olbrzymia dzielnica hybryd, w których żyłach płynęła krew ludzka i co najmniej dwóch gatunków zwierząt, zwana Barachłem. Przewodnik poinformował Treya, że nie panują tam żadne prawa i dla własnego bezpieczeństwa nie powinien się tam zapuszczać, a właściwie to najlepiej by było, gdyby w ogóle nie odwiedzał dzielnic innych plemion i trzymał się głównych dróg, które stanowiły teren neutralny.

Wreszcie dotarli do odseparowanego od reszty miasta grubym pasem zarośli Leżyska. Mijane kotołki, jakby od niechcenia, obwąchiwały go na dystans. Rozmaitych rozmiarów drewniane chaty znajdowały się tu nie tylko na poziomie gruntu, lecz także wysoko w koronach drzew. Co jakiś czas dostrzegał też misternie uformowane z ziemi, wieloizbowe lepianki, których

6 Powodzenia (Żegnam)

sienie wyglądały niczym wejście do skalnej groty. Trey próbował oszacować, ilu jego pobratymców może zamieszkiwać dzielnicę, lecz rozciągała się ona na olbrzymim terenie, a jej zabudowa była rzadka i nieregularna, dała więc sobie spokój. Jednego był jednak pewien: żyły tu tysiące kotołaków.

Zatrzymali się przed dużych rozmiarów domostwem, na którego dachu, bezetrosko wyciągnięty, wygrzewał się jego gospodarz. Wyglądał osobliwie. Zachował ludzką sylwetkę, lecz jego kończyny były grubsze, a nogi dodatkowo miały kształt pozwalający na komfortowe poruszanie się zarówno na dwóch, jak i czterech łapach. Co prawda jego nos był typowo koci, a potężne kły wystawały poza szczękę, lecz resztę twarzy miał bardziej ludzką od Treya. Bujne bokobrody łączyły się z krótką sierścią tułowia o tygrysim umaszczeniu. Nie posiadał ogona, przez co mógł nosić spodnie jedynie nieznacznie różniące się krojem od zwyczajnych. Podtrzymywane na miejscu przez szelki, stanowiły cały jego ubiór.

Na widok gości zerwał się na cztery łapy i zeskoczył z gracji z dachu. Wylądował na tylnych kończynach i przyjął wyprostowaną sylwetkę. Zwrócił się do przybyłych:

— A więc tak wygląda najnowsza sensacja Byhrid. Witam.

Używał języka Dzikich, lecz Treyowi było zdecydowanie łatwiej zrozumieć jego akcent niż mowę Psowatych.

— Widzę, że wieści szybko się tu rozchodzą — zauważył zabójca, komicznie kalecząc mowę tubylców.

— Czyżby w Lotherbemm było inaczej?

— Słuszna uwaga.

— Jakieś wytyczne odnośnie traktowania naszego krewniaka z Północy? — pół-człowiek pół-tygrys zapytał przewodnika.

— Tylko dwie. Ma żyć i meldować się na drugim brzegu rzeki dwa razy w tygodniu. Reszta to wasza sprawa.

— Och, wy bezduszni. Długie spacery są dobre dla Kundli, a nie dla nas — powiedział tygrysolak z autentycznie brzmiącym dramatyzmem. Miał zadatki na aktora. — No ale skoro mus, to mus — stwierdził już z powagą.

— Mus — potwierdził mężczyzna. — Zostawiam was samych. Jak zauważysz, czeka mnie długi powrót, a zwiedzanie Byhrid po zmierzchu nie jest najbezpieczniejsze. — Pogroził palcem Treyowi. — Bywajcie.

— Bywaj — pożegnali go chórem.

Przez chwilę odprowadzali go wzrokiem w milczeniu. Jako pierwszy głos zabrał zjednoczony z tygrysem.

— Jakiż ja niewychowany, zapomniałem się przedstawić. Nazywam się Eedd'var'die, ale możesz mi mówić po prostu Ed.

— Trey. — Zabójca wyciągnął dłoń.

— Oj nie, nie, mój drogi, nowy przyjacielu. Radziłbym oduczyć się tego jakże nietolerancyjnego gestu wywodzącego się z przebrzydzej Północy.

— Nietolerancyjnego?

— Owszem. — Trey pomyślał, że teatralne zachowanie Eda w przeciągu minut doprowadziłoby Jarmisa do furii, lecz jemu samemu nie przeszkadzało. — Co będzie, jeśli z rozpetto podasz dłoń jakiejś Gadzinie albo Nielotowi? Ci biedacy mogą nie mieć czym jej chwycić, gotowi więc pomyśleć, że się z nich nabijasz. To samo z Wodniakami. A Kundle? Jeśli stwierdzą, że chcesz się z nimi bawić w *podaj łapę*, to draka gotowa.

— Czuję, że jeszcze dużo nauki przede mną.

— Jestem przekonany, że okażesz się pojętnym uczniem, jednakże, nim rozpoczniemy lekcje, nalegam, byśmy pierwej się posiliły. — Szarmantkim gestem wskazał mu wejście do swej chaty.

Trey nie oponował. Został przyjęty w głównej izbie. Znajdowały się w niej zaledwie dwa meble: niewysoka, okrągła ława i sięgająca niemalże sufitu szafa, wyłożona od góry skórami, podobnie zresztą jak większość podłogi pomieszczenia. Ed wy tłumaczył mu, że na szafie sypia jego towarzyszka, która jak znaczna część Kotowatych lubi na wszystko patrzeć z góry, on zaś nie odczuwa takiej potrzeby i woli kłaść się na ziemi.

Pożywili się mięsem kapibary, której Trey nigdy wcześniej nie próbował. Największy gryzoń świata smakował zaskakująco dobrze.

— Sam ją upolowałeś? — zapytał.

— Nie, to ofiara mojej wybranki. Wspaniała dziewczyna, zawsze upoluje mi to, na co mam ochotę. Teraz znowu jest na łowach, pewnie nie wróci przez kolejne dwa dni. Ja nie mam już czasu na zapuszczanie się w dżungłę.

— Dlatego, że jesteś przywódcą Leżyska?

— *Przywódca* to nie najlepsze określenie, bardziej odpowiednie byłoby *lider* bądź *przedstawiciel*. My Kotowaci chadzamy swoimi ścieżkami i nie lubimy, jak ktoś próbuje narzucać nam swoją wolę. Niemniej potrzebny jest ktoś do kierowania sprawami naszej wspólnoty, w szczególności kontaktami z Czyścioszkami. Bez świeżej krwi szybko byśmy zdziczyliśmy.

— Nie rozumiem.

— Pozwól więc, że ci wyjaśnię. Jak przypuszczam, zostałeś kotołakiem na skutek rytuału. Biorąc pod uwagę stronę fizyczną przeistoczenia, zauważ, co najlepsze, z kota i człowieka. Stałeś się szybszy, silniejszy, lepiej słyszysz i widzisz w nocy. Oczywiście, można się kłócić, czy łatwiej żyje się z ogonem, czy bez, ale to są cechy drugorzędne, mniej istotne. Pod względem mentalnym zostałeś natomiast, tylko się nie obraź, uszkodzony. Nawet najgładsze zjednoczenie dwóch istot zawsze zostawia jakąś rysę na ich połączonej psychice. Najważniejsze

jednak jest to, że nadal myślisz jak człowiek. Jesteś człowiekiem. Człowiekiem o kocim wyglądzie i zmysłach.

— Gdyby reszta *prawdziwych* ludzi tak myślała, to nie byłoby mnie tutaj — zauważał Trey.

— Człowiek człowiekowi wilkiem, a co dopiero kotołakowi. Ale mniejsza z tym. Przedstawiłem ci, jak to wygląda u tych, którzy przeszli rytuał, lecz u ich potomstwa sprawa ma się zupełnie inaczej. Gdybyś przygruchał sobie jakąś sympatyczną Kocicę i mielibyście małe Kociaki, byłyby one psychicznie stabilniejsze od ciebie, bez żadnej rysy, a jednocześnie bardziej dzikie. Przejęłyby część kociej natury. Znaczenie terenu, wiosenne szaleństwo i te sprawy. Przejawiałyby również więcej zwierzących cech w wyglądzie. W kolejnych pokoleniach wszystko to jedynie by się nasilało. W bardzo krótkim czasie aspekt ludzki zostałby całkowicie wymazany. Pozostałyby jedynie dzikie, zmutowane bestie. Dlatego też nasza pula genetyczna potrzebuje regularnych zastrzyków czystej krwi. Nie mamy więc wyjścia i musimy żyć z ludźmi w zgodzie.

— Nie jestem ekspertem magii krwi, ale z tego, co się orientuję, nie może być żadnego stałego przeistoczenia, bez śmierci jednej z istot. Chcesz mi więc powiedzieć, że ludzie oddają wam swoich krewnych, byście mogli ich zabić podczas rytuałów?

— Owszem. Każda czystej krwi kobieta musi oddać co trzecie swoje dziecko w tym celu. Prowadzony jest szczegółowy rejestr narodzin, by wyeliminować wszelkie próby obejścia *prawa ofiary*. Dziecko odebrane matce trafia do jednego z siedmiu plemion hybryd. Rada plemienia wybiera niemowlaka-mieszańca, którego krew ma być oczyszczona. Im szybciej dojdzie do rytuału, tym mniejsza rysa, dlatego też najlepiej przeprowadzać go na nowo narodzonych.

— Makabra.

Mimo iż był zabójcą, myśl o mordowaniu dzieci na masową skalę była dla niego szokiem. Na jego szczęście Gildia nigdy nie zmusiła go do dzieciobójstwa. Nie był pewien, czy poradziłby sobie z takim zadaniem.

— Prawo Dżungli, pokłosie parania się magią krwi, jak zwał, tak zwał. Oczywiście składanie w ofierze własnego potomstwa nie jest czymś, co robi się z lekkim sercem, lecz jest to cena, jaką ludzie muszą płacić za władanie Byhrid i całym I'rrever'te. Poza tym, czasami, gdy krwi jest pod dostatkiem, można zawiesić *prawo ofiary*. I jeśli przeczucie mnie nie zawodzi, już wkrótce tak właśnie się stanie.

— Co masz na myśli? — Trey nie bardzo rozumiał, co Ed ma na myśli.

— Nie chcę gadać po próżnicy. Wszystko wyjaśni się, gdy wróci Tazaar.

Ed, tajemniczy jak to kot, nie chciał mu również wyjawić, kim był Tazaar. Trey nie drążył tematu. Po pierwsze, nie chciał zdenerwować gospodarza, a po drugie, w chwili obecnej bardziej od relacji kotołaków z Czystymi interesowało go Leżysko i zasady w nim panujące. Dowiedział się, że jeśli nie będzie nikomu wchodził w paradę, to nie powinny spotkać go żadne poważne

nieprzyjemności, jednakże nie ma też co liczyć na pełne przyjęcie do wspólnoty, dopóki nie udowodni w jakiś sposób swojej wartości. Jako obcy nie powinien też zaczepiać innych, a zwłaszcza samic. Jeśli ktoś zechce z nim porozmawiać, to sam wykona pierwszy ruch.

Pozycja Treya w Leżysku nie była więc godna pozazdrosczenia, ale póki co, cieszył się samą znajomością z Edem. Spokojny i zabawny tygrysołak przejawiał więcej ludzkich zachowań niż reszta jego pobratymców, czemu zresztą zawdzięczał pozycję reprezentanta Kotowatych. Wykorzystując swoje wpływy, Ed załatwił Treyowi na własność niewielką, lecz przytulną chatę, i obiecał znaleźć zadanie, które pozwoliłoby na zdobycie szacunku współplemieńców. Wsparł go również materialnie, gdyż zabójca nie mógł wyruszyć w dżungłę na łowy, jako że przysiągł regularnie składać raporty Gerwulfowi, w związku z czym był zmuszony kupować żywność.

Piąty dzień ósmego obiegu Władcy. 218 dzień roku. Byhrid. Południe.

Czas płynął szybko, jakby jego bieg natrafił na wyjątkowo długie i wąskie przewężenie. Nim Trey się zorientował, minęły dwa tygodnie od audiencji u Verdish. Powoli przyzwyczajał się do parnego klimatu, zenitalnych ulew i dzikich odgłosów jedynej w swym rodzaju metropolii pośrodku Dżungli. Najbardziej przeszkadzało mu robactwo, a właściwie to jego rozmiary. Mógłby przywyknąć do wszechobecnych komarów, much i olbrzymich ważek, lecz tarantule wielkości patelni lub długie na dwie stopy wije czy skolopendry za każdym razem wywoływały u niego to samo uczucie. Kocia część natury chciała jak najszybciej ubić to cholerstwo, a ludzka uciekać gdzie pieprz rośnie.

Inne kotołaki przywykły do jego zapachu i przestały obwąchiwać go przy każdym spotkaniu, ale wciąż był traktowany z dystansem. Z jednym, aczkolwiek istotnym, wyjątkiem. Jego osoba wzbudziła zainteresowanie Cle'men'tin, kobiety-kota. Młoda kotołaczka była zafascynowana przybyszem z odległych krain, który podobnie jak ona był zjednoczony z pumą, co nie było zbyt powszechnie wśród mieszkańców Leżyska.

Chociaż Ed odradzał mu spoufalanie się z samicami, Cle zawsze sama inicjowała ich spotkania i zabójcy nie wypadało ani nie miał ochoty jej odtrącać. Dziewczyna oprowadzała go po Byhrid i opowiadała o jego zwyczajach. Generalnie mówiła dużo, ale jemu to nie przeszkadzało. Zawsze wolał słuchać innych, za to sam bardzo starannie ważył słowa. I choć towarzystwo Cle sprawiało mu przyjemność, w ich relacji było coś, co nie dawało mu spokoju, lecz póki co nie był w stanie tego nazwać.

Tego dnia znów musiał udać się na prawy brzeg Zamony, by złożyć kolejny, piąty już raport u Gerwulfa. Cle umiliła mu swym towarzystwem drogę, odprowadzając go aż do przeprawy przez rzekę. Pożegnali się delikatnym, przyjacielskim uściskiem i dalej Trey ruszył sam.

Tym razem nie miał tyle szczęścia, co podczas pierwszego pokonywania mostu. W jego połowie musiał się zatrzymać, by odczekać, aż zostanie odprawiony ruch rzeczny. Z myślą o

podróżnych most był w tym miejscu poszerzony, a po jego bokach ustawiono proste ławki z chroniącymi od słońca, wykonanymi z palmowych liści zadaszeniami. Trey skorzystał z okazji i spoczął na jednej z nich. Obserwował sunącą po rzece karę, która gabarytami biła na głowę największe handlowe statki Loherbemm, gdy dosiadł się do niego Czysty młodzieniec. Niewysoki, szczupły, o oliwkowej cerze, ubrany w jasne, lniane szaty nie wyróżniał się kompletnie niczym i być może dlatego jego słowa zaskoczyły Treya.

— Silim dug⁷ — przywitał się.

Mimo iż mowa Dzikich miała wiele wspólnego z językiem starożytnego Arad úš, akurat to archaiczne powitanie już dawno zostało zapomniane przez zwykłych mieszkańców Byhrid.

— Silim šě.⁸ — Zabójca odparł odruchowo wyuczoną formułką.

— Jak już zapewne się domyślasz, nie spotykamy się przypadkowo. Jest ktoś, kto bardzo chciałby poznać członka legendarnego Arad úš, a ja jestem jego posłańcem.

— Ktoż to taki?

— Ktoś zafascynowany pradawną wiedzą i możliwościami, które oferuje. Ktoś, kto poświęcił życie na niesienie pomocy zagubionym hybrydom. Ktoś, od kogo mógłbyś się wiele dowiedzieć. Niech jego imię póki co pozostanie tajemnicą.

— Dla mojego czy jego bezpieczeństwa? — Kotołak przypuszczał, o co chodzi z tą tajemniczością.

— Dla bezpieczeństwa nas wszystkich. Jeśli nie brak ci ciekawości i odwagi, udaj się nocą do Barachła i odnajdź kamienny ziggurat położony na jego północno-wschodnim obrzeżu. Ufam, że zgubienie ewentualnego ogona nie będzie dla ciebie problemem.

— Jeden ogon wystarcza mi w zupełności. Więcej ich nie potrzebuję.

— Świeśnie. — Młodzieniec zareagował na żart uśmiechem. — Zatem do zobaczenia, mam nadzieję.

— Przemyślę to.

Tajemniczy posłaniec wstał i wмесzał się w tłum oczekujących na przeprawę. Trey, którego sytuacja w Byhrid i tak była już dość skomplikowana, tylko westchnął ciężko i rozciągnął mięśnie ramion oraz grzbietu, pręcząc się w typowy dla Kotowatych sposób.

Po dwóch kwadransach wznowiono ruch na moście. Przez pozostałą część drogi do Pałacu Czystości zastanawiał się, czy powinien napomknąć o dziwnym spotkaniu w swoim raporcie. Nie wiedział, czy nie miało ono być testem jego lojalności i prawdomówności, ostatecznie jednak postanowił o nim nie wspominać.

7 Witaj (Jak się masz)

8 Witaj (Jak się masz – odpowiedź)

Gerwulf przyjął go jak zwykle wyszukanym poczęstunkiem, trafiającym niemalże idealnie w jego kocie kulinarne upodobania. Tym razem były to pieczone kolibry. Małe ptaki, nabite na długie wykałaczki, przed skosztowaniem zabójca maczał w jednym z pięciu zaserwowań sosów. Wszystkie były znakomite, sam nie przyrzędziłby lepszych, lecz po spróbowaniu każdego, z dotkliwym żalem stwierdził, że ptaszki i tak najbardziej smakują mu bez żadnych dodatków, a surowe to już z pewnością byłyby najlepsze. Choć był mieszańcem przez zdecydowaną większość życia, a od niedawna znajdował się wreszcie pośród podobnych jemu osobników, dalej marzył o niemożliwym. Aby znów czuć się i wyglądać jak człowiek.

Po skromnym posiłku i rozmowie na błahe tematy przyszła pora na złożenie raportu. Trey streścił przebieg ostatnich kilku dni i pokrótkę opisał swe wrażenia i obserwacje. Dotychczas po tej części spotkania Gerwulf przechodził do zadawania najprzeróżniejszych pytań dotyczących Lotherbemm. Najbardziej interesowały go nastroje panujące w Trójkrólestwie oraz jego sytuacja ekonomiczna. Wypytywał również o króla i jego doradców, jak również o inne najznamienitsze, arystokratyczne rody. Zabójca starał się odpowiadać najszczegółowej jak potrafił, lecz czasami po prostu brakowało mu wiedzy. Zdobyciem informacji o aktualnych wydarzeniach zajmowali się inni Arad úš, a on sam nie był nimi zbytnio zainteresowany.

Jednak tym razem starzec nie zasypał go gradem pytań. Po relacji zabójcy w skromnie urządzonym apartamencie nauczyciela i doradcy władcyni Byhrid zapanowało milczenie, zakłócone jedynie przez dobiegający z pałacowego korytarza szum fontanny. Trey ukrywał zaniepokojenie wywołane myślą, że posłaniec faktycznie był sprawdzianem, czytając tytuły wygrawerowane na grzbietach ksiąg alfabetycznie ułożonych na jednym z regałów. Jego obawy okazały się nieuzasadnione.

Gerwulf wreszcie przemówił:

— Zastanawiam się, o co jeszcze mógłbym cię spytać, lecz nic nie przychodzi mi do głowy. Oczywiście, wiedzy nigdy za wiele, ale chyba wyciągnąłem już z ciebie wszystko, co się dało. — Uśmiechnął się życliwie. — Być może Tazaar po swoim powrocie będzie chciał przesłuchać cię osobiście, jednakże z mojej strony to wszystko. Dziękuję ci serdecznie za poświęcony czas i jeśli tylko masz ochotę, proponuję, byśmy zamienili się rolami. Teraz to ty możesz mnie pytać o cokolwiek.

— Na dowolny temat?

— Na każdy, który może cię interesować. Wydaje mi się, że poznałem cię dość dobrze, by założyć, że nie ciekawią cię plotki o tym, kto z kim sypia ani temu podobne banialuki.

— Słusznie zakładasz. Niech każdy sypia, z kim ma na to ochotę.

Trey miał w głowie mętlak. Było tyle rzeczy, o które chciał spytać, że nie wiedział, od której zacząć. Wreszcie zdecydował, co nurtuje go najbardziej.

— W porządku. Zaczniemy od tego: kim jest Tazaar?

— Bratem naszej pani Verdish — odpowiedział niemal natychmiast starzec. — Jednym z trojaczków, jest bowiem jeszcze ich siostra Merist. Nie są to bynajmniej zwykłe trojaczki. Urodzili się co prawda tej samej nocy i mają wspólnego ojca, lecz każde ma inną matkę.

— Jak to możliwe? Przecież szansa zaistnienia takiego zdarzenia jest znikoma.

— Szamani krwi potrafią wiele. Widzisz, Wystan, ojciec trojaczków, zmarły przed niespełna pięcioma laty, był naszym poprzednim władcą. Panował długo, podbił wiele zbuntowanych terenów, bo musisz wiedzieć, że l'rever'te to nie tylko Byhrid, oj nie. Jego plany były ambitne. Wiedział, że sam nie zdoła ich zrealizować i ktoś będzie musiał kontynuować jego dzieło. Pewnego dnia, dwadzieścia pięć lat temu, Słońce, Biały Książę oraz Władca ustawiły się w jednej linii. Nastąpiło trwające ponad pół godziny podwójne zaćmienie. Według naszych szamanów potomstwo spłodzone tego dnia miało być obdarzone wyjątkowymi zdolnościami i szczęściem. Wystan, będący wówczas w pełni sił vitalnych, w czasie zaćmienia odbył stosunek z trzema kobietami. Dzięki magii krwi udało mu się zapłodnić wszystkie. Dziewięć obiegów później, ponownie przy pomocy odpowiednich rytuałów, wywołano u nich w tym samym czasie poród i trojaczki przyszły na świat. Matkom nigdy nie powiedziano, która urodziła które dziecko, by żadnego z nich nie faworyzowały i wszystkie kochały jak swoje. Z czasem, gdy maluchy podrosły, nabraly oczywiście pewnych podejrzeń, lecz nie mogły nic stwierdzić na pewno.

— Ciekawa historia, wręcz niesamowita. Zastanawia mnie jednak, jak ustalono, że to Verdish będzie władać Dżunglą — dociekał Trey.

— Trojaczki wychowywały się razem i połączyła je wyjątkowo silna więź. Mimo iż cała trójka jest niesamowicie ambitna, ich wzajemna miłość okazała się mocniejsza. Wspólnie uzgodnili, jak podzielą się władzą. Postanowili, że każde z nich będzie rządzić przez pięć lat, a następnie ustąpi na rzecz któregoś z rodzeństwa. Jako pierwszej korona przypadła Verdish, lecz jej kadencja wkrótce się kończy.

— Gdy wróci Tazaar?

Gerwulf przytaknął.

— A skąd on właściwie wraca?

— Z Południowych Krańców. Przy pomocy naszych najlepszych szamanów zbierał tam armię, która będzie nam potrzebna podczas ataku na Lotherbemm.

— A więc wojna?

Zaskoczony Trey aż dostał gęsiej skóry. Zdziwiła go nie tylko informacja, lecz także to, że Gerwulf zdecydował się nią z nim podzielić oraz spokój, w jaki to zrobił.

— Naprawdę jesteś tym zaskoczony? Myślałeś, że wypytywałem cię o sytuację w Lotherbemm z czystej ciekawości?

— Podejrzewałem coś, zwłaszcza gdy pytałeś o liczebność i stan armii, ale miałem nadzieję, że chcecie to wiedzieć tak po prostu, na wszelki wypadek.

— Nadzieję? Martwi cię los Lotherebemmczyków? Czy to nie przez ich brak tolerancji do nas przybyłeś? — W głosie mężczyzny nie było słyszać gniewu czy oburzenia, lecz zwykłą ciekawość.

— Może zabrzmi to dziwnie w ustach członka Arad úš, ale wojna jest po prostu zła. Ginie za dużo ludzi. Mogę mieć pretensję do wielu, ale nie wszyscy są źli. Poza tym, po co wam ta wojna?

— Przez ostatnią dekadę twoi rodacy z południa kraju wycięli pas lasu o szerokości pięćdziesięciu mil, wiodący od Górz Podziału aż po brzeg oceanu. Gdyby utrzymali to tempo, za dwieście lat Lotherebem wchłonęłyby Byhrid. Nie możemy na to pozwolić. A jako że okoliczności są sprzyjające, co potwierdzają nie tylko twoje słowa, lecz także relacje naszych szpiegów, postanowiliśmy działać teraz.

— Rozumiem, że moje zdanie nie ma większego znaczenia, ale powiadam ci, że to jest szaleństwo.

— Takie jest prawo dżungli. Silniejszy podbija słabszego. Jeśli Lotherebemmczycy to zrozumieją, być może uda się ograniczyć liczbę ofiar. Zdążyłeś już poznać nas na tyle, by wiedzieć, że nie jesteśmy barbarzyńcami. Gdy na tronie w Wartegall zasiądzie jedno z trojaczków, możemy dalej żyć w zgodzie.

— Poznałem was, ale jeszcze lepiej poznałem Lotherebemm. Dopóki nie zrównacie całego Trójkrólestwa z ziemią, nigdy do tego nie dojdzie.

— Zobaczmy. Już niedługo zobaczymy.

Gerwulf był tak pewny siebie, że Treya aż przeszły ciarki.

— Wybacz mi, ale twoje rewelacje mocno mną wstrząsnęły. Muszę sobie to wszystko uporządkować w głowie.

— Oczywiście, to całkowicie zrozumiałe. Jeśli masz ochotę, możesz już wrócić do Leżyska. I proszę cię, byś się zbytnio nie zamartwiał. Twoja sytuacja w Byhrid nie ulegnie zmianie po naszej rozmowie. Nadal jesteś tu mile widziany, jednak ze zrozumiałych względów nie możemy pozwolić ci na opuszczenie miasta.

— Rozumiem. A co z naszymi spotkaniami?

— Nie musisz już składać raportów, ale mam nadzieję, że zechcesz mnie czasami odwiedzić. No i tak jak już mówiłem, Tazaar po swoim powrocie być może będzie chciał porozmawiać z tobą osobiście.

— Dziękuję za gościnę.

Trey wstał z fotela, poprawił spodnie i przewiewną lnianą kamizelkę.

— Cała przyjemność po mojej stronie.

Gerwulf uśmiechnął się w rozbrajający sposób, biorąc pod uwagę temat ich rozmowy, i odprowadził kotałaka do drzwi.

Zmęczony wyprawą do odległego Pałacu Czystości oraz pozyskaną wiedzą, kompletnie zapomniał o podejrzany poślańcu i po powrocie do Leżyska oddał się ulubionej przez koty czynności, położył się spać. Nazajutrz w okolicach południa odwiedził go Ed, który przyniósł w prezencie udziec upolowanego przez jego partnerkę okapi. Trey był rad z podarunku, bowiem surowe mięso zawsze poprawiało mu humor. Posiliły się wspólnie, choć tygrysołak jadł niewiele, tylko dla towarzystwa. Zabójca przekazał koledze informacje, które uzyskał od Gerwulfa, chcąc w ten sposób choć częściowo zrzucić z siebie ich ciężar. Okazało się, że lider Kotowatych wie o wszystkim od dawna i na dodatek jest odpowiedzialny za przygotowanie swych porośniętych sierścią pobratymców do nadchodzącej wojny.

— Większość naszych wojowników trenuje tu, w Leżysku, bądź szkoli się w Dżungli — oznajmił Ed. — Zresztą właśnie w tej sprawie do ciebie przyszedłem. Nam, Dzikusom, jak nas nazywacie, nie brakuje odwagi, ale z umiejętnościami posługiwania się bronią jest już gorzej. Dużo gorzej. Dzidy i bambusowe łuki nie zdadzą się na wiele w starciu z rycerstwem Lotherbemm. Dlatego chciałbym, abyś pomógł mi szkolić naszych braci.

— Mam pomóc w przygotowaniach do wojny przeciwko własnemu krajowi? — zapytał Trey, który wciąż nie wiedział, po której stronie nadchodzącego konfliktu powinien się opowiedzieć.

— Oj tam, daj spokój. I tak już nie wrócisz do Lotherbemm. Chyba że jako dowódca naszej kociej armii lub informator Tazaara. Przykro mi, ale takie są fakty i nic na to nie poradzimy. A trenując moich chłopców, mógłbyś się nam bardzo przysłużyć. Jako Arad úš z pewnością świetnie machasz mieczem.

— Nie najgorzej, choć w Gildii są znacznie lepsi ode mnie — przyznał.

— Czasu jest niewiele, więc i tak nie zrobimy z nich mistrzów szermierki. Chodzi o to, by poznali podstawy. Niestety, jest pewien mały problem.

— Jaki?

— Nim zaczniesz szkolić, musisz udowodnić swoją wartość i lojalność.

— Na razie to jeszcze nie zdecydowałem, czy chcę kogokolwiek szkolić. — Trey, zniechęcony, wzruszył ramionami.

— Do tego możemy wrócić później. Tak czy siak musisz się wykazać, jeśli nie chcesz dalej żyć na obrzeżu naszej społeczności.

— Co konkretne miałbym zrobić?

— Jeden cholerny Ośliszg, znaczy Wężowaty, zabił ostatnio czarną panterę, zwierzę patrona, święte dla kasty Jaguarowatych. Moglibyśmy mu to wybaczyć, spotkał bestię w buszu, musiał się bronić, zrozumiała sprawa. Ale ten skurwysyn zbezczesał jej zwłoki, odcinając jej

głową i obnosząc się z nią niczym z trofeum. Tego już nie możemy puścić w niepamięć. Gadzina musi zginąć.

— No cóż, zadanie w sam raz dla mnie. W końcu jestem zabójcą, czyż nie? — przyznał ironicznie Trey.

— Cieszy mnie twój entuzjazm. — Ed pozostał niezrażony. — Obmyśliłem już nawet plan działania. Ubicie gnoja w jego domu nie wchodzi w rachubę, bo mieszka w centrum Węzowiska. Na szczęście menda ta jest zmiennocieplna. Jest to cecha drugorzędna i dosyć rzadka, ale nam otwiera możliwość sprzątnięcia go na Patelni.

— To jest ta plaża, na której wygrzewają się Gadziny?

— Nie inaczej, przyjacielu. Codziennie rano zmiennocieplne Oślizgi i Krokusy, jak pieszczotliwie nazywamy Krokodylowatych, wędrują tam, by nałapać słonecznej energii. Każdy z nich ma swoje ulubione, stałe miejsce. Namierzyliśmy już miejscowości naszej ofiary. Niedaleko niej są zarośla, w których będziemy mogli się schować.

— Chcesz iść ze mną?

— A jak sam poznasz tego skurwielę? Oczywiście, że pójdę z tobą. Dodatkowo będzie musiał z nami iść jeszcze jakiś inny, cieszący się uznaniem kotołak, by potwierdzić, że samodzielnie wykonałeś zadanie. Niektórzy mogliby stwierdzić, że moje słowa są niewystarczające, jako że jesteśmy w zbyt zażyłych relacjach.

— Zazwyczaj nie pracuję przy udziale widowni, ale niech będzie.

— Gdy Gadzina się pojawi, wyskoczysz z zarośli i zrobisz, co trzeba. Możliwe, że będziesz musiał ubić kilku jego towarzyszy, ale powinieneś dać sobie radę. Z rana te cholery poruszają się wolniej, niż żuk gnojarz toczy swój skarb. Istotne jest jedynie to, byś nie wdał się w walkę z żadnym Krokusem. Nie chcemy psuć naszych dobrych relacji. Gdy będzie po wszystkim, dajemy nogę w las i wracamy do Leżyska.

— Całkiem zgrabny plan — przyznał Trey. — Jest wszakże jeden szkopuł. Nie mam broni, a nie zamierzam zagryzać żadnego obrzydliwego Oślizga zębami.

— O to się nie martw. Dostaniesz najlepszą broń, jaką mamy. — Ed w komiczny sposób przymrużył oczy, by przekonać go o prawdziwości swych zapewnień.

— No dobra. Ostatnia sprawa. Kiedy mam to zrobić?

— Najlepiej to jutro. Jaguary są wściekłe jak cholera i nie wytrzymają długo w oczekiwaniu na zemstę za bluźnierstwo. Przyjdę po ciebie na trzy godziny przed świtem. Bądź gotów.

— Będę, bez obaw.

— Świeście. Nie mogę się doczekać widoku Arad úš w akcji.

Ed wstał od ubrudzonego od krwi wołu stołu i z zadowoleniem strzelił szelkami spodni.

— Póki co spadam załatwić ci obiecaną broń. Do zobaczenia.

— Bywaj.

Tygrysołak powrócił o umówionej porze w towarzystwie potężnie zbudowanego kotołaka z upokorzonej przez Oślizgą kasty Jaguarowatych. Sly'ver'tes, bo tak się nazywał, choć niższy od wyróżniającego się pośród swych pobratymców wzrostem Treya, był od niego co najmniej trzy kamienie cięższy. Przejawiał też znacznie więcej zwierzęcych cech w wyglądzie. Jego cętkowana sierść była dłuższa, podobnie jak muskularny tułów, za to kończyny krótsze. Całkiem sprawnie poruszał się w pozycji wyprostowanej, lecz dłuższe dystanse preferował przemierzać na czterech łapach. Gdy Ed ich sobie przedstawił, Trey mimo udzielonej mu wcześniej lekcji, odruchowo wyciągnął zakończoną długimi pazurami dłoń.

— Wykażesz się dziś, to podam ci dłoń — stwierdził sucho Jaguarowaty.

— No popatrz, a więc jest się o co bić.

Trey nie powstrzymał się przed sarkastyczną uwagą. Nie lubił, gdy ktoś się wywyższał. Co prawda jego najlepszy przyjaciel Jarmis również przejawiał tę cechę, jednak robił to jedynie wtedy, kiedy ktoś go zdenerwował, a dodatkowo był usprawiedliwiony destrukcyjnym oddziaływaniem Bestii.

— Taki z ciebie chojrak, przybyszu? — Sly wyszczerzył groźnie zęby.

— Spokojnie, panowie, spokojnie.

Ed wkroczył między nich, by załagodzić sytuację. Uśmiechnął się szeroko. Zjednoczony z tygrysem, królem dżungli, lider Kotowatych był jednym z najwyższych mieszkańców Leżyska. Mimo iż miał już swoje lata, a ostatnimi czasy znacząco schudł, jego wiecznie wystające, trzycalowe kły wciąż budziły respekt. Człowiek-puma i człowiek-jaguar uspokoili się. Ed sięgnął za plecy i wyciągnął włożony za spodnie, owinięty w białą szmatę pakunek.

— Oto broń dla ciebie, najlepsza w całym Byhrid, tak jak obiecałem — zwrócił się do Treya i przekazał mu oręź.

Zaciekwiony zabójca odwinął skrywający go materiał i momentalnie rozpoznał własny miecz oraz sztylet, które zarekwirowano mu przed tygodniami. Rozłożył ręce w pytającym geście.

— Chciałbym móc po prostu powiedzieć, że nie ma lepszej broni niż ta, do której jesteś już przyzwyczajony. — Ed pospieszył z wyjaśnieniem. — I choć na pewno jest w tym sporo prawdy, to z zawstydzaniem stwierdzam, że lepszego miecza i tak bym nie był w stanie załatwić. Wasza stal nie ma sobie równej. To, czym dysponujemy my, jest gorsze pod każdym względem. Jest to jedna z rzeczy, które najbardziej mnie niepokoją w związku z nadciągającymi wydarzeniami.

— Pozwól więc, że cię trochę uspokoję. Mój miecz nie jest z lotherbemmskiej stali, lecz ze stali wulkanicznej. — Trey nie ukrywał dumy, mówiąc o swojej niesłychanie cennej broni. — W Miliphen się jej nie wydobywa. Jest jej jedynie tyle, ile przywieziono z Thenorafrein.

— Miło, że się starasz, ale nie zmienia to faktu, że i tak wasze wojsko będzie od nas lepiej uzbrojone.

— No cóż, nasi wynalazcy nad niczym innym się tak nie głowią, jak nad wymyślaniem nowych narzędzi śmierci i udoskonalaniem tych już istniejących. Większość ich cywilnych odkryć to tylko skutek uboczny tych starań.

— U nas podobnie jest z szamanami i magią krwi. Chociaż może jest to akurat bardziej zrozumiałe, bo jak to mówią: *Krew za krew*.

— A propos. Czas ruszać — wtrącił Sly, ewidentnie znudzony ich konwersacją.

Pozostali dwaj kotołacy byli podobnego zdania i cała trójka skierowała się na południowy-wschód, wybierając krótszą i dyskretniejszą drogę przez dżungłę. Sly poruszał się szybko, na czworaka, przez co Ed z Treyem musieli truchtać, by za nim nadążyć.

Po niecałej godzinie dotarli na miejsce. Ed wskazał zabójcy część plaży, którą upodobał sobie cel jego zadania. Następnie wszyscy trzej schowali się w rosnących nieopodal zaroślach. Do świtu pozostawało jeszcze sporo czasu, więc Ed, zdecydowanie najbardziej przejęty całym przedsięwzięciem, postanowił jeszcze raz wytłumaczyć Treyowi swój plan.

Sługa Krwi miał tylko jedno i nie do końca istotne pytanie.

— Jak to jest, że z Wężowatymi tak bardzo się nie lubicie, a z Krokodylowatymi trzymacie sztame? Przecież jedni i drudzy to Gadziny.

O dziwo odpowiedzi udzielił niechętny mu Sly.

— Oślisgi to podstępne, zdradzieckie szumowiny. Każdy ci to powie. Tylko Krokiusy ich tolerują, a to dlatego, że oni generalnie są bardzo spokojni i ugodowi. Do szczęścia wystarczy im się solidnie nażrąć raz na jakiś czas. Rekordziści jedzą co kilka miesięcy, a tak to tylko by się wygrzewali na słońcu lub spali.

— Właściwie to samo można by powiedzieć o nas — zreflektował się Ed.

— E tam, gadanie. — Sly kontynuował. — My jeszcze lubimy od czasu do czasu kogoś zabić i trochę pochędożyć. Ale mniejsza z tym. Z Krokuśami lubimy się z powodu naszej wspólnej chluby, kroguara. Hybryda krokodyla i jaguara od momentu jej stworzenia niepodzielnie rządzi dżungłą. Nawet tygrysy schodzą jej z drogi.

— Tylko te niewyrośnięte i tchórzliwe — wtrącił urażony tygrysołak.

— Kroguar jest tym, czym w zamierzeniu miał być Behemot. Oczywiście tylko do pewnego stopnia, jest wszakże nieporównanie mniejszy, ale za to szamanom dużo łatwiej go kontrolować. Aż nie mogę się doczekać widoku oddziału kroguarów atakującego lotherbemmską hołotę.

Trey, któremu dane było spotkać jedną z opancerzonych bestii, aż skrzywił się na myśl o takim starciu. Może zwycięstwo Dzikusów w wojnie nie było wcale tak nieprawdopodobne.

Rozmowa wkrótce się urwała i dalej czekali już w milczeniu. Czarny Książę schował się za horyzontem, a po pewnym czasie wszeszyło słońce. Wraz z nim zaczęły pojawiać się pierwsze Gadziny, lecz wypatrywanego przez kotołaków Oślizga nie było wśród nich.

Czas działał na niekorzyść Treya, gdyż z każdą minutą Wężowaci łapali więcej promieni słonecznych i stawali się bardziej niebezpieczni. Ed był już bliski przerwania misji, gdy wtem pojawił się ich cel.

Jeśli wygląd Treya wywoływał przerażenie u mieszkańców Północy, to na widok tego mieszkańców ci o słabym sercu z pewnością dostaliby zawału. Wysoki i chudy, jak większość jego krewniaków, poruszał się na długich, cienkich nogach, podpierając się grubym ogonem. Głowę miał podłużną, lysą, a z pozbawionej zębów szczęki co chwila wysuwał się rozdwojony język. Nie nosił ubrania, które przeszkadzały w słonecznej kąpieli. Na twarzy, brzuchu i przedzie nóg miał ludzką skórę, lecz plecy, poczawszy od szyi, ogon oraz ręce porastała ciemnozielona łuska. Narządy rozrodcze schowane miał wewnątrz ciała, przez co wyglądał jeszcze dziwniej.

Trey odczekał, aż jego ofiara wyciągnęła się na piasku, i wyłonił się z krzaków. Skradał się niemalże bezgłośnie, z czego słynął w Gildii, choć nie było to konieczne. Wężowaci nie cieszyli się najlepszym słuchem, a część z nich była wręcz głucha. Pozostał niezauważony do momentu, aż wkroczył między niczego nie spodziewające się Gadziny. Wtedy wyciągnął broń, przyspieszył i przeskakując nad leżącymi, błyskawicznie doskoczył do ofiary.

— Śmierć bluźniercy — krzyknął i jednym cięciem miecza odrąbał głowę Oślizga, który właśnie odwrócił ją w stronę napastnika.

Z szyi hybrydy trysnęła krew, barwiąc piasek plaży na czerwono. Zszokowani Wężowaci przez moment nie mogli zrozumieć, co się dzieje. Trey wykorzystał ich zdezorientowanie i zaczął wycofywać się w stronę zarośli. W końcu ci spośród świadków zajścia, którzy wygrzewali się od samego świtu, otrząsnęli się z osłupienia i kilku najodważniejszych próbowało go zatrzymać. Okazało się to fatalnym pomysłem.

Byli nieuzbrojeni i świetnie wyszkolony Arad úš szybko sobie z nimi poradził. Kilku odniósło niezagraczące życiu rany, ale czterech podzieliło los bluźniercy. Kotołak otrzymał zaledwie dwa ciosy ogonem od jednego, wyjątkowo zwinnego Oślizga. Choć okazały się bolesne, Trey był przygotowany na ich przyjęcie, ustawiwszy się uprzednio pewnie na nogach, więc nawet nie wytrąciły go z równowagi. Opór śmiałka został ukarany odcięciem połowy cienkiego, długiego na sześć stóp ogona.

Wyrąbawszy sobie przejście, rzucił się w te pędy w kierunku czekających na niego towarzyszy. Pośpiech okazał się niepotrzebny. Nikt go nie gonił. Wężowaty zabrakło na to odwagi, a przebywające w pobliżu Kroksy nie przejęły się zbytnio całym zdarzeniem. Mimo to kotołaki niezwłocznie oddaliły się w głąb puszczy. Gdy znaleźli się w bezpiecznej odległości od Patelni, Ed po koleżeńsku szturchnął Slya w bark i powiedział:

— Wisisz mi ćwierć wołu.

Byhrid miało swoje pieniądze, ale większość jego mieszkańców obywała się bez nich. Handel wymienny był bardziej rozpowszechniony, a mięso stanowiło główną walutę w Leżysku i w dzielnicach innychmięsożerców.

— Wiszę, wiszę. Ale nie jestem z tego powodu zasmucony. Wręcz przeciwnie.

Jaguarowaty dał znak do zatrzymania. Zwrócił się do Treya.

— Spisałeś się świetnie. Wybacz moje wcześniejsze zachowanie. Mam nadzieję, że nie chowasz urazy w sercu.

Zabójca nic nie odpowiedział, tylko wyciągnął do niego dłoń. Tym razem Sly uścisnął ją bez wahania.

— Szkoda tylko, że nie zabrałeś ze sobą głowy tego skurwielę. Nabilibyśmy ją na pal w obozie Jaguarowatych.

— Chciałem to zrobić, ale nie było za co chwycić.

— No tak, Gadzina była łysa — zreflektował się Sly. — W każdym razie od dzisiaj będziesz uważany za przyjaciela Jaguarów.

— Nie tylko was. — Ed włączył się do rozmowy. — Dopolnuję, by inni również się dowiedzieli, czego dokonałeś. Nikt już nie ma prawa zadzierać przed tobą nosa, a jeśli tak się zdarzy, możesz go pociąchać mieczem, jak pociąchałeś Gadziny. W przeciwnym razie ja to zrobię.

Chciał zrobić groźną minę, ale mu nie wyszło.

— Wszystko fajnie i pięknie, zastanawia mnie jednak, czy Gadziny nie będą chciały się na mnie zemścić. Rozumiem, że bluźnierca musiał zginąć, ale może niepotrzebnie zabijałem pozostałych.

— Nic się nie martw — uspokajał Ed. — Nadal chroni cię immunitet Czystych. Wężowaci o tym wiedzą. Poza tym nie słyną ze specjalnej odwagi. Twój dzisiejszy pokaz umiejętności prawdopodobnie wybrał im z głów myśli o rewanżu.

— I ja tak uważam — potwierdził Sly. — Dość już gadania. Wracajmy do Leżyska przekazać dobrą nowinę.

Wyprawiono mu przyjęcie, jakiego się nie spodziewał. Świętoowanie, w którym początkowo oprócz Treya i Eda brali udział jedynie Jaguarowaci, z czasem objęło również pozostałe obozy Leżyska. Tylko ludzie-lwy nie dołączyli do zabawy. Ich kobiety z chęcią by to zrobiły, ale mężczyźni im zabronili, a sami byli na tyle leniwi, że nawet imprezować im się nie chciało.

Dzień ten przyniósł Treyowi nie tylko uznanie, ale i sławę, o jakiej nie marzył ani nigdy nie pożądał.

Rozdział dziesiąty — Nowi, starzy znajomi

Czwarty dzień ósmego obiegu Władcy. 217 dzień roku. Obrzeża Wartegall. Ranek.

Trzy miesiące Rossy zastawała się, czy skorzystać z usług Arad úš. Zdawała sobie sprawę z istnienia porozumienia pomiędzy Gildią i Koroną, które zabraniało członkom królewskiej rodziny odwiedzania kapliczek Krwi. Pofatygowała się nawet do zamkowej księżniczy i odnalazła oficjalny dokument potwierdzający umowę. Niestety, nie było w nim napisane, jakie konsekwencje może ze sobą nieść jej naruszenie. Obawiała się legendarnych zabójców, lecz w końcu przekonała samą siebie i postanowiła złożyć ofiarę krwi. We własnym odczuciu nie robiła nic złego, życząc śmierci bezwzględnemu kryminaliście i gwałcicielowi, który tak okrutnie ją wykorzystał.

Wymknęła się z pałacu przed świtem bramą, której pilnował jeden z zaufanych strażników. Najbliższa kapliczka krwi znajdowała się trzy godziny marszu od Wartegall, przy gościńcu wiodącym na północ. Odkąd zaczęła brać elizium, spędzała mnóstwo czasu poza królewską siedzibą, pomagając poddanym i zdobywając potrzebne w tym celu fundusze, co pozytywnie wpłynęło zarówno na jej figurę, jak i kondycję, więc długi spacer nie przysporzył jej trudności.

Gdy dotarła na miejsce, gościniec był akurat pusty i mogła od razu rozpocząć prosty rytuał. Pomyślała o znienawidzonym przywódcy Cichej Rzeki i włożyła dłoń do kielicha. Dotyk chłodnego kamienia przeszył ją dreszczem. Przemyślała wszystko dziesiątki razy, ale złowroga energia emanująca od surowego monumentu odebrała jej pewność siebie. Stała tak kilka minut z zamkniętymi oczami i wysuniętą ręką. Zimny pot zaczął spływać jej po krzyżu. Czuła, że jeszcze chwila i zrezygnuje, zaciśnięta więc zęby i nadludzkim wysiłkiem przezwyciężyła niewidzialną siłę przytrzymującą jej rękę w miejscu. Przesunęła nadgarstkiem po ukrytym wewnątrz kielicha ostrzu. Po kilku sekundach uznała, że ofiarowała już wystarczającą ilość krwi i wyjąła dłoń.

Skaleczenie okazało się głębsze niż przypuszczała. Trzymała zraniowaną rękę wysoko nad głową, mimo to założony bandaż szybko zaczął przeciekać. Nim krwawienie wreszcie ustąpiło, szkarłat zdążył popłamić jej płaszcz i ukrytą pod nim białą sukienkę. Przekleciała pod nosem pierwszy raz od bardzo długiego czasu. Była to jedna z jej trzech ostatnich sukienek, całą resztę sprzedała, by mieć za co opłacić utrzymanie sierot poszkodowanych przez powódź. Nie tylko garderoby się pozbyła. To samo spotkało biżuterię, dzieła sztuki zdobiące jej komnaty oraz książki, których zresztą i tak nie lubiła czytać. Wydatków było wiele, gdyż pomagała nie tylko sierotom, ale i wszelkiego typu nieszczęśnikom: kalekom, bezdomnym, trędowatym.

Gdy nie miała już czego spieniężyć, zaczęła pożyczać pieniądze, skąd tylko się dało, obiecując ich zwrot z odsetkami po tym, jak obejmie koronę. Ostatnio jednak i to źródło finansowania jej uzależnienia od dobrotzynności wyschło. Wymyśliła więc nowy sposób na zebranie funduszy: bal charytatywny.

Król nie chciał wspierać rozdawnictwa córki, ale Rossy tak długo wierciła mu dziurę w brzuchu, że ostatecznie zgodził się wydać bal. I tak od czasu do czasu trzeba było organizować podobną imprezę, by przypodobać się arystokracji, a jeśli przy okazji mógł choć na chwilę uwolnić się od marudzenia córki, tym lepiej. Wszystkimi przygotowaniami zajęli się doświadczeni w tej dziedzinie dworzanin i Rossy mogła skupić się na obmyślaniu sposobów wyciągnięcia złota ze szlacheckich sakiewek. Póki co nie szło jej najlepiej.

Droga powrotna do pałacu nie była już tak przyjemna. Słońce smażyło coraz mocniej, gościniec zrobił się zatłoczony, a rana wciąż ją szcypała. By zapomnieć o znoju, pograżyła się w planowaniu atrakcji na bal. Do głowy przychodziły jej jedynie powszechnie znane zabawy i konkursy, nic specjalnego, co byłoby w stanie zagłuszyć wrodzone skąpstwo rycerzy i dam z Wartegall.

Chciała jak najprędzej znaleźć się w swojej komnacie, by porządnie obmyć ranę oraz założyć czysty ubiór. Szła szybko, patrząc pod nogi i starając nie zwrócić na siebie niczyjej uwagi. Opuszczała już ubogie przedmieścia stolicy, zamieszkałe głównie przez najemnych robotników fizycznych. Miejska brama była oddalona zaledwie o kilkadziesiąt jardów, kiedy nagle jej uszu dobiegł głos, któremu nie sposób było się oprzeć. Zbyt cichy, by móc odróżnić poszczególne słowa, zmusił ją do zejścia z gościańca.

Wąska uliczka zaprowadziła ją na niewielki plac po brzegi wypełniony słuchającymi w skupieniu ludźmi. Czuła, że musi zobaczyć śpiewaka, lecz była za niska, by dojrzeć go ponad głowami tłumu. Nie była też w stanie przepchnąć się do przodu siłą, zrzuciła więc płaszcz, aby wszyscy mogli ją poznać. Reakcja zebranych była dużo słabsza, niż się tego spodziewała, mimo to przepuszczono ją do pierwszych rzędów. Nim znalazła dla siebie odpowiednie miejsce, Gareth zaczynał już kolejny utwór:

*Śniłem, że mogliście podróżować
Latać wolno, jak wędrownie ptaki
I nikt was batem pleców nie znaczył
Gdy chcieliście szukać lepszego miejsca*

*Śniłem, że mogliście się najeść
Raz w tygodniu nabawić się zgagi
I nikt was nie kazał złodzieja opłacać
Gdy chcieliście kupić bułkę lub piwo*

*Śniłem, że mogliście być bezpieczni
Bez strachu spacerować ciemną nocą*

*I nikt wam dziecka na wojnę nie porwał
Gdy uznali, że dawno już żadnej nie było*

*Tylko razem możemy coś znaczyć
Tylko razem możemy coś zmienić
Tylko razem możemy zwyciężyć
Tylko razem jest sens o to walczyć*

Muzyk skończył śpiewać i pożegnał się z publicznością, gdyż był to jego ostatni utwór. Pojedyncze osoby klaskały niemrawo, zaś wszyscy bez wyjątku stali jak zaczarowani, kontemplując treść, którą artysta starał się im przekazać. Nie chodziło jednak o sam, w gruncie rzeczy prosty tekst, lecz o emocje, z jakimi został zaśpiewany.

Być może za krótko go słuchała, a może częste zażywanie elizium wyrobiło u niej pewną odporność na narkotyczną moc, jaką miał jego głos, bądź co bądź Rossy jako pierwsza ocknęła się z transu. Gareth zebrał już swoje instrumenty i oddał się od placu w kierunku gościńca. Przez krótką chwilę królewna walczyła z dziewczęcą nieśmiałością, by w końcu popędzić za bardem. Nie kierowały nią jedynie uwielbienie i zachwyt. Muzyk mógł być rozwiązaniem jej problemów.

Biegła, zastanawiając się, jak rozpocząć rozmowę, znajdowała się już o trzy kroki od niego, gdy nagle się potknęła, straciła równowagę i wywinęła orła. Usłyszawszy huk i stłumiony jęk, Gareth odruchowo się odwrócił. Odłożył na ziemię lutnię oraz worek z resztą instrumentarium i pomógł dziewczynie wstać.

— Nic ci nie jest? — zapytał ze szczerym niepokojem w głosie.

— Chyba będę żyć. — Zdarła sobie kolana i doszczętnie zniszczyła i tak już zabrudzoną sukienkę. Cała obolała otrzepała się niemrawo z kurzu.— Nie chciałam zatrzymywać pana w taki sposób. Wyszłam na idiotkę.

— Nie przejmuj się, nie napiszę o tym piosenki — spróbował zażartować, lecz Rossy się nie uśmiechnęła. — Co ci się stało w rękę?

Dopiero teraz zauważyła, że bandaż zsunął się jej z nadgarstka, a rana ponownie zaczęła krwawić.

— To? A nie, to nic takiego, naprawdę. — Naciągnęła przesiąknięty opatrunkiem z powrotem na miejsce.

Gareth wyciągnął z kieszeni maleńki scyzoryk, bez słowa chwycił ją za rękę i rozciął bandaż. Następnie ściągnął z szyi chustę, którą zasłaniał usta, by nie wdychać wszechobecnego w lecie pyłu, i zawiązał ją pewnie, choć z wyczuciem, wokół rany.

— Będziesz miała na pamiątkę, mała — powiedział i cmoknął ją w czoło.

Podniósł z ziemi instrumenty i pomału ruszył w swoją stronę. Wziął ją za kolejną, oszalałą na jego punkcie, zwykłą nastolatkę.

Rzeczywiście była nim oczarowana i niewinny buziak zbił ją na chwilę z tropu, nie była jednak zwykłą dziewczyną. Dogoniła go szybko i przeszła do konkretów.

— Przepraszam, że się tak narzucam, ale mam do pana ważną sprawę. Obiecuje, że zajmę tylko minutkę.

— W porządku, zamieniam się w słuch — odparł uprzejmie, lecz nie zwolnił kroku ani nawet nie spojrzał w jej kierunku.

— W przeszły tygodniu odbędzie się królewski bal i myślę, że byłoby wspaniale, gdyby pan na nim wystąpił — powiedziała szybko niepewnym głosem.

— Nie grywam już dla szlachty, ale nawet jeśli zmieniłbym zdanie, nikt mnie nie zaprosi na ten bal, także przykro mi mała, ale nie zabiorę cię do pałacu.

— To nie tak — rzuciła zakłopotana. — Nie mam panu jak tego udowodnić, ale nazywam się Rossy Scond, jestem córką króla i ten bal to mój pomysł.

Gareth wybuchł śmiechem.

— No nie wierz. Próbowano podrywać mnie na różne sposoby, ale jeszcze żadna nie podawała się za królewnę. Masz fantazję dziewczyno, muszę ci przyznać. — Śmiał się sam do siebie i kręcił z niedowierzeniem głową.

Rossy oblała się rumieńcem i zamilkła. Akurat zbliżali się do bram miasta, których dzień i noc pilnowała straż. Szczęśliwym zrządzeniem losu jeden z wartowników rozpoznał zakrwawioną królewnę i pospieszył jej na spotkanie.

— Wasza Miłość, jesteś ranna? Czy potrzebna ci pomoc? Wulfgar — wydał się na towarzysza — sprowadź no konia, szybko.

Gareth stanął jak wryty i spojrzał na Rossy. Na jej umęczonej, zarumienionej twarzy pojawił się delikatny uśmiech. Mimo zniszczonej sukienki i zadrapań wyglądała pięknie. Na wpół przepraszającym, na wpół rozbawionym głosem muzyk powiedział:

— No cóż, ten się śmieje, kto się śmieje ostatni.

Czwarty dzień ósmego obiegu Władcy. 217 dzień roku. Wartegall. Pałac królewski.

Wczesne popołudnie.

Król Lottar Scond, szef Wywiadu Wewnętrznego Leo Jo'Keeffe i zwierzchnik Zachodu Galilnani Brucondeis siedzieli przy małym, trójkątnym stole sali narad. Najpotężniejsze osoby Loherbemm z narastającą niecierpliwością i zażenowaniem czekały na spóźniającego się Nicka Brucondeisa. Oczywiście najbardziej zdenerwowany był ojciec beztroskiego młodzieńca, który próbował zwalczyć nieprzyjemną atmosferę rozmową na bieżące tematy.

— Wiadomo już coś na temat zabójstwa generała Mircei? — zapytał szpiega.

— Jakiego zabójstwa? O czym on mówi, Leo? — zapytał zdziwiony król.

Nawet najgorętsze plotki rzadko kiedy docierały do nieustannie pochłoniętego modlitwą władcy. Cała jego wiedza o sytuacji w kraju pochodziła od doradców.

Jo'Keffe przeszył Brucondeisa zimnym spojrzeniem.

— Wasza Wysokość, miałem zamiar poinformować cię o tym zdarzeniu jutro na naradzie. Przedwczoraj późnym wieczorem nieznany sprawca zamordował generała na terenie jego posiadłości. Sprawa ta ma dla nas wszystkich najwyższy priorytet, dochodzenie prowadzą moi najlepsi ludzie. Wkrótce spodziewam się pierwszych wyników ich pracy.

— Chodzą pogłoski, że to jakiś seryjny morderca i szaleniec. — Stary Brucondeis podzielił się swoją wiedzą ze szwagrem, ignorując wcześniejsze wzrokowe ostrzeżenie szpiega.

Król spojrzał pytającco na Jo'Keffea.

— Niestety, jest to prawda. Morderca przebił generałowi oczy jakimś szpikulcem, po czym nabił go na niewielki pal. Tak właściwie to na zastrzone polano. Mircea skonał kilka godzin po tym, jak go odnaleziono. Krwią generała sprawca namazał na ścianie napis *Exordium*. W ostatnim czasie identyczne napisy znajdowano w pobliżu miejsc kilkunastu morderstw. Próbowiemy ustalić, co to oznacza.

— Idę o zakład, że za tym barbarzyństwem stoi Arad úš. — Władca zabrał głos. — Pamiętasz Leo, jak kilka obiegów temu na jednej z narad o nich rozmawialiśmy? Wtedy też chodziło o zabójstwo ze szczególnym okrucieństwem. Powiedz swoim ludziom, by sprawdzili ten trop.

— Oczywiście, Wasza Wysokość. Zajmę się tym zaraz po naszej naradzie. Niech tylko Nick...

Nim szpieg dokończył, drzwi rozwarczyły się na oścież. Stanął w nich wysoki młodzieniec o zielonych oczach i zmierzwiowej blond czuprynie.

— Obgadujecie mnie? Nieładnie! — Spóźniony zdążył usłyszeć swoje imię. — Siemasz wujas, kopę lat. — zwrócił się do króla, cmoknął go w policzek i bezceremonialnie poklepał po plecach. — Cześć ojciec, jak zdrowie? — Przywitał rodzica i poczochał go po głowie, niczym małe dziecko. — A ciebie nie znam, przystojniaku w przesadnie modnych ciuchach. Nick Brucondeis, Pierwszy Włocząga Zachodu, do usług. — Ukłonił się teatralnie i wyciągnął dłoń do Leo.

Trzej mężczyźni byli kompletnie zszokowani zachowaniem Nicka. Zdawali sobie sprawę z tego, że ma on dość luźne podejście do życia, ale żaden z nich nie przypuszczał, że ktokolwiek może powitać króla w taki sposób. Nawet szpieg, posiadający najmocniejsze nerwy z całej trójki, zapomniał języka w gębie i bezwiednie uścisnął rękę chłopaka.

— Pewnie chcecie wypytać mnie o pobyt u piratów — stwierdził Nick, przystawiając dodatkowe krzesło do przeznaczonego dla trzech osób stołu. — Mam opowiedzieć wszystko czy tak bardziej ogólnie?

Król dalej siedział osłupiały, stary Brucondeis cały czerwony wyglądał, jakby miał zaraz wybuchnąć, i tylko szef wywiadu wreszcie pokonał chwilowy szok. Gestem dłoni uspokoił zwierzchnika Zachodu i dał do zrozumienia, że lepiej będzie, jeśli to on poprowadzi rozmowę z Nickiem.

— W odpowiedzi na twoje wcześniejsze pytanie: nazywam się Leo Jo'Keeffe i jestem szefem Wywiadu Wewnętrznego. Zapoznałem się już z raportem, jaki złożyłeś mojemu człowiekowi zaraz po powrocie z niewoli, więc możemy odpuścić sobie większość historii. Chcę cię wypytać jedynie o kilka szczegółów, które interesują mnie najbardziej.

— Świetnie, jest więc szansa, że nie zamarudzę tu z wami zbyt długo, bez urazy.

Galinani westchnął ciężko, lecz nic nie powiedział.

— Opowiedz mi o człowieku, który cię uratował — polecił Nickowi Leo.

— Cóż mogę o nim powiedzieć. — Rozłożył ręce w geście bezradności. — Odbił mnie z obozu w nocy i nie mogłem mu się dobrze przyjrzeć. Poza tym był mocno wystraszony. Piraci, porwania, przemoc, to nie na moje nerwy. Ostre imprezy owszem, ale to zupełnie inna bajka. No a ten gość, pamiętam, że miał brodę i był mojego wzrostu. To tyle.

— Na pewno nic więcej? Przecież wracaliście razem łodzią na Milfgard. To musiało trwać ze dwie godziny. Nic sobie nie przypominasz? — dociekał szpieg.

— Zabronił mi się na siebie gapić, a ja go grzecznie posłuchałem. Gdy odstawił mnie na Milfgard, zniknął bez słowa.

— I na kontynent przypłynąłeś już tylko z tym żeglarzem, tak? Jak mu było?

— Al.

— I ten Al go nie znał? Pytałeś go o to? Podróż na kontynent trwa dwa dni, nie wierzę, że siedziałeś przez ten czas cicho.

— Al to gawędziarz pierwsza klasa. — Nick pokiwał głową z uznaniem. — Opowiadał mi różne morskie opowieści. Ale tego brodacza nigdy wcześniej nie spotkał. Mówię ci, chłopie, ten gość to jakiś duch.

— Chyba będę musiał wysłać kogoś na Milfgard, by przesłuchał tę całą Titner. Burdel stracił mnóstwo złota przez piratów, może to ona zajęła tego *ducha*. I żeglarza też będzie trzeba sprawdzić. — Leo chciał wybadać, czy chłopak nie boi się ewentualnej konfrontacji jego relacji z zeznaniem innymi osobami.

— Chętnych na wycieczkę na Wyspę Rozkoszy z pewnością nie zabraknie — zażartował Nick. — Nie wiem tylko, czy agent wywiadu zostanie tam ciepło przyjęty. Może będzie lepiej, jeśli wyślesz go pod przykrywką. Niech pobawi się w tajniaka — zasugerował.

— Czy wiesz chociaż, w jakim celu cię porwano? — Król Lottar wtrącił się do rozmowy.

— Wiesz wujek, oni nie porwali mnie celowo. Gdy przejęli statek, którym płynąłem, sam przyznałem się, kim jestem, aby zapewnić sobie lepsze traktowanie.

— A dlaczego nie wyznaczyli okupu? — Ciekawość przezwyciężyła złość i Galinani również włączył się do dyskusji. Przyjechał do stolicy dopiero wczoraj i nie miał jeszcze czasu porozmawiać z synem na temat jego porwania.

— Myślę, że moja skromna osoba przytłoczyła ich swoim blaskiem do tego stopnia, iż nie wiedzieli, ile mogą zażądać w zamian za moje uwolnienie. — Nick uśmiechnął się rozbrajająco. — Początkowo piraci mieli w tym rejonie trzy galeony, ale gdy mnie pojali, jeden odpłynął na południe. Widocznie chcieli poinstruować się ichniego króla czy herszta, nie wiem, kto im tam przewodzi, lecz nim otrzymali odpowiedź, byłem już wolny.

— Dziwne, że nie wsadzili cię na ten galeon, który odpłynął na południe — zauważył Leo.

— No niestety, na wasze i ich nieszczęście tak się nie stało. Pewnie drugi raz nie popełnią już tego błędu.

Na krótką chwilę w sali narad zapanowała cisza. Nick postanowił ją wykorzystać.

— Skoro nie macie już więcej pytań, to będę się zbierał. Jestem umówiony z jedną szlachcianką, a jeszcze nie wiem, gdzie ją zabrać. Wiecie, jak jest, dla takiej damulki snopek siana to pewnie za mało.

Odsunął krzesło ze zgrzytem, wstał i skierował się w stronę wyjścia.

— Nick, poczekaj chwilę — poprosił król.

— Tak jest, Wasza Wujostwo. — Stanął na baczność i ukłonił się do samej ziemi.

— Nie w ten, lecz w następny Dzień Potoku twoja kuzynka urządza bal, tu, w pałacu. Możesz przyjść nań ze swoją koleżanką. Rossi na pewno się ucieszy, zależy jej, by było jak najwięcej gości.

— Królewski bal? Nie mogę tego przegapić — zapewnił. — No to na razie wszystkim.

— Przy wyjściu z gmachu czeka na ciebie niespodzianka — krzyknął Galilnani, nim syn zdążył zamknąć za sobą drzwi.

Pałac królewski w Wartegall tworzyły trzy potężne gmachy ułożone w kształt litery *H*. Środkową część budynku zamieszkiwał monarcha i jego rodzina, najważniejsi dworzanie oraz królewscy gwardziści. Znajdowała się tu również sala tronowa, gdzie Lottar Scond sporadycznie udzielał audiencji, olbrzymia, bo zajmująca dwie trzecie drugiej kondygnacji, sala balowa, komnata pamięci wypełniona relikwiami i pamiątkami po poprzednich władcach, a także niezbędne pomieszczenia gospodarcze. Większość zachodniego skrzydła zamku stanowiła mnogość komnat o zróżnicowanych rozmiarach i standardzie, w których przyjmowano gości, gdy ci stawili się nader licznie. W skrzydle wschodnim mieszkali pośledni dworzanie oraz służba, zlokalizowane były tu także między innymi kaplica, książnica, szpital, główna zbrojownia i sala narad.

Po opuszczeniu tej ostatniej Nick skierował się do głównego wyjścia wschodniej części pałacu. Idąc przestrzennymi korytarzami, zastanawiał się, czy scena, którą odegrał, przyniesie mu

więcej korzyści niżli kłopotów. Nade wszystko cenił sobie szeroko pojmowaną wolność. Nienawidził wszelkich ograniczeń, a zwłaszcza tych, które próbował nałożyć nań ojciec.

Minął gwardzistów pilnujących strzelistej bramy i znalazł się na zewnątrz. Gęste skupisko kosmicznych skał Małego Pierścienia przystoliło większą część słońca i dookoła panował półmrok, lecz jedna złośliwa wiązka światła padła prosto na jego twarz. Chwilowo oślepiony, ruszył po omacku w stronę południowej bramy murów obronnych okalających pałac. Uszedł kilka kroków nim zatrzymał go głośne chrząknięcie. Odwrócił się i przetarł oczy. Choć wciąż nie widział najlepiej, od razu poznał natręta. W całym Lotherbemm nie było osoby, która nie rozpoznałaby Wielkiego Czempiona z jego dwoma długimi mieczami skrzyżowanymi na plecach.

— Kisric? A co ty tu ro... — urwał i westchnął ciężko. — No bez żartów! Ty jesteś tą niespodzianką, o której mówił stary?

— Obawiam się, że tak. — Potężny, czarnoskóry mężczyzna uśmiechnął się szyderczo. — A na co liczyłeś?

— Na nic, do cholery. Chcę po prostu mieć spokój.

— Nie mam zamiaru odbierać ci spokoju. Twój ojciec kazał mi jedynie pilnować, by już nikt więcej cię nie porwał.

— W porządku. Gdy znów będę się wybierał na Milfgard, dam ci znać. W Wartegall nie jesteś mi potrzebny. Na razie. Papa.

Pomachał mu dlonią, odwrócił się i ruszył przed siebie.

Kisric w dwóch susach doskoczył do Nicka i zrównał z nim swój krok.

— Słuchaj, młody. Dla mnie to też nie jest robota marzeń, ale się jej podjąłem i nawet nie ma takiej możliwości, żebyś się mnie pozbył.

— To się jeszcze okaże — odparł chłopak, lecz bez przekonania. — Co dokładnie powiedział ci mój ojciec?

— Tylko tyle, że mam cię nie spuszczać z oka.

— Czyli mogę sobie łazić, gdzie chcę, i spotykać się, z kim chcę, a ty będziesz mnie tylko pilnował?

— No tak, choć mam nadzieję, że na jakiś czas wystarczy ci niebezpiecznych przygód.

— Niebezpiecznych przygód, powiadasz? — Nick wyciągnął dłoń z wyprostowanym palcem wskazującym i zaczął nią kiwać. Robił tak czasami, gdy wpadł na jakiś pomysł. — Wiesz co, może nawet mi się przydasz.

Nick uwielbiał poznawać interesujących ludzi i podróżować do najciekawszych zakątków Lotherbemm. Zdarzało się, że ryzykował, kolekcjonując mocne wrażenia, jednakże były i takie miejsca, do których sam nigdy by się nie zapuścił. Jednym z nich był cieszący się ponurą reputacją

Dół. Lecz teraz nie był sam. Dzięki towarzystwu Kisrica mógł wreszcie odwiedzić dzielnicę przestępcołów.

Młody książę nie zdradził swemu ochroniarzowi celu ich wycieczki, jednak, gdy wkroczyli na pas ziemi niczym odgradzający Dół od reszty stolicy, stał się on oczywisty.

— Powiesz mi, po co tu przyszliśmy? — W głosie wojsownika próżno było doszukiwać się zaniepokojenia.

— Czemu nie. Słyszałeś o elizium?

— Nie.

— Najnowsza rewelacja wśród podrażniaczy nosa. Ludzie szaleją na jego punkcie, przez co trudno dostać działkę na mieście. W Dole nie powinno być z tym problemu.

— Zawsze uważałem cię za zbyt mądrego, byś pchał się w prochy — stwierdził szorstko Kisric.

— A ty nie jesteś zbyt mądry i bogaty, by dalej bawić się w machanie szabelkami? — odgryzł się Nick.

Wielki Czempion wzruszył ramionami i nie ciągnął tematu.

Powoli zbliżała się wieczór i ulice Dołu dopiero zaczynały wypełniać się wszelakiej maści elementem. Nick szedł pewnie przed siebie, od czasu do czasu puszczaając oczko do mijanych dziwek i nie odwracając wzroku, gdy jakiś zbir posyłał mu złowrogie spojrzenie. Kisric szedł obok niego, zdając się nie zwracać uwagi na otoczenie.

Dotarli do głównego placu niewielkiej dzielnicy. Część knajp była już otwarta, ale ludzi kręciło się niewielu. Nick wypatrywał największego i najgroźniej wyglądającego zbira na dziedzińcu. Ruszył w jego kierunku.

— Serwus, piękny kawalerze — zwrócił się do bandziora. — Nie masz przypadkiem odsprzedać działki elizium?

Wykidajło zaciągnął mocno zęby. Nawet szef nie zwracał się do niego tak lekceważąco. Miał ochotę dobyć toporka i zdzielić młodzika w jego gładką twarzyczkę, lecz jedno krótkie spojrzenie na Kisrica zwanego Twardym odwiodło go od tego pomysłu.

— Mam — odparł przez zaciśnięte zęby.

— Cudownie. Ile jaśnie pan sobie życzy za ten magiczny proszek?

— Pięć asów.

— Pięć asów?! Kisric, to miejsce zaczyna mi się podobać. — Wyciągnął z kieszeni garść miedziaków, odliczył pięć i wręczył zbirowi. W zamian otrzymał drobne zawiniątko. — Musimy sprawdzić, po ile mają tu piwo.

Bez słowa pożegnania oddalił się od bandyty w kierunku najbliższej speluny. Uszli kilka kroków, nim usłyszeli ciche *pieprzony czarnuch*. Kisric, nawet się nie odwracając, krzyknął na cały głos:

— Pieprzony białas.

Wszyscy obecni na placu zwróciли głowy w ich stronę, ale nikt nic nie powiedział, nikt nic nie zrobił.

— Jestem dumny z mojej stolicy. Każdy może wyrażać własne, nawet skrajne opinie i nikomu to nie przeszkadza. — Nick nie mógł się powstrzymać od nabijania z oprychów.

— Mam do ciebie prośbę — zwrócił się do Kisrica. — Odczekaj pięć sekund, nim wejdziesz za mną do lokalu.

— W porządku — odparł wojownik, choć miał złe przeczucia.

Wieczór był wyjątkowo gorący i drzwi do speluny stały otworem. Chłopak przekroczył próg i znalazł się w najohydnieszej mordowni, jaką widział w swoim życiu. Klientów było niewielu, lecz każdy bez wyjątku wyglądał jak zakapior. *Czy oni się kurwa rodzą tacy brzydcy*, pomyślał, ale na głos powiedział co innego:

— Czołem dziewczyny. Która z was postawi mi browar?

Klientela zmierzyła go wzrokiem, kilku najpaskudniejszych zaczęło wstawać z krzesel. Wtedy w drzwiach pojawił się Kisric. Jego pozbawiona włosów głowa wraz ze skrzyżowanymi na plecach mieczami rzuciła na drewnianą podłogę cień, który przypominał symbol widniejący na pirackich flagach. Rzezimieszkowie momentalnie wrócili na swoje miejsca i wbili wzrok w dno kufli, udając, że nic się nie stało. Nick usiadł przy barze i zamówił dwa piwa.

— Leczysz w ten sposób jakieś kompleksy? — zapytał Kisric, po tym jak spił grubą warstwę piany. Barman tak obskurnego przybytku musiał mieć mocne nerwy, a mimo to wizyta najsłynniejszego wojownika na świecie wywołała u niego lekkie podniecenie i na chwilę zapomniał jak prawidłowo nalewać piwo.

— Mam kompleksy, jak każdy, ale na pewno nie na punkcie tej zbieraniny — odparł i omiotł wzrokiem salę, wskazując kogo ma na myśli. — Wiem, że zachowałem się dziecinnie, ale nie mogłem się powstrzymać. Niech oni też poczują trochę strachu i niepewności.

— Piraci nie traktowali cię najlepiej, co? — Kisricowi wydawało się, że go rozszyfrował.

— Mnie? — Nick był zaskoczony pytaniem. — Dostałem parę razy za pyskowanie, no i jedzenie było paskudne, ale ogólnie nie mogę narzekać. Inni mieli gorzej, zwłaszcza kobiety.

— Domyślam się.

— Najgorsze jest to, że nie wszyscy ci piraci byli żli. Część po prostu bała się przeciwstawić przywódcy i robiła to, co im kazano. No a wiadomo, że z czasem skurwysyństwo wchodzi w krew. Tutaj w Dole zapewne jest tak samo.

— Kiedyś sam zostaniesz przywódcą Zachodu i będziesz mógł się wykazać. Wyprostować parę spraw.

— Nie chciałbyś tego. — Nick uśmiechnął się ponuro i pociągnął z kufla.

— Dlaczego?

— Miałybyś wtedy dużo roboty.

Wypili jeszcze po jednym piwie, po czym Nick wreszcie zdecydował się spróbować elizium. Kisric wolałby, żeby chłopak nie eksperymentował z nieznanym narkotykiem w tak nieprzyjaznym otoczeniu, jednak nie próbował go powstrzymać. Czuł, że nie ma to sensu.

Wciągnąwszy czerwony proszek, Nick oparł się plecami o barową ladę i przymknął oczy. Siedział tak, nie odzywając się ani słowem, przez blisko pół godziny. Kisric z nudów zamówił kolejne piwo i cygaretkę. Niestety knajpa nie oferowała tytoniu od Morleya i musiał zadowolić się czymś pośledniejszym.

Nick w końcu otworzył oczy i kupił to samo, co jego ochroniarz przed chwilą. Pił i palił, nadal nic nie mówiąc, a jego twarz przybrała posępny wyraz. Z zadumy wyrwał go czempion.

— I jak te prochy? Dobre?

— Prochy jak prochy. Chwila euforii, potem rozluźnienie, a na końcu pustka. Nawet nie miałem żadnych halucynacji. Żadnych gryfów, jednorożców czy wirujących, uśmiechniętych ścian. Nie rozumiem, dlaczego wszyscy się nimi zachwycają.

— Pewnie przez cenę.

— To już lepiej za tę samą forzę napić się piwa — odparł Nick i na potwierdzenie swych słów skończył piwo duszkiem. — Dobra, zmywamy się stąd — zarządził, ocierając usta rękawem.

— Najwyższa pora — Kisric również opróżnił swój kufel i huknął nim o kontuar.

Czwarty dzień ósmego obiegu Władcy. 217 dzień roku. Wartegall. Gabinet Leo Jo'Keeffe. Popołudnie.

Po naradzie z królem Leo Jo'Keeffe i Galinani Brucondeis udali się do siedziby Wywiadu Wewnętrznego znajdującej się nieopodal pałacu. Rozległy gabinet arcyszpiega za każdym razem szokował zwierzchnika Zachodu swym przepylem. Misternie rzeźbione meble z drogiego drewna wykończone były złotem, na ścianach wisiały obrazy najsłynniejszych lotherbemmskich malarzy, a podłoga wyłożona była dywanem, w którym liczba nici srebrnych oraz złotych dorównywała tym jedwabnym i wełnianym.

Gospodarz zasiadł za biurkiem, Galinani natomiast chodził dookoła pomieszczenia, dokładnie przyglądając się każdemu malowidłu, mimo iż widział je już kilka razy.

— Nie ukrywam, że twój syn trochę mnie dziś zirytował — oznajmił Jo'Keeffe.

— Wiedziałeś, jaki jest. Ma fiu bńdziu w głowie, ale tak właściwie nie sprawia żadnych problemów. Nie wiem, czy ci wspominałem, że od pięciu lat nie dostał ode mnie choćby pół korony i ani razu mi z tego powodu nie marudził.

— Ciekawe. Będę musiał sprawdzić, skąd w takim razie ma pieniądze na swoje podróże.

— Szpieg pogłaskał się po elegancko przystrzyżonej bródce. — Nie mów mi jednak, że nie ma z nim problemów. Zapomniałeś już o porwaniu, czy co?

— Nie zapomniałem. — Niski, łysiejący brunet nie odwracał wzroku od obrazów. — To był przypadek. Miał pecha i tyle. Gdybyś trzymał krócej admirałów i zapędził ich do patrolowania zatoki, nie byłoby żadnego porwania.

— Jak jesteś taki mądry, to sam zapędź tych zapijaczonych trepów do roboty — zaperzył się Leo. — Nie ma żadnego realnego zagrożenia z zewnątrz, więc dyscyplina w armii upada. To normalne. Poza tym to nie ja odpowiadam za wojsko.

— Myślałem, że odpowiadasz już za wszystko. Przynajmniej na Wschodzie. Ale mniejsza z tym — uspokajał Galinani. — Nick nie będzie robił problemów, masz moje słowo. Ze swoim zamiłowaniem do wojaży i tak nie usiedziałby w stolicy.

— A Paul? On też nie będzie robił problemów?

— Paul zawsze robił to, o co go poprosiłem. Będzie łatwo nim sterować, nic się nie bój. Nie wiem tylko, jaki wpływ będzie miała na niego twoja córa. Chyba jeszcze nie miał baby, więc ciężko coś stwierdzić.

— O Etoin się nie martw. Jestem przekonany, że będzie idealnie odgrywać swoją rolę. Sam ją szkoliłem... znaczy wychowałem.

Przejęzczenie wywołało stłumione parsknięcie Brucondeisa.

— Czasami żałuję, że Nick nie jest dziewczuchą — zwierzył się zwierzchnik Zachodu. — Musiałby wtedy siedzieć w Rodawnzarze, czy by mu się to podobało, czy nie. Czasy się zmieniają, ale przynajmniej córki nadal słuchają się ojców.

— Poczekaj, aż zjawi się ta agentka, o której ci opowiadałem, a przekonasz się, jak bardzo jesteś w błędzie.

Rozmowę przerwał im służący, który przyniósł obiad. Głównie z myślą o positku Galinani opuścił pałac i pofatygował się do siedziby wywiadu. Ascetyczny monarcha nie dbał o to, co jadał, co z czasem przełożyło się na kulinarny poziom dań serwowanych przez królewskie kuchnie. Natomiast szef szpiegów lubił wykwintne jedzenie i zatrudniał najlepszych kucharzy w całym Wartegall.

Tym razem zaserwowały łososia w sosie śliwkowym z mango, tartę z pieczarkami i serem oraz szarlotkę polaną słodkim, topionym twarogiem. Dbający o sylwetkę Leo spróbował wszystkiego, lecz w gruncie rzeczy zjadł niewiele, natomiast Galinani objadł się nieprzyzwoicie, jakby postawił sobie za cel, by nie zostawić żadnych resztek na pięknych, srebrnych półmiskach.

Po posiłku zapalili cygara i czekali na przybycie agentki.

Dokładnie w momencie, gdy mechaniczny zegar z inkrustowaną klejnotami tarczą zaczął wybijać czwartą po południu, rozległo się pukanie do drzwi. Leo krzyknął *wejść* i w progu gabinetu pojawiła się jedyna w całym Wywiadzie Wewnętrzny kobieta w randze oficera.

— Panie generale. Porucznik Ignae melduje gotowość do złożenia raportu dotyczącego zabójstwa generała Mircei — oznajmiła w wojskowym stylu, przesadnie głośno i stojąc na baczość. W dłoniach trzymała zwitek dokumentów.

— Spocznij — rozkazał Leo. — Pani porucznik, zapraszam bliżej — powiedział, wskazując jej krzesło obok Galilnaniego.

Ubrana w galowy, brązowy mundur agentka podeszła sprężystym krokiem. Boki głowy miała przystrzyżone krótko, a reszta gęstych, ciemnych i długich włosów była spięta wysoko w gruby kucyk, który falował hipnotyzująco w rytm chodu. Nim zdążyła usiąść, starszy z mężczyzn poderwał się na równe nogi.

— Galinani Brucondeis, zwierzchnik Zachodu — przedstawił się, lubieżnym wzrokiem mierząc kobietę od stóp do głów.

Ignae nie była nowicjuszką i wiedziała jak reagować na takie zachowanie. Skinęła energicznie głową i uścisnęła wyciągniętą dłoń tak mocno, że Galilnani ledwo powstrzymał się by nie syknąć z bólu. Szybko rozluźniła uścisk i usiadła na wcześniej wskazanym miejscu.

— Mam nadzieję, że przyniosicie dobre wieści, poruczniku — stwierdził Jo'Keffe, próbując zwalczyć ubaw, jaki miał z kolegi.

— Owszem, panie generale. Mojemu zespołowi udało się ustalić kilka bardzo istotnych faktów — odpowiadając, nie odrywała swoich dużych, szarych oczu od przełożonego.

— Doskonale. Czego więc się dowiedzieliście?

— Po pierwsze, wszystkie ofiary mordercy, z wyjątkiem generała, należały do jednej kompanii podczas ostatniej wojny z Sinmow. Była to kompania karna, złożona z przestępców, których ułaskawiono, by mogli odkupić swe przewiny na polu walki, oraz z osobników wyrzuconych z innych pododdziałów za niesubordynację. Członków kompanii nazywano *Przyjemniaczkami Mircei*, gdyż to właśnie generał ją stworzył i bezpośrednio wydawał rozkazy jej dowódcy, Ryanowi McPoyle. McPoyle'a i jego młodszego brata zamordowano cztery miesiące temu w Velfare. Również i w tym wypadku morderca pozostawił na miejscu zbrodni napis *Exordium*.

— No właśnie — przerwał jej Leo. — Wiadomo, o co chodzi z tym *Exordium*?

— Tak, to jest druga rzecz, którą ustaliliśmy. *Exordium* to nazwa wioski położonej na terenie Sinmow. Pod koniec wojny, gdy większa część naszej armii oblegała twierdę w Hawkstorm, Przyjemniaczki Mircei otrzymały zadanie zrównania z ziemią wszystkich wsi w tamtej okolicy. Miało to złamać morale Sinmowczyków i zmusić ich do poddania. Kompania okazała się

bardzo skrupulatna w wypełnianiu rozkazów, a jej metody budziły obrzydzenie nawet u niektórych z naszych dowódców, co po zakończeniu wojny doprowadziło do jej rozwiązania.

— Na wojnie nie ma miejsca na skrupuły — rzucił truizmem Galilnani, chcąc pokazać Ignae, że pomimo wątłej postury jest twardym mężczyzną.

Młoda agentka zignorowała jego uwagę i kontynuowała.

— Jak zapewne pan generał już się domyśla, Exordium również padło ofiarą Przyjemniaczków Mircei. Być może mordercy udało się przeżyć masakrę i teraz, po czternastu latach, mści się na członkach niesławnej kompanii.

— Ciekawa historia. Trzeba tylko poczekać na jej zakończenie i napisać o tym książkę — zażartował Leo. — A tak na poważnie, co tam macie w tych papierach, poruczniku.

Ignae zaczęła rozkładać trzymane w rękach dokumenty.

— Mam tutaj spis członków kompanii. Śmierć każdego żołnierza, aktywnego czy byłego, musi być zgłoszona do dowództwa armii, dlatego mogłam ustalić, ilu Przyjemniaczków nadal pozostaje przy życiu. — Ignae podała papiery przełożonemu.

Leo przejrzał je szybko. To, co zawierały, wprawiło go w osłupienie.

— Dwóch? Z blisko setki zakapiorów przeżyło tylko dwóch? Od jak dawna ten morderca się mści?

— Nie możemy mieć pewności, ale prawdopodobnie od dwóch lat. Nie wszyscy członkowie kompanii zginęli z jego ręki. Przypisujemy mu tylko około trzydziestu zabójstw. Cała reszta zginęła śmiercią naturalną lub na skutek trybu życia, jaki prowadzą ludzie ich pokroju.

— A ci dwaj szczęśliwcy? Udało się wam do nich dotrzeć? — dociekał Leo.

— Odnaleźliśmy Bena Quata. — Ignae wskazała nazwisko mężczyzny na liście. — Nie nazwałabym go jednak szczęśliwcem. To bezdomny żebrak, można go spotkać na placu Najsłodszej Wody. Facet cierpi na jakąś straszliwą chorobę, podobną do trądu, która zżera go kawałek po kawałku. Nogi ma amputowane w kolanaach, nie ma jednej dłoni i ledwo co widzi. Niczego się od niego nie dowiedzieliśmy.

— Może morderca go oszczędził, bo zrobiło mu się go żal? — wtrącił Galilnani.

— Albo uznał, że śmierć byłaby dla niego nagrodą, a nie karą. Tak, prawdopodobnie choroba go uratowała — przyznała agentka.

— No dobra, a ten drugi. — Szef Wywiadu pochylił się nad spisem nazwisk. — Chris Reggick?

— Mieszka niedaleko stolicy, w Raddfort. Jest szwecem. Jeszcze z nim nie rozmawialiśmy. Od gońca, który przybył dziś rano, wiem, że Reggick jest cały i zdrowy. A przynajmniej był dwa dni temu.

— A więc na co czekacie, poruczniku? — Jo'Keeffe podniósł głos. — Zbierajcie ludzi i w drogę. Macie go przesłuchać i otoczyć ochroną. Może uda wam się zastawić pułapkę na mordercę.

Ignae poderwała się z krzesła i stanęła na baczność.

— Tak jest, panie generale! — przyjęła rozkaz i zasalutowała energicznie.

— Jak odniesiecie sukces, po powrocie w nagrodę pojedziecie nad morze z mniej istotnym zadaniem. Odmaszerować!

Siódmy dzień ósmego obiegu Władcy. 220 dzień roku. Raddfort. Ranek.

Porucznik Claudine Ignae bardziej od swojego imienia nienawidziła tylko jednej rzeczy: męskiego szowinizmu. O ile kwestię imienia dało się dość łatwo rozwiązać, prosząc wszystkich, by wołali ją po nazwisku, walka z nierównym traktowaniem w zdominowanym przez mężczyzn Wywiadzie Wewnętrzny, ale również w życiu codziennym, czasami zdawała się jej walką z wiatrakami. Lecz Ignae nie zwykła się łatwo poddawać.

Dzięki swej determinacji i uzdolnieniom po kilku latach w Agencji jako pierwszej kobiecie w historii udało jej się zdobyć tytuł oficerski. Nie zamierzała jednak na tym poprzestawać. Od promocji na porucznika przyjmowała rozkazy bezpośrednio od Jo'Keffa, który bardzo się nią zainteresował i okazywał jej przychylność. Miała obawy, że szef przedżej czy później będzie próbował dobrać się do jej majątek, irytowała ją też, że jest faworyzowana, bowiem generał słynął z nie najlepszego traktowania podwładnych, niemniej zamierzała kuć żelazo póki gorące i wykonywać powierzone jej zadania najlepiej jak to możliwe.

Odkąd otrzymała awans na oficera miała pod sobą dwóch ludzi, z którymi jeździła na większość misji. Był może nie byli to najlepsi agenci w Wywiadzie, ale na pewno jedni z lepszych spośród tych, którym nie przeszkało służenie pod kobietą. Światopoglądowe kłótnie były dla niej codziennością i potrafiła się sprzeczać z każdym, lecz wolała, by w jej niewielkim zespole panował spokój. Podczas niebezpiecznych misji dobra atmosfera i wzajemny szacunek mogły decydować o życiu lub śmierci. Misja, którą właśnie wykonywali, miała wszelkie zadatki na okazanie się niebezpieczną.

— Kurczę blaszka, to ci dopiero fort, nie ma to tamto. — Dwight skomentował rozsypującą się palisadę Raddfort. — Aż się boję, co zastaniemy dalej. No i nie widzę żadnych strażników. Mówiłem, żebyśmy wzięli więcej ludzi, bo na miejscowych nie ma co liczyć. Przesłuchajmy tego kolesia i wracajmy do domu. Nie mam zamiaru umierać na takim zadupiu.

Dwight miał mnóstwo zalet, ale także jedną, poważną wadę: cierpiał na złośliwe, nieuleczalne gadulstwo. Kilkugodzinne monologi były jego specjalnością, a jak już nie miał o czym mówić, to śpiewał. Lubił się też wygłupiać, zgrywać, no i dyskutować. Choć jego towarzysze

nie byli zbyt rozmowni podczas podróży, jemu to nie przeszkadzało i jak zawsze miał dobry humor.

Ignae wiedziała też, że jej młody podwładny nie boi się nieuchwytnego mordercy. Odbyli razem już kilka misji i nigdy nie zaobserwowała, by Dwight White okazał lęk. Po prostu gadał, żeby gadać.

— Jakieś pomysły, w jaki sposób odnajdziemy tego szewca? Popytam ludzi czy będziemy szli za smrodem garbowanej skóry, kleju i impregnatów? Nie cofnę słów o zadupiu, ale muszę przyznać, że trochę chałup tu stoi, a szkoda marnować czas, który spokojnie można spędzić w knajpie — marudził, gdy zostawiali konie w królewskiej stajni.

Nikt mu nie odpowiedział. Ignae wcale go nie słuchała, przygotowując się w myślach do przesłuchania, a doświadczony, poczciwy Kyle, z którym służył od początku kariery, mógłby spokojnie startować w konkursie na najbardziej małomówną osobę w Lotherebemm.

— Znowu wszystko muszę robić sam. Macie szczęście, że was lubię, bo bez mnie skończylibyście marnie. — Dwight oddzielił się od towarzyszy i podszedł do pobliskiego straganu z owocami.

— Królu złoty, malowany — zwrócił się do sprzedawcy — wskaż mi łaskawie drogę do tutejszego szewca nazwiskiem Reggick.

Handlarz zaczął tłumaczyć mu drogę, obficie gestykulując przy tym rękoma i co chwilę obracając się w stronę, w którą należało iść. Dwight wykorzystał dystrukcję mężczyznę i szybkim ruchem ręki zwinął do kieszeni płaszcza dwa soczyste jabłka.

— Dzięki wielkie, czcigodny mężu. Niech Sprawiedliwy ci pobłogosławi, a Gryf roztoczy opiekę nad twoim interesem. Do zobaczska.

Dogonił towarzyszy, którzy nawet nie zwolnili, gdy dowiadywał się o drodze. Kiedy oddalili się na bezpieczną odległość od straganu, krzyknął do Ignae:

— Szefowa, orientuj się — i rzucił jej jedno z jabłek.

Zaskoczona Ignae popisała się refleksem i złapała owoc. Popatrzyła na młodego agenta i pokręciła głową z dezaprobatą.

— Ile razy ci mówiłam, że masz przestać kraść? Jeszcze jeden taki numer i złożę na ciebie donos.

Dwight puścił jej oczko. Podobne gesty zazwyczaj strasznie ją irytowały, ale oczko Dwighta było przyjacielskie, zawadiackie. Schowała owoc na później, bowiem teraz myślała tylko o nadchodząącym spotkaniu.

Odnaleźli zakład szewski bez problemów. Położony był na skraju miejscowości, aby oszczędzić jej mieszkańcom nieprzyjemnych zapachów. Drzwi do warsztatu zastali otwarte. Ignae zapukała w ościeżnicę i weszła do środka.

— Dzień dobry — przywitała się agentka. Towarzysze stali za jej plecami, czujni.

— Witam — odpowiedział jej pochłonięty pracą mężczyzna.

Wyglądał na trzydzieści lat, był drobnej postury i miał słaby zarost. Odłożył na blat stołu kawałki skóry, które właśnie zszywał, i podszedł do nieznajomych.

— Jeśli chcą państwo kupić obuwie, to zapraszam do sklepu obok. Tu jest tylko warsztat.

— Chris Reggick? — zapytała Ignae.

— Tak, to ja. O co chodzi?

— Wywiad Wewnętrzny. — Wiarygodność swoich słów potwierdziła poprzez pokazanie szewcowi odlanej z miedzi, trójkątnej odznaki z wizerunkiem gryfa. — Musimy zadać panu parę pytań.

— Przybywacie ze stolicy?

— Tak.

— Zapraszam więc do domu. Na pewno jesteście głodni i zmęczeni po podróży.

Ignae chciała odmówić, ale Dwight odezwał się pierwszy:

— Nie możemy odrzucić uprzejmiej propozycji, zwłaszcza że tak rzadko spotykamy się z gościnnością.

Szefowa obdarowała wyrywnego podwładnego dyskretnym kuksańcem w brzuch, lecz już nie wypadało jej wszystkiego odkręcać. Gospodarz przyjął ich w pokoju dziennym, ugościł herbatą i ciastem. Po domostwie kręciła się dwójka dzieci i zanim rozpoczęli przesłuchanie, mężczyzna poprosił swoją matkę by zabrała je na chwilę na dwór. Kiedy zostali już sami, zapytał:

— Jaka sprawa was do mnie sprowadza?

— Myślę, że na początek mógłby pan wytłumaczyć mi jedną rzecz. — W przeciwieństwie do swych towarzyszy Ignae nie zainteresowała się poczęstunkiem. — Z dokumentów, do jakich dotarłam, wynika, że podczas wojny został pan uznany winnym dezercji. Nie znalazłam natomiast żadnego ułaskawienia, więc jakim cudem zachował pan życie? Dezercja w czasie wojny karana jest śmiercią.

— Ta sprawa została już dawno wyjaśniona. Dezercji ponoć dopuścił się mój brat, a nie ja. Widocznie ktoś nie dopilnował, by odpowiednia notatka znalazła się w moich dokumentach.

— Armia służy z bajzlu w papierach — potwierdziła Ignae, która niejednokrotnie tego doświadczyła. — Pana brat, jakie nosił imię? I co się z nim stało?

— Jarmis. — Mężczyzna odstawił filiżankę na stół. — Nie mam pewności, co się z nim stało. Prawdopodobnie zginął w Shal, gdzie odbywał się sąd wojskowy nad deserterami. Jarmis trafił tam dwa tygodnie przed Upadkiem. Jego ciała nigdy nie odnaleziono.

— Przykro mi. — Troska Ignae była szczerza. — Rozumiem, że nie zachowały się żadne dokumenty stwierdzające, czy doszło do egzekucji, czy nie?

— Nie. Pożar, wybuch czy cokolwiek tam zaszło, zniszczył wszystko. Tak mi powiedziano, kiedy starałem się poznać losy brata.

Agentka zastanawiała się nad kolejnym pytaniem, Kyle i Dwight popijali herbatę, gdy szewc nagle zadziwił ich wszystkich.

— Próbujeście złapać mordercę generała Mircei, prawda?

— Yyy, tak. Po to przyjechaliśmy — przyznała Ignae. — Skąd pan wie?

— Bo mnie odwiedził jakiś tydzień temu. Znaczy, ten morderca — oznajmił z całkowitym spokoju. — Zjawił się nocą. Zaskoczył mnie, gdy wracałem z wychodka. Przystawił mi sztylet do gardła i byłem pewien, że mnie zabije, ale kiedy spojrzał mi w oczy, zrozumiał, iż schwytał nie tego brata. Podobnie jak wy, szukał Jarmisa, a nie mnie.

— Generał został zamordowany cztery dni temu, czyli już po waszym spotkaniu. — Kyle odezwał się po raz pierwszy, odkąd przyjechali do Raddfort. — Skąd pan wie, że to był jego morderca? Przyznał się do tego, zdradził swoje plany?

— Nie, to nie tak. On wiedział, że Jarmis należał do Przyjemniaczków Mircei. Znaczy, najpierw myślał, że ja do nich należałem, ale jak już wspomniałem, szybko zrozumiał swój błąd. Zaczął wypytywać mnie o brata. Z jego głosu dało się wyczuć, że z jakiegoś powodu szczerze nienawidzi Przyjemniaczków. Kiedy wczoraj usłyszałem o śmierci generała, od razu pomyślałem, że to on musi być zabójcą.

— Co mu pan powiedział na temat brata? — dociekała Ignae.

— To samo, co wam. Prawdę. — Szewc nadal nie zdradzał żadnych emocji. — To, że nie widziałem go, odkąd wcielili nas do armii, oraz to, że najprawdopodobniej nie żyje.

— A jak to się w ogóle stało, że brat trafił do kompanii karnej? — Tym razem pytanie zadał Dwight.

— Jakby to powiedzieć. Jarmis nie był łatwym dzieckiem. Uciekł z domu, gdy miał dwanaście lat. Wyjechał do Wartegall, by zostać złodziejem. Najpierw był kieszonkowcem, potem zajął się włamaniami i kradzieżami na zlecenie. Wiem to wszystko, bo odwiedzałem dom raz, czasem dwa razy do roku. Nigdy nie zrozumiałem, dlaczego wybrał taką drogę, nie mam jednak prawa, by go oceniać. Gdy przyszło co do czego, poświęcił wszystko, by mnie ratować.

— Co ma pan na myśli? Co się wydarzyło?

— To przeze mnie Jarmis trafił do armii. Miałem szesnaście lat, gdy dostałem powołanie. Jarmis wiedział, że nie nadaję się do wojska. Byłem słaby fizycznie, ciemajdowaty, nigdy nie brałem udziału w żadnych bójkach. Jarmis zawsze bił się za mnie. Kiedy dowiedział się, że wysyłają mnie na wojnę, spieniężyły wszystkie fanty, jakie posiadał, powyciągał oszczędności z kryjówek i odnalazł jednostkę, w której przechodziłem szkolenie dla żółtodziobów. Udało mu się przekupić kogo trzeba i zamiast na front, trafiłem do kuchni polowych. Przez rok zajmowałem się obieraniem warzyw i pilnowaniem, by kasza się nie przypaliła. Kiedy wojna dobiegła końca, wróciłem do domu.

Chris Reggick wziął łyk herbaty i westchnął ciężko.

— Jarmis miał mniej szczęścia. Te cholerne skurwysyny otrzymały od niego około dwóch suwerenów, ale zamiast puścić go do domu, zaczęli grzebać w papierach. — W jego głosie po raz pierwszy pojawiło się jakieś uczucie. Był to gniew. — Dowiedzieli się z nich, że Jarmis również był na liście powołanych na wojnę. Postanowili wyciąć mu ponury dowcip. Nie miał już żadnych pieniędzy, którymi mógłby ich ponownie przekupić, więc wcielili go siłą do armii. Jako że Jarmis był złodziejem, o czym również była wzmianka w jego papierach, trafił do Przyjemniaczków Mircei.

W trakcie niezliczonych przesłuchań, w jakich uczestniczyła, Ignae nasłuchała się wielu łzawych historii, które z reguły nie robiły na niej żadnego wrażenia. Zdawała sobie sprawę, że ich autorzy próbują wykazać się od odpowiedzialności lub namacić jej w głowie. Opowieść szewca, choć wcale nie wydała się jej cekliwa, sprawiła, że gdzieś w głębi duszy agentka poczuła wzruszenie. Zmienił się też sposób, w jaki postrzegała mordercę mszczącego się na Przyjemniaczkach. Do tej pory jego schwytnanie traktowała jako kolejną misję i nie obchodziły ją zbytnio kryminaliści, których zabijał. Historia Jarmisa Reggicka uświadomiła jej, że być może nie każda z ofiar mściciela zasługiwała na śmierć.

— Co może nam pan powiedzieć o mordercy? Jak wyglądał? Było w nim coś charakterystycznego? — Kyle zauważył, że jego szefowa nieco się zamyśliła i postanowił zapytać o to, co wydało mu się najistotniejsze.

— Było ciemno, a on na dodatek zasłonił twarz chustą bądź szalem. Widziałem tylko jego oczy, ale nie dostrzegłem w nich nic nadzwyczajnego. — Szewc zmarszczył czoło, próbując przypomnieć sobie coś więcej. — Chyba były ciemnego koloru, może brązowe? Jeśli chodzi o wzrost, to był z jakieś pół stopy wyższy ode mnie. Jedyne, co zapadło mi w pamięci, to jego dziwny głos. Celowo go modulował, brzmiał nienaturalnie, wręcz komicznie. Miał też specyficzny akcent. Nie spotkałem się z takim wcześniej. Był, hmm, twardy, to chyba najlepsze słowo.

— Podejrzewamy, że mściciel pochodzi z Sinmow. Czy to mógł być akcent ludzi z Sinmow?

Stary agent zapisał w notesie *twardy akcent*. W przeciwieństwie do swych młodszych współpracowników nie ufał już bezgranicznie swojej pamięci i notował najważniejsze fakty na bieżąco.

— Nie wiem. Nigdy nie rozmawiałem z nikim z Sinmow. Nie licząc roku w armii, całe życie spędziłem w Raddfort, a mało tu mamy przyjezdnych.

— Rozumiem. Jeśli chodzi o mnie, to nie mam już więcej pytań.

— Poruczniku?

— Skoro Kyle nie ma więcej pytań, to znaczy, że zapytaliśmy o wszystko, co istotne.

Ignae uśmiechnęła się do szewca.

— Ale może jest coś, co my możemy zrobić dla pana? Nie boi się pan powrotu mordercy? Moglibyśmy przydzielić panu ochronę na pewien czas.

— Miał już okazję, by mnie zabić, i tego nie zrobił. Nie przypuszczam, bym miał go jeszcze kiedykolwiek zobaczyć. Jest jednak coś, co mnie frapuje.

— Nazwał go pan mścicielem. — Mężczyzna zwrócił się do Kylea. — Możecie mi powiedzieć, za co się mści?

Kyle nie wiedział, czy wolno im o tym mówić, spojrzał więc na Ignae.

— Niestety, nie mamy pojęcia. — Agentka postanowiła nie wspominać o masakrze w Exordium. Nie chciała, by mężczyzna pomyślał, że jego brat mógł brać w niej udział. — Zapewne chodzi o jakieś wydarzenie, które miało miejsce na wojnie. Takie są nasze przypuszczenia.

— Szkoda. Miałem nadzieję, że dowiem się czegoś o ostatnich miesiącach z życia mego brata.

Szewc faktycznie wyglądał na rozczarowanego.

— Czasami lepiej jest wiedzieć mniej — próbowała pocieszyć go Ignae, ale tylko poczuła się jak idiotka. Wstała z krzesła, a Kyle i Dwight momentalnie uczynili to samo. — Dziękujemy panu za współpracę i przepraszamy za najście.

— Nie ma sprawy. — Chris Reggick wymienił uścisk dłoni z całą trójką szpiegów. — Powodzenia w łapaniu mściciela.

Agenci opuścili dom szewca i od razu skierowali się w stronę stajni, w której zostawili wierzchowce. Nadal było wcześnie, więc Ignae postanowiła, że obiad zjadą w najbliższej osadzie na trasie do Wartegall.

Gdy szli główną ulicą Raddfort, spostrzegawczy Dwight dostrzegł matkę braci Reggick wracającą z dwójką wnuków i koszem zakupów. Wskazał kobietę szefowej i powiedział:

— Może powinniśmy porozmawiać również z nią? Porównać zeznania?

— Myślicie, że Chris nie był z nami szczerý? — Ignae była ciekawa opinii podwładnych.

— Według mnie mówił prawdę, ale jakoś za gładko to wszystko poszło. Poza tym nic nie szkodzi się upewnić — stwierdził młodszy z mężczyzn.

— Wyjątkowo zgodzę się z Dwightem.

— No cóż. W porządku.

Ignae posłuchała ich rady i skierowała kroki w stronę nadchodzącej z naprzeciwka kobiety.

— Pani Reggick, możemy zająć pani chwilkę? — zapytała, zastąpiwszy jej drogę.

— Och, to wy. — Kobieta nie zauważała ich wcześniej i trochę się wystraszyła. — Czy Chris ma jakieś kłopoty?

— Nie, proszę pani. Nie ma żadnych kłopotów. Właściwie to chcieliśmy spytać o pani drugiego syna, Jarmisa.

Kobieta spuściła wzrok. Wypowiedziane na głos imię pierworodnego ewidentnie sprawiło jej przykrość.

— Nie wiem, o co tu pytać — powiedziała łamiącym się głosem. — Jarmiska nie ma już z nami piętnaście lat. Może nie był świętoszkiem, ale dzięki niemu mam teraz chociaż jednego syna i moje wspaniałe wnuki. — Pogłaskała po główkach dzieci, które stały uczezione jej spółdnicą. — Jarmis jest dla mnie bohaterem. Życzę pani, żeby na starość była tak dumna ze swoich dzieci, jak ja jestem dumna z moich synów.

Po policzku pani Reggick spłynęła jedna, samotna łza, która została szybko wytarta w rękaw. Dzieci najwyraźniej wyczuły smutek babci, gdyż młodsza dziewczynka zaczęła szlochać, a starszy, na oko sześciolatek chłopczyk, patrzył przestraszonym wzrokiem na agentów.

Ignae uważała się za profesjonalistkę, jednak nie miała serca pytać o nic więcej, tym bardziej, że słowa kobiety zgadzały się z wersją przedstawioną przez jej syna. Przeprosiła za przysporzone cierpienie i pozwoliła jej odejść.

Gdy kobieta zdążyła się już oddalić, zdenerwowanym głosem zapytała towarzysz:

— I co wy na to?

— Nic. Ale skąd ta złość? Czyżby widok tych brzdąków obudził w tobie instynkt macierzyński? — Dwight jak zwykle próbował obrócić wszystko w żart.

— Nie przeciągajcie struny, starszy szeregowy White. Lepiej zastanówcie się, jak będziemy tłumaczyć się w dowództwie z tej bezowocnej misji.

Ostatni dzień ósmego obiegu Władcy. 226 dzień roku. Wartegall. Pałac królewski. Popołudnie.

Odkąd Nick zażył elizium, odczuwał niezrozumiałą potrzebę powrotu na Zachód, do domu. Zazwyczaj nie zwlekał z realizacją swych pomysłów i pragnień, lecz tym razem było inaczej. Próbował sobie wmówić, że chodzi o królewski bal, na jakim jeszcze nigdy nie był, mimo to w głębi duszy czuł, co tak naprawdę zatrzymuje go w stolicy. Strach.

Gdy opuszczał Rodawnzar ponad trzy lata temu, nie raczył pożegnać się z kimkolwiek: ojcem, młodszym bratem oraz znajomymi. Po prostu pewnego dnia wyjechał, nie informując nikogo o swoich planach czy dacie powrotu. Ojciec mu wybaczył, bo od tego są ojcowie, ale nie wiedział, czy reszta wykaże się podobną wyrozumiałością. Jednak od tego, jak zostanie przyjęty, bardziej bał się przyczyn powodujących chęć powrotu do domu. Czyżby narkotyk sprawił, że się wypalił? Wydoroślał? Póki co nie był w stanie odpowiedzieć na te pytania.

Szykując się na bal, uświadomił sobie, że wcale nie ma ochoty na niego iść. Przez ostatni tydzień traktował go jako wymówkę, która pozwoliła mu odwlec w czasie wyjazd. W swoim krótkim życiu zdążył dość dobrze poznać arystokrację Lotherebemm i wiedział, kto zjawi się na przyjęciu. Otępiali dziedziczoną władzą i bogactwem szlachcice, ich znudzone życiem,

snobistyczne żony oraz żądna wrażeń młodzież, która mimo wszystko boi się tego, co pomyślał inni. Wolałby wraz z Kisricem jeszcze raz odwiedzić Dół.

Elegancki strój zorganizował mu jeden z królewskich lokajów. Na szczęście mężczyzna posłuchał polecenia Nicka i ubranie nie było zbyt ekstrawaganckie. Czarna, wełniana tunika podszyta lnem, spodnie proste, szare, do tego pas i sięgające kolan buty. Przejrzał się w zwierciadle i stwierdził, że wygląda nieźle. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, jak nietypowe dla niego było to zachowanie. Nie stroił się, odkąd zrezygnował z uczestniczenia w przyjęciach organizowanych na zamku w Rodawnzarze, czyli od co najmniej sześciu lat.

Dotarcie do sali balowej zajęło mu trzy minuty. *Przynajmniej nie muszę daleko łazić* pomyślał, szukając dobrych stron imprezy. Jako że należał do królewskiej rodziny, przewidziano dla niego miejsce przy głównym stole. Oprócz krewnych monarchy siedzieli tu również jego doradcy i kilku najznamienitszych możnowładców Wschodniej Prowincji. Bal nie był oficjalną, państwową uroczystością, a na dodatek Rossy wpadła na pomysł jego zorganizowania zaledwie półtora tygodnia wcześniej, toteż nie zaproszono gości z Zachodu i Północy.

Nick usiadł pomiędzy swoim ojcem i Kisricem. Nieliczni wojoownicy eskortujący szlachtę do pałacu bawili przy innych stołach, lecz Kisric, jako Wielki Czempion, dosiąpił zaszcztytu biesiadowania z najlepszymi. Nickowi było to na rękę. Przyzwyczał się już do swojego ochroniarza i czuł się przy nim swobodnie, zarówno w dyskusji, jak i milczeniu. Cieszył go też fakt, że oprócz niego przy stole nie było żadnej młodzieży. Nie miał ochoty zawierać nowych znajomości, w ogóle nie chciało mu się z nikim rozmawiać, a siedzący naprzeciw niego podstarzali arystokraci byli pochłonięci dyskusją z jego ojcem i nie zwracali uwagi na młodszego Brucondeisa. Mógł więc, zgodnie z tym, co planował, zająć się jedzeniem i winem.

Potraw podano niewiele i nie były nazbyt wykwintne. Podobnego menu można było spodziewać się po średniej klasy gospodzie, a nie po królewskim balu. Była to sprawka Rossy. Królewna zrobiła olbrzymią awanturę szefowi królewskich kuchni, gdy usłyszała, że ten, zazwyczaj nieskory to kulinarnych fantazji, tym razem planuje się popisać i zamówił całą masę różnorakich, drogich produktów. Kucharz nie chciał ustąpić i dziewczyna wciągnęła w sprzeczkę samego króla. Swoje racje argumentowała faktem, że jest to bal charytatywny, więc zamiast wydawać pieniądze na jego przygotowanie, lepiej przeznaczyć je na cel, w jakim jest organizowany. Ascetyczny monarcha wprawdzie nakazał kucharzowi oszczędność, ale wcale nie miał zamiaru wspierać sierot z królewskiego skarbcia. Uważał, że sama organizacja balu jest wystarczającą jałmużnią. Dopiero wtedy Rossy naprawdę się rozłożyła. Nazwała ojca bezdusznym sknerą, na dodatek zrobiła to przy świadkach, co było wydarzeniem bezprecedensowym. Plotki o królewskiej awanturze szybko rozeszły się po stolicy.

Wino też nie było najlepsze. Na szczęście Nick nie był wybredny w tym względzie. Zaspokoiłszy głód, napełnił kielich bordowym trunkiem, znudzony oparł głowę na dłoni i zajął

się obserwowaniem sali w nadzieję, że wydarzy się coś ciekawego. Skupił swą uwagę na Rossy, która biegała od stołu do stołu, zabawiając przybyłych rozmową i namawiając ich do składania datków. Do tej pory dwie duże, drewniane skarbony ustawione w kątach sali nie cieszyły się zbytnim zainteresowaniem gości.

W końcu królewna podeszła również do tego fragmentu głównego stołu, przy którym siedział Nick. Wymieniła z kuzynem kilka banalnych zdań, następnie pomówiąła chwilę z wujem, Kisriciem, a nawet ze starymi arystokratami, po czym poszła zmiękczać serca w innej części sali.

Krótką rozmowę z Rossy wywołała u Nicka dziwny dyskomfort. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, jaka była tego przyczyna. Od wizyty w Dole miewał wyjątkowo żywe sny o Biało Królowej, lecz do tej pory nie wiedział, o kogo może chodzić. *Czyżby chodziło o nią?* Kobieta ze snu była o kilka lat starsza, ale pod względem urody wydawały się bardzo podobne. A o kogo innego może chodzić? *Jak wujas się przekręci, Rossy zostanie królową, no i nosi się na biało. Tylko skąd nagle te sny? Przecież nie widziałem jej od dobrych kilku lat?* Nick przez dłuższą chwilę zastanawiał się nad tą sprawą, by w końcu dać sobie spokój.

Znużony zagaił do Kisrica, który przysypiał po jego prawej stronie.

— Dałeś już coś na sieroty?

— Co? — Wyrwany z półsnu wojownik nie zrozumiał, o co jest pytany.

— Ładnie pilnujesz mojego bezpieczeństwa, śpiochu — zażartował książę. — Pytałem, czy dałeś coś na sieroty.

— Na balu nic ci nie grozi, więc staram się odpocząć. Myślisz, że w moim wieku łatwo jest pilnować takiego wagabundy jak ty? — tłumaczył się Kisric. — A co do sierot, to moja sprawa.

— Jesteś maruda, bo akurat ostatnio to rzadko kiedy opuszczam pałac, ale przynajmniej jesteś skromny. Przyszedłem chwilę po tobie, widziałem jak opróżniałeś mieszek do skarbonki. Właściwie do tej pory tylko ciebie przy niej widziałem.

— To idź i sam coś wrzuć, nie będę czuł się osamotniony.

— Wrzuciłbym, ale jest pewien problem. Nie mam kasy. Piraci zabrali mi wszystkie oszczędności. Al, znacz ten marynarz, który mnie przywiózł na kontynent, dał mi pięć koron, bym miał za co wrócić do stolicy, ale już wszystko wydałem.

— Chcesz, żebym ci coś pożyczyl? — Kisricowi wydawało się, że odgadł intencje Nicka.

— No co ty. Pożyczać pieniądze, by oddać je potrzebującym? To byłoby trochę śmieszne. Po powrocie do Rodawnzaru będę miał mnóstwo okazji do zabawy w dobroczynność. Słyszałem, że straszna u nas susza.

— Makabryczna. Ludzie z głodu uciekają na Północ. Odkąd przybyłem do Lotherebemm, sytuacja nigdy nie była tak ciężka.

— Nasi ludzie głodują, a my tu sobie na bale chadzamy. Wypijmy za równe szanse. — Nick uśmiechnął się ironicznie i pociągnął z pucharu. Kisric zrobił to samo.

Rozmowę przerwała im Rossy, która przekrzykując zgiełk, poprosiła zebranych o ciszę i zapowiedziała występ Garetha.

Bard wkroczył na salę balową pewnym krokiem, ukłonił się najpierw królowi, potem Rossy, a na koniec powitał resztę gości. Następnie zasiadł na taborecie, który ustawiono na specjalnym podwyższeniu zmontowanym ze skrzyń przyniesionych chwilę wcześniej przez służbę i rozpoczął występ. Repertuar, jaki wybrał na ten wieczór, znacząco odbiegał od tego, co grywał przez ostatnie dwa tygodnie w biednych dzielnicach Wartegall. Zrezygnował z nawołujących do buntu tytułów na rzecz popularnych ballad cudzego autorstwa. Mimo to reakcja publiczności była taka jak zawsze. Arystokraci słuchali w skupieniu, a szlachcianki zamknęły oczy i starały się opanować co rusz atakujące ich ciała fale dreszczy. Spośród wszystkich zebranych na sali tylko dwoje ludzi nie uległo w pełni urokowi artysty: Nick i Leo Jo'Keffe.

Młody Brucondeis zauważył, jak arcyszpieg nerwowo stuka palcami w blat stołu. Siedzieli blisko, oddzieleni jedynie przez ojca Nicka, puste krzesło Rossy i króla. W pewnej chwili Jo'Keffe zauważył, że chłopak mu się przygląda i spojrzał sobie głęboko w oczy. Nickowi nie spodobało się to, co ujrzał, ale to nie on pierwszy odwrócił wzrok.

Przedostatnim utworem, jaki wykonał Gareth, była Piosenka Turniejowa. Przypomniała ona Kisricowi młodość i jego czwarty triumf na Wielkiej Arenie w Rodawnzarze, ten, który przeszedł mu najtrudniej. Gdy przebrzmiała ostatnia nuta melodii, Wielki Czempion nie tylko bił brawo tak mocno, aż rozbolały go dłonie, lecz także wstał przy tym z krzesła. Momentalnie w jego ślad poszła cała sala. Nawet Lottar Scond podniósł się z tronu. Żaden artysta przed Garethem nie doświadczył takiego wyróżnienia. Bard podziękował za oklaski i rozpoczął ostatnią piosenkę wieczoru, nad komponowaniem której spędził ostatni tydzień. Jej tekst miał zachęcić słuchaczy do wsparcia pokrzywdzonych w powodzi sierot.

Gdy skończył śpiewać, ukłonił się władczy i szybko opuścił salę. Jego talent był także przekleństwem. Gdyby się nie ulotnił, widzowie skupiliby uwagę na nim, zamiast oblegać drewniane skarbowny.

Kiedy drzwi zatrzasnęły się za bardem, ludzie masowo skierowali się w dwa przeciwnie ległe kąty pomieszczenia i zaczęli pozbywać się monet. Dobrocynne szaleństwo trwało około kwadransa, który niemal nie wywołał u Rossy ataku serca. Królewna nie spodziewała się takiego sukcesu. Pół godziny później, gdy Gareth powrócił, aby pobiesiadować z królewskimi gośćmi, po raz kolejny musiała przysiąść, by nie dostać zapaści.

Na podwyższeniu, na którym wcześniej występował bard, pojawiła się orkiestra i w końcu rozpoczęły się tańce. Gareth co rusz był wyciągany na parkiet przez kobiety w każdym wieku, a kiedy udawało mu się wybłagać chwilę przerwy, rozmawiał z fanami obu płci.

— Cholera, muszę z nim pogadać. — Kisric długo walczył z nieśmiałością, by ostatecznie przegrać. — Chodź ze mną, będę się czuł mniej głupio — poprosił Nicka, który od razu się zgodził.

Odczekali aż muzyk uwolnił się od innych, nowo pozyskanych sympatyków i podeszli bliżej. Nick akurat usiadł do stołu, by coś przekąsić.

— Świeży występ — pogratulował mu Kisric.

— Dziękuję — odparł Gareth mlaszcząc, gdyż akurat walczył z twardym kawałkiem wołowiny. Muzyk nawet się nie odwrócił, by zobaczyć, z kim rozmawia.

— Być może zabrzmi to niezręcznie, niemniej muszę to powiedzieć: twój głos jest jak wino: im starszy tym lepszy. Miałem szczęście słyszeć pierwsze wykonanie Turniejowej, ale wydaje mi się, że od tego czasu nauczyłeś się wkładać w śpiew więcej emocji.

Bard w końcu się nimi zainteresował. Jedno spojrzenie wystarczyło, by rozpoznać Wielkiego Czempiona.

— Kisric Twardy. — Wstał i wyciągnął dłoń na powitanie. — Przepraszam, że cię zlekceważyłem. Jestem już trochę zmęczony, musisz mi wybaczyć.

— Nic się nie stało. Widziałem, jak ciężko jesteś eksplotowany na parkiecie.

— Lata lecą. Może nadal śpiewam nieźle, ale zdrowie już nie to samo, co kiedyś.

— Sam coś o tym wiem. — Wojownik pokwał głową ze zrozumieniem.

— Przysiadź się do nas. Pogadamy, popijemy, no i żadna małolata nie wyciągnie cię na parkiet, gdy będziesz siedział zaraz obok króla. O, a tak w ogóle, przedstawiam ci Nicka Brucondeisa.

Nick i Gareth uścisnęli sobie dłonie, po czym cała trójka wróciła do królewskiego stołu. Napełnili kielichy i wznieśli toast za stare, lepsze czasy.

— Co się z tobą działo przez te wszystkie lata? Chyba nie występowałeś zbyt często? — dopypywał Kisric.

— Przez długi czas w ogóle nie występowałem. Wróciłem do koncertowania kilka miesięcy temu. — Uśmiechnął się tajemniczo. — Śmieszna sprawa, bo ostatnio, po jednym z koncertów spotkałem tego gościa, z którym walczyłeś wtedy na turnieju i spytał mnie o to samo.

— Jakiego gościa?

— No tego, z którym walczyłeś w finale. Przedstawił się jako Melbarr, ale to nie jest jego prawdziwe imię.

— Wtedy twierdził, że nazywa się Mayk Monen, chociaż później okazało się, że w całym Loherbemm nikt o nim nie słyszał. Jesteś pewien, że to był on? Gdzie go spotkałeś?

— Zagadał mnie na Milfgardzie. Jestem pewien, że to on. Mam dobrą pamięć do twarzy. No i miał wielkie, ale naprawdę wielkie dłonie.

— Ta, w takim razie to on — zawyrokował Kisric.

Nick przysłuchiwał się ich rozmowie z narastającym zaniepokojeniem. Nie chciał, aby ktokolwiek zorientował się, że człowiek, o którym opowiadał Gareth Tovesz, uratował go z niewoli u piratów. Było dla niego oczywistym, że Melbarr, Mayk Monen czy jakkolwiek się

nazywał, chciał być pozostawiony w spokoju. I choć chłopak sam był niesamowicie ciekawy, kim tak naprawdę jest jego wybawiciel, nie mógł pozwolić innym na rozwiązywanie tej zagadki. Przynajmniej w ten sposób mógł odwdzięczyć się za ratunek.

Zastanawiał się, jak sprowadzić rozmowę mężczyzn na inne tory, gdy wtem podeszła do nich Etoin i poprosiła Nicka do tańca. Wyrwany z zamyślenia młodzieniec zgodził się odruchowo, tak właściwie nie będąc świadomym, na co się zgadza. Ubrana w nieskromnie skrojoną sukienkę z czerwonego aksamitu dziewczyna podała mu swą delikatną dłoń i wtedy zrozumiał, że musi zatańczyć. Zbluzgał samego siebie w myślach. Nie wypadało mu już odmówić, a jednocześnie musiał coś zrobić, by przerwać rozmowę. W tak krótkim czasie do głowy przyszedł mu tylko jeden pomysł. Wstając od stołu, celowo trącił stojący na nim puchar Kisrica i zalał mu spodnie winem.

Etoin parsknęła ze śmiechu, święcie przekonana, że to ona tak zestresowała Nicka. Wielki Czempion i bard byli tego samego zdania i również zaczęli się śmiać. Nick uśmiechnął się dopiero wtedy, gdy Kisric oznajmił, że musi iść się przebrać.

Nawet jeśli byłby kompletnie trzeżywy, musiałby przyznać, że jego partnerka jest wyjątkowo piękna. Pociągająca figura, delikatna twarz, której każdy element był niemal idealny i dzięki temu *niemal* jeszcze bardziej cudowny, no i te długie, czarne jak atrament włosy. Uwielbiał brunetki. Tańcząc, zdał sobie sprawę, że nie dotykał kobiety, odkąd został porwany. Lekko podpity Nick szybko straciłby dla niej głowę, gdyby nie natrętne, dokuczliwe ostrzeżenie gnieżdżące się gdzieś w głębi jego czaszki. *Dziewczyna jest córką Jo'Keeffea*. Nick nie interesował się polityką, a mimo to słyszał dość, by wyrobić sobie nie najlepszą opinię o szefie Wywiadu Wewnętrzного. *Może kazał jej ze mną zatańczyć?*

Etoin próbowała wciągnąć go w rozmowę, pytała go o porwanie, wrażenia z koncertu Garetha, jego najbliższe plany i masę innych rzeczy, lecz Nick na wszelki wypadek odpowiadał lakonicznie, nie ufając w szczerość jej zamiarów. Mimo to dziewczyna się nie poddawała i gdy rozpoczął się nowy utwór, dalej tańczyli razem. Poprzez wirujący w rytm muzyki tłum Nick w końcu wypatrzył jej ojca. Jo'Keffe dosiadł się do chwilowo osamotnionego Garetha i coś mu tłumaczył. Po chwili szpieg ponownie zajął miejsce obok króla, a bard, wyraźnie zdenerwowany, nie żegnając się z nikim opuścił salę.

Coś mu nagadał skurwielu? Nick miał ochotę wybiec za muzykiem i się dowiedzieć, jednak tego nie zrobił. Wpadł na lepszy pomysł: postanowił zbałamucić Etoin, na złość jej ojcu.

Kiedy tylko mu na tym zależało, potrafił niesłychanie zręcznie posługiwać się językiem, zwłaszcza w relacjach z kobietami. Sam zaczął zagadywać Etoin, co chwila wplatając między słowa jakiś zgrabny komplement. Jego taniec również stał się bardziej żywiołowy. Wywijał dziewczyną niczym urodzony tancerz, a jego dlonie wędrowały odważnie po jej sukni. Przetańczyli jeszcze jeden utwór, po czym lekko zasapani postanowili odpocząć przy stole przeznaczonym dla młodzieży.

Pilnował, by kielich Etoin był cały czas pełen, i zabawiał ją rozmową, jednocześnie zastanawiając się, jak wyrowadzić ją z sali w jakieś intymne miejsce. Z pomocą przyszła mu Rossy. Królewna siedziała nieopodal nich, wyraźnie już zmęczona opijaniem swojego sukcesu. Gdy zaczęła głośno bełkotać, że król powinien robić więcej dla swych poddanych, Nick poprosił Etoin, by pomogła mu zaprowadzić kuzynkę do jej komnat.

Kiedy położyli Rossy w jej łóżu, ta zasnęła natychmiastowo. W końcu zostali sam na sam. Nick ujął twarz Etoin w dlonie i ją pocałował. Dziewczyna nie oponowała. Komnata królewny była duża, oprócz łóżka z baldachimem znajdowało się w niej wiele mebli. Wybrali kanapę. Macanki trwały kilka minut, gdy w głowie Nicka zrodziła się myśl, że być może dziewczyna właśnie wykonuje rozkaz ojca. Momentalnie odechciało mu się igraszek. Zastanawiał się, jak wybrnąć z niezręcznej sytuacji, gdy nagle Etoin go odepchnęła.

— Nie mogę tego zrobić — powiedziała, po czym wybiegła z komnaty.

Chociaż dziewczyna wyręczyła go w przerwaniu ich zbliżenia, Nick był zaskoczony i trochę rozczarowany, jak większość młodzieńców, którzy kiedykolwiek znaleźli się w podobnej sytuacji. Miał też nadzieję, że jej ucieczka nie była częścią gry zaplanowanej przez Leo Jo'Keefea.

Rozdział jedenasty – Morskie opowieści

Pierwszy dzień czwartego obiegu Białego Karła. 116 dzień roku. Południowe Krańce. Fogeestaat. Południe.

Przez większość czasu żeglowali na tyle blisko brzegu, by mieć go w zasięgu wzroku. Wykorzystując silną bryzę upalnego w dzień i chłodnego nocą Morsstand, mknęli poprzez fale z zawrotną prędkością i Iryk obawiał się, że sfatygowane żagle Szalonego Statku Głupców w końcu porwą się na strzępy. Nic takiego nie nastąpiło. Kapitan doskonale znał możliwości swojej łajby, dostrzegał też zaniepokojenie mnicha, lecz nie zamierzał go uspokajać. Każdy nowy członek załogi musiał przejść morski chrzest. Im ostrzejszy, tym lepiej.

Mimo iż Iryk spędził całe życie w głębi lądu, znosił kołysanie fal całkiem nieźle. Kandydaci na mnichów przechodzili podstawowy kurs żeglowania na wodach Klejnotu Pustyni, które ze względu na rozmiary jeziora i silne, pustynne wiatry, nieraz bywały bardzo wzburzone. Pomagały mu też zdolność panowania nad ciałem oraz medytacja.

Victoria przeżywała swój pierwszy rejs znacznie gorzej. Przez pierwsze dwa dni nie była w stanie nic jeść, ciągle bolała ją głowa, jednak nikomu z tego powodu nie marudziła. Przeszła zbyt wiele, by miała się przejać głupią chorobą morską. Trzeciego dnia jej organizm zaczął się przyzwyczajać i potem było już tylko lepiej.

Zbliżywszy się do podłużnego archipelagu skalistych wysepek, będącego przedłużeniem łańcucha Górz Podziału, odbili na południe, by go opłynąć. Wiele skał było ukrytych tuż pod powierzchnią wody i nawet Szalony nie ryzykował drogi na skróty. Kontynent ujrzał ponownie dwa dni później. Niecałe dwadzieścia mil na wschód od szerokiej mielizny oddzielającej archipelag od Miliphen znajdowało się Fogeestaat, wysunięty najdalej na zachód port Południowych Kresów.

Przybili do kai przed południem. Bosman Jules Hapon, którego towarzysze wołali Jon, wraz z grupką marynarzy zajęli się uzupełnianiem zapasów, zaś reszta załogi poszła rozejrzeć się po mieście. Już w porcie zauważyli coś dziwnego: na ulicach Fogeestaat panował tłok, kręciły się tu też dziesiątki wojowników z Morsstand. Zaciekawiony tym faktem kapitan podszedł do jednego z patroli, by dowiedzieć się więcej.

Ubrani w karmazynowe tuniki i uzbrojeni w długie włócznie żołnierze odmówili rozmowy, zastaniamając się niskim stopniem i odesłali go do dowódcy stacjonującego na obrzeżach miasta. Szalony zamierzał wypłynąć dopiero nazajutrz rano, aby jego chłopcy zdążyli się zabawić, miał więc dość czasu i ruszył w kierunku przedmieścia. Mnich oraz dziewczynka mu towarzyszyli.

Po pół godzinie dotarli do niewielkiego obozu wojska, który był otoczony tysiącami namiotów i prostych szafasów. Gdzieś tam dostrzegali fragmenty prowizorycznych,

drewnianych fortyfikacji, a także pojedyncze maszyny wojenne, głównie mobilne balisty. W oddali, na zachodzie, w rozgrzanym powietrzu majaczyły jasne mury Wrót Harmonii.

Dowódca obozu przyjął ich bez zwłoki, głównie ze względu na obecność Iryka, lecz także dlatego, że się po prostu nudził. Świadczyło o tym przeciągłe ziewnięcie, które próbował ukryć, gdy weszli do wojskowego namiotu.

— Pokój i harmonia, bracie.

— Pokój i służba.

— Z góry przepraszam za moją bezpośredniość, ale chyba dopiero przybyłeś do miasta, prawda? Nie kojarzę twojej twarzy, a poznalem wszystkich braci w Fogeestat.

— To prawda, dosłownie przed chwilą zawinęliśmy do portu. Oto nasz kapitan, Bart Norplent, a to jest Victoria. — Iryk przedstawił towarzyszy, których wojskowy nieco zignorował.

— A tak, przepraszam za moje maniery, a raczej ich brak. Uspokajacz Levon Damman, dowódca garnizonu Wschodnich Wrót Harmonii. — Damman uprzejmie skinął głową najpierw przed Szalonym, a następnie Victorią, którą dodatkowo obdarował delikatnym uśmiechem. — Co was do mnie sprowadza?

— Chcieliśmy się dowiedzieć, co wojsko Morsstand robi w mieście. Czy ma to związek z agresją Pierwotnych? — zapytał Iryk, chociaż wiedział, że odpowiedź będzie twierdząca.

— Owszem. Ostatnio wszystko, co dzieje się na Krańcach, ma z tym związek. Obecnie zajmujemy się pilnowaniem obozu uchodźców i ich weryfikacją.

— Weryfikacją?

— Proszę, usiądźcie. Wy tłumaczenie wszystkiego trochę zajmie. — Uspokajacz wskazał im miejsca przy dużym, prostym stole, na którym leżała rozłożona mapa Południowych Krańców.
— Napijcie się czegoś?

Szalony poprosił o wino, Iryk i Victoria zdecydowali się na wodę.

— Weryfikacja polega na sprawdzeniu, czy uchodźcy nadają się do zamieszkania w Morsstand — rozpoczął wyjaśnienia Levon Damman. — Chodzi głównie o ocenę ich przywiązania do wartości, jakie wyznajemy po zachodniej stronie Wrót. Poziom uzyskanej harmonii. Nie jest to zadanie łatwe, ba, dla wojskowego umysłu wręcz niewykonalne. Co prawda otrzymaliśmy z Pasterot ankietę z blisko setką pytań oraz wytyczne jej oceny, lecz więcej z nią kłopotów niż pożytku. Większość uchodźców nie umie czytać i moi ludzie muszą im pomagać w jej wypełnianiu, ale to nie wszystko. Dla tych ludzi pojęcie harmonii jest często niezrozumiałe i chyba na to liczyli twórcy ankiety. Do tej pory jedynie garstka osób uzyskała wynik pozwalający na wpuszczenie ich do Morsstand. Resztę powinniśmy odesłać z obozu, ale nie mamy takiej możliwości. Nie jesteśmy na swoim terenie. Ci, co oblali, wracają po kilku dniach, podając nowe, wymyślone nazwiska i tak w kółko. Pieprzona biurokracja.

Uspokajacz na krótką chwilę zapomniał, że nie rozmawia ze swoimi podwładnymi. Kiedy zdał sobie z tego sprawę, jego twarz przyjęła barwę różowego wina, które akurat pił.

— Najmocniej przepraszam za moje słowa, bracie. Oddaliłem się od harmonii.

— I ciebie również przepraszam, młoda damo — zwrócił się do Victorii.

— Mnie nie musisz przepraszać — odezwał się Szalony. — Na statku ciężko odnaleźć harmonię. Fala za bardzo kołysze i nie idzie się skupić. — Rozbiegane oczy sugerowały, że ciężko mu się skupić na czymkolwiek.

— Nic się nie stało, uspokajaczu — zapewnił Iryk. — Nie tylko na morzu trudno o harmonię. Ostatnio przekonałem się, że nawet w Chilsund o nią ciężko. Teraz widzę, że im dalej od Jeziora, tym gorzej.

— Święte słowa — przytaknął Damman. — Dodałbym tylko, że najłatwiej to dostrzec, stojąc na szczycie Wrót.

— Czemu je zamknęliście? — Nagle do rozmowy włączyła się cicha do tej pory Victoria, której nie interesowały filozoficzne przemyślenia dorosłych. — Dwa miesiące temu przekroczyłam je bez problemu.

— Pochodzisz z Krańców? — zdziwił się uspokajacz.

Dziewczynka skinęła i mężczyzna kontynuował.

— Przed dwoma miesiącami zaczęły pojawiać się pierwsze duże grupy uchodźców. Byli wyczerpani, nieśli ze sobą tylko to, co nie spowalniało ich marszu. Opowiadały straszliwe historie o wielkiej, niespotykanej od stuleci agresji Pierwotnych. Początkowo nie chcieliśmy im wierzyć, ale było ich tak wielu, że w końcu uwierzyliśmy. Błagali o ratunek, a ja, jako dowódca Wrót, postanowiłem ich wpuścić. Później nadeszły wieści o armii Pierwotnych zbliżających się do Fogeestaat. Przerażony władcy miasta poprosił mnie o pomoc. Na szczęście zdążyły przybyć już posiłki z Pasterot, o które poprosiłem, kiedy pojawiły się uchodźcy. Pozostawiłem na Wrotach garstkę ludzi, a wraz z całą resztą, blisko tysiącem Braci Miru, pomaszerowałem, by bronić miasta. Wróg zjawił się, nim zdążyliśmy skończyć umocnienia.

Uspokajacz był w swoim żywiole. Stojąc nad mapą, wskazywał niedokończoną linię fortyfikacji, rozmieszczenie własnych oddziałów i kierunek, z jakiego nadeszli Pierwotni.

— Przewyszali nas liczebnie ponad dziesięciokrotnie. Głównie piechota, lecz były także oddziały konnicy. Tfu, nie konnicy, lecz kawalerii, bo Pierwotni zamiast koni używają koribali. Krzyżówki konia i baribal. Bestie te są wolniejsze od koni, ale znacznie groźniejsze w starciu. Atakują łapami i gryzą jak wściekłe. Na szczęście nie mieliśmy okazji się o tym przekonać.

Oczy Szalonego w końcu się uspokoili. Słuchanie o niesamowitych stworach, nieznanych wyspach czy morskich przygodach zawsze tak na niego działało.

— Pierwotni nie odważyli się nas zaatakować — ciągnął uspokajacz. — Nieskromnie przyznam, że byłem tego pewien od samego początku. Czym innym jest łupienie bezbronnych

wiosek, a czym innym walka z Braćmi Miru. Najwyraźniej nawet w Dżungli wiedzą, jak ciężkie przechodzimy szkolenie. Tylko raz podeszli nieco bliżej naszych pozycji, a wtedy poczęstowaliśmy ich salwą z naszych balist. To najnowsza konstrukcja, prawdziwe cudeńka strzelające dwanaście razy na minutę. Od razu przeszła im ochota do walki i się wycofali.

— Uratowałeś miasto z tysiącem ludzi. Dlaczego nie zbierzesz więcej wojska i nie przepędzisz Bestii z mojego domu? — zapytała rozbrajająco Victoria. W jej oczach pojawiła się nadzieja, ale i błaganie.

— Gdyby to ode mnie zależało, dziecięto, to może bym tak zrobił. Ale nie zależy. — Na twarzy Dammana pojawił się gorzki grymas. — Przed dwoma miesiącami byłem rozjemcą z nadziejęmi na awans na harmoniusza. Za użycie garnizonu Wrót do obrony Fogeestaat zostałem zdegradowany do rangi uspokajacza i otrzymałem list z naganą od samego Siewcy Pokoju. Mogę już na dobre zapomnieć o robieniu kariery.

— Postąpiłeś słusznie i zbliżyłeś się do harmonii — próbował pocieszać go Iryk.

— Nie kierowała mną harmonia, lecz troska o moich ludzi. Wielu z nich ma rodziny w Fogeestaat i okolicach. Kobietom z Morsstand wojsko nie kojarzy się z harmonią, a zarobki szeregowych żołnierzy też nie zachwycają. Za to mieszkańców Krańców lubią mężczyzn pewnie stąpających po ziemi. No i po tej stronie Wrót nawet za najniższy żołd można żyć na przyzwoitym poziomie. Nic więc dziwnego, że chłopcom nie chce się uganiać za naszymi dziewczuchami, kiedy tu z łatwością znajdują dobre i miłujące żony. Czasami sam żałuję, że nie mianowali mnie obrońcą Wrót, gdy byłem jeszcze kawalerem.

— Nie może być tak źle. Pomyśl o moich ludziach. Niektórzy z nich mają po trzy żony, każdą w innym porcie — powiedział Szalony.

— Ale pewnie widują je raz do roku.

— Czasami rzadziej — zaśmiała się kapitan.

Iryk, który o tematach damsko-męskich miał takie samo pojęcie, jak Victoria, postanowił w końcu zapytać o to, co interesowało ich najbardziej.

— Jak teraz wygląda sytuacja w głębi Krańców. Czy Pierwotni nadal się panoszą?

— Z tego, co wiem, to nie. Ponoć ich główna armia wróciła do dżungli. Gdzieś tam, głównie na północy, grasują jeszcze małe oddziały, zbyt małe, by atakować osady. Zresztą, nie bardzo jest już co atakować. — Uspokajacz ugryzł się w język. — Nie wiem, czy powiniensem mówić więcej.

Spojrzał na Iryka, a potem szybko zerknął na Victorię, dając mu do zrozumienia, o co chodzi.

— Mów! — krzyknęła swym piskliwym głosem dziewczynka, która zauważyła jego gest.

— Proszę być szczerym — poparł ją Iryk. — Staramy się odnaleźć rodziców Victori i zamierzamy udać się do jej rodzinnej wioski. Musimy wiedzieć, co nam grozi po drodze.

— Cóż, skoro tak, to będę szczerzy. Południowe Krańce właściwie przestały istnieć. Pierwotni przetoczyli się przez cały kraj. Nie zdobyli jedynie kilku największych miast. Oprócz Fogeestaat ocalały Peachsout, Dimndal i Acepeast, gdzie ukrył się ten przeklęty Eutan Tou, tfu. Niech sczeźnie gadzina, tfu. — Uspokajacz znów się zagalopował i w obecności pochodzącej z Krańców Victorii obraził duchowego przywódcę jej ludu.

— Dlaczego tak mówisz o naszym Wspaniałym i Mądrym Ojcu? — oburzyła się dziewczynka.

— Bo wasze nieszczęście to w dużej mierze jego zasługa.

Jako, że nie dało się cofnąć wypowiedzianych słów, uspokajacz postanowił bronić swoich poglądów.

— Wprowadził niewolnictwo, a teraz niewolnicy się na was zemściili. To oni pomagali Pierwotnym wyłapywać swoich panów i sabotowali od wewnątrz osady, które zdecydowały się bronić. Bez nich Pierwotni nie byliby w stanie tak szybko przetoczyć się przez wasz kraj i ocalałoby znacznie więcej ludzi. A tak, według naszych szacunków, udało im się pojmać lub zabić dwie trzecie mieszkańców Krańców. Wolnych mieszkańców. Co zastanawiające, Pierwotni docenili pomoc niewolników i pozwolili im przejąć władzę ich dotychczasowych panów. Chociaż jakaś sprawiedliwość wynikła z tego całego szaleństwa.

— Niewdzięczne, bezczelne gnidy. Mój tatko zawsze mówił, że nie wolno im ufać. Mam nadzieję, że wszystkich dopadnie zaraza i pomrą w męczarniach.

Słowa Victorii zszokowały wszystkich, lecz najbardziej Iryka. Młody mnich czuł, że powinien ją upomnieć. Zabrakło mu do tego odwagi i odpowiednich słów. *A jeszcze dwa miesiące temu myślałem o zostaniu mentorem.*

— Żadne dziecko nie powinno doświadczyć tego, co cię spotkało, i rozumiem twój gniew. Mam jednak nadzieję, że kiedy dorosniesz, spojrzyz na sprawę z szerszej perspektywy i będziesz wstydzić się swoich słów. — Uspokajacz okazał się być lepszym nauczycielem. — Co do waszych zamiarów, to powiem wprost. Jest mała szansa na to, byście odnaleźli rodziców Victorii w ich wiosce. Jeśli udało się im uciec, co też jest mało prawdopodobne, powinniście szukać w ocalałych miastach. To wszystko, co mogę wam doradzić.

— Tak zrobimy. Odwiedzimy wszystkie miasta i ich znajdziemy — postanowiła naburmuszona Victoria.

Była zła na uspokajacza za jego słowa o Eutanie i jednocześnie przybita jego oceną szans na powodzenie ich misji. Nie miała ochoty na dalszą rozmowę. Wstała od stołu i wyszła z namiotu bez słowa pożegnania.

— Przepraszam za jej zachowanie. Staram się nad nią pracować, ale nienajlepiej mi to wychodzi. Chyba kiepski ze mnie mnich. — Iryk był prawdziwie zażenowany. Bardziej niż zachowania Victorii, wstydził się swojej bezradności.

— Góra do góry.

Szalonemu obce było uczucie zażenowania. Poza tym nienawidził nudy, a czekające ich wyzwanie stawało się coraz bardziej interesujące.

— Jak dalej będzie psioczyła na niewolników, to przykujemy ją do wioseł na kilka tygodni i zmieni poglądy — zażartował.

— Przecież nasz statek nie ma wioseł? — Poczucie humoru Iryka nie było nazbyt rozwinięte.

— No tak, zapomniałem. — Kapitan powstrzymał się przed kolejnym dowcipem. Nie chciał naigrawać się z i tak przybitego już mnicha. — Chyba powinniśmy już iść, nim mała nam gdzieś ucieknie. Powodzenia, panie uspokajaczu. Nie daj się gryzpiórkom i starym trepom. Ahoj.

— Dzięki. — Damman odprowadził ich do wyjścia z namiotu. — Ahoj, pokój i harmonia.

Pożegnał każdego we właściwy mu sposób, po czym przypomniał sobie o jeszcze jednej rzeczy.

— Nie zapomnijcie się przebrać przed zejściem na ląd w kolejnym porcie.

Ich kolejnym portem było Peachsout, położone najbliżej dawnego domu Victorii ocalałe miasto Bufora Bestii. Dziewczynka uparła się, by najpierw odwiedzić rodzinne strony, uznając, że właśnie tam będą mieli największe szanse na odnalezienie jej rodziców. Kapitan Szalonego Statku Głupców nie oponował. Wprawdzie po drodze mijali Dimndal, któremu również udało się uchować przed wojenną zawieruchą, lecz było ono położone w głębi lądu, więc i tak nie mogli dotrzeć doń statkiem. Wspólnie postanowili, że jeśli poszukiwania w innych miastach nie przyniosą sukcesu, odwiedzą Dimndal w drodze powrotnej do Morsstand.

Żegluga wzdłuż wybrzeży Południowych Krańców nie szła najsprawniej. Bryza była tu znacznie słabsza niż po zachodniej stronie Górz Podziału, a jej zasięg mniejszy. Mimo to nie śmieli na nią narzekać. Gdyby nie ona, w ogóle nie byłaby w stanie płynąć. O tych porach dnia, gdy temperatury morza i lądu się zrównywały, panowała flauta i nawet najlepszy podmuch wiatru nie łaskotał kolorowych żagli karaki.

Z czasem Victoria całkowicie wyleczyła się z choroby morskiej. Jej nową ulubioną rozrywką, i pierwszą, odkąd musiała uciec z domu, było wspinanie się po ożaglowaniu i przesiadywanie w bocianim gnieździe. Spędzała w nim długie godziny, wypatrując przystani w Peachsout. Była bardzo podniecona i pełna nadziei, toteż czas płynął jej szybko. Udało się jej wyrzucić z pamięci pesymistyczne słowa uspokajacza i tylko czasami jej dobry humor był podkopywany przez widoki spalonych, nadmorskich osad.

Mnich nie podzielał jej pozytywnego nastroju. Dręczyło go coraz więcej ponurych myśli. Obawiał się tego, co zastaną w wiosce dziewczynki, jej rozczarowania i kolejnych wybryków. Lekał się spotkania z mieszkańcami Peachsout i własnej reakcji na targi ludźmi. Bał się Pierwotnych,

zbuntowanych niewolników oraz dzikich bestii. Próbował walczyć z niepokojem przy pomocy medytacji, lecz odnajdywanie ścieżki harmonii przychodziło mu coraz trudniej. Przeszkadzało mu kołysanie fal, głośne i rubaszne zachowanie marynarzy oraz skrzypienie kadłuba, przez które nie mógł pozbyć się myśli, że statek zaraz się rozpadnie i wszyscy się potopią.

Pewnego wieczora, kiedy morze było wyjątkowo spokojne, a większość załogi poszła spać, po raz pierwszy od długiego czasu miał nadzieję, że uda mu się wyciszyć. Siedział na dziobie, wpatrując się w bezkres oceanu, gdy nagle, nie więcej niż pięćdziesiąt stóp od karaki, z wody wyskoczyły pokaźnych rozmiarów wieloryby z płetwą ogonową zakońzoną groźnie wyglądającymi, kostnymi szpikulcami. Zwierze wywołało tak duży rozbryzg wody, że Iryka omal nie zmyło z pokładu. Od tego wydarzenia mnich całkowicie zaprzestał medytacji.

Na statku, jak to na statku, nie było zbyt wiele ciekawego do roboty. Zarówno mnich, jak i dziewczynka, pomagali marynarzom w ich obowiązkach. Usuwali solny osad z pokładu i masztów, przygotowywali posiłki, w czasie flauty łowili ryby. Pierwszy oficer uczył ich nawigacji, a bosman pokazywał, jak obchodzić się z żaglami, by wykonać konkretny manewr. Początkowo wszystko to wydawało się im zajmujące lub chociaż przyjemne oraz, co na morzu najważniejsze, pozwalało zabić czas, lecz stopniowo stawało się coraz bardziej nużące. Jedynie wieczorne spotkania z Szalonem, podczas których wysłuchiwały opowieści o jego niesłychanych przygodach, zawsze gwarantowały dobrze spędzony czas.

Tym razem kapitan miał kontynuować historię o swoim największym dotychczasowym osiągnięciu, jakim było opłynięcie Miliphen dookoła. Iryk i Victoria siedzieli na środku obszernej, kapitańskiej kajuty, zaś Szalony stał pod ścianą, na której wymalowano sceny dotyczące wspomnianej historii.

— No dobrze, to gdzie jesteśmy wczoraj zakończyli? — zapytał Szalony, mimo iż pamiętał doskonale.

— Opuściliście port w Daying i pożeglowaliście do Sinmow — przypomniała podniecona Victoria.

— No tak, rzeczywiście. — Kapitan uwielbiał widzieć ją w takim nastroju i słuchać jej piskliwego głosu. — Pożeglialiśmy do Sinmow, choć nie tak od razu. Najpierw musieliśmy zatrzymać się na południowy-zachód, by ominąć niebezpieczne, naszpikowane skałami wody na północ od półwyspu Trzech Latarni. Nie wiem, czy wiecie, że półwysep ten jest wysunięty najdalej na zachód częścią kontynentalnego Lotherbemm.

— Teraz już wiemy. — Victoria się uśmiechnęła.

Iryk znowu poczuł się zazdrosty, a zaraz potem zły, z powodu tej zazdrości. Wiedział, że Szalony nie próbuje z nim rywalizować o zaufanie dziewczynki. Był po prostu sobą i starał się uprzyjemnić im wieczór.

— Musieliszy oddalić się na ponad trzysta mil od brzegu, nim wreszcie mogliśmy obrać kurs na północ — kontynuował wilk morski. — Mimo iż wiatr był sprzyjający i nasze żagle nie miały ani chwili odpoczynku, dopiero po dwóch tygodniach znów ujrzeliszy ląd. A właściwie to góry, bo wzdłuż całego zachodniego brzegu Sinmow ciągnie się łańcuch gór niemal tak wysokich, jak Góry Podziału.

Ręką wskazał fragment obrazu, na którym strzeliste szczyty wyrastały prosto z wody.

— Od tego momentu trzymaliśmy się brzegu. Rankiem następnego dnia, choć jak okiem sięgnąć niebo było bezchmurne, dostrzegliśmy tęczę, której jeden koniec wyrastał z podnóża gór. Podpłynęliśmy bliżej i ujrzeliszy wodospad o tak ogromnej wysokości, że aż ciężko było ją oszacować. Musiało mieć co najmniej tysiąc stóp i założę się, że wyższego nie ma w całym Miliphen. Jako że na morzu należy wykorzystywać każdą okazję do uzupełniania zapasów słodkiej wody, wyciągnęliśmy na pokład puste beczki, zamknęliśmy włazy i ustawiśmy łajbę pod samym wodospadem. No i każdy wziął porządną kąpiel.

Szalony uśmiechnął się szeroko, po czym przesunął się do kolejnego malowidła.

— To był dobry dzień, lecz już wkrótce trafił się jeszcze lepszy. Jak być może słyszeliście, Sinmow słynie ze swoich kopalni klejnotów. Mają ich tak wiele, że niektóre muszą zamykać. W przeciwnym wypadku rynek zostały zalany błyskotkami, ich cena by spadła, a Sinmow traciłoby na handlu z Lotherebem. Dlatego działają tylko te kopalnie, których eksploatacja jest najłatwiejsza, natomiast pozostałe są porzucane. Właśnie na jedną z takich nieczynnych kopalni natrafiłyśmy jakiś tydzień żeglugi od wodospadu.

— Jak ją znaleźliście? — zapytała Victoria, której oczy same świeciły się jak klejnoty.

— Na zachodzie Sinmow nie ma żadnych portów czy choćby małeńskich przystani, tamtejsze góry są po prostu zbyt niedostępne. Dlatego, gdy dostrzegliśmy sporawy, rozlatując się pomošt, ciekawość nie pozwoliła nam go zignorować. Zrzuciliśmy kotwicę, spuściliśmy szalupę i udaliśmy się na brzeg. Zaczęliśmy rozglądać się po niewielkiej plaży, aż wreszcie ktoś odnalazł zarośnięte wejście do kopalni. Przygotowaliśmy pochodnie i weszliśmy do środka. Podziemne chodniki wiodły daleko w głąb góry, strop podpierały nadpróchniałe stemple i ze strachu aż spoczął mi się kark, lecz parliśmy naprzód. Po pewnym czasie natrafiłyśmy na pierwszy klejnot. Częściowo zagrzebany w ścianie, mienił się karmazynowym blaskiem.

— Rubin — stwierdził Iryk.

— Tak jest. Jeden niewielki rubin wywołał triumfalne uściski i okrzyki radości. Wyobraźcie więc sobie, co działało się później, gdy znaleźliśmy setki takich samych lub większych. Chłopcy popadli w taki szal szukania, dławiali w ścianach tak zawzięcie, że w końcu zarządziłem powrót. Bałem się, by kopalnia nie zawaliła się nam na głowy. Była to jedna z nielicznych sytuacji, kiedy nie miałem pewności, czy moi ludzie mnie posłuchają, ale posłuchali. Z kieszeniami wypełnionymi rubinami wróciliśmy na statek, gdzie rozdzieliłem klejnoty równo pomiędzy wszystkich członków

załogi i wznowiliśmy nasz rejs. Nigdy nie udało nam się dowiedzieć, kto wybudował kopalnię, nie mam też bladego pojęcia, skąd wiedział, że natrafi tam na klejnoty. W każdym razie uczynił nas zamożnymi ludźmi.

— Fajnie, też bym tak chciała — rozmarzyła się Victoria.

Opowieść Szalonego pozwoliła jej zapomnieć o problemach.

— Kupiłabym sobie pałac i tuzin niewolników.

Iryk miał już zamiar skomentować jej pomysł o kupnie niewolników, kiedy kapitan podszedł do następnego malunku i wznowił historię.

— Do tego momentu było fajnie, nawet bardzo. Niestety, wszystko, co dobre, szybko się kończy. Cały czas płynęliśmy na północ, toteż z każdym dniem robiło się zimniej. Postanowiliśmy sypiać w jednym pomieszczeniu, by było chociaż trochę cieplej. Słodkiej wody nam nie brakowało, zwłaszcza kiedy zaczeliśmy napotykać dryfujące kawały kry, lecz żywności mieliśmy coraz mniej. Nie byliśmy w stanie złapać żadnej ryby, choć musiały tam być, bo morskie ptaki wciąż krążyły nad statkiem. Widzieliśmy też wieloryby tak ogromne i dziwaczne, że nigdy nie uwierzyłbym w ich istnienie, gdyby ktoś mi o nich opowiedział.

— Były za duże, by na nie zapolować?

— Zdecydowanie za duże. Spójrz tutaj.

Szalony zwrócił się do Victorii i pokazał jej obraz wieloryba przepływającego pod karaką. Zwierzę było dwa razy dłuższe od statku.

— Widzisz, jaki olbrzym? Roztrzaskałby łajbę z taką łatwością, z jaką ty rozgniatasz karaluchy w naszej ładowni. — Kapitan oparł gołą stopę na pięcie i pokręcił nią na boki. — Wracając do opowieści: zapasy się kurczyły, trzęśliśmy się z zimna i zaczeliśmy chorować. Mimo wszystko nie straciliśmy ducha, bo wiatr był silny i podróżowaliśmy szybko. W końcu zamiast na północ, brzeg powiodł nas na wschód. Poczuliśmy, że najgorsze już za nami. Niedługo potem góry zostały wyparte przez wzgórza, a wzgórza przez śnieżne równiny. Wtedy po raz pierwszy zobaczyliśmy białe niedźwiedzie. Miśki polowały na foki, więc i my poszliśmy za ich przykładem. Z wykorzystaniem balisty było to całkiem łatwe. Chociaż foki były obrzydliwe w smaku, żywiliśmy się nimi przez kolejny miesiąc.

Nagle Szalony westchnął ciężko i postąpił kolejny krok wzdłuż ściany.

— Krajobraz znów się zmienił. Nadal było biało, ale spod śniegu wystawały kępki trawy, tudzież karłowate krzaki. Gdzie jest roślinność, tam musi być też zwierzyna, więc poleciłem chłopcom zejść na ląd, by spróbowali upolować coś smaczniejszego od foki. Była to moja najgorsza decyzja podczas tego rejsu.

Do tej pory ani Iryk, ani Victoria nie widzieli kapitana tak poważnego. Z jego twarzy zniknął zdawałoby się przylepiony na stałe uśmiech, zaś w oczach, zamiast szaleństwa, dojrzały smutek.

— Zostałem na burcie, razem z innymi chorymi. Opuściliśmy szalupy i z mostka obserwowaliśmy, jak przybijają do brzegu. Dwie osoby zostały przy łodziach, reszta wspięła się na wzgórze i zniknęła nam z oczu. Nie minęło więcej jak dwie minuty, gdy usłyszeliśmy podniesione głosy, które po chwili przerodziły się w krzyki paniki. Cały w nerwach, sięgnąłem po lunetę i wycelowałem ją na wzgórze. Zaraz potem na szczycie pojawiły się pierwsi chłopcy. Pędzili na złamanie karku, po drodze porzucając wszystko, co mogłoby ich spowolnić. Broń, bukłaki z wodą, wszystko. Zrozumiałem, że ktoś musi ich gonić, więc wraz z dwójką marynarzy podbiegliśmy do burtowej balisty i zaczęliśmy ładować. Nim skończyliśmy, na wzgórzu wdrapał się ostatni z naszych, drugi oficer, Hombo Hajnn. Tuż za nim biegło to.

Szalony odsłonił malunek bestii, który do tej pory celowo zasłaniał plecami. Ze wszystkich zwierząt najbardziej przypominała niedźwiedzia, lecz miast na czterech, poruszała się tylko na tylnych łapach, zaś przednie, uzbrojone w potężne szpony, trzymała wyciągnięte przed sobą. Miała nieproporcjonalnie duży pysk i szarą sierść.

— Behemot. Najstraszliwszy potwór lądowy Miliphen. Biały niedźwiedź, największy ze wszystkich niedźwiedzi, wygląda przy nim jak szczeniak. Zresztą sami możecie je sobie porównać na ścianie. Starałem się zachować odpowiednie proporcje między nimi.

— W zakonie mieliśmy wykłady o zwierzętach zamieszujących Miliphen, ale nigdy nie słyszałem o takim stworzeniu — przyznał się Iryk.

— Prawie wszystkie wybito dawno temu. Przetrwały tylko na mroźnej północy Sinmow, z dala od ludzkich osad.

— Nie przerywaj opowieści — ofuknęła mnicha niecierpliwa Victoria.

— Przepraszam.

— Kapitanie, kontynuuj, proszę.

Mnich spodziewał się, jaki będzie finał historii, a mimo to, ku własnemu zaskoczeniu, również chciał wysuchać jej do końca.

— Przed zejściem na ląd Hombo wypił dużo rumu. Wszyscy piliśmy sporo, na rozgrzanie i poprawę humoru, jednak Hombo pił więcej od innych. Mówiłem mu nawet, by został na burcie, ale uparł się, że wyprawę musi poprowadzić oficer, a ponieważ ja i Pierwszy Głupiec byliśmy chorzy, więc musi to być on.

Kapitan przerwał na moment.

— Może niepotrzebnie o tym wspominam. Ostatecznie to nie alkohol pogräżył Hombo, lecz jego charakter. Bestia była szybsza od ludzi. Nie zatrzymywały jej śnieżne zaspy, które pokonywała niczym pług. Musiała kogoś dopaść i Hombo o tym wiedział. Postanowił się poświęcić, bo taki jest obowiązek najstarszego stopniem. Zaczekał aż wszyscy go wyprzedzą, skupiając na sobie uwagę bestii, po czym pobiegł w poprzek wzgórza, zamiast w dół, tak jak reszta. Miał tylko jedną szansę, by przeżyć. Tą szansą byłem ja.

Po raz pierwszy tego wieczora kapitan pociągnął z piersówkii.

— Balista była już załadowana. Wycelowałem. Strzeliłem. Chybiłem. Gdybym tylko miał taką balistę, jak wojsko w Fogeestaat, mógłbym oddać jeszcze jeden, może dwa strzały. Ale nie miałem. Nim zdążyliśmy załadować ponownie, po Hombo zostało tylko trochę krwi na śniegu. Bestia pożarła go w czterech kęsach. Nas wszystkich, przyglądającym się temu ze statku, sparaliżowało, niektórzy zaczęli płakać.

Szalony przez chwilę spoglądał na piersówkę, zamysłony. W końcu wziął kolejny łyk i schował ją za pazuchę.

— Hombo zginął, dopiąwszy swego. Potwór nie miał już kogo gonić. Wszyscy znaleźli się już w szalupach lub w lodowej wodzie, uciekając wплав, byle jak najdalej od lądu. Kilku z nich się przezebiło, ale wszyscy przeżyli. Wciągnęliśmy szalupy, potem kotwicę i rozwinięliśmy żagle, opuszczając to przeklęte miejsce.

— Nie zabiliście potwora? Nie chcieliście zemsty? — Do Victorii jakby nie docierało, że opowieść kapitana to nie zwykła, wymyślona bajka.

— Nie. Nikt o tym nie myślał. Co by nam to dało? Straciliśmy towarzysza, kolegę, przyjaciela. Od tamtej pory na Szalonym Statku Głupców nie ma drugiego oficera. Nikt nie byłby w stanie zastąpić Hombo. Najgorsze jest to, że nie zabiło go morze, lecz potwór, chory eksperyment szamanów Pierwotnych, którzy cztery wieki temu śnili o podboju Lotherbemm. Oczywiście wtedy nie wiedzieliśmy jeszcze, czym była ta bestia, powiedzieli nam o tym dopiero mieszkańców wielorybniczej osady, do której dotarliśmy dwa tygodnie później. Do tego czasu nie odważyliśmy się więcej schodzić na ląd. O tym, co wydarzyło się w osadzie, opowiem wam innym razem.

Na twarz kapitana powrócił uśmiech szaleńca. Zakończenie opowieści o tragicznie zmarłym przyjacielu przyniosło mu zauważalną ulgę.

— Jest jeszcze wcześnie. Opowiedz nam teraz, proszę. — Victoria wbiła w niego błagalne spojrzenie.

— Nie kończmy wieczoru tak smutnym akcentem — poparł ją Iryk. — No, chyba że w osadzie też wydarzyło się coś złego.

— No dobrze, skoro nalegacie. — Kapitan przyjaźnie poczochrał włosy dziewczynki wpatrzonej w niego jak w obrazek. — Czy wydarzyło się coś złego? Chyba nie. Właściwie to nie wiadomo, bo na dobrą sprawę ta historia nie ma jeszcze zakończenia. I co więcej, wpłynęła na mnie bardziej niż śmierć Hombo, chociaż nie powiniennem się do tego przyznawać. Ale to prawda. To, czego dowiedzieliśmy się od wielorybników, odmieniło całą załogę. Dodało nam sił, ale przede wszystkim nauczyło pokory.

Szalony podszedł do malunku przedstawiającego kilka kamiennych chat otoczonych drewnianą palisadą. Za obwarowaniem, na pokrytej krzątką wodzie, dryfował wielorybniczy kuter.

— Mieszkańcy wioski okazali się bardzo przyjaźni. Przyjęli nas jak dawno nie widzianych krewniaków. Ugościli wszystkim, co mieli, nie żądając w zamian zapłaty. Niemalże siłą musiałem im wręczyć kilka rubinów, które dla nich i tak nie miały specjalnej wartości. Ale mniejsza z tym. — Machnął ręką, po czym poprawił blond loki, zagarniając je z powrotem za uszy. — Kilku z nas, w tym i ja, znaliśmy lotherbemmski, a jako że język mieszkańców Sinmow jest praktycznie identyczny, mogliśmy się swobodnie porozumieć. Opowiedzieliśmy, kim jesteśmy, skąd płyniemy i dokąd zmierzamy. Wioska wielorybników leżała mniej więcej w połowie trasy naszego rejsu, ale wszyscy czuliśmy, że najgorsze mamy już za sobą. Byliśmy pewni sukcesu i nie ukrywaliśmy swojej dumy. Wiedzieliśmy, że przed nami były inne wyprawy, które opłynęły Miliphen, lecz ostatnia z nich odbyła się ponad sto lat temu, dlatego wydawało się nam, iż robimy coś wyjątkowego, wielkiego. Wielorybnicy również tak uważały, klepali nas po plecach, gratulowali i w ogóle. Alkohol pomógł nam na chwilę zapomnieć o Hombo i wszyscy się świetnie bawiliśmy. Do czasu. Do czasu, aż jeden z osadników nie wspomniał o Alu Lumdonie. Słyszeliście może o nim?

Iryk i Victoria pokręcili przecząco głowami.

— No właśnie. Prawie nikt o nim nie słyszał, w takim to dziwnym świecie żyjemy. Według osadnika, którego słowa potem poparła cała reszta, Al Lumdon odwiedził ich wioskę trzy lata wcześniej, również podczas rejsu dookoła Miliphen, a przed rokiem zrobił to ponownie, tym razem płynąc w przeciwnym kierunku.

— Więc był dwa razy lepszy od was — powiedział Victoria.

— Nie chodzi o to. Zgadnijcie, ile osób liczyła jego załoga?

— Tuzin! — strzeliła dziewczynka. — Połowę tego, co nasza.

Kapitan pokiwał głową na boki.

— Pół tuzina? — zapytał niepewnie Iryk.

— Nie. Lumdon nie miał załogi. Rozumiecie? Płynął sam. — Szalony mówił tak, jakby sam nadal nie był w stanie w to uwierzyć. — Sam na łódce nie dłużej niż dziesięć jardów. A na dodatek, gdyby tego było jeszcze mało, podczas rejsu w tym samym kierunku, co nasz, złamał mu się maszt i do osady wielorybników dopłynął, wiosłując. Ponoć wiosłował przez trzy miesiące, chociaż akurat tego nikt nie może potwierdzić. To wszystko wydało się nam tak nieprawdopodobne, iż kilku chłopców pomyślało, że wielorybnicy się z nas naigrajają. Wybuchła kłótnia i omal nie doszło do rękojrzynów. Na szczęście udało mi się wszystkich uspokoić i opuściliśmy osadę w pokoju oraz z zapasami żywności. Oczywiście dalej żaden z nas nie wierzył w osiągnięcie Lumdonia, lecz ludzie w kolejnych portach potwierdzali słowa wielorybników i w końcu musieliśmy się pogodzić z myślą, że gdzieś tam żyje facet, któremu nie jesteśmy godni szorować pokładu. Poprzysiągłem sobie, że kiedyś się z nim spotkam. Chcieliśmy to zrobić jeszcze w czasie tamtego rejsu, bo udało się nam ustalić, że Lumdon mieszka na wschodnim wybrzeżu Lotherebemm. Niestety, choć zatrzymaliśmy się w jego wsi na ponad miesiąc, nie zjawił się. Nikt

też nie wiedział, dokąd popłynął. Jedynie pewien barman powiedział nam, iż przed wypłynięciem Lumdon wspominał, że w końcu wybiera się w prawdziwy rejs, bo pływanie po Miliphen już mu się znudziło. W prawdziwy rejs.

Kapitan wypowiedział ostatnie słowa pod nosem, do samego siebie, po czym znów zwrócił się do słuchających.

— Jeśli samotne opłynięcie Miliphen, w obie strony, nie jest prawdziwym rejsem, to co nim jest? Zastanówcie się nad tym przed zaśnięciem. Może wy coś wymyślicie, bo ja głowię się nad tym od lat i dalej nie mam pojęcia, co Lumdon miał na myśli.

Szalony odwrócił się do nich plecami i wyjrzał przez bulaj, zamyślony.

— No, a teraz pora już spać. Dobranoc.

Interludium

Sal'welleree'din nie posiadał choćby dziesiątej części talentu Merist, jednak w końcu udało mu się zapanować nad bestią. Wzmocnione elizum wytworzone na bazie jego krwi pozwalało kontrolować ją na odległość mili. Rozpoczynając trans, wchodził w umysł zwierzęcia, postrzegał świat jego zmysłami i sterował nim jak marionetką. Początkowo wychodziło mu to niezdarnie, lecz po miesiącu żmudnych ćwiczeń doszedł do wprawy, którą uznał za satysfakcjonującą. Pozostała mu tylko jedna rzecz do zrobienia: wykonanie zbroi dla swego pupila.

Siedział w swoim prymitywnym, płatnerskim warsztacie, pochłonięty łączeniem tysięcy maleńkich elementów w największą kolczugę świata. Dlonie miał obolałe, pokryte grubymi odciskami od setek godzin pracy z obcęgami i szczyciami. Na jego szczęście Merist przydzieliła mu trzech pomocników. Jeden z nich pomagał mu w łączeniu, a dwóch pozostałych nawijało, rozciągało i cięto stalowy drut na kółka o średnicy cala, pilnując, by nie zabrakło mu roboty. Pracowali prawie codziennie od dwóch miesięcy i zbliżali się już do końca.

— Witajcie chłopcy. Jak tam postępy? — Biała Pani przyniosła im dzban herbaty i ciastka z ich własnej piekarni. Ostatnio chodziła rozpromieniona, gdyż jej plany w końcu zaczynały się ziszczać i przynosić efekty.

Sal wziął do ręki ciastko i przyjrzał mu się uważnie.
— Są czyste, głuptasie. Jeszcze nie hora na Fellan.
— Jak uważasz — odparł i ugryzł smakołyk.
— Powinniśmy skończyć w przyszłym tygodniu — powiedział, wskazując wielki fragment kolczugi zawieszony na drewnianym stelażu.

Merist podeszła do zbroi i z wysiłkiem dźwignęła jej krawędź. Gdy ją puściła, przyjemny, metaliczny dźwięk wypełnił pomieszczenie.

— Ile będzie ważyć?
— Siedemnaście, może osiemnaście kamieni.
— Czy to nie za dużo?
— Nie. Jeśli mogę na nim jeździć jak na koniu, to kolczuga również nie powinna stanowić problemu — zapewniał Sal. — Wciąż mam jednak wątpliwości, czy to wszystko jest dobrym pomysłem.
— Przecież pomysł był twój — zauważyła Merist.
— Kazałaś mi coś wymyślić, więc wymyśliłam. Nie chodzi mi o środki, lecz o sam cel. Nie jestem pewien, czy to zamieszanie, które chcemy wywołać, wyjdzie nam na dobre. Jeśli jedna lub druga strona we wszystkim się połapie, będziemy mieli poważne problemy.

— Jeśli wykonasz wszystko zgodnie z planem, nie ma takiej możliwości, by ktokolwiek się połapał. Po zażyciu elizium jest niewykrywalne — uspakajała go Merist. Była przekonana o swoim geniuszu i powodzeniu całej misji. — A nawet jeśli coś pójdzie nie tak, będą mieli za mało czasu, by nas powstrzymać.

— A potem zjawi się twój brat, by zgarnąć laury.

— Czyżbym słyszała zazdrość w twoim głosie? — zaśmiała się. — Nie da się ukryć, że mój brat przewyższa cię pod wieloma względami, ale w niektórych obowiązkach nigdy cię nie zastąpi.

Podwinęła delikatnie suknię, odstaniając przy tym zgrabną tydkę i zachichotała ponownie.

Pomocnicy Sala, którzy do tej pory cicho popijali herbatę i zajadali ciastka, zaczęli śmiać się pod nosem w lekkim zażenowaniu.

— No dobrze, już was dłużej nie rozpraszam. Wracam na górę. Do zobaczenia wieczorem — pożegnała się i ruszyła ku drzwiom.

— Do zobaczenia, pani — zawała chorem dwóch pomocników.

— I dzięki za ciastka — dodał trzeci.

Sal nie powiedział nic.

Rozdział dwunasty – Ciężki powrót do rzeczywistości

Szósty dzień ósmego obiegu Bliźniaków. 232 dzień roku. Siedziba Arad úš. Wieczór.

Na Wyspie Zabójców panowała nerwowa atmosfera. Tego wieczora miało odbyć się kolejne Zgromadzenie, lecz mimo późnej pory, wciąż czekano na dwóch członków.

Pierwszy z nich, Ray Laschberr, wybrał się do Welfare przed czterema dniami. Ostatnimi czasami często bywał w stolicy Północy. Do tej pory nikogo specjalnie to nie dziwiło, gdyż większość zabójców regularnie odwiedzała pobliskie wsie i miasta, by napić się dobrego piwa, pochędzić lub sprawdzić, jak wiedzie się ich bękartom. Jednak bezzasadne opuszczenie Zgromadzenia było poważnym naruszeniem kodeksu Gildii i wszyscy zdawali sobie sprawę z tego, że ktoś tak doświadczony i oddany Służbie Krwi, jak Ray, nie dopuściłby się podobnego wystąpienia.

Drugi z nieobecnych, Nomac Corseen, udał się do najbliższej kapliczki krwi sprawdzić, czy nie ma nowych zleceń. Wyruszył z samego rana, toteż, nawet jeśli by się ociągał, powinien wrócić kilka godzin temu.

Brakowało także Treya i Jarmissa, lecz ci korzystali z przysługujących im czteromiesięcznych wakacji i mieli jeszcze dwa dni na powrót. Na Wyspie przebywało więc jedynie dwunastu Arad úš. Choć nie istniał żaden przepis stanowiący, ilu członków Gildii potrzeba, aby przeprowadzić Zgromadzenie, czekali.

Zbliżała się północ i najstarsi zabójcy zaczęli już przysypiać. Gdy nagle rozległo się donośne chrapanie Liddo Debyiego, Roni Senbaj uznał, że ma dość. Kilkukrotnie walnął pięścią w stół, by obudzić wszystkich śpiących.

— Dosyć już tego czekania. Gówno mnie obchodzi, co zatrzymało Raya i Nomaca. Od naszej wojny z Inkwizycją żadne Zgromadzenie nie zostało odłożone i również dzisiaj tak się nie stanie.

— Ted — zwrócił się do najstarszego z towarzyszy. — Zaczynaj.

Minęła dłuższa chwila, nim wyrwany ze snu starzec zrozumiał, o co jest proszony.

— Zaczynać, ach tak. Czyli są już wszyscy, tak? — Rozejrzał się po izbie i nie dostrzegł dwójkę nieobecnych. — No ale przecież nie ma Raya i Nomaca — ni to zapytał, ni to stwierdził.

Roni chwycił się za głowę, z trudem opanowując gniew.

— Wiem, że ich nie ma. Może zjadły ich wilki albo utopili się w jeziorze. Zaczynamy bez nich i tyle.

— Hmm, no cóż. Dla formalności zapytam: Czy ktoś jest przeciwny temu, abyśmy zaczęli? Nikt się nie odezwał.

— W porządku. Zi Dingir Mitu Kanpa! — zawała Ted.

— Zi Dingir Mitu Kanpa! — odpowiedział mu niemrawy chór zmęczonych i bełkotliwych od alkoholu głosów.

— Zwyczajowo zaczynamy od relacji z naszych pozostałych placówek. Sarwat, Waldo, oddaję wam głos.

— Uszkodzeniu uległa nasza kapliczka nieopodal Rodawnzaru — poinformował zebranych Sarwat. — Wszystkiemu winny jest pożar, a właściwie to susza, która się do niego przyczyniła.

— Gdy mnie suszy, to też czuję, jakbym płonął od środka. — Silmer nie byłby sobą, gdyby nie wykorzystał okazji do rzucenia alkoholowym żartem.

— Rozumiem, że jeszcze jej nie naprawiliście — dopytywał się Ted.

— Pionowa płyta pękła na pół, podobnie jak kielich. Byliśmy u kamieniarza i mamy już nowe, wyryłem też napis i zamontowałem ostrze w kielichu. Niestety, płyta jest zbyt ciężka. We dwójkę nie damy sobie rady z jej montażem, a na wszelki wypadek nie chcemy zatrudniać nikogo z zewnątrz. Szkoda, że nie ma Jarmisa. Myślę, że jego pomoc by wystarczyła.

— Jaśnie książę wróci z urlopu za kilka dni, ale pewnie nie będzie mu się chciało od razu wyruszać w dalsze wojaże — drwił Roni. — Młody również ma dużo siły. Pomoże wam, a przy okazji dowie się, gdzie znajduje się wasza kryjówka.

Dew nie miał nic przeciwko chwili odpoczynku od szkolenia, które wciąż przechodził, więc skinął głową na znak, że się zgadza.

— W porządku — powiedział zadowolony Sarwat. — Z mojej strony to wszystko.

Waldo nie miał nic interesującego do przekazania, więc przystąpiono do kolejnego punku Zgromadzenia, a mianowicie odczytywania zleceń. Po raz kolejny okazało się, że żądza mordu najsilniejsza jest w stolicy, gdyż tylko Waldo przyniósł zakrwawiony skrawek materiału. Do rytuału przystąpił wciąż uczący się magii krwi Dew oraz Growar Teres, który miał wychwycić wszystkie informacje, które mogłyby umknąć młodemu zabójcy.

Przelała się krew, zapłonął zaklęty materiał i dwójka Arad úš zapadła w trans. Świadomość jako pierwszy odzyskał bardziej doświadczony z nich. Trzeźwiejsi spośród zgromadzonych od razu zorientowali się, że coś jest nie tak. Growar zdawał się nie rozumieć tego, czego właśnie doświadczył.

— O co chodzi? — zapytał wciąż zdenerwowany Roni. — Zobaczyłeś ducha?

— Lepiej. Mamy zlecenie od Rossy Scord. Królewny Rossy Scord.

Silmer opluł się winem.

— Jaja sobie robisz? — nie wierzył Roni.

— Czekaj. To jeszcze nic. Dziewucha uzależniła się od jakichś nowych prochów, a zlecenie jest na ich sprzedawcę, niejakiego Ościenia, który każe jej płacić w naturze. Pojmujecie? Królewna daje dupy za narkotyki.

Zabójcy patrzyli po sobie, nie wierząc w to, co usłyszeli.

— Młody, potwierdzasz to wszystko? — zapytał Monty Anhiomi.

Dew skinął twierdząco głową.

— Co to, kurwa, ma być? Prowokacja? — Roni nie mógł dziś nad sobą zapanować. Stał oparty pięściami o stół i krzyczał. — Zerwanie obowiązującej od setek lat umowy? Akurat teraz, gdy jesteśmy tak słabi?

— Spokojnie, może to tylko nieporozumienie. — Ted nie był tak pochopny w osądach. — Czy wyczuliście, by królewą kierowały wrogie w stosunku do nas zamiary?

— Nie. Wygląda na to, że królewna popadła w tarapaty, a wstyd nie pozwala jej zwrócić się o pomoc do kogoś innego. Po prostu chce rozwiązać sprawę po cichu. Był może nie zdaje sobie sprawy z tego, iż nie wolno jej korzystać z naszych usług albo jej to nie obchodzi — tłumaczył Dew.

— Co za głupia kuciapa. I co my niby mamy teraz zrobić? Jeśli podejmiemy się zadania i coś pójdzie nie tak, wyjdzie na to, że to my złamaliśmy umowę — gorączkował się Roni.

— Przecież to ona zaczęła — zauważył Monty.

— I chuj z tego. Kto uwierzy w tę historyjkę o oprychu chędożącym królewnej? Przecież to jakiś absurd.

— No to nic nie róbmy i po problemie. — Zaskakując sensownie zaproponował Silmer.

— I przestań drzeć mordę, bo już mnie głowa boli — zwrócił się bezpośrednio do Roniego.

— Coś ty powiedział, kmiocie?

— Kundle, które żywiły się resztkami ze stołów moich sług, miały szlachetniejszą krew od ciebie, więc nie nazywaj mnie kmiotem.

Roniemu brakło słownictwa do zrewanżowania się adekwatną inwektywą. Rzucenie pospolitą obelgą jedynie potwierdziłoby słowa Silmera. Miał ochotę odciąć mu niewyparzony język. Nienawidził, gdy ktoś przejawiał wobec niego brak szacunku. Nienawidził też Silmera, którego uważały za bezwartościowego pijaka i gardził jego arystokratycznym pochodzeniem.

Wszyscy obecni wiedzieli, że Roni nie zwykł puszczać podobnych zniewag płazem i czekali na jego reakcję. Nim się doczekali, ciszę przerwał huk energicznie otwieranych drzwi wejściowych. Zabójcy odwrócili się w ich kierunku, a z panującej na zewnątrz ciemności wyłonił się Nomac. Ze zmęczenia ledwo trzymał się na nogach, a w rękach trzymał worek. Gdy wyłożył jego zawartość na stół, od razu zapomniano o niedokończonej kłótni oraz królewnej i jej problemach.

Siódmy dzień ósmego obiegu Bliźniaków. 233 dzień roku. Wyspa Zabójców. Popołudnie.

Jarmis przeciągnął swój pobyt na Wyspie Rozkoszy tak długo, że gdy w końcu Al wysadził go na przystani w Dolnym Szponie, pozostały mu tylko dwa tygodnie do końca urlopu. Wysunięty najdalej na południe półwysep Wschodniej Prowincji, z położoną na północnym zachodzie siedzibą zabójców, dzieliło ponad tysiąc mil, więc żeby nie naruszyć regulaminu Gildii, musiał

narzucić sobie wysokie tempo. Biegł dziesięć godzin dziennie, tyle samo spał, a pozostały czas przeznaczał na polowania i postoje w gospodach. Nie miał żadnych przygód po drodze, co było charakterystyczne dla jego powrotów z Milfgardu. Przez większą część roku dający się łatwo sprowokować, po odpoczynku na Wyspie Rozkoszy był zrelaksowany i przymykał oko na niegroźne zaczepki i ludzką głupotę.

Przybył do Velfare poprzedniego wieczora. Według własnych obliczeń miał jeszcze dwa dni, by wrócić na Wyspę, nie musiał się już więc spieszyć. Postanowił spędzić noc w swym ulubionym zamku kontynentalnej części Lotherebemm. Gdy wszedłszy do środka burdelu, ujrzał rude loki Nykho, od razu poczuł się kilka lat młodszy. Kupił butelkę księżycówki i zabrał dziewczynę na piętro. Miał ochotę na dłuższe igraszki, lecz po jednym zbliżeniu i opróżnieniu połowy flaszki, wyczerpanie dwoma tygodniami morderczego biegu w końcu dało o sobie znać i zasnął. Nykho pozwoliła mu spać aż do rana.

Dziewczyna postarała się, by pobudka była przyjemna. W końcu był jej najlepszym klientem. Zanim Jarmis wynagrodził jej zaangażowanie srebrem i w dobrym humorze opuścił przybytek, miał do niej jeszcze jedną prośbę. Chciał, by zgoliła mu brodę. Nykho nie miała żadnych obiekcji i szybko zabrała się do pracy.

Zabójca, którego wygląd był dość charakterystyczny, od czasu do czasu starał się choć trochę zmienić wizerunek. Nie mógł nic poradzić na swoje nienaturalne rozmiary i przerośnięte dłonie, pozostawało mu więc eksperymentowanie z fryzurą i zarostem. Tym razem zdecydował się całkowicie zgolić brodę i pozostawić tylko sumiaste wąsy.

Na targowisku przy wyjeździe z Velfare wypełnił sakwy żywnością, głównie wędzonymi wędlinami, orzechami i suszonymi owocami. Zakupił też worek mąki. Zabójcy wiedzieli, że należy urozmaicać dietę, dlatego oprócz uprawy warzyw, łowienia ryb i polowania na leśne zwierzęta, zaopatrywali się także w żywność z miasta. Obładowany niczym juczne zwierzę ruszył na zachód Północnym Gościńcem. Po dwóch godzinach powolnego marszu minął kapliczkę krwi i upewniwszy się, że nikt go nie obserwuje, wkroczył w Przeklęty Las.

Swą złowieszczą nazwę puszcza zawdzięczała Arad úš, choć ludzie nie mieli o tym pojęcia. Liczne zaginięcia i napady, które zdarzały się tu od ponad dwóch wieków, przypisywano rabusiom, natomiast straszliwe, sporządzone z ludzkich kości rzeźby miały być dziełem obłąkanych morderców lub duchów. Gildia pozostawała poza podejrzeniem, gdyż w powszechnym przekonaniu Lotherebemczyków elitarni zabójcy nie ruszyliby palcem, gdyby nikt nie zapłacił im za to złotem.

Mimo jego odstraszającej aury, która miała trzymać ludzi z dala od Wyspy Zabójców, nadal od czasu do czasu zdarzali się śmiałkowie pragnący eksplorować tajemniczy, Przeklęty Las.

Właśnie na takiego chwata natrafił Jarmis. Wyczuł go dużo wcześniej, niż usłyszał, usłyszał dużo szybciej, niż zobaczył. Jego obowiązkiem było ukaranie każdego napotkanego

poszukiwacza przygód i robił to już kilka razy, lecz nigdy ich nie mordował. Uważył, że dużo lepszy skutek odniesie solidne wystraszenie delikwenta, który potem będzie rozpowiadał o potworach żyjących w lesie wszystkim napotkanym osobom. No i z reguły miał przy tym niezły ubaw.

Odłożył spowalniające go tobołki i ukrył się za krzakami. Zaczął wyć jak wilk, potem ryczeć niczym niedźwiedź. Potrafił doskonale naśladować te dwa zwierzęta, które posłużyły do stworzenia Behemota, a moc jego głosu była przytłaczająca. Mężczyzna zwrócił się w kierunku, z którego dochodziły dźwięki, i zamarł. Był zbyt przerażony, by zorientować się, że słyszy dwa różne zwierzęta, w związku z czym coś musi być nie tak. Kiedy Jarmis zaczął ruszać krzakami oraz trząść drzewem tak mocno, że posypały się z niego szyszki, blady jak ściana człowiek stracił zimną krew i rzucił się do ucieczki.

Mimo wszystko Jarmis uznał go za opanowanego. Udało mu się nie napaskudzić w portki, co zdarzało się wielu ofiarom tego samego żartu. Rozbawiony zabójca pobierał swoje rzeczy i ruszył w dalszą drogę. Odszukał ukrytą w gęstwinie ścieżkę, która po sześciu mierzących godzinach doprowadziła go nad jezioro.

Banda leni i pijaków. Znowu nikt nie trzyma straży, pomyślał, wdrapując się na pomost. Na jednym z najwyższych drzew północnej części wyspy znajdował się starannie zamaskowany, drewniany domek, służący zabójcom do obserwowania jeziora. Przed laty ktoś zawsze pełnił w nim wartę, lecz ostatnimi czasy, z powodu kadrowych braków, robiono to coraz rzadziej.

— Czołem łachudry. Wrócił wasz dobrodziej — zawała, znalazły się wewnątrz głównego budynku, ale nikt mu nie odpowiedział. Izba była pusta.

Udał się do spiżarni, gdzie wypakował zakupioną żywność, po czym ułamał sobie spory kawał kiełbasy i nalał kubek cytrynowki. Przez cały urlop znieczuła się jedynie piwem i winem, dlatego miał olbrzymią ochotę na coś mocniejszego. Poza tym nikt nie robił takiej cytrynowki, jak Silmer.

Wrócił do głównej izby, aby spocząć w swym ulubionym fotelu. Minąwszy półsciankę oddzielającą pomieszczenie od kuchni, dostrzegł skrytego w kącie Silmera. Siedział na podłodze, w ręku miał w połowie pustą flaszkę bimbru. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie smutna mina przyjaciela. Silmer nigdy nie upijał się na smutno.

— Co tu jest, kurwa, grane? — zapytał zdezorientowany. — I co tak śmierdzi?

— Na ławie.

Jarmis uniósł brwi, zdziwiony tak zdawkową odpowiedzią, niemniej spojrzał na ławę i leżący na niej przedmiot przykryty płachtą materiału. Odstawił kubek z alkoholem, ugryzł kiełbasę i ściągnął tkaninę. Trupiosina głowa Raya spojrzała na niego mętnymi oczami. Z otwartych ust wystawał spuchnięty język.

Dew, który właśnie zszedł z piętra, przyglądał się Jarmisowi z drugiego końca pomieszczenia. Tymczasem tęgi zabójca przytrzymał kiełbasę zębami, jedną ręką chwycił odciętą

głową, a drugą ściągnął w dół zeszytniąłe powieki, wepchnął język do środka i zamknął martwe usta. Następnie dokładnie obwąchał głowę towarzysza, po czym ponownie przykrył makabryczny widok materiałem, napił się cytrynowki i zakąsił kiełbasą. Jego opanowanie oraz fakt, że był w stanie nadal jeść i pić, przyprawiły młodego zabójcę o zimny dreszcz.

— Gdzie reszta ciała?

— Nieopodal kapliczki, w lesie. Nomac obłożył ją kamieniami — odpowiedział mu Dew.

— Kamieniami, kurwa? — Powoli ogarniał go gniew. Gniew, jakiego już dawno nie doświadczył. — Młody, szykuj się do drogi. Jeśli dziki albo inne chujstwo dobrało się do zwłok, to zatłukę was wszystkich.

— Czekaliśmy na twój powrót. Starszyna chce się z tobą naradzić.

— Chuj mnie obchodzi starszyna. Wołaj Nomaca i idziemy po ciało. Będę na was czekał na pomoście — poinstruował Dew. — A ty masz wykopać grób, jak nas nie będzie — rozkazał Silmerowi i wyszedł na zewnątrz.

W szopie stanowiącej magazyn na rozmaite sprzęty znalazł odpowiedniej wielkości fragment płotna, w który zamierzał owinąć zwłoki kamrata, oraz kawałek sznura. Wepchnął przedmioty do sakwy i udał się na brzeg. Po chwili zjawili się Nomac i Dew.

Przeprawili się przez jezioro w milczeniu. Walczący z wściekłością Jarmis wyładowywał emocje na tafli jeziora i odsadził płynących razem w drugiej łódce towarzyszy o kilkaset jardów. Kiedy ci wreszcie dotarli na drugi brzeg, zaczął wypytywać ich o śmierć Raya. Dowiedział się, że zwłoki znalazł Nomac, kiedy sprawdzał, czy są nowe zlecenia. Głowa leżała na kapliczce krwi, reszta ciała nieopodal. Zszokowany zabójca zaciągnął truchło w las i naprzeciw obłożył je kamieniami, tworząc kurhan, natomiast głowę zabrał na Wyspę. Kiedy reszta zabójców dowiedziała się o morderstwie kompana, dyskutowali przez całą noc i ranek, usiłując ustalić, co robić. W końcu zmęczeni długim obradowaniem zabójcy opadli z sił i poszli spać około południa, dlatego Jarmisa przywitali jedynie Silmer i Dew.

— I nikt z was barany nie wpadł na to, że najpierw należy odpowiednio pochować Raya?
— gorączkował się Jarmis.

— Roni chciał wyruszyć po zwłoki od razu, ale reszta zdecydowała odłożyć to na wieczór
— tłumaczył się Nomac.

— Skurwiel, którego nie lubię najbardziej, jako jedyny chciał dobrze. Pięknych czasów doczekałem. — Odetchnął głęboko, zły. — Zwłaszcza po was dwóch spodziewałem się więcej.

Nie odpowiedzieli mu, bo nie było odpowiedzi na tak słuszny zarzut.

— Macie chociaż jakieś przypuszczenia, kto może za tym stać?

— Podejrzenie pada na koronę. Waldo przywiózł zlecenie ze stolicy, którego nadawcą jest królewna Rossy Scond. To złamanie naszej umowy i ewidentna prowokacja — relacjonował Nomac.

— To nie jest prowokacja. Królewna po prostu nie wiedziała, że nie może korzystać z naszych usług — polemizował z nim Dew.

— Ty odczytywałeś zlecenie? — Jarmis zapytał dryblasa.

— Tak.

— Więc tobie wierzę. Po drodze opowiesz mi szczegóły, a póki co, przyspieszmy kroku, bo niedługo zrobi się ciemno i będzie wam trudniej iść.

Mimo szybkiego tempa marszu dotarli na miejsce już po zmroku. Na szczęście Czarny Książę świecił mocno, umożliwiając nieobdarzonym zwierzętym zmysłami zabójcom działanie. Jarmis najpierw zbadał kapliczkę krwi w poszukiwaniu ewentualnych śladów pozostawionych przez mordercę. Bez efektów. Następnie cała trójka wzięła się za odkopywanie zwłok Raya. Jarmis był pełen uznania dla kurhanu usypanego przez Nomaca. Młody zabójca musiał napocić się co niemiara przy wydobywaniu masywnych otoczaków z nawierzchni gościńca. Jego praca nie poszła na marne, albowiem, choć ziemia dookoła kamiennego kopca była przeorana przez zwierzęta, ciało Raya pozostało nienaruszone.

Dew był przekonany, że po wydobyciu zwłok sporządzają jakieś nosze, którymi przetransportują je na wyspę, ale Jarmis miał inny plan. Owinął zwłoki w płótno, związał je sznurkiem i zarzucił sobie przez bark. Niósł w ten sposób martwego kolegę przez całą drogę powrotną do jeziora. Dopiero tutaj poprosił towarzyszy o pomoc w ułożeniu zwłok na dnie łódki. Gdy dotarli na Wyspę, zaczynało już świtać.

Skrzyknęli wszystkich członków Gildii i przystąpili do uroczystości pogrzebowych. Silmer wykopał grób tam, gdzie chowano wszystkich Arad úš, czyli w Sadzie Pamięci. Każdemu, kto wstępował w szeregi organizacji, przydzielano tu jedno drzewo. Na jego pniu poziomym nacięciem upamiętniano każdą osobę zbitą przez danego zabójcę podczas wykonywania zleceń. Gdy właściciel drzewa sam umierał, a jego ciało znajdywało się w posiadaniu towarzyszy, grzebano go w korzeniach. Arad úš byli równie praktyczni, co sentymentalni, i w Sadzie Pamięci dominowały długowieczne drzewa owocowe: wiśnie, grusze, jabłonie. Było też trochę drzew orzechowych. Zabójcom nieobcy był także czarny humor. Przetwory z owoców z danego drzewa nazywali imieniem jego właściciela.

— Ciekawe, jak będą smakowały konfitury z Raya — rzucił Silmer, gdy zakończono ceremonią.

Chciał rozвесelić przygnębionych kamratów, ale widocznie było na to za wcześnie, gdyż nikt się nie uśmiechnął.

Zapanowała niezręczna cisza. Dew zastanawiał się, czy Silmer zarumienił się ze wstydu, lecz ostatecznie doszedł do wniosku, że twarz ma czerwoną od wypitego alkoholu. W końcu milczenie przerwał Ted.

— Panowie, musimy wrócić do obrad. Nie wolno nam spocząć, dopóki nie ustalimy, kto stoi za tym morderstwem.

— To wy się naradzajcie, a ja będę działał. — Jarmis nie powstrzymał się od złośliwości.

— Po południu ruszam do Welfare odwiedzić Gildię Złodziei. Może oni będą coś wiedzieć. Teraz idę się zdrzemnąć, bo nie spałem ponad dobę — oznajmił i nie czekając na reakcję towarzyszy podszedł do jednego z pobliskich drzew.

Niewielka, stosunkowo młoda wiśnia była częściowo obumarła. Jej pień naznaczony był ponad setką nacięć, co prawdopodobnie powodowało powolną śmierć drzewka. Jarmis wyciągnął sztylet i wyżłobił nim kolejne cztery szramy, upamiętniając w ten sposób zbirów z bandy Pięknoustego. *Ciekawe, kto kogo przeżyje*, pomyślał i poklepał pień drzewa. Następnie schował ostrze i oddalił się w kierunku zabudowań.

— Nie możemy działać pochopnie. Trzeba wszystko przemyśleć — krzyknął za nim Ted, ale Jarmis miał gdzieś jego sugestie.

Większość zabójców, podobnie jak Jarmis, uważała, że trzeba działać, a nie gadać, jednak nie wiedzieli, od czego zacząć. Musieli więc posłuchać rady Teda i wznowić obrady. Pomilczeli jeszcze chwilę nad świeżym grobem, po czym zaczęli opuszczać Sad Pamięci.

Obudził się po czterech godzinach. Czuł się bardziej zmęczony, niż gdy kładł się spać, lecz nieopuszczający go gniew nie pozwalał mu zwlekać z zemstą. Przygotował się do drogi i zszedł na dół. Wyglądało na to, że zabójcy skończyli już debatować, jednak ich ustalenia nic go nie obchodziły. Wziął trochę prowiantu ze spiżarni i skierował się w stronę wyjścia, kiedy to podeszli do niego Dew i Roni.

— Idziemy z tobą — poinformował go młodszy z zabójców.

Jarmis zmierzył ich wzrokiem, po czym wzruszył ramionami na znak, że wszystko mu jedno.

— Tylko zagęszczajcie ruchy, bo nie będę na was czekał.

Dotarli do Welfare późnym wieczorem, nie zamieniając po drodze zbyt wielu słów. Jarmis i Roni szczerze się nienawidzili, a Dew nie chciał zaczynać dyskusji, która mogłaby zmusić go do opowiedzenia się po którejś ze zwaśnionych stron.

Zbliżali się już do dzielnicy handlowej i Jarmis intensywnie zastanawiał się, jak poprowadzić rozmowę z Carlem Tepucmany oraz czy nie lepiej byłoby kazać pozostałą dwójkę zabójców poczekać na zewnątrz. Wiedział, że Roni nigdy się na to nie zgodzi, lecz jeśli dzięki temu miał dowiedzieć się więcej o śmierci Raya, gotów był zmusić go do tego siłą.

Nagle, nad rzeki, dobiegł ich przeciągły, odległy ryk. Jarmis stanął jak wryty, pozostała dwójka również się zatrzymała.

— Co to? Niedźwiedź w mieście? — zapytał Roni.

— Może cyrk przyjechał? — stwierdził Dew.

— Cyrk w dzielnicy portowej? Bez sensu.

— Chuj tam, że niedźwiedź. Pytanie brzmi: Dlaczego tak dziwnie wyje? — Jarmis zamyślił się, lecz tylko na chwilę. — Idziemy to sprawdzić — zawyrokował.

Dew i Roni nie przypuszczali, by zabłąkany niedźwiedź miał im pomóc w odnalezieniu mordercy Raya, niemniej byli zaciekawieni całą sytuacją i nie oponowali. Pobiegli truchtem w stronę rzeki. Niedźwiedź zaryczał jeszcze raz, dzięki czemu mogli zlokalizować jego położenie. Kluczyli uliczkami, a ich uszu zaczęły dochodzić jęki rannych i wrzaski przerażonych ludzi. W końcu dotarli na szerokie nabrzeże otoczone portowymi magazynami.

W wieczornym półmroku ujrzały mroczą krew w żyłach scenę. Długa na siedem stóp bestia rozrywała wijącego się na ziemi człowieka, obok leżała druga, martwa już osoba, a nieco dalej stał mężczyzna, który krzyczał i machał rękami, starając się zwrócić na siebie uwagę zwierzęcia.

Jarmis bez zastanowienia rzucił się w kierunku niedźwiedzia. Szybko zorientował się, że to młody osobnik. Dorosłe niedźwiedzie z Góra Podziału potrafiły być nawet dwa razy większe. Niestety, nie ustrzegł się też błędu i zlekceważył ważne ostrzeżenie. Przyjął, że źródłem intensywnego, metalicznego szelestu jest kolczuga walczącego o życie człowieka. Dopiero gdy był już bardzo blisko, uświadomił sobie, że to niedźwiedź jest opancerzony od tylnych kończyn aż po szyję.

Zatrzymał się kilkanaście stóp od bestii, wciąż przekonany, że obejdzie się bez walki. Nabrął pełne płuca powietrza i zaryczał groźnie, nakazując zwierzęciu ucieczkę. Dzięki Behemotowi znał mowę niedźwiedzi oraz wilków i te do tej pory zawsze się go słuchały. Tym razem było inaczej. Niedźwiedź spojrzał na niego i wyszczerzył ociekające krwią kły.

Nie miał już czasu, by się dziwić. Chwycił jeden ze swych noży i cisnął nim w zwierzę. Ostrze ześliznęło się po pysku bestii, pozostawiając na nim podłużną, lecz niegroźną ranę. Monstrum rzuciło konającym mężczyzną na kilka jardów i skupiło całą uwagę na Jarmisie.

Zabójca zdążył rzucić jeszcze jednym nożem, ale ten odbił się od pancerza szarżącego niedźwiedzia. W ostatniej chwili uskoczył przed nacierającym przeciwnikiem, przeturlał się po ziemi i dobył miecza oraz sztyletu. Kiedy bestia znów zwróciła się w jego stronę, wykonał szybkie pchnięcie w jej brzuch, lecz broń nie przebiła kolczugi. Tym razem nie zdołał uniknąć ciosu. Długie pazury dosięgły jego ramienia, przecinając trzy warstwy odzienia i znajdujące się pod nimi mięśnie. Siła uderzenia była tak straszliwa, że odrzuciła Jarmisa na dziesięć stóp i wytrąciła oręź z obu dloni. Chwilowo zdezorientowany, zabójca odwrócił się na plecy i odczołgał pod ścianę pobliskiego magazynu.

Bestia była przekonana, że już wygrała. Podbiegła do swej ofiary i natarła z całym impetem, próbując chwycić pyskiem za gardło. Jarmis zaparł się plecami o ścianę i w geście rozpaczliwym oparł stopy na klatce piersiowej niedźwiedzia. Każdy normalny człowiek w podobnej sytuacji połamałby sobie nogi w kolanaach, ale zabójcy daleko było do normalności. Drzemiący w nim Behemot z każdą sekundą stawał się bardziej aktywny, dodając mu coraz więcej sił. Spodnie trzasnęły z hukiem, potężne łydki zetknęły się z udami, lecz bestia wyhamowała. Jej pysk zatrzymał się o całe od twarzy Jarmisa, który instynktownie wykorzystał sytuację, by z całej siły grzmotnąć zdrową ręką w wielki czarny nos.

Przeszyty bólem niedźwiedź wyprostował się jak strzała i zaryczał tak głośno, że zbudził wszystkich bezdomnych nocujących w rozległej dzielnicy portowej. Opancerzone monstrum szykowało się już do kolejnego ataku, gdy wtem Behemot pokazał, kto jest najstrasznieszym spośród zwierząt. Korzystając z drzemiącej w nim mocy Bestii, zabójca zaryczał tak potężnie i przeraźliwie, iż usłyszało go pół Welfare, a psy w całym mieście ze skomleniem pochowały się w budach.

Okropny hałas ogłuszył niedźwiedzia, który nadal stał wyprostowany na tylnych łapach. Na szczęście Dew nie miał tak wrażliwego słuchu. Młody zabójca zdobył się na odwagę w najodpowiedniejszym do tego momencie. W biegu zdjął z pleców swój oburęczny miecz, doskoczył do niedźwiedzia i zamaszystym ruchem ciął w jedyne niechronione kolczugą miejsce. Odcięta głowa upadła z guchym odgłosem na bruk, a chwilę później zwaliła się na niego reszta ciała, po raz ostatni wypełniając powietrze metalicznym brzękiem.

Dew schował broń i pomógł rannemu towarzyszowi wstać z ziemi. Jarmis wziął kilka głębokich oddechów, po czym zepchnął Behemota z powrotem w głęb umysłu.

— Ty chyba masz talent do odrabywania łbów — zażartował, odzyskawszy pełnię kontroli. — Nadaję ci przydomek Dekapitatora. No i dzięki za uratowanie mi dupy.

— Drobiazg. A następnym razem postaram się działać szybciej. Nie ukrywam, że trochę mnie strach obleciał. — Dew czuł się lekko zawstydzony.

— Nie tylko ciebie.

Jarmis wskazał głową Roniego, który dopiero teraz ruszył się z miejsca. Nie kierował się jednak w ich stronę, lecz ku jedynemu z ocalałych mężczyzn.

Ubrany w krótkie, brązowy płaszcz mężczyzna miał około czterdziestu lat. U pasa zwisał mu schowany w pochwie miecz, zdradzając, że albo należy do jakichś służb, albo jest kryminalistą. Zwykli obywatele nie mieli prawa nosić broni w mieście.

— Coś za jeden? — zapytał go Roni, przystawiając sztylet do gardła. Mężczyzna nawet nie próbował dobyć własnego ostrza.

Jarmis i Dew podeszli bliżej.

— Derreck Oistwart, kapitan Wywiadu Wewnętrznego — przedstawił się z budzącym podziw spokojem.

— Na gryfi kuper, co tu się wyprawia?

— Sam nie wiem. Dostaliśmy cynk, że w tym magazynie — wskazał budynek z roztrzaskaną przez niedźwiedzia bramą — ukrywa się poszukiwany przez nas przestępca. Gdy wesliśmy do środka, zaatakowała nas ta bestia.

— Pokaż odznakę — rozkazał mu Roni.

— Zabierz sztylet, to pokażę.

— Nie chójrakuj kolego, bo pożałujesz. — Roni nie znosił, gdy ktoś mu się stawał.

— Schowaj ten sztylet głabie, przecież facet nam nie ucieknie — wracił się Jarmis. — Miałeś szansę pokazać, jaki to z ciebie chwat, ale wolałeś patrzeć z boku i trząść się jak galareta.

Patrząc w jego oczy, Dew był pewien, że Roni zaatakuje Jarmisa, ale do tego nie doszło. Krewki zabójca schował sztylet, chwycił szpiega za płaszcz i popchnął w stronę magazynu.

— Może znajdziemy w środku jakieś informacje. Prowadź, ale niczego nie kombinuj — zakomenderował Derreckowi.

— Powiecie mi chociaż, kim jesteście?

— Nie — odparli jednocześnie Jarmis i Roni.

Weszli do magazynu, którego mrok rozświetlały dwie porzucone przez uciekających agentów pochodnie. Na szczęście podłoż magazynu było wyłożone kamieniem, dzięki czemu nie doszło do pożaru. Jedną żagiew podniósł Dew, drugą Roni. Ciasno ustawione skrzynie z towarami znajdowały się tylko w pierwszej części budynku. W drugiej, niemalże pustej, znaleźli ciała czterech kolejnych agentów.

— Najpierw próbowaliśmy walczyć, w końcu było nas siedmiu, ale w żaden sposób nie mogliśmy zranić bestii — tłumaczył agent. — Co za szaleniec ubiera niedźwiedzia w kolczugę? Pieprzone Arad úš.

Zabójcy spojrzeli zdziwionym wzrokiem na szpiega.

Jarmis chwycił go za szyję.

— Co żeś powiedział?

— Cholera, jesteście z Gildii — wychrypiął przez ścisnięte gardło. — Mogłem się domyślić po twoim ryku.

— Dlaczego nagle wypaliłeś z tym *Arad úš*?

— Ten przestępca, który miał się tu skrywać, był od was. Myślałem, że niedźwiedź to też wasza sprawka.

— Jaki przestępca? Co ty pieprzysz? — zawarcał Jarmis.

— Wy naprawdę nic nie wiecie? — Choć powoli robił się siny, Derreck nadal zachowywał spokój. Był bardziej zdziwiony niż przestraszony. — Trzy dni temu jeden z waszych zabił przywódcę Wywiadu na Północy. Uciekając, zgubił pióro Ziza.

— Myślicie, że chodzi o Raya? — zapytał towarzyszy Dew.

— A o kogo innego? — odparł rozezłony Roni. — Ktoś próbuje nas wrobić.

— Kurwa, nic z tego nie rozumiem. — Jarmis wreszcie puścił agenta, który był już bliski omdlenia. — Po co Ray miałby robić coś takiego?

— Kiedy grzmociałeś te swoje drogie dziwki, Ray zaczął często odwiedzać Welfare. — Roni nie powstrzymał się od złośliwości. — Nie wiem, co robił, nikt w to nie wniknął, ale mógł popaść w jakieś tarapaty.

— W tarapaty? Sługa Krwi popadł w tarapaty? Że niby ktoś go do tego zmusił? — ironizował Jarmis. — Czy ciebie pojebało? Kto miałby się na to odważyć?

— Nie wiem. W każdym razie Ray nie żyje, a my nie mamy pojęcia, kto jest za to odpowiedzialny.

— Więc musimy znaleźć jakiś ślad. — Jarmis postanowił zakończyć słowne przepychanki.

— Młody, daj pochodnię, a wy wyjdźcie na zewnątrz i dajcie mi powiększyć. Mamy niewiele czasu, nim zjawi się straż miejska.

Dew oddał głownię i wraz z Roniem oraz Derreckiem opuścili magazyn. Po kilku minutach dołączył do nich wyraźnie zdenerwowany Jarmis.

— Dupa blada — zwięzle przedstawił wynik poszukiwań. — Niedźwiedź jest naszą ostatnią szansą.

Zabójca schylił się nad głową zwierzęcia i próbował ją podnieść, lecz przeszywający ból w rozszarpanym ramieniu nie pozwolił mu utrzymać ciężaru. Rękaw Inianej koszuli zdążył już całkowicie nasiąknąć krwią, która teraz zaczęła ściekać do rękawicy.

— Musimy cię opatrzyć — zawyrokował Dew. — Twój bark wygląda fatalnie.

Jarmis zlekceważył troskę nowicjusza i usiadł koło odciętego łba. Zaczął go obwąchiwać z każdej strony. Wyczuł coś dziwnego. Delikatna nuta, taka sama, jaką wyodrębnił pośród odoru głowy Raya. Nie miał pojęcia, co to może oznaczać. Potrzebował więcej informacji. Palcem wskazującym zdrowej ręki przeciągnął po krawędzi odciętej szyi niedźwiedzia, zgarniając z niej krew. Następnie wsadził palec do ust i dokładnie oblizał. Cała przyglądająca się mu trójka solidarnie skrzywiła się z obrzydzenia.

— Magia krwi — oznajmił zaskoczony.

Doskonale znał ten posmak. Był charakterystyczny dla krwi wszystkich hybryd. Jego własna krew również go miała. Jednak zabity niedźwiedź wcale nie wyglądał na hybrydę.

— Magia krwi? O co tu chodzi, do cholery? — Roni również nic z tego nie rozumiał.

— Jeszcze nie wiem. Młody, urwij sobie kawałek koszuli i wetrzyj weń juchę niedźwiedzia. Może się nam jeszcze przyda.

Dew bez zwłoki wykonał polecenie.

— Dobra, zmywajmy się stąd.

Derreck nie chciał zostawiać swoich ludzi w obawie, że bezpańskie psy rozszarpały ich zwłoki, ale zabójców to nie obchodziło. Jeszcze nie wiedzieli, co z nim zrobią, natomiast na pewno nie mogli pozwolić mu po prostu odejść. Dew chwycił szpiega za ramię i prowadził na siłę przez kilkanaście jardów, aż ten w końcu zrozumiał, że opór nie ma sensu.

Nie zdążyli nawet opuścić dzielnicy portowej, kiedy Jarmis zaczął sładziąć się na nogach. Rana była naprawdę poważna i nie mógł zwlekać z jej opatrzeniem ani chwili dłużej. Skręcili w najbliższy zaułek, gdzie ranny zabójca rozebrał się do pasa, po czym usiadł ciężko na ziemi. Ze swojego zasobnego płaszczu wyciągnął zestaw do czyszczenia i szycia ran.

— Chodź młody, nauczysz się czegoś. Masz tutaj cały potrzebny sprzęt. Zszyj mnie do kupu. A ty, szponie, świeć mu pochodnią.

— Nie wiem, czy to dobry pomysł — wzbraniał się Dew. — Może niech Roni to zrobi.

— Myślisz, że nauczysz się szyć, słuchając wykładów Monty'ego i ćwicząc na martwych zwierzętach? Szyj i nie pierdol. To rozkaz. Zaczni od oczyszczenia rany.

Dew nie miał wyjścia i zabrał się do roboty. Szczypczykami wyciągnął z rany strzępy tkaniny oraz brud, który bestia musiała mieć pod pazurami. Nie miał wprawy i strasznie się guzdrał, przyprawiając pierwszemu w swym życiu pacjentowi mnóstwo niepotrzebnego cierpienia. Szczęśliwie dla Jarmisa regularne wyrywanie zębów podniosło jego odporność na ból, dlatego nie skrzywił się ani razu. Nastecną czynnością, jaką wykonał poczatkujący medyk, było przemycie rany zmoczonym w spirytusie lnem. W końcu przyszedł czas na szycie.

— Dalej nie dam rady. Masz przeciętą żyłę, nie wezmę się za to.

— To żyła czy tętnica?

— Żyła.

— To nie jojcz, tylko podwiązuj.

— Nigdy tego nie robiłem i nie będę na tobie eksperymentował. — Dew odmówił stanowczo, niemalże krzycząc. — Stracisz rękę i będzie na mnie.

Prawą dłonią Jarmis rozwarł ranę i obejrzał przerwane naczynie.

— Kurwa, przecież to mała żyłka. Wystarczy podwiązać.

— Nie i już!

— Odsuń się młody, bo dość już mam tego waszego pierdolenia. — Roni odepchnął go ręką. — Patrz, jak to się robi.

Jarmis w życiu by nie pomyślał, że Roni zdecyduje się mu pomóc. Sam nigdy by go o nic nie poprosił, nawet na skraju śmierci. Był tak zaskoczony, że na moment odebrało mu mowę.

Roni umiejętnie zatańczał krwawienie i przystąpił do zszywania skóry. Szybko uporał się z dwiema z czterech podłużnych szram, resztę pozostawiając Dew. Młody zabójca podchwycił jego technikę, niemniej z jej stosowaniem szło mu zdecydowanie gorzej. Wyglądało na to, że ramię Jarmisa zdobić będą dwie cienkie i dwie rozłazłe blizny.

Na sam koniec Jarmis posmarował ranę maścią z żywokostu, o działaniu wzmacnionym magią krwi i założył opatrunki. Wypił też pobudzający eliksir, który miał pozwolić mu normalnie funkcjonować, pomimo sporego ubytku krwi. Ubrał się w kamizelkę i płaszcz, natomiast koszulę wyrzucił. Założył też świeżą parę rękawic.

— Dzięki wasm wszystkim. — Jarmis zręcznie uniknął składania osobistych podziękowań Roniemu. — A teraz chodźmy do jakiejś knajpy. Przy pełnych kuflach zastanowimy się, co dalej.

Wstąpili do niewielkiej piwiarni usytuowanej nad samą rzeką Vishą. Klientów było niewielu. Dew podszedł do baru, a reszta skierowała się ku wolnemu stolikowi na tyłach sali. Nim zdążyli usiąść, Jarmis poczuł znajomy zapach. Ten zapach.

Szybko namierzył, że dochodzi z jednego z zajętych stolików. Podszedł do siedzących przy nim ludzi i zaczął ich bezceremonialnie obwąchać. Zaskoczeni mężczyźni wzięli go za wariata i kazali się wynosić. Nie posłuchał. Gwałtownym ruchem chwycił za gardło tego, od którego zapach bił najintensywniej i uniósł go niczym szmacianą lalkę.

— Gdzie to masz? — krzyknął mu w twarz. Mężczyzna był od niego wyższy, dlatego trzymający go w powietrzu Jarmis musiał odchyłać głowę do tyłu.

Twarzysze zszokowanego nieszcześniaka zrywali się już z siedzeń, gdy salę przeszył bolesny dla uszu gwizd. Odwrócił głowy i ujrzał Roniego. Chudy zabójca jedną ręką kręcił mieczem młynka z taką szybkością, że wirujące ostrze zdawało się jedynie rozmazanym okręgiem, a drugą, uzbrojoną w sztylet, wykonał gest podrzynania gardła. Mężczyźni momentalnie zrezygnowali ze stawiania oporu.

Obserwujący zdarzenie z drugiego końca lokalu barman skoczył ku drzwiom, lecz przed wezwaniem straży powstrzymał go Dew, zastąpiwszy mu drogę. Jako że ucieczka stała się niemożliwa, reszta klientów postanowiła nie ruszać się z miejsc i milczeć.

— Gdzie to masz? — Jarmis powtórzył pytanie.

— Ale co? Nie wiem, o co chodzi. — Mężczyzna był przerażony, oczy mu się szkliły i zaczynał się dusić.

Jarmis zreflektował się, że jego pytanie rzeczywiście jest mało precyzyjne. Postawił delikwenta na ziemi i obwąchał go jeszcze raz, tym razem dokładniej, z każdej strony. Zlokalizował kieszeń płaszcza jako źródło zapachu i wyciągnął z niej drobne zawiniątko.

— Gadaj, co to jest?

Mężczyzna opowiedział mu o wszystkim: skąd nabył, ile zapłacił i jak działa elizum. Jarmis uznał, że mówi prawdę i dał mu spokój, jednakże działkę narkotyku zatrzymał dla siebie.

By załagodzić napiętą atmosferę, jaka zapanowała w knajpie, postawił kolejkę wszystkim obecnym i wrócił do swojego stolika.

Okazało się, że pozostały zabójcy, podobnie jak on, nie słyszeli wcześniej o nowej używce. Jedynie Derreckowi nazwa *elizium* obiła się o uszy, ale przyznał, że Wywiad Wewnętrzny, a przynajmniej jego filia w Welfare, do tej pory nie interesował się tą sprawą.

Jarmis posmakował czerwonego proszku czubkiem języka w nadzieję, że dowie się czegoś więcej. Nie zawiódł się. Niedźwiedź rzeczywiście nie był hybrydą, lecz po prostu został odurzony narkotykiem. To on nadawał jego krwi specyficznego posmaku. Ktokołwiek wytwarzał elizium, znał magię krwi, co czyniło go równie niezwykłym, co groźnym. Lekko zszokowany Jarmis podzielił się swym odkryciem z pozostałymi.

— Skoro narkotyk został zaklęty magią krwi, to musi być także skażony krwią. Zapewne stąd bierze się czerwony kolor — wywnioskował Roni. — Przeprowadźmy rytuał i zobaczymy, do kogo należy krew.

— Można spróbować, ale nie liczyłbym na zbyt wiele. — Jarmis był sceptyczny. — Zawartość krwi w narkotyku jest znikoma.

— Dew, zostań tu i go przypilnuj — Roni kiwnął głową na Derrecka. — Wyjdziemy z Jarmisem na zewnątrz przeprowadzić rytuał.

Zabójcy wstali od stołu i ruszyli w stronę wyjścia. Po drodze Roni zdjął jeden z przymocowanych do ściany kaganków oraz zabrał niewielką glinianą miskę stojącą na barze.

Po opuszczeniu piwiarni Arad úš zaczęli kluczyć pomiędzy zabudowaniami. Gdy wreszcie znaleźli osłonięte od wiejącego nad rzeką wiatru, odludne miejsce, Roni wyciągnął z kieszeni kawałek materiału, umieścił go w misce i podpalił za pomocą kaganka. Następnie obaj zabójcy delikatnie nacięli dlonie sztyletami.

— *Ati mé petá bábka. Peta bábkama lurúba anaku* — wypowiedzieli słowa rytuału, podczas gdy ich krew syczała w płomieniach.

Wreszcie Jarmis wsypał elizium do ognia i rozpoczęli wizję.

Była to najkrótsza wizja, jakiej kiedykolwiek doświadczyli. Trwała jedno, góra dwa uderzenia serca. Jedyną informacją, jaką zdolali wyłuskać z umysłu mężczyzn, w którym się znaleźli, było jego zdenerwowanie wykonywanym po raz pierwszy rytuałem zaklinania narkotyku.

— Kurwa — zaklął Jarmis, gdy objawienie dobiegło końca. — Nic przydatnego.

— Nie do końca — sprzeciwiał się Roni. — To był jego pierwszy rytuał, a to znaczy, że ktoś musiał go nadzorować. Szukamy więc co najmniej dwóch osób. Ucznia i nauczyciela.

— To nadal za mało. Musimy zdobyć więcej narkotyku i przeprowadzać rytuał aż doiniemy się jakichś konkretów.

— Uważam, że zgodnie z pierwotnym planem powinniśmy najpierw odwiedzić Gildię Złodziei. Oni powinni wiedzieć, kto handluje tymi prochami. Znając handlarzy, będziemy mogli ich przycisnąć, by poznać producenta.

— W porządku. — Jarmis pokiwał głową z uznaniem. Nie spodziewał się, że kiedykolwiek zareaguje w podobny sposób na słowa Roniego. *Nic nie jednocy tak, jak wspólny wróg* – pomyślał.

Wrócili do wyszynku. Roni odciągnął szpiega na bok, podczas gdy Jarmis poinformował Dew o ich planie. Jako że doświadczeni Słudzy Krwi nie chcieli, by Derreck dowiedział się o ich współpracy z Gildią Złodziei, polecił młodemu zabójcy zabrać go na przechadzkę po mieście. Po incydencie z amatorami elizium dalszy pobyt w knajpie byłby nierozsądny. Zabójcy uzgodnili, że spotkają się przy zachodniej bramie miasta.

Ze względu na bezpieczeństwo szef Gildii Złodziei na Północy mieszkał w swoim miejscu pracy. Jego apartament zajmował większą część ostatniej kondygnacji Domu Kupieckiego, do którego zabójcy dotarli godzinę przed północą. Jarmisowi nigdy nie zdarzyło się odwiedzać Carla o tak późnej porze, ale sytuacja była wyjątkowa. Nie licząc strażników, budynek był opustoszały. Osobiści ochroniarze Carla poznali niższego z zabójców, lecz do środka wpuszczono ich dopiero po tym, jak przywódca Złodziei wyraził na to zgodę.

Ubrany w jedwabny szlafrok Carl Tepucmany przyjął ich w swoim gabinecie. Nie ukrywał zaskoczenia niespodziewaną wizytą, niemniej nie wpłynęło ono na jego dworskie maniery. Zapytał o powód najścia dopiero po tym, jak poczęstował ich winem i zaproponował, by rozsiedli się na wygodnej kanapie. Sam usadziwszy się w swoim fotelu, nie dociekając powodów nagłego zainteresowania zabójców elizium, przekazał im wszystko, co wiedział o narkotyku.

Arad úš dowiedzieli się więcej, niż się spodziewali. Według informacji Carla elizium pojawiło się na rynku około pół roku wcześniej, w Wartegall, natomiast na Północ dotarło przed czteroma miesiącami. Jego dystrybucją w Welfare zajmowały się jego dwa najpotężniejsze gangi: Synowie Shal oraz Niesprawiedliwi. Sam narkotyk wyróżniały dwie rzeczy: był bardzo tani i wywoływał sny o tajemniczej Białej Panie, przez co często tak go nazywano. Największą zagadkę dotyczącą elizium stanowił jego producent, który, póki co, pozostawał nieznany.

— Gdybymy chcieli go odnaleźć, od czego twoim zdaniem powinniśmy zacząć? — Carl zrobił na Ronim bardzo pozytywne wrażenie i zabójca chciał poznać jego opinię.

Złodziej nie speszył się z odpowiedzią. Skosztował wina, długo delektując się trunkiem przed połknieniem. Zamyślenie rysowało się na jego czole głębokimi zmarszczkami.

— Mogę zasugerować wam dwa rozwiązania — przemówił wreszcie. — Przyciśnijcie Synów Shal albo Niesprawiedliwych o dostawcę elizium. Jestem przekonany, że posiadacie ku temu odpowiednie środki i umiejętności. I choć dostawca może okazać się tylko kolejnym pośrednikiem, koniec końców powinniście dotrzeć po nitce do kłębka. Będziecie jednak musieli

wykazać się niezwykłą ostrożnością, by nie spłoszyć zwierzyny. Druga opcja, jaką widzę, to udać się do Wartegall i tam szukać więcej informacji. Skoro tam narkotyk pojawił się w pierwszej kolejności, to jest wielce prawdopodobnym, że i tam jest wytwarzany. Stolica dodatkowo posiada najbardziej rozbudowaną siatkę szpiegów i Złodziei ze wszystkich miast Trójkrolestwa, co powinno pomóc wam w poszukiwaniach.

— Wiesz może przypadkiem, kto odpowiada za dystrybucję elizium w stolicy? — dopytywał szczegółowo Jarmis.

— Przypadkiem wiem. Shane Polponeca, zwany Ościeniem. Przywódca troglodytów z Dołu.

Zabójcy spojrzeli na siebie porozumiewawczo.

— Z przyjemnością utnę sobie pogawędkę z panem Ościeniem. — Jarmis opróżnił kielich i wykrzywił usta w paskudnym uśmiechu.

— Myślę, że wiemy już dość. — Roni odstawił pusty puchar i wstał z kanapy. — Dzięki za pomoc i za wino.

— Tak. Dość żeśmy zamarudzili. Dzięki Carl i do zobaczenia. — Jarmis uścisnął dłoń arcyzłodzieja i ruszył za wychodzącym już towarzyszem.

— Do usług. Udanych łowów — pożegnał ich gospodarz i dolał sobie wina.

— Myślisz, że to Oścień stoi za tym wszystkim? — zapytał Jarmis, gdy znalezli się na zewnątrz.

— Mogło tak być. Królewna składa zlecenie na Ościenia, ale ktoś ją obserwuje. Oścień dowiaduje się o wszystkim i wiedząc, że nie da się już nas odwołać, postanawia zaatakować pierwszy.

— Ale? — Jarmis wyczuł wątpliwość w jego głosie.

— Ale miałby cholernie mało czasu na zorganizowanie wszystkiego. Zlecenie złożono góra miesiąc temu. Poza tym sam wiesz, że Dół to zbieranina prostaków. Skąd wytrzasnęłyby kogoś znajdującego się na magii krwi? Niewielu nas już zostało.

— Więc Oścień jest tylko pośrednikiem, a to, że dostaliśmy na niego zlecenie, to przypadek?

— Nie wiem, kurwa — przyznał ze złością Roni. — Wiem natomiast, że nie ma sensu zostawać rozstrzygnięcia Zgromadzeniu. Znowu będziemy kłócić się godzinami, a na końcu i tak podjęta decyzja będzie zgodna z twoją lub moją wolą. Ustalmy więc wszystko między sobą i weźmy się od razu do roboty.

— Zgoda.

Jarmisowi przypomniały się pierwsze lata w Arad úš, kiedy to wspólnie przeprowadzili kilka udanych akcji. Przez jakiś czas nawet się przyjaźnili. Odpędził nieproszone wspomnienia i zapytał:

— Co proponujesz?

— Ty pojedziesz spotkać się z Ościeniem, a ja wraz z resztą chłopaków, zgodnie z tym, co powiedział Tepucmany, przyciągniemy Synów Shal i Niesprawiedliwych.

— Mi pasuje. Pozostaje jeszcze jedna kwestia. Co zrobimy ze szpiegiem?

— Dobrze wiesz, co powinniśmy z nim zrobić.

— Posłuchaj, ktokolwiek stoi za elizium, planuje coś poważnego. Próbował wciągnąć nas w walkę z Wydziałem Wewnętrzny, być może posłużył się do tego królewną. To nie są przelewki — argumentował Jarmis. — Uważam, że szpieg może się nam przydać. Jeśli coś pójdzie nie tak, będzie mógł potwierdzić naszą wersję wydarzeń. Nie mamy dość ludzi, by prowadzić wojnę z Koroną. A na sam początek niech odkręci ten bajzel, którego Ray narobił przed śmiercią.

— Kurwa — zaklął na głos Roni. — Coś sobie uświadomiłem. Co, jeśli Ray zdradził swojemu zabójcy położenie Wyspy? Chuj wie, jakie ten narkotyk ma w sobie zaklęcie.

— Szlag by to trafił. Jeszcze przeprowadzki nam teraz potrzeba. Ale to znaczy, że tym bardziej nie możemy zabijać szpiega. Bez stałej siedziby jesteśmy zbyt narażeni.

— Dobra, skoro tak ci na nim zależy, to go oszczędzimy.

Roni nie zamierzał ciągnąć dalej tematu. Jego myśli skupiały się już na czekającej Arad úš przeprowadzce i rozmowa się urwała.

Zgodnie z umową Dew i Derreck czekali na nich nieopodal bramy. Zabójcy kazali odejść szpiegowi na bok, by nie mógł podsłuchać ich rozmowy. Roni pokrótce opowiedział młodszemu koledze, czego udało im się dowiedzieć od szefa Złodziei, natomiast Jarmis miał do niego prośbę. Osłabiony odniesioną raną, nie miał sił, by wracać na Wyspę, a z drugiej strony nie chciał zbyt długo zwlekać z wyjazdem do Wartegall. Poprosił więc Dew, by przyniósł mu z ich siedziby kilka przedmiotów potrzebnych na wyprawę. Uzgodnili, że spotkają się nazajutrz w południe przy południowej bramie, na zewnątrz miejskich murów.

Pożegnawszy się z kompanami, Jarmis podszedł do cierpliwie czekającego Derrecka.

— Co teraz? — zapytał szpieg.

— Teraz pojedziesz pożegnać się z rodziną.

Jarmis nie mógł odpuścić okazji na napędzenie komuś stracha. Po krótkiej pauzie, zauważwszy, że Derreck nie wygląda na przestraszonego, dodał:

— Przekażesz też swoim przełożonym, że zostaliśmy wrobieni w zabójstwo waszego przywódcy. Tylko się nie ociągaj, jutro w południe ruszamy do Wartegall.

Rozdział trzynasty – Jest taki samotny ziggurat

Pierwszy dzień dziewiątego obiegu Władcy. 244 dzień roku. Południe. Byhrid.

Popularność, jak większość rzeczy, miała swoje dobre i złe strony. Kotowaci stali się dla niego naprawdę życzliwi, a jako bohater Jaguarowatych co rusz otrzymywał od nich mięsne podarki. Nie musiał więc polować ani pracować, dzięki czemu miał dużo czasu dla siebie. Cieszył się też dużym zainteresowaniem płci przeciwej. Wiele kocic zabiegało o jego wzgłydy i to właśnie był ten uciążliwy element sławy.

Trey nie miał praktycznie żadnego doświadczenia z kobietami. Z powodu swojego wyglądu był wyrzutkiem społeczeństwa i nie miał co liczyć na związek z jakąkolwiek Lotherbemmką. Co prawda parę razy miał do czynienia z prostytutkami, lecz tylko nabawił się przez nie dodatkowych kompleksów. Te mniej profesjonalne z nich, na widok jego sporego, ale posiadającego niespotykany kształt przyrodzenia, wybuchły śmiechem. W końcu mający dość kpин Trey przestał korzystać z ich usług.

Zdawał sobie sprawę z tego, że mieszkankom Leżyska jego członek wydałby się najnormalniejszy na świecie, nie pomogło mu to przynajmniej na razie w pokonaniu pielęgnowanej przez lata niepewności siebie. Spławiał wszystkie kocice, starając się być przy tym na tyle uprzejmy, na ile potrafił. Jedynie z Cle'men'tin nadal spotykał się od czasu do czasu. Młoda, uchodząca za ładną i sympatyczną kotołaczka nie zrażała się jego nieśmiałością i sama kilka razy próbowała przenieść ich relacje na wyższy, bardziej intymny poziom. Trey udawał wtedy, że tego nie zauważa i zaczynał rozmowę na jakiś nieistotny temat lub wykazywał nagłe zainteresowanie czymkolwiek, co znajdowało się w pobliżu, byleby tylko do niczego między nimi nie doszło. Czuł się wówczas jak ostatni idiota.

Ubranie, które otrzymał w Pałacu Czystości, zabrudził krwią Wężowatych, a jego stare, lotherbemmskie odzienie było już mocno zużyte, postanowił więc udać się do dzielnicy kupieckiej, by sprawić sobie coś nowego. Spakował do torby otrzymane w prezencie trzy wypatroszone nietoperze, za których smakiem nie przepadał, a do pasa przypiął pochwę z mieczem. Pomimo zapewnień, że zemsta Gadzin mu nie grozi, nie rozstawał się z bronią. Był to nawyk nabyty w Służbie Krwi.

Wielki Rynek, będący centralnym punktem dzielnicy kupieckiej, bez dwóch zdań zasługiwał na swoją nazwę. Targowiska zbliżonych rozmiarów próżno było szukać w innych krainach Miliphen. Tysiące straganów ustawionych we w miarę równe rzędy formowało kwadrat o boku długości ćwierć mili. Podobnie jak w całym Byhrid, na Wielkim Rynku również panowała segregacja gatunkowa. Każde z głównych plemion miało do swej dyspozycji kilka alei. Oczywiście segregacja dotyczyła tylko handlarzy. Nawet wśród dzikusów uznawano zasadę *Klient nasz pan,*

więc kupujący mogli bez przeszkód i przykrości przemieszczać się po całym targowisku. Aleje biegły równolegle do Zamony. Najbliżej od jej brzegu handlowali Czyści, najdalej Spaczeni, czyli mieszkańcy Barachła. Kotołaki miały swe stragany mniej więcej pośrodku.

To właśnie tutaj Trey rozpoczęł poszukiwania, z nadzieją, że jego popularność zagwarantuje mu korzystne ceny. I tak też było. Niektórzy sprzedający gotowi byli wręcz oddać mu swój towar za darmo, problem polegał jednak na tym, że nie był w stanie znaleźć nic, co by mu się choć trochę podobało. *Albo zachowuję się jak baba, albo sprzedają tu same szmaty.*

Bez rezultatu obszedł wszystkie kocie aleje, postanowił więc spróbować szczęścia u innych. Po chwili namysłu stwierdził, że największe szanse na dostanie czegoś odpowiedniego będzie miał u Czyścioszków. Gdy dotarł do zajmowanego przez nich fragmentu Wielkiego Rynku, okazało się, że znów miał rację. Oferta pierwszego z brzegu straganu z odzieżą wydała mu się interesująca. Podszedł bliżej, by móc lepiej obejrzeć towar.

— Szukasz czegoś konkretnego, mój koci przyjacielu? — zapytała handlarka w typowy dla Czystych sposób. Ludzie nigdy nie zwracali się do hybryd per pan, bowiem uważali się za lepszych. Zazwyczaj mówili *pół-kocie* lub *pół-małpo*, jeśli zaś chcieli być uprzejmi, używali właśnie słowa *przyjaciel*.

— Spodni i czegoś na grzbiet, najlepiej koszuli — odparł i skierował wzrok na sprzedawczynię. Urodą różniła się od większości mieszkańców Byhrid, przypominała trochę kobietę z północy. Uznał ją za atrakcyjną. — Może tamta karmazynowa ze srebrnymi guzami będzie dobra. — Wskazał pazurem przedmiot zainteresowania.

— Lubimy nosić się ekstrawagancko? — rzuciła przyjaźnie.

— Chyba po prostu lubię to, co lotherbemmskie.

Odpowiedział bez namysłu, lecz w momencie gdy usłyszał własne słowa, uderzyły go one niczym ciężki buzdygan. Nagle stało się dla niego jasne, co tak bardzo przeszkało mu w nawiązaniu bliższej relacji z Cle'men'tin. Nie tylko rodzime ubrania podobały mu się najbardziej. To samo dotyczyło kobiet, a dowód na to stał przed nim. Handlarka, która w Trójkrolestwie wcale nie uchodziła za piękność, pociągała go bardziej niż jakakolwiek kotołaczka, jaką spotkał do tej pory. Przeszyło go uczucie smutku typowe dla sytuacji, gdy uświadamiamy sobie, jak wiele czasu i wysiłku zmarnowaliśmy na szukanie czegoś, czego wcale nie chcieliśmy znaleźć.

— Czy to przypadkiem nie ty jesteś tym przybyszem z północy, o którym tyle się mówi? — kobieta zapytała, wyrywając go z zadumy.

Schyliła się pod ladę, po taboret, gdyż wskazana przez Treya koszula wisiała poza zasięgiem jej ramion. Gdy ponownie się wyprostowała, po kotołaku nie pozostał żaden ślad.

Podobne przygnębienie i złość odczuwał tylko raz w życiu, kiedy to przepędzono go z rodzinnej wioski. Dorastał u podnóża Górz Podziału, sto mil na zachód od Dumserlan. Jego jedyną

rodziną był dziadek od strony matki, która zmarła przy porodzie. Pewnego razu, gdy wspólnie wędrowali po górach, Treya ugryzła żmija. Trucizna zabiłaby go w kilka godzin i dziadek nie miał innego wyjścia, jak przeprowadzić rytuał przejęcia duszy, mimo iż wiedział, z jakim wiąże się on ryzykiem.

To, że w tak krótkim czasie udało mu się wytropić i złapać żywcem dorosłą pumę, było niesamowitym wyczynem, ale to, że dziewczyna na dodatek znała magię krwi, można nazwać cudem. Po przemianie Trey ukrywał się przed sąsiadami, którzy byli przekonani, że chłopak zmarł od ukąszenia. Wychodzić i wracać do domu mógł jedynie nocą, tak by nikt go nie zauważał. Uczył się polować i żyć w lesie. Brakowało mu kontaktów z rówieśnikami, ale dopóki dziadek żył, nie czuł się samotny.

Nigdy nie dowiedział się, gdzie dziadek posiadał mroczną wiedzę. Miał mu to wyjawić, gdy chłopak stanie się dorosły, lecz nim to nastąpiło, zmarł. Po śmierci opiekuna nastoletni Trey musiał wyjść z ukrycia własnego domostwa, niestety, jego zwierzęcy wygląd był nie do zaakceptowania przez mieszkańców wsi. Został wypędzony, a jego dom wraz ze zwłokami dziadka spalono.

Przez następnych parę lat błąkał się bez celu po lasach Trójkrólestwa. Wreszcie, pewnego dnia, gdy musiał wyjść z puszczy, by przejść na drugą stronę Wschodniego Gościńca, dostrzegł niewielki, kamienny monument. W pierwszej chwili pomyślał, że to grobowiec, lecz gdy się zbliżył, zrozumiał, iż jest to kapliczka krwi Arad úš, którymi w dzieciństwie straszli go starsi koledzy. Naszła go myśl, że skoro magia krwi już raz odmieniła jego życie, może zrobi to po raz kolejny. Nie wahając się ani przez chwilę, włożył dłoń do kielicha i naciął nadgarstek. Trzy miesiące później odpowiedziano na jego wezwanie.

Teraz, przebywając w krainie mieszkańców, nie musiał ukrywać się przed nikim. Na dodatek, po akcji na Patelni, cieszył się uznaniem i sympatią swych pobratymców. Mimo to czuł się bardziej obcy niż pierwszego dnia w Byhrid. Wyglądało na to, że w całym Miliphen nie ma miejsca, które byłoby dla niego odpowiednie.

Wracając do Leżyska, pograżył się w ponurzych myślach. *Na chuj cała ta wyprawa. Równie dobrze mogłem zostać na Wyspie. Przynajmniej nie wplątałbym się w wojnę.* Wtem, wspomnienie o Gildii przypomniało mu, że wyruszał do Dżungli nie tylko po to, by odnaleźć własne szczęście. Miał również spróbować dowiedzieć się, czy istnieje jakiś sposób, aby pomóc Jarmisowi. Odkąd przybył do Byhrid, wydarzyło się tak wiele, że kompletnie o tym zapomniał. Rozgniewał się na siebie jeszcze bardziej. Jego życie było smutne, puste, ale przynajmniej miał pewność, że śmierć kiedyś zakończy jego męki. Czasami, gdy depresja się nasilała, zdarzało mu się nawet rozważać, czy samobójstwo nie byłoby najlepszym rozwiązaniem. Sytuacja Jarmisa była nieporównanie gorsza. Nie dość, że cały czas musiał zmagać się ze schizofrenią wywoływaną

przez siedzących w jego głowie Piękną i Bestię, to dodatkowo nie był pewien, czy śmierć przyniesie mu jakąkolwiek ulgę.

Ani Trey, ani Jarmis nie wierzyli w Sprawiedliwego, Okrutnego czy też Miłosiernego, który miał rzekomo być patronem nieodkrytego dotąd, obiecanego lądu. Co do istnienia duszy ludzkiej i zwierzęcej nie było natomiast żadnych wątpliwości. Obaj byli na to chodzącymi dowodami. Niestety to, co dzieje się z duszą po śmierci ciała, wciąż pozostawało dla nich zagadką. Myśl o tym, że Jarmis może nigdy nie uwolnić się od Bestii, przeszyla go dreszczem. Jego najlepszy przyjaciel skazany na wieczność spędzoną z czymś, co potrafi jedynie nienawidzić.

Postanowił zrobić wszystko, co w jego mocy, aby dowiedzieć się czegokolwiek więcej o rytuale przejęcia duszy oraz tego, czy istnieje sposób, aby go odczynić. Księgi, które studiował jeszcze w Lotherbemm, sugerowały, że jest to możliwe, a jeśli wiedza na ten temat gdzieś się zachowała, to Byhrid wydawało się być tym miejscem. W końcu większość jego mieszkańców było skażonych magią krwi, musiał więc żyć tu ktoś, kto ją dobrze poznał. Pozostawało go tylko odnaleźć.

W pierwszej chwili pomyślał, by poprosić o pomoc Gerwulfa. Starzec zawsze był dla niego zyczliwy i jak do tej pory nie unikał odpowiedzi na żadne pytanie. Ta sprawa była jednak wyjątkowa. Nie wystarczyło bowiem zdobyć potrzebne informacje, lecz także dostarczyć je później Jarmisowi, a jemu nie wolno było opuszczać Byhrid. Gerwulf więc odpadał. Nie mógł również zwrócić się bezpośrednio do szamanów krwi, gdyż ci z pewnością donieśli o tym swym dowódcom i finalnie nauczyciel Verdish, lub nawet ona sama, i tak by się dowiedzieli.

Z poznanych do tej pory mieszkańców najbardziej ufał Edowi, ale akurat jemu nie chciał mówić o całej sprawie. Bystry tygrysołak gotów byłby jeszcze pomyśleć, że Trey wymyślił sobie przyjaciela imieniem Jarmis, a tak naprawdę szuka sposobu, by samemu odzyskać ludzki wygląd. Cle raczej nie byłaby w stanie mu pomóc ze względu na swój młody wiek i brak odpowiednich znajomości. Wreszcie stwierdziła, że najlepiej będzie zgłosić się do Sly. Po akcji na Patelni szorstki przywódca Jaguarowatych darzył go szacunkiem i co ważniejsze, nie należał do osób, które zadają dużo pytań.

Zbliżała się już do Leżyska, wciąż rozmyślając o dręczących go problemach, gdy nagle przypomniał sobie o tajemniczym posłańcu, który przed kilkoma tygodniami zaczepił go na moście. Mężczyzna posługiwał się językiem starożytnego Arad úš i właśnie to dało mu do myślenia. Magia krwi wywodziła się z Thenorafrein, a ktoś znający mowę pradawnych mógł mieć także dostęp do ich wiedzy. Nieznajomy był też wyjątkowo ostrożny, zależało mu na zachowaniu tajemnicy, istniało więc spore prawdopodobieństwo, że nie pracował dla Verdish. Nim Trey dotarł do własnej chaty, zrezygnował z odwiedzin u Sly. Zdecydował najpierw spróbować szczęścia w Barachle.

Gdy zapadł zmrok, wyruszył na poszukiwanie kamiennego zigguratu. Choć przestrzegano go przed zapuszczaniem się w głąb slumsów Byhrid, nie odczuwał strachu. W końcu był Arad úš i to jego należało się bać. Szedł traktem wzduż granicy Barachła tak długo, aż nie minął jego południowej oraz środkowej części, po czym wkroczył w zabudowania. Teraz musiał kierować się na wschód, do granicy Dżungli. Otaczające go dźwięki i zapachy były niepowtarzalne, psychodeliczne. Pomimo późnej pory, odpowiedzialni za nie mieszkańców pojawiiali się co jakiś czas w zasięgu jego wzroku. Widział już mieszkańców Barachła w neutralnych dzielnicach, ale wyglądało na to, że natrafiał jedynie na tych najmniej spaczonych. Niektóre z mijanych przez niego kreatur w najmniejszym stopniu nie przypominały ludzi. Co więcej, mutacje wielogatunkowych hybryd były tak dalece posunięte, że nie przypominały żadnych znanych mu zwierząt.

Szedł szybkim krokiem, nie mógł jednak utrzymać odpowiedniego kierunku ze względu na chaotyczną zabudowę dzielnicy. Co chwila musiał zwracać, bo okazywało się, że dana uliczka jest ślepa. Właśnie w jednym z takich zaułków napotkał kłopoty.

Drogę zagrodziły mu trzy postacie niczym z koszmaru. Dwie z nich poruszały się w pozycji wyprostowanej. Pierwsza miała posturę i futro szympansa, lecz ryj pancernika, a z jej grzbietu wyrastał wachlarz długich kolców. Druga, stojąca na smukłych, ptasich nogach, miała krótkie rączki uzbrojone w potężne szpony i dziób tukana. Ostatni, masywny, czworonożny osobnik wyglądał jak olbrzymia, włochata jaszczurka. Mógł być hybrydą warana, kapibary i Ziz wie, czego jeszcze.

Napastnicy nie odezwali się ani słowem. Zbliżali się do niego powoli, szykując się do ataku.

Trey dobył miecza oraz sztyletu i zapytał gardłowo:

— Aba ug saď?⁹

Nie doczekał się odpowiedzi. Był może nie potrafił mówić, ale bynajmniej nie byli głupi. Zaatakowali niemal jednocześnie. Najbardziej do przodu wysforował się włochaty jaszczur, który otrzymał błyskawiczne cięcie na pysk. Rana nie była śmiertelna, jednakże leżąca się z niej krew oślepiała mutanta. Balansem ciała Trey uniknął ciosów ptasiej kreatury i odpłacił się jej mocnym kopniakiem w chudą nogę, łamiąc ją w tydce. Pancerniko-szympanas chciał się na niego rzucić, lecz brakło mu odwagi, gdyż kotołak cały czas mierzył w jego kierunku trzymanym w lewej ręce sztyletem. Arad úš wycofał się w głąb zaułka, przygotowując się na kolejne starcie, do którego ostatecznie nie doszło. Okaleczeni agresorzy mieli już dość i salwowały się ucieczką. Ptasysko musiało skakać na jednej nodze, a jaszczur cały czas machał łbem na prawo i lewo, strząsając z mordy oślepiającą krew. Kolczasty towarzysz po chwili namysłu podążył ich śladem.

9 Który zginie pierwszy?

Zabójca prychnął z pogardą. Adrenalina i gładkie zwycięstwo nad liczniejszym przeciwnikiem sprawiły, że poczuł się wyjątkowo dobrze. *Móglbym się od tego uzależnić*, przeszło mu przez głowę. Schował broń i wrócił do poszukiwań nietypowej budowli.

Zgodnie z tym, co powiedział mu postaniec, schodkowa piramida znajdowała się na obrzeżu Barachła. Samotna, kamienna budowla skryta w zaroślach. Nie była nazbyt duża. Bok jej podstawy miał około pięćdziesięciu stóp, wysokość wynosiła nie więcej niż trzydzieści. Otaczała ją skromna fosa, którą pokonywało się kładką wykonaną z kamiennej płyty. Nie posiadała drzwi ani wrót, a do jej środka wchodziło się przez prostokątny otwór we frontowej ścianie, z którego dobywała się delikatna, karmazynowa poświata.

Wkraczając do środka, poczuł dobrze znany mu zapach. Miejsce śmierdziało krwią, było wręcz przesiąknięte jej odorem. Zrozumiał, dlaczego dawane przez kaganki światło miało tak nienaturalny kolor. Nie były one wypełnione oliwą, lecz posoką, płonącą dzięki magii krwi.

Pokonawszy krótki korytarz znalazł się w obszernym pomieszczeniu, którego centralny punkt stanowił niewielki basen również wypełniony krwią. Kotołak widział już wiele mrocznych miejsc, siedział nawet w lochu Inkwizycji i był przesłuchiwanym w jej sali tortur, ale to pomieszczenie zrobiło na nim większe wrażenie. Naprzeciw niego, po drugiej stronie basenu, stał surowy, wykonany z jednego kamiennego bloku tron. Za tronem wznosił się również kamienny ołtarz, na którym leżały srebrne naczynia i ceremonialne noże. Poza basenem, tronem i ołtarzem, w przyprawiającej o gęsią skórkę sali nie zauważył niczego więcej.

Obszedł basen i przyglądał się przedmiotom umieszczonym na ołtarzu, gdy kątem oka dostrzegł postać wyłaniającą się z pogrążonego w półmroku otworu, znajdującego się w jednym z rogów pomieszczenia. Odwrócił się powoli w jej kierunku, trzymając prawą dłoń na rękojeści miecza. Postać okazała się być poznanym wcześniej posłańcem.

— Silim dug. — Ubryany w białe szaty młodzieniec przywitał się tak samo jak na moście.
— Silim šè.

— Trochę musieliśmy na ciebie czekać, ale wiedziałem, że twoja kocia ciekawość wreszcie zatriumfuje. Mój mistrz przyjmie cię w swojej komnacie na górze. — Dostrzegł broń kotołaka, lecz zdawał się nią nie przejmować.

— Prowadź zatem.

Uczeń skłonił się uprzejmie i ruszył z powrotem w kierunku ciemnego otworu. Nie tracąc czujności, Trey podążył za nim. Po wąskich schodach weszli na drugą i jednocześnie ostatnią kondygnację zigguratu. Znaleźli się w holu, w którego ścianach znajdowało się troje zwykłych, drewnianych drzwi. Te naprzeciw schodów stały otworem.

— Zapraszam do środka, Lotherbemmczyku. — Z wnętrza pomieszczenia rozległ się ciepły, serdeczny głos.

Trey nie dostrzegł broni u posłańca, puścił więc rękojeść miecza i wszedł do komnaty. Jej wyposażenie przypominało mu na myśl gabinet Liddo Debyiego, naczelnego alchemika Gildii. Regały pełne książek i dziwnego instrumentarium. Żeliwny piecyk, miedziane misy i srebrne narzędzia. Było dużo jaśniej niż na dole, lecz i tu światło miało krwisty kolor. Na ustawionym pod ścianą łóżku, pod grubym futrem, pół siedział, pół leżał brodaty mężczyzna.

— Proszę, usiądź — zaproponował i skinieniem głowy wskazał mu obite miękkim materiałem krzesło. — Na pewno natrudziłeś się, szukając tego miejsca. Wyczuwam też krew. Czyżbyś był ranny?

Trey spoczął na krześle.

— Ja? Nie. Po drodze spotkałem kilka hybryd, które okazały się mniej gościnne od ciebie. Widocznie po wszystkim nie dość dokładnie wytarłem miecz i stąd zapach krwi.

— Mam nadzieję, że nie potraktowałeś ich zbyt surowo. Może niektórzy mieszkańców Barachła rzeczywiście wyglądają jak potwory i nie zawsze potrafią się odpowiednio zachować, ale trzeba pamiętać, że są to biedne, skrzywdzone istoty.

— Będą żyli — uspokoił go zabójca.

— Cieszę się z tego powodu. Każdy zasługuje na życie. — Mężczyzna zamilkł na chwilę, próbując sobie coś przypomnieć.

Trey nie był w stanie oszacować jego wieku. Szpakowata broda i ciemna karnacja sprawiały, że równie dobrze mógł mieć czterdzieści, co sześćdziesiąt lat.

— Ehh, wybacz mi sklerozę, zapomniałem się przedstawić. Nazywam się Lou'wily'dei, ale wystarczy, jeśli będziesz mi mówił Lou.

— Trójczłonowe imię? — Kotołak nie krył zdziwienia. — Myślałem, że tylko hybrydy ich używają.

— Kiedyś posiadałem zwykłe, ludzkie imię, ale odkąd poświęciłem się pomaganiu mieszkańcom, zmieniłem je na coś bardziej odpowiedniego.

— Czyli zajmujesz się niesieniem pomocy hybrydom? A cała ta krew w basenie, w kagankach, ołtarz i ceremonialne noże to pewnie zostawił po sobie poprzedni lokator piramidy?

— Treyowi ciężko było uwierzyć, że tak przerażające miejsce może służyć szlachetnemu celowi.

Gospodarz wybuchnął śmiechem, który po chwili przemienił się w atak kaszlu. Gdy się uspokoił, odparł:

— Cięty język, typowy dla kotołaków. Chciałbym, aby moi uczniowie byli tak dowcipni — powiedział podniesionym głosem, tak by mógł usłyszeć go posłaniec, który pozostał za wciąż otwartymi drzwiami. — Cóż, magia krwi może wydawać się przerażającą, ale to od osoby nią władającej zależy, jak zostanie wykorzystana. Tak samo jak nóż, którym można kroić chleb, ale również zabić.

— Jestem w Byhrid od dwóch miesięcy i jeszcze nie widziałem, żeby ktoś jadł tu chleb.

— Haha. — Lou znów się zaśmiał. — Słyszałem, że Arad úš słyną ze swych umiejętności władania mieczem, ale nie wiedziałem, że równie wprawnie posługujecie się sarkazmem.

— To raczej moja osobista cecha. — W przeciwnieństwie do brodacza, Trey był całkowicie poważny. — Wystarczy już tego dowcipkowania. Powiedz, dlaczego chciałeś się ze mną widzieć.

— Ponoć, gdy przybyłeś do Byhrid, miałeś ze sobą pewien bardzo rzadki artefakt. Czy podejrzewasz, o czym mówię?

— Zapewne o piórze Ziza.

— Ha. Wiedziałem, że tak odpowiesz. Otóż *błęd*. Bajki o Zizie mnie nie interesują. Szkoda na nie czasu. Oczywiście pochodzenie samego pióra jest zagadką, ale takich zagadek jest znacznie więcej. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu akurat ta obrosła w legendę.

— Sam czytałem pisemne relacje z przeszłości, mówiące o jego pojawienniu się na niebie. I to nie w jakichś niesprawdzonych źródłach, ale w oficjalnych kronikach Lotherbemm. — Kotołak próbował bronić symbolu swojej organizacji.

— Nasz nieboskłon wraz z otaczającymi planetę pierścieniami jest na tyle skomplikowany, że przy odrobinie wyobraźni można na nim dojrzeć dosłownie wszystko. Jestem więc sceptycznie nastawiony co do wspomnianych przez ciebie zapisków.

— Może i masz trochę racji. — Trey nie zamierzał się spierać. — Zostawmy już Ziza w spokoju. Oprócz jego pióra miałem przy sobie same najzwyklejsze przedmioty, nie wiem więc, o co może ci chodzić.

— Wygląda na to, że pamięć zawodzi nie tylko mnie. — Lou uśmiechnął się dobrotnie.

— A kieł, który ci odebrano? Czy to nie był kieł Behemota?

— No tak, miałem kieł Bestii. Co w nim takiego niesamowitego?

Kotołaka zdziwiło zainteresowanie zębem menstrualnej hybrydy. Poza rozmiarami nie różnił się niczym od kłów innych drapieżników. Nie wiedział, po co Jarmis mu go dał. Potraktował go jako bezużyteczną pamiątkę, rzucił na dno torby i zapomniał o nim.

— Nie chodzi o sam kieł, lecz o to, skąd go masz — powiedział podekscytowany Lou. — Nie wygląda na skamielinę, a my tutaj w l'rever'te byliśmy przekonani, że wszystkie Behemoty zostały wytępione.

— W Lotherbemm tak, ale w górach Sinmow, w strefie wiecznego śniegu, wciąż uchowała się niewielka ich populacja. Kieł dał mi mój przyjaciel. Właściwie to w jego sprawie tutaj przyszedłem. Nie miałem pojęcia, czego spodziewać się po naszym spotkaniu, ale skoro twierdzisz, że zajmujesz się pomaganiem hybrydom, to może i jemu będziesz w stanie pomóc.

— Co z nim nie tak? Jaki problem może mieć szczęściarz, który przeżył spotkanie z Behemotem? No chyba, że dostał ząb od kogoś innego.

— Nie, sam go zdobył. Sęk w tym, że on nie zabił Bestii tak po prostu. On wchłonął jej duszę i teraz...

— Że co? — Lou przerwał mu bezpardonowo. Osadzone głęboko w oczodołach oczy niemal wyszły mu na wierzch. Błyszczały z podniecenia. — Wchłonął duszę?

— No tak, przeprowadził rytuał krwi i posiadł duszę Bestii.

— Kiedy to się stało?

Trey musiał się chwilę zastanowić, by podać prawidłową datę.

— Jedenaste lat temu.

— To niemożliwe! Przyszedłeś tutaj, by stroić sobie ze mnie żarty? — Lou był bardziej zawiedziony niż oburzony. W jego głosie dało się słyszeć roczarowanie. — Nikt nie mógłby tyle wytrzymać z Bestią w głowie. Za czasów Wojen Potworności, jak to nazywacie je na północy, próbowali tego dziesiątki naszych szamanów. Wszyscy wariowali w ciągu kilku pierwszych dni. Jak więc twój przyjaciel wytrwał jedenaście lat? — zapytał, nie licząc na żadną sensowną odpowiedź.

Kątem oka Trey dojrzał, że stojący za drzwiami posłaniec nagle gdzieś zniknął. Atmosfera panująca w piramidzie sprawiała, że wciąż czuł się spięty. Poprzysiągł sobie nie tracić czujności, po czym odpowiedział:

— Nie wiem. Może to dlatego, że wcześniej wchłonął duszę pewnej kobiety, a może po prostu jest twardym skurwysynem.

Lou chwycił się dlonią za czoło w geście olśnienia.

— Wcześniej wchłonął duszę kobiety. Wcześniej wchłonął duszę kobiety. Genialne. — Rozczarowanie nagle gdzieś wyparowało. — Tyle zmarnowanego wysiłku. Tyle bezsensownych poświęceń. A rozwiązanie było takie proste. — Już nic nie mówił, tylko śmiał się na głos i kręcił głową z niedowierzeniem. Po chwili jego śmiech przerodził się w paskudny kaszel.

Trey milczał, licząc na to, że wkrótce mu przejdzie. Tak też się stało.

— Wybacz mi moje zachowanie. Widzisz, całe życie param się magią krwi, a tu nagle przychodzisz ty i najpierw, choć niechcący, podważasz moją wiedzę na jej temat, a zaraz potem podajesz mi rozwiązanie jednej z jej największych zagadek.

— W porządku, nie chowam urazy.

— Dziękuję. Nie wiesz, jak wiele to dla mnie znaczy — zapewnił Lou i poprawił futro, pod którym leżała. — A wracając do tematu: nie tylko Lotherbemm prowadzi kroniki, w Byhrid robimy to samo. Dzięki nim wiem, jak niesamowitą istotą jest Behemot oraz jakie możliwości dawała praca z jego krwią. Jak już wspomniałem, przed wiekami wielu szamanów oddało swe życie, by posiąść jej moc. Nikomu się to jednak nie udało. A wystarczyło połączyć ze sobą dwie dusze.

— Wystarczyło? Przecież to największa zbrodnia, jakiej można dokonać — oburzył się Trey.

— Owszem. Zgadzam się w zupełności. — Lou kiwał głową, przyznając mu rację. — Jest to okropna zbrodnia, ale tylko wtedy, gdy wchłaniasz czyjas duszę przemocą. Ówcześni szamani

byli tak oddani sprawie, że bez wahania oddawaliby je dobrowolnie. Gdybyśmy kontrolowali moc Bestii, Wojny Potworności zapewne zakończyłyby się naszym zwycięstwem.

Treya przeszła niepokojąca myśl, że być może oto przekazał Dzikim wiedzę zdobycia broni doskonałej, która w nadchodzącej wojnie ostatecznie przechyli szalę zwycięstwa na ich korzyść.

Lou najwyraźniej wyczuł, o czym myśli jego gość, gdyż postanowił go uspokoić.

— Nie martw się. Nie wykorzystam tego, co mi uświadomiłeś, do walki z Lotherbemm. Jestem pokojowym człowiekiem. Gdyby zależało to ode mnie, nie byłoby żadnej wojny, ale młodzi nie lubią słuchać rad starców. Poza tym, popatrz na mnie. Nie pociągnę już dugo.

Choroba, chcąc uwiarystodnić jego słowa, przypomniała o sobie kolejnym atakiem kaszlu. Gdy doszedł do siebie, kontynuował:

— Już przypuszczam, jakiej pomocy szukasz dla swojego przyjaciela. Życie z Bestią musi być koszmarem. Jednak, zanim będę w stanie mu pomóc, muszę dowiedzieć się o nim wszystkiego, co wiesz. Wszystkiego.

Lou chciał wiedzieć wszystko, więc Trey zaczął snuć historię o Jarmisie od początku, czyli od wchłonięcia duszy Pięknej. Następnie mówił o jego wyprawie do Simmow i polowaniu na Bestię, zmianach fizycznych, jakie zaszły w nim po drugim rytuale, oraz niesamowitych zdolnościach, jakie zyskał. W końcu przeszedł do najtrudniejszej części, a mianowicie opisu mentalnych zmagań Jarmisa z potworem. Jako że przyjaciel rzadko rozmawiał na ten temat, musiał wzbogacać opowieść o własne obserwacje. Lou słuchał uważnie, jedynie sporadycznie dorytując o jakieś interesujące go szczegóły. Gdy wydawało mu się, że powiedział już wszystko, co wie, wyjawił starcowi jedyne marzenie Jarmisa.

— Tak jak przypuszczałem — skomentował Lou'wily'dei. — Odczynić rytuał. Mam dla ciebie dobrą i złą wiadomość.

— Zacznię od dobrej — rzucił szybko Trey.

— Rozdzielenie dusz, między którymi nie doszło do scalenia, a taki przypadek dotyczy twojego przyjaciela, jest możliwe. Nie znam co prawda odpowiedniego rytuału, gdyż wchłanianie dusz ludzi czy ludzkich hybryd jest u nas zabronione i nigdy nie przypuszczałem, że wiedza taka może mi się przydać. Są jednak w Byhrid księgi, które powinny zawierać wszystkie potrzebne nam informacje. To była ta dobra wiadomość. Teraz czas na złą.

Zabójca skinął głową na znak, że jest gotów.

— Nie mam wątpliwości, że twój przyjaciel zapłaci za swoje marzenie życiem. Chodzi mi oczywiście o jego ziemskie życie.

— Brałem to pod uwagę. On też. Jedyną rzeczą, jakiej boi się Jarmis, to wieczność z Bestią. Jeśli śmierć może go przed nią uchronić, przyjmie ją z uśmiechem na ustach.

W pomieszczeniu o trzech skośnych ścianach na dłuższą chwilę zapanowała cisza.

— Nie spodziewałem się, że spotka mnie w życiu jeszcze coś ciekawego — przemówił wreszcie Lou. Był niesłychanie poważny. — Leczenie Spaczonych, na których szamani Czystych nawet nie raczą spojrzeć, było moim powołaniem i przynosiło mi satysfakcję, ale ostatnimi laty zaczęło brakować mi sił. Aż tu nagle pojawiłeś się ty i stawiasz przede mną zadanie, przy którym wszystko, czego do tej pory dokonałem, wydaje się kompletnie nieistotne. Zbawienie duszy, i to nie jednej, lecz dwóch. — Pokręcił głową w zadumie. — Przynadam ci się, że gdy dowiedziałem się o twoim przybyciu do Byhrid, targały mną mieszane uczucia. Z jednej strony chciałem dowiedzieć się, skąd masz kieł, z drugiej zaś odrzucała mnie myśl o spotkaniu z kimś, kto trudni się zabijaniem. Teraz jednak wiem, że postąpiłem słusznie, posyłając po ciebie Alkina.

Trey był Arad úš od wielu lat i choć nigdy nie lubił zabijania, zdołał się już pogodzić sam ze sobą. Uważał, że takie było jego przeznaczenie. Mimo to słowa mężczyzny, który całe życie pomagał innym, a teraz miał uratować Jarmisa, ukłuły go zimnym sztychem w serce. Przez chwilę miał ochotę zacząć się usprawiedliwiać, wiedział jednak, że nie ma usprawiedliwienia dla zabijania za pieniądze. Zapytał więc tylko:

— Od czego zaczniemy?

— Najpierw muszę zdobyć potrzebne książki. Wykorzystam do tego swoje stare znajomości. Może mi to zająć trochę czasu. Umówmy się, że odwiedzisz mnie ponownie za dwa tygodnie. Z chęcią ugościłbym cię wcześniej, ale sam przekonałeś się, że Barachło nie jest najbezpieczniejszym miejscem. Do tego czasu zajmij się czymś innym. Chyba nie muszę ci mówić, że nie powinieneś opowiadać nikomu o naszych planach. Gdy znów się spotkamy, zastanowimy się, co robić dalej.

Trey nie miał ochoty bezczynnie czekać, lecz póki co faktycznie nie wiedział, jak byłby w stanie pomóc.

— W porządku. Zjawię się za dwa tygodnie. — Wstał z krzesła i znów przegrał z nawykiem, wyciągając dłoń na pożegnanie. — Nawet nie wiesz, jak cieszę się, że tu przyszedłem. Dziękuję ci, iż zechciałeś mi pomóc.

— Cała przyjemność po mojej stronie — odparł Lou i uścisnął kocią łapę.

— Życzę zdrowia. Do zobaczenia.

— Do rychłego, Lotherebemczyku.

Alkin odprowadził go do wyjścia z zigguratu. Gdy znalazł się na zewnątrz, jego oczy boleśnie przyjęły fakt, że jest już jasno. Jego opowieść o Jarmisie musiała być znacznie dłuższa, niż mu się wydawało.

Opuszczając Barachło w świetle dnia, mógł jeszcze lepiej przyjrzeć się jego mieszkańcom. Nic dziwnego, że byli izolowani od reszty Byhrid. Zrobiło mu się ich żal. Większość z nich musiała przecież już urodzić się spaczona i nie mogła nic poradzić na swój wygląd. Widocznie nie dało się też nic zaradzić na ich szpetotę, w przeciwnym wypadku Lou na pewno by już to zrobił. Był pełen

podziwu dla dopiero co poznanego, życzliwego szamana krwi. *Złoty człowiek, gotów pomóc nawet takim skurwielom, jak ja i Jarmis.* Po nieprzespanej nocy, wróciwszy do swej chaty, położył się od razu do łóżka. Podekscytowanie związane z nadzieją na uratowanie przyjaciela długo nie dawało mu zasnąć, w końcu jednak zmęczenie zwyciężyło. Zapadł w głęboki, spokojny sen.

Oczekiwanie na rezultaty badań Lou było uciążliwe, postanowił więc znaleźć sposób na zabicie czasu. Przypomniał sobie, że Ed prosił go o udzielenie kotołakom szkolenia w zakresie szermierki. Wydało mu się to idealnym zajęciem. *Nie dość, że przy robocie czas płynie szybciej, to jeszcze wszyscy pomyślą, że angażuję się w wojnę po stronie Dżungli.* Poinformował tygrysołaka, że jest gotów przychodzić się do jego prośby i już następnego dnia rozpoczął treningi.

Choć nieczęsto, Gildii zdarzało przyjmować się w swe szeregi osoby nie mające bladego pojęcia o fechtunku, jeśli przejawiały nieprzeciętne umiejętności w innych dyscyplinach. Było tak choćby w przypadku Nomaca, najmłodszego stażem Arad úš, nie licząc Dew. Do momentu rekrutacji chłopak nigdy nie miał w ręku miecza, ale był utalentowany alchemicznie i mimo młodego wieku posiadał już sporą wiedzę o zielarstwie. Gildia potrzebowała kogoś takiego, gdyż jej główny specjalista w tych właśnie dziedzinach, Liddo Debby, pomału dobijał kresu swych dni. Jednak nawet najmocniejsza, najdoskonalsza trucizna nie oferuje takich możliwości, jak miecz, więc Nomac nie miał wyjścia i musiał nauczyć się nim władać. Trey brał udział w jego szkoleniu, miał więc już pewne doświadczenie w nauczaniu.

Grupa trzydziestu wojowników, którą przyszło mu trenować, nie była tak zielona jak początkujący Nomac, mimo to postanowił zacząć od podstaw. Chciał w ten sposób wychwycić i wyeliminować złe nawyki, których nie mający nigdy porządnego nauczyciela kotołacy z pewnością zdążyli już nabycić. Wiedział, że nawet najbardziej elementarne cięcie czy unik można wykonywać lepiej lub gorzej, a bez należytego ich opanowania nie ma sensu przechodzić do nauki bardziej zaawansowanych ruchów i figur. Nie był zresztą pewien, czy będzie miał czas nauczyć ich czegoś więcej niż podstaw ani, czy ma to sens. W jego wyobrażeniach o wojnie i bitwach, gdzie dwie potężne armie stają naprzeciw siebie, nie pozostało zbyt dużo miejsca na kunszt i finezję. Ważna była strategia, liczby, morale i jakość uzbrojenia.

Zwłaszcza z tym ostatnim nie było u Dzikich najlepiej. Dzień przed rozpoczęciem szkolenia zbrojmistrz Kotowatych, przezywany Stalową Panterą, pokazał mu, czym jego pobratymcy będą dysponować podczas wojny. Jego przydomek nie okazał się nazbyt adekwatny. Oręża wykonanego ze stali dostrzegł tu niewiele. Metal ten, tak powszechny w Lotherbemm, w Dżungli był cenniejszy niż złoto. Dzicy mieli dostęp jedynie do niewielkich złóż żelaza położonych daleko na zachód od Byhrid, u podnóża Górz Podziału. Na dodatek zdecydowana większość wydobywanego tam surowca trafiała w ręce Czystych, pozostałe plemiona otrzymywały śmieszne jego ilości. Dlatego też w zbrojowni dominowały włócznie z kamiennymi grotami, maczugami i luki.

Mieczy Trey naliczył tylko nieco więcej niż jego uczniów. Niedobór żelaza ograniczał także rozwój kowalstwa i jakość ich wykonania również nie była zadowalająca.

Narzekać nie było jednak sensu i Trey podjął się pracować z tym, co dostępne, zwłaszcza iż zdecydowały, że przez pierwszy etap szkolenia, dla własnego bezpieczeństwa, kotołaki będą używać drewnianej broni ćwiczebnej. Koci wojownicy byli z tego powodu wyraźnie niezadowoleni, uważały, że zabójca ma ich za niezdarnie kocie. Kilku z nich odmówiło nawet treningu. Trey wiedział, jak zaradzić tej sytuacji.

Pewny swych umiejętności, wyzwał jednego z protestujących na nierówny pojedynek. Polecił rywalowi dobyć drewnianego miecza, a sam pozostał bez broni. Zapewnił zebranych, że jeśli przeciwnikowi uda się go trafić, zezwoli im na trenowanie prawdziwym orężem.

Oburzony lekceważeniem okazywanym mu przez przybysza z obcej krainy, wojak bez słowa ostrzeżenia zaatakował z furią. Machał mieczem na prawo i lewo, za wszelką cenę pragnąc przyłożyć Treyowi jak najmocniej. Lotherbemmczyk unikał ciosów z godną podziwu gracją, co jakiś czas wymierzając swojemu rywalowi niewinnego kuksańca, co tylko pogłębiało jego rozruszenie. Wszyscy obserwujący widowisko bawili się świetnie, mimo iż podzielili się na dwa obozy dopingujące komu innemu. W końcu zabójca, chcąc oszczęścić oponentowi dalszego upokorzenia, wyczekał, aż ten wyprowadził kolejne niecelne, zamaszyste uderzenie, przechwycił jego rękę i wykręcił ją, zmuszając do wypuszczenia broni. Obrócił przeciwnika i znalazł się za jego plecami, a następnie kopnął delikatnie pod kolano, obalając go na ziemię. Od tego czasu już nikt nie podawała jego metod nauczania.

Ćwiczyli po cztery godziny dziennie. Trey był zadowolony z ich postępów. Najzdolniejszym już po tygodniu pozwolił na używanie stalowych ostrzy, co tylko zwiększyło motywację pozostałej części grupy. Ed często zjawiał się na treningach i nadzorował ich przebieg. Chciał wiedzieć, czego może oczekiwany po miecznikach, którzy mieli być elitarnym oddziałem dowodzonej przez niego armii kotołaków.

Gdy minęły dwa tygodnie od jego ostatniego pobytu w Barachle, Trey zgodnie z umową ponownie odwiedził Lou. Niestety, wizyta nie okazała się tak przełomowa, jak na to liczył. Schorowany mag krwi, choć poczynił pewne postępy, wciąż nie dowiedział się wszystkiego, czego chciał. W ich wspólnym przedsięwzięciu nie było miejsca na błędy, więc Trey ze zrozumieniem zaakceptował prośbę szamana o dodatkowy miesiąc na badania.

Tydzień po spotkaniu z Lou, po zakończonym treningu, Trey jak co dzień spożywał posiłek wraz ze swoimi uczniami. Już kończył jeść swoją porcję pikantnego gulaszu z tapira, gdy pojawił się Ed i przysiadł do niego.

- Dobre to? — zapytał, wskazując pazurem miskę z jedzeniem.
- Nie chciałbym wyjść na zarozumialca, ale zrobiłbym lepsze — odpowiedział szczerze zabójca.

- Nie wiedziałem, że potrafisz gotować.
- Potrafię i to całkiem nieźle, ale robię to tylko dla innych. Sam wolę wpieprzać na surowo. Taki to już jestem pełen sprzeczności.
- Jeśli nie masz dla kogo gotować, to ja zawsze chętnie wciążnę coś na gorąco.
- Pomyślę o tym — zgodził się Trey.
- Nie przyszedłem tu jednak gadać o sprawach kulinarnych. Mych spiczastych uszu doszły najnowsze wiadomości. Tazaar wraca za tydzień — oznajmił na tyle głośno, by mogli go usłyszeć także pozostali wojownicy. Informacja momentalnie wywołała wśród nich ożywioną rozmowę, choć zwykli jadać w ciszy.
- Co to dla mnie oznacza? — spytał zabójca po krótkiej chwili zadumy.
- Dla ciebie? Nie wiem. Wiem za to, co oznacza dla Byhrid. — Strzelił szelkami i uniósł brwi, zadowolony. — Igrzyska.

Rozdział czternasty – Duch Sternika

Ostatni dzień ósmego obiegu Bliźniaków. 235 dzień roku. Północna Prowincja. Północny gościniec. Wieczór.

Nieustanna walka z Bestią, chroniczne łamanie w plecach oraz kac niemal każdego ranka już i tak dawały się mu mocno we znaki, lecz jakby tego było mało, teraz na dokładkę musiał borykać się z raną zadaną przez niedźwiedzia. Każdy większy podskok na grzbiecie idącego stępiem konia rozrywał lewy bark Jarmisa przeszywającym bólem. Do tego wszystkiego dochodziła jeszcze wysoka gorączka. Po sześciu godzinach od opuszczenia Welfare, dojechawszy do niewielkiego zrębu, ledwie trzymający się w siodle zabójca zarządził postój.

Gdy poprzedniego wieczora zdecydował się zabrać ze sobą Derrecka do stolicy, myślał głównie o korzyściach, jakie wiążały się ze sprzymierzeniem z Wywiadem Wewnętrzny. Śmierć Raya sprawiła, że był gotów porzucić część zasad obowiązujących Arad úš oraz swoje osobiste przyzwyczajenia, byleby tylko dorwać Ościenia i ludzi, którzy być może za nim stali. Nie przypuszczał jednak, że szpieg będzie musiał służyć mu za opiekunkę.

Najważniejszymi spośród rzeczy, które przed wyruszeniem dostarczył mu Dew, były nowy płaszcz oraz spodnie, stalowy łuk ze strzałami, a także zapas leków i bandaży, którymi opatrywał go szpieg. Przed ułożeniem się do snu, półprzytomny Jarmis zażył jeszcze eliksir na gorączkę i popił go winem.

Derreck, który wolął, by zwracano się do niego *Rick*, zabrał się za zbieranie chrustu na ognisko. Po raz pierwszy od wielu lat miał spędzić noc poza miastem.

Z każdym kolejnym dniem Jarmis czuł się coraz lepiej. Tempo, w jakim goiąła się rana, było dla Ricka czymś niesłychanym. Od spotkania w magazynie zdawał sobie sprawę z tego, że zabójca jest kimś niezwykłym. Nadprzyrodzona siła i wytrzymałość, wyostrzone zmysły i zdolności regeneracyjne wzbudziły podejrzenia, że może nawet nie być człowiekiem. Kiedy pewnego razu przyłapał go na lizaniu rany i zobaczył jego czarne, przycięte pazury, wszelkie wątpliwości się rozwijały. Przy okazji zrozumiał także, dlaczego zabójca nie ściągał swych skórzanych rękawic nawet w trakcie jedzenia, co strasznie go obrzydzało. Postanowił jednak nie zadawać żadnych pytań, przekonany, że małomówny Jarmis i tak nie podzieliłby się tajemnicą.

Mimo leczniczych właściwości własnej śliny oraz zażywanych lekarstw, Jarmis wciąż nie odzyskał pełni sił. Nie był w stanie polować, co zmuszało ich do stołowania się w gospodach. W związku z tym, gdy wieczorem dziesiątego dnia wyprawy dojechali do Girtab, sługa krwi stanął przed ważkim dlań dilemma: zaryzykować bycie rozpoznanym przez mieszkańców wsi czy podjąć daremną próbę oszukania żołądka resztką sucharów, jaka im została, i spędzić kolejną noc pod gołym niebem? Koniec końców łakomstwo zwyciężyło.

Zostawili wierzchowce pod opieką chłopca stajennego i skierowali się do gospody. Gdy znaleźli się w środku, ku ucieście Jarmisa, okazało się, że ruch jest niewielki. Zajęli miejsca w jednym z rogów izby i czekali na służkę. Powabna, drobna brunetka zjawiła się po chwili, by przedstawić krótki jadłospis. Po namyśle Rick zażyczył sobie pulpety wołowe w sosie grzybowym z kaszą, natomiast Jarmis zdecydował się na pieczone prosię. Oczywiście nie obeszło się bez tłumaczenia dziewczęciu, że zabójca sam zamierza zjeść małego wieprzka i nie czeka na żadnych spóźnionych kompanów.

Jadło okazało się wyborne. Jarmis był zadowolony z podjętej decyzji do czasu, aż Rick przywołał karczmareczkę w celu uiszczenia zapłaty.

Dziewczyna podbiegła niezwłocznie, wyglądając przy tym na zakłopotaną.

— Kucharz spisał się wysmienicie, proszę go od nas pochwalić. Obsługa była również więcej niż zadowalająca. — Szpieg uśmiechnął się ciepło. Lubił prawić ludziom komplementy, ale tylko wtedy, gdy na to zasługiwali. — Z pewnością jeszcze odwiedzimy was jutro przed wyjazdem, lecz teraz musimy już iść i chcielibyśmy zapłacić. Ile się należy?

— Nie, nie moglibyśmy nic przyjąć — wybąkało dziewczę, oblewając się przy tym rumieńcem. — Pański przyjaciel zrobił dla nas tak wiele. Jesteśmy mu dłużni po wsze czasy.

Rick zrobił zdziwioną minę i spojrzał pytająco na Jarmisa, który tylko pokręcił głową poirytowany. Przez cały czas siedział plecami do sali, przy składaniu zamówienia ani razu nie spojrzał na karczmareczkę, a mimo to ktoś go rozpoznał.

— Musiałaś mnie z kimś pomylić, dziewczyno — oznajmił stanowczo.

— Początkowo pana nie poznalałam, ale teraz mam pewność. — Młoda nabrala nieco odwagi. — To pan uratował mojego kuzyna, gdy ugryzła go osa, a na dodatek pozbył się pan bandytów. Od tamtego czasu w całej okolicy nie doszło do żadnej napaści.

— Wspaniale. Cieszy mnie, że twojemu kuzynowi i całej wiosce się powodzi. — Jego słowa były oschłe. — Skoro już rozszyfrowałaś moją tożsamość, to chyba przenocujemy u was. Macie wolne pokoje?

— Oczywiście, dla pana zawsze — odparła, po czym wbiła wzrok w podłogę. — Niestety jeśli chodzi o mojego kuzyna, to muszę pana zmartwić. Dolan zmarł na grypę trzy tygodnie temu. Nie zmienia to jednak faktu, że pana dobroć zapewniła mu kilka dodatkowych miesięcy życia.

Jarmis zdawał się być zaskoczony, by po chwili wybuchnąć gromkim śmiechem. Jego reakcja wprawiła zarówno dziewczynę, jak i Ricka w zakłopotanie.

— Czyli jednak wszystko po staremu. Co bym nie zrobił, ostatecznie i tak przynoszę tylko śmierć. — Zabójca nadal zanosił się śmiechem. — Zaprowadź nas do pokoi i dopilnuj, by już nikt nam nie przeszkadzał — polecił, wstając od stołu.

Karczmareczka zrobiła, o co poprosił, lecz nie odezwała się już do niego ani słowem.

Drugi dzień ósmego obiegu Białego Karła. 237 dzień roku. Wschodnia Prowincja. Dolny Szpon. Wieczór.

Ostatni z Przyjemniaczków Mircei, którego chcieliśmy wykorzystać do ujęcia mordercy generała, nie żyje od kilkunastu lat – tak w dużym skrócie brzmiał raport porucznik Ignae. Jo'Keffe przyjął go ze stoickim spokojem. Agentka wolałaby otrzymać naganę, zostać zbesztana, a nawet zawieszona. Zachowanie słynącego z surowości szefa budziło w niej niepokój. Co gorsza, arcyszpieg nadal nie dał po sobie poznać, dlaczego traktuje ją w sposób wyjątkowy. Choć nie zdobyła żadnych informacji mogących pomóc w schwytaniu mściciela, postanowił wysłać ją i jej ludzi na wybrzeże, co pierwotnie miało być nagrodą za powodzenie misji.

Ich nowe zadanie polegało na przesłuchaniu marynarza, który pomógł Nickowi Brucondeisowi dostać się na kontynent. Mieli ustalić, kto wydostał młodego księcia z niewoli piratów. Mężczyzna posiadał dom w Dolnym Szponie, ale uprzedzono ich, że bywa w nim dość rzadko, dzięki czemu, przy odrobinie szczęścia, będą mieli okazję odpocząć kilka dni na piaszczystych plażach Zatoki Gryfów.

Po dotarciu na półwysep odwiedzili lokalną siedzibę Gildii Złodziei, by dowiedzieć się, gdzie znajduje się dom marynarza, po czym rozpoczęli obserwację. Mijały kolejne dni, a marynarz nadal się nie pojawił. Jego niewielka, drewniana chatka stała na łagodnym wzniesieniu oddalonym nie więcej niż dwieście jardów od brzegu. W związku z tym szpiedzy mogli przesiadywać w ciągu dnia na plaży, jednocześnie mając oko na dom mężczyznę oraz przystań, do której zazwyczaj cumował łódź. W nocy jeden z agentów kontynuował czuwanie, podczas gdy pozostała dwójka odpoczywała w oddalonej o pięć minut drogi oberży.

Do tej pory Ignae tylko raz była nad morzem. Gdy była jeszcze dzieckiem, ojciec zabrał ją do Obserwatorium, aby jak każdy porządkowy Lotherbemczyk na własne oczy ujrzała święte, skrzydlate potwory. Majestatyczne gryfy spodobały się małej Ignae, lecz to ocean wydał się jej prawdziwie fascynujący. Orzeźwiająca bryza, szum hipnotyzujących fal, a przede wszystkim nieustępliwość, z jaką błękitny bezkres raz po raz próbował wedrzeć się na ląd, wszystko to sprawiło, że dziewczynka zakochała się w wielkiej wodzie. Kiedy w końcu nadszedł czas powrotu, rozplakała się straszliwie, jednak mimo to po latach okazało się, że wizyta w Obserwatorium była jej najszczęśliwszym wspomnieniem z dzieciństwa oraz jedną z nielicznych rzeczy, za jakie była wdzięczna ojcu.

Carol Ignae na życie zarabiał nauczaniem szermierki młodych szlachciców i uchodził za jednego z najlepszych fechmistrzów w Wartegall. Choć sam do niej nie należał, kontakty z arystokracją pozwoliły mu zgromadzić pokaźny majątek. Prywatnie był bezkompromisowym, apodyktycznym tradycjonalistą. Claudine była jego jedynym dzieckiem, prawdziwym oczkiem w głowie. Odkąd tylko przyszła na świat, snuł plany dotyczące jej przyszłości. Najczęściej wydałyby

ją za mąż za arystokratę, niekoniecznie zamożnego, byleby tylko córka awansowała w społecznej hierarchii. Na wypadek, gdyby taki scenariusz z jakichś względów okazał się niemożliwy do zrealizowania, Carol Ignae dopilnował, by jego jedynaczka otrzymała wykształcenie pozwalające na wykonywanie jakiegoś szanowanego, żeńskiego zawodu. Mała Claudine z entuzjazmem uczyła się pisać i czytać, chętnie poznawała podstawy matematyki i ludzkiej anatomii, a nawet starała się opanować trudny język ludzi pustyni. Nie znosiła natomiast lekcji dworskiej etykiety, śpiewu oraz gry na harfie, co było powodem pierwszych poważnych spięć z ojcem.

Młoda Claudine niejednokrotnie miała okazję obserwować ojca podczas pracy. Początkowo głównym uczuciem, jakie jej wtedy towarzyszyło, był strach o to, że komuś stanie się krzywda, lecz po pewnym czasie szermierka zaczęła ją fascynować. W trakcie znienawidzonych lekcji tańca coraz częściej fantazjowała o tańcu z mieczem. Wreszcie zebrała się na odwagę i zapytała ojca, czy nie zechciałaby jej uczyć, ale ten tylko ją wyśmiał. Jego reakcja mocno zraniła nastoletnią Ignae, która poprzysięgła sobie wówczas, że i tak nauczy się walczyć, choćby po to, by zrobić mu nałość. W realizacji postanowienia zgodził się jej pomóc jeden z jego uczniów, sympatyczny szlachcic o dwa lata starszy od Claudine. Przez kilka miesięcy trenowali potajemnie i z czasem się zaprzyjaźnili. Niestety, w końcu ktoś doniósł Carolowi Ignae o tych spotkaniach. Doszło do poważnej awantury, w rezultacie której młody szlachcic zmuszony był poszukać sobie nowego nauczyciela, a Claudine przez pół roku nie mogła wychodzić z domu, bodaj na targowisko czy do świątyni. Szlaban tylko pogłębił żal dziewczyny do rodziców. Matka Ignae była całkowicie podporządkowana mężowi i zawsze trzymała jego stronę. Nastolatka nienawidziła jej uległości jeszcze bardziej niż despotyzmu ojca.

Po osiągnięciu pełnoletniości, czyli w wieku lat szesnastu, Ignae postanowiła wyprowadzić się z domu. Nie miała oszczędności ani żadnej dalszej rodziny, która by ją przyjęła, musiała więc szybko znaleźć pracę. Nadal odczuwała silną potrzebę czynienia ojcu nałość, toteż w grę wchodziły jedynie prawdziwie męskie zawody. Próbowała dostać się do straży miejskiej, czym wywołała histeryczny śmiech urzędnika odpowiedzialnego za nabór. Armia mogła zaoferować jej jedynie posadę sanitariuszki, która w jej mniemaniu była zbyt kobieca. Dopiero w Wywiadzie Wewnętrzny znalazła coś odpowiedniego. Choć przytłaczającą większość szpiegów stanowili mężczyźni, to niektórych operacji po prostu nie sposób było przeprowadzić bez pomocy kobiet. Zwłaszcza ładnych, młodych kobiet.

Przyjęto ją na okres próbny. Do jej pierwszych obowiązków należało przepisywanie raportów, sporządzanie notatek z przesłuchań świadków i dostarczanie rozkazów agentom pracującym na ulicach Wartegall. W wolnym czasie poznawała różne metody szyfrowania wiadomości, pracowała nad swoją spostrzegawczością oraz uczyła się, jak śledzić ludzi, by pozostać niezauważoną. Wróciła też do treningów szermierki.

Po roku od wstąpienia w szeregi Agencji wzięła udział w swojej pierwszej, poważnej misji. Wywiad zaaranżował jej zatrudnienie w roli służki na dworze barona podejrzewanego o malwersacje podatkowe związane z handlem drewnem. Po zaledwie miesiącu pracy pod przykrywką udało się jej zdobyć dokumenty świadczące o jego winie. Baron często kierował w jej stronę niedwuznaczne uwagi, kilka razy klepnął ją też w pupę, toteż gdy proces zakończył się pozbawieniem go tytułu oraz majątku, tym większą satysfakcję poczuła ze swojej pracy. Od tego momentu miała pewność, że decyzja o ucieczce z domu była słuszna.

Pięć lat później została pierwszą w historii panią oficer Wywiadu Wewnętrzного, co znacznie ułatwiło jej pogodzenie się z rodzicami. Co prawda Carol Ignae nadal od czasu do czasu wspominał coś o *ustatkowaniu się*, ale z zaskakującą dla niego samego przyjemnością pomagał jej też w szlifowaniu szermierskiego talentu.

Wieczorem ósmego dnia pobytu w Dolnym Szponie wreszcie nastąpił kres oczekiwania. Dwight, który pełnił akurat wartę, dostrzegł łódź cumującą do przystani. Czym przedzej pobiegł poinformować o tym towarzyszy i kwadrans później cała trójka stała już pod drzwiami marynarza. Ignae zapukała energicznie. Usłyszeli dudnienie kroków oraz zgrzyt zardzewiałego skobla.

— Kim jesteście? — zapytał Al, otworzywszy drzwi na oścież. Kryształki soli morskiej na jego ubraniu świadczyły o tym, że nie zdążył się jeszcze przebrać. W ręku trzymał pogrzebacz.

— Wywiad Wewnętrzny. — Ignae wyciągnęła spod koszuli odznakę, którą nosiła na łańcuszku, niczym medalik. — Al Lumdon, czy tak?

— Tak, to ja. Jednak nie mam dla was teraz czasu. Dopiero co wróciłem z morza i właśnie rozpalałem ogień, by w końcu zjeść coś cieplego. — Wymierzył pogrzebacz w kierunku agentów.

— Przyjdzie jutro rano.

— Obiecujemy, że to nie zajmie długo. — Dwight stopą zablokował drzwi przed zamknięciem.

Marynarz zmierzył całą trójkę chłodnym wzrokiem. W końcu dał za wygraną, puścił klamkę i skinięciem głowy zaprosił agentów do środka.

— Możecie usiąść na krzesłach lub tapczanie. W fotelu będę siedział ja — poinstruował intruzów i wrócił do rozpalania ognia.

Dwight i Kyle usiedli przy maleńkim stoliku zbitym z oheblowanych desek, natomiast Ignae spoczęła na tapczanie o wyjątkowo twardym sienniku. Pozostałe meble w chacie również prezentowały się bardzo skromnie i było ich niewiele. Jedyny wyróżniający się element wyposażenia stanowił podwieszony pod sufitem latawiec, wykonany z gałęzi oraz czerwonej płachty.

— Przyjechaliśmy wypytać pana o szczegóły uwolnienia Nicka Brucondeisa — oznajmiła Ignae, po tym, jak napatrzyła się już na latawiec. — Ponoć to przy pana pomocy dostał się na kontynent.

— Nie jadłem nic od rana, a nie lubię, gdy burczy mi w brzuchu. Najpierw zjem i dopiero wtedy odpowiem na wasze pytania.

Dwight już szkował się, by znowu nakłonić marynarza do współpracy, ale przełożona gestem dłoni nakazała mu zachowanie spokoju. Przez pół godziny szpiedzy w milczeniu obserwowali, jak mężczyzna przygotowuje, a następnie zjada kaszę z cebulą i skwarkami. Kiedy zaspokoił już głód, wyciągnął z kuchennej szafki trzy kubki i postawił je na stole, obok dzbanka z zaparzoną w międzyczasie herbatą oraz małego świecznika.

— To wszystkie, jakie mam. Będziecie musieli się jakoś nimi podzielić — powiedział, zabrawszy jeden z kubków dla siebie. Nalał doń herbaty, po czym usiadł w starym, bujanym fotelu. — Teraz mogę wysłuchać waszych pytań.

Ignae wahała się, czy na wstępnie nie przeprosić marynarza za nachalne najście, co mogłoby nieco poprawić nieprzyjemną atmosferę, lecz surowy wyraz twarzy gospodarza odwiódł ją od tego pomysłu. Od razu przeszła do konkretów.

— Od dawna mieszka pan w Dolnym Szponie?

— Nie zwracajcie się do mnie per *pan*. Nie lubię tego. Wymusza, bym i ja tak się do was zwracał. Poza tym weszczyście tutaj jak do siebie, więc mówcie mi na ty. Nie znoszę sztucznej grzeczności.

Małe, głęboko osadzone oczy marynarza wpatrywały się w agentkę. Ignae dojrzała w nich siłę i nieustępliwość, a wrażenie to dodatkowo potęgowało fakt, iż mężczyzna prawie w ogóle nie mrugał.

— Odnośnie twojego pytania, to urodziłem się tutaj. Ten dom należał do moich rodziców. Nie powiedziałbym jednak, że tu mieszkam. Moim prawdziwym domem jest morze.

— Świetnie, więc z pewnością masz jakieś przypuszczenia odnośnie tego, kim byli piraci, którzy uprowadzili księcia.

— Nie zwykłem bawić się w przypuszczenia. Piraci to piraci. Kiedy widzę na horyzoncie podejrzana jednostkę, to po prostu staram się ją ominąć z daleka. O porywaczy księcia powinniście pytać jego samego, w końcu to on spędził z nimi kilka miesięcy.

Dwight poruszył się nerwowo na niewygodnym krześle. Al nawet na niego nie spojrzał.

— No dobrze, zostawmy piratów.

Ignae zachowywała spokój. Jo'Keffee dał jej jasny rozkaz. W razie gdyby marynarz nie chciał współpracować, miała go aresztować. Póki co wszystko wskazywało na to, że tak się to właśnie skończy, ale chciała dać mu jeszcze jedną szansę. W końcu to nie piraci interesowali ich najbardziej.

— Tak naprawdę to przyjechaliśmy dowiedzieć się, kto uwolnił księcia, a nie, kto go porwał. Może w tym możesz nam pomóc?

Al pokręcił przecząco głową.

— Wychodzi na to, że tylko zmarnowaliście czas. Nie widziałem człowieka, jeżeli to w ogóle był człowiek.

— A który inny mógłby to być?

— Nie wiem, może Duch Sternika?

— Duch Sternika — powtórzyła beznamiętnym głosem Ignae. Marynarz nie wykorzystał swojej szansy. — Panie Lumdon, nie mogę się oprzeć wrażeniu, iż nie ma pan zamiaru nam pomóc. Nie wiem, skąd ta niechęć, ale szczerze mówiąc, nic mnie to nie obchodzi. To nie mój problem. W Agencji mamy ludzi, którzy specjalizują się w wyciąganiu zeznań. Już oni sprawdzą, jak bardzo zahartowało pana morze.

— Chłopcy — zwróciła się do towarzyszy. — Aresztujcie go.

Agenci sprężyście dźwignęli się z krzesel. Czupurny marynarz zdążył zajść im za skórę i zwłaszcza Dwight miał ochotę trochę go utemperować.

— W porządku. — Al nie zamierzał dać młodemu szpiegowi satysfakcji. — Powiem, jak było.

— Teraz już za późno. — Dwight szykował już linkę, którą zamierzał związać Ala.

— Nie ty o tym decydujesz. — Ignae pouczyła podwładnego. — Aresztować możemy go zawsze. Dajmy mu mówić, skoro spokorniał. Lepiej, jeśli przyjedziemy do stolicy z jakimiś informacjami, w przeciwnym wypadku ktoś inny przywłaszczy sobie nasze zasługi.

— Jak uważasz. — Dwight niechętnie schował sznurek do kieszeni płaszczu. — Tylko nie próbuj wykpić się jakąś tanią opowiastką — pogroził Alowi.

Agenci usiedli z powrotem, a zdenerwowany Dwight nalał sobie nawet herbaty.

— No to opowiadaj — rozkazała Ignae. Była bardzo ciekawa, co powie marynarz. Choć groźba tortur najwyraźniej przekonała go do współpracy, spojrzenie mężczyzny nadal zdawało się być nieugięte. — Zacznię od tajemniczego Ducha Sternika, jak sam raczyłeś go nazwać.

— Gdyby to był tylko Duch Sternika, to może nie próbowałbym was zbyć. W rzeczywistości jest to ktoś dużo gorszy, a co najbardziej przerażające, istnieje naprawdę.

Za oknem słońce chowało się już za horyzontem i żeglarz zapalił stojący na stole świecznik. Dolał sobie herbaty i rozpoczął historię.

— Żebyście mogli w pełni zrozumieć, z kim macie do czynienia, muszę wam najpierw opowiedzieć, jak doszło do naszego pierwszego spotkania. Było to dziesięć lat temu, podczas mojej najdłuższej, najbardziej szalonej wyprawy...

Al opowiadał tę historię gościom Milfgardu dziesiątki razy i zazwyczaj zajmowało mu to około dwóch godzin. Fragment dotyczący rejsu przez ocean skracał do minimum, gdyż poza kilkoma sztormami, nie było o czym mówić. Skupiał się głównie na opisie Thenorafrein, zamieszujących go rosnących ludzi, ich zwyczajów oraz jego relacjach z nimi. Punktem kulminacyjnym opowieści była ucieczka ze starego kontynentu, której o mało co nie przepłacił życiem. Ostatnią część historii, trwającą ponad trzy miesiące żeglugę z powrotem do Miliphen, streszczał kilkoma zdaniami. Jednak teraz nie zabawiał gości Wyspy Rozkoszy, lecz był przesłuchiwanym, a od tego, jak poprowadzi opowiadanie, mogła zależeć jego wolność.

Początkowo agenci przysłuchiwali mu się z uwagą, aczkolwiek wyczuwał narastającą w nich niecierpliwość. Od kilku minut bajał o walce z oceanem, a oni nie usłyszeli jeszcze żadnych konkretnów. Postanowił więc wzbogacić gawędę o najciekawsze przygody, jakich doświadczył w trakcie długich lat spędzonych na morzu. Wykorzystując swój talent, zgrabnie snuł opowieść o majestatycznych gryfach, groźnych piratach, morskich stworach, niebezpiecznych sztormach i nie mających końca flautach. Od czasu do czasu wracał też jakąś nieprawdziwą informację o Jarmisie, któremu nadał naprędce zmyślone imię. Szpiedzy słuchali coraz bardziej zafascynowani, aż w końcu完全 stracili poczucie czasu, z czego Al doskonale zdawał sobie sprawę. Od tego momentu nie miało już dla nich żadnego znaczenia, jak bardzo szczegółowe były opisy przedstawianych wydarzeń, byleby tylko nie przestawał mówić.

Około północy, gdy w swojej opowieści Al dopiero co dotarł na stary kontynent, jako pierwszy zasnął Kyle, zmęczony ze względu na swój wiek i pełnioną dzień wcześniej wartę. Ignae przegrała z ciążeniem powiek trzy godziny później, próbując wyobrazić sobie opisywany przez marynarza, pozbawiony żagli oraz wioseł, stalowy okręt. Zawsze pełen energii Dwight, który dopiero za kilka miesięcy miał obchodzić dwudzieste urodziny, wytrzymał najdłużej z całej trójki. Al zaczynał się już obawiać, że nie uda mu się go uśpić, zanim nie wstanie któryś z jego towarzyszy, lecz wreszcie i na niego przyszła pora.

— ...i w taki oto sposób moja szalona wyprawa dobiegła końca, a ten czerwony latawiec jest jedynym dowodem na to, że tego wszystkiego nie wyśniłem. Po prostu czasami życie jest ciekawsze niż fikcja — zakończył Al, przyglądając się śpiącym szpiegom.

Oto, jak bardzo zahartowało mnie morze, pomyślał, przypomniawszy sobie groźbę Ignae.

**Szósty dzień dziewiątego obiegu Władcy. 249 dzień roku. Wschodnia Prowincja.
Wartegall. Południe.**

Jarmis nie pamiętał, kiedy po raz ostatni miał taką ochotę kogoś zabić. Wprawdzie Behemot nieustannie żądał krwi, przez co i zabójca musiał walczyć z tym pragnieniem, ale Bestii nigdy nie chodziło o konkretną osobę. Tym razem było inaczej. Wszystko wskazywało na to, że

Oścień był zamieszany w śmierć członka Arad úš, członka, którego z Jarmisem łączyły wyjątkowe relacje.

Poznali się z Rayem w lochu twierdzy w Shal, na trzy dni przed jego zagładą. Podczas ucieczki z płonącego miasta Jarmis uratował życie zabójcy, który złamał nogę i o własnych siłach nie byłby w stanie się z niego wydostać. Przez kilka kolejnych dni pomagał Rayowi w powrocie na Wyspę Zabójców, choć oczywiście początkowo cel podróży nie był mu znany. Po drodze Ray poznał losy swojego wybawiciela, a jako że już wówczas posiadał spore doświadczenie w rekrutowaniu nowych członków, dostrzegł w nim potencjał. Po dotarciu na miejsce zaproponował mu dołączenie do Gildii, zaś Jarmis, na którym ciążył wyrok śmierci za dezercję, przyjął propozycję bez wahania.

Ray nie tylko wprowadził Jarmisa do Arad úš, lecz także odpowiadał za jego kształcenie w wielu dziedzinach krwawego rzemiosła oraz asekurował go podczas wykonywania pierwszych zleceń. To właśnie jedna z ich wspólnych misji zakończyła się wydarzeniem, które na stałe zdefiniowało ich wzajemne relacje i sprawiło, że Ray stał się dla Jarmisa kimś więcej niż tylko jednym z towarzyszy.

Dwa lata po dołączeniu do Gildii, w trakcie walki z ochroniarzami zamordowanego chwilę wcześniej hrabiego Challumisa, Jarmis otrzymał śmiertelny cios mieczem. Ray, który darzył młodocianego kompana szczerą przyjaźnią, otrzymał od losu okazję, by zrewanżować się za uratowanie życia. Nie namyślając się długo, przeprowadził najstrasznieszy rytuał magii krwi, w efekcie którego ciało Jarmisa dostało drugą szansę, a w jego umyśle zamieszkała Rubie. Był to uczynek, którego Jarmis nigdy mu nie wybaczył.

Od tej feralnej nocy nie było dnia, żeby Jarmis nie marzył o cofnięciu czasu. Choć niekiedy zastanawiał się, czy stojąc w obliczu śmierci, sam nie zgodziłby się na przeprowadzenie rytuału, to jednego był pewien: świadom konsekwencji zaklęcia Ray nie miał prawa podjąć decyzji za niego. Powinien po prostu pozwolić mu umrzeć. Z czasem żał Jarmisa do Raya stał się silniejszy niż wszystkie uczucia, jakich kiedykolwiek doświadczył, silniejszy nawet niż nienawiść do braci McPoyle i generała Mircei. Pojawiły się także plany zemsty oraz myśli o zabójstwie. Myśli będące jego własnymi, a także te, których źródłem była Piękna. Jednak, im dłużej zwlekał z wrózdrą, tym mniej był do niej przekonany, aż ostatecznie zupełnie z niej zrezygnował. Nigdy też nie powiedział Rayowi wprost o swym żalu i przez lata starał się zachowywać tak, jakby nadal byli przyjaciółmi. Pomimo to, gdy ujrzał jego wykrzywioną w pośmiertnym grymasie głowę, poczuł się okradziony z zemsty. Oścień był pierwszą osobą, która miała za tę kradzież zapłacić.

W Wartegall zakaz posiadania broni był przestrzegany bardziej rygorystycznie niż w innych miastach Lotherbemm, toteż kontrole na bramach były tutaj codziennością. Jarmis miał na to sprawdzony sposób: kilka srebrnych monet zawsze załatwiało sprawę. Tym razem obyło się

jednak bez łapówki. Rick machnął strażnikom przed oczami odznaką Agencji i bez dalszych pytań wjechali do środka. Jarmis zastanawiał się, jak to możliwe, że do tej pory nikt w Gildii nie wpadł na pomysł, by stosować fałszywe odznaki w celu unikania rewizji.

— Pamiętasz, co masz powiedzieć Jo'Keffeowi czy komukolwiek, z kim będziesz rozmawiał w dowództwie? — zapytał Ricka Jarmis, gdy zbliżali się do pierwszego dużego skrzyżowania.

— Nie mam sklerozy. Powtórzyłeś mi to co najmniej pięć razy.

— Świeśnie. Spotykamy się jutro w południe przy pomniku króla Visela. — Zabójca zeskoczył z konia i odpiął od kubaki swoje wyposażenie. Zapakował sprzęt do plecaka, który zarzucił na ramię. — Oddaj konie. Jutro, w razie potrzeby wypożyczymy nowe — powiedział, przekazując Rickowi lejce.

— Czyżbyś zakładał, że dalej będziemy podróżować razem? — Szpieg był zaskoczony.

— Zobaczmy — odparł Jarmis, po czym odwrócił się na pięcie i ruszył na wschód, w kierunku Dołu.

Rick podążył na południe, do centrum miasta.

Przed złożeniem wizyty Ościeniowi Jarmis musiał zrobić coś z ciężkim, nieporęcznym plecakiem. Na dodatek był głodny, postanowił więc udać się do gospody. Dobrze znał stolicę i wiedział, że najlepszejadło w okolicy serwowano w Mięsistym Popasie. Specjalizujący się w mięsnich potrawach, ekskluzywny lokal, był jednym z jego ulubionych w całym Lotherbemm. Na myśl o zbliżającej się uczcie zaburzało mu w brzuchu.

Choć odwiedzał Mięisty Popas nie częściej niż kilka razy w roku, gospodarz od razu go rozpoznał i uśmiechnął się szeroko. Nikt nie składał takich zamówień, jak Melbarr z Sinmow. Co prawda czasami trafiali się klienci, którzy chcieli spróbować wszystkiego po trochu, lecz tylko tajemniczy obcokrajowiec był w stanie zjeść normalną porcję każdej potrawy w jadłospisie.

Kiedy Jarmis poinformował mężczyznę, że zostanie na noc, od razu otrzymał klucz do najlepszego pokoju, przeznaczonego jedynie dla najznamienitszych gości. Jednym z elementów jego wyposażenia był solidny, żelazny kufer, w którym zabójca zamknął swój plecak, po czym udał się do łazieni, by wziąć kąpiel. Właściciel gospody bez wahania kazałby w każdej córce umyć owłosione plecy opasłego klienta, gdyby ten tylko wyraził takie życzenie, ale Jarmis wolał myć się sam. Widok jego zwierzęcych pazurów mógł przestraszyć nawet najbardziej pazernego przedsiębiorcę.

Odświeżony Jarmis wrócił do restauracyjnej części przybytku, gdzie w pomieszczeniu oddzielonym od głównej izby zdobnie haftowaną kotarą czekał na niego stół zastawiony wykwintnie przyrządzonym mięsem. Rozpoczął od rolady z dzika w ziołach, kurczaka w sosie śmietanowo-paprykowym oraz wołowiny po dumserlańsku, po czym, zaspokoiwszy pierwszy

gód, zrobił sobie kwadrans przerwy. Następnie przyszła kolej na kaczkę faszerowaną wątróbkami i czoskiem, polędwiczki piżmocielaka w sosie serowym z pieczarkami i skrzydła żurawia w cieście z sosem słodko-kwaśnym. Na koniec zostawił sobie jeleni ozór w żurawinach oraz prawdziwy rarytas: pasztet z wolpertingera. Skonsumowanie wszystkiego zajęło mu nieco ponad godzinę i to tylko dlatego, że starał się delektować każdą potrawą. Ocięzały z przejedzenia i otumaniony winem, udał się do swojego pokoju na odpoczynek.

Zgodnie z jego polecением, obudzono go wraz z nastaniem zmroku. Zabójca przysykał się do akcji, przywdział szary płaszcz i opuścił gospodę, by po dwóch kwadransach spokojnego marszu dotrzeć na obrzeża Dołu.

Po ucieczce z domu Jarmis przez osiem lat mieszkał w Wartegall. Początkowo był doliniarzem działającym na ulicach dzielnic portowej i kupieckiej, później zajął się włamaniami oraz kradzieżami na zlecenie. Nigdy nie zpisał się do Gildii Złodziei, przez co często miewał problemy z upłynnieniem trefnego towaru. Spowodowane było to faktem, iż niemalże wszyscy paserzy w stolicy należeli do Gildii i niechętnie współpracowali z ludźmi spoza jej szeregów. Jedyną poważną konkurencją dla działającej za zgodą Korony Gildii Złodziei byli Zdołowani, czyli gang rządzący Dołem.

Nie było takiej dziedziny przestępczego rzemiosła, którą nie trudnili by się Zdołowani. Pobicia, haracze, kradzieże, sutenerstwo, handel narkotykami czy wreszcie zabójstwa. Mieli ludzi od wszystkiego, w tym także paserów, z których usług korzystał młody Jarmis. W końcu chłopak przeprowadził się do Dołu na stałe i mieszkał tu ponad cztery lata, aż do chwili, gdy dowiedział się o powołaniu jego brata do armii.

Mimo iż wśród Zdołowanych nie brakowało prymitywnych zakapiorów, zwykłych rzezimieszków, jak i bezwzględnych morderców, przez długie lata szefostwo gangu potrafiło skutecznie zarządzać tą zbieraniną. Wszelkie spory były szybko rozwiązywane zgodnie z kodeksem, który obowiązywał każdego mieszkańców Dołu, cała dzielnica była zadbana, a kryminalny biznes kwitł w najlepsze. Tłusty okres dla Zdołowanych dobiegł końca przed dwudziema laty, kiedy to zamordowano ich wieloletniego przywódcę. Walka o władzę trwała długo i była bardzo krwawa. Trzecia część dzielnicy spłonęła w wielkim pożarze, zamordowano większość elity gangu, a wielu jego szeregowych członków po prostu odeszło. Dół zaczął popadać w ruinę. Gdy po dwóch latach swoistej wojny domowej sytuacja wreszcie się ustabilizowała, nazwę *Zdołowani* zastąpiono *Cichą Rzeką*, niemniej znaczenie Dołu na przestępcej mapie Lotherbemm zmalało na stałe i żadne starania nowego herszta nie mogły tego zmienić.

Minęło kilka lat od ostatniej wizyty Jarmisa w Dole. Główne ulice były wtedy wciąż brukowane; teraz musiał lawirować wśród błotnistych kałuż. Z niedowierzaniem przyglądał się

rozlatującym ruderom, które nigdy tworzyły jedną z najładniejszych dzielnic Wartegall. Nawet napotkane ladacznice zdawały się bardziej odpychające niż ich koleżanki po fachu z innych części stolicy. Wszystko to jeszcze bardziej podsycał jego wściekłość.

Od jednego z napotkanych pijaczków, po jego zastraszeniu, dowiedział się, że główna siedziba gangu nadal znajduje się w tym samym budynku, co kiedyś. Za młodu Jarmis bywał tam niejednokrotnie, nie miał więc problemu z trafieniem na miejsce. Przed drzwiami imponującego rozmiarami, a nigdyś również piękną fasadą dworku, stało dwóch drabów. Było ciemno, a Jarmis poruszał się cicho i szybko, dlatego zauważyli go dopiero, gdy znalazł się już bardzo blisko. Jeden z wartowników próbował go o coś zapytać, ale niespodziewany, potężny cios w splot słoneczny odebrał mu dech i obalił na ziemię. Jego zaskoczony kompan nie zdążył nawet dobyć broni, gdy otrzymał kopniaka pod lewe kolano. Jego siła była tak duża, że mężczyzna wykonał w powietrzu pół salta, przez co upadł bezpośrednio na głowę. Huk czaszki uderzającej o kamienne schody rozproszył panującą dookoła ciszę; Jarmis nie dawał jej właścicielowi dużych szans na przeżycie.

Uporawszy się ze strażnikami, zabójca wszedł do środka. Wnętrze dworu oświetlało kilka świeczników ustawionych pod gołymi ścianami, które dawniej zdobiły obrazy najzdolniejszych malarzy Wartegall. Pozbyto się też kwiatów i wszelkich innych ozdób. Jarmis rozejrzał się dookoła i nie dostrzegłszy żywej duszy, wszedł na piętro po wygiętych w łuk schodach. Rozejrzał się ponownie i na końcu prowadzącego na wprost korytarza zauważył śpiącego na krześle człowieka. Podszedł bliżej. Mężczyzna śmierdział alkoholem, a u jego pasa zwisał krótki miecz. Wyglądało na to, że zasnął na warcie. Zza drzwi, których miał pilnować, dobijało ciężkie sapanie oraz przytłumione, kobiece jęki. Zabójca rozpiętał płaszcz i naciągnął klamkę.

Jeden rzut oka na pomieszczenie upewnił Jarmisa, że trafił we właściwe miejsce. Pod sufitem wisiał kryształowy żyrandol, iskrzący bajecznie światłem dziewięciu dużych świec. Ściany ozdabiały drogie arrasy, a wszystkie meble wykonane były z drzewa różanego. Na samym środku pokoju znajdowało się pokaźnych rozmiarów biurko, za którym stał fotel ze skóry mantykory, identyczny z tymi posiadonymi przez Carla Tepucmany. Na lewo od drzwi, pod ścianą, ustawiono ogromne łożę z baldachimem. Uprawiająca na nim seks para nawet nie zauważyła, że ktoś otworzył drzwi.

Jarmis podszedł do łóżka, złapał Ościenia za kark, ściągnął go z rozkraczonej kochanki i rzucił na ziemię. Czarnowłosa dziewczyna krzyknęła przerażona. Krótkie spojrzenie na Jarmisa wystarczyło, by zrozumiała, że ma się wynosić. Chwyciła leżącą na podłodze sukienkę i naga wybiegła z komnaty.

Hałas obudził śpiącego na zewnątrz oprycha, który wciąż mocno zdezorientowany, wtoczył się do środka z wyciągniętym w ręce mieczem. Zabójca doskoczył do niego jednym susem i kopnął wyprostowaną nogą w pierś. *Przynajmniej nadal jestem wygimnastykowany*, pomyślał Jarmis, obserwując, jak łotr z impetem uderza w ścianę i osuwa się na podłogę.

Oścień wykorzystał chwilowe zamieszanie, zebrał się z ziemi i podbiegł do biurka. Wyciągał już rękę, by otworzyć szufladę, w której trzymał sztylet, gdy rzucony przez Jarmisa nóż trafił go w dłoń. Spojrzał na intruza wściekłym wzrokiem i zobaczył, że ten celuje do niego kolejnym nożem. Odsunął się od biurka.

— Kim jesteś, do cholery!? — krzyknął.

— To ja zadaję tutaj pytania — oznajmił chłodnym głosem Jarmis, po czym wskazał wyciągniętym nożem na łóżko. — Siadaj na dupie i nie próbuj chojrakować, to może zbytnio się nie nacierpisz.

Oścień posłusznie usiadł na skraju łóżka, natomiast Jarmis rozsiadł się w fotelu i wyciągnął nogi na biurko. Z jego szuflady wyjął ozdobny sztylet niewielkich rozmiarów.

— Chciałeś zabić mnie tym scyzorykiem? Zdarzało mi się golić większym ostrzem. — Rzucił broń z powrotem do szuflady. — Kto dostarcza wam elizum?

— Nie wiem — odparł Oścień po chwili. Siedział nagi, przygarbiony, zdrową dłonią uciskając krvawiącą ranę. — Nie mamy kontaktu z dostawcą. Odbieramy towar ze skrytek.

— Jednak jakoś musielisię nawiązać współpracę. Ustalić skrytki, zapłatę. Mów, jak było.

— Pięć, może sześć obiegów temu zjawił się gość, z którym wszystko ustaliliśmy. Od tego czasu go nie widziałem.

— Chcę szczegółów, bęcwale. Jaki gość? Jak się nazywał? Jak wyglądał?

— Nie wiem, jak się nazywał. — Mimo uczucia niepewności, jakie w nim natarstało, głos herszta wciąż pozostawał hardy. — Nie przedstawił się. Niewysoki, żylasty, ciemna karnacja. Wyglądał obco, chyba nie był z Lotherbemm. Mówił z dziwnym akcentem. Nie mam, kurwa, pojęcia, kim mógł być.

Z korytarza dobiegło ich dudnienie kroków, więc Jarmis wstrzymał się z kolejnym pytaniem. Moment później w drzwiach pojawiło się kilku uzbrojonych rezunów, z których jeden trzymał małą kuszę. Jarmis cisnął nożem w kusznika, trafiając go w przedramię. Ranny wystrzelił w podłogę i upuścił broń. Jego kompani zrobili krok do środka, lecz Sługa Krwi błyskawicznie wyciągnął kolejny nóż z podeszwy buta i napastnicy się zatrzymali.

— Przyszedłem tu tylko po niego — powiedział Jarmis, skinąwszy na Ościenia. — Idźcie wybrać sobie nowego przywódcę i zostawcie nas w spokoju, to nie będę musiał was zabijać.

Zakapiory przyjrzały się siedzącemu wygodnie w fotelu obcemu, a następnie swojemu nagiemu i zakrwawionemu szefowi. Po chwili zastanowienia i kilku wymienionych pomiędzy sobą, porozumiewawczych spojrzeniach, opuścili pomieszczenie, zamkając za sobą drzwi.

— To tyle, jeśli chodzi o lojalność gangstera. — Jarmis, nie spodziewając się już żadnych kłopotów, zaczął bawić się nożem, podrzucając go raz po raz w powietrze.

— Niewdzięczne skurwysyny. Jeszcze mi za to zapłaciecie — zwołał przez ściśnięte gardło Oścień.

— Nie wydaje mi się.

Spokój w głosie nieznajomego odebrał bandycie resztki odwagi i ten zaczął trząść się ze strachu.

— Wróćmy do przesłuchania. Jak często otrzymujecie dostawy?

— Raz w miesiącu.

— Kiedy dostaliście ostatnią?

— Cztery dni temu.

— Niedobrze. Nie mam czasu czekać na kolejną. — Zawiedziony Jarmis pokręcił głową. —

Mam dla ciebie propozycję. Powiedz mi wszystko, co wiesz, o spisku przeciwko Gildii, a pozwolę ci wybrać sposób, w jaki cię zabiję.

— Nie wiem nic o żadnym spisku — wydukał przesłuchiwanym. — Nigdy nie szukałem zwady ze Złodziejami. To nie moja liga.

Jarmis wiedział, że Oścień mówi prawdę. Załamany bandzior nie wiedział nawet, o jaką gildię jest pytany. Jego dalsze przesłuchiwanie było bezcelowe.

— Gdzie trzymacie elizium?

— Większość jest od razu rozwożona do naszych melin. Niewielki zapas trzymam tutaj, w biurku.

— W biurku, powiadasz? — Jarmis przestał bawić się nożem i ściągnął nogi z blatu.

— Drzwiczki po lewej stronie — nakierowywał Oścień.

Arad úš zająrał do środka. Na dolnej półce stało sporych rozmiarów, ozdobne, drewniane pudełko. Wyjął je i otworzył wieko. Wnętrze pojemnika było wypełnione czerwonym proszkiem aż po brzegi.

— Ładny mi *niewielki zapas* — powiedział Jarmis, ważąc pudełko w dłoni. — Będzie tego ze dwa, trzy funty. Może wystarczy.

Odłożył narkotyk na biurko i wstał z fotela.

— No dobra, to jak chcesz zginąć?

— Prze... prze... przebij mi...

— A nie, czekaj — przerwał jąkanie Jarmis. — Zapomniałem, że jesteś pieprzonym gwałcicielem i nie przysługuje ci szybka śmierć.

Oścień spojrzał na zabójcę przerażony i w tym samym momencie dostał pięścią w nos. Uderzenie nie było bardzo mocne, gdyż Jarmis nie chciał, żeby plugawiec stracił przytomność, wystarczyło wszelako, by opadł tułowiem na łóżko. Chodziło właśnie o to, by Oścień przestał się kulić i odsłonił klejnoty. Zabójca dobył miecza i energicznym pchnięciem odciągnął golasowi przyrodzenie oraz genitalia.

Oścień zaczął wrzeszczeć i wyć z bólu, próbując przy tym zatamować krwawienie, ale nie miał na to szans. Wykrwawił się w przeciągu kilku minut, które Jarmis spędził na przetrząsaniu

komnaty w poszukiwaniu kosztowności. Znalazł mieszek koron i dwa suwereny oraz srebrną figurkę gryfa, która mogłaby się nadać do kolekcji Carla. Jednak prawdziwy skarb znał w tym samym miejscu, gdzie Oścień przechowywał elizum. Pierścień rodu Scondów. Domyślił się, że musiał należeć do królewny. Przez chwilę zastanawiał się, ile mógłby za niego dostać, ale ostatecznie porzucił pomysł o jego sprzedaży.

Po tym, jak Oścień wydał ostatnie tchnienie, zabójca wyszedł z pokoju, niosąc pod pachą pudełko z narkotykiem. U szczytu schodów czekało na niego kilku członków gangu. Tylko jeden z nich miał wyciągniętą broń. Największy spośród całego towarzystwa, łysy drab trzymał w ręku zakrwawiony toporek, a u jego stóp leżały dwa zmasakrowane ciała.

- Zakładam, że to ty jesteś nowym przywódcą — zwrócił się do topornika Jarmis.
- Jesteś bardzo domyślny.
- Owszem. Niech zgadnę, wołają cię *Ciupaga*? — zapytał, wskazując palcem na topór.
- Byłeś blisko. Jestem Cieślica.
- Wygląda na to, że nic się tu jednak nie zmieni. Szkoda. — Jarmis sięgnął do kieszeni i wyciągnął pierścień. — Macie to zwrócić królewnie, chyba, że chcecie, abym tu wrócił.
- Już jutro pierścień będzie u królewnej. — Cieślica wziął błyskotkę.
- Świetnie. W takim razie żegnam. Już dość się napatrzyłem na wasze paskudne gęby.

Zbiry gotowały się ze złości, ale żaden nic nie odpowiedział.

Opuścił siedzibę gangu, minął wciąż niesprzątnięte zwłoki wartowników i ruszył w stronę centrum miasta. Najbliższym mostem przeprowadził się na prawy brzeg Bawterlue i po kolejnym kwadransie dotarł do dzielnicy gorzelnianej. To tutaj mieściła się wartegallska komórka Arad úš. Ze względu na kadrowe braki, zamieszkiwało ją jedynie dwóch członków Gildii, których głównym zadaniem było dostarczanie na zwoływane co dwa obiegi Zgromadzenie zleceń złożonych w stołecznej kapliczce krwi. Wartegall od Wyspy dzieliły dwa tygodnie szybkiej, konnej jazdy, w związku z czym przez większość czasu w stolicy przebywał tylko jeden Sługa Krwi. Była to niewdzięczna służba, dlatego skład delegacji zmieniał się co rok. Jarmis, jako egzekutor, nie musiał się obawiać relokacji.

- Pomimo późnej pory, w oknach chaty wciąż śmiotało się światło. Zabójca zapukał do drzwi.
 - Jarmis? — Waldo nie spodziewał się wizyty; ubrany był jedynie w koszulę nocną i kaptur. Mimo iż był w wieku Jarmisa, wyglądał znacznie młodziej. — Wejdź do środka.
 - Widzę, że nie zabawiłeś długo na Wyspie — zauważył Jarmis i zamknął za sobą drzwi.
 - Kiedy wrócisz?
 - Dwa dni temu. Napijesz się czegoś?
 - Jasne, polej, co tam macie.
- Odwiesił płaszcz na scienny wieszak, przeszedł przez kuchnię i trafił do głównej izby.
- Witaj Jamie, jak się czujesz?

Jamie Jameson siedział w fotelu, przykryty kocem i ubijał w mózgierzu jakiś proszek. Zbliżał się siedemdziesiątki, był bardzo chudy i nie wyglądał najlepiej.

— Na pewno lepiej niż Ray — burknął pod nosem. — Pięknych czasów doczekałem. Służę Krwi pół wieku, ale z tak zuchwałym atakiem na Gildię się jeszcze nie spotkałem.

— Winni zostaną ukarani, masz moje słowo. A jeśli cię to pocieszy, to wiedz, że przed chwilą zabiłem jednego z ich współpracowników.

— Nie pocieszy. Ray nadal jest martwy, a ja najpewniej dołączę do niego najbliższej zimy. Oszczędź mi swoich przechwałek i daj mi pracować.

— Już zapomniałem, jaki z ciebie zrzędliwy dziadyga.

Jarmis odwrócił się na pięcie i wrócił do kuchni.

— Stary kiepsko wygląda — zwrócił się do Waldo.

— Źle zniósł śmierć Raya. Mam nadzieję, że za jakiś czas dojdzie do siebie. Trzymaj. — Podał Jarmisowi kubek z trunkiem.

Brzuchacz odruchowo wziął duży tyk i szybko zrozumiał swój błąd. Próbował jeszcze walczyć, otworzył usta, nabrął powietrza, ale napój zwyciężył. Kichnął tak głośno, że siedzący w pokoju obok Jamie aż podskoczył ze strachu.

— Ciszej tam! — zawała starzec.

— Co to za cholerstwo? Pieprzówka?

— Nie do końca — odparł Waldo, gdy w końcu udało mu się przezwyciężyć chichotanie.

— Jest w tym sporo pieprzu, ale oprócz tego jeszcze masa innych ziół i przypraw. Nie znam dokładnej receptury. Ponoć ma właściwości lecznicze. Dostaliśmy to święństwo w ramach zapłaty za nasze zielarskie usługi. Wiesz, trzeba zachowywać pozory. Bezpieczeństwo i te sprawy.

— Jasne. A odnośnie bezpieczeństwa, Zgromadzenie ustaliło, gdzie się przeprowadzamy?

— Na razie nigdzie. Najpierw musimy dowiedzieć się, kto odpowiada za śmierć Raya.

Starszyna ma nadzieję, że przeprowadzka w ogóle nie będzie potrzebna.

— Mogłem się tego spodziewać. Leniwe dziady — skwitował Jarmis. — A jak zamierzają szukać spiskowców?

— Przyciśniemy gangi handlujące elizium. Jest to plan Roniego. Ponoć uzgodnił go z tobą.

— Tak było.

— Gdyby Dew nie potwierdził jego słów, nikt by w to nie uwierzył. Zazwyczaj nie byliście w stanie się dogadać nawet w najbardziej błahych kwestiach.

— Nie mieliśmy czasu na kłótnie. — Jarmis lubił Walda, ale nie zwykł rozmawiać z nim na osobiste tematy. — Teraz też go nie mam. Przyszedłem złożyć raport i uzupełnić zapasy. Jednak pierwej pomożesz mi w rytuale.

Jarmis miał nadzieję, że ilość narkotyku, jaką udało mu się zdobyć, pozwoli dowiedzieć się czegoś więcej o jego producencie. Co prawda mógł przeprowadzić rytuał sam, ale nie chciał,

by cokolwiek mu umknęło. Przygotowali odpowiednio duże naczynie, rozpalili w nim ogień i wypowiedzieli mroczne zaklęcie. Po wsypaniu większości elizium do misy, rozpoczęli trans.

Znaleźli się w umyśle młodej kobiety. Stała w ciemnym pomieszczeniu bez okien, nachylona nad olbrzymim kopcem białego proszku, trzymając nóż, którym przed chwilą się zraniła. Rzuciła na narkotyk zaklęcie, lecz nie byli w stanie go zrozumieć. Poznawali jedynie niektóre słowa, a na dodatek akcentowała starożytny język zupełnie inaczej od nich. W trakcie czarowania była bardzo spokojna i pewna siebie; musiała mieć duże doświadczenie w magii krwi. Choć skończyła zaklinać i zajęła się mieszaniem wilgotnego proszku, krew z jej dłoni wciąż się na niego sączyła, dzięki czemu zabójcy mogli nadal czytać w jej myślach. Pośród znudzenia, które było dominującym uczuciem, zdołali wyłowić niechęć do czekającej ją górskiej wędrówki. Chwilę później ktoś otworzył drzwi do pomieszczenia. Dziewczyna odsunęła się od narkotykowej brei i wizja się urwała.

Zabójcy porównali swoje wersje transu. Nie było w nich żadnych rozbieżności.

— Za dużo się nie dowiedzieliśmy — zauważył Waldo. — Co teraz zamierzasz?

— Nie wiem, muszę się zastanowić. Może przez noc coś wymyślę. — Wypił resztkę ziołowego rosolisu, tym razem się nie spieszając. — Będę się powoli zbierał. Potrzebuję trochę bandaży i maść na rany. Macie jakiś zapas?

— Coś się znajdzie. Chodź ze mną.

Jarmis otrzymał od Waldo wszystko, czego potrzebował. Zadowolony szykował się już do wyjścia, gdy przypomniało mu się, że ma jeszcze jedną rzecz do załatwienia.

— Zawieź to złoto na Wyspę — polecił Waldo, przekazując mu dwie błyszczące monety.

— Wątpię, żeby Zgromadzenie zdecydowało się ściągnąć z królewny zapłatę za Ościenia, więc chociaż ograbiłem nieboszczyka. Coś się nam w końcu należy za naszą ciężką pracę.

— Trzymaj się, wielkoludzie. — Uścisnęli dlonie. — I dorwij tę sukę.

Szósty dzień dziewiątego obiegu Władcy. 249 dzień roku. Wschodnia Prowincja.

Wartegall. Popołudnie.

...gdy się obudziłam, nie było już po nim śladu. Zniknął też latawiec. Sierżant Salid podejrzewał, że marynarz posłużył się wobec nas magią umysłu. — Ignae zakończyła raport.

Przez moment, który agentce wydał się wiecznością, Leo Jo'Keeffe nerwowo stukał palcami o blat biurka, patrząc na nią chłodnym wzrokiem. Kiedy w końcu przemówił, jego głos okazał się jeszcze bardziej lodowaty.

— Nawet gdybym wierzył w te brednie o magii, to i tak nic was nie usprawiedliwia. Trzeba było go skuć i dopiero potem przesłuchiwać. Nie wiem, co mam z wami zrobić, poruczniku. Marynarz zapewne zaszyje się w tym swoim luksusowym burdelu i już nigdy go nie zobaczymy. Musicie ponieść...

Rozległo się głośne pukanie do drzwi, po czym, nie czekając na zaproszenie, do gabinetu wszedł sekretarz arcyszpiega. Nim zdążył się odezwać, Jo'Keeffe wrzasnął:

— Jakim prawem tu włazłeś, chame! Przecież wiesz, że mam spotkanie.

— Panie generale, najmocniej przepraszam, ale to sprawia nie cierpiąca zwłoki. — Mężczyzna zgarbił się pokornie i wlepił wzrok w podłogę. — Właśnie przybył kapitan z Północy z listem zabezpieczonym pieczęcią trzeciego stopnia. Mówi, że musi natychmiast zobaczyć się z Waszą Ekscelencją.

— Niech wejdzie, ale jeśli to nie będzie coś naprawdę ważnego, każe was obu wracić do lochu.

— Tak jest, panie generale!

Sekretarz opuścił pomieszczenie, a do środka wszedł Rick. Dwa tygodnie spędzone w siodle sprawiły, że nie wyglądał najschludniej. Jasne włosy lśniły grubymi, tłustymi strąkami, pod oczami miał ciemne wory, a jego płaszcz był zabrudzony błotem.

— Panie generale, kapitan Derreck Oistwart z Welfare. Przybywam z...

— Zamknij się i daj mi ten list — rozkazał Jo'Keeffe, wykrzywiając się w obrzydzeniu na widok posłańca.

— Tak jest!

Szef Wywiadu rozpieczętał list i zaczął czytać. Gdy skończył, wyraźnie zafrasowany, zwrócił się do Ignae:

— Poruczniku, zaczekajcie na zewnątrz. Może to trochę potrwać. Mamy z kapitanem wiele do omówienia.

Ignae zasalutowała i wyszła. Kapitan zjawił się akurat wtedy, gdy Jo'Keeffe wyrokował o jej dalszym losie. Zdenerwowana zachodziła w głowę, czy zostanie wydalona ze służby, czy może tylko zdegradowana. Była też wielce ciekawa, jakie rewelacje zawierał list z Północy, i gdyby nie obecność generalskiego sekretarza, miałaby spore trudności z powstrzymaniem się od przyłożenia ucha do drzwi. W jej zawodzie informacja była najcenniejsza.

Przez pół godziny krążyła niespokojnie po sekretariacie. W końcu, w cichym do tej pory gabinecie generała, rozległ się jego krzyk, a zaraz potem krzyk kapitana. Ignae przeszedł zimny dreszcz. Nikt o zdrowych zmysłach nie podniósł głosu na Leo Jo'Keffa. Pomyślała, że list musiał dotyczyć czegoś naprawdę poważnego.

Drzwi się otworzyły i kapitan przemknął przez sekretariat, o mało co nie potrącając Ignae. Agentka wolałaby denerwować się o swój los choćby przez cały kolejny tydzień, niż wejść teraz do gabinetu szefa, lecz ten zwołał ją do środka.

— Panie generale! — zasalutowała.

Jo'Keeffe stał tyłem do niej, wpatrując się w wiszący na ścianie własny portret. Ręce miał skrzyżowane na plecach, a palcami nerwowo pocierał wnętrze dłoni. Ignae spodziewała się najgorszego.

— Poruczniku, postanowiłem dać wam ostatnią szansę — powiedział łagodnym, niemal ciepłym głosem. — Usiądźcie, proszę, a wszystko wam wyjaśnię.

Rozdział piętnasty – Zwiastun burzy

Drugi dzień ósmego obiegu Bliźniaków. 228 dzień roku. Wschodnia Prowincja.
Błękitny gościniec. Południe.

Błękitny gościniec zawiązała swą nazwę rzece Bawterlue, wzdłuż której prawego brzegu przebiegała większa część jego trasy. Szeroki na trzydzieści stóp trakt o doskonałej, brukowanej nawierzchni, rozpoczynał swój bieg w środkowej części Wyjącej Doliny i wiódł do miejsca, gdzie Bawterlue uchodziła do Zatoki Świętych Rzek. Była to najważniejsza z trzech dróg łączących Zachód ze Wschodem, choć ostatnimi czasy panujący na niej ruch zdawał się temu zaprzeczać. Trwająca od miesięcy po zachodniej stronie Góra Podziału susza doprowadziła do znacznego spadku wymiany handlowej pomiędzy dwiema największymi prowincjami Lotherbemm.

Nick i jego ochroniarz opuścili stolicę rankiem drugiego dnia po balu. Siostrzeniec monarchy, a zarazem książę Zachodu, bez problemu przekonał zarządcę królewskich stajni, aby ten użyczył im swoich najlepszych wierzchowców. Młodzieńiec pozbawiony przez piratów pieniędzy początkowo planował obciążyć kosztami podróży swojego obrońcę i zwrócić je po dotarciu do Rodawnzaru, lecz gdy dzień przed wyjazdem poinformował ojca, iż wraca w rodzinne strony, uradowany tą decyzją rodzić wręczył mu mieszek pełen srebrników. Nick, choć zawsze wysoko cenił swoją niezależność i samodzielność, a na dodatek nie utrzymywał z ojcem najlepszych relacji, przyjął pieniądze bez wahania. Rozmyślania o przyczynach takiego zachowania pochłonęły mu większość poranka.

Dzień był upalny i duszny; odległe chmury zwiastowały burzę. Zmęczony pogodą oraz długą jazdą w siodle Kisric zarządził postój. Zjechali z gościa i poprowadzili spragnione konie nad rzekę. Brzeg był tu łagodny i piaszczysty, a jego skraj porastała wysoka trawa. Wielki Czempion położył się w jej cieniu z zamiarem uciecia sobie krótkiej drzemki, lecz milczący przez cały dzień Nick nagle nabrął ochoty na rozmowę.

— Pamiętasz, co ci powiedziałem, kiedy spytałeś mnie o wrażenia po zażyciu tego nowego, czerwonego narkotyku? — zapytał spokojnym głosem w sposób, który zdradzał, że przygotowywał się do dyskusji od dłuższego czasu.

— Że jest nijaki — odparł po krótkiej pauzie Kisric.

— Kłamałem. To cholerstwo było zupełnie inne od wszystkiego, czego kiedykolwiek próbowałem. To ono sprawiło, że zatęskniłem za domem.

— Heh, gdyby twój ojciec się o tym dowiedział, to kupiłby ci zapas, który starczyłby ci do końca życia — zażartował Wielki Czempion. Oczy nadal miał zamknięte, choć już pogodził się z utratą szansy na drzemkę.

— Jak widać, nie byłem w stanie opierać się tej tęsknoci zbyt długo, ale przed wyjazdem z Wartegall zdążyłem przeprowadzić małe dochodzenie. — Nick nie zareagował na żart. — Porozmawiałem z różnymi ludźmi, którzy zażywają elizum od dłuższego czasu, aby dowiedzieć się więcej o tym, jak działa narkotyk. Ich relacje mnie zaniepokoili.

— Dlaczego? Co ci powiedzieli?

— Wszyscy zgodnie twierdzili, że elizum to najlepsze, co im się w życiu przytrafiło. Na przykład jeden strażnik, odkąd zaczął wciągać, rzucił picie i hazard, przestał bić żonę i spędza więcej czasu z dziećmi, dzięki czemu w końcu poczuł się szczęśliwy. Z kolei inny gość, handlarz ceramiki, żył w ciągłym strachu: bał się, że ktoś go okradnie, że żona go zdradzi, że dopadnie go zaraza. Był chorobliwie podejrzliwy, zgorzkniały i opryskliwy. Elizum wyleczyło go z paranoi. Teraz żyje pełną piersią, a jego interes kwitnie. Usłyszałem masę rozmaitych historyjek, ale wszystkie bez wyjątku łączyła cudowna odmiana wywołana przez elizum.

Kisric w końcu zainteresował się opowieścią Nicka. Otworzył oczy i zmienił pozycję z leżącej na siedzącą.

— Wybacz, ale ciężko mi uwierzyć w to, co mówisz. Naprawdę myślisz, że jakiś proszek może odmienić życie?

— Sam nie wiem, ale założmy, że wierzę. Tylko, co oznacza ta tęsknota za domem? Mam się ustatkować, założyć rodzinę, wykonywać obowiązki księcia Zachodu, a wtedy odnajdę szczęście? Przecież, gdyby to była prawda, nigdy bym nie wyjeżdżał.

— Może w końcu dorosłeś.

— Rozmyślałem o tym, ale to nie może być to. Nie chcę żony, bachorów, a tym bardziej urzędu zwierzchnika. Chcę być wolny. — Nick wyraźnie się pobudził.

Minęła dłuższa chwila, nim Kisric ponownie zabrał głos.

— Dorosłość to nie żona czy dzieci. Dorosłość przychodzi wtedy, gdy zrozumiesz, kim jesteś, kim możesz być i kim chcesz być.

Słowa wojsownika sprawiły, że Nick znów pograżył się w zadumie. Miał ochotę ponownie zażyć niesamowity narkotyk, jednak od wizyty w Dole nie udało mu się zdobyć kolejnej działki.

Burza dopadła ich kilka mil przed osadą, w której planowali spędzić noc. Rzęsisty deszcz i nieodległe grzmoty spowodowały, że Nick, zamiast rozmyślać o swoich uczuciach, zaczął marzyć o ciepłej strawie oraz suchej pościeli. Nim dotarli do gospody w centrum wioski, ulewa ustała, a niebo się rozpogodziło.

Chociaż wieczór był jeszcze młody, w zasięgu wzroku nie dostrzegali żywej osoby. Przyczyna tajemniczego wyludnienia osady rozwiązała się, gdy przemoczeni do suchej nitki podróżnicy przywiązali konie przed karczmą i weszli do środka.

Wewnątrz budynku panował niesamowity tłok – wyglądało na to, że zebrali się tu wszyscy mieszkańcy. W tyle głównej izby, na niewielkim podwyższeniu, siedział Gareth, który właśnie przygotowywał odpowiednie instrumenty do wykonania kolejnego utworu. Widok znajomej twarzy ucieszył obydwu mężczyzn. Niestety, obsługa karczmy była całkowicie pochłonięta występem i swoje zamówienie złożyli dopiero po jego zakończeniu.

Tłum rozszedł się do domów godzinę po przebrzmieniu ostatniej piosenki. W tym czasie Gareth zdążył wyściąć się z wszystkimi kobietami i napić wina z każdym mężczyzną. Wszyscy bez wyjątku byli bardzo poruszeni jego koncertem i czuli potrzebę podzielenia się swoimi emocjami. Nick i Kisric zdążyli się już posilić, a nawet wyschnąć, gdy bard w końcu ich zauważył.

— Nie przypuszczałem, iż mój występ na balu spodobał wam się do tego stopnia, że wyruszycie za mną w drogę — powiedział muzyk, dosiadając się do ich stolika. Starał się, by jego słowa zabrzmiły jak żart, lecz głos miał niezbyt radosny. — W każdym razie cieszę się, że was widzę.

— My również jesteśmy radni z tego spotkania — zapewnił Kisric.

— Wspaniały koncert. Nie wiem, co jest tego przyczyną, ale podobał mi się znacznie bardziej niż ten na balu. Nie zrozum mnie źle, tamten też był fantastyczny, ale tutaj po prostu przeszedłeś samego siebie.

— Dzięki — podziękował niepewnie muzyk, mimo iż już dawno przywykł do pochlebstw. Pociągnął spory łyk wina. — To co was sprowadza w te strony?

— Nick zatęsknił za domem, a jako że dawno już nie był w rodzinnych stronach, to potrzebował przewodnika — wytłumaczył Kisric.

— Ach, no tak. Zapomniałem, że jesteście z Rodawnzaru. W takim razie za Rodawnzar. — Bard wniósł toast, a chwilę potem kolejny. — Za koronę.

Zarówno Nick, jak i Kisric, byli zdziwieni jego zachowaniem. Wyglądało to tak, jakby Gareth czegoś się bał. Nick zaczął podejrzewać, o co może chodzić, lecz zamiast uspokoić muzyka, postanowił go jeszcze trochę podręczyć.

— Twój dzisiejszy repertuar znacznie różnił się od tego z przedwcześmieniem. Teksty były bardziej konkretne, wręcz żarliwe. To twoje własne kompozycje, bo nigdy wcześniej ich nie słyszałem?

Talent muzyczny Garetha był niebywały, ale aktor był z niego kiepski. Wypite wino także nie pomagało w ukrywaniu emocji. Bard zdawał sobie z tego sprawę i zrezygnował z gry pozorów.

— Słuchajcie, wiem, że nie wolno mi już śpiewać na Wschodzie i naprawdę nie miałem ochoty łamać tego zakazu, ale jeden facet z wioski mnie rozpoznał, rozpowiedział ludziom, kim jestem, i wszyscy zaczęli błagać mnie o występ. Jestem tylko próżnym grajkiem i nie byłem w stanie im odmówić.

Kisric zrobił wielkie oczy, a Nick pokiwał głową w geście uznania dla samego siebie. Jego przypuszczenia były słuszne.

— To Jo'Keeffe tak cię nastraszył, prawda?

— No tak. Myślałem, że to on kazał wam mnie śledzić.

— Pieprzyć Jo'Keffea. Wolałbym spędzić resztę życia w niewoli u piratów, niż przyjmować od niego rozkazy. Poza tym jestem księciem, Kisric Wielkim Czempionem, a on zwykłym, marnym szpiegiem.

Nick pociągnął z kufla, otarł pianę z ust, po czym dodał:

— Nic się nie bój, jesteśmy po twojej stronie.

— Litościwy Gryfie, kamień spadł mi z serca. — Gareth odetchnął z ulgą i opróżnił swój kielich. — Bałem się, że mnie aresztujecie.

— Co dokładnie powiedział ci ten skurwiel?

— Powiedział, że przed balem złożono mu raport o mojej działalności na ulicach Wartegall, z którego wynika, iż podjudzam motłoch do rewolty oraz sieję defetyzm. Kazał mi wynosić się z jego prowincji pod groźbą wtrącenia do lochu.

— Jego prowincji? Słyszysz Kisric, on uważa się za zwierzchnika Wschodu, a o ile wiem, ten tytuł należy do mojego wujka — oburzył się książe.

— Facet jest szefem Wywiadu Wewnętrzного. Utrzymywanie porządku publicznego to jego praca — odpowiedział spokojnie wojownik. W całym zdarzeniu najbardziej dziwiło go to, z jaką łatwością jego podopieczny rozgryzł, co trapi barda. *Czyżbym go nie docenił?*

— Całe szczęście, jego władza, przynajmniej w tej kwestii, kończy się na Górzach Podziału. A jeśli zdecydujesz się podróżować z nami, to na Wschodzie też nic ci nie grozi. To co, dołączysz do nas?

— Z miłą chęcią — odparł uradowany Gareth. — Dziś wieczór pijemy na mój koszt. Nalegam.

Gareth, który nigdy nie żałował na wino oraz inne przyjemności, odkąd w wieku siedemnastu lat wyprowadził się z rodzinnego domu, żył z dnia na dzień. Ostatni, niesłychanie lukratywny angaż na Wyspie Rozkoszy zapewnił mu stabilność finansową na najbliższy rok, a nawet dłużej. Pierwszy raz od bardzo dawna posiadał znaczne oszczędności i przez pewien czas zastanawiał się nad kupnem konia, który byłby bardzo użyteczny dla kogoś o jego profesji. Był jednak jeden problem: Gareth nie potrafił jeździć konno. W końcu przekonał samego siebie, że jest już za stary na naukę i przestał myśleć o tej sprawie. Dylemat powrócił w momencie, kiedy zdecydował się dołączyć do Nicka i Kisrica. Nowi towarzysze podróżowali konno, więc jeśli nie chciał ich spowalniać, musiał sprawić sobie wierzchowca.

W zakupie odpowiedniego zwierzęcia pomógł mu Kisric, który z całej trójki wiedział najwięcej o koniach. Jego wybór padł na młodego, gniadego wałacha, który w zestawieniu z potężnymi ogierami z królewskich stajni przypominał kucyka. Decyzja okazała się słuszna, konik był bardzo łagodny, dzięki czemu Gareth szybko opanował podstawy jeździectwa.

Jeszcze przed zaproponowaniem Garethowi dołączenia do ich niewielkiej kompanii, Nick zdawał sobie sprawę, że przedżej czy później bard i wojownik znów zaczną rozprawiać o starych czasach, a co za tym idzie, również o tajemniczym Melbarze z Sinmow. Nastąpiło to drugiego dnia ich wspólnej podróży, kiedy muzyk poczuł się pewniej w siodle i nie skupiał całej uwagi na zachowanie balansu. Książę przerwał towarzyszom rozmowę, gdy tylko usłyszał imię swojego wybawcy.

— Muszę się z wami czymś podzielić — rozpoczął, a stanowczy ton jego głosu momentalnie zdobył ich pełną uwagę. — Wasz wspólny znajomy o nienaturalnie dużych dloniach odbił mnie z rąk piratów. Nie wiem, co nim kierowało, ale z całą pewnością zależy mu na zachowaniu anonimowości. Możecie sobie o nim rozmawiać, ale proszę was, byście nie rozmawiali na jego temat z nikim innym. Z nikim.

Zarówno bard, jak i wojownik, poczuli się zaskoczeni tą informacją, niemniej od razu przystali na prośbę księcia.

— Właściwie to czemu nam o tym powiedziałeś? — zapytał po chwili Kisric. — Sami byśmy się tego nie dowiedzieli.

— Wywiad Wewnętrzny prowadzi śledztwo w sprawie mojego porwania. Gareth wie, że Melbarr przebywał na Milfgardzie w czasie, gdy zostałem uratowany. Gdyby jakiś agent się o tym dowiedział, mógłby podjąć trop. Zaczęto by szukać niskiego, potężnie zbudowanego człowieka o wielkich dloniach. Ktoś mógłby sobie przypomnieć, że facet o takim wyglądzie walczył kiedyś na turnieju. Sprawa z pewnością nabrąłaby rozgłosu, a Melbarr z Sinmow, kimkolwiek naprawdę jest, miałby problemy.

— Rzeczywiście, mogłoby tak być. Dobrze, że nam o tym powiedziałeś. Nie chcemy, by twój wybawca miał kłopoty — zapewniał Gareth. — Swoją drogą to fascynujące. Podróżujemy razem właściwie przez przypadek, nasze historie są zupełnie różne, lecz los sprawił, że każdy z nas w pewnym momencie swojego życia skrzyżował drogi z tajemniczym Melbarrem z Sinmow. Jakie są na to szanse?

— Niewielkie — przyznał Kisric. — Dlatego pojawia się pytanie: czy to faktycznie jest przypadek?

— Tylko Melbarr zna na nie odpowiedź i musimy się z tym pogodzić — przerwał ich domysły Nick. — Zamiast zastanawiać się nad niewiadomym, mógłbyś opowiedzieć nam o Wielkim Turnieju, na którym się poznaliście — zwrócił się do wojownika. — Słyszałem o nim różne historie, ale twojej wersji wydarzeń nie znam.

- To dlatego, że snucie opowieści nie jest moją najmocniejszą stroną.
- Nie daj się prosić. Ja też z chęcią posłucham — zaczął namawiać bard.
- No dobra — westchnął Kisric. — Od czego by tu zacząć...

Był rok dwa tysiące pięćset piętnasty. Miałem dziesięć lat mniej na karku i byłem w swojej szczytowej formie. Wygrałem trzy poprzednie Wielkie Turnieje, więc do jego kolejnej edycji podchodziłem ze spokoju. Kiedy rozpoczęły się zmagania na Arenie Padavony, zaprzestałem treningów i całe dnie spędzałem na przystługującym mi miejscu w loży czempionów.

Przez pierwszy tydzień trwały eliminacje do wszystkich trzech turniejów walki. Chętnych było tak wielu, że nie wszystkie starcia odbywały się na głównej arenie, dlatego naszego wspólnego znajomego zobaczyłem po raz pierwszy dopiero wtedy, gdy rankiem pierwszego dnia zawodów zaprezentowano uczestników właściwego turnieju walki wręcz. Pomimo wczesnej pory, trybuny były całkowicie zapelnione. Sześćdziesięciu czterech zawodników otrzymało owacje, które byłyby w stanie obudzić zmarłego.

Zebrani na środku placu mężczyźni stali w jednym rzędzie. W walce wręcz rozmiary mają zdecydowanie większe znaczenie niż w szermierce, toteż nic dziwnego, że wszyscy mieli sześć stóp wzrostu lub więcej. Wszyscy, z wyjątkiem dwóch. To na nich zwróciłem wtedy szczególną uwagę. Jak się domyślacie, jednym z nich był Melbarr, choć wtedy herold przedstawił go jako Mayka Monena, szlachcica z Beittleed. Łysy niczym jajo, ze swoją wysuniętą, kanciąstą szczęką wyglądał jak oprych. Na dodatek cały czas nosił skórzane rękawice, co było dozwolone, lecz rzadko praktykowane.

Choć o głowę niższy od reszty stawki, Monen był przynajmniej mocno zbudowany. Szeroki w barach, muskularny, bez zbędnego grama tłuszczu. Nie mógł ważyć mniej niż piętnaście kamieni. Natomiast drugi z konusów był niemal identycznego wzrostu, lecz co najmniej cztery kamienie lżejszy. Nazywał siebie Węgorzem i od razu zdobył moją sympatię, gdyż podobnie jak ja był przybyszem z Morsstand. Sądząc po jego rysach i karnacji, przypuszczam, że musiał pochodzić z głębi kraju, najpewniej z Chilsund.

W końcu rozpoczęło się to, na co wszyscy czekali. Mordobicie. Monen i Węgorz wylądowali na dwóch różnych krańcach drzewka turniejowego. Ich styl walki również był kompletnie różny. Pseudonim mojego krajana pasował do niego doskonale. Nie sposób było go trafić czy złapać. Zasypywał przeciwników szybkimi ciosami, a gdy ci opadali z sił, czekał na odpowiedni moment i wykonywał kończącą dźwignię lub duszenie. Był silniejszy, niż mogłoby się wydawać, i ewidentnie starał się nie wyrządzić poważnej krzywdy rywalom. Podobną ostrożność prezentował Monen, co było jedynym podobieństwem, jakiego można było doszukać się w ich walkach.

Starcia Monena były znacznie krótsze, gdyż nie bazował on na uderzeniach, lecz od razu przechodził do zapasów. Obalał przeciwnika na ziemię, wykręcał mu rękę i było po wszystkim. Publiczności niezbyt się to podobało, toteż w późniejszej fazie turnieju Monen starał się dostarczyć jej więcej rozrywki. Nim wymusił na przeciwniku poddanie w parterze, najpierw przez kilka minut wymieniał z nim ciosy w stójce. Wprawnym okiem można było dostrzec, że nie wkładał całej siły w uderzenia, ale sam nie uciekał nawet przed najpotężniejszymi razami. Widownia wyła z zachwytu, gdy raz po raz przyjmował trafienia, które normalną osobę pozbawiłyby przytomności.

Nie znalazł się nikt, kto sprawiłby im większe trudności, i pod koniec drugiego dnia zmagań dwóch najniższych zawodników spotkało się w finale. Po raz pierwszy byłem świadkiem, aby zebrana na trybunach gawiedź tak równo podzieliła swoje wsparcie pomiędzy walczących. Jedni kibicowali Monenowi, głównie dlatego, że pochodził z Loherbemm, a przynajmniej tak twierdził. Ci, którzy potrafili docenić prawdziwy kunszt i finezję, trzymali kciuki za Węgorza. Ja sam, choć sercem za krajanem, byłem przekonany, że tym razem nie będzie on w stanie oprzeć się okrutnej sile rywala.

Początek walki przebiegał zgodnie z moimi przewidywaniami. Monen przyjmował cios za ciosem, zataczając kółka wokół konkurenta i szukając luki w jego obronie. Po kilku minutach miał wreszcie dosyć. Rozpoczął natarcie. Próbował doskoczyć do Węgorza i pochwycić go w swoje wielkie łapska, ale ten za każdym razem znajdywał sposób, by wywinąć się z opresji.

Walka przeciągnęła się o kolejne długie minuty. Obaj zawodnicy stopniowo opadali z sił, Monen na dodatek zaczął odczuwać bolesne skutki otrzymanych ciosów. Nie atakował już tak zaciekle, zamiast tego wyczekując potknięcia Węgorza. Jednak to on pierwszy popełnił błąd. Węgorzowi udało się znaleźć za jego plecami i założyć czyste duszenie. Po chwili szamotaniny Monen wraz z uczeponym jego szyi przeciwnikiem runął na ziemię. Wydawało się, że jest już po wszystkim.

Mijały sekundy, minęła minuta, potem druga, a Monen nie odklepywał. Zupełnie jakby nie potrzebował oddychać. Węgorz nie rozluźniał uścisku, lecz nagle Monen odzyskał siły, coś kompletnie nieprawdopodobnego. Z zaskakującą łatwością rzucił z siebie rywala, obrócił go jak szmacianą lalkę i sam założył mu duszenie. Spięty biceps Monena ledwo mieścił się pomiędzy brodą a piersią Węgorza, który w akcie rozpaczny obijał łokciami boki oponenta.

Kapitulacja mojego faworyta była kwestią sekund. Wtedy to Monen niespodziewanie go puścił i trzymając się za brzuch, odklepał trzy razy w piach arenę. Trybuny wybuchły krzykiem tysięcy gardet. W swoim udawanym cierpieniu Monen był tak przekonywujący, że mało kto poznał się na jego oszustwie. Nawet Węgorz nie wiedział, co się stało.

Po oficjalnym ogłoszeniu zwycięzcy i wręczeniu nagród wróciłem na zamek, do swoich komnat, by odpocząć przed czekającymi mnie następnego dnia walkami. Chciałem poznać

Węgorza osobistość, ale odłożyłem to na później, przekonany, że będzie jeszcze ku temu sposobność. Byłem w błędzie. Węgorz zniknął zaraz po swoim triumfie i słuch po nim zginął.

Wyspany i pewien swoich umiejętności zjawiłem się nazajutrz na prezentacji zawodników startujących w indywidualnych zawodach Miecza i Tarczy. Jako aktualny czempion nie musiałem brać udziału w eliminacjach i dopiero teraz miałem okazję spotkać wszystkich pozostałych uczestników. Możecie sobie wyobrazić, jak wielkie było moje zdziwienie, gdy wśród nich ujrzałem Monena. Co prawda czasem zdarzały się przypadki, by jedna osoba startowała w dwóch konkurencjach, niemniej było to niezwykle rzadkie.

Po prezentacji była okazja, by wymienić z nim kilka słów. Pogratulowałem mu dotarcia do finału, a on powiedział, że nie może się doczekać, aż zobaczy najlepszego wojownika Lotherbemm w akcji. Zaraz potem wywołano mnie na pierwszy pojedynek.

Mojego przeciwnika zjarła trema i udało mi się go rozbroić już w pierwszym natarciu. Kolejne zwycięstwa nie przychodziły mi już tak łatwo, zwłaszcza w półfinale mocno namęczyłem się z Valem Paskkuro, zdołał nawet zranić mnie w lewe ramię, ale ostatecznie wygrałem. Czas pomiędzy pojedynkami wypełniało mi obserwowanie konkurencji.

Tego roku turniej stał na wyjątkowo wysokim poziomie, najlepsi szermierze Lotherbemm zjechali do Rodawnzaru wyjątkowo tłumnie. Najwięcej było oczywiście rycerstwa, ale nie brakowało też zdolnych żołnierzy, którzy zdobyli dużo cennego doświadczenia w wojnie z Sinmow. Pojedynki były wyrównane i krwawe, jeden młody baron stracił życie i pojawiły się zarzuty, że broń turniejowa jest ostrzejsza niż zazwyczaj. Pośród zawodników wkradła się nerwowałość. Część z nich zbytnio skupiła się na defensywie, z kolei inni przestali baczyć na zdrowie swych oponentów, co dodatkowo spotęgowało brutalność starć. Zginęły kolejne dwie osoby. Motoch okazywał zachwyt, a jakże. Był jeszcze ktoś, kto korzystał na strachu walczących – Mayk Monen.

W Turnieju Miecza i Tarczy większość decydowała się na sprzęt zgodny z jego nazwą, nieliczni, między innymi ja, preferowały dwa miecze: rozwijanie bardziej ofensywne, lecz wymagające więcej umiejętności. Monen używał tylko jednego miecza, rezygnując z tarczy. Wybór niespotykany, ale pasujący idealnie do jego taktyki. Szybko dostrzegłem, że jego technika pozostawia wiele do życzenia i on też zdawał sobie z tego sprawę. Aby uzyskać przewagę nad rywalami, wytrącał ich z równowagi, a pomagał mu w tym właśnie strach. Wyprowadzał zamaszyste, potężne cięcia, dając im do zrozumienia, że nie obchodzi go, czy zejdą z areną o własnych siłach. Była to tylko gra pozorów, bo kilka razy zaobserwowałem, jak w ostatniej chwili wyhamowuje własny miecz, gdy nie był pewien, czy przeciwnik sam zdoła go zatrzymać. Jednak łatwiej wyłapać takie rzeczy, gdy siedzi się wygodnie na trybunach. Bądź co bądź, rezultatem takiego zachowania było wyzbycie się wszelkich skrupułów przez jego oponentów. Dokładnie na to liczył Monen.

Balansował na krawędzi, niczym szaleniec, niczym samobójca. Raz po raz przez widownię przetaczał się stłumiony okrzyk, gdy ostrze mijało go cale. Nie wiem, czy rzeczywiście nie dbał o życie, czy też był tak pewny siebie, niemniej udało mu się uniknąć śmierci. Taki rodzaj odwagi czy może raczej brawury ma niesamowicie destruktywny wpływ na morale rywala, który nie chce żegnać się z tym światem. Jeden z konkurentów Monena, nie zważając na hańbę, po prostu się poddał. Inni, sparaliżowani strachem, popełniali błędy, na które Monen tylko czekał. Obalał ich na ziemię kopniakami w wykroczną nogę, wytrącał broń, a jednemu, wielkiemu jak dąb rycerzowi, wyszarpał tarczę z ręki. Nigdy nie widziałem, by ktoś zrobił coś podobnego. Miałem się nad czym zastanawiać, nim skrzyżowaliśmy ostrza w finale.

Zaskoczył mnie jeszcze przed rozpoczęciem starcia, po raz pierwszy decydując się na walkę dwoma mieczami. Rana ograniczała ruchy mej lewej ręki, mimo to byłem pewien swojej przewagi. Po krótkim, asekuracyjnym początku, ruszyłem do ataku. Choć okazało się, że Monen obiema rękami włada mieczem z równą sprawnością, to bronił się niezdarnie i szybko udało mi się zranić go w prawe ramię oraz lewe udo. Choć powierzchowne, rany wyprowadziły go z równowagi, a w jego oczach pojawił się obłęd. Było w nim coś zwierzęcego, coś tak przerazającego, że na chwilę zapomniałem o wszystkim, co sobie wcześniej postanowiłem. Pierwszy raz od wielu lat poczułem strach. Monen przejął inicjatywę.

Przez chwilę odpierałem jego chaotyczne ataki, udało mi się też trochę uspokoić i w końcu wytrąciłem mu jeden z mieczy. Poczułem się pewniej, co oczywiście okazało się błędem. Monen nagle dostał nadludzkiego przyspieszenia i kopnął mnie w piers. Wylądowałem na ziemi, przy okazji upuszczając jeden z mieczy. Pozwolił mi wstać i odkopnął swą leżącą na klepisku broń z dala od środka areny. Powodowany rycerskim honorem, uczyniłem to samo.

Walka na jeden miecz była mu na rękę. Przedzieranie się przez jego gardę nie przychodziło mi już z taką łatwością. Za to on wykorzystał pierwszą nadarzającą się okazję, by zdzielić mnie pięścią w brzuch. Ból był potworny, przeszył całe ciało i znów upadłem. Później okazało się, że połamał mi cztery żebra.

Tym razem nie dał mi się podnieść. Zamiast tego skoczył na mnie i zaczęliśmy kotłować się na ziemi. Dopiero teraz naprawdę poczułem, jaki jest silny. Stawiając opór, czułem się jak dziecko szamoczące się z dorosłym. Gdyby tylko chciał, mógł połamać mi ręce, zatłuc na śmierć, udusić. Stało się coś zupełnie innego.

W międzyczasie Monen zdążył się pozbyć swojej broni i teraz tylko ja dzierżyłem miecz w dłoni, ale on trzymał tę dłoń tak mocno, że nie byłem w stanie nią ruszyć. Pogodzony z porażką, spojrzałem mu w oczy, a on spojrzał w moje. W tej samej chwili jego wzrok się uspokoił, na powrót stał się ludzki. Zgiął mą prawą rękę na tyle powoli, by wyglądało to tak, jakbym zrobił to sam, i przystawił sobie mój miecz do gardła. Krzyknął: 'Poddaję się. Zwyciężyłeś', po czym mnie puścił i pomógł mi wstać.

Wciąż nie mogąc zrozumieć, co się stało, po raz czwarty w swym życiu zostałem okrzyknięty czempionem. Ku moemu zdziwieniu wyglądało na to, że publiczność znowu nie zauważała, iż Monen się podłożył. Zszedłem z placu boju kompletnie zdezorientowany. Cholernie chciałem pogadać z Monenem, spytać go, dlaczego po raz drugi oddał zwycięstwo w finale, ale on zdążył się już ulotnić. Byłem wściekły, bo tajdak obrabował mnie z radości triumfu.

Nadworny medyk uznał, że złamania żeber nie są poważne i po prostu potrzebuję kilku tygodni odpoczynku, by zrosły się z powrotem. Wykorzystałem jego zalecenie jako wymówkę, by urwać się wcześniej z uczty wyprawionej na moją cześć. Poszedłem na nią z wątplią nadzieją, iż spotkam Monena, a gdy ten się nie zjawił, wróciłem do swych komnat i upałem się w samotności.

Następnego dnia rano, skacowany jak nigdy, udałem się na Padavonę, by oglądać turniej dwójk. Kiedy pojawiłem się w loży czempionów, jeszcze raz musiałem odbierać niezasłużone gratulacje. Jedyną osobą, która mnie zignorowała, i to w ostentacyjny sposób, był Wielki Inkwizytor, który swój sukces świętował czterdzieści lat wcześniej. Nie byłem pewien, czy zlekceważył mnie, ponieważ dostrzegł oszustwo Monena, czy po prostu nie podobał mu się mój kolor skóry. W każdym razie, gdy cztery dni później dowiedziałem się, że zmarł na skutek otrucia, targały mną mieszane uczucia.

Nie byłem jedyną osobą, która przesadziła z alkoholem poprzedniej nocy. Podczas gdy ja piłem, świętując mój gorzki triumf, Ron Wilsay próbował dodać sobie odwagi przed czekającymi go starciami. Na prezentacji ledwo stał na nogach, podtrzymywany przez swojego brata, Steva. Na jego szczęście Steve miał dość oleju w głowie, by zabronić mu startu. Udało się też znaleźć zastępstwo za chlejusa. Zastępstwem tym okazał się Monen.

Tłum był zachwycony takim rozwojem wydarzeń. W ciągu ostatnich czterech dni Monen dostarczył wszystkim niesamowitych emocji, czym zaskarbił sobie sympatię trybun. Niesiony dopingiem, Wilsay walczył znakomicie, a na Monena nadal nikt nie mógł znaleźć sposobu. Spacerkiem doszli do ćwierćfinału, gdzie w końcu zaczęły się schody. Rozgrywano je już kolejnego dnia i najwyraźniej przerwa nie przysyłyła się młodemu Wilsayowi. Chociaż udało im się wygrać pojedynek, chłopak został mocno ranny i musiał wycofać się z turnieju.

Przepisy przewidywały sytuację, w której jeden z pary zawodników nie jest w stanie dalej walczyć i pozwalały jego partnerowi na dalszą walkę w pojedynkę. Szanse na wygraną takiego delikwenta były oczywiście minimalne, ale Monen postanowił spróbować szczęścia. I wygrał. Wygrał półfinał oraz finał, pokonując w nim faworytów całych zawodów, braci Onguy. Nie były to najpiękniejsze zwycięstwa, nie brakowało w nich nieczystych zagrań ze strony Monena, ale nie licząc jego przeciwników, nikt nie miał mu tego za złe. W końcu walczył sam i musiał sobie jakoś radzić.

Monen został pierwszym zawodnikiem w historii, który wygrał finał turnieju dwórek w pojedynkę, oraz pierwszym, który jednego roku doszedł do finałów wszystkich trzech konkurencji

walki. Został bohaterem, zgarnął kupę kasy i zniknął, podobnie jak Węgorz. Musiał być jeszcze obecny na konkursie Gracji i Talantu, skoro powiedział Garethowi, że widział jego występ, ale na pewno nie zasiadał w żadnej z honorowych łóż.

Po zakończeniu Wielkiego Turnieju próbowało go odnaleźć. Wkrótce okazało się, że nikt o jego nazwisku nigdy nie mieszkał na Beittleled. Nie bez powodu twierdził, że pochodzi z wyspy. Na dwa tygodnie przed Turniejem zmarł władca Beittleled i jego wszyscy poddani, pogrążeni w żałobie, zrezygnowali z podróży na kontynent. Dzięki temu nikt nie zakwestionował jego tożsamości.

Piąty dzień ósmego obiegu Białego Karła. 240 dzień roku. Zachodnia Prowincja.

Południe.

Tydzień po opuszczeniu Wartegall monotonny, nizinny krajobraz ustąpił miejsca strzelistym szczytom Górz Podziału. Najdłuższy łańcuch górski Miliphen ciągnął się dwa tysiące mil na południe, aż do samego oceanu, natomiast w kierunku północnym urywał się dzień drogi od Velfare. Rozdzielał on Prowincje Zachodnią i Wschodnią, a także krainę Dżungli od Morsstand. Szerokość tego fragmentu łańcucha, który leżał na obszarze Lotherebemm, wynosiła od stu do dwustu pięćdziesięciu mil, a przez jego środek przebiegała Wyjąca Dolina. Było to miejsce wyjątkowo nieprzyjazne z powodu występujących tu często huraganowych wiatrów. Na dodatek dochodziło tu też do wyjątkowo dużej liczby zaginięć oraz morderstw, a miejscowi szeptali o potworach zamieszkujących wyższe partie gór. Podróżujący pomiędzy Wschodem i Zachodem prosili więc Sprawiedliwego o dobrą pogodę oraz ochronę przed złem i zapuszczały się w niebezpieczny teren. Alternatywna trasa omijająca Dolinę wymagała nadłożenia trzech tygodni drogi.

Nickowi i jego towarzyszom sprzyjało szczęście i w ciągu czterech dni spędzonych w Dolinie nie doświadczyli silnego wiatru. Kiedy w końcu zostawili góry za swoimi plecami i wkroczyli na charakterystyczne dla Zachodu stepy, młody książę zrozumiał ogrom klęski wywołanej przez suszę, o której ostatnio tak dużo się mówiło. Zielona, zazwyczaj kipiąca życiem wysoka trawa została wypalona przez pożary; spękany od słońca grunt rozciągał się aż po horyzont. Serce Nicka przeszył klujący ból. Bał się tego, co może napotkać dalej na swej drodze i przez chwilę myślał nawet o powrocie do Wartegall.

Po kilku godzinach jazdy przez pustkowie dotarli do niewielkiej osady. Po większości z zabudowań zostały jedynie zgliszczka, ostało się zaledwie kilka domostw wykonanych z kamienia. Gdy wjechali na plac, który niegdyś z pewnością służył za targowisko, jeszcze bardziej podupadli na duchu. Na skleconej z nadpalonych krokwi olbrzymiej szubienicy wisiało trzynaście ciał. Podjechali bliżej. Żerujące na trupach ptaki zerwały się do lotu. Kisric ocenił, że egzekucji dokonano mniej więcej przed dwoma tygodniami.

Podczas gdy Gareth pozbywał się treści żołądka, Nick i Kisric zastanawiali się, kto może być odpowiedzialny za masowe morderstwo. Wielki Czempion był gotów przypisać winę jednej ze zbójeckich band, których namnożyło się ostatnimi czasy na Zachodzie. Książę nie odrzucał takiej możliwości, lecz nie był do niej do końca przekonany. W ponurzych nastrojach opuścili osadę i skierowali się dalej na południowy zachód.

Do kolejnej miejscowości dotarli już po zmroku. Widok nietkniętych płomieniami domostw i świąteł w oknach dodał im otuchy. Zatrzymali się przed gospodą. Drzwi były zamknięte, skorzystali więc z kołatkii. Ze środka dobijały stłumione głosy, ale nikt im nie otwierał. Po chwili usłyszeli, jak ktoś wymyka się z budynku tylnym wyjściem.

— Powinniśmy ruszać dalej. Coś jest tutaj nie w porządku — niepokoił się Kisric.

— Oczywiście, że jest. Ktoś wyróżnął sąsiednią wioskę. Nic dziwnego, że się boją — odparł Nick, po czym krzyknął do ludzi w gospodzie, o ile ktoś tam jeszcze zostało. — Nie bójcie się, dobrzy ludzie. Przychodzimy w pokoju.

— Kisric ma rację — odezwała się Gareth. — I tak bałbym się tu nocować.

— Nie przyjechałem tu po to, by odpoczywać, lecz, by dowiedzieć się, kto zabił tamtych ludzi — wyrzucił mu w twarz Nick. Postawa przyjaciół zaczynała go denerwować. Po raz kolejny załomotał w drzwi. — Otwórzcie. Musimy porozmawiać.

Nikt nie odpowiedział.

Ziryutowany Nick przez krótką chwilę rozważał wyważenie drzwi, ostatecznie stwierdził jednak, że lepiej poszukać kogoś chętnego do współpracy w innych domostwach. Ruszył w kierunku stojącego po drugiej stronie ulicy okazałego, kamiennego budynku należącego najpewniej do młynarza, co wywnioskował po dostawionym do jego tylnej części wiatraku. Towarzysze podążyli za nim. Gdy znaleźli się na środku drogi, dostrzegli zbliżających się z obydwu stron ludzi z pochodniami.

— Na koń — zawała Kisric. — Może uda nam się przedrzeć.

— Nie — zaprotestował książę. — Nie będę uciekał przed poddanymi.

Wojownik westchnął ciężko i poprawił skrzyżowane na plecach miecze. Gareth podszedł bliżej, próbując schować się za wojownikiem, lecz nie wiedział, jak się ustawić, gdyż wieśniacy otoczyli ich okręgiem. Płonące pochodnie oświetlały ich uzbrojone w rozmaite narzędzia sylwetki.

— Wysłuchajcie nas ludzie! — Nick przemówił pierwszy. — Nie szukamy kłopotów.

— Kto jesteście? — zapytał jeden z mężczyzn, wysunąwszy się wcześniej dwa kroki przed szereg.

— Jestem Nick Brucondeis, syn Galilnaniego Brucondeisa, władcy na zamku w Rodawnzarze. — Książę nie był pewien, czy prawda mu pomoże. — Moi kompanii to Kisric zwany Twardym oraz Gareth Tovesh, wędrowny bard.

Zaskoczony tłum przez moment analizował w myślach jego słowa. Kisric dokładniej przyjrzał się zebranym. Prezentowali się żałosnie. Wychudzone ciała i zapadnięte policzki sprawiały, że wyglądali jak odziane szkielety. Był gotów się założyć, iż większość z nich nie ustałaby na nogach, gdyby pozbawić ich narzędzi, na których się podpierali. W końcu człowiek na przedzie przemówił ponownie.

— Musisz mówić prawdę. Wielkiego Czempiona nie da się pomylić z nikim innym. Co cię tu sprowadza, książę? Przybyłeś patrzeć, jak twój lud umiera? — Mężczyzna odpuścił sobie grzecznościowe zwroty, jakimi należało zwracać się do szlachetnie urodzonych. W jego głosie słychać było żal i desperację.

— Wracam do domu po czasie spędzonym w niewoli u piratów. Kisric mnie eskortuje, a barda spotkaliśmy po drodze. Zatrzymaliśmy się w waszej wiosce w nadziei, że dowiemy się tu, kto odpowiada za śmierć wisielców z sąsiedniej osady.

— Po co ci to wiedzieć?

— Bym mógł wymierzyć sprawiedliwość?

— Sprawiedliwość? — Wieśniak zaciągnął pięści na drągu motyki. — W tym kraju sprawiedliwość jest dla szlachetnie urodzonych. Ale w porządku. Powiem ci, kto temu winien, choć pewnie sam przypłacę to życiem. Nie dbam o to. Nie jadłem od trzech dni i zaczynam się zastanawiać, czy śmierć na linie nie byłaby lepsza.

— Wszyscy się nad tym zastanawiamy — zawtórował ktoś obok.

— Zróbcie coś, uratujcie chociaż dzieci — zawała jakaś kobieta.

— Oddajcie nam wasze konie — krzyknął młody mężczyzna z kosą w ręku i ruszył w kierunku wierzchowców.

Kisric sięgał już po miecze, ale Nick powstrzymał go gestem ręki, po czym zastąpił drogę kosynierowi.

— Damy wam konie, tylko powiedzcie nam, kto powiesił wieśniaków.

— Heisgren ich powiesił! Głodowali, więc zaczęli uciekać z domów na północ. Gdy hrabia dowiedział się, że traci robotników, nakazał swym ludziom patrolować goścince. Złapanych uciekinierów powieszono, by nastraszyć tych, co jeszcze zostali. A teraz dawaj konie — zażądał kosynier.

— Tego się obawiałem — zamruczał pod nosem książę, po czym zwrócił się do tłumu. — Na razie damy wam jednego konia. Pozostałe dostaniecie jutro, gdy rozmówię się z Heisgrenem.

— Skąd mamy mieć pewność, że wrócisz?

— Mogę dać w zastaw mieszek pełen srebra. — Była to pierwsza rzecz, która przyszła na myśl Nickowi.

— Srebrem się nie najemy — zauważyła jedna z kobiet.

Nick chciał powołać się na swój honor, ale w porę się przed tym powstrzymał. Dla znajdujących się na skraju śmierci wieśniaków jego słowo musiało mieć jeszcze mniejszą wartość niż srebro. Nie miał też innych pomysłów, jak ich przekonać.

Z pomocą przyszedł mu Gareth.

— Zostanę z wami jako zakładnik — oznajmił. — Po powrocie księcia wymienicie mnie na konie.

Po chwili ożywionej dyskusji wieśniacy przystali na propozycję.

Pożegnali się z Garethem i ruszyli w stronę rezydencji Heisgrena, kierując się wskazówkami uzyskanymi od wieśniaków. Postawa barda bardzo zaimponowała Nickowi. Książę miał nadzieję, iż wyglądniali osadnicy również ją docenią i muzykowi nie stanie się żadna krzywda. Poczciwy wałach muzykanta niestety nie mógł liczyć na to samo.

Jechali szybko, ostro spinając swe chyże wierzchowce. Niedługo i tak miały zostać przerobione na gulasz, więc nie było sensu ich oszczędzać. Dotarli na miejsce po północy. Posiadłość okrutnego włódarza otoczona była murem, na jego blankach czuwali uzbrojeni w kusze strażnicy. Kiedy jeźdźcy podjechali pod stalową bramę, jeden z nich zawałał.

— Ki czort podróżuje o tej porze? Gadaj, bo strzelam!

Nick rozejrzał się dookoła i dostrzegł leżące nieopodal bramy przeszyte bełtami zwłoki wychudzonych ludzi. Gniew w nim narastał.

— Bac na słowa, chamie. Jam jest Nick Brucondeis, książę Zachodu, a mój towarzysz to Kisric zwany Twardym, Mistrz Mieczy. Otwieraj bramę! — zawałał władczy tonem.

Po raz kolejny tego dnia obecność Kisrica wystarczyła, by zawierzono jego słowom. Brama została podniesiona i wjechali do środka.

— Wasza Książęca Mość raczy wybaczyć, że go nie poznałem — kajał się wartownik. — Jak mogę...

— Prowadź mnie do hrabiego — przerwał mu Nick. — Jeśli śpi, to go obudź.

— Tak jest, Wasza Książęca Mość. Proszę za mną.

Podążyli za przewodnikiem, zostawiwszy konie pod opieką drugiego ze strażników.

Zamek hrabiego pod względem architektonicznym był bardzo prosty. Zbudowany na planie kwadratu, z czterema strzelistymi wieżami w narożnikach, nie wyróżniał się właściwie niczym. Nie należał też do największych. Przyglądając mu się z zewnątrz, trudno było uwierzyć, że zamieszkuje go hrabia, a nie zwykły baron czy bogaty kupiec. Dopiero wystrój wewnętrzny budowli zdradzał, że jej właściciel jest osobą bardzo majątną.

Po przejściu przez długi hol, pod którego ścianami ciągnęły się dwa tuziny kamiennych rycerzy opancerzonych w autentyczne zbroje płytowe oraz uzbrojonych w najwyższej jakości halabardy, dotarli do przestronnej sali, w której hrabia zwykł przyjmować patentów. W jej

centralnym miejscu stał tron z czarnego drewna, a znajdująca się za nim ściana była w całości pokryta mozaiką przedstawiającą scenę szturmu na jakąś fortę. Oczy szтурmujących wykonane zostały z brylantów, natomiast obrońców z rubinów. Nick nigdy by nie pomyślał, że można wykorzystać kamienie szlachetne do ozdobienia ściany.

Strażnik oddalił się, by obudzić swojego pana. Książę oraz czempion zostali sami.

— Co planujesz? — zapytał Kisric.

— Jeszcze nie wiem, będę improwizował.

— Kurt Heisgren to nie jest jakiś zwykły oprych, którego przestraszy moja obecność. Ma pod sobą kilku baronów i co najmniej setkę rycerstwa, które uważa go za bohatera. Ta scenka na ścianie przedstawia zdobycie Hawkstorm. Heisgren dowodził natarciu. Poza tym zna się z twoim ojcem od małego. Miej to na uwadze, gdy będziesz z nim rozmawiał.

— Postaram się trzymać nerwy na wodzy — obiecał książe. Spokój, z jakim Kisric udzielał rady, dodał mu pewności siebie.

Wyrwany ze snu hrabia zjawił się po kilku minutach w obstawie czterech strażników, którym nakazał czekać na korytarzu. Dobiegał pięćdziesiątki i był słusznej postury, a jego naznaczona bliznami twarz miała surowy wyraz, lecz kogut na głowie sprawił, że mimo wszystko wyglądał zabawnie.

— Wasza Księęca Mość — ukłonił się przed Nickiem. — Wyrośliście od czasu, gdy widziałem was po raz ostatni. — Sir — skinął Kisricowi. — Co was sprowadza w moje skromne progi o tak nietypowej porze? — zapytał, zapinając ostatnie guziki zielonej tuniki.

— Na wstępnie chciałbym waszmość przeprosić za zajście w środku nocy. — Książę ukłonił się pokorne, choć etykieta go do tego nie zobowiązywała. — Niestety, sytuacja zmusiła nas postępować wbrew dobrym obyczajom.

— Cóż się stało?

— Podróżowaliśmy w kierunku Rodawnzaru, gdy w jednej z podlegających Waszmości wiosek natrafiliśmy na miejsce masowej zbrodni. Ktoś powiesił kilkunastu wieśniaków i prawdopodobnie podpalił wioskę.

Nick starał się brzmieć na zatroskanego. Nie chciał naskakiwać na hrabiego, jeśli nie było to konieczne.

Kisric szybko ocenił, że dodatkowi strażnicy sprowadzeni przez Heisgrena nie stanowią poważnego zagrożenia. Stanął nieco z boku, by pozwolić szlachetniej urodzonym na swobodną rozmowę. Pozornie znudzony, przysłuchiwał się jej z uwagą. Był bardzo ciekawy, jak młodzieniec poradzi sobie z doświadczonym arystokratą.

— Głód popycha ludzi do najokropniejszych czynów. Zorganizowane bandy grasują w okolicy od wielu tygodni, łupiąc i mordując wszystkich, których napotkają na swej drodze.

— Rozumiem. — Książę pokiwał głową z udawanym niedowierzaniem. — W jaki sposób Waszmość stara się walczyć z tym procederem?

— Nakazałem patrolowanie gościńców i ochronę wiosek.

— Rzeczywiście napotkaliśmy jeden z takich patroli, lecz jego dowódca zamiast o bandytów, wypytał nas o to, czy nie napotkaliśmy po drodze jakichś wieśniaków.

Hrabia zrozumiał, że jego kłamstwa zostały przejrzane. Zmierzył Nicka groźnym, podejrzliwym wzrokiem.

— Od dłuższego czasu chłopi łamią prawo i uciekają na północ bez zgody swych panów. Dzieje się tak w wielu rejonach naszej prowincji. Gdy skala tego zjawiska zaczęła zagrażać utrzymaniu włości, część arystokracji postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce. Przyznaję, że oprócz bandytów, patrole łapią także wieśniaków. Jednak byłem przekonany, że nie dochodzi do żadnych morderstw, a złapani uciekinierzy są odprowadzani do swych osad.

— Mógłbym zarzucić Waszmości brak kontroli nad podwładnymi, lecz byłoby to niesprawiedliwe. Sam dopiero co wróciłem w rodzinne strony po długiej nieobecności i również nie posiadam pełnego obrazu tego, co się tutaj dzieje — Nick nie stracił rezonu pod lodowatym spojrzeniem Heisgrena. Mówił stanowczo, lecz nie napastliwie. — Niemniej, co do jednego jestem pewien: prześladowania wieśniaków muszą się skończyć. Jeśli migrują z powodu głodu, to trzeba im na to pozwolić. Niedoborem rąk do pracy będziemy martwić się później. Czy hrabia się ze mną zgodzi?

— Oczywiście, Wasza Książęca Mość — po chwili zawahania odparł Heisgren.

— Świeśnie. Odnośnie walki z głodem, jak wygląda stan waszych spichlerzy?

— Są puste.

— Spichlerze armii również?

— Jak Wasza Książęca Mość z pewnością wie, ze spichlerzy armii można korzystać jedynie w czasie wojny.

— Jeśli nie poczynimy właściwych kroków, głód w naszej prowincji zbierze wkrótce więcej ofiar niż ostatnia wojna. W związku z tym nakazuję otwarcie wojskowych spichlerzy.

— Taki rozkaz może wydać jedynie król, wielki książę bądź marszałek Lotherbemm. Obawiam się, że bez odpowiednio opieczętowanych, pisemnych rozkazów, nie będę mógł nic zrobić w tej sprawie — oznał hrabia. Na jego twarzy pojawił się prowokujący uśmiech.

— Drogi hrabio, przecież nie śmiałbym prosić Waszmości o nadużywanie władzy. — Nick nie tracił pewności siebie i pozostawał poważny. — Zapewniam, że w przeciągu dwóch tygodni otrzymacie oficjalny rozkaz z odpowiednią datą, tak, byście byli poza wszelkim podejrzeniem. Potraktujesz to jako wielką przysługę dla całej prowincji, jak i osobiste dla mnie, jeśli kierując się troską o poddanych, przymkniesz oko na wiążące ręce, biurokratyczne przepisy i otworzysz spichlerze z samego rana.

— Skoro Wasza Książęca Mość tak stawia sprawę, to nie pozostaje mi nic innego, jak przystać na tę prośbę — zgodził się Heisgren, skuszony wizją zamienienia księcia w swojego dłużnika.

— Wspaniale, że doszliśmy do porozumienia. — Nick uśmiechnął się delikatnie i uściśniął dłoń hrabiego. — No cóż, nie będziemy się dłużej Waszmości naprzykrzać. Czas w drogę. Jeszcze raz proszę o wybaczenie za pobudkę.

— Liczyłem, że Wasza Książęca Mość zechce zaszczycić mnie dłuższym pobytom.

— Niestety, obowiązki wzywają. Właściwie to mam jeszcze jedną, ostatnią prośbę do hrabiego.

Nick bez trudu przekonał hrabiego, by użyczył im dwóch wierzchowców ze swojej stajni, dzięki którym mieli szybciej dotrzeć do Rodawnzaru. W rzeczywistości księżę zamierzał oddać je wieśniakom zgodnie z zawartą z nimi umową i zachować dla siebie wytrzymałe ogiery, na których podróżowali do tej pory.

Czarny Księże świecił tej nocy wyjątkowo mocno i Kisric mógł z łatwością dostrzec zadowolenie wyrysowane na twarzy Nicka. Po tym, jak jego podopieczny uzyskał od hrabiego wszystko, co chciał, Wielki Czempion nie mógł odmówić mu dyplomatycznego talentu, jednakże nie podzielał jego dobrego samopoczucia.

— Nałykasz się robali, szczerząc się tak w czasie jazdy. — Jechali szybko, podkute kopyta głośno dudniły o brukowaną drogę, więc Kisric musiał podnieść głos, by księżę mógł go usłyszeć.

— Czy ty przypadkiem nie bierzesz opieki nad mną nazbyt poważnie?

— Nie mam nic przeciwko dręczeniu zwykłych łajdaków, ale pogrywanie z Heisgrenem? To jest poważna sprawa.

— Bez przesady. Nawet jeśli nie uda mi się przekonać komesa do wysłania tych rozkazów, to Heisgren i tak nie ma żadnego dowodu, że go odwiedziliśmy. A nawet gdyby miał, to co z tego? Przecież działamy w słusznej sprawie.

— To, co tobie wydaje się słuszne, wcale nie musi być takie w oczach arystokracji — sprzeczał się Kisric. — Jeśli myślisz, że Heisgren nagle zapałał miłością do chłopów, to jesteś w błędzie. Szybko znajdzie sposób, by ukarać ich za ustępstwa, na które musiał dzisiaj przystać.

— Dlatego będziemy musieli dopilnować, by do tego nie doszło. — Usta księcia wykrzywiły się w nieprzyjemnym uśmiechu.

— Aż boję się pytać, co planujesz.

Po raz pierwszy od przejęcia opieki nad chłopakiem Kisric był prawdziwie zaniepokojony.

— Sam jesteś sobie winien. W końcu to ty mnie przekonaleś, że czas dorosnąć.

Pierwszy dzień dziewiątego obiegu Władcy. 244 dzień roku. Rodawnzar. Południe.

Po spotkaniu z hrabią Nick i Kisric popędzili wierzchowce, by czym prędzej dopełnić umowy zawartej z wygłodniałymi wieśniakami i odzyskać wolność dla Garetha. Nie przypuszczali, żeby muzykowi groziło jakieś niebezpieczeństwo, jednakże sytuacja, w jakiej się znalazła, była nie do pozadroszczenia. Gdy wraz z nastaniem świtu dotarli na miejsce, w pierwszej chwili odnieśli wrażenie, że musieli pogubić drogę i trafić do złej osady. Co prawda witający ich ludzie nadal byli wychudzeni, lecz na ich twarzach, tak strasznych i zrozpaczonych poprzedniej nocy, teraz rysowała się nadzieję. Niektórzy nawet się uśmiechali. Nick zachodził w głowę, czy ta przemiana jest zasługą jedynie gulaszu z koniny oraz przewagi światła dziennego nad blaskiem pochodni, czy też może głos Garetha ma większą moc, niż sądził.

Nie zważając na nieobecność barda, który odsypiał całonocny koncert, księżę przeszedł do interesów. W trakcie rozmowy, która wywiązała się podczas przekazywania koni, poinformował chłopów, iż przekonał hrabiego, by odwołał swoich ludzi z gościńców i nie karał tych, którzy zdecydują się porzucić pracę na podległych mu włościach. Zaskoczeni wieśniacy nie wiedzieli, jak mu dziękować. Zakłopotany ich wylewną wdzięcznością, Nick w końcu zgodził się zjeść z nimi śniadanie. Kisric nie kazał się prosić; obaj nie jedli od wielu godzin, a koń Garetha po śmierci pachniał znacznie lepiej niż za życia. Po posiłku księżę i czempion, zmęczeni wydarzeniami poprzedniego dnia, również postanowili się zdrzemnąć.

Gdy wczesnym popołudniem trójka towarzyszy wreszcie się obudziła, chłopi byli już gotowi do podróży na północ. Wszystko, co miało znaczną wartość oraz nie ważyło zbyt dużo, spakowali do czterech worów i objuczyli nimi konie, które miały również posłużyć jako prowiant w trakcie długiej wędrówki. Pożegnanie było wzruszające i długie, każdy chciał wyściąć młodego księcia oraz jego przyjaciół, po tym, jak pomogli im w najczarniejszej godzinie. W końcu, podpierając się na rozmaitych tyczkach i sobie nawzajem, wynędziali, lecz pokrzepieni nadzieję wieśniacy ruszyli w stronę Velfare.

Nick i spółka, również podbudowani dobrym uczynkiem, skierowali się na południowy-zachód, do Rodawnzaru.

Ku ich uldze, im bliżej Rodawnzaru się znajdowali, tym widoczne skutki suszy były mniej przygnębiające. Mieszkańcy kolejnych mijanych wiosek, choć także z trudem walczyli o przetrwanie, coraz rzadziej przypominali szkielety.

Starali się podróżować możliwie jak najszybciej, ale ponieważ pozostały im tylko dwa konie, było to utrudnione. Ważący najwięcej Kisric dosiadał jednego ogiera, natomiast Nick i Gareth drugiego, a co kilka godzin wymieniali się wierzchowcami. Na całe szczęście, podczas wizyty u hrabiego, stajenny nakarmił zwierzęta i nie zapomniał wypełnić juk owsem, bo dopiero

dwa dni później zawitali do pierwszego sioła, w którym nie wyróżnięto wszystkich koni i ostało się także trochę paszy.

Wreszcie rankiem szesnastego dnia po opuszczeniu Wartegall daleko na horyzoncie ujrzały skąpane w słońcu jasne, potężne mury Rodawnzaru. Trzy godziny później przekroczyły bramy stolicy Zachodu i podążały dalej główną ulicą w stronę Twierdzy Słońca, domu rodzinnego Nicka.

Okazało się, że nie wszyscy uciekający przed głodem decydowali się na długą podróż na Północ. Masa ludności z różnych zakątków prowincji postanowiła szukać szczęścia w jej stolicy. Miasto zostało opanowane przez uchodźców. Ulice były zatłoczone żebrakami, a panujący smród wydawał się o wiele gorszy od tego, który Nick zapamiętał z młodości. Najliczniejsze zbiegowisko nieszczęśników znajdowało się na Placu Sprawiedliwego, przy którym zlokalizowana była największa świątynia w mieście.

Trójka towarzyszy właśnie mijała majestatyczną Katedrę Światła, gdy na szerokie, prowadzące do jej głównego wejścia schody wjechał mężczyzna na karmy koniu. Łysy, z siwą bródką, ubrany w długi, czarny płaszcz. Zwróciwszy się w stronę placu, przemówił:

— Mieszkańcy Rodawnzaru, ludzie Zachodu, Lotherbemmczycy! Czy przestaliście być sprawiedliwi? Czy porzuciliście swoje prawa? Czy zapomnieliście o modlitwie? Nie!

Mężczyzna starannie artykułował słowa i robił długie przerwy pomiędzy zdaniami. Zdawał się nie nadwyrężać gardła, a mimo to jego głos był niesłychanie donośny.

— To nie wy zawiiliście — zapewnił z przekonaniem. Tłum pod schodami gęstniał. — Skąd więc susza i głód? Za co mord i choroby? Odpowiedź na te pytania jest szokująca, lecz musimy stawić jej czoła. Nasz czas na tym kontynencie dobiera końca!

Zrobił dłuższą paузę. Jego koń od pewnego czasu zdradzał oznaki zaniepokojenia, więc mężczyzna zaczął gładzić go po szyi. W końcu przemówił ponownie.

— Wyglądacie na zdziwionych, to zrozumiałe, lecz historia uczy nas, że podobna sytuacja miała już miejsce. Czyż wasi przodkowie nie uciekli przed gniewem Okrutnego? Czyż nie wypłynęli w nieznane, poszukując lepszego miejsca? Wypłynęli! Wypłynęli i dotarli na ten ląd, który miał być domeną Sprawiedliwego. I taki był, na początku. Na początku nie było szlachty, mieszkańców ani chłopstwa. Wszyscy byli sobie równi, a każdy posiadał tyle ziemi, ile był w stanie zagospodarować. Jakże zbłądziliśmy od tego czasu.

Znowu przerwał, co wyraźnie uspokoipoło wierzchowca. Gawiedź szeptała podekscytowana.

— Wasi pradziadowie, podobnie jak wy, nie posiadali wiele, ale to właśnie oni wyruszyli w nieznane. Bogaci mieszkańcy Thenorafrein nie musieli żyć u stóp Wulkanu i jego gniew nie był im straszny. Tak samo jak szlachta Lotherbemm nie przejmuje się głodem, siedząc w swych twierdzach o piwnicach wypełnionych wszelkim dobrem. Dlatego to właśnie wy musicie

zapoczątkować zmiany. To wy musicie odnaleźć obiecanaą krainę. Żeglujcie na zachód! Zapomnijcie o Sprawiedliwym, tak jak on zapomniał o was! Piętrząca się za mną świątynia, od lat zamknięta na cztery spusty, jest tego najlepszym symbolem.

Tłum był już mocno wzburzony. Pojedyncze jednostki zaczęły nawoływać do splądrowania katedry, inni odgrążali się arystokracji. Kisric nalegał, by czym prędzej udali się na zamek, lecz Nick chciał wysłuchać kazania do końca.

— Miłosierny! — zawała kaznodzieja. — Wasz nowy bóg nazywa się Miłosierny. Nigdy nie odkryjecie wspaniałej krainy, jaką dla was przewidział, jeśli dostrzeże w was gniew i nienawiść. Buntujcie się, lecz pokojowo. Niech waszym orążem będzie jedność i miłość. Wybaczcie sobie nawzajem przewiny, wspierajcie się i miłujcie. Nie czyńcie bliźniemu, co wam niemiłe. Jeśli wysłuchacie mych słów, obieczę, że jeszcze dziś susza dobiegnie końca!

Koń oparł się na tylnych nogach, a przednimi zakotłował w powietrzu, rżąc przy tym donośnie. Mężczyzna opanował zwierzę, sprowadził je ze schodów i zaczął przeciskać się przez zgromadzonych. Gdy zrobiło się luźniej, ostro popędził wierzchowca. Chwilę później nie było już po nim śladu.

— I pomyśleć, że to mnie prześladowają za sianie zamętu — podsumował nietypowe kazanie Gareth.

— To skandal, że na placu nie ma choćby jednego strażnika miejskiego — oburzał się Kisric. — Gdzie się oni wszyscy podziali? Ten facet jest naprawdę niebezpieczny.

— Nie wiem, czy niebezpieczny, lecz z całą pewnością jest interesujący. Będę musiał popytać na zamku, czy ktoś wie o nim coś więcej.

Nick przyglądał się uważnie skonfundowanemu tłumowi. Część ludzi nadal chciała splądrować katedrę, podczas gdy reszta, postuszna słowom kaznodziei, odwodziła ich od tego pomysłu.

— Póki co, zamieszek chyba nie będzie — stwierdził, oceniwszy proporcje spierających się grup. Odchylił głowę i spojrzał na niebo. W zasięgu wzroku nie dostrzegł choćby najmniejszej chmurki. — Obawiam się jednak, co będzie jutro. Na deszcz się nie zanosi.

— Ano, nie zanosi się — potwierdził Kisric. — Ruszajmy na zamek, nim ugotujemy się żywcem na tym skwarze.

Dwie godziny po tym, jak dotarli do twierdzy, na nieboskłonie zaczęły pojawiać się pierwsze chmury. Około północy nad Rodawnzarem rozpoczęła się ulewa.

Rozdział szesnasty – Czarodzieje, wampiry i Czerwony Kapturek

Jedenasty dzień dziewiątego obiegu Władcy. 254 dzień roku. Wschodnia Prowincja.
Błękitny gościniec. Wieczór.

Ponieważ Rickowi nie udało się pozyskać żadnych dodatkowych informacji na temat elizium i ludzi odpowiedzialnych za jego produkcję, w podjęciu decyzji o ich dalszym działaniu Jarmis musiał opierać się wyłącznie na poszlakach zdobytych w trakcie wizji. Już podczas rozmowy z Ościeniem zabójca odrzucił pomysł o czekaniu na kolejną partię elizium, w celu złapania jej dostawcy. Narkotyk podrzucano do losowej spośród wielu skrytek i sam nie był w stanie ich wszystkich obserwować. Mógł oczywiście poprosić o pomoc Wydział Wewnętrzny, skoro i tak współpracował już z Rickiem, ale nie chciał tego robić. Nie mógł pozwolić, by Agencja pierwsza dotarła do winnych śmierci Raya i odebrała mu zemstę, której tak pragnął. Poza tym dostawca mógł być tylko jednym z wielu pośredników, przez co jego złapanie w niczym by nie pomogło.

Kobieta z wizji miała dość górskich wędrówek, uznał więc, że to właśnie w górach musiało być wytwarzane elizium. Postanowił chwycić się tego tropu. Po krótkich rozważaniach stwierdził, że z pewnością chodzi o Góry Podziału, które rozpościerały się w centralnej części Trójkrolestwa i wytaczały naturalne granice pomiędzy jego prowincjami. Wszystkie pozostałe pasma górskie znajdowały się daleko na północy lub północnym zachodzie i transport narkotyków z tamtych rejonów byłby znacznie utrudniony oraz czasochłonny. Rick popierał jego rozumowanie.

Cel ich wyprawy był mało precyzyjny, toteż nie podróżowali przesadnie szybko. Objazd górskich wiosek w poszukiwaniu podejrzanych ludzi o egzotycznej urodzie mógł potrwać kilka tygodni, dlatego na razie nie widzieli sensu, by zbytnio się przemęczać. Ze względu na Ricka, który nie był stworzeniem mroku, poruszali się za dnia, a odpoczywali nocą. Tym razem zmierzch zaskoczył ich z dala od jakiejkolwiek osady i zostali zmuszeni przenocować na poboczu gościa.

Jarmis akurat składał płaszcz, który służył mu za poduszkę, kiedy znowu poczuł znajomy zapach. Woń krwi, wyjątkowej krwi, jaka towarzyszyła im, odkąd wiatr zaczął wiać ze wschodu. Nabrął nosem pełne płuca powietrza, nie bacząc na to, że rozjasza w ten sposób Behemota.

— Znowu wywieszysz zwierzyń? — zapytał Rick. Dwa dni wcześniej po raz pierwszy skosztował dzicyzny upolowanej przez Jarmisa.

— Taaa... ale mamy jeszcze dość mięsa. Idę spać.

— Dobranoc. — W przeciwieństwie do Jarmisa, który zwrotów grzecznościowych wystrzegał się jak ognia, Rick nadal hołdował dobrym manierom.

Sługa Krwi zbudził się około północy. Niewielkie ognisko rozpalone przez szpiega, który nadal czuł się niepewnie, nocując pod gołym niebem, już dogasało. Poleżał chwilę nieruchomo,

przyzwyczajając wzrok do ciemności. Książę i Władca skryli się za chmurami, przez co musiał przywołać Bestię bliżej, by widzieć cokolwiek. Odrzucił na bok gruby koc, założył płaszcz i ruszył cicho gościć w kierunku, z którego przyjechali.

Prowadził go zapach krwi. Gdy woń stała się intensywna, zszedł z traktu i dalej zakradał się przydrożnymi zaroślami. W odległości niecałych dwóch mil od miejsca ich noclegu odnalazł źródło zapachu. Walcząca z sennością młoda kobieta okrążała niespiesznie ognisko, przy którym spało jej dwóch towarzyszy. Ich konie odpoczywały przywiązané do drzewa na skraju lasu. Wysmarowany maścią neutralizującą zapach, Jarmis przykucnął w chaszczach nieopodal i czekał.

Dziewczyna obserwowała głównie gościniec, nie spodziewając się niebezpieczeństwa ze strony lasu. Zmieniała kierunek patrolowania na przeciwny co kilka minut. Zabójca poczekał na kolejną zmianę, wyciągnął sztylet i zaczął się skradać.

Zbliżała się bezszelestnie, na palcach, długimi krokami. Ostatnie cztery jardy pokonał dwoma susami. Swą olbrzymią dłonią zasłonił dziewczynie całą twarz, a do dolnej części pleców przystawił sztylet. Od razu zrozumiała, że nie ma sensu walczyć. Była wyższa od Jarmisa o trzy cale, więc zabójca przycisnął ją ramieniem do ziemi tak, że musiała stać na ugiętych nogach.

Przystawił usta do jej ucha i szepnął:

— Nie bój się. To coś, co wbija ci się w plecy, to tylko sztylet. Jesteście z Agencji?

Ignae potwierdziła skinieniem.

— Wiecie, kim jestem?

Potwierdziła ponownie.

— Zrobimy mały kawał twoim kolegom?

Agentka nie wiedziała, o co mu chodzi, więc nie zareagowała. Jarmis zaciągnął ją bliżej ogniska, pomiędzy śpiących mężczyzn. Odchylił głowę na bok, by nie ogłuszyć dziewczyny i zawył głośno i przeciągle.

Wyrwany ze snu Dwight odrzucił na bok koc i zaczął szukać miecza, krzycząc przy tym: *Wilki. Wstawać. Wilki.* Kyle zerwał się na równe nogi, lecz zaraz potknął się o swój plecak i runął jak długi na ziemię, nieomal wpadając do ogniska. Konie szarpały uprząż. Jarmis zdjął wreszcie dłoń z twarzy Ignae, która zaczynała się już dusić, ale nadal przytrzymywała ją przedramieniem.

W innych okolicznościach Ignae śmiałaby się ze swych podwładnych do rozpuku, jednakże ciężko jest się śmiać z przystawionym do pleców sztyletem. Rozbawienie zabójcy zdradzał jedynie lekki, złośliwy uśmiech. Minęła dłuższa chwila, nim Dwight i Kyle zorientowali się, że nie ma żadnych wilków. Młodszy z mężczyzn zobaczył Jarmisa i Ignae jako pierwszy.

— Co do cholery? Puść ją! — Wymierzył w zabójcę miecz, który ostatecznie udało mu się znaleźć.

— Bez nerwów, Dwight.— Agentka próbowała go uspokoić.

Młodzieńiec spojrzał na Kyla, który gestem dłoni kazał mu schować miecz.

— Czego chcesz? — zapytał chłopak, po tym, jak wsunął ostrze do pochwy.

Jarmis puścił Ignae, odepchnął ją w stronę Dwighta i schował sztylet. Szpiedzy nie stanowili zagrożenia, a na razie nie zamierzał ich zabijać.

— To ja będę zadawał wam pytania, a nie na odwrót.

Wygrzebał z kieszeni płaszczu fajkę, nabił ją tytoniem i wykorzystując ognisko, podpalił ziele.

— Najpierw jednak musimy dołączyć do waszego kolegi z Agencji. Zbierajcie manatki i wskakiwać na koń. Żadnych rozmów.

Ignae bez protestów zabrała się do wykonania rozkazu. W końcu wydał go Arad úš. Nieco skołowani Dwight i Kyle poszli za jej przykładem. Po kilku minutach szpiedzy byli gotowi do drogi. Jarmis kazał im jechać stępa, a sam szedł za nimi, popalając fajkę. Po dwóch kwadransach spędzonych w zupełnej ciszy dotarli na miejsce.

— Zsiadać — nakazał Jarmis.

Podszedł do śpiącego Ricka i trącił go nogą.

— Herof, zostaw! — wybełkotał szpieg, pozostając wciąż na granicy jawy i snu.

Wybudziło go dopiero kolejne szturchnięcie, tak mocne, że aż obrócił się na brzuch. Przetańczył oczy i spojrzał na stojących nad nim ludzi.

— Kto to?

— Twoi konfratrzy — odpowiedział Jarmis. — Elita Wywiadu. Staruch, smarkacz i baba.

Rick wstał i otrzepał się z ziemi.

— Słuchaj, przekazałem dowództwu twoje warunki, ale nie chcieli mnie słuchać. To nie moja wina, że ich za nami wysłali. Oni pewnie też nie mieli wyboru. — Wskazał na Ignae i jej podwładnych.

— Nie mieli wyboru? — Zabójca był zdenerwowany, lecz na szczęście dla szpiegów, tylko trochę. — Nie jesteśmy w stanie wojny, więc zawsze mogli odmówić wykonania rozkazu. Najwyżej wydalono by ich ze służby. I pewnie sporo rozsądnych osób odmówiło, dlatego Agencja nie miała wyjścia i postała za nami tych nieudaczników, którzy widocznie nie mają nic do stracenia.

— Nie mów o nas, jakby nas tu nie było! — zaprotestowała Ignae.

— Zamknij się, dziewczucho — warknął Jarmis. — Chociaż może powiniensem ci podziękować. Gdyby nie twoje miesięczne krwawienie, to nie zorientowałbym się tak szybko, że nas śledzicie.

Trójka agentów spojrzała po sobie zdziwiona. Wiedzieli, że śledzą Arad úš, ale nie mieli pojęcia o jego nadprzyrodzonych zdolnościach.

— Mógłbym uwierzyć, że przekazałeś przełożonym to, o co cię prosiłem, ale wytłumacz mi jedną rzeczą. Jakim cudem ci partacze wiedzieli, kiedy zatrzymujemy się na nocleg? Dlaczego od wyruszenia z Wartegall nie wyprzedzili nas ani razu?

— Zostawiałem im znaki na drodze — przyznał Rick. — Powiniensem ci powiedzieć, ale liczyłem, że może o niczym się nie dowiesz. Zrozum, że dowództwo nie dało mi wyboru. Byłem pomiędzy młotem a kowadłem.

— Widziałeś dość, by to mnie obawiać się bardziej.

Jarmis chwycił go jedną ręką za frak i uniósł w powietrze.

— I przestań gadać o *dowództwie*, jakby to było jakieś zgromadzenie. To Jo'Keeffe podejmował decyzje, tak?

Rick spojrzał niepewnie na nieznajomych szpiegów. Nie wiedział, jak zareagują, gdy doniesie na ich wspólnego szefa. Czy jeśli uda im się powrócić z tej szalonej misji, powiadomią go o wszystkim? Nie udało mu się odczytać odpowiedzi z ich twarzy.

— Tak. Jo'Keeffe podejmuje wszystkie decyzje.

— Będę musiał sobie z nim porozmawiać, gdy to wszystko dobiegnie końca.

Puścił Ricka i zwrócił się w stronę Kyla.

— A ty, dziadku, co masz mi do powiedzenia? Mogę zrozumieć, że przed śmiercią chciałeś przeżyć coś szalonego, zobaczyć na własne oczy Arad úš, ale po co zabrałeś ze sobą dwójkę dzieciaków? A może są to twoje wnuki i nie miałeś z kim ich zostawić?

Kyle przełknął ślinę, zastanawiając się nad odpowiedzią, kiedy to głos zabrała Ignae.

— To ja jestem dowódcą tej operacji.

Jarmis nie wiedział, czy ma się roześmiać, czy uderzyć ją w twarz. Po raz drugi odezwała się niepytana. Interwencja Rubie zaoszczędziła dziewczynie bólu. Ignae wykorzystała jego moment z wahania i wyciągnęła odznakę.

— Teraz widziałem już wszystko. Mogę umierać — powiedział, zanosząc się śmiechem. — Baba oficer, do czego to doszło.

Ignae oblała się rumieńcem. Nie wstydziła się swojego stopnia, w końcu zasłużyła na niego ciężką pracą. Było jej wstyd przed podwładnymi, że nie ma odwagi zareagować na słowa zabójcy.

— Wszyscy macie szczęście, że nadal nie wiem, na kogo poluję. W przeciwnym razie pozbyłbym się was bez wahania. — Jarmis, jak gdyby nigdy nic, zaczął szykować się do spania. — Póki co, róbcie, co wam każę, to może jakoś to będzie. Idę spać. Wyruszamy o świcie.

Cała czwórka szpiegów nie zmrużyła już tej nocy oka. W milczeniu odczekali godzinę, by mieć pewność, że Jarmis zasnął na dobre. Wtedy Rick odciągnął Ignae na bok i podzielił się z nią tym, co do tej pory udało mu się dowiedzieć o zabójcy. Chodziło mu o ich wspólne

bezpieczeństwo. Nie zdradził jej natomiast szczegółów dotyczących misji. O wszystkim i tak decydował Jarmis, więc uznał, że nie były jej do niczego potrzebne.

Gdy tylko Jarmis się obudził i oporządził, ruszyli w dalszą drogę. Trójka szpiegów nadal czuła się nieswojo w obecności zabójcy, a jego milczenie tylko pogłębiało ich nerwowość.

Jarmis zdawał się nie zwracać na nich uwagi. Wyglądał na pogrążonego w myślach i agenci byli przekonani, że wciąż nie zdecydował o ich losie. W rzeczywistości Jarmis wdał się w dysputę z Rubie na jakiś błąhy temat.

Uwięziona w obcym ciele Piękna uwielbiała długie, bezgłośne rozmowy, przez co Jarmis obserwującym go ludziom często wydawał się nieobecny, a nawet szalony, gdy ni stąd, ni zowąd zaczynał śmiać się sam do siebie. Przez długie lata, odkąd zostali na siebie skazani, zabójca przyzwyczał się do gadulstwa towarzyszki. Jako pasażerka odczuwała przyjemność z jedzenia i picia spożywanego przez gospodarza, a nawet z jego cielesnych uniesień, lecz to właśnie rozmowa była dla niej najważniejsza. Jarmis, czując się winnym jej śmierci i jednocześnie pragnąc zachować dobre z nią relacje, starał się zabawiać Rubie, jak tylko potrafił.

Cisza najbardziej doskwierała gadatliwemu z natury Dwightowi. Młodzieńiec wytrzymały niespełna godzinę milczenia, nim zaczął paplać o pogodzie i mijanych wędrowcach. Wciąż bał się poruszać poważniejszych tematów. Jako że Jarmis dalej nie zwracał na nich uwagi, po pewnym czasie rozgadał się na dobre. Jego poczucie humoru przypadło Pięknej do gustu, przez co i Jarmis poczuł do niego delikatną nutę sympatii, mimo iż nie przepadał za gadułami.

Władca całkowicie przysłonił słońce i Sługa Krwi zarządził postój. Zaćmienia były w Loherbemm codziennością, a wśród podróźnych przyjęło się, że ich nastanie należy uczcić odpoczynkiem, bo w przeciwnym razie będzie miało się pecha.

Usiedli w kręgu i zabrali się za drugie śniadanie. Resztką jelenia, jaka została Jarmisowi, zaczynała już śmierdieć, lecz nikt nie miał odwagi przyznać, że zabójca odbiera im apetyt. Po kwadransie znów zrobiło się jasno i Jarmis po raz pierwszy miał okazję dokładnie przyjrzeć się nowym członkom kompanii w świetle dnia.

Skierował swój wzrok na Ignae i nagle przeszył go zimny deszcz.

Litościwy Gryfie, te oczy, pomyślał. Oczy agentki były wielkie, szare i piękne, ale to nie ich urok zaszokował zabójcę. Były znajome, do bólu znajome. Przypomniały mu jego najstraszną zbrodnię: wchłonięcie ludzkiej duszy. Ignae miała identyczne oczy jak Piękna.

Zabójca wpatrzywał się w agentkę przez dłuższą chwilę, aż ta stwierdziła, że ma dość.

— Chcesz coś powiedzieć czy może tylko ubrudziłam się na twarzy?

Teraz, gdy spojrzała wprost na niego, miał problem z wytrzymaniem jej wzroku. Powiedz coś głupku, bo zachowujesz się jak świr, a ja robię się zazdrośna, szepnęła Rubie.

— Ucięliście sobie w nocy pogaduchę na mój temat — ni to zapytał, ni to stwierdził Jarmis.

— Tak — przyznała po chwili agentka.
— Widzę, że zrozumiałaś najważniejszą lekcję: żadnych kłamstw.
Jarmis w końcu oderwał spojrzenie od dziewczyny i skupił je na jelenim udźcu. Powoli odzyskiwał trzeźwość umysłu.

— Słyszałeś naszą rozmowę? — Ignae nie była pewna, czy zabójca tylko ją sprawdzał, czy może poza innymi, niecodziennymi zdolnościami, potrafi także słuchać przez sen.

— Nie. Jak na mnie, to spałem wyjątkowo mocno.
Kość była objedzona do czysta, więc cisnął ją w krzaki.
— Mamy sobie jeszcze jedną rzecz do wyjaśnienia. Jo'Keeffe kazał składać ci raporty na bieżąco?

— Tak.
— Więc będziesz je składać, inaczej zrobiłby się podejrzliwy. Ale to ja będę dyktował ich treść. Czy to jasne?

Ignae po raz kolejny ogarnęła wściekłość, jednak nie była w stanie się sprzeciwić. Znowu oblała się rumieńcem i tylko skinęła twierdząco, gdyż gardło ściskał jej wstydu.

Rickowi udało się namówić Jarmisa na porządkny obiad w gospodzie, lecz nocować ponownie przyszło im pod gołym niebem. Szpiedzy szykowali już suchy prowiant, który zamierzali spożyć na kolację, kiedy to Jarmis kazał im wstrzymać się z jedzeniem. Uzbrojony w stalowy łuk i strzały zabójca ruszył na łowy. Dzięki wyostrzonym zmysłom oraz doskonałym umiejętnościom strzeleckim polowanie było dla niego równie proste, co pójście na stragan. Po niespełna godzinie wrócił na miejsce noclegu, dźwigając przerzuconego przez ramię karłowatego łosia. Zrzucił truchło na ziemię, odłożył łuk i podwinął rękawy. Następnie dobył sztyletu i naciął pełną blizn skórę swojego lewego przedramienia. Krew zaczęła ściekać na martwe zwierzę, a Jarmis zwrócił się do boga śmierci:

Uggae, zi dingir mitu
Dim zalaq ġu niġ gu a
Ina us ma nig ki
Tila zu Arad¹⁰

10 Uggae, boże ducha śmierci
Błagam, oczyść mą żywność
Z trucizn i robactwa
Zachowaj swego sługę w zdrowiu

Rzuciwszy zakłecie oblizał ranę, objął prawą dłonią i uciskał aż do ustania krwawienia, po czym zabrał się do oprawienia zdobyczy. Najwięcej problemu miał ze znalezieniem odpowiedniej gałęzi, która utrzymałaby ważce dziesięć kamieni zwierzę. Gdy już się z tym uporał, samo skrówanie, patroszenie i porcjowanie zajęło mu kilka minut. Szpedzy z mniej lub bardziej ukrywanym podziwem przyglądali się jego pracy ze sztyletem.

- Co chcecie? Udziec, comber, a może goloneczki? — zawała Jarmis.
- Nie będziemy jedli przeklętego mięsa! — oznajmiła Ignae.
- Jesteś wegetarianką? — zapytał zdziwiony zabójca.
- Przeklętego w sensie zaczarowanego. I nie, nie jestem wegetarianką.
- A, o to ci chodzi. Ciągle zapominam, że mam do czynienia z magicznymi ignorantami. Dla waszej wiadomości: to był rytuał oczyszczający żywność z trucizn i robactwa. Każdy, kto je mięso nie poddane temu zaklęciu, jest zwykłym samobójcą.
- Dla twojej wiadomości, cywilizowani ludzie jedzą mięso poddane obróbce termicznej — zripostowała Ignae.
- Nie każdego pasożyta pozbędziesz się ogniem. Ale jak tam chcesz.
- Ja już jadłem zaczarowane mięso i było w porządku — uspokajał towarzyszy Rick. — Dla mnie goloneczka, jeśli łaska.

To i ja się skuszę — powiedział Dwight. — Również poproszę golonkę. Ignae obrzuciła podwładnego gniewnym spojrzeniem. Naburmuszona oddaliła się od reszty, usiadła na ziemi i zaczęła ostentacyjnie chrupać suchary, co któryś kęs zagryzając jabłkiem. Kyle wprawdzie miał ochotę na pieczyste, ale postanowił dochować lojalności szefowej, więc dosiadł się do niej i wyciągnął swój prowiant. Pozostała trójka rozsiadła się przy ognisku. Dwight i Rick wzięli się za konstruowanie prowizorycznego rożna, natomiast niecywilizowany Jarmis pochłaniał dziczyznę na surowo. Najpierw zjadł cały comber, zaś na deser zostawił sobie serce i wątróbkę.

Zaspokoioszy głód Sługa Krwi zaczął pić. Podobieństwo oczu Ignae i Rubie nadal nie dawało mu spokoju. Wiedział, że jeśli porządnie się nie znieczuli, to ciężko będzie mu zasnąć. Szybko opróżnił pierwszy bukłak dumserlańskiego, po czym trochę zwolnił. Rick i Dwight dotrzymywali mu towarzystwa, popijając spokojnie wino i wymieniając się doświadczeniami zdobytymi w służbie Agencji.

Jarmis nie brał udziału w dyskusji do czasu, aż Rubie nie przekonała go, by pomógł Dwightowi. Młodzieniec przez cały dzień drapał się po kroczu. Starał się robić to w miarę dyskretnie, gdy nikt nie patrzył, ale Jarmis był zbyt spostrzegawczy, by nie zauważyć jego moczarni.

- Mam nadzieję, że tego syfa załapaleś od jakiejś dziwki, a nie od własnej dziewczyny?
- zapytał, gdy chłopak znowu próbował się podrapać.

— Co? — speszył się Dwight. — Nie, to tylko wszy.

— Ta, jasne. Mnie nie oszukasz, nie raz miewałem ten sam problem. Syf ludzka rzecz, nawet na Milfgardzie można się zarazić, ale tam przynajmniej wyleczę cię na miejscu.

— Ciszej trochę. — Dwight kiwnął porozumiewawczo w kierunku miejsca, gdzie siedziała Ignae.

— Wszystko słyszałam — poinformowała agentka. — Później o tym porozmawiamy.

— Jesteście razem? — zainteresował się zabójca.

— Nie. Porucznik po prostu nie lubi, gdy ktoś korzysta z usług prostytutek.

— A co jej do tego?

— Uważa to za niemoralne.

— Trudno się nie zgodzić. — Rick wwrócił się do rozmowy.

— Się znaleźli obrońcy moralności, psia jego mać! Już wolałbym się kurwić niż wstąpić dobrowolnie do Wywiadu! — oburzył się podpity Jarmis.

Z kieszeni płaszczu wyciągnął malutki słoik i rzucił go Dwightowi.

— Smaruj się tym dwa razy dziennie, a po tygodniu nie będzie śladu po wysypce. A na przyszłość nie cytuj mi mądrości jakiejś gówniary, co to świata jeszcze nie poznała, zwłaszcza jeśli sam się do nich nie stosujesz.

Zabójca po cichu liczył, że inwektywa skierowana w stronę Ignae wciążnie ją w kłównię i dziewczyna podejdzie bliżej ogniska, dzięki czemu będzie mógł jeszcze raz spojrzeć w oczy, których się bał, a które jednocześnie pragnął oglądać.

Agentka, choć rozzłoszczona, postanowiła go zignorować. Co gorsza, Rubie również poczuła się urażona jego słowami, gdyż miała podobne poglądy na temat nierządu. Wprawdzie już dawno przestała robić Jarmisowi wyrzuty z powodu jego kontaktów z prostytutkami, bo była to walka z wiatrakami, jednak tym razem, w ramach kobiecej solidarności, zdecydowała się zmanifestować swoje oburzenie.

Kłównia z pasażerem przypominała silną migrenę i Jarmis przez chwilę pomyślał o poszczyciu Pięknej Behemotem. Rubie nie wystraszyła się groźby; Jarmis pacyfikował ją w ten sposób tylko w ostateczności. Bestia pozostała w mentalnych okowach zabójcy, który zdenerwowany, duszkiem opróżnił drugi bukłak wina i ułożył się do snu, z dala od ogniska i szpiegów. Kojąca moc alkoholu pozwoliła mu zasnąć po pół godzinie.

Poranek był słoneczny, aczkolwiek wyjątkowo chłodny. Zziębnięci szpiedzy obudzili się wcześnie i zaczęli przygotowania do podróży, podczas gdy pijany Jarmis nadal spał w najlepsze. Rick, Kyle i Dwight udali się nad pobliską Bawterlue, by napiąć konie i się odświeżyć, zaś Ignae została pilnować ich wyposażenia. Zaspana i trzęsąca się z zimna agentka nie zauważała zbliżających się gościńcem jeźdźców.

— Dzień dobry, panienko. Wszystko w porządku? Cała drżysz.

Ignae zerwała się na równe nogi. Trzech rycerzy spoglądało na nią z grzbietów imponujących, bojowych rumaków. Ich podobieństwo zdradzało, że są braćmi. Pod tunikami z herbem przedstawiającym dzban z urwanym uchem mieli ubrane kolczugi. Długie miecze zwisały przytroczone do kubaków.

— Nie, nie. Znaczy tak. Wszystko w porządku. To z zimna.

— Cóż za brak szacunku dla płci pięknej — oburzył się najroślejszy i zarazem najstarszy z jeźdźców. — Niewiasta wyziębiona, ognisko wygasło, a opału brak. Pewnie boisz się sama wejść do lasu, a ten knur śpi i ma ciebie za nic. — Skinął w stronę Jarmisa. — Założę się, że jest pijany.

Zabójca wyglądał wyjątkowo niekorzystnie. W trakcie snu zrzucił z siebie koc, a jego sweter podciągnął się do góry, odsłaniając wielki, włochaty brzuch. Jednak rycerz nie do końca miał rację. Jarmis obudził się, gdy jeźdźcy byli jeszcze w pewnej odległości i do tej pory tylko udawał, że śpi. Sprowokowany słowami wojaka, usiadł i zaczął ubierać buty.

— O, ocknął się. Popatrzcie, braciszki. Czy kiedykolwiek widzieliście kogoś równie opasłego?

— Tak, pierwszą dziewczynę młodego — odpowiedział średni z braci i zarechotał głośno.

— Widok tak sympatycznego dziewczęcia podróżującego z tak nędzną kreaturą rani moje serce. — Najstarszy rycerz ponownie zwrócił się do Ignae. — Może zabierzesz się z nami, drogie dziecko. Znajdziesz się godna ciebie praca na moim dworze.

— To nie tak. My nie... — Ignae próbowała tłumaczyć, że nie potrzebuje pomocy, gdy nagle Jarmis warknął na nią.

— Ukryj się w lesie, kobieto. — Zabójca podszedł bliżej. — Daj mężczyznom rozmawiać.

Agentka spojrzała na niego niepewnie. Jego usta były wykrzywione w złowieszczym grymasie. Dostrzegła wetknięty za pas miecz, który ukrywał przed rycerzami za plecami. *Co ten idiota wyprawia, pomyślała*. Postanowiła nie ruszać się z miejsca.

— Prawdziwi mężczyźni zaraz dadzą ci nauczkę — powiedział rycerz i sięgnął po drewnianą pałkę, przytroczoną do kubaki.

Jarmis uśmiechnął się jeszcze szerzej. Pałka stanowiła znacznie mniejsze zagrożenie niż długi miecz. Liczył, że uda mu się zabić najstarszego z braci, nim pozostała dwójka zorientuje się w sytuacji. Przywołał Behemota, jednocześnie spychając Rubie w głąb umysłu.

— Daj spokój, Val — odezwał się najmłodszy z braci. — Facet jest pomylony. Nie godzi się bić chorego na umyśle.

— Zawrzyj gębę, smarku! — skarcił go Val i obrócił konia w stronę zabójcy.

W tym momencie rozległ się gwizd średniego z braci. Wszyscy z wyjątkiem Jarmisa spojrzeli najpierw na niego, a potem w kierunku, który wskazał skinięciem głowy. To Rick, Kyle i Dwight wracali wierzchem nad rzeką. Rycerze stracili przewagę liczebną i pewność siebie.

— Masz dziś szczęście, moczymordo.

Val wetknął pałkę za pas i skierował ogiera z powrotem na gościniec.

— Braciszkiowie, dość już zamarudziliśmy.

— Co ty sobie myślałeś, durniu? — Ignae wydarła się na Jarmisa, gdy rycerze już się oddalili. — Zabić trzech konnych swym krótkim mieczykiem? Gdyby chłopcy nie wrócili na czas, zginęlibyśmy oboje!

Jarmis doskoczył do niej w dwóch susach i chwycił za twarz, ściskając policzki tak, że przyjęły kształt rybiego pyszczka. Był wściekły, że nie udało mu się zaspokoić głodu krwi, tym bardziej, że danie mogło być tak wyborne.

— Następnym razem, kiedy wydam polecenie, to masz je wykonać natychmiast. Rozumiesz!? — wysycał jej prosto w twarz, lecz nie był w stanie na nią spojrzeć. Nadal bał się jej oczu.

Ignae nie mogła odpowiedzieć. Jej szczeka była zbyt mocno ściśnięta. Trójka szpiegów zdążyła już podjechać do kłóczących się towarzyszy. Żaden z nich nie wiedział, o co poszło, i tylko Dwight wiedział, jak zareagować. Młodzieniec zeskoczył z konia, podbiegł bliżej i złapał Jarmisa za nadgarstek.

— Puść ją — powiedział.

Patrzył na zabójcę z góry, starając się wyglądać tak stanowczo, jak tylko potrafił.

Jarmis zdążył już wygnąć Bestię do jej mrocznego zakamarka ich wspólnego umysłu. Głos Pięknej znów stał się silny i prosił o łaskę dla młodych szpiegów. Zabójca uległ. Puścił Ignae i z łatwością wyszarpnął rękę z uścisku Dwighta.

— Dzieci. Po prostu dzieci. — Odwrócił się do nich plecami i zaczął iść w stronę lasu. — Idę nad rzekę. Wyruszamy, gdy wróce.

Ignae była wściekła na Jarmisa od ich pierwszego spotkania, kiedy to przystawił jej sztylet do pleców i dusił przez długą chwilę. Obelgi i przytyki kolejnych dni tylko pogłębiały jej złość. Po tym, co zrobił przed momentem, nie była w stanie nad sobą zapanować. Rozpędziła się i popchnęła go z całej siły. Przewrócenie niskiego, korupentnego Ślugi Krwi było nie lada wyzwaniem. Pomogła jej ślimaka trawa, element zaskoczenia i kac, który nadal trapił zabójcę. Walczący o utrzymanie równowagi Jarmis nabrał jeszcze rozpędu, potknął się o dziurę w ziemi i runął jak długi. Rozległ się głuchy huk. Zabójca wyrżnął czołem w spory kamień.

Szpiedzy zamarli w przerażeniu. Nawet Ignae nie potrafiła cieszyć się z zemsty i tylko stała, czekając, co się wydarzy. Jarmis leżał nieruchomo przez kilka sekund, po czym zaczął powoli się podnosić. Dwight po raz kolejny ustawił się przed Ignae, przekonany, że znowu będzie musiał jej bronić. Tym razem dobył miecza. Jarmis w końcu wstał, otrzepał się z ziemi i podszedł do swoich tobołków. Z rozciętego czoła lała się krew.

— Powiniensem był oddać cię braciom Paskkuro. Twoja waleczność na pewno spodobałaby się Valowi — powiedział z zadziwiającym spokojem. Zabrał z ziemi płaszcz i poszedł nad rzekę.

Szpiedzy odprowadzili go wzrokiem.

— Święty Gryfie, coś ty sobie myślała, Claudine? — Dwight zwrócił się do niej po imieniu po raz pierwszy w życiu.

— Nie wiem, miałam go po prostu dość.

Teraz Ignae była wściekła na samą siebie. Jarmis traktował ją jak małą dziewczynkę, a ona zachowała się dokładnie w taki sposób.

— Od początku uważałem, że nie powinniśmy brać tej misji. — Kyle zabrał głos. — Teraz nie mamy już wyjścia. Uciekajmy, póki jest czas.

— Chyba tak będzie najlepiej — poparł go Rick. — Postaram się go przekonać, by się nie mścił.

— Nie zamierzam uciekać. Jeśli wy się boicie, to droga wolna. — Ignae nie mogła spartaczyć kolejnego zadania, ale nie chciała też narażać towarzyszy. — Napiszę Jo'Keffowi, że sama kazałam wam wracać, dla dobra misji.

— Nie wydurniajcie się, poruczniku. — Kyle od bardzo dawna nie był tak wzburzony. — Przedkładacie karierę nad życie. To absurd.

— Bo praca w Agencji to całe moje życie! Nie musicie mnie pouczać, sierżancie! Sama sobie poradzę z, z... no z nim. — Wskazała ręką w stronę lasu.

— Nawet nie wiesz, jak ma na imię. Nikt z nas nie wie. I nie wrzeszcz na swych podwładnych, skoro mają rację. — Rick był od niej wyższy stopniem. — Cieszysz się w Agencji znakomitą reputacją, nawet u nas, w Velfare słyszeliśmy o twoich sukcesach, ale...

— Bo jestem kobietą — wtrąciła Ignae.

— Nie przerywaj mi. To zadanie cię przerasta, brak ci jednak doświadczenia. Możliwe, że Arad úš uchronił cię przed przykrym losem, a ty w podzięce rozbilaś mu głowę.

— Nie rozumiem.

Dwight również był zdziwiony.

— Popytaj w Gildii Złodziei o hrabiego Vala Passkuro, a zapewniam cię, że dowiesz się wielu nieprzyjemnych rzeczy. Ewentualnie możesz zapytać podległych mu chłopek, czy uważają swojego pana za szlachetnego rycerza.

Ignae nie wiedziała, co ma o tym wszystkim myśleć. Nawet po tym, jak dała się okpić marynarzowi, nie czuła się tak głupio. Stała zamyślona, szukając rozwiązania.

— Ignae, jedźmy już — nalegał Kyle.

— Nie. Jest inne rozwiązanie.

Podjęła decyzję i ruszyła nad rzekę.

— Co robisz? — zapytali jednocześnie Kyle i Dwight.

— Zaczekajcie tutaj. Pójdę z nim porozmawiać.

Była gotowa na każdy scenariusz, a przynajmniej tak się jej wydawało. Jeśli postanowi ją zabić, to trudno. Miała przy sobie sztylet, by podjąć nierówną walkę. Jeśli każe się błagać o przebaczenie, to przeknie dumę i to zrobi. Bała się tylko tego, że poprosi o coś więcej niż padnięcie na kolana, o coś, co nigdy nie da jej spokoju. Zrobiło się jej niedobrze, ale szła dalej.

Wyszła z drzew i wkroczyła w wysoką trawę. Rzeczy zabójcy leżały na brzegu, a on sam stał do pasa zanurzony w rzece i pochylał się nad jej taflą. Próbował zszyć ranę, ale nie szło mu najlepiej, bo cały czas zapominał, że odbicie w wodzie jest odwrócone. Klął raz za razem.

Ignae zakasłała, by zaznaczyć swoją obecność. Nie było to potrzebne; Jarmis wyczuł ją, gdy była jeszcze w lesie. Nie przerywając szycia, zapytał:

— Czego?

— Przyszłam przeprosić — powiedziała cicho, by zaraz powtórzyć już głośniej. —

Przeprosić i poprosić o wybaczenie.

— O wybaczenie czy o darowanie życia?

— Masz rację. O darowanie życia dla mnie i moich ludzi.

— Wiele osób mnie o to prosiło, błagało, płacząc rzewnymi łzami. Jeszcze więcej nie zdążyło tego zrobić. Za każdym razem kończyło się to w ten sam sposób. Dlaczego miałbym zrobić wyjątek dla ciebie? — Jego głos był przerzążająco spokojny.

— Bo nie dostałeś na mnie zlecenia? — zapytała niepewnie po chwili zastanowienia. Nic lepszego nie przyszło jej do głowy.

— Z ponad trzystu zabójstw, których dokonałem, niecałe dwie setki były zlecone. Musisz dać mi jakiś lepszy powód.

Ignae zaczęła trząść się ze strachu. Znała wielu ludzi, którzy kogoś zabili, choćby Kyle i Rick musieli zabijać na wojnie z Sinmow, mimo to zwierzenie Arad úš ją zszokowało. Nie podejrzewała, że ma do czynienia z takim potworem. *Trzysta zabójstw*. Zapomniała języka w gębie. Cały czas miała nadzieję, że do tego nie dojdzie, ale okazało się, że to jednak życie jest dla niej najważniejsze. Zaczęła się rozbierać.

Jarmis czekał na odpowiedź, a gdy ta długo nie nadchodziła, w końcu spojrzał w kierunku agentki. Rozdygotana Ignae zdążyła pozbyć się kamizeli oraz koszuli i właśnie zabierała się za zdejmowanie biustonosza.

— Co ty wyprawiasz? Zakładaj z powrotem te łachmany! — rozkazał oburzonym głosem. Widok półnagiej, przerążonej Ignae przypomniał mu jego pierwsze zabójstwo. Pierwsze i od razu potrójne. *Exordium*.

Ignae zaczęła się pośpiesznie ubierać.

— Nie zabiję ciebie ani twoich ludzi. — *Zwariuję przez tę dziewczę*, pomyślał. — Ale to jest wasza ostatnia szansa. Macie słuchać moich rozkazów, nawet jeśli zupełnie nie będziecie się z nimi zgadzać. Rozumiesz?!

— Tak — wybąkała.

— Świeście. A w ramach przeprosin za twój wybuch gniewu wypierzesz mi sweter. To dobre zadanie dla kobiety. Umiesz sobie radzić z plamami krwi?

— Tak — odparła niepewnie i od razu zabrała się do roboty.

Wrzuciła sweter do rzeki i zaczęła energicznie pocierać poplamione miejsca.

— Nie tutaj, głupia! Nie masz żadnych przyborów, soli czy choćby ługu. Wypierzesz go w najbliższej wiosce. A teraz zejdź mi z oczu.

Ignae czym przedzej uciekła znad rzeki, zabierając ze sobą mokry sweter zabójcy. Nie wiedziała, czy bardziej chce się jej płakać, czy śmiać. Ulga i zawstydzenie zdominowały strach, który jednak wciąż w niej pozostawał. *Trzysta zabójstw*. Zatrzymała się wśród drzew. Towarzysze nie mogli zobaczyć jej w takim stanie. Po kilku minutach udało jej się doprowadzić do porządku i wróciła przekazać reszcie dobre nowiny. Ich misja trwała nadal. Jarmis zjawił się po kolejnym kwadransie i ruszyli w dalszą drogę na zachód.

Drugi dzień dziewiątego obiegu Bliźniaków. 258 dzień roku. Góry Podziału. Wyjąca Dolina. Wieczór.

Od dwóch dni przemierzali Wyjącą Dolinę w poszukiwaniu producentów elizium. Nie było to zadanie łatwe. W najwęższym miejscu dolina miała trzydzieści mil szerokości, a w najszerzym ponad sto, w związku z czym tylko niewielka część wsi leżała przy gościńcu wiodącym z południa na północ, zwany Wichrowym Traktem. Większość osad była usytuowana u podnóża gór, w kotlinach osłoniętych od wiatru. Musieli odwiedzić każdą z nich.

Początkowo Jarmis rozważał podzielenie się na dwie grupy, co znacznie przyspieszyłoby poszukiwania, lecz ostatecznie zrezygnował z tego pomysłu. Wyjąca Dolina była niebezpiecznym miejscem, a oni dodatkowo polowali na groźną zwierzynę. Zdecydował, że najpierw będą kierować się na północ, sprawdzając każdą wieś na wschód od Wichrowego Traktu, a następnie, jeśli będzie taka potrzeba, zwrócić na południe i odwiedzą osady na zachodzie.

Szpiedzy wreszcie okazali się użyteczni. Dzięki swym odznakom bez trudu nakłaniali wszelobecnych agentów Gildii Złodziei do współpracy. Gdyby Jarmis podróżował samotnie, musiałby mocno odchudzić mieszek ze srebrem, by uzyskać ten sam efekt. Wprawdzie czerwone pióro Ziza było symbolem, który rozwijały języki jeszcze skuteczniej niż odznaka Agencji, ale nie mógł pokazywać go byle złodziejaszkowi. Siła Arad úš tkwiła w ich mistyczności.

Relacje pomiędzy Jarmisem i szpiegami uległy polepszeniu. Ignae zaakceptowała jego przywództwo i przestała przejmować się złośliwymi uwagami, które zresztą wypowiadał coraz

rzadziej. Dwight znowu trajkotał bez przerwy, a doświadczeni Rick i Kyle zaczynali się zaprzyjaźniać. Humory szpiegów poprawiał też fakt, że trzeci raz z rzędu mieli nocować z dachem nad głową.

Zatrzymali się w Verilloop, największej miejscowości Wyjącej Doliny i jednej z dwóch posiadających prawa miejskie. Gospoda, którą wybrali na nocleg, leżała w samym centrum miejscowości, naprzeciw skromnych rozmiarów ratusza. Jarmis wiedział, że dostanie tu dobrze przyrządzoną dziczyznę; kiedyś wykonywał zlecenie dla burmistrza Verilloop i przez kilka dni stołował się w tym miejscu.

Ruch był nieduży; na zewnątrz zaczynało grzmieć. Siedzieli przy jednej ławie, z dala od reszty klientów. Jedli i pili, a Dwight opowiadał historię o sekcie wampirów, która przed kilkoma laty działała w tej okolicy.

— Nie mogę dłużej słuchać tych bredni — przerwał młodzianowi Jarmis, gdy ten zaczął opisywać rytuały krwiopijców. — Sam wymyśliłeś tę historyjkę czy ktoś ci ją opowiedział?

— Yyy, zasłyszałem ją kiedyś w jakiejś karczmie, ale dodałem trochę od siebie, by była ciekawsza — odparł speszony szpieg.

— Rozumiem, że część o rytuałach została dodana przez ciebie. Tak się składa, że wiem sporo o magii krwi, przynajmniej w porównaniu z wami, i mogę cię zapewnić, że nie ma żadnego rytuału, w którym spożywano by krew. Wampiry, takie, jakie znacie z opowieści, nie istnieją.

— Ale jakieś istnieją, tak? —Dwight momentalnie się podniecił. Uwielbiał straszne historie, zwłaszcza te prawdziwe.

— Mogę opowiedzieć wam, kogo w dawnych czasach nazywano wampirami, a także o sekcie, która rzeczywiście grasowała w Wyjącej Dolinie przed niecałą dekadą. Musisz jednak skoczyć po więcej wina, bo historia jest długa i na pewno zaschnie mi w gardle.

Młody szpieg szybko spełnił prośbę i Jarmis rozpoczął opowieść.

— Kilka stuleci po powstaniu Lotherbemm jego mieszkańców utracili wiedzę o magii krwi. Oczywiście nie wszyscy, Arad úš działało wtedy preżnie, ale zwykli ludzie zapomnieli nawet najprostszych rytuałów. Jako że magia krwi zawsze była dochodowym zajęciem, od czasu do czasu pojawiał się ktoś pragnący poznać mądrość starożytnych.

Jarmis opróżnił kolejny kielich wina i od razu uzupełnił naczynie.

— Do tamtych czasów zachowało się jeszcze wiele ksiąg przywiezionych z Thenorafrein, ale już mało kto znał język, w którym je zapisano. Z tego powodu wielu domoroskich adeptów magii krwi błędnie interpretowało występującą w instrukcji niemal każdego rytuału frazę *przyjmij krew ofiary*, jako *wypij krew ofiary*. Dla większości pomyłka skutkowała jedynie wymiotami, lecz ci, którzy cierpieli na wrzody, mieli mniej szczęścia. Nieświadomie przyjmowali krew we właściwy sposób, czyli przez kontakt z raną na własnym ciele i rytuał mógł się wypełnić. Niestety, w jelitach krew ulegała skażeniu ich treścią, czyli górnem po prostu. Bóg Śmierci musiał traktować to jako

wyjątkową obelę, gdyż przemieniał pechowych nieuków w straszliwe monstra. A może była to właśnie kara za brak wiedzy? Cholera wie.

Zabójca zamyślił się na krótką chwilę. Choć przeprowadził setki rytuałów, nadal nie wiedział, jak działają, dlaczego krew posiada tak niesamowitą moc ani czy Bóg Śmierci naprawdę istnieje. Wiedział tylko jedno: jeśli miał istnieć jakikolwiek bóg, to był to właśnie Uggae.

— W każdym razie skóra i mięśnie skażonych zaczynały gnić. Nie będę przytaczał szczegółowych opisów, macie wyobraźnię, kto chce, niech z niej skorzysta. Powiem tylko, że już po kilku dniach przemiany przypominali żywe trupy. Ich męczarnie trwały kilka tygodni, chyba że wcześniej sami postanowili ze sobą skończyć. Tak wygląda prawda na temat wampirów.

— Gnicie za życia, czyli coś podobnego do trądu. — Kyle, jak to starsi ludzie mają w zwyczaju, próbował porównać nową wiedzę do czegoś już mu znanego.

— Trąd to zwyrodnienie tkanki, a nie jej gnicie, ale jeśli musisz znaleźć jakieś porównanie, to o lepsze będzie trudno — zgodził się Jarmis.

— To już nie pierwszy raz, gdy zaskakujesz mnie wiedzą medyczną — pochwalił zabójcę Rick. — Uczę was tego wszystkiego w Gildii?

— Tak i nie. Więcej ci nie powiem.

— No tak, żadnych pytań o Gildię, zapomniałem.

— Miałeś powiedzieć, jak to było z tą sektą. — Dwight wciąż czekał na drugą opowieść.

— Patrzcie go, jaki niecierpliwy. Jak dziecko żądające bajki przed snem. Ale to się nawet dobrze składa, bo zamierzam opowiedzieć wam prawdziwą historię Czerwonego Kapturka.

— Czerwonego Kapturka? — Dwight był skołowany. — Miało być o sekcie z Wyjącej Doliny.

— Te historie są powiązane. Nie chodzi bowiem o bajkę o dziewczynce z koszykiem, wilku i babci z wielkimi oczami, uszami i łapskami.

Jarmis podniósł olbrzymie dłonie ze stołu i pomachał nimi, nabijając się z Dwighta.

— Chodzi o prawdziwe, wcale nie tak odległe wydarzenia. Trudno powiedzieć, kiedy dokładnie wszystko się zaczęło, wszakże mało kto przejmuje się śmiercią zwykłych wieśniaków, a to właśnie głównie oni byli ofiarami sekty z Wyjącej Doliny. Sprawa stała się poważna dopiero wtedy, gdy zamordowano córkę burmistrza z Verilloop.

Szpiedzy popatrzyli na niego zainteresowani. Nawet Kyle nadstawił uszu.

— Tak, tak, dziewczyna mieszkała po drugiej stronie ulicy. Znaleziono ją martwą osiem lat temu, wiosną. Młode, ładne kobiety często padają ofiarą zwyrodnialców, więc w jej śmierci nie byłoby nic nadzwyczajnego, gdyby nie sposób, w jaki mordercy obeszli się ze zwłokami. Znaleziono je powieszone głową do dołu na przydrożnym drzewie. Dziewczyna miała podcięte gardło, a kaptur jej jasnego płaszczu był cały przesiąknięty krwią. Dlatego zaczęto mówić o niej

Czerwony Kapturek. Ojciec ofiary miał w dupie, jak ludzie nazywają jego martwą córkę, zależało mu tylko na jednym: na znalezieniu sprawcy. Zwrócił się więc do nas.

Jarmis mówił o śmierci i zabijaniu z takim spokoju oraz lekkością, jak ktoś normalny opowiada o zwyczajnym dniu w pracy, co tylko dodawało historii atmosfery grozy.

— Najpierw zjawiliśmy się w Dolinie we dwóch. Ja i mój najwierniejszy kompan od kielicha, facet w wieku Kyla. Przyjmując zlecenie, byliśmy przeświadczeni, że robota będzie stosunkowo łatwa. Spodziewaliśmy się, iż będzie trzeba trochę powiększyć, w końcu nie znaleźliśmy mordercy z imienia i nazwiska, ale nie była to dla nas pierwsza taka sytuacja. Najpierw porozmawialiśmy ze świadkami, rodzinami innych ofiar, następnie zaczęliśmy tropić. Minął miesiąc, potem drugi, a w Dolinie nadal ginęły ludzie. Wszystkie zbrodnie łączyło kilka rzeczy: ofiarami padali jedynie młodzi ludzie, głównie podróżujące samotnie kobiety, ze wszystkich spuszczano krew, a ciała pozostawiano w najrozmaitszych, wymyślnych pozach i sceneriach. Czerwonego Kapturka powieszono do góry nogami, innych krzyżowano, przywiązywano do drzew, skał, zakopywano do połowy w ziemi, wbijano na pal. Czasami przy zmarłych znajdowano świeczki ułożone w dziwne wzory, duże ilości płatków róż, martwe gołębie i inne takie bzdury. Dlatego ludzie zaczęli gadać, że za wszystkim stoi jakaś mroczna sekta. Ja nie byłem co do tego przekonany, te wszystkie symbole jakoś do siebie nie pasowały. Niestety, nadal nie mieliśmy żadnego konkretnego tropu, zdecydowaliśmy się więc zrobić coś szalonego, a zarazem zabawnego. Wezwaliśmy posiłki z Gildii, dwóch naszych najmłodszych członków. Potrzebowaliśmy ich, by zastawić zasadzkę. Plan był taki, by przebrać ich za kobiety i kazać im włóczyć się dzień i noc po Wyjącej Dolinie, w nadziei, że w końcu staną się celem morderców. Kupiliśmy dla nich sukienki, damske płaszcze i masę przyborów do makijażu. Gdybyście widzieli ich miny, kiedy poinformowaliśmy ich o naszym pomyśle. Do dzisiaj śmiejem się z tego w Gildii.

Jarmis musiał się uspokoić, nim ponownie napił się wina. Nie chciał się zachłysnąć ze śmiechu. Za oknem, gdzieś bardzo blisko, uderzył piorun.

— Ale w końcu się zgodzili. Wypuściliśmy ich na Wichrowym Trakcie, a ja i Sil..., znaczy ten stary zabójca, ubezpieczaliśmy ich z ukrycia. Po kilku...

Drzwi do gospody otwarły się z hukiem i do środka wbiegł przerażony podrostek.

— Pożar! Ratusz się pali!

Jarmis i szpiedzy odwrócili się w stronę chłopaka. Za otwartymi drzwiami rzeczywiście było widać czerwoną lunę.

— No cóż, dokończę później. Chodźmy popatrzeć — zdecydował zabójca.

Wyszli na zewnątrz i dołączyli do rosnącego z każdą chwilą tłumu gapiów. Ogień był potężny, ogarniał wszystkie kondygacje, a płomienie strzelaly wysoko w niebo. Jakiś szykownie ubrany mężczyzna błagał ludzi o ratunek. Twierdził, że wewnątrz budynku uwięzionych jest wiele osób, gości wyprawianej przez burmistrza imprezy. Nikt nie kwapił się z pomocą, bo i nie dało się

nic zrobić. Ratusz był stracony. Pilnowano jedynie, by niesione przez wiatr płonące fragmenty dachu nie podpaliły sąsiednich zabudowań.

Wtem przed ludzką zbieraninę wyjechał galopem łysy mężczyzna w czarnym, skórzanym płaszczu. Zeskoczył z wierzchowca i skierował się w stronę gorejących drzwi ratusza. Nim wszedł do środka, krzyknął do tłumu:

— Miłosierny, ukaż wątpiącym moc swego błogosławieństwa.

Wyważył nadwątlone ogniem drzwi jednym kopniakiem i zniknął wśród płomieni. Motłoch zamarł w milczeniu. Zdezorientowani ludzie czekali w napięciu i nawet nie zauważyci, że żar bijący od ratusza dziwnie zelżała. Nie umknęło to jednak uwadze Jarmisa oraz szpiegów, nie licząc Dwighta. Po dwóch minutach z budynku zaczęli wybiegać przerażeni ludzie, ubrani w wieczorowe kreacje. Wyglądało na to, że nikt nie ucierpiał. Nawet wykonane z delikatnego materiału suknie kobiet były nietknięte ogniem. Jako ostatni ratusz opuścił tajemniczy jeździec, który bez zwłoki wskoczył na konia i odjechał w mrok nocy.

— Cudotwórca. Uratował wszystkich! — krzyknął ktoś z tłumu.

— Ten Miłosierny naprawdę istnieje! — zawtórował inny.

— Ja uwierzyłam już na kazaniu — stwierdziła jakaś kobieta.

— Bluźnierstwo! To dzieło Sprawiedliwego — ubrany w kapłańskie szaty mężczyzna próbował przekonać pozostałych.

— Sprawiedliwy nas opuścił, klecho. Teraz musimy zaufać Miłosiernemu. Poczułem jego obecność tam, w ogniu — zaśniadczył jeden z uratowanych, a pozostali poparli jego słowa.

Jarmis przypatrywał się wszystkiemu zamyślony. Do tej pory wydawało mu się, że już nic nie jest w stanie go zaskoczyć. Prorok Miłosiernego, boga, w którego istnienie nie wierzył, pozbawił go tego przekonania. Ignae, która stała najbliżej zabójcy, dostrzegła jego niepewność. Zresztą sama czuła się podobnie.

— Czy wasze starożytne księgi mają wyjaśnienia na to, co przed chwilą tu zaszło? — zapytała.

— Nie wiem, będę musiał porozmawiać o tym ze starszyną. Czy ty też poczułaś, że jak zjawił się ten łysol, to ogień przestał grzać?

— Tak. Może był czarodziejkiem?

— Może. Czarodzieje zniknęli z Lotherbemm cztery wieki temu. Jeśli teraz wrócili, to jestem ciekaw, dlaczego.

— I po co?

— Może kiedyś się dowiemy. W każdym razie popisał się niezłą sztuczką. Szkoda, że nie było go w Shal w czasie Upadku. Gdyby uratował miasto, smród jego spalonych mieszkańców nie prześladowałby mnie po nocach.

— Hej, koniec przedstawienia. — Dwight przerwał ich rozmowę. — Wracajmy do gospody. Musisz dokończyć swoją opowieść.

— Pal licho opowieść. Muszę dokończyć moje wino.

Rozdział siedemnasty – Potwór z Południowych Krańców

Pierwszy dzień piątego obiegu Bliźniaków. 137 dzień roku. Południowe Krańce.
Peachsout. Ranek.

Jak co dzień rano, zaraz po śniadaniu Victoria wdrapała się na szczyt grotmasztu, by wypatrywać celu ich podróży. Szalony Statek Głupców bywał w Peachesout nie raz i jego kapitan przez całą podróż doskonale wiedział, jaką część trasy mieli jeszcze do pokonania, jednak nie informował o tym dziewczynki, by nie psuć jej zabawy, zaś ona sama nie pytała. Tego dnia jej cierpliwość w końcu została wynagrodzona. Najpierw dostrzegła samotny żaglowiec na kotwicowisku, a kwadrans później przystał w Peachesout. Z podniecenia omal nie wypadła z bocianiego gniazda. Przez chwilę wołała na marynarzy i wskazywała ręką mającące w słońcu portowe zabudowania, po czym sprawnie niczym małpa opuściła się po olinowaniu na pokład.

— To Peachesout, prawda? — zapytała Szalonego, który wyszedł z kajuty usłyszawszy jej krzyki. Wcześniej kilka razy zdarzyło się jej wszcząć fałszywy alarm, więc chciała mieć pewność.

— Tak, tym razem to Peachesout. Jeśli wiatr się utrzyma, będziemy na miejscu za godzinę.

Victoria rzuciła mu się na szyję i wyściaskała. Kiedy kapitan udał, że się dusi, puściła go i pobiegła do swojej kajuty.

— Hejże, Głupcy! — Szalony zawała do załogi, odprowadzając dziewczynkę wzrokiem. — Wiem, jak tego nie lubicie, ale trzeba wykazać trochę rozsądku i przebrać się w nudne łachy, by nie podpaść tym zdewociałym słodkowodnym. Skończcie, co musicie skończyć, i idźcie się przygotować.

Nie licząc łodzi rybaków, wielorybników i poławiaczy krewetek, port w Peachesout był pusty. Niewielkie nabrzeże liczyło mniej niż siedem pirów, toteż Szalony zadecydował zacumować przy pierwszym, najdogodniejszym do rozładunku. Po zakończeniu manewrów kapitan oraz Pierwszy Głupiec, w obstawie kilku marynarzy, zeszli na wysłużone deski pomostu.

Prezentowali się ponuro. Watowane tuniki, obszerne koszule z bufiastymi rękawami, kraciaste spódnice i kolorowe sukienki pozostały na statku. Założono proste, szare, marynarskie uniformy. Z uszu zniknęły kolczyki, włosy upięto w proste kucyki. Jedynie Szalony wyróżniał się nieznacznie swoim kapeluszem. Nawet w opanowanym przez gorliwych wyznawców Eutana Peachesout kapitański tytuł wiązał się z pewnymi przywilejami.

— Znowu wy. Widzę, że nadal nie sprawiliście sobie obyczajnych żagli — oschle przywitał ich wysoki mężczyzna, gdy dotarli do końca pirsu. Jego obstawę stanowiło pół tuzina strażników uzbrojonych we włócznie o wydłużonych i wygiętych grotach. — Jakie licho was tu przywiało?

— I my ciebie witamy, nadzorco — powiedział Szalony, zachowując kamienną twarz. — Mamy tu do załatwienia pewną sprawę. Poza tym doszły nas słuchy o waszych kłopotach i chcieliśmy sprawdzić, czy nie możemy wam jakoś pomóc.

— A więc teraz zajmujecie się pomocą humanitarną, tak? Pewnie ktoś ci naopowiadał, że na wojnie robi się najlepsze interesy i postanowiłeś to wykorzystać. — Nadzorca portu skrzyżował ręce na piersi, przybierając jeszcze bardziej wojowniczą postawę. — Pozwól, że wyprowadzę cię z błędu. Nie ubijesz dobrego interesu w Peachsout. Nasz skarbiec jest pusty. Magazyny podobnie, jeśli nie liczyć solonej ryby i krewetek.

— Będziemy więc musieli zadowolić się soloną rybą. W zamian oferujemy mąkę, warzywa i wołowinę. Szczegóły transakcji ustalicie z moim bosmanem. Ja w tym czasie chciałbym rozejrzeć się po mieście.

— W jakim celu, jeśli można zapytać?

Głos nadzorców nieco złagodnił. Peachsout cierpiał z powodu niedoboru żywności. Dobicie targu z Szalonem mogło poprawić sytuację przynajmniej na jakiś czas.

— Mam smutny obowiązek do wypełnienia. Jeden z moich ludzi zginął na morzu i muszę poinformować o tym jego rodzinę.

— Pochodził z Peachsout? Jak się nazywał?

— Nazywał się Aster Daju. Pochodził z Testegaab. Nie wiem, czy dobrze wymawiam.

— Dobrze. Testegaab leży cztery dni drogi stąd. Obawiam się jednak, że nie odnajdziesz tam rodziny swojego człowieka. — Nadzorca zaczął wydawać się już niemalże przyjazny. Szacunek dla zmarłych był rzeczą świętą także w Buforze Bestii. — Większość wiosek, w tym Testegaab, zostało splądrowanych przez Dzikich. Teraz panoszą się w nich wyzwoleni niewolnicy.

— Splunął na ziemię z pogardą. — Jeśli twój człowiek nie był niewolnikiem-uciekinierelem, to nie macie się po co tam fatygować.

— Był wolnym człowiekiem i jako takiemu jestem mu winien chociaż spróbować — odparł ze stanowczością kapitan.

— Postawa godna szacunku, lecz nierozważna. Niewolnicy nie pażą do nas miłością i nie przywitają was z otwartymi rękami. Pomału zbieramy siły, by ich przepędzić lub znów zakuć w kajdany, niestety, wciąż jesteśmy zbyt słabi i nie będziemy w stanie wam pomóc.

— Zapominasz o czymś, panie nadzorco. Niewolnicy nienawidzą was. Ja oraz ci ludzie, których zamierzam zabrać w podróż, pochodzą z Morsstand. Mój naród nie wyrządził im żadnej krzywdy, toteż nie obawiam się ich gniewu.

— Hmm. Skoro tak. — Nadzorca podrapał się po czole, rozmyślając. — Może faktycznie uda wam się wyjść z tego cało. Róbcie, co chcecie. Nie będziemy wam przeszkadzać, ale nie liczcie też na naszą pomoc.

— To nam wystarczy. Dziękuję za wyrozumiałość, panie nadzorco. — Szalony ukłonił się tak nisko, że aż musiał przytrzymać ręką kapelusz, by mu nie spadł. — Najpierw popytamy w mieście, czy ktoś nie znał naszego człowieka. Jeśli niczego się nie dowiemy, wyruszamy jutro rano.

— W porządku. Droga wolna. — Stojący za nadzorcą strażnicy rozstąpili się na boki. — Powodzenia.

— Gładko poszło — zauważył Pierwszy Głupiec, gdy marynarze oddaliły się od nadzorców i jego ludzi.

— Niewiele żeśmy nakłamali, to i nie mieli do czego się przyczepić.

— Dobra panowie. — Szalony zwrócił się do towarzyszy. — Rozejść się po knajpach i wypytywać o ojca Victorii. Tylko nie pijcie za dużo: góra dwa piwa na głowę. Tutaj za pijaństwo grozi areszt.

— I nie gapcie się na kobity — dodał Pierwszy. — Najlepiej odwracajcie głowy, gdy przechodzą. Za lubieżne zamiary można zostać wychłostanym.

— Przez kogo? — zapytał jeden z marynarzy. — Jeśli przez obiekt tychże zamiarów, to może warto zaryzykować.

Wszyscy Głupcy, w tym i Szalony, wybuchańli śmiechem. Przechodzący w pobliżu ludzie obrzucili ich karcącymi, pogardliwymi spojrzeniami i marynarze od razu się uspokoili.

Wieczorem, po całym dniu wypytywania mieszkańców Peachsout o ojca Victorii, Głupcy wrócili na statek. Chociaż było już ciemno, wciąż trwał rozładunek nadzorowany przez bosmana.

— Wszystko w porządku? — zapytał Szalony i ziewnął przeciągle. — Nadzorca nie sprawiał problemów?

— Czemu miałyby sprawiać, skoro kazałeś mi przystać na wszystkie jego żądania? — z nieukrywanym wyrzutem odpowiedział Jon. — Te dupki nie zasługują na taką ustepliwość. Mogliśmy chociaż trochę ponegocjować. A tak to mamy pół ładowni wypełnione soloną rybą. Na łajbie śmierdzi jak cholera. Co my z tym zrobimy?

— Spokojnie, Jon, z idiotami tak trzeba. Uśpić ich czujność i robić swoje. A rybę wypieprzymy za burtę albo oddamy za półdarmo w następnym porcie. — Kapitan poklepał przyjaciela po plecach i ruszył w góre trapu.

— Biznes życia — burknął Jon i wrócił do pracy.

Szalony, zmęczony całym dniem chodzenia po mieście, powolnym krokiem dotarł pod drzwi kajuty pierwszego oficera i cicho w nie zapukał. Czekał przez chwilę, lecz nic się nie wydarzyło.

— Bez obaw, to ja. Możecie mnie wpuścić.

Iryk, przebrany tak jak reszta marynarzy, pomału uchylił drzwi. Kapitan wszedł do środka i się skrzywił. Kabina cuchnęła moczem.

— I co? I co? Dowiedzieliście się czegoś? — Victoria podbiegła do Szalonego, wlepiając w niego przepełnione nadzieję oczy.

— Przykro mi, mała. Nikt w mieście nie słyszał o twoim tacie.

Twarz dziewczynki momentalnie spochmurniała.

— Ale nic się nie przejmuj. — Kapitan delikatnie chwycił ją za brodę i podniósł głowę dziewczynki do góry. — Jutro wyruszamy do twojego domu. W nocy ktoś was zbudzi i na szalupie, wraz z dwójką Głupców, wyptyniecie z portu. My zejdziemy ze statku rano i spotkamy się poza miastem.

— Ten pomysł z szalupą jest bezpieczny? — niepokoił się Iryk. — Słyszę, że nadal trwa rozładunek. Ktoś może nas zobaczyć.

— Rozładunek powinien niedługo się zakończyć. Pracownicy portu będą zmęczeni i nikt was nie dostrzeże. Wyślijcie się dobrze, bo czeka nas daleka wyprawa. Ja też idę się położyć. — Szalony ruszył w stronę drzwi, lecz zaraz się zatrzymał. — Dajcie mi nocnik, to go opróżnię. Inaczej nie zaśniecie w tym smrodzie.

Iryk udał się w kąt kajuty i przyniósł przepełniony moczem, miedziany urynał.

— Jesteś pierwszym kapitanem w historii, który opróżnia nocnik członków swojej załogi.

— Miesiąc spędzony z marynarzami sprawił, że mnichowi od czasu do czasu zdarzało się zażartować.

— Pewnie tak. Będę miał się czym pochwalić Lumdonowi, kiedy w końcu go spotkam. — Szalony uśmiechnął się szeroko i wyszedł.

Rozładunek zakończył się zgodnie z przewidywaniami kapitana. Iryk, Victoria i dwójka młodych, krzepkich, pochodzących z Morsstand Głupców bez przeszkód wydostała się z portu. Szalony, Pierwszy i czterech kolejnych marynarzy dołączyli do nich w ustalonym miejscu, na plaży poza miastem. Szalony Statek Głupców po raz kolejny został pod dowództwem spolegliwego bosmana.

Zaraz po powitaniu Pierwszy wskoczył do szalupy i ze skrytki w jej dnie wyciągnął owinięty kocem pakunek. Po rozwinięciu materiału oczom zebranych ukazało się dziewięć lśniących, piekielnie ostrych szabli. Pierwszy Głupiec zatknął sobie jedną za pas, a kolejnych siedem wręczył Szalonemu i marynarzom. Ostatnia była przeznaczona dla Iryka.

— Nie chcę — powiedział mnich, splatając ręce za plecami. — Nie jestem w stanie wyobrazić sobie sytuacji, w której przy pomocy broni mógłbym przybliżyć się do harmonii.

— Masz zatem słabą wyobraźnię — stwierdził Sage.

— Jeśli nie zechcesz, nie musisz jej dobywać. Sam jej widok potrafi odstraszyć. Weź — przekonywał Szalony.

- Nie wezmę. Nie i już.
- W porządku. — Pierwszy z dezaprobatą pokręcił głową i zatknął szabłę nad wolnym biodrem. Był najlepszym szermierzem spośród Głupców i jako jeden z nielicznych potrafił posługiwać się dwiema broniami naraz. — Przypuszczam, że i tak nie uczą was walczyć.
- Uczę, na wypadek ataku dzikich zwierząt. Jednak nie znam zwierzęcia, które zaatakowałoby tak dużą grupę.
- Bo nie byłeś wcześniej w Buforze Bestii — z wyraźną pogardą powiedziała Victoria. — Chodźmy już, szkoda czasu.

Przed opuszczeniem Peachsout Szalony chciał wynająć wierzchowce, lecz wszystkie konie w mieście zostały zjadzone w czasie jego oblężenia, więc byli zmuszeni podróżować pieszo. Prędko okazało się, że nieprzywykli do długich wędrówek marynarze nie są najlepszymi piechurami. Zmęczenie dopadło ich szybciej niż Iryka, szybciej nawet niż Victorię, od której mieli znacznie dłuższe nogi. Po kilku godzinach naszpikowanego przerwami marszu byli zmuszeni skrócić krok. Zirytował to pragnącą jak najszybciej zobaczyć swój dom dziewczynkę, jak również Szalonego, który obawiał się o ich bezpieczeństwo. Mimo prośb Victorię, kapitan nie zmusił Głupców do zwiększenia tempa, gdyż sam czuł się wykończony, do tego stopnia, że na nocleg zatrzymali się na długo przed zachodem słońca.

Kolejnego dnia nie działało się lepiej. Zakwaszone łydki marynarzy doskwierały im przy każdym kroku. Dodatkowo Szalony, nie chcąc prowokować kłopotów, zadecydował, iż każdą wieś po drodze będą omijać szerokim łukiem, przez co ich trasa uległa wydłużeniu. Zastanawiające było też to, że jak do tej pory na swej drodze nie spotkali żywego ducha. Nie mieli pewności, czy to dobry, czy zły omen.

Wreszcie, rankiem szóstego dnia wędrówki, nie doświadczyszy żadnych niespodzianek, dotarli na obrzeża Testegaab. Gdy Victoria zobaczyła pierwsze zabudowania rodzinnej wioski, była tak podniecona, że Iryk musiał ją powstrzymać przed samotnym wbiegnięciem do osady.

— Musimy trzymać się razem. Nie wiemy, kogo tam spotkamy. Rozumiesz? — zapytał.

Dziewczynka spojrzała pytającco na kapitana, którego darzyła dużo większym szacunkiem niż mnicha.

Ten skinął głową, popierając jego zdanie.

— I pozwól najpierw nam porozmawiać z mieszkańcami wioski. Dobrze?

— W porządku — przytaknęła, jednocześnie robiąc obrażoną minę.

Pełni niepokoju Głupcy wkroczyli główną drogą do wioski. Nie byli pewni, czy lepiej schować broń pod ubraniem, czy ją wyeksponować. Ostatecznie zdecydowali się zachować ją na wierzchu. Kiedy weszli pomiędzy zabudowania, spostrzegli kilka osób, które na ich widok od razu pouciekały do domów. Może nie była to najlepsza oznaka, ale przynajmniej osada nie została

całkowicie opuszczona, czego się obawiali, gdyż przez całą podróż napotkali jedynie kilku wędrowców, którzy, podobnie jak mieszkańcy Testegaab, unikali kontaktu z uzbrojonymi podróżnymi.

Mijali kolejne domostwa wśród zajadłego szczekania psów, których trzymano tu co niemiara, ponieważ stanowiły doskonały system ostrzegawczo-obronny przed groźnymi bestiami z dżungli. Wreszcie zza zakrętu wyłoniła się dawna posesja rodziny Daju. Na ten widok Victoria zapomniała o złożonej Irykowi obietnicy i jak wystrzelona z procy pognęta przed siebie. Żaden z Głupców nie zdążył jej powstrzymać i po chwili, zwinnie przeskoczywszy nad płotem, dziewczynka znalazła się przed frontowymi drzwiami dużego, elegancko wykończonego domu. Chwyciła za klamkę. Drzwi były zamknięte na klucz, więc zaczęła walić w nie z całej siły.

Głupcy pobiegli za dziewczynką, lecz Szalony kazał im zatrzymać się pod płotem. Nie chciał, by zostali wzięci za intruzów. Kilka sekund później zza budynku wybiegły dwa potężne ogary i bez chwili zawahania zaczęły pędzić w stronę Victorii. Wtedy Szalony jako pierwszy przeskoczył ogrodzenie, chcąc ją ratować, lecz był zbyt powolny. Zwierzęta błyskawicznie dopadły dziewczynki, obaliły ją na ziemię i zaczęły lizać ją po twarzy. Ta, śmiejąc się ze szczęścia, przytulała i głaskała wyrośnięte bestie.

Nim Głupcy zdążyli na powrót zatknąć broń za pasy, otworzyły się drzwi. Pojawił się w nich chudy mężczyzna około trzydziestki. Ubrany był w ciemne, eleganckie spodnie i jasną, pozbawioną rękawów koszulę. Jego ramiona naznaczone były licznymi bliznami. Na środku czoła miał tatuaż przedstawiający zamknięte oko, którym znaczono wszystkich niewolników i symbolizujący ich ślepotę na boskość Eutana.

— Do mnie! — zwołał.

Psy na chwilę zwróciły pyski w jego stronę, po czym wróciły do przyjaznego tarmoszenia Victorii. Zaskoczony mężczyzna przyjrzał się lepiej roześmianej dziewczynce. Jego twarz błyskawicznie spochmurniała.

— To ty! Jak to możliwe?

— Najmocniej przepraszamy pana za najście. — Kapitan zdążył już schować broń. Obie ręce uniósł na wysokość głowy, dając do zrozumienia, że ma pokojowe zamiary. Nie ulegał wątpliwości, że mężczyzna nie jest ojcem Victorii. — Przybywamy w pokoju i harmonii. Nazywam się Bart Norplent, a to...

— To nie jest żaden *pan*! — Victorii udało się wreszcie wstać i nieco uspokoić podniecone ogary. — To zwykły kmiot. Leniwy, nic niewarty kmiot.

Chciała brzmieć groźnie, lecz przeszkadzał jej w tym piskliwy głos. Zmierzyła mężczyznę wzrokiem. Krzyknęła:

— Jakim prawem nosisz spodnie mego ojca, niewierny!

Mężczyźnie przypomniały się stare czasy i odruchowo wzdrygnął się ze strachu. Również odruchowo pozostał na miejscu, karnie czekając na to, co nastąpi.

Ogary były zdezorientowane. Wyczuwały, że Victoria, która wychowała je od szczeniaka, była zła na dawnego niewolnika. Niegdyś obskoczyłyby mężczyznę, warcząc groźnie, lecz od kilku miesięcy to on je karmił i teraz traktowały go jak pana. Nie wiedząc, po której stronie się opowiedzieć, zaczęły biegać w kółko, żałośnie popiskując.

Szalony również znalazł się w kropce. Rozważył próbę przywołania dziewczynki do porządku, ale wówczas mógłby stać się celem ataku psów, które tylko szukały sposobu na rozładowanie emocji.

Jedynie Iryk wiedział, jak zaradzić tej trudnej sytuacji. Nie chciał tego robić, ale nie było innego wyjścia. Użył swojej mocy.

— Victoria, chodź tu, dziecko — powiedział zupełnie spokojnie. — Od tej pory będziesz cicho.

Dziewczynka spojrzała na niego wciąż rozgniewanymi oczami. Uderzenie serca później jej twarz przyjęła kompletnie obojętny wyraz i bez słowa sprzeciwu czy komentarza wykonała polecenie.

Głupców zaskoczyła jej reakcja i zaczęli spoglądać po sobie zdziwionym wzrokiem. Mnich ani myślał tłumaczyć im, co zaszło. W oknach sąsiednich budynków pojawiło się coraz więcej ciekawskich twarzy.

— Panie gospodarzu, najmocniej przepraszam za jej wybryk. Obiecuję, że to się więcej nie powtórzy, jak harmonii pragnę. Czy moglibyśmy wejść do środka, by omówić powód naszej wizyty?

Iryk chciał zejść z drogi, nim mieszkańcy wioski postanowią sprawdzić, czy ich sąsiad nie potrzebuje pomocy, co jeszcze bardziej skomplikowałoby ich sytuację, jednak nie użył wobec mężczyzny magii umysłu.

— Mówisz o harmonii. Nie wyglądacie na byłych niewolników, kim więc jesteście?

— Pochodzimy z Morsstand. Moi towarzysze są marynarzami, ja natomiast jestem, a może raczej byłem, Niebieskim Bratem.

— Niebieski Brat w Buforze Bestii? — zapytał zdziwiony i zamyślił się przez moment. — To zbyt niedorzeczne, byś mógł to zmyślić. W porządku. Możecie wejść.

Podszedł do płotu i otworzył furtkę.

— Do budy!

Ogary chętnie uciekły na tył posesji, mając dość napiętej sytuacji nie mniej od ludzi.

Wnętrze domu zostało wykończone elegancko, aczkolwiek bez zbędnego przepychu. Wszędzie było pełno doniczkowych kwiatów, rosnących bujnie dzięki światłu przepuszczanemu przez wielkie okna. Na ścianach wisiało kilka kunsztownych obrazów, przedstawiających głównie

martwą naturę. Wszystko to wywołało zdziwienie marynarzy, którzy uważały mieszkańców Południowych Krańców za prosty, wręcz prymitywny naród.

Gospodarz zaprowadził Głupców do obszernego salonu, gdzie wszyscy zasiedli przy długim, nakrytym haftowanym obrusem stole. W powietrzu unosił się apetyczny zapach pieczeni i wędrowcy momentalnie przypomnieli sobie, że od kilku dni nie jedli nic porządnego. Ku ich rozczarowaniu, gospodarz nie zaproponował im posiłku, a oni sami nie śmieли o niego poprosić.

Iryk, który po incydencie na podwórzu nabrał nieco pewności siebie, od razu przeszedł do wyjaśnień. W skrócie opowiedział o tym, jak poznał Victorię i marynarzy, oraz o tym, co razem przeżyli. Co pewien czas na krótko przerywał swój monolog, by przypomnieć dziewczynce, że ma siedzieć cicho. Czas działania magii umysłu był ograniczony i w zależności od psychicznej odporności zauroczonej osoby wałał się od kilku minut do pół godziny. Zaczarowana Victoria siedziała nieruchomo niczym kukła, ani na chwilę nie odwracając wzroku od Iryka.

Zakończywszy swą opowieść, Iryk zapytał mężczyznę, czy jest w stanie w jakikolwiek sposób pomóc im w odnalezieniu rodziców dziewczynki.

— Nawet jeśli tak, to dlaczego miałbym to uczynić? — odparł gospodarz, który w czasie przemowy mnicha zachowywał kamienną twarz.

— W imię harmonii. Wiem, że brzmi to banalnie, ale czyż przebaczenie dawnym oprawcom nie pomogłoby ci w odnalezieniu spokoju ducha? Czy pomoc Victorię nie wróciłaby ci wiary w to, że dobro jednak zwycięża?

— Mówileś długo, Niebieski Bracie, więc teraz wysłuchaj mnie. Opowiem ci coś o harmonii, o Victorię oraz o tym, co dobre, a co złe.

Gospodarz zamilkł na moment, speszony spojrzeniami dziewczynki obcych mężczyzn, po czym, znalazły odpowiednie słowa, kontynuował.

— Co do harmonii, to już w nią nie wierzę. Szukałem jej przez całe życie, tak jak nauczyli mnie rodzice, lecz jedyne, co otrzymywałem w zamian, to cierpienie. Rozdzielono mnie z rodziną w wieku ośmiu lat i od tego czasu jej nie widziałem. Przechodziłem z jednych rąk do drugich, niczym przedmiot, aż przed siedmioma laty trafiłem tutaj, do Testegaab, do rodziny Daju. Początkowo nie było najgorzej. Aster Daju był surowy, ale na swój ułomny sposób sprawiedliwy. Bił mnie tylko wtedy, gdy coś spartaczyłem lub przyłapał mnie na odpoczynku. Wcześniej miewałem gorszych panów. Niestety, z roku na rok było coraz gorzej. Ze względu na nią. — Skinął głową na Victorię.

Iryk nagle poczuł się, jakby ktoś umieścił w jego brzuchu bryłę lodu. Bał się tego, co zaraz usłyszy. Gospodarz kontynuował:

— Kiedy tu trafiłem, miała zaledwie trzy lata i była, jakby to powiedzieć, niegroźna. Niegroźna, ale bystra, i chyba już wtedy kiełkowało w niej okrucieństwo. Zaczęło się od małych złośliwości, przez które miałem dodatkową pracę. A to wypuściła zwierzęta z zagrody i znów

musiałem je łapać, a to rozniosła stóga siana po całej stodole i temu podobne rzeczy. Bicie rozpoczęło się, gdy miała pięć lat. Nikt jej nigdy o to nie upomniał i stało się to jej hobby. Z każdym rokiem przybywało jej sił i biła coraz mocniej. Zazwyczaj rózgą, ale czasami zdarzało się jej użyć czegoś ostrzejszego.

Mężczyzna przejechał dlonią po pokrytej bliznami ręce.

— Znosiłem to, jak mogłem, taki już los niewolnika i tylko raz byłem bliski skręcenia jej chudego karku. Było to dwa lata temu. Wraz z żoną, znaczy teraz żoną, pobraliśmy się zaraz po tym jak Pierwotni nas wyzwolili, bo niewolnikom nie wolno było zakładać rodzin, mieliśmy trzyletniąówczas córeczkę. Panowie od czasu do czasu pozwalali niewolnikom parzyć się, jak sami to nazywali, by podkreślić, że nie jesteśmy lepsi od zwierząt. Dzięki temu mieli nowych niewolników, a nam trudniej było podjąć decyzję o buncie lub ucieczce. Ja mieszkałem tutaj, a żona z córką kilka gospodarstw dalej. Nie wolno nam było się spotykać, ale ja miałem to gdzieś i czasami w nocy wykradałem się, by je zobaczyć. Był to błąd. Córka się do mnie przyzwyczała i pewnego razu, idąc wraz z żoną główną drogą, zobaczyła mnie przy pracy na podwórzu. Uciekła matce, przecisnęła się między deskami ogrodzenia i biegła w moją stronę, wołając: *Tata, tata*.

Mężczyzna przełknął ślinę, z trudem ukrywając wzruszenie.

— Victoria stała w pobliżu, w ręce miała ciężką lagę, która w tamtym czasie była jej ulubionym narzędziem tortur. Nim zdążyłem zareagować, podbiegła do Emmy i uderzyła z całej siły, krzycząc: *Precz stąd, parszywy pomicie*. Rozległ się głuchoy trzask. Miałem ochotę zabić Victorię, ale najpierw musiałem sprawdzić, co z córką. Przykucnąłem koło niej i zobaczyłem, że jej nóżka jest nienaturalnie wygięta. Była złamana w kolanie. Wziąłem małą na ręce i pobiegłem do znachorki. Victoria odprowadzała nas wzrokiem, pogwizdując wesoło.

Szalony zauważył, że Iryk dostał tiku nerwowego i od pewnego czasu co chwila drgała mu lewa brew, powieka i kącik ust. Pierwszemu i piątce marynarzy póki co udawało się zachować kamienną twarz. Tylko najstarszy z marynarzy, jedyny, który miał dzieci, pękł i uronił kilka łez. Victoria nadal siedziała nieruchomo, nieobecna umysłem.

— Nie wszyscy w Testegaab byli tacy jak rodzina Daju — ciągnął opowieść gospodarz. — Niektórzy, niestety, bardzo nieliczni, nie mieli niewolników. Wyznawali Eutana tylko na pokaz, by mieć spokój. Znachorka była najważniejsza ze wszystkich. Za każdym razem, gdy wysyłano mnie do niej po zioła, opatrywała mnie rany i dawała coś do zjedzenia. Były to nieliczne chwile, gdy czułem się jak człowiek.

Mężczyzna uśmiechnął się delikatnie i zaraz znowu spoważniał.

— Nie udało się jej wyleczyć nogi Emmy, ale zrobiła znacznie więcej. Nikt nie potrzebuje kalekich niewolników i córkę czekała śmierć, lecz znachorka postanowiła ją przygarnąć. Zapłaciła właścicielom małej jak za dorosłego mężczyznę. Matkowała jej do czasu, aż pojawiły się Pierwotni.

Wygładało na to, że dziewczynka jednak przeżyła i miesiąc twarzy Iryka w końcu się uspokoili.

— Mimo iż zawsze uważano Pierwotnych za wrogów Południowych Krańców, okazali się oni naszymi przyjaciółmi. Naszymi, czyli tych, którzy nie podporządkowali się temu szarlatanowi Eutanowi. To oni nas wyzwolili, a nie wy, mieszkańców Morsstand, obrońcy harmonii, nasi Pustynni Bracia. Zrobiły to te dzikusy i barbarzyńcy, którymi straszy się dzieci, gdy są niegrzeczne.

W głosie mężczyzny słyszać było gorycz zarzutu, ale i pewną satysfakcję.

— Pojawili się pół roku temu, zupełnie niespodziewanie, dzięki czemu bez problemu opanowali osadę. Oddzielili panów od niewolników, po czym zebrali wszystkich na jednym z pól. Dowodził nimi stary szaman, który jako tako posługiwał się naszym językiem. Dostrzegł Emmę, którą matka trzymała na rękach, i jej krzywą nóżkę. Podszedł bliżej i spytał żony, czy pozwoli mu wyleczyć córkę. Ta przestraszona i nie do końca rozumiejąca, o co mu chodzi, zgodziła się. Szaman wziął Emmę na ręce i kazał przyprowadzić sobie jednego z panów, rannego podczas najazdu, przez co nie nadającego się do drogi przez dżungłę. Dwóch Pierwotnych pomogło mu trzymać Emmę, czterech kolejnych chwyciło mężczyznę. Szaman rozpoczął inkantacje, wyciągnął zakrzywiony sztylet i głęboko naciął nogę Emmy tuż nad uszkodzonym kolaniem. Żona krzyknęła przerażona, ja również, ale trzymano nas pod bronią i nie mogliśmy nic zrobić. Po kolejnej zwrotce zaklęcia przyszła pora na mężczyznę. Szaman poderżnął mu gardło i przytrzymał głowę nad nogą Emmy tak, że cała jego krew ściekała do jej rany. Gdy dziewczyna umarł, rytuał dobiegł końca. Noga córki zdro... zresztą, co wam będę opowiadał. — Gospodarz machnął ręką i zawałał. — Emma, dziecko, pozwól tu na chwilę.

Dziewczynka musiała podsłuchiwać rozmowę schowana na górze schodów, bo od razu zbiegła na dół. Zatrzymała się dopiero, gdy ujrzała Victorię, co przywołało straszne wspomnienia. Stanęła jak wryta, bojąc się postąpić dalej. Jej czoło również szpecił paskudny tatuaż.

— Wszystko w porządku, słonko — uspokoił ją ojciec. — Chciałem tylko, by nasi goście zobaczyli, jaką śliczną z ciebie dziewczynka. Możesz już wrócić na górę.

Mała czym przedniej wbiegła na szczyt schodów, pokonując po dwa stopnie naraz.

— Jest zwinna jak kot — stwierdził Pierwszy. — Noga jest zdrowa.

— Została jedynie blizna na udzie — potwierdził gospodarz. — Poza tym żadnego śladu, żadnych skutków ubocznych. Zawdzięczamy to magii krwi, którą zawsze uważaliśmy za plugawą. Chyba już was nie dziwi, dlaczego wolę tę plugawą magię krwi niż bezużyteczną harmonię.

— Cieszy mnie, że Emma jest zdrowa, ale jakim kosztem? — Irykowi ciężko było się z tym wszystkim pogodzić. — Ktoś musiał umrzeć, by została wyleczona.

— Umarł łotr, wyleczono niewinne, pokrzywdzone dziecko. Jak dla mnie, koszt jest niewielki.

Kilku marynarzy pokijało głowami, zgadzając się ze słowami byłego niewolnika.

— Tym razem może i był to łotr, ale co z innymi uprowadzonymi przez Pierwotnych? Co chociażby ze znachorką? Jej śmierć również uznasz za niewielki koszt?

— Znachorki nikt nie uprowadził — ze spokoju odpowiedział mężczyzna, który tylko czekał na to pytanie. — Ja, moja żona i inni niewolnicy wstawiliśmy się za nią i Pierwotni zostawili ją w spokoju. Podobnie stało się z innymi mieszkańcami, którzy nie uznawali niewolnictwa. Po wyjeździe Pierwotnych, gdy zaczęliśmy na nowo organizować nasze życie w Testegaab, jednogłośnie wybraliśmy znachorkę na starszą wioski. Odwiedzamy się prawie codziennie. Emma bardzo się z nią zżyła i nieraz mówi, że teraz ma dwie mamy.

Mnichowi zabrakło argumentów do krytyki magii krwi, więc zamilkł. Mimo to nadal uważał praktyki szamanów za odrażające. Pocieszało go jedynie to, że jego talent nie wymagał składania ofiar z ludzi.

— Kobieta starszą wioski — z zadumą w głosie powiedział Pierwszy. — Nawet w Morsstand nie byłoby to możliwe, mimo iż uważamy się za postępowych. Ale zostawmy ten temat. Interesuje mnie co innego. Wiesz, co Pierwotni chcą zrobić z porwanymi?

— Nie.

— Nie pytaliście ich?

— Nie przepytuję się ludzi, którzy zwróciili ci wolność — odparł szorstko gospodarz. — Jak dla mnie, to mogą nakarmić nimi swoje bestie, byleby tu już nie wrócili.

Szalony stwierdził, że mężczyzna najwyraźniej jest już zmęczony nieproszoną wizytą i postanowił nie wystawiać dłużej jego gościnności na próbę.

— Dowiedzieliśmy się już dość. Będziemy się zbierać. Panie gospodarzu, dziękujemy za podzielenie się pańską historią.

Kapitan wstał od stołu i uścisnął dłoń mężczyznę.

— Nim odejdziemy, mam jeszcze jedną prośbę. Czy mógłby nam pan powiedzieć, czy ktoś w wiosce byłby w stanie sprzedać nam trochę żywności? Nasza podróż trwała dłużej niż planowaliśmy i powoli kończą się nam zapasy.

— Każdy może was sprzedać. Kolejny plus pozbicia się panów. Dzięki nagłemu wyludnieniu mamy pełne spichlerze. Wybierzecie sobie coś w moim. Nie chcę, byście niepotrzebnie straszyli pozostałych mieszkańców.

— Oczywiście. I dziękuję — Szalony uklonił się nisko i dał towarzyszom znak do wyjścia.

W spichlerzu Głupcy wypełnili sakwy żywnością, a przy studni napełnili bukłaki z wodą. Otrzymawszy zapłatę, gospodarz odprowadził ich do furtki. Na odchodnym udzielił im jeszcze jednej rady.

— Uważajcie na siebie, Pustynni Bracia. — Ostatnie słowa wypowiedział z niekrytym sarkazmem. — Uważajcie na tego małego potwora, któremu chcecie pomóc, oraz na

Pierwotnych. Nie wszyscy wrócili do Dżungli. Zostawili trochę oddziałów, które mają chronić nas przed wojskiem Eutana, nim nie uformujemy własnej armii. Szerokiej drogi.

Głupcy opuścili osadę w milczeniu. To, czego się dowiedzieli, zszokowało wszystkich. Dziewczynka, którą polubili, pełna energii i godnego podziwu uporu w poszukiwaniu swoich rodziców, okazała się prawdziwą okrutnicą. Niektórzy próbowali tłumaczyć sobie jej zachowanie młodym wiekiem i wychowaniem w atmosferze przyzwolenia na bestialstwo, inni od razu stracili do niej całą sympatię.

Victoria ocknęła się z otumanienia wywołanego magią umysłu kilka minut po tym, jak opuścili Testegaab. Ostatnią rzeczą, jaką pamiętała, była zabawa z psami i sprzeczka na podwórzu. Zdezorientowana, zaczęła wypytywać, co się stało. Marynarze nie chcieli z nią rozmawiać. Iryk na razie również nie zamierzał mówić jej, co wyjawił im gospodarz. Zapewniał ją jedynie, że musiała doznać szoku wywołanego powrotem do domu i dlatego nic nie pamięta. Dziewczynka chciała wracać do Testegaab, ale wszyscy ją ignorowali. Pozłociła się kilka minut, po czym zamilkła. Przez resztę dnia samotnie podążała za Głupcami na końcu ich niewielkiej kolumny.

Nazajutrz humory wędrowców wcale nie uległy poprawie. Głupcy nadal starali się poukładać sobie wszystko w głowie i rzadko kto się do kogo odzywał. Szalony i Pierwszy co jakiś czas spoglądali po sobie, próbując nawzajem odczytać swoje myśli. Znali się długo i dobrze wiedzieli, że gdy wrócą na statek, czeka ich trudna rozmowa. Jedyną pociechą dla reszty marynarzy było to, że to nie oni będą musieli decydować, co dalej. Od samego rana tik nerwowy wykrzywił twarz mnicha regularnie co kilka minut.

Z ponurego marazmu ocknęli się dopiero wieczorem, kiedy to na horyzoncie pojawiło się kilka ruchomych punktów. Początkowo myśleli, że to stado antylop, jeleni bądź innych zwierząt, lecz szybko zostali wyprowadzeni z błędu. W ich kierunku zmierzali jeźdzcy Pierwotnych.

Nie było gdzie się schować, nie było sensu uciekać. Zrezygnowani Głupcy unieśli ręce do góry, dając do zrozumienia, że nie zamierzają walczyć. Po chwili zostali otoczeni przez dziesięciu wojowników dosiadających koribali: hybryd koni i niedźwiedzi.

Bestie były różnie umaszczone, a ich futro miało dwa całe długości. Tylne kończyny kończyły się czymś w rodzaju trójpalczastego kopyta, natomiast przednie przypominały łapy niedźwiedzia. Z groźnie uzębionych, groteskowych pysków zmęczonych biegiem stworzeń obficie kapała ślina. Patrzyły na marynarzy jak na posiłek.

Wojownicy uzbrojeni byli w krótkie łuki oraz włócznie. Ich dowódca był szamanem, o czym świadczyły tatuaże na twarzy i zwisający u pasa długi, ceremonialny sztylet. Pierwotny podprowadził swojego wierzchowca bliżej Szalonego, w którym trafnie rozpoznał przywódcę grupy. Zwierze sapało kapitanowi prosto w twarz, a jego ślina skupywała mu na buty.

— Kim jesteście? Co tu robicie? — zapytał chrypliwym głosem, który w połączeniu z miękkim akcentem i kiepską wymową w innych okolicznościach brzmiałby całkiem śmiesznie.

Szalonemu nie było do śmiechu. Zazwyczaj rozbiegane oczy wbiły w ziemię, byleby tylko nie sprowokować koribala do ataku. Zastanawiał się, czy powiedzieć prawdę, czy zaryzykować i wcisnąć szamanowi jakąś bajkę. Nim zdążył podjąć decyzję, rozległ się głos Iryka.

— Dowódco, proszę się uspokoić — powiedział w języku ludzi Dżungli. Chciał mieć pewność, że zostanie dobrze zrozumiany. — Niech twoi ludzie schowają broń.

Szaman wydał rozkaz i wojownicy go wykonali, choć niechętnie. Mnich obawiał się, iż któryś z nich pozna się na jego podstępie, zaczął więc przedstawiać się każdemu z nich z osobna, jednocześnie prosiąc o spokój. Po chwili wszyscy Pierwotni wpatrywali się w niego nieprzytomnym wzrokiem, zaipnotyzowani.

— O co mam ich pytać? — mnich zwrócił się do Szalonego.

Oddychał ciężko. Nigdy wcześniej nie używał magii umysłu na więcej niż jednej osobie naraz. Do tej pory nie wiedział nawet, czy jest to możliwe. Na ich szczęście było, ale wiązało się też ze sporym wysiłkiem.

Głupcy patrzyli na Iryka z nie mniejszym przerażeniem niż na koribale. To, jak wcześniej udało mu się uspokoić Victorię, wydało im się podejrzane. Po tym, co zrobił przed chwilą, nie mieli już żadnej wątpliwości, że posiada rzadki i bardzo niebezpieczny dar. Nie był to jednak najlepszy moment na wyjaśnienia i Szalony przeszedł do zadawania pytań, a Iryk je tłumaczył.

— Czy na drodze do Peachsout możemy natrafić na więcej waszych patroli?

— W promieniu jednego dnia drogi nie ma naszych oddziałów. Z dużym prawdopodobieństwem dotarcie do Peachsout nie napotkawszy na żaden patrol — odparł szaman.

— Co zrobiliście z pojmanymi mieszkańcami Krańców?

— Zostali wysłani w głąb dżungli.

— W jakim celu?

— Posłużą nam w wojnie z Loherbemm. Będą dla nas walczyć lub wykorzystamy ich krew.

Głupcy zrobili wielkie oczy. Nigdy nie pomyśleliby, że Pierwotni zechcą wytoczyć wojnę Loherbemm, które było militarną potęgą.

— Jak duża jest wasza armia? Ta, którą chcecie zaatakować Loherbemm.

— Dokładnie nie wiem. Około stu tysięcy niewolników, pięćdziesiąt tysięcy zwierzaków i trzydzięci tysięcy Czystych, w tym trzy tysiące szamanów. Oprócz tego zjednoczona flota Byhrid i Piratów Słodkich Wód. No i bestie.

Marynarze nie wierzyli własnym uszom. Podane przez szamana liczby były ogromne.

— Kiedy zamierzacie zaatakować?

— Tego też nie wiem. Przypuszczam, że w połowie przyszłego roku. O wszystkim zadecyduje Władca Wojny.

Iryk powtórzył zaklęcie uspokajające na wszystkich wojownikach, co kompletnie pozbawiło go sił i musiał oprzeć się na jednym z marynarzy, by się nie przewrócić. Szalony chciał zadać jeszcze wiele pytań, lecz nie mieli na to czasu. Pozwolił sobie tylko na jedno, ostatnie.

— Czy wasze bestie będą nas słuchać, gdybyśmy zechcieli na nich podróżować?

— Tak. Koribale słuchają każdego, kto ich dosiądzie. Do tego kieruje się nimi intuicyjnie, tak jak dobrym koniem.

Głupcy popatrzyli na kapitana takim wzrokiem, jakby zapomnieli, jaki nosi przydomek. Jego pomysł był zwariowany, ale ich jedyną alternatywą było zabicie Pierwotnych, co zaproponował jeden z marynarzy i na co kategorycznie nie zgodził się Iryk. Nikt nie ośmielił się negocjować z mnichem, więc po chwili Głupcy zajęli miejsca Pierwotnych na grzbietach ich włochatych bestii. Victoria, zbyt mała i wystraszona, by samej kierować hybrydą, zasiadła w jednym siodle razem z Irykiem.

Gdy wszyscy byli już gotowi do jazdy, mnich polecił Pierwotnym zacząć biec w kierunku Testegaab. Osłabiło go to tak bardzo, że gdyby nie czujność Pierwszego, który dosiadał sąsiadniej bestii, runąłby na ziemię. Jeden z marynarzy pomógł oficerowi przytrzymywać mnicha i bez dalszej zwłoki dziewczątka koribali ruszyła na południe. Dziesiąty, pozbawiony jeźdźca, przez chwilę stał, zastanawiając się co zrobić, po czym potruchał za resztą hybryd.

Rozdział osiemnasty – Namešda

Drugi dzień dziewiątego obiegu Białego Karła. 267 dzień roku. Byhrid. Ranek.

Przez ostatni tydzień Byhrid żyło zbliżającymi się igrzyskami. Na ulicach, w chatach, wśród straganów Wielkiego Rynku nie rozmawiano o niczym innym. W przeciwnieństwie do Wielkiego Turnieju, który Lotherbemczycy rozgrywali co roku, zawody dzikich nie odbywały się regularnie. Organizowano je przy okazji ważnych wydarzeń, a teraz takim wydarzeniem był powrót Tazaara i objęcie przez niego władz na kolejnych pięć lat.

Kult siły i zdolności bojowych oraz stosunkowa łatwość ich weryfikacji sprawiały, że jedyną dyscypliną igrzysk były walki. Rozgrywano je w trzech kategoriach. Mieszańcy walczyli wręcz pomiędzy sobą, Czyści, uważający się za lepszych, zmagali się w swoim gronie przy użyciu broni, a dodatkowo aranżowano również starcia dzikich zwierząt. Nie było konkursów talentu i piękności, tak popularnych na północy. Gusta, upodobania i talenty mieszkańców lewobrzeżej części Byhrid były po prostu zbyt zróżnicowane, zaś wybieranie najładniejszej żeńskiej hybrydy również mogłoby okazać się dość kłopotliwe.

Na głównej arenie, zwanej Odkrywką, przy udziale stutysięcznej widowni, ścierało się ze sobą jedynie szesnastu najlepszych zawodników. Dotyczyło to zarówno turnieju mieszkańców, jak i ludzi. Chętnych do startu było oczywiście znacznie więcej, więc najpierw każde z plemion we własnym zakresie musiało przeprowadzić eliminacje. W zmaganiach hybryd udział brały Kotowaci, Psowaci, Naczelnici, Niedźwiedziowaci oraz Gadziny, a każda z tych grup mogła wystawić po trzech zawodników. Ostatnie, szesnaste miejsce w turniejowej drabince przypadało w udziale Spaczonym. Ludzie-ptaki i Wodniacy nie uczestniczyli w walkach, gdyż ze względów anatomicznych nie mieli żadnych szans.

Eliminacje Leżyska trwały dwa dni, albowiem zgłosiło się przeszło pięćdziesięciu zawodników. Wśród nich znalazło się kilkunastu uczniów Treya i to właśnie dwójce z nich udało się zakwalifikować do turnieju głównego. Trzecim kotołakiem, który dokonał tej sztuki, był przywódca Jaguarowatych – Sly. Trey nie próbował swych sił, choć wielu go do tego namawiało.

Wreszcie nadszedł pierwszy dzień igrzysk, na który zaplanowano starcia zwierząt. Mimo iż Odkrywka była największą areną Miliphen, liczba chętnych do oglądania zmagań kilkukrotnie przekraczała liczbę miejsc na widowni. Najbardziej zdeterminowani koczowali przed obiektem już od momentu, gdy rozeszła się wieść o powrocie Tazaara. Trey miał to szczęście, że nie musiał stać w długiej na kilka mil kolejce do wejścia, gdyż dzięki uprzejmości Eda miał zarezerwowane miejsce w specjalnej loży przeznaczonej dla najznamienitszych kotołaków.

Zawody rozpoczęły się dwie godziny po ustaniu zenitalnych deszczy, tak aby piasek arenę zdążył należycie wyschnąć. Trey wraz z Edem, Slyem i innymi najważniejszymi przedstawicielami Leżyska wyruszyli odpowiednio wcześnie, przewidując, iż przeprawa przez

rzekę może zająć więcej czasu niż zazwyczaj. Nie mylili się. Mimo iż w celu zwiększenia przepustowości mostu na czas igrzysk całkowicie zablokowano ruch statków, tłum próbujących dostać się na drugą stronę rzeki przetaczał się przezeń w iście żółwim tempie. Gdy znaleźli się na drugim brzegu, odłączyli się od motłochu i lekko okrężną drogą skierowali się do wejścia dla ważnych osobistości.

Kiedy znaleźli się na miejscu, Trey zrozumiał, skąd wzięła się nazwa areny. Odkrywka na dobrą sprawę nie była budowlą, lecz wielkim dołem w ziemi o kształcie ściętego stożka. Na jego samym dnie znajdował się plac zmagań otoczony rozszerzającą się ku górze widownią. Najlepsze miejsca zostały oczywiście przeznaczone dla Czystych, powyżej nich rozciągały się okręgiem, nie aż tak luksusowe, ale wciąż wygodne loże dla hybrydzich oficjeli, a dalej, aż do powierzchni, piętrzyły się wyłożone kamiennymi płytami rzędy siedzisk dla pospolitego.

Po kilku kolejnych kwadransach arena wypełniła się już całkowicie i można było rozpocząć zawody. Wokół placu boju ustawiono rzeźbione w drewnie totemy przedstawiające zwierzęcych patronów każdego z plemion mieszańców: mocarnego goryla, potężnego niedźwiedzia, chyżego ogara, krokodyla z ogonem zakończonym głową kobry, a także kota o ciele tygrysa, grzywie lwa oraz cętkach jaguara i lamparta.

Był jeszcze jeden totem, który nie tylko na Treya robił największe wrażenie. Straszliwa abominacja, zwana Królową Roju, reprezentowała Spaczonych. Z jej rozdętego korpusu o czterech parach nabrzmiących piersi wyrastała płatana zwierzęcych łap, ludzkich rąk, macek, skrzydeł, szczypiec oraz innych rodzajów kończyn. Głowa miała cztery twarze, a właściwie to mordę, ryj, pysk i dziób. Zabójca miał nadzieję, że maszkara jest jedynie wymysem czyjejś chorej wyobraźni, a nie odwzorowaniem stworzenia, które faktycznie mogło istnieć.

Gdy uporano się już z rozstawianiem totemów, na arenę wprowadzono zwierzęta mające wziąć udział w widowisku. Znaczną większość z nich wniesiono w klatkach. Prezentowano je w parach, w których miały walczyć. W odróżnieniu od zawodów ludzi i ludzkich hybryd, w tej kategorii nie było drabinki turniejowej, gdyż wiele zwierząt już po pierwszym starciu okazywało się zbyt okaleczonych, by był sens kazać im walczyć po raz kolejny. Poza tym bestie za bardzo różniły się pod względem rozmiarów i zachowanie odpowiedniego poziomu emocji w kolejnych rundach zmagań byłoby niemożliwe. Dzień rozpoczynający igrzyska stanowił więc jedynie przystawkę do dania głównego: starć człekokształtnych.

Organizacją igrzysk zajmowali się Czyści i to oni decydowali, jakie zwierzęta będą ze sobą walczyć. Wbrew pozorom nie było to zadanie łatwe, bowiem władzom I'rrever'te zależało nie tylko na dostarczeniu widowni dobrej rozrywki, lecz także na tym, by żadna z grup hybryd nie czuła się pokrzywdzona czy upokorzona. Jednak tym razem chyba popełniono błąd, gdyż nawet zwycięstwo wężowija – hybrydy czerwonoogonowego boa i olbrzymiej skolopendry – nad sprowadzonym z daleka wilkiem nie załagodziło wstydu Wężowatych, jaki spowodowała porażka

reprezentującego ich pytona w walce z pawianem. Sama przegrana byłaby dla Gadzin do zniesienia, lecz przez całe starcie nieprzejawiająca żadnego strachu małpa stroiła sobie ze swojego przeciwnika żarty, wypinając w jego kierunku swój czerwony zad i obrzucając piachem arenę. W końcu znudzony bezradnymi atakami węża pawian zatopił w jego łbie swe potężne kły i uśmiercił, nim ten zdążył pochwycić go w śmiertelnym uścisku.

Z rozstrzygnięcia pojedynku nawet bardziej od Naczelnego cieszyły się kotołaki, które wciąż miały z Oślizgami na pieńku. Dla samych Sierściuchów, jak przezywali ich inni, rozgrywki okazały się nad wyraz satysfakcyjne. Tygrysowi udało się pokonać znacznie większego niedźwiedzia brunatnego, a w walce wieczoru kroguar nie dał żadnych szans gargulcowi Spaczonym, któremu zawczasu okaleczono skrzydła, by nie mógł odfrunąć z areny. Wyglądało na to, że Czystym zależy na dobrych nastrojach Kotowatych, w których pokładali duże nadzieje w związku z planowanym atakiem na Lotherbemm.

Treyowi najbardziej podobał się pojedynek ratela z aligatorem. Nieznany mu dotąd zwierzak przypominający borsuka, choć kilkakrotnie mniejszy od swego przeciwnika, przejawiał niesamowitą waleczność. Nie posiadał przesadnie dużych kłów, więc miał spore problemy z pancerzem gada, jednak nie ustępował w atakach. Choć sam kilka razy znalazł się w tarapatach, zawsze udawało mu się z nich wykaraskać i ostatecznie wywrócić przeciwnika na plecy. Odsłonięty brzuch aligatora nie był już tak trudny do spenetrowania, jak jego grzbiet, i niewielki ssak wypruł mu flaki. Będąc pod wrażeniem odwagi i bitności ratela, Trey zaczął zastanawiać się, dlaczego do tej pory nie spotkał żadnego mieszańca skrzyżowanego właśnie z tym zwierzęciem.

Wszystko wyjaśnił mu Ed:

— Nasi szamani dostrzegli potencjał ratela już przed wiekami. Stworzyli nawet trochę hybryd, jednak przeszkołały w rozwoju ich plemienia okazał się niepohamowany apetyt, jaki przejawiają te małe skurczybyki. Nawet nie masz pojęcia, ile potrafią zeżreć. Ich mieszańce niestety dziedziczą tę przypadłość. Próbowano różnych zabiegów, by zmniejszyć ich żarłoczność, lecz bez rezultatów. Po tym, jak pewnego razu trójka ludzi-rateli włamała się do miodosytni niedźwiedziółaków i w pijackim widzie zniszczyła zapasy tego, co Miški lubią najbardziej, wygoniono z Byhrid wszystkich przedstawicieli tej hybrydy. Ponoć kilka osobników przetrwało do dzisiaj, ale ja nigdy żadnego nie spotkałem i nie znam nikogo, kto by spotkał.

Po zakończeniu ostatniej walki publiczność zaczęła powoli opuszczać Odkrywkę. Niektórzy byliby gotowi nocować na trybunach i strzec ciężko wywalczonych miejsc, lecz na to nie pozwalano. Kiedy tłum się nieco przerzedził, Trey i inne zasiadające w loży kotołaki również ruszyli do wyjścia. Gdy znaleźli się na zewnątrz, ich oczom ukazał się niesamowity widok.

Wokół arenę, szerokim na kilkaset jardów okręgiem, rozpościerały się tysiące namiotów, wzniecionych przez tych, którym nie było dane oglądać widowiska. Choć dopiero zaczynało się ściemniać, rozpalano już pierwsze ogniska. Leniw jak każdy kot Ed zasugerował towarzyszom, by

nie wracali do odległego Leżyska i również spędzili tutaj noc. Wszyscy chętnie przystali na tę propozycję. Jedynie Sly postanowił wrócić do domu i przygotować się psychicznie przed czekającymi go pojedynkami. Nazajutrz Trey żałował, iż nie poszedł razem z nim.

Tymczasowe obozowisko celebrowało igrzyska do białego świtu. Były tańce i śpiewy, jadło i napitek. Z namiotów dobiegały jęki ekstazy, a najmniej wstydliwi i najbardziej pijani, nie dbając o nic, spółkowali na widoku. Około północy plemiona rozpoczęły rywalizację o to, które z nich będzie zachowywać się najgłośniej. Nieustające przez wiele godzin krzyki, ryki i wycie nie pozwoliły wiecznie czujnemu zabójcy na zmrużenie oka. Nad ranem Trey czuł się tak wyczerpany walką o sen, że byłby gotów zabić osobę, która zapoczątkowała durną zabawę w przekrzykiwanie. W końcu nie pozostało mu nic innego, jak uchlać się w trupa. Opróżnił duszkiem dzban miodu i raz jeszcze ułożył się koło dogasającego już ogniska. Błogi sen nadszedł po dwóch kwadransach.

Obudził się dopiero w południe, za sprawą Eda. Tygrysołak nie chciał, by Trey leżał na ziemi, gdy zacznie się ulewa. Mimo iż kac domagał się choćby pięciu minut snu więcej, zdrowy rozsądek zwyciężył i zabójca usłuchał rady przyjaciela. Nim rozpadało się na dobre, zdążył jeszcze zjeść śniadanie. Posiłek i ciepły deszcz okazały się efektywnym lekarstwem na obolałą od alkoholu głowę. Kiedy ponownie znaleźli się na trybunach Odkrywki, czuł się już całkiem dobrze.

Publiczność była zdecydowanie bardziej podekscytowana niż dzień wcześniej. Cekały ich dwie pierwsze rundy turnieju mieszkańców, w sumie dwanaście pojedynków. Dyskutowano o tym, kto ma największe szanse na zwycięstwo, a bukmacherzy przyjmowali zakłady. Ich faworytami byli Naczelnici, którzy wystawili trójkę przeraźliwie silnych ludzi-goryli. Jako ewentualnego triumfatora typowano też jednego z niedźwiedziołaków, odznaczającego się nietypową wśród jego pobratymców agresywnością. Pozostałym uczestnikom nie wróżono specjalnych sukcesów.

Wszyscy czekali zniecierpliwieni i żądni wrażeń, lecz mimo iż pora była już odpowiednia, zawody się nie rozpoczęły. Winnym opóźnienia okazał się sam Tazaar. Nowy władca Byhrid, nieobecny podczas pierwszego dnia igrzysk, wraz ze swoją świętą zjawił się na arenie godzinę po planowanym starcie imprezy. Mimo iż nie zapowiedział go żaden herold, widownia szybko zorientowała się w sytuacji i na Odkrywce zapanowała całkowita cisza. Zadowolony oddanym mu szacunkiem Tazaar, odwzajemnił się lekkim skinięciem głowy, a następnie, zwróciwszy się w kierunku sędziów odpowiedzialnych za przebieg zawodów, walnął się pięścią w pierś, wyciągnął rękę przed siebie i ryknął:

— Zaczynać.

Tłum zaczął klaskać i wiwatować, a władca zajął wreszcie swoje miejsce. Trey, który zasiadał stosunkowo blisko królewskiej loży, miał okazję dobrze mu się przyjrzeć. Tazaar wyróżniał się wzrostem i muskulaturą nawet na tle swych ochroniarzy, których rekrutował spośród najpotężniejszych wojów Dżungli. Miał dopiero dwadzieścia cztery lata, lecz

pokrywające całe plecy i ramiona tatuaże dzikich bestii oraz wysoki na stopę, czarno-czerwony irokez nadawały mu groźnego wyglądu. Oprócz straży przybocznej towarzyszyła mu jedynie Verdish. Pozostali dycygnitarze Czystych siedzieli na tyle daleko, że rozmowa z nimi byłaby utrudniona.

Otwarto wrota prowadzące na plac boju. Po chwili na arenie pojawiła się szesnastka śmiałków. Ustawili się pod swoimi totemami i pośród krzyku tłumu oczekiwali na losowanie par pierwszej rundy zawodów. Zadanie to należało do sędziów, a jedynym ograniczeniem była zasada, podług której przedstawiciele jednego plemienia mogli spotkać się ze sobą najwcześniej w półfinale.

Szybko okazało się, że Sly, któremu Trey kibicował najgoręcej, będzie walczyć już w pierwszym pojedynku. Emocje potęgował fakt, że na jego przeciwnika wylosowano jedną z Gadzin. Gdy wszystkie procedury dobiegły końca, pozostała czternastka uczestników zniknęła z powrotem w mroku bramy prowadzącej do podziemi Odkrywki.

Na znak głównego arbitra na arenie ponownie zapanowała cisza. Odziany w białe szaty, tysy mężczyzn objaśniły zebranym bardziej proste zasady pojedynku. Zabraniano atakowania oczu, uszu i genitaliów rywala, wszystkie pozostałe chwyty były dozwolone. Zawodnicy skinęli głowami, potwierdzając, że zrozumieli, i rozpoczęli walkę.

Arena znów wypełniła się wrzawą tysięcy dopingujących głosów. Wojownicy przez krótki czas, który widowni wydawał się dłużyć w nieskończoność, krążyli wokół siebie, oceniając przeciwnika i dopatrując się jego słabych stron. Sly musiał szczególnie wystrzegać się ugryzień Oślisza, gdyż ten należał do klanu Żmij i był jadowity. Wreszcie kotołak ruszył do ataku. Był szybszy i silniejszy, a na dodatek posiadał długie pazury oraz całkiem pokaźne kły. Zasypał konkurenta gradem ciosów, powodując liczne szramy na jego pokrytym łuską ciele. Gadzina próbowała pochwycić Slya i użyć swego paralizującego jadu, lecz ten był zbyt zwinny. Przy pierwszej dogodnej okazji faworyt Kotowatych obalił Żmija na ziemię i go dosiadł. Po chwili szamotaniny obrócił rywala na plecy, wykręcił mu ręce i chwycił szczęką za kark. By zachować życie, skrępowana Gadzina musiała odklepać przegraną ogonem. Sly miał ochotę uśmiercić reprezentanta znienawidzonego plemienia, ale jeszcze bardziej pragnął wygranej w turnieju, więc odpuścił. By formalności stało się zadość, sędzia oznajmił wygraną Slya. Cała walka nie trwała dłużej niż pięć minut i była jednostronna, więc spora część widzów narzekała na brak wrażeń. Nie dotyczyło to Treya, który nigdy wcześniej nie oglądał żadnego turnieju i ekscytował się znacznie bardziej niż podczas wykonywania misji dla Arad úš.

Kolejne potyczki były bardziej lub mniej wyrównane, lecz ostatecznie w każdej wygrywał zawodnik, któremu bukmacherzy dawali większe szanse. Do drugiej rundy przeszła cała trójka Naczelnego, dwa niedźwiedzie, Spaczony oraz jeden z uczniów Treya, który bez problemów pokonał Kundla. Trzeci z kotołaków musiał zmierzyć się z typowanym na zwycięzcę całego

turnieju Gorylowatym. Choć walczył dzielnie, przegrał, odnosząc przy okazji całą masę paskudnych kontuzji. Ed i reszta Kotowatych była wściekła, gdyż człowiek-goryl ewidentnie bawił się ze swym przeciwnikiem, specjalnie zadając mu ból, zamiast zakończyć pojedynek jak najszybciej.

Przed drugą rundą zarządzono dwugodzinną przerwę, by tłuszczu mogła się pożywić, a zawodnicy mieli czas na odpoczynek. Ed nie pierwszy już raz wykazał się hojnością i zamówił dla całej kociej loży surowe ryby oraz beczulkę wina. Konsumowali, dyskutując o tym, co wydarzyło się do tej pory, i o tym, co miało dopiero nastąpić. Ze zrozumiałych względów najwięcej dywagowali o kolejnym pojedynku Slya. Jaguarowatego czekało starcie ze Spaczonym, który gładko pobił Kundla o aparycji buldoga. Maszkara zagwarantowała sobie zwycięstwo ciosami długiego, zakońzonego kostnym zgrubieniem ogona. Kilka celnych uderzeń tak straszliwie obiło nogi Psowatego, że ten nie był w stanie ustać i musiał się poddać. Towarzystwo miało różne pomysły odnośnie taktyki, jaką powinien obrać ich faworyt, i gdyby Ed nie kazał im się uspokoić, nieskore do kompromisów kotołaki przedzej czy później same przeszłyby do rękczych.

Gdy przerwa dobiegła końca, Sly ponownie wkroczył na plac boju. Loża Treya powitała go gromkimi brawami i krzepiącymi okrzykami. Wojownik Spaczonych, za którymi większość mieszkańców Byhrid nie przepadała, zmierzał ku swojemu oponentowi w asyście ogłuszających gwizdów. Niechęć widowni skwitowała złowrogim klaśnięciem mocarnych szczypiec, w które uzbrojona była jego prawa ręka. Lewa wyglądała w miarę zwyczajnie, lecz stopy miał niczym kogut, z trzema palcami skierowanymi do przodu, jednym do tyłu oraz wyrastającą nieco wyżej ostrogą. Twarz miał całkowicie normalną, ludzką, co tylko nadawało jego wizerunkowi dodatkowej groteskowości.

Sly rozpoczął identycznie jak w swoim poprzednim pojedynku, krążąc wokół przeciwnika i zastanawiając się, jak go podejść. Spaczony, któremu groźny ogon zapewniał przewagę zasięgu, czekał cierpliwie, od czasu do czasu markując uderzenie. Kotołak zdecydował się na walkę w zwarciu. Ruszył do ataku, lecz zwinny rywal nie pozwalał się pochwycić i skarcił go kilkoma potężnymi uderzeniami ogona. Obolały kotołak wycofał się, by przemyśleć taktykę, jednak wyczuwająca jego chwilową słabość maszkara sama przeszła do ofensywy, nie dając mu czasu na odpoczynek. Nękany ciosami, które miały wykluczyć jego nogi, Sly postawił wszystko na jedną kartę, wyczekując odpowiedni moment i całym ciałem rzucił się na zbliżający się ze świstem ogon. Udało mu się go złapać oraz uniknąć błyskawicznego ataku ostrych niczym brzytwa szczypiec.

Sytuacja się odwróciła i teraz to Spaczony zdawał się bezradny. Muskularny kotołak próbował nawet zakrącić rywalem w powietrzu, jednak nie był aż tak silny, więc tylko szorował nim po piasku arenę ku ucieczce tłumu. Wreszcie, by uniemożliwić oponentowi ucieczkę, zaciągnął go pod ścianę, puścił ogon i rzucił się na niego z przerażającą furią. Szamotanina trwała krótko.

Spaczonemu udało się obciąć końcówkę puszystej kity Slya, lecz ten w ogóle się tym nie przejął. Wykorzystując swe zapaśnicze umiejętności, wymusił poddanie przez duszenie.

Trybuny wrzały w zachwycie nad, jak dotąd, najbardziej widowiskową walką, a jej zwycięzca otrzymał owacje na stojąco. Emocje powoli opuszczali Treya i kotołak zaczął zastanawiać się, czy Slyowi, który był hybrydą od urodzenia, odrośnie ogon, tak jak to miało miejsce w jego przypadku. Zwrócił się ze swoimi wątpliwościami do Eda, a ten zaprzeczył.

Lider Jaguarowatych został prędko opatrzony przez szamanów czuwających nad zdrowiem uczestników turnieju i w znakomitym nastroju dołączył do towarzyszy zajmujących kocią lożę, jeszcze zanim rozpoczął się kolejny ćwierćfinał. Dumny z wygranej, z zadowoleniem przyjmował gratulacje i żartował z odniesionej rany. Po chwili zabrał się za ryby, których jeszcze trochę zostało. Przerwał jedzenie, kiedy na arenę wkroczyli kolejni wojownicy, z których jeden miał być jego następnym przeciwnikiem.

Bukmacherzy okrzyknęli ten pojedynek przedwczesnym finałem, gdyż naprzeciw siebie stawali najpotężniejszy Naczelnny i niedźwiedziołak. Oczekiwania publiczności były więc wysokie, lecz szybko okazało się, że niesłusznie. Prowadzonej w stójce walce brakowało finezji i dynamiki. Mocarne mieszańce przez krótki czas okładały się nawzajem pięściami, aż wreszcie niedźwiedziołak otrzymał potworne uderzenie w podbródek. Lekko zamroczony, nie był w stanie skutecznie się bronić, co zostało bezlitośnie wykorzystane przez jego rywala. Małpolud wyprowadził serię ciosów, które ostatecznie zakończyły starcie. Nieprzytomnego niedźwiedziołaka z areny musiało znosić czterech Czystych.

Mimo iż walka była statyczna i trudno było na jej podstawie wnioskować o rzeczywistych umiejętnościach Gorylowatego, Trey zaczął obawiać się o Slya. Na całe szczęście on sam wydawał się niewzruszony i jak gdyby nigdy nic, wrócił do pałasowania surowej ryby.

Pozostałe dwa ćwierćfinały przebiegały bardzo podobnie do ostatniego. W obydwu z nich zwyciężką także okazali się Naczelní, a ich oponenci, kolejny niedźwiedziołak oraz drugi z uczniów Treya, również zostali brutalnie obici. Wyglądało na to, że Małpoludy lubią się w przemocy i za nic mają zdrowie innych.

Pierwszy dzień zmagań hybryd dobiegł końca. Trey, mądrzejszy o wydarzenia poprzedniej nocy, wraz ze Slyem i niewielką grupką wymęczonych kotołaków wrócili na nocleg do Leżyska. Wydostanie się z terenu wokół Odkrywki, oblężonego przez setki tysięcy mieszkańców, zajęło im ponad pół godziny, gdyż musieli kluczyć w morzu namiotów oraz opędzać się od zachęcających ich do wspólnej zabawy, odurzonych alkoholem i ziołami, nieznajomych.

Choć na co dzień mieszkańcy Byhrid żyli w hermetycznych gatunkowo plemionach, podczas igrzysk większość barier zanikała i przy odrobinie szczęścia można było ujrzeć imprezujące razem gromadki Sierściuchów i Kundli bądź Gadzin i Naczelnich. Po przekroczeniu Zamony wkroczyli w inny świat. Lewostronna część miasta, zazwyczaj hałaśliwa i zatłoczona,

teraz zdawała się wymarła. Zabójca, który nie lubił zgiełku tłumu, żałował, że igrzyska nie mogą trwać dłużej.

Wypoczęci, choć podnieceni zbliżającymi się wielkimi krokami decydującymi starciami, wrócili nazajutrz na arenę odpowiednio wcześnie, tak by Sly miał czas się przygotować. Tym razem Tazaar się nie spóźnił i można było rozpocząć o zaplanowanej porze.

Emocje, nie tylko w loży kotołaków, sięgały zenitu. Gdy arbiter zaanonsował pierwszą parę półfinalistów, okazało się, że większość zebranych na Odkrywce kibicuje kotołakowi. Nie chciano, by finał znów rozegrał się pomiędzy dwoma Naczelnymi, co od wielu lat było normą, a dodatkowo Sly zaskarbił sobie przychylność widowiskowym stylem swej walki. Trey zaciskał kciuki tak mocno, że gdyby nie pokrywało ich beżowe futro, byłyby całkiem sine.

Rozpoczęli spokojnie. Sly nie chciał wdać się w wymianę razów z dużo większym i silniejszym przeciwnikiem. Jego plan był prosty, choć trudny do zrealizowania: zdenerwować rywala, uśpić jego czujność i spróbować dobrać się do jego pleców. Zręcznie unikał potężnych pięści Gorylowatego, tylko sporadycznie próbując samemu wyprowadzać niskie kopnięcia. Grubokościasty Małpolud nie dbał o nie, jednak z każdą chwilą stawał się bardziej pojedytny. W końcu miał dość zabawy w berka i przypuścił błyskawiczną szarżę.

Baczny Sly tylko na to czekał. W ostatnim momencie uskoczył rywalowi z drogi i znalazł się za nim. Wskoczył na mocarza, oburącz chwycił go za szyję, wgryzł się w kark, a nogami uzbrojonymi w długie pazury, w typowy dla Kotowatych sposób zaczął rozorywać mu dolną część pleców. Naczelnego zawył z bólu tak przeraźliwie, iż spora część obserwatorów pomyślała, że jest już po walce. Nie mogli mylić się bardziej. Człowiek-goryl wpadł w szal. Najpierw próbował zrzucić Syla rękoma, ale ten był uczepony zbyt mocno. Potem zaczął wierzgać niczym szalony koń, lecz i to nie przyniosło rezultatów. W akcie desperacji, ważący przeszło dwadzieścia pięć kamieni wojownika, wybił się z całej siły w górę, obrócił w locie i wylądował na plecach, zgniatając uczeponego nich kotołaka. Kiedy mrożący krew w żyłach dźwięk łamanych kości już przebrzmiał, na Odkrywce zapadło milczenie. Ociekający juchą Gorylowaty wstał z leżącego pod nim Syla i przy pomocy rąk próbował ocenić głębokość ran, jakie otrzymał. Był przekonany, że jego przeciwnik się już nie podniesie i tylko czekał, aż arbiter ogłosi jego zwycięstwo.

Wtem, ku ogólnemu zdziwieniu i zachwytoni, człowiek-jaguar dźwignął się z ziemi. Loża Naczelnego zaczęła wrzeszczeć, próbując ostrzec swojego zawodnika, ale ten zareagował za późno. Sly ponownie użył tej samej techniki. Sekundę później znów rozsarpywał grzbiet przeciwnika. Zaskoczony Małpolud również spróbował pozbyć się upartego wroga tak jak poprzednio, lecz tym razem kotołak wiedział, czego się spodziewać, i odskoczył na czas.

Zwalisty mieszaniec nie przewidział takiego zachowania, w związku z czym przeciągnął obrót i runął na plac głową. Rozległo się głucho chrupnięcie, a następnie świszący, cichy jęk. Gorylowaty podparł się rękoma i próbował wstać, lecz nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Był

sparaliżowany od pasa w dół. Skonsternowany Sly nie wiedział, czy ma kontynuować pojedynek. Stał, dysząc płytko, bowiem większość żeber miał połamaną.

— Walcz, tchórzu — zawył rozpaczliwie Naczelnny, wyciągając w jego kierunku zaciśniętą w pięść dłoń.

Sly spojrzał na arbitra, który sam nie bardzo wiedział, jak postąpić. Ostatecznie wzruszył ramionami, zezwalając na dalszą walkę. Kotołak niechętnie podszedł do rywala, wokół którego pomału rozrastała się kałuża krwi. Szturchnął go delikatnie w nogę, by upewnić się, że rzeczywiście jest sparaliżowany. Gorylowaty próbował obrócić się w jego kierunku, lecz sił ubywało mu z każdą sekundą. Nie chcąc przedłużać jego cierpienia, Sly ujął potężne ramię Małpoluda i odklepał nim trzykrotnie o ziemię. W innych okolicznościach takie zachowanie oczywiście nie zakończyłoby walki, niemniej sędzia pojął, co kierowało Slyem, i ogłosił jego zwycięstwo.

Bliskiego śmierci Naczelnego z areną znosiły te same osoby, które wcześniej pomagały jego rywalowi z ćwierćfinału. Ktoś inny przybiegł z grabiami i starał się zasypać piaskiem czerwoną plamę, jaka po nim pozostała. Sly już po raz drugi został nagrodzony owacjami na stojąco. Był to jeden z najszczęśliwszych momentów w jego życiu. Chwilę potem skurczył się w spazmie bólu, splunął krwią i osunął bezwładnie na ziemię. Ed nie zastanawiał się, czy w podziemiach Odkrywki czeka więcej gotowych do pracy porządkowych. Nie bacząc na przekleństwa rzucane przez potrąconych Czystych, w kilku susach przedostał się do pierwszego rzędu trybun, po czym zeskoczył na plac. Podbiegł do przyjaciela i z trudem dźwignął go na ręce. Moment później Trey przybył mu z pomocą. Razem zabrali bohatera Leżyska w mrok wrót areny.

Całą trójce kotołaków nie było dane obejrzeć drugiego półfinału. Niewiele stracili. Biorący w nim udział Naczelní, jeszcze niedawno przekonani, że o zwycięstwo w turnieju przyjdzie im się zmierzyć z pobratymcem, teraz nie mieli pewności, czy finał w ogóle się odbędzie. Na wszelki wypadek postanowili więc nie walczyć na poważnie, tym bardziej, że byli kuzynami i znali się od małego. Przy pomocy dziecięcej wyliczanki zawczasu ustalili, który z nich ma wygrać, odstawili dość kiepskie przedstawienie imitujące pojedynek, po czym oczekiwali na dalszy rozwój wydarzeń. Ostatni rozdział zawodów hybryd miał rozpocząć się za dwie godziny.

Mimo iż to Sly okazał się triumfatorem walki z Gorylowatym, rokowania szamanów odpowiedzialnych za pomoc zawodnikom były bardziej optymistyczne w przypadku tego drugiego. Naczelný co prawda był sparaliżowany, jednak jego życiu nie zagrażało niebezpieczeństwo i z ewentualnym rytuałem mającym przywrócić mu władanie w nogach można było poczekać. Kotołak natomiast miał połamane żebra i wybite oraz uszkodzone kilka kręgów piersiowych. Jednakże najgorszy był krwotok z płuc. Niezbędny okazał się natychmiastowy przeszczep duszy. Kotołaki trzymały na tego typu konieczność kilka wielkich,

dzikich kotów, lecz Leżysko było oddalone o dwie godziny drogi, a nikt nie wiedział, ile czasu pozostało Slyowi.

Naradzano się krótko. Postanowiono, że nie ma innego wyjścia, niż zabrać go do dzielnicy Kotowatych i tam przeprowadzić rytuał. Szybko zebrano liczną grupę silnych osób, które miały nieść nosze na zmiany i ruszono w drogę. Opuszczali już Odkrywkę, kiedy Sly, który dosłownie przed momentem odzyskał przytomność, znienacka złapał rękę truchtającego obok Treya.

— A ty dokąd? — wydusił z wysiłkiem.

— Zabieramy cię do domu — odpowiedział Trey przekonany, że ranny przyjaciel nie wie, co się dzieje.

— Dadzą radę. — Sly omiótł wzrokiem gromadę towarzyszących im kotołaków. Oszczędzał słowa, gdyż każde sprawiało mu ból. — Finał. Musisz walczyć.

Zaskoczony Trey spojrzał w oczy biegnącego po drugiej stronie noszy Eda. Tygrysołak przez dłuższą chwilę ważył słowa, by w końcu zabrać głos.

— Jeśli zwycięzca walki nie jest w stanie dalej uczestniczyć w turnieju, jego plemię może wyznaczyć zastępcę. Wybór Slya jest oczywisty: nie mamy nikogo lepszego od ciebie. Uważam jednak, że wystarczy nam wrażeń na dzisiaj i najlepiej będzie, jeśli damy sobie z tym spokój. Niech Małpoludy walczą same ze sobą.

— Nie pierdol — skwitował Sly, po czym zwrócił się ponownie do Treya. — Wygraj. Dla mnie.

Zabójca nie miał ochoty walczyć, ale ciężko jest odmówić komuś, komu z ust wycieka strużka jasnoczerwonej, spienionej krwi. Kiwnął twierdząco głową. Sly puścił jego rękę i wraz z dźwigającą go obstawą, oddalił się w kierunku mostu, zostawiając Treya samego.

W pierwszej kolejności musiał poinformować głównego arbitra, że zamierza walczyć zamiast Slya. Dzięki udziałowi w wydarzeniach ostatnich kilkunastu minut nie miał problemów z dostaniem się do sędziowskiej loży. Mężczyzna wysłuchał go uważnie, jednak problem stanowił fakt, iż nie było nikogo, kto mógłby potwierdzić, że Trey rzeczywiście został wybrany na reprezentanta kotołaków.

Zabójca próbował tłumaczyć, że wszyscy decydenci Kotowatych pobiegli ratować Slya, lecz sędzia pozostawał nieugięty. Trey zdenerwował się dosyć szybko, co miało odzwierciedlenie w tonie jego głosu i ich sprzeczka zwróciła uwagę siedzących nieopodal Tazaara i Verdish. Siostra naprędce objaśniła bratu, kim jest awanturujący się kotołak. Wyraźnie zaintrygowany władcą Byhrid przywołał do siebie arbitra, by wypytać go o powód kłótni. Po wysłuchaniu krótkiej relacji zawyrokował, że Lotherbemmczyk może walczyć. Sędzia nie śmiał się sprzeciwiać i pospieszył powiadomić Treya o decyzji Tazaara. Arad úš podziękował królowi dzikich lekkim ukłonem, po czym się oddalił.

Zawsze przed odebraniem komuś życia, lubił się wyciszyć. Miał nadzieję, że tym razem obejdzie się bez zabijania, lecz nie mógł wykluczyć takiej opcji. Udał się w podziemia Odkrywki, znalazł odosobnione miejsce i pogrążył się w myślach.

Analizował silne strony Gorylowatych i zestawiał je ze swoimi umiejętnościami. Nagle uświadomił sobie, że już nieraz miał do czynienia z przeciwnikiem o podobnej charakterystyce. Chodziło oczywiście o Jarmisa. Niewysoki egzekutor co prawda posiadał mniejszy zasięg ramion, lecz zwinnością, a przede wszystkim siłą i wytrzymałością zdecydowanie przewyższał Naczelnego. Trey sparował z nim niejednokrotnie i choć przyjaciel nigdy nie wykorzystywał pełni swoich możliwości w obawie, że mógłby skrzywdzić kotołaka, pojedynek te nauczyły go wiele o walce z przeciwnikiem, którego każdy cios był w stanie pozbawić przytomności. Taktyka, jaką musiał przyjąć, opierała się na zachowaniu dystansu oraz metodycznym obijaniu korpusu rywala w celu pozbawienia go wytrzymałości. Nie mógł pozwolić sobie na błąd, ale trzynaście lat spędzonych w służbie Krwi zdążyło przyzwyczaić go do takiej sytuacji.

Wiedział już, co robić, wypchnął więc z głowy wszelkie myśli i postarał się zrelaksować. Cieszył się, że w nocy udało mu się porządnie wyspać. Rozluźnił mięśnie, oddychał miarowo. Czuł się zaskakując dobrze i nawet się nie spostrzegł nim minęła godzina. Usłyszawszy poruszenie na korytarzu prowadzącym na arenę, zrozumiał, że już czas. Podniósł się z ziemi i ruszył w kierunku wciąż zamkniętych wrót. Zatrzymał się obok rywala, który już pod nimi czekał. Gorylowaty był wyższy o pół głowy, znacznie szerszy w barach i potężnie umięśniony. Krótka, czarna szczecina pokrywała większość ciała z wyjątkiem pleców, na których przyjmowała kolor srebrny. Miał olbrzymie pięści, lecz kotołak widział już większe. Naczelnego przyjął groźny wyraz twarzy i wyszczerzył wyzywająco zęby. W ramach odwetu uśmiechnięty Arad úš puścił mu oczko.

Wróta się rozwarły i sędzia wywołał Małpoluda. Rozległy się gwizdy i obelgi – widownia nie zapomniała rozczarowania, jakim był drugi półfinał. Po chwili donośny głos arbitra zabrzmiął ponownie:

— Reprezentujący Kotowatych, zastępujący niezdolnego do walki przywódcę Jaguarowatych Sly'ver'tesa, człowiek-puma, Trey, przybysz z Lotherbemm.

Na trybunach zapanowała konsternacja. Zabójca wkroczył na arenę w towarzystwie niemal idealnej ciszy. Gdy dotarł do środka placu boju, zawałał:

— Ára Byhrid!¹¹

Te dwa słowa wystarczyły, by przybysz z dalekiego, wrogiego kraju zaskarbił sobie przychylność tłumu. Siedząca samotnie w opustoszałej loży kotołaków Cle'men'tin zaczęła skandować: *Lo-ther-bemmczyk*, *Lo-ther-bemmczyk*. Stopniowo przyłączało się do niej coraz

11 Chwała Byhrid!

więcej głosów, aż wreszcie moc tysięcy gardet osiągnęła poziom, który wywołuje u słuchających gęsią skórkę.

Gorylowaty miał tego dosyć. Ruszył do ataku. Mając w pamięci przebieg rywalizacji Slya z jego współplemieńcem, który uchodził za faworyta całego turnieju, nie skracał dystansu, by nie odsłonić wrażliwych pleców. Wymierzał cios za ciosem, ale nie mógł trafić chybkiego kotołaka. Trey przyjął walkę na jego zasadach, a gdy tylko natrafiała się okazja, uderzał mocno w tułów. Mijała minuta za minutą, jednak obraz pojedynku się nie zmieniał.

Razy, które początkowo nie robiły na Naczelnym żadnego wrażenia, kumulowały się coraz bardziej. Po kwadransie miał już tak obitą wątrobę, że każdy kolejny cios wywoływał potworny, kłęjący ból. Małpolud zdał sobie sprawę z tego, że musi zmienić taktykę. Wykonał kilka prób sprowadzenia walki do parteru, lecz brakowało mu już szybkości. W końcu Trey wykorzystał jeden z jego zrywów i uciekając z linii ataku, wyprowadził potężnego kopniaka z pół obrotu wprost w obolałą wątrobę. Gorylowaty zawył, upadł na piach i zaczął zwijać się z cierpienia.

Kotołak krążył wokół rywala niczym drapieżnik czekający na śmierć rannej, choć wciąż niebezpiecznej ofiary. Naczelnny próbował się podnieść, lecz każdy ruch odczuwał jak ukłucie olbrzymiej szpilki. Widzowie ponownie zaczęli skandować *Lotherbemmczyk*, *Lotherbemmczyk*, jednak sędzia znów zwlekał z przerwaniem walki. Wtem nastąpiło coś, co uciszyło tłum i wprawiło wszystkich w osłupienie.

To Tazaar wyskoczył ze swojej królewskiej loży wprost na piach arenę. Podszedł do skołowanego Treya, chwycił za rękę, uniósł ją wysoko w powietrze i potężnym, niskim głosem zawałał:

— Namešda!¹²

Zachwycona tłuszczą wybuchła rykiem głośniejszym niż wszystko, co kotołak słyszał i dopiero miał usłyszeć w swym życiu. Władca Dżungli spojrzał na zdezorientowanego Małpoluda wzrokiem, który spowodował, że ten momentalnie przewyciągnął ból i niczym sprinter uciekł w kierunku bramy. Gdy zniknął w mroku tunelu, Tazaar przemówił ponownie:

— Oto wasz zwycięzca. Oto wasz Namešda. Dał wam finał, którego nigdy nie zapomnacie. Jego walka przypomina taniec, a każdy cios trafia celu. Mało tego. Gdy po pierwszym półfinale jego przyjaciel upadł nieprzytomny, jako pierwszy ruszył mu z pomocą.

Trey od razu pomyślał, że to przecież Ed zeskoczył z trybun pierwszy, lecz nie śmiał mu przerywać.

— Ja, Tazaar, chylę dziś przed nim czoła.

Jak powiedział, tak uczynił, po czym kontynuował.

12 Pierwszy wojownik

— Niewiele jednak brakowało, byśmy nigdy go nie poznali. Prześladowany za swą odmienność, cudem zachował życie, uciekając z plugawego Lotherebemm. Ilu takich jak on wciąż cierpi pod ich jarzmem? Czy mamy bezczynnie czekać, aż nienawiść do tego, co zwierzęce, poprowadzi ich w głąb Dżungli? Nie! Mówię więc: *Dość!* Mówię: *Wojna!*

Rozdział dziewiętnasty – Koniec błazenady

Pierwszy dzień ósmego obiegu Białego Karła. 236 dzień roku. Welfare. Wieczór.

Zgodnie z przewidywaniami Roniego wyjątkowe Zgromadzenie zwołane w celu ustalenia planu działania po odkryciu spisku mającego skłocić Arad úš i Wywiad Wewnętrzny zaakceptowało to, co wymyślił wspólnie z Jarmisem i Carlem Tepucmany. Starszyzna, ze względu na podeszły wiek jej członków i związany z nim brak zdolności decyzyjnych oraz postępującą demencję, już przed paroma laty utraciła swoją przywódczą rolę na rzecz dwóch najzdolniejszych spośród młodszych zabójców. Przejęcie władzy zaszło stopniowo, samoczynnie i bezkrwawo. Po prostu z czasem pozostali członkowie Gildii zaczęli bardziej zawierzać pomysłom Jarmisa i Roniego, niż trójki zmęczonych życiem starców.

Nieszczerliwie dla bractwa, dwójka egzekutorów nie darzyła się sympatią czy choćby szacunkiem. Wzajemna niechęć była na tyle silna, iż zdarzało się, że aby zrobić sobie nałość, kłócili się na tematy, na które pierwotnie mieli wspólny pogląd. Sporadycznie prowadziło to do zerwania Zgromadzenia lub jego niepotrzebnego przedłużenia. Na szczęście większość z pozostałych zabójców potrafiła trzymać się na dystans od ich sporów i głosować w zgodzie ze zdrowym rozsądkiem. Były jednak wyjątki. Trey i Silmer nigdy nie głosowali przeciwko Jarmisowi, zaś Growar zawsze popierał Roniego.

Wobec spisku przeciwko Gildii Jarmis i Roni przejawili niespotykaną zgodność poglądów, co pozwoliło zabójcom na szybkie działanie. Już po dwóch dniach od jego wykrycia Roni, Growar, Silmer oraz Dew stanęli przed siedzibą Niesprawiedliwych, największego gangu Welfare. Na drzwiach murowanego, wyglądającego z zewnątrz na zwykły magazyn budynku widniał bluźnierczy malunek gryfa pozbawionego dziobu i z powyrywanymi pazurami.

— Ja pukam, wy gadacie — powiedział Silmer, którego rzadko opuszczał dobry humor, po czym zabębnił w dębowe drzwi.

Niesprawiedliwi nie trzymali warty tuż przed wejściem, jak robiła to większość szemranych organizacji Lotherbemm. Zamiast tego kilku oprychów kręciło się po okolicy, pozornie nie interesując się czwórką zabójców.

— Ciekawe, czy uznali nas za niegroźnych, czy wręcz przeciwnie i boją się zareagować. — Dew od dłuższego czasu przypatrywał się wyzywająco jednemu z zakapiorów, nie wywołując u niego żadnej reakcji.

— Pewnie to pierwsze. Przez nasz ubiór wyglądamy jak ci piewcy nowej wiary, którzy ostatnio łączą od drzwi do drzwi, zawracając ludziom dupę gadką o Miłosiernym. Tylko płaszcze mamy nieco za jasne — odpowiedział Silmer. Zabójcy rzeczywiście byli ubrani niemal identycznie, choć Gilda nie wymagała od swych członków, by nosili jakiś konkretny strój.

— Oni nie łążą w grupach.
— Zamknijcie się wreszcie. — Roni nie lubił, gdy ktoś go rozpraszał w czasie misji, a zwłaszcza, jeśli był to Silmer. — Ktoś idzie.

Zza drzwi dało się słyszeć ciężkie kroki. Po chwili zazgrzytała metalowa zasuwa, pełniąca rolę wizjera.

— Czego? — zachrypiął niski, nieprzyjemny głos.
— Musimy pogadać z waszym szefem. Mamy dla niego propozycję nie do odrzucenia — oznajmił Roni.
— Coście za jedni? Wydział Wewnętrzny czy po prostu zwykłe cioty?
— Baczą na słowa, kmiocie. Rozmawiasz z lepszymi od siebie. — Roni ani myślał dawać wypytywać się byle odźwiernemu, a tym bardziej tolerować jego docinki.

Zasuwa zatrzasnęła się ze zgrzytem.
— No toś mu nagadał — skomentował Silmer. — Teraz będziemy musieli...
Szpakowaty zabójca nie zdążył dokończyć, nim rozległ się kolejny szczek metalu, a zaraz potem skrzypienie otwieranych drzwi. Za nimi stał wielki, tysy drab, przerastający o pół głowy najwyższego z całej czwórki Dew. W ręku trzymał krótką, nabitą metalowymi guzami pałkę.
— Dam ci ostatnią szansę. Nadal uważasz, że jesteś lepszy ode mnie? — zapytał wielkolud, patrząc wprost w oczy Roniego.

— Jak najbardziej.
Silmer i Growar odeszli na bok, by zrobić więcej miejsca na bójkę. Dew, przez chwilę się wahając, by w końcu również się odsunąć.
— Na co jeszcze czekasz? — Roni splótł palce dłoni i wygiął je, strzelając kośćmi.
— Albo jesteś szalony, albo faktycznie nie wypadłeś sroce spod ogona. — Niesprawiedliwy zatknął pałkę za pasek. — Chodźcie, zaprowadzę was do szefa.
— Niegłupi osobnik — szepnął Silmer. — Założę się, że i u nas by się sprawdził.

Wnętrze dawnego magazynu zostało przebudowane na potrzeby gangu. Długi, kręty korytarz, wzdłuż którego ciągnął się szereg solidnych drzwi, w kilku miejscach przedzielały stalowe kraty. Klucze do niektórych posiadał tysy odźwierny, pozostałe otwierali wartownicy po ich drugiej stronie.

— Jesteśmy na miejscu — oznajmił drab, gdy doszli do końca korytarza. — Zapewne nie chcecie, bym was przeszukiwał, dlatego będziecie musieli trzymać się na pewną odległość od szefa. Dziesięć jardów powinno wystarczyć. No i trzymajcie ręce na widoku. Wiecie, kwestia bezpieczeństwa.

Zabójcy zaakceptowali warunki kiwnięciem głowy.
— Pójdę was zapowiedzieć, a wy tu zaczekajcie.

Po chwili zostali zwołani do środka. Weszli i ustawili się w szeregu, dziesięć jardów przed podwyższeniem, gdzie na tronie wyglądającym jak wykrzywiona karykatura gryfa siedział tągi mężczyznna około czterdziestki. Ubrany był w postrzępioną replikę królewskich szat, na głowie miał miedzianą koronę z pustymi otworami na klejnoty. Po jego bokach stała czwórka ochroniarzy z naładowanymi kuszami.

Okaleczony gryf będący symbolem gangu nawet podobał się Silmerowi, ale ubiór jego hersza był dla niego przesadą. Zabójca przez moment walczył z wesołością, by ostatecznie przegrać i parskać śmiechem.

- Bawi cię mój wygląd? — zapytał spokojnie grubas.
- Ależ skąd! Uważam, że idealnie odzwierciedla powagę i rangę waszej organizacji.
- Jak każda organizacja, mamy pewne zwyczaje, które mogą wydawać się niezrozumiałe, wręcz niepotrzebne, a jednocześnie będące trudnymi do wyzbycia się ze względu na to, jak głęboko zakorzeniły się w naszej tradycji. Jestem pewien, że i w Arad úš nie brakuje takich ceremoniałów.

Silmer wybałuszył oczy, po Dew i Growarze również dało się poznać zdziwienie. Jedynie Roni nie czuł się zaskoczony.

- Widzę, że macie wtyki u Synów Shal.
- Mamy wtyki w wielu miejscowościach, w tym także u Skurwysynów Shal. — Herszt ściągnął koronę i położył ją sobie na kolanach. Niewygodny atrybut władzy zostawił na jego czole różowy odcisk. — Wiadomość o waszym nieuniknionym przybyciu dotarła do mnie przed chwilą, nie miałem nawet czasu poinformować ludzi. Na szczęście strażnicy nie wdali się z wami w żadną drakę. Ponoć Skurwysyny nie uniknęły tego błędu.

- To prawda, musieliszy kilku pociąć.
- Wielce mnie to cieszy. Dzięki temu łatwiej będzie mi przystać na waszą propozycję nie do odrzucenia.

- Mamy ci ją przedstawić czy wiesz już wszystko?
 - Wolałbym usłyszeć wszystko od was, żeby nie było potem żadnych nieporozumień.
- Roni nie znosił powtarzać dwa razy tego samego, nawet jeśli miał do czynienia z innym rozmówcą, skinął więc głowę na Growara.

— W niewielu słowach: naraził się nam wasz dostawca elizium i chcemy go dorwać — rozpoczął rudy zabójca. — Póki co, wiemy o nim niewiele. Kimkolwiek jest, pieczołowicie ukrywa swoją tożsamość i zamiary, dlatego jesteśmy zmuszeni skorzystać z pomocy waszej i Synów Shal. Ustaliliśmy, że najprostszym sposobem na jego wywabienie będzie zatrzymanie dystrybucji elizium. Nie chcemy jednak, by domyślił się, że za wszystkim stoi Arad úš. Wiemy, że zarówno wy, jak i Synowie, odbieracie narkotyk z ustalonych skrytek, w których następnie zostawiacie zapłatę. Przy następnej dostawie zamiast pieniędzy zostawicie list.

Growar odchrząknął i rozciągnął kołnierz koszuli, by zaczerpnąć więcej powietrza. W magazynie było gorąco i duszno.

— W liście będzie napisane, że cena elizium narzucona przez naszego tajemniczego dostawcę jest zbyt niska, przez co wasze zyski są małe. Zażądacie spotkania w celu ustalenia nowej ceny. Synowie Shal zrobią to samo, więc dostawca nie będzie miał wyboru. Żadna inna organizacja nie jest w stanie rozprowadzić prochów po całym Welfare. Dwóch z nas — Growar wskazał na towarzyszy — będzie na stałe przebywać tu, w waszej siedzibie, do czasu aż dojdzie do spotkania. Druga dwójka zatrzyma się u Synów, na wypadek, gdyby tam dostawca zjawił się w pierwszej kolejności. My zajmiemy się jego złapaniem, twoi ludzie mają jedynie udawać, że wszystko jest w porządku. Gdy będzie po wszystkim, po prostu odejdziemy.

— Sprytnie to wykombinowaliście — skomentował herszt po chwili zamyślenia. — Ktoż wątpiłby w chciwość gangstera? Nawet sprzymierzenie się z największym wrogiem wydaje się naturalne, jeśli ma przynieść jedynie korzyści. — Otarł ręką czoło. Duchota i stres sprawiały, iż pocił się obficie. — Nie byłbym sobą, gdybym nie zapytał, co ja i Niesprawiedliwi będziemy z tego mieli.

— Zachowanie życia jest chyba wystarczającą nagrodą? — zapytał retorycznie Roni. — Arad úš nie zwykło płacić za tak drobne przysługi.

— No i będącie mieli możliwość obcowania z przestępczą elitą Lotherbemm. Może się nawet czegoś nauczycie — wrącił z przekąsem Silmer.

— Czyli nie dam rady was przekonać, byście przynieśli mi głowę Najskurwiejszego Syna?

— Rozumiem, że chodzi ci o Najstarszego Syna? — Roni poczekał, aż herszt potwierdził skinieniem głowy. — Nie, nie da rady. Mogę ci jedynie powiedzieć, że jemu również marzy się twoja głowa.

— Zawsze możesz złożyć na niego zlecenie. Wystarczy odwiedzić kapliczkę krwi. — Silmer nie zapomniał zadbać o interesy.

— Szkoda złota na taką łajzę. — Herszt założył koronę i dźwignął się z tronu. — W imieniu swoim i moich poddanych przystaję na waszą prośbę. Ku chwale Niesprawiedliwych i zasobności mego skarbca! — zawałał.

Parafraza królewskiego okrzyku wywołała śmiech starego zabójcy.

Synowie Shal wydawali się bardziej niechętni do współpracy z Arad úš, dlatego będący szefem operacji Roni zdecydował się oczekiwać pojawienia dystrybutora elizium właśnie u nich. Chciał mieć na oku krnabrynych bandytów, a fakt, iż ich siedziba była dużo bardziej luksusowa niż magazyn Niesprawiedliwych, tylko pomógł mu w podjęciu decyzji. Do towarzystwa wziął ze sobą Growara, jedyną osobę, którą nazwałby przyjacielem, gdyby ktoś go do tego zmusił. Roni bowiem był zbyt dużym egocentrykiem, by prawdziwie się z kimś zaprzyjaźnić.

Silmer oraz Dew nie mieli więc wyboru i musieli tymczasowo zamieszkać z Niesprawiedliwymi. Ich przywódca, przez swych podwładnych nazywany Lottarem Drugim, przez przeciwników Królem Błaznem, a w rzeczywistości nazywający się Dave Belhuk, zakwaterował ich w przeznaczonej dla gości części swego obszernego apartamentu znajdującego się na poddaszu magazynu.

Zabójcy zostali przyjęci przez Belhuka jak członkowie rodziny. Posiłki jadali wspólnie z nim, jego żoną i trójką dzieci. W ciągu dnia leniuchowali w salonie lub opalali się na niewielkim tarasie, a wieczorami, wraz z gospodarzem, popijali drogie wino i oddawali się niekończącym pogaduchom. Ich obecność była dla herszta błogosławieństwem.

W przeciwnieństwie do Gildii Złodziei, Niesprawiedliwi nie posiadali żadnego kodeksu, który zabraniałby im stosowania przemocy wobec mieszkańców Lotherebemm. Dzięki temu mogli parać się niedostępymi dla Złodziei dziedzinami przestępczego rzemiosła. Pobicia, hazard, handel narkotykami, sutenerstwo, morderstwa: wszystko to, co częściej lub rzadziej wiąże się z brutalnością, było dla Belhuka chlebem powszednim. W tej branży skrytobójstwa przywódców zdarzały się nader często, przeważnie na zlecenie konkurencji bądź nazbyt ambitnych zastępców. Teraz, kiedy zarówno Synowie Shal, jak i jego własne ludzie, wiedzieli o obecności Arad úš, herszt w końcu nie musiał obawiać się o życie swoje i swych bliskich.

Silmer również korzystał na pobycie w Velfare. Jego wieloletnia konkubina oraz dwójka nastoletnich dzieci mieszkali o kwadrans drogi od magazynu i zabójca odwiedzał ich niemal codziennie. Wizyty nie były długie, gdyż dostawca elizium mógł zjawić się w każdej chwili, niemniej przynosiły mu wiele radości. Czuł się zbyt stary na machanie mieczem, marzył o spokojnej emeryturze. Czasami żałował, że wstąpił do Gildii, szybko jednak przepędzał złe myśli. Z Arad úš nie można było po prostu odejść, więc i nie było sensu się nad tym zastanawiać.

Jedynie Dew nie chwalił sobie swoistych wczasów w mieście. Owszem, po kilku miesiącach spędzonych na Wyspie odmiana otoczenia była mu potrzebna, lecz męczyła go bezczynność. Jego stara banda łowców nagród znajdowała się w ciągłym ruchu, nieustannie szukając nowych zleceń, z kolei w siedzibie Arad úš co dzień uczył się czegoś nowego. W magazynie Niesprawiedliwych tylko się nudził, oczekując na człowieka, który mógł się nigdy nie zjawić.

Pod koniec drugiego tygodnia pobytu u Niesprawiedliwych Dew tak bardzo potrzebował się czymś zająć, że postanowił naostrzyć broń otrzymaną od Jarmisa. Zarówno miecz, jak i sztylet, nadal cięły bez zarzutu, lecz mimo to postanowił popracować nad nimi osełkami, o które poprzedniego dnia poprosił Belhuka. Dopiero zabierał się do roboty, gdy zjawił się Silmer.

— Szybko dzisiaj wróciłeś. Coś się stało? — zapytał młody zabójca, wykonując pierwsze pociągnięcia kamienia po ostrzu.

— Stara wraz z dzieciakami poszli odwiedzić teściową.

— Stara? Mówisz na swoją kobitę *stara*? — zdziwił się Dew. — Ile ona jest od ciebie młodsza? Dwadzieścia lat?

— Dwadzieścia trzy.

— Założę się, że jej matka też jest od ciebie młodsza, a już na pewno trzyma się lepiej, stary pijaku.

— Tego nie wiem, nigdy jej nie widziałem.

— Szczęściarz.

— Mogę zapytać, co ty wyrabiasz? — zapytał rozbawiony Silmer.

— A jak myślisz? Miecz ostrzę.

— Prawdziwy z ciebie spec od broni. Pierwszy raz widzę, by ktoś ostrzył wulkaniczną stal.

— Wulkaniczną stal? — Dew zrobił wielkie oczy i długą pauzę. — Chcesz mi powiedzieć, że ten miecz ma ponad dwa i pół tysiąca lat?

— Może mieć nawet cztery.

— Kurcze, nagle poczułem się nic nieznaczącym prochem na wietrze historii.

— Oho, uważaj, bo z tego wszystkiego jeszcze zacznesz pisać wiersze.

Silmer usiadł na fotelu obok Dew i wyciągnął nogi na pufie.

— Połowa Gildii ma taką broń. Część przywieźli z Thenorafrein nasi ojcowie założyciele, resztę zdobyliśmy na przestrzeni stuleci. Twój egzemplarz to zdobycz Jarmisa. Wykradł ją ze skarbca jakiegoś barona.

— Będę musiał mu jakoś specjalnie podziękować, jak wróci. Myślałem, że to może nieco lepszy, ale jednak zwykły miecz. — Dew odłożył osełki i przyjrzał się bliżej ostrzu. — Trochę mnie dziwiło, że przez ostatnie kilka obiegów nic się nie stawił, no i potyskuje trochę słabiej niż normalna broń, lecz nigdy bym nie przypuszczał, że to taki skarb.

— Ano, skarb. W razie czego dostaniesz za niego niejedną beczułkę bimbru.

Myśli Silmera od pewnego czasu krążyły wokół jego ulubionego tematu. Niestety, ze względu na potrzebę zachowania jako takiej czujności musiał zrezygnować z preferowanych przez siebie najmocniejszych trunków.

— Mamy jeszcze wino?

Wino się znalazło i zabójcy kontynuowali rozmowę o wyjątkowych mieczach, by z czasem przejść na inne tematy. Po pewnym czasie dołączył do nich Belhuk, który przyniósł przekąski i więcej alkoholu. Kiedy się zjawił, Silmer akurat był w połowie opowieści o zleceniu, jakie przed laty wykonywał razem z Jarmisem, Roniem i Growarem.

— Po kilku dniach włóczenia się w te i nazad po gościńcach, w końcu sprowokowaliśmy sekę odpowiedzialną za śmierć Czerwonego Kapturka. A właściwie to jednego jej członka. Młodzian na koniu, po ubiorze dało się poznać, że szlachcic, zaczepił Growara. Rudzielec nie miał wówczas jeszcze trzydziestki, był znacznie szczuplejszy niż dziś, i od tyłu, w sukience, prezentował

się niczego sobie. — Silmer wyszczerzył zęby i łyknął wina. — Na głowie miał kapelusz, więc jeździec, patrząc z góry, nie poznął się na podstępie. Zaczął zagadywać Growara, a ten nie odzywał się ani słowem, by nie zdradzić się głosem. Szlachciura odebrał to za zniewagę, wyciągnął pałkę i zdzielił go w potylicę, pozbawiając przytomności. — Zabójca przybrał nagle poważną minę. — Tutaj niestety muszę nadmienić o moim nieprofesjonalnym zachowaniu. Tego dnia to ja pilnowałem Growara. Gdy on spacerował gościńcem, ja miałem ubezpieczać go ukryty w przydrożnych zaroślach. Niestety, jak zazwyczaj byłem na kacu, tego feralnego dnia wyjątkowo paskudnym. W związku z tym bardziej niż na Growarze byłem skupiony na moim pękającym od środka łbie. Nim zdążyłem zareagować, jeździec przerzucił Growara przez łęk siodła i odjechał.

— No pięknie. Teraz zaczynam się bać o naszą misję. Jak widać, nie uczysz się na błędach — zażartował Dew i dolał druhowi wina.

— To jest tylko soczek. Bardzo dobry, ale jednak soczek. Bez urazy, Dave. — Silmer zwrócił się do herszta. — Wtedy wraz z Jarmisem łoiliśmy bimber, ale jakiś taki był nieprzetrawiony, że kac po nim trzymał okrutny. Wracając do opowieści: gdy jeździec odjechał z Growarem, ja pobiegłem po nasze konie i rozpoczęłem pościg. Początkowo chciałem ich dogonić i odbić rudzielca, ale potem stwierdziłem, że lepiej będzie ich śledzić. Nie czułem się na siłach, by walczyć, a tym bardziej brać młokosa żywcem. Martwy nie zdradziłby nam, gdzie mają kryjówkę. Jechałem więc ich śladem, zachowując pewien dystans, aż dotarliśmy do ukrytego w lesie dworku. Znaczy szlachcic i Growar dotarli, bo ja ani myślałem odbijać rudzielca w pojedynkę.

— Jasne, lepiej zwalić robotę na innych. Jarmis już na pierwszej misji żalił mi się, że zawsze musi wykonywać najgorsze fuchy. Jak widzę, nie kłamał.

— Jarmis się żalił? — zdziwił się Silmer. — To nie w jego stylu. W każdym razie faktycznie odnalazłem Jarmisa oraz Roniego i jeszcze przed zapadnięciem zmroku zajechaliśmy pod dworek. Był z nami także ojciec Czerwonego Kapturka, który uparł się, by nam towarzyszyć. Koniecznie chciał widzieć, jak giną mordercy jego dziecka, a jako że był gotów zapłacić za tę możliwość podwójnie, to się zgodziliśmy.

— Na taką usługę to nawet ja bym nie poskąpił złota, choć żona twierdzi, że straszny ze mnie sknera — wtrącił Dave.

— Burmistrz miał początkowo czekać na zewnątrz, dopóki my nie zapanujemy nad sytuacją. Spodziewaliśmy się dwóch, trzech, góra czterech przeciwników. No bo w końcu, ile osób może się ugadać, by seryjnie mordować niewinnych ludzi?

— A my? Jest nas trochę więcej niż czterech — ironizował Dew.

Silmer obrzucił go zimnym spojrzeniem, by po chwili się zaśmiać. Dave również się roześmiał.

— Każdy z nas miał wejść do środka innym wejściem — ciągnął opowieść zabójca. — My z Roniem z obu stron tarasu na górnym piętrze, zaś Jarmis w jego stylu, frontowymi drzwiami,

które okazały się otwarte. Piętro było puste i nie napotkaliśmy przeszkód, natomiast na parterze, w głównej sali przebywało czternaście osób: tuzin oprawców oraz ich ofiary, Growar i młoda dziewczyna, oboje rozebrani do naga. Na szczęście przybyliśmy w samą porą: sekciarze nie zdążyli jeszcze nic zrobić Growarowi, zaś dziewczyna była tylko nieznacznie poraniona. Porobili jej jakieś nacięcia na plecach i to wszystko.

— A ci sekciarze, to co to byli za ludzie? Mieli jakiegoś przywódcę? — dopytywał Dave.

— Ktoś tam niby przewodniczył tej pseudomagicznej ceremonii, ale nie miał władzy absolutnej. Wszystko to była młoda szlachta, głównie chłopaczki około dwudziestki, ale też kilka jeszcze młodszych dziewczyn. Rozwydrzona, spaczona luksusami gówniarzeria szukająca mocnych doznań i bawiąca się w sektę. Niemniej było ich sporo i mieli pełno broni, w tym kilka kuszu, które wykorzystywali do znęcania się nad ofiarami. Wiecie, strzelanie do jabłek ustawionych na głowach i tego typu sprawy. Liczyliśmy jednak, że uda nam się wziąć ich zaskoczenia i kusze im nie pomogą.

— I jak to zwykle bywa, coś musiało pójść nie tak.

— Nie inaczej. Jarmis siedział ukryty u wyjścia sieni, my z Roniem na górze schodów. Jako przywódca operacji dałem znak do działania. Oczywiście, schody musiały być drewniane i już pierwszy stopień, na który stanąłem, wydał z siebie przeraźliwe skrzypienie. Sekciarze od razu nas zobaczyli, doskoczyli do kuszu i puścili salwę z tych załadowanych. Dostałem w udo — Silmer chwycił się za miejsce dawnej rany — kilka bełtów minęło nas ocale. Roni przytomnie uznał, że pchanie się w dół schodów to samobójstwo, ujął mnie pod pachę i zaciągnął do najbliższego pokoju, gdzie zabarykadowaliśmy się od środka. Sekciarze zaczęli dobijać się do drzwi. Muszę się wam przyznać, że miałem wtedy niezlego stracha.

Alkohol pomógł zabójcy zdobyć się na szczerze zwierzenie. Żyjąc w otoczeniu samych mężczyzn, z których większość była z natury brutalna, Arad úš rzadko przyznawali się do słabości. Łyknął wina i wrócił do opowieści.

— Jarmis wykorzystał powstałe zamieszanie, wpadł do sali, momentalnie zabijając kilka osób nożami do rzucania i uwolnił więźniów. Growar, zamiast pomóc mu w walce, wraz z dziewczyną uciekł przez frontowe drzwi. Nie winię go jednak. Sekciarze znęcali się nad nim psychicznie od kilku godzin, a poza tym był kompletnie nagi. Sam nie wiem, czy byłbym w stanie walczyć z fujarką na wierzchu.

— A ja nie wiem, czy byłbym w stanie wytrzymać taki widok — wtrącił Dew.

Dave zachłysnął się winem i trzeba było poklepać go po plecach.

— W każdym razie Jarmis został sam przeciwko bodajże ósemce oponentów. A nie była to żadna wsiowa hołota, lecz młoda szlachta, która od małego uczyła się władania mieczem. Niektórzy z nich zapewne mieli już za sobą kilka turniejów. Obleżeli Jarmisa ze wszystkich stron i przyparli do ściany. Ten, nie mając innego wyjścia, wyzwolił Bestię. Całkowicie.

Belhuk, mimo iż nie miał pojęcia, o co chodzi z Bestią, nie poprosił o wyjaśnienie, podejrzewając, że i tak by go nie otrzymał. Zabójcy byli przed nim wyjątkowo otwarci, jednocześnie cały czas pilnując się, by nie powiedzieć więcej, niż powinni.

— Jego ryk przyprawił mnie o ból uszu, a co dopiero mieli powiedzieć sekciarze, którzy nie byli schowani za żadnymi drzwiami. Ponoć część z nich upuściła broń, łapiąc się za uszy, dwóch próbowało walczyć dalej, a reszta od razu rzuciła się do ucieczki. Ci ostatni pożyli najdłużej.

Silmer pokręcił głową, jakby było mu trochę żał członków sekty.

— Ja już wcześniej widziałem Jarmisa w takim stanie, choć na szczęście tylko raz, i wiedziałem, że również my nie jesteśmy bezpieczni. Wraz z Ronim wyszliśmy na taras, a potem po drabinie wdrapaliśmy się na dach. Jarmis zdążył już zabić wszystkich wewnętrz dworku i rzucił się w pogoń za tymi, co uciekli. Okazało się, że Growar oraz dziewczyna zostali zatrzymani przez burmistrza i cała trójka czekała na nas na skraju lasu. Zaczęliśmy ich wołać na górę. Rudzielec, który już jako tako doszedł do siebie, zdał sobie sprawę z powagi sytuacji i przekonał pozostającą dwójkę do wdrapania się na dach. Wtedy Roni odrąbał mieczem wszystkie drabiny no i byliśmy bezpieczni.

Mimo iż od opowiadanych wydarzeń minęło osiem lat, w głosie Silmera dało się słyszeć ulge, jakby wszystko działało się najdalej wczoraj.

— Przesiedzieliśmy na tym cholernym dachu całą noc. Ja, wciąż z bełtem w nodze, pomalutku się wykrwawiałem, Growar i dziewczyna, okryci jedynie naszymi płaszczami, dygotali z zimna, a Roni i burmistrz wypatrywali Jarmisa. Ten wrócił nocą, jeszcze jako Bestia, ale nie znalazł sposobu, by dostać się na dach. Na szczęście Behemot jest zbyt głupi, by korzystać z narzędzi czy chociaż usypać sobie jakiś stos, po którym mógłby się wdrapać. Powięszył przez kilka minut, powarczał i znów zniknął w lesie. Dopiero przed południem wrócił już jako człowiek i pomógł nam zejść na dół. Wyglądał koszmarnie – od stóp do głów był umazany krwią i ziemią, płaszcz miał podarty w kilku miejscach, ledwo trzymał się na nogach. Ale żył, dzięki Bestii.

— A co z sekciarzami, dorwał wszystkich? — zapytał Dew już nieco senny za sprawą przydługiej opowieści i wypitego wina.

— Wszystkich poza jedną dziewczyną, na tyle bystrą, by uciekać konno. Wprawdzie Jarmis mógłby ją dogonić, ale najpierw skupił się na pozostałych uciekinierach i ta miała dość czasu, by oddalić się na bezpieczną odległość.

— Więc właściwie można powiedzieć, że wszystko zakończyło się szczęśliwie — podsumował Dave.

— No nie bardzo. Burmistrz był wprawdzie zadowolony, zemsta się dokonała, ale to zadowolenie go zgubiło. Kilka miesięcy później wygadał się jakiemuś kompanowi od kielicha, że nas zatrudnił, ktoś życzliwy rozmowę podsłuchał i doniósł o wszystkim lordowi, który miał syna

wśród sekciarzy. Niedługo potem znaleziono zasztyletowanego burmistrza w rynsztoku ciemnej alejki. Dziewczyna — Silmer aż pokręcił głową — ta uratowana przed sektą, postradała zmysły i wylądowała w przytułku dla obłąkanych. Niepotrzebnie weszła z nami do dworku po powrocie Jarmisa. Po całym parterze wały się flaki sekciarzy, wszystko było ubabrane krwią. Zwłoki były rozszarpane na kawałki i częściowo nadjedzone. Nawet dla mnie był to widok trudny do zniesienia, a ją doprowadził do szaleństwa. Taką to wilczą przysługę jej wyrządziliśmy.

— Może po jakimś czasie doszła do siebie? — próbował pocieszać Dew.

— Nie wiem. Mam taką nadzieję. My sami też nie obeszliśmy się bez szwanku i nie chodzi mi tu o moją nogę. Nikt z nas nie zginął ani nie oszalał, lecz od tamtej misji stosunki między naszą czwórką nie układały się już tak samo. Growar mnie znienawidził za to, że go nie upilnowałem, Jarmis z kolei stracił szacunek do rudzielca, gdyż ten nie pomógł mu, gdy zaczęła się jatka. Roni też się zmienił. Wtedy po raz pierwszy zobaczył, do czego zdolny jest Jarmis, i chyba go to przeraziło. Przestali trzymać się razem i z czasem zrodziła się między nimi niechęć, a potem wrogość.

Silmer uśmiechnął się gorzko.

— No ale przynajmniej zgarnęliśmy piętnaście suwerenów, które burmistrz wyprowadził z miejskiego skarbca.

Ósmy dzień dziewiątego obiegu Bliźniaków. 264 dzień roku. Welfare. Południe.

Minęły cztery tygodnie, odkąd Silmer oraz Dew zamieszkali w apartamencie Dave'a Belhuka i trzy od ostatniej dostawy elizium, kiedy wreszcie nastąpił dzień oczekiwany przez zabójców, a którego nadjeścia obawiał się herszt Niesprawiedliwych. Sal'welleree'din, wyznaczony przez Merist do pilnowania jej interesów na Północy, w samo południe stawił się pod drzwiami z malunkiem okaleczonego gryfa. Rosły odźwierny otworzył mu bez słowa, zapamiętawszy go z poprzedniej, a zarazem jedynej wizyty w siedzibie gangu, która miała miejsce niemal pół roku wcześniej.

Sal denerwował się spotkaniem z bandytami. Nie wiedział, czego może się po nich spodziewać. W Byhrid nie było gangów, nie licząc Barachła, do którego nigdy się nie zapuszczali. Rządzone przez starszyzny dzielnice zwierzoludzi były na ogół spokojne, a pomiędzy różnymi plemionami jedynie sporadycznie dochodziło do krótkich spięć. Czyści z kolei byli zbyt zamożni i zbyt wielu pośród nich należało do armii, by na prawym brzegu Zamony mogła zrodzić się jakakolwiek grupa przestępca.

Nie wiedział, jak obchodzić się z kryminalistami, ale za to był świetnym negocjatorem. W Byhrid ciężko było kupić cokolwiek, nie tracąc co najmniej kilku minut na targowaniu. Nawet jeśli cena odpowiadała kupującemu, wypadało powalczyć o jej obniżenie. W przeciwnym razie sprzedawca mógł poczuć się urażony i odmówić obsługi.

Ciągłe targowanie się choćby o byle drobiazg nie było czymś, za czym by tęsknił, ale teraz umiejętności zdobyte dzięki tej niekiedy mącej tradycji pomogły mu zadbać o interes Biały Pani. Wspólnie z Belhukiem ustalili cenę działki elizium na piętnaście asów, mimo iż herszt początkowo zażądał dwukrotnie wyższej stawki. Dwie trzecie podwyżki ceny miało trafić do kieszeni gangu, reszta do producenta narkotyku. Wprawdzie teraz, gdy ich operacja wchodziła już w swą ostatnią fazę, Sal mógłby całkowicie zrezygnować z zysków, postanowił jednak zachować pozory.

Po pół godzinie tłumaczenia Belhukowi, że niższa cena oznacza większy popyt, a co za tym idzie, wyższy i stały zysk, negocjacje dobiegły końca. Herszt jeszcze próbował namówić go na wspólny obiad, za co Sal mu podziękował, niemniej stanowczo odmówił, usprawiedlwiąc się, że musi jak najpředzej spotkać się z Synami Shal. Nie przekonało go nawet zapewnienie, iż obydwa gangi doszły do porozumienia i przywódca Synów zgodził się przystać na wszystkie warunki, jakie wynegocjował z Belhukiem.

Z ulgą opuścił mroczny i wilgotny magazyn. Nienawidził takich miejsc. Nie mógł się już doczekać, aż ich misja dobiegnie końca i nie będzie już musiał sypiać w swej podziemnej sypialni. Idąc, zaczął zastanawiać się, czy składać wizytę Synom Shal, skoro Belhuk twierdził, iż jest ona zbyteczna. Nie miał na nią ochoty, jednocześnie coś mu w tym wszystkim nie pasowało. Dwa niegdyś wrogie gangi zbyt łatwo się dogadały. *Czy chociaż któraś z osób przystuchujących się negocjacjom należała do Synów? Czy nagle zaczęli tak bardzo sobie ufać, iż nawet nie muszą się nawzajem pilnować? A co, jeśli Niesprawiedliwi przejęli skrytki Synów i oba listy zostały napisane przez nich? Jeśli teraz pójdę do Synów, to jeszcze mnie uwieżą albo zabiją, by pozbawić rywala zysków.* Postanowił nie ryzykować i wracać do kryjówki. Nie miało znaczenia, kto rozprowadza narkotyk. Liczyło się tylko to, by ludzie wciąż go brali.

Nie uszedł jeszcze dwustu jardów, gdy dostrzegł menela zataczającego się od jednej do drugiej strony ulicy. Lotherbemm nie przestawało go zaskakiwać. W Byhrid również pito, nieraz dużo, ale nie widywano tam pijaków drących się w niebogłosy w samo południe. Na pewno nie na prawym brzegu. *I to ma być najpotężniejszy naród na kontynencie? Już niedługo.*

Ulica była niemal pusta i wcale go nie zdziwiło, kiedy pijaczyna swym chwiejnym krokiem zaczął zmierzać w jego kierunku, bęknając i gestykulując energicznie. Sal nie był pewien, czy moczymorda mówi do niego, czy raczej do siebie samego. Zamierzał go ominąć, lecz odczuwalny jedynie dla pijaka wicher najwyraźniej zawiątał mocniej, nadając mu przyspieszenia i zderzyli się barkami. Obróciło ich tak, że stanęli twarzą w twarz. Nagle ni stąd, ni zowąd stary chlejus chwycił Salę za poły płaszczu i wyrzucił mu czołem prosto w nos.

Uderzenie było tak silne, że Sal aż przysiadł na ziemi, a przed oczami zaświeciły mu gwiazdy. Nos miał złamany i lała się z niego krew.

— To za rozlanie mi piwa, łajzo. I żebym cię więcej nie spotkał — wybełkotał pijak i ruszył w swoją stronę.

Sal otrząsnął się z szoku. Żadny zemsty, sięgnął odruchowo po swoją falcatę, zapomniawszy, że ukrył ją w krzakach przed wejściem do miasta. *Nóż mi wystarczy* — pomyślał i spróbował wstać, lecz nadal kręciło mu się w głowie i ponownie osunął się na ziemię. W bezsilnej złości obserwował oddalającego się pijaka, w myślach przeklinając Lotherbemm na wszystkie możliwe sposoby. Wtem, zza jego pleców wybiegł miejski strażnik, dogonił menela i zdzielił go pałką po krzyżu. Staruch runął jak długi, przydzwonił twarzą w ulicę i przestał dawać jakiekolwiek oznaki życia.

— Nic panu nie jest? — Rosły, brodaty strażnik uklęknął przy Salu i przystawił mu chustę do nosa. — Cholera, złamany. Proszę trzymać głowę w dół, krewawienie niedługo ustąpi.

Zaskoczony uczynnością strażnika Sal posłuchał rady. Siedział w milczeniu, oddychając miarowo przez usta. Krwotok był na tyle obfitý, że strażnik dwukrotnie podstawał mu nowe chusteczki, ale w końcu udało się go zatać.

— Chyba już. Niech pan wstanie, tylko powoli. — Brodacz pomógl Salowi dźwignąć się z ziemi. — Zaprowadzić pana do lazaretu? To niedaleko stąd.

— Nie, nie — zaprotestował. Miał dość przygód na dzisiaj. *Jeszcze zaczną mnie wypytywać, kim jestem.* — Sam dam sobie radę.

— To naprawdę dobra lecznica. Ale jak pan chce.

— Co się teraz z nim stanie? — Wskazał na wciąż nieprzytomnego menela, do którego w międzyczasie podleciał bezpański pies i teraz szarpał go za nogawkę.

— Zawlokę go do strażnicy, gdzie sprawdzimy mu kartotekę. Jeśli to jego pierwszy wystąpek, posiedzi tydzień w lochu. W przeciwnym wypadku zostanie wychłostany.

— Nie miałbym nic przeciwko, gdyby po drodze obito mu parę żeber.

— Zobaczę, co da się zrobić. — Strażnik uśmiechnął się szeroko, jakby sam wcześniej wpadł na taki pomysł.

— Dziękuję. Nie wiedziałem, że straż Welfare jest tak skuteczna i uczynna. Niech Sprawiedliwy wam wynagrodzi, a Gryf otoczy opieką. Do widzenia i jeszcze raz dziękuję.

Sal ukłonił się brodaczu i niespiesznym krokiem ruszył ku zachodniej bramie miasta. Strażnik przez chwilę odprowadzał go wzrokiem, następnie podszedł do pijaka, kopniakiem odgonił psa i podniósł nieprzytomnego z ziemi. Przerzuciwszy jego lewą rękę przez szyję i podtrzymując pod prawą pachą, zaczął ciągnąć go w stronę bocznej alejki.

— Musiałeś tak mocno mi przywalić? — zapytał z wyrzutem obolały Silmer.

— Sam chciałeś grać pijaka.

— Bo wcale nie musiałem grać. Masz krew?

— Mam. Dwie przesiąknięte szmaty. Wystarczy spokojnie.

— Świeśnie. — Zeszli już z głównej ulicy, więc Silmer przestał udawać nieprzytomnego. Stanął na własne nogi i otrzepał się z piachu. — Chodźmy napić się z Davem na pożegnanie nim zjawią się Growar i Roni.

Trzeci dzień dziewiątego obiegu Białego Karła. 268 dzień roku. Wyjąca Dolina. Popołudnie.

Osłabiony, z trudem oddychający Sal'welleree'din jechał stępa Zachodnim Gościńcem, zmierzając na południe. Czwórka zabójców kierowała się jego śladem, starając nie zbliżać się na odległość wzroku, gdyż nie było takiej potrzeby. Śledzenie osoby, mając do dyspozycji jej krew, było dzieciście proste. Wystarczyło raz na jakiś czas przeprowadzić prosty rytuał dla upewnienia, że podąża się we właściwym kierunku.

Mogli go złapać i przesłuchać w dowolnej chwili, wymuszając na nim prawdomówność przez zastosowanie serum prawdy, wołeli jednak tego nie robić. Roni obawiał się, że Sal może spróbować odebrać sobie życie, czy to sztyletem, czy też przez połknięcie trucizny, a wtedy nie poznaliby jego mocodawców i ich kryjówki. Zamierzali śledzić go do samego końca i zaatakować dopiero wtedy, gdy poczuje się bezpieczny.

Dosiadali najlepszych koni z królewskich stajni, za wynajęcie których musieli słono zapłacić. Pieniądze nie miały znaczenia, liczyła się dla nich tylko zemsta za śmierć Raya. A przynajmniej dla Silmera, Dew i Growara. Roniemu zależało również na rywalizacji z Jarmisem. Chciał dodać spiskowców pierwszy i choć z natury był skąpy, nie zamierzał oszczędzać na wierzchowcach.

Growar i Roni jechali na szpicy. Sal nie miał okazji się im przyjrzeć, mogli więc swobodnie odwiedzać gospody na szlaku i sprawdzać, czy ścigany się w nich nie zatrzymał. Dew i Silmer, choć strój strażnika i łachmany menela zamienili na płaszcz z kapturami, na wszelki wypadek trzymali się z tyłu, na odległość około pół mili. Do wiosek wjeżdżali dopiero po otrzymaniu znaku od Roniego lub Growara.

Czwartego dnia od opuszczenia Welfare Sal zjechał z Zachodniego Gościńca. Odbił na wschód, na drogę prowadzącą do Fellan, wiodącą pomiędzy wznoszącymi się po jej obu stronach wysokimi górami. Pokonywał tę trasę nieraz i miał już swoje ulubione miejsca, w których zatrzymywał się na nocleg, jednak tym razem, z powodu złamanej nosa, podróżował wolniej niż zazwyczaj. Wiedział, że nie dotrze do kolejnego zajazdu przed zapadnięciem zmroku. Był zmęczony i zziębnięty, gdyż lało przez pół dnia, dlatego, gdy ujrzał opuszczoną chatę stojącą nieopodal drogi, postanowił w niej przenocować.

Uwiązał konia za chatą, tak by nie był widoczny z traktu i wszedł do środka. Dawni właściciele i szabrownicy nie pozostawili wiele sprzętów. Na szczęście łóżko nadal było w jednym kawałku, na dodatek udało mu się znaleźć spory kawał płachty, którym wyścielił posłanie i

zostało go dość, by się jeszcze przykryć. Przysykał się do spania, wyszedł na zewnątrz, by opróżnić pęcherz. Załowił potrzebę za chatą i miał już wracać, kiedy usłyszał głośny śmiech dochodzący z drogi. O tej porze dnia ruch na szlaku był niewielki, dlatego jeźdzcy pobudzili jego czujność. Wyjrzał zza węgla, by się im przyjrzeć.

— A tak w ogóle, odnośnie Sierściucha, to co z nim będzie? Powinien był wrócić już ponad obieg temu? — Ostatnie promienie słońca odbijały się od srebrnego pierścienia, którym Dew spinał brodę u nasady warkocza.

— Nie wiem, co z nim będzie. Będziemy się o to martwić, gdy wróci, ale jak na moje, to on już raczej nie wróci. — Przed chwilą wesoły, Silmer nagle spoważniał.

Choć mijali chatę w odległości kilkudziesięciu jardów, Sal rozpoznał Dew od razu, głównie po charakterystycznej brodzie i posturze. Twarz drugiego jeźdza skrywała kaptur i nie był w stanie dostrzec w nim pijaka, przez którego nie mógł normalnie oddychać od czterech dni, lecz nie miało to znaczenia. Zrozumiał, że jest ścigany.

Odczekał, aż jeźdzcy zniknęli za zakrętem, wtedy spakował swoje rzeczy i ponownie udał się za chatę. Uwolnił konia z uwięzi, po czym przegnał go w kierunku, z którego przybyli. Po krótkim kłusie zwierzę zaczęło dreptać powoli, lecz się nie zatrzymało. W końcu stracił je z pola widzenia. Jeszcze raz upewnił się, że zabrał wszystko z chaty, założył plecak i ruszył w stronę gór, tych na południu, gdyż wydawały mu się bardziej przystępne. Zamierzał ukryć się na dwa, trzy dni, aż pogon zostanie odwołana. Miał odpowiedni zapas jedzenia, z wodą w górzach nie było problemu, obawiał się jedynie o pogodę. O dziwo, humor mu się poprawił i nawet na chwilę zapomniał o złamanym nosie. Ślepy traf, dzięki któremu dowiedział się o pościgu, pozwolił mu uwierzyć, że fortuna znów mu sprzyja.

Słudzy Krwi, nieświadomi wyprzedzenia Sala, przenocowali w osadzie oddalonej o dziesięć mil od opuszczonej chaty. Przekonani, że śledzony zmierza w głąb Wyjącej Doliny, przed pójściem spać nawet nie sprawdzili, czy nadal podążają w dobrym kierunku. Dopiero rano, po zjedzeniu śniadania i wyjechaniu poza wiejskie zabudowania, Roni przeprowadził rytuał krwi:

Uru Dingir
Paè ġe sila úš
Saġ ġe sá
Dah ġe taka lú érim
Uba šu dab siskur

Zu arad zur¹³

Wyrecytowawszy magiczną formułę, wyjął chustę przesiąkniętą krwią Sala i przeciągnął po niej ostrzem sztyletu. Następnie wyciągnął przed siebie lewą dłoń i wykonał niewielkie nacięcie po jej wewnętrznej stronie. Po krótkiej chwili rana zaczęła krewić. Choć trzymał dłoń poziomo, cienka czerwona strużka zaczęła żwawo wspinać się w górę ramienia.

— Jasna cholera. Wyprzedziliśmy go. Jest za nami. — Roni obrócił konia w stronę towarzyszy. Jego twarz zdradzała zdenerwowanie.

— Może nie opuścił jeszcze wioski — stwierdził Dew i ziewnął. — Jest wcześnie.

— Nie nocował w wiosce. Nigdzie nie widzieliśmy jego konia, a sprawdziliśmy wszystkie karczmy.

— To co robimy? Czekamy aż nas dogoni czy jedziemy mu naprzeciw?

— Jedziemy — zdecydował po krótkim namyśle Roni.

Jechali z powrotem na zachód, a Roni co pół godziny rozdrapywał ranę na dłoni, sprawdzając kierunek. Z każdym kolejnym rytuałem linia krwi odchylała się coraz bardziej na południe, aż w końcu, nieopodal opuszczonej chaty, w ogóle przestała wskazywać na zachód.

— Wlazł w góry. Widocznie ich kryjówka jest gdzieś niedaleko.

Zdenerwowanie Roniego ustąpiło miejsca podekscytowaniu.

Wjechali pomiędzy wzgórzem. Gdy dotarli do miejsca zbyt stromego dla wierzchowców, uwiązali je do krzaka, ale niezbyt mocno, by w razie ataku jakiegoś drapieżnika miały szansę uciec. Silmer, z urodzenia arystokrata i rycerz, od małego kochał konie i nie mógł pozwolić, by zginęły bezsensowną śmiercią.

Rozpoczęli mozolną wspinaczkę. Spowalniały ich broń oraz tobołki z zapasami, ponadto starali się zachowywać czujność i ciszę, nie chcąc spłoszyć Sala. Nie wiedzieli, jaką ma nad nimi przewagę. Najstarszy z całej czwórki, Silmer, z trudem pokonywał kolejne szczyty i co jakiś czas musieli na niego czekać.

Sal spędził noc u podnóża pierwszych prawdziwie stromych gór i dopiero nad ranem ruszył dalej. Wędrował przez pół dnia, aż w końcu uznał, że jest bezpieczny. Nikt nie miał prawa go tu odnaleźć.

13 Wszechmogące Bóstwo

Ukaż mi szlak krwi

Udziel mi przewodnictwa

Dopomóż wytropić wroga

I przyjmij ofiarę

Którą składa twój sługa

Znajdował się już dość wysoko nad poziomem morza, gdzie było znacznie zimniej niż na nizinach. Znalazł osłonięte od wiatru skalne zagłębienie, nazbierał chrustu i rozpalił małe ognisko, by się rozgrzać. Czuł się wykończony. Nie dość, że oddychał przez złamany nos, to jeszcze powietrze było rozrzedzone. Miał nadzieję, że wróci do ich kryjówki, nim Merist wyjedzie do Wartegall. Wyleczenie pękniętej kości nie powinno przysporzyć jej najmniejszych problemów; on sam nie znał odpowiednich zaklęć magii krwi. Zjadł skromny posiłek i zasnął na ziemi.

Krew Sala wskazywała im kierunek, lecz nie pomagała znajdować najłatwiejszej drogi wśród stromych grzbietów i wysokich urwisk. Mimo wszystko zabójcy wędrowali szybciej niż zwierzyna, którą tropili. Był wczesny wieczór, gdy pokonawszy grań kolejnej góry, ujrzały jasny dym unoszący się nad wierzchołkiem pobliskiego szczytu. Skaleczenie na dłoni Roniego było już wystarczająco duże, więc tym razem to Dew odprawił rytuał. Bóg śmierci pozbawił ich wszelkich wątpliwości: krew popłynęła wprost w stronę dymu.

— A więc to tutaj. Kryjówka musi być za tą góram — stwierdził Roni, a na jego zmęczonej twarzy pojawił się lekki uśmiech. Zaczął już sobie wyobrażać minę Jarmisa, gdy ten dowie się, że udało mu się go uprzedzić. — Słońce stoi jeszcze wysoko, odpoczniemy trochę, a potem zakradniemy się bliżej.

— Chcesz atakować jeszcze dziś? — zapytał wyczerpany Silmer. — Może lepiej jutro, z samego rana.

— Dzisiaj. Przyjrzymy się kryjówce i zaskoczymy ich w nocy, z twoją pomocą lub bez. I tak niewielki z ciebie pożytek.

— Odezwał się Pan Pozyteczny. Opuścił Wyspę pierwszy raz od roku i już zgrywa ważniaka. — Silmer miał ochotę powiedzieć coś bardziej uszczypliwego, ale zmęczenie pozbawiło go elokwencji.

Roni zignorował jego uwagę, usiadł na kamieniu i zaczął w milczeniu skubać suchą kiełbasę. Pozostali zabójcy szybko wzięli z niego przykład. Po małej przekąsce i niespełna godzinie odpoczynku pozbierali tobołki i rozpoczęli wspinaczkę pod ostatni, w nadziei Silmera, szczyt.

Po dwóch godzinach znaleźli się po drugiej stronie góry. Nadal było widno, ale nigdzie nie dostrzegali dymu, a tym bardziej żadnej kryjówki. Roni wymownie spojrzał na Dew i ten po raz kolejny sięgnął po zakrwawioną chustę.

Ognisko Sala zdążyło już wygasnąć. Skała była zimna oraz twarda, więc nie udało mu się pospać zbyt długo. Przez chwilę rozciągał obolałe członki, po czym postanowił nazbierać więcej chrustu, by nie zamarznąć w nocy. Już miał opuścić szczelinę, w której się schował, gdy usłyszał dochodzące z bliska głosy.

— Wygląda na to, że znowu jest za nami.

Sal bał się wychylić zza skały, mimo to rozpoznał brodatego strażnika po głosie.

- Co? To niemożliwe — gorączkował się Roni.
- Sam spójrza. Musi być gdzieś tam — Dew wskazał ręką na północ — albo ten wasz rytuał jest gówno wart.
- Przecież byśmy go dostrzegli, gdyby nagle zawrócił.
- Ciszej — szepnął Silmer przystawiając palec do ust. — Pełno tu szczelin, może ukrył się w którejś z nich.

Sal nie dosłyszał słów szepczącego, domyślił się jednak, że nie wróżą nic dobrego. Ogarnęła go panika. Przeciwników było co najmniej trzech, dostrzegał więc tylko jedno rozwiązanie. Wycofał się na sam koniec rozpadliny, przywarł do niemal pionowej ściany i zaczął się wspinać. Szło mu nieźle i kiedy zabójcy weszli do jego szczeliny, był już na wysokości dziesięciu jardów.

- Hej, złaź na dół. To koniec — zawała Roni.
- Pierdol się, bieluchu — odparł Sal, nie przestając piąć się w góre.
- I co teraz zrobimy? — zapytał Dew.
- Jak to co? Właź za nim!
- Nie ma mowy. Zrzuci na mnie jakiś kamot, spadnę i się zabiję. Dziękuję bardzo.
- Sam cię zabiję, jeśli nam ucieknie — wrzasnął na niego Roni.
- Uspokój się. Gdzie ma nam uciec? Mamy przecież jego krew.
- No i co z tego, skoro już wie, że go śledzimy. Nie zaprowadzi nas do kryjówki, a jeśli jest oddany swojej organizacji, to przedzej popełni samobójstwo, niż da się złapać. Właź na góre — rozkazał Roni.
- Sam se właź.

Dwójka zabójców mierzyła się wzrokiem, gdy nagle nad ich głowami rozległ się krzyk. Sal szybko opadł z sił, a na domiar złego ściana miała coraz mniej jakichkolwiek zagłębień umożliwiających wspinaczkę. W końcu przeszacował własne możliwości i próbując dosiągnąć kolejnego pęknienia, odpadł od skały. *Góry, cholerne góry* — to wszystko, co zdążył pomyśleć. Spadł pod stopy kłóczących się zabójców, zabijając się na miejscu.

Growar ukląkł przy połamanych zwłokach Sal i potwierdził zgon. Przeszukał też ubranie nieboszczyka, licząc, że natrafi na coś, co pomoże im odnaleźć kryjówkę szajki. Nie znalazł nic ciekawego.

- Kurwa, kurwa, kurwa — krzyczał Roni. Szansa triumfu nad Jarmisem przepadła bezpowrotnie.
- Mówiłem, żebyśmy poczekali do jutra, ale Pan Pozyteczny oczywiście wiedział lepiej. No to teraz masz nauczkę.

Złośliwe słowa Silmera sprawiły, że Roni zdobył się na coś, o czym marzył i co planował od bardzo dawna. Błyskawicznym ruchem wyciągnął spod płaszczu miecz i wbił go w pierś starego zabójcy.

— Nigdy nie wiedziałeś, kiedy należy trzymać gębę na kłódkę. No to teraz masz nauczkę.

— Ty skurwy...

Roni przekręcił miecz, rozrywając komory serca Silmera.

— ...synu. — Silmer dokończył obelgę i umarł.

Zszokowany Dew stał jak wryty, nie wierząc w to, co widzi, lecz gdy Roni skierował miecz w jego stronę, nagle odzyskał władzę nad ciałem. Nie miał wątpliwości, że nie powinien być świadkiem tej sceny i Roni nie pozwoli mu po prostu odejść. Na jego szczęście w dłoni wciąż trzymał sztylet, którym posługiwał się podczas rytuału. Bez chwili zawahań cisnął nim w Roniego, trafiając go w ramię, po czym rzucił się do ucieczki.

— Na co się gapisz? — Roni krzyknął na Growara, łapiąc się za ranę. — Goń go.

Rudy zabójca wcale nie miał ochoty na pościg skrajem urwiska, wolał jednak nie poddawać próbie jego przyjaźni z Roniem. Przeskoczył nad zwłokami Silmera i ruszył za Dew.

Brodacz wiedział, że jeśli zostanie dogoniony, najprawdopodobniej i tak zginie, dlatego pędził na złamanie karku, nie bacząc na ryzyko runięcia w przepaść. Dodatkowo był też młodszy i miał dłuższe nogi niż Growar, więc szybko udało mu się zdobyć nad nim bezpieczną przewagę. Gdy zorientował się, że póki co przestano go ścigać, przeszedł z biegu w trucht. Nie zatrzymał się nawet po zapadnięciu zmroku. Co jakiś czas się potykał, kilka razy wywrócił, ale udało mu się nie pogubić drogi, a to było najważniejsze.

Konie nadal czekały tam, gdzie je zostawili. Dosiadł największego, a pozostałym trzem wydłużył wodze tak, by móc je przywiązać do własnego siodła. Nie miał pojęcia, co powinien zrobić ani dokąd się udać. Pognał więc przed siebie, licząc, że przez noc uda mu się coś wymyślić.

Rozdział dwudziesty – Tajemnice ukryte w skałach

Piąty dzień dziewiątego obiegu Białego Karła. 270 dzień roku. Wyjąca Dolina. Południe.

Dwa tygodnie śledztwa w Wyjącej Dolinie nie przyniosły żadnych rezultatów. Czwórka szpiegów coraz bardziej powątpiewała w powodzenie misji. Codziennie pokonywali dziesiątki mil, jeżdżąc od jednej wioski do drugiej, zadając te same pytania i otrzymując te same odpowiedzi. Byli solidnie wymęczeni i obolali od jazdy w siodle, a bezlitosne wiatry, z jakich słynęła Dolina, wywołyły u Kyla przeziębienie. Jarmis znosił trudy podróży lepiej od agentów, choć i jemu pogoda dawała się we znaki. Lato dobierało końca, zrobiło się zimniej, przez co coraz bardziej dokuczał mu ból krzyża. Póki co nie tracił nadzieję, że odnajdzie winnych śmierci Raya w Dolinie, ale z każdym dniem rosło prawdopodobieństwo, iż uprzedzą go w tym inni Arad úš, którzy także prowadzili swoje śledztwo. Nie mógł znieść myśli, że sukces mógłby przypaść w udziale Roniemu.

Pogoda była paskudna i przygnębiająca. Od rana zdążyli odwiedzić dwie osady, a teraz, przysypiając w siodłach, zmierzali do kolejnej, położonej przy Wichrowym Trakcie. Szpiegów na duchu podtrzymywała jedynie myśl o tym, że będą mogli zatrzymać się w oberży na ciepły posiłek.

Knajpa, podobnie jak wieś, w której się znajdowała, była niewielka, z zewnątrz wyglądała obskurnie i nic nie zapowiadało, że Jarmis otrzyma tu swoje ulubione danie. Podróżni pośpiesznie wparowali do środka, uciekając przed siekącym deszczem. Wewnątrz śmierdziało potem i przypaloną wieprzowiną. Stojący za kontuarem, blady jak prześcieradło karczmarz obrzucił ich chłodnym spojrzeniem, po czym wrócił do nerwowego polerowania miedzianego kielicha.

Przy ławie ustawionej najbliżej kuchennej części budynku posilało się trzech rycerzy, robiąc przy tym wiele hałasu. Rick, Kyle i Dwight ich nie rozpoznali, lecz Ignae na ich widok stanęła jak wryta. Bracia Paskkuro. Agentka miała już zamiar wyjść poszukać sobie innej jadłodajni, kiedy potężna dłoń Jarmisa spoczęła na jej barku i popchnęła ją stanowczo w stronę ławy ustawionej po drugiej stronie sali. Dziewczyna usiadła plecami do odzianych w kolczugi wojaków, Jarmis zajął miejsce naprzeciwko, a pozostali agenci rozsiedli się obok nich, póki co nieświadomi niebezpieczeństw sytuacji, w jakiej się znaleźli.

Braciom Paskkuro również zajęło trochę czasu, nim rozpoznali przemokniętych wędrowców. Najbardziej czujny okazał się najmłodszy z nich. W przeciwnieństwie do rozweselonego rodzeństwa wyglądał na przybitego; miał podbite lewe oko, a nad nim rozcięty łuk brwiowy. Szepnął coś do braci, którzy od razu skierowali wzrok na nowo przybyłych klientów.

— Popatrzcie, braciszko, kogo tu przywiąło — odezwał się na głos Val. — A już się bałem, że nigdy więcej nie spotkam tej dzierlatki. Świetną ma tę fryzurę, co? Aż się człowiek gotuje w środku.

— Jak to u dziwki — skomentował średni brat.

— Nie bądź taki surowy, Roy. Teraz taka moda. Nie podoba mi się tylko, że dalej podróżuje z tym knurem. W ogóle nie rozumiem, dlaczego go tu wpuścili. Powinien jeść w chlewie, z innymi świniami.

Roy wybuchnął śmiechem, a Val do niego dołączył. Szpiedzy siedzieli ze spuszczonymi głowami, nie mając pojęcia, co ze sobą zrobić. Ignae patrzyła na Jarmisa błagalnym wzrokiem, chcąc zapobiec rozlewowi krwi. Chwyciła go nawet za dłoń, którą zdążył już zacisnąć w pięść. Zabójca postanowił się jej usłuchać. Potyczka wewnątrz karczmy byłaby zbyt niebezpieczna, mógłby ucierpieć któryś z agentów. Bracia Paskkuro nie byli pierwszymi lepszymi rębałami; Jarmis miał okazję oglądać walki Vala na Wielkim Turnieju i wiedział, że rycerzowi nie brakuje umiejętności. Z gniewnego zamyślenia wyrwała go młoda, blondwłosa karczmareczka, która przyszła przyjąć zamówienie. Była przestraszona, oczy miały zaczerwienione, jakby dopiero co płakała.

— Czym mogę państwu służyć? — zapytała łamiącym się głosem.

— Dla mnie to samo, co wzięły tamte kmioty.

Jarmis skinął w kierunku rycerzy. Nie wytrzymał długo w swym postanowieniu o nieagresji. Nie miał wątpliwości, dlaczego dziewczyna jest zapłakana.

— Tylko trzy razy większa porcja. I dużo wina, żebym mógł znieść widok ich paskudnych mord.

W gospodzie zapanowało złowrogie milczenie. Karczmarz opadł na ukryte za ladą krzesło, jedną dlonią zakrywając twarz, a drugą łapiąc się za kołaczące serce. Kelnerka na dłuższą chwilę zamarła ze zgrozy, po czym skierowała się w stronę kuchni, myśląc tylko o tym, by jak najszybciej opuścić główną izbę. Na jej nieszczęście musiała przejść obok stołu zajmowanego przez rycerzy, którzy zaskoczeni zuchwałymi słowami Jarmisa, nie byli w stanie zdobyć się na żadną ripostę. Poczerwieniały ze złości Val złapał przechodzącą dziewczynę za rękę i siłą posadził ją sobie na kolanach. Młodka pisała przerażona.

— Dokąd leziesz? Olej to zamówienie, ten grubas już jest martwy. A gdy z nim skończę, urządzymy sobie trójkątek z ta jego lafiryndą. — Val puścił dziewczynę i klepnął ją soczyście w tyłek. — Leć się przygotować.

Dziewczyna uciekła z płaczem. Val Paskkuro podniósł się od stołu i dobył miecza.

— Stawaj, chamie! — wyzwał Jarmisa.

Szpiedzy spoglądali to na rycerza, to na zabójcę. Dlonie trzymali na rękojeściach mieczy, czekając, co się wydarzy.

— Będzie lepiej dla was, jeśli teraz wyjdziecie — szepnął do nich Jarmis, ale jego słowa pozostały bez reakcji. — Jak chcecie. — Wzruszył ramionami i wstał.

Zabójca odchylił poły płaszczu, odsłaniając wiszącą u pasa broń, po czym przeszedł bliżej rycerza. Zatrzymał się niewiele poza zasięgiem jego długiego na cztery stopy miecza. Nonszalancko oparł dlonie o biodra i powiedział:

— Zaczynaj.

— Doprawdy, jesteś największym idiotą, jakiego spotkałem. Zabicie ciebie bę...

Jarmis nie dał mu dokończyć. Błyskawicznie ruszył do przodu, skrytym pod płaszczem karwaszem odbił cięcie miecza, a drugą ręką z całej siły grzmotnął Vala w podbródek. Zaskoczony rycerz odgryzł sobie czubek języka i runął nieprzytomny na podłogę. Jego wybite, połamanezęby rozsypały się wszędzie dookoła. Jarmis w końcu dobył broni i szybkim pchnięciem przebił gardło przeciwnika.

— Nieee!

Krzyk Roya Paskkuro miał w sobie gniew, rozpacz i szaleństwo. Rycerz zerwał się na równe nogi, dobył broni i z furią zaatakował zabójcę brata. Pierwszego ciosu Jarmis uniknął balansem ciała, kolejne z trudem zbiałał mieczem bądź pancernymi bransoletami. Walczący lawirowali pomiędzy ławami, co rusz wykorzystując je, by odgrodzić się od przeciwnika bądź starając się pozbawić go równowagi. Karczmę wypełnił szczek stali i wiór rąbanych mebli. Już na początku potyczki szpiedzy uciekli ze swoich miejsc i przylegli do najbliższej ze ścian; najmłodszy z rycerzy schronił się w rogu po drugiej stronie sali, z wyciągniętą bronią, lecz nie interweniował.

Roy Paskkuro od razu wyciągnął wnioski ze śmierci brata. Nie dopuszczał Jarmisa na bliską odległość, w czym pomagał mu większy zasięg ramion i dłuższy miecz. Na dodatek był małkutkiem i odwrotna pozycja, z jakiej walczył, przyprawiała zabójcę sporo problemów. Udało mu się drasnąć Stugę Krwi w prawe ramię, a kilka razy klinga minęła głowę Jarmisa o parę cali. Przestrzeni było jednak mało i w końcu rycerz został przyparty do ściany. Nagle zabrakło mu miejsca do wyprowadzenia kolejnego cięcia. W geście rozpaczki spróbował uderzyć oponenta wolną ręką w twarz. Jarmis czekał na podobną pomyłkę. Olbrzymią dlonią chwycił pięść rycerza i z całej siły wygiął jego nadgarstek w taki sposób, że ten z bólu odruchowo opadł na kolana. Potężny kopniak w szyję klęczącego zmiażdżył mu tchawicę i zakończył walkę.

Konający Roy Paskkuro charcał żałośnie, więc Jarmis przebił jego gardło, tak samo, jak zrobił to z jego starszym bratem. Stojąc nad bezwładnym ciałem, zbliżył zbroczony krwią miecz do ust i oblizał ostrze. Oddychał głęboko, oczy miał zamknięte i sprawiały wrażenie, jakby delektował się tą chwilą.

— Krew i stal smakują tak podobnie. Nie wierzę, że to tylko przypadek.

Ignae najpierw przeszedł zimny dreszcz, a następnie zrobiło się jej niedobrze i wybiegła z karczmy. Zabójca otrząsnął się z ekstazy.

— Co z tobą, Macie Paskkuro? — zwrócił się do ostatniego z rycerzy. — Nie pomścisz swoich braci?

— Nie będę z tobą walczył. Nie jesteś człowiekiem.

Mężczyzna trząsł się ze strachu, ale jego głos był stanowczy. Schował broń do pochwy.

— Słyszałem, że jesteś najmądrzejszy z całej trójki i jak widać, jest to prawda. Szkoda, że nie jesteś pierworodnym swego ojca, może wtedy wszystko potoczyłoby się inaczej. — Jarmis postąpił w jego stronę.

— Zaczekaj. — Mat podniósł ręce do góry w błagalnym geście kapitulacji. — Nie ponoszę winy za postępków moich braci. Nie musisz mnie zabijać.

— Znowu masz rację. Nie muszę, ale tak nakazuje mi zdrowy rozsądek. Widziałeś moją twarz oraz twarze moich towarzyszy. Zabiłem twoich krewnych i przedżej czy później zechcesz się zemścić, a jako że przed chwilą uczyniłem cię hrabią, będziesz miał ku temu wszelkie potrzebne środki.

— Właśnie dlatego nie musisz bać się zemsty. Nienawidziłem tych gnoj, od małego mną pomiaitali. To też jest ich sprawka. — Wskazał palcem podbite oko. — Sprzeciwiałem się Valowi, gdy zaczął dobierać się do karczmarki. Spytaj jej, jeśli nie wierzysz. Zresztą, za tobą też się wstawiłem, gdy spotkaliśmy się na szlaku.

Jarmis zwołał dziewczynę, a ta, po tym, jak opanowała przerażenie i mdłości wywołane widokiem martwych rycerzy, potwierdziła słowa Mata.

— Uwolniłeś mnie od tych prostaków i jestem ci za to wdzięczny. Marzyłem o ich śmierci od dawna, ale nie miałem odwagi nic zrobić. Daję ci moje słowo, że to prawda.

— Twoje słowo nic dla mnie nie znaczy — odparł Jarmis i zamilkł na chwilę. To Rubie znowu miała mu coś do powiedzenia. — Nie jesteś w stanie mi zagrozić. Nie odnajdziesz mnie, choćbyś sprzedał cały swój majątek. Ale moi znajomi nie są tak nieuchwytni. — Wskazał na przysłuchujących się rozmowie szpiegów. — Karczmarza i jego pomocnicę odnajdziesz również łatwo. O ich bezpieczeństwo tutaj chodzi, więc niech sami zadecydują o twoim losie.

Zabójca rozejrzał się po świadkach rozmowy, ale ci, albo nie rozumieli, co się dzieje, albo nie chcieli zabrać głosu.

— Zabiję go, jeśli nie zdecydujecie inaczej — ponaglił ich. — Kto chce darować mu życie, co?

— Ja — oznajmił Rick.

— Ja również — zawtórował mu Kyle.

Dwight skinął głową, podzielając decyzję starszych kolegów.

— Dość zła się tu już wydarzyło — powiedziała dziewczyna. — Kolejna śmierć niczego nie naprawi. Puść go wolno, panie.

Oczy wszystkich zwróciły się w stronę karczmarka, który nadal nie zabierał głosu.

— A niech idzie w cholere, byleby zabrał ze sobą te ciała.

— Chyba nie słyszeliście powiedzenia o miękkim sercu i twardej dupie, co? — skomentował ich decyzję Jarmis. — No nic. Hrabio Macie Paskkuro, jesteście wolni. Życzę spokojnego powrotu do domu. — A ty dziecino — zwrócił się do kelnerki — przynieś mi wreszcie jadło. Strasznie przez to wszystko zgłodniałem.

— Od dzisiaj będę miał nową historyjkę do opowiadania. Zaczynać będę tak: *Rycerz, szpieg i zabójca wchodzą do karczmy*.

— Nie mam pojęcia, jak chcesz obrócić to w żart. — Rick, w przeciwieństwie do Dwighta, nie przepadał za czarnym humorem.

Szpiedzy, a w szczególności Ignae, mieli na jakiś czas dość karczemnych przygód, dlatego zdecydowali się zanocować na szlaku. Siedzieli dookoła ogniska, czekając aż upolowana przez Jarmisa dziczyzna się upiecze. Pobliskie wzgórza osłaniały ich od wiatru. W oddali, na nieboskłonie, Biały Karzeł zawędrował centralnie nad szczyt szpiczastej góry, tworząc widok przypominający rękojeść miecza.

Ignae nadal nie odzyskała apetytu, a zapach pieczonego mięsa przyprawiał ją o mdłości. Wstała więc od ognia i przysiadła się do siedzącego na uboczu Jarmisa, który zszywał ranę zadaną przez Roya Paskkuro.

— Pomóc ci z tym? — zapytała, widząc jak zabójca się męczy.

Skaleczenie było płytkie, ale długie, ciągnęło się przez całą szerokość ramienia i kończyło na plecach, gdzie Jarmis nie był w stanie sięgnąć wzrokiem.

— Byłbym wdzięczny — odparł po krótkim zastanowieniu i oddał dziewczynie igłę z nicią.
— Miałem nadzieję, że maść i bandaż wystarczą, ale gdy byłem na polowaniu, cholerstwo znowu zaczęło krwawić.

— Rick opowiadał mi o zdarzeniu z niedźwiedziem. Ponoć niezłe cię poharatał. Potem ja rozwaliłam ci głowę, a teraz to. Czy twoja praca zawsze tak wygląda?

— Nie. To ostatnio mam kiepski okres. Albo po prostu zaczynam się starzeć.

— Mogę zapytać, ile masz lat? — zapytała nieśmiało Ignae.

— Dlaczego cię to interesuje?

— Z ciekawości. Razem z chłopakami próbowaliśmy ustalić, ile możesz mieć, ale każdy podawał inną liczbę.

— Nie musisz szyć tak gęsto, na mnie goi się jak na psie — poinstruował agentkę zabójca.

— A ty ile byś mi dała?

— Z kilku jardów wyglądasz na czterdzięcią parę, ale... — Ignae z wahaniem się na chwilę — ale twoje oczy są oczami starca.

— Oho, to ci dopiero komplement. Nie, nie przepraszaj. — Słowa agentki rozbawiły Jarmisa. — Niestety, nawet gdybym chciał, to nie potrafiłbym odpowiedzieć na twoje pytanie. To znaczy wiem, kiedy się urodziłem, ale nie mam pojęcia, ile mam lat.

— Kolejna zagadka. Pewnie ma to związek z tym, że jak sam dziś przyznałeś, nie jesteś człowiekiem.

— Owszem.

— Skończyłam. Wyszło chyba nie najgorzej. — Agentka oddała przybory do szycia.

— Dzięki.

— Właściwie to ja powinnam ci podziękować. Za to, że ochroniłeś mnie przed braćmi Paskkuro, wtedy na gościńcu, ale przede wszystkim za wstawienie się za dziewczyną z karczmy. Jest mi wstyd, że sama nie miałam odwagi, by zareagować. Cieszę się też, że pozwoliłeś żyć Matowi. Wygląda na to, że jednak nie jesteś złem wcielonym, za kogo uważałam cię do tej pory.

— Ignae uśmiechnęła się delikatnie i chciała już odejść, dosiąść się z powrotem do szpiegów, gdy Jarmis złapał ją za rękę.

— Nie chcę się z tobą znowu pokłócić, ale muszę udzielić ci kolejnej lekcji. — Patrzył jej prosto w oczy. To one zmuszały go do wypowiedzenia tych słów. — Jestem chędożonym zabójcą, więc nikt, a w szczególności młoda, inteligentna kobieta, nie powinien choćby przez chwilę pomyśleć, że może nie jestem taki zły. — Słuchała z uwagą, więc puścił jej rękę. — Zacząłem zabijać, kiedy ty jeszcze budowałaś zamki z piasku, a to, czego doświadczyłem później, spowodowało, że nie mam problemów z odbieraniem życia. Nie mam też w tej kwestii żadnych uprzedzeń. Kobieta, mężczyzna, dziecko. Wysoki czy niski, gruby albo chudy. To wszystko bez znaczenia. Nigdy nie odrzuciłem żadnego zlecenia. Mat Paskkuro żyje, bo nie stanowi dla mnie zagrożenia, a za jego śmierć nikt by mi nie zapłacił. Owszem, zabiłem jego braci, bo byli cholernymi gwałcicielami, ale to w żaden sposób nie czyni mnie dobrą osobą.

— Po co mi to mówisz?

— Dla twojego dobra. Nie jestem człowiekiem i choćbyś analizowała moje zachowanie całe życie, nie poznasz motywów, które mną kierują. Kiedy nasza misja dobiegnie końca, musisz zapomnieć, że kiedykolwiek mnie spotkałaś. Nie pozwól, by Jo'Keeffe bądź twoja ambicja zmusiły cię do dalszego zajmowania się moją osobą. Zabijam każdego, kto próbuje wejść mi w drogę. Rozumiesz?

— Rozumiem — odparła poważnie.

— Świetnie. Nie chciałem, by zabrzmięło to jak groźba, ale chyba inaczej nie dało się tego powiedzieć. Przekaż to też chłopakom, ich również to dotyczy.

— Jasne. Przekażę.

— No to by było na tyle, jeśli chodzi o poważne sprawy. Pozostaje nam tylko kwestia twojego buta.

- Mojego buta? — zapytała zdziwiona.
- Podeszwa ci się odkleja. Mogę ją naprawić, po tym, jak poceruję swój płaszcz.
- Rozumiem, że Arad úš muszą radzić sobie w każdej sytuacji, ale nigdy bym nie pomyślała, że uczycie się także szewstwa.
- Akurat tego nauczyłem się przed wstąpieniem do Gildii. Kiedyś nienawidziłem pracy z obuwiem, ale teraz sprawia mi to przyjemność.
- Skoro tak, to nie wypada mi odmówić. — Ignae ściągnęła buta i wręczyła go Jarmisowi.
- Rano będzie jak nowy. A teraz już idź, daj mi pracować.

Tej nocy Ignae, choć wyczerpana fizycznie i psychicznie, nie była w stanie zasnąć. Fortel z odklejoną podeszwą ostatecznie upewnił ją, że zabójca to Jarmis Reggick. Pierwszych podejrzeń nabrała po pożarze ratusza w Verilloop, gdy wygadał się, że przebywał w Shal w czasie Upadku. Od tego momentu wszystko zaczęło składać się w całość. Choć poza mizernym wzrostem na pierwszy rzut oka tęgi zabójca w niczym nie przypominał cherlawego Chrisa Reggicka, teraz dostrzegała pewne podobieństwa. Kolor i rozstaw oczu, kształt nosa, usta, wszystko to świadczyło o ich pokrewieństwie. Z rozmowy z Rickiem dowiedziała się, że Sługa Krwi dobrze znał stolicę, a to właśnie na jej ulicach młody Jarmis Reggick spędził kilka lat dzieciństwa. Złodziejskie umiejętności były atutem, który mógł pomóc mu w dostaniu się do Arad úš. Jedyną rzeczą, która przez długi czas nie dawała jej spokoju, był wiek zabójcy. Wyglądał na co najmniej dziesięć lat starszego, niż powinien być Jarmis Reggick, lecz gdy przyznał się, iż nie jest człowiekiem, przestało mieć to znaczenie. Ignae nie miała pojęcia, jakim rytuałom poddał się, by zyskać swoje nadprzyrodzone zdolności, mogła wszakże założyć, że to one tak go postarzyły. Znajomość szewskiego fachu, i to na dodatek zdobyta przed wstąpieniem do Gildii, była ostatnim elementem układanki.

Rozszyfrowanie tożsamości zabójcy wcale nie oznaczało końca wątpliwości agentki. Nie mogła zdecydować, co zrobić ze zdobytą wiedzą. Podzielić się nią z resztą szpiegów, a może tylko z Kylem i Dwightem? Rick zdawał się być rozsądnym człowiekiem, lecz nie darzyła go pełnym zaufaniem. Poza tym był starszy stopniem, a jej zależało, by mieć decydujące zdanie w tej sprawie. Czy powinna poinformować dowództwo? Wprawdzie Jarmis czytał raporty, które co tydzień wysyłała do stolicy, ale zawsze mogła niepostrzeżenie zostawić liścik jakiemuś członkowi Gildii Złodziei. Przesłuchiwieli ich dziesiątki i zabójca nie zawsze był przy tym obecny. Jednak w jaki sposób odbierze później rozkazy od Jo'Keffa? Czy posłaniec będzie potrafił zachować należytą ostrożność? A może arcyszpieg zdecyduje odebrać jej sprawę i powierzyć ją komuś bardziej doświadczonemu? W końcu osoba Jarmisa była kluczowa w schwytniu mordercy generała Mircei. Wszystkie te pytania były trudne, a jednocześnie kompletnie nieistotne w

porównaniu z tym jednym, najważniejszym. Czy w ogóle powinna mówić komukolwiek o Jarmisie Reggicku?

Otrzymała jasne, szczerze ostrzeżenie: jeśli będzie wtrącać się w jego sprawy, zginie. Nie miała powodu, by nie wierzyć w te słowa. Widziała, do czego jest zdolny. W karczemnej awanturze zabił hrabiego, człowieka potężnego, a zarazem znakomitego wojownika, by następnie, niczym kompletny psychopata, rozkoszować się smakiem krwi jego brata. Co gorsza należał do organizacji starszej od samego Trójkrólestwa, która w przeszłości obalała monarchów, niszczyła wielkie instytucje, rozpoczęła i kończyła wojny, pozostając przy tym nieuchwytną, nietykalną. Pojmanie lub zabicie Jarmisa Reggicka nie mogło więc zapewnić jej bezpieczeństwa. Zaczęła się zastanawiać, czy nie powinna o wszystkim powiedzieć samemu zabójcy. Nie była przecież winna tego, że przydzielono ją do sprawy morderstwa generała Mircei, co doprowadziło do odkrycia jego tożsamości. Jarmis mógł też nie wiedzieć, iż poluje na niego tajemniczy mściciel. Informując go o tym, mogła zyskać jego wdzięczność.

Przez długie nocne godziny biła się z myślami, analizując wszystkie za i przeciw poszczególnych możliwości. Nad ranem, całkowicie wymęczona, popadła w płytki sen, z którego po bezlitośnie krótkiej chwili zbudził ją Dwight. Nadeszła jej pora czuwania. Podniosła się z ziemi, odnalazła naprawiony przez Jarmisa but i zaczęła truchtać dookoła obozowiska, próbując rozgrzać wycieńczone ciało. Wtem naszła ją kolejna, niepokojąca myśl. Przypomniała sobie rozmowę młodego szpiega z zabójcą na temat prostytucji, a dokładniej fragment, w którym Sługa Krwi wspomniał o Milfgardzie. Wynikało z niego, iż Jarmis mógł odwiedzać ten ekskluzywny zamczysko, który znajdował się na wyspie leżącej nieopodal miejsca, gdzie piraci przetrzymywali Nicka Brucondeisa. *Czyżby to Jarmis uratował księcia z niewoli? Jeśli ktoś byłby do tego zdolny, to właśnie on.* Wydało się jej nieprawdopodobnym, by jej ostatnie trzy misje, na pozór zupełnie niepowiązane, łączyły jeden człowiek. W jej głowie zaczęły rodzić się kolejne pytania. Wiedziała, że następnej nocy sen również nie przyjdzie prędko.

Zmierzali w stronę położonej najdalej na północ wsi w Wyjącej Dolinie. Według szacunków Jarmisa zwiedzili dopiero piątą część wietrznej krainy, nie uzyskując żadnych rezultatów. Nikt z odpytywanych przez nich ludzi nawet nie słyszał o elizium, a tymczasem, według informacji, jakie Ignae otrzymała od gońca Wywiadu Wewnętrznego, w stolicy wybuchała epidemia objawień Białej Królowej. Śnili i mówili o niej wszyscy: młodzi, starzy, bogaci i biedni. Najdziwniejsze było to, że większość z nich nigdy nie zażywała narkotyku. W Velfare i Rodawnzarze sytuacja wyglądała podobnie.

Dyskutowali na temat możliwych przyczyn wzrostu popularności Białej Pani, gdy nagle jadący na czele Jarmis gwałtownie zatrzymał wierzchowca.

— Jasna cholera. Widzieliście?

Szpiedzy omal nie pospadali z koni, próbując je wyhamować. Byli przekonani, że zabójca dostrzegł jakieś niebezpieczeństwo.

— Co takiego? — zapytała szepetem Ignae.

— Królewski wolpertinger. Czarne futro w białe cętki. Przebiegły drogę jakieś pięćdziesiąt jardów przed nami.

— I to dlatego nas tak wystraszyłeś?

— Wiesz, ile warte jest takie futro? Co najmniej dwa suwereny.

— Ponoć, kto go zobaczy, będzie miał szczęście przez trzy dni — wracił Dwight.

— Tak, oczywiście, przez trzy dni, a jakżeby inaczej. — Jarmis nie wierzył w przesądy i denerwował go kult liczby trzy. — Widziałem go już kilka razy i nigdy nie przyniósł mi szczęścia.

— A może chodziło o to, by go złapać? Nie pamiętam.

— Akurat to nigdy mi się nie udało, ale nie zamierzam się poddawać. — Zabójca zeskoczył z wierzchowca i wyjął z bagażu łuk. — Zajmijcie się moim koniem. Idę zapolować na skubańca.

— Ty tak na serio? — zapytała zdziwiona Ignae.

— Jak najbardziej. Jedźcie dalej beze mnie. Odnайдę was za kilka godzin, najpóźniej jutro rano.

Szpiedzy nie rozumieli decyzji zabójcy, lecz nie zamierzali jej komentować. Gdy Jarmis zniknął w zaroślach, ruszyli w dalszą drogę.

Wolpertingerami nazywano wszystkie hybrydy małych ssaków, jakie zamieszkiwały lasy i pola Lotherebemm. Odmian istniało co niemiara, a na dodatek wciąż powstawały nowe, więc ich katalogowanie nie miało sensu i na dobrą sprawę wiedziano niewiele o tych dziwacznych zwierzętach. Najczęściej spotykano osobniki o ciele zajęca i głowie jakiegoś miłożernego ssaka, na przykład kuny, łasicy bądź kota, ale nie brakowało też krzyżówek bardziej przypominających wiewiórki, świstaki, lisy czy nietoperze. Wiele wolpertingerów posiadało rogi o rozmaitych kształtach, a także przesadnie duże zęby, przez co swym wyglądem często budziły strach u ludzi. Ci mniej bojaźliwi polowali na wolpertingery ze względu na ich wyjątkowo mięte w dotyku i ciepłe futro.

Arystokratki Trójkrólestwa, które posiadały futro ze skóry królewskiego wolpertingera, można było policzyć na palcach. Hybrydy o czarnej sierści z białymi cętkami były bardzo rzadkie i odznaczały się wyjątkową płochliwością, przez co ich złapanie stanowiło nie lada wyczyn. Jarmis próbował tej sztuki parokrotnie, za każdym razem odnosząc porażkę. Nie wierzył, że tym razem będzie inaczej, ale nie miało to znaczenia. Pojawienie się nieuchwytnego zwierzaka było dla niego tylko pretekstem, by bez podejrzeń odłączyć się od szpiegów.

Kilka mil od miejsca, w którym wolpertinger przebiegł mu drogę, znajdowała się dawna siedziba Arad úš, którą Jarmis zawsze chciał odwiedzić, lecz nie miał ku temu okazji. Gildia była zmuszona ją opuścić przed dwoma wiekami, w trakcie jej ostatniego poważnego spięcia z Koroną. Lokalizacja kryjówki została wówczas ujawniona za sprawą zdrajcy, który mając dość Służby Krwi, zdecydował się współpracować z monarchą. Od tego czasu zabójcy mieszkali na Wyspie.

Przebiegły futrzak cały czas był w ruchu, co chwila zmieniał kierunek i chował się w zaroślach. Za każdym razem, gdy Jarmis naciągał już cięciwę, zwierzę znikało mu z pola widzenia. Zabójca wiedział, że będzie mógł oddać tylko jeden strzał. Kiedy tylko wolpertinger poczuje zagrożenie, pomknie co sił przed siebie i ślad po nim zaginie.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności stworek póki co zmierzał w stronę gór, gdzie w ukrytym wądole znajdowała się stara kryjówka Arad úš. Jarmis podążał śladem zwierzęcia od dwóch godzin, kilka razy gubiąc i odnajdując jego trop, kiedy nagle rozległ się głośny szczepek metalu. Zaalarmowany zabójca przygotował łuk do strzału i zaczął się skradać, próbując ustalić źródło dźwięku. Po chwili odnalazł zwłoki zwierzęcia uwięzione w potrzasku przytwierdzonym grubym łańcuchem do pobliskiego drzewa. Pułapka była duża, przeznaczona na niedźwiedzia, lekko zardzewiała, ale z pewnością nie mogła być pozostałością po dawnych Arad úš. Ktokolwiek ją zastawił, mógł poukrywać w pobliżu więcej zasadzka, więc Jarmis postanowił zachować ostrożność.

Na miejscu oskórował przeciętego wpół wolpertingera, upchnął futro do kieszeni i rozpoczął poszukiwania wejścia do kotły. Doszedł do stromego podnóża gór i po chwili zawahania skierował się na północ. Odnalazł charakterystyczny, wielki głaz, który przed wiekami musiał oderwać się ze skalnej ściany. Wiedział, że znajduje się już blisko. Zaczął przeczesywać gęste pnącza porastające zbocze góry, aż natrafił na wyłom w skale. Szczelina była na tyle szeroka, że swobodnie można było przejechać przez nią konno, a jednocześnie tak dобра, iż panował w niej niemal kompletny mrok. Przyzwyczał oczy do ciemności, po czym wszedł do środka.

Poruszał się powoli, ostrożnie, mimo to dopiero w ostatniej chwili dostrzegł linkę rozciągniętą w poprzek tunelu. Spojrzał w górę i ujrzał zarys nabitej kolcami belki czekającej na zwolnienie podtrzymującego ją mechanizmu. Serce zabiło mu szybciej, przystanął więc na moment, by się uspokoić. Przeszedł ponad pułapką, w nadziei, że nie napotka na więcej niebezpieczeństw. Po kilku kolejnych jardach zrobiło się nieco jaśniej; w oddali dostrzegał koniec skalnego korytarza.

Z każdym krokiem stąpał coraz pewniej, jednak u samego wyjścia znów musiał się zatrzymać. To, co początkowo wziął za pnącza częściowo przesłaniające otwór, w rzeczywistości

okazało się być makabryczną zasłoną, wykonaną z nawleczonych na sznury kości. Ludzkich kości. Wszystko podtrzymywała zatknięta w szczelinie na wysokość dziesięciu stóp rozpórka.

Piękna nalegała, by zatrzymali, ale ciekawość Jarmisa mu na to nie pozwoliła. Zabójca przykucnął za kościanymi girlandami i przez kilka minut obserwował niewielką kotlinę. Znacznie mniejsza od Wyspy, mogła liczyć co najwyżej trzy akry ziemi. Większość terenu porastała krzewina, a pod południowym zboczem stała prymitywnie wykonana, samotna chata, do której prowadziła wąska ścieżka. Gdzieś tam, spośród zarośli, wystawały ruiny kamiennych budowli. Nie dostrzegłszy żywej duszy, Sługa Krwi wyszedł ze szczeliny, po czym korzystając z osłony krzaków, zakradł się bliżej szałasu.

Zajrzał przez okno. Wewnątrz znajdowało się kilka niestarannie wykonanych mebli, trochę naczyń, narzędzi i innych przedmiotów. Ich właściciel najwyraźniej nie przepadał za porządkiem. Zabójca postanowił nie wchodzić do środka, wolał rozejrzeć się dokładniej po okolicy. Trzymając się blisko ścian wądołu, zaczął obchodzić go dookoła.

Przy północnym zboczu, naprzeciw chaty, natrafił na wejście do jaskini. Jej czeluści rozświetlały migoczące na ścianach płomienie, dało się też słyszeć dochodzące zeń metaliczne dźwięki i ludzki głos. Osoba do której należała, była zdenerwowana, o czym świadczyły rzucane co chwila siarczyste przekleństwa. Jarmis zostawił łuk, który wewnątrz groty byłby nieporęczny, dobył miecza i wkroczył w półmrok.

Początek jaskini stanowił wąski, noszący ślady obróbki korytarz. Jarmis pokonał go bezszelestnie i zatrzymał się u wejścia do mającej kształt kwadratu, obszernej części pieczary. Na ścianie po lewej stronie zatknięta była pochodnia, po jej bokach, na ziemi, usypano dwa kopce. Mniejszy ze stosów tworzyły ludzkie czaszki, natomiast większy pozostałe kości szkieletu. Po prawej stronie znajdowało się źródło hałasu: wychudzony starzec próbujący oswobodzić okaleczone zwłoki przytwierdzone do ściany ciężkimi kajdanami. Nieboszczyk musiał przebywać w niewoli przez dłuższy czas. Dookoła było pełno jego odchodów, przez co w jaskini panował smród nie do zniesienia.

— Cholerne, zardzewiałe gówno — przeklął chudzielec, szarpiąc się z okowami.

Szanse na zakradnięcie się do mężczyzn był niewielkie, gdyż Jarmis musiałby stanąć pomiędzy nim a pochodnią, rzucając przy tym wielki cień na ścianę. Choć zabójca nie do końca wiedział, z kim ma do czynienia, pomimo upiornej scenerii miejsca uznał, że zagrożenie jest niewielkie i nie potrzebuje od razu obezwładniać nieznajomego.

— Zgubiłeś klucz? — zapytał, wynurzając się z korytarza. Jego niski głos zadudnił głośnym echem.

Mężczyzna podskoczył ze strachu, lecz szybko opanował nerwy, podniósł leżący na ziemi młotek i odwrócił się w stronę intruza.

— Kim jesteś?

— Ciekawskim obieżyświatem, poszukiwaczem przygód, amatorem mocnych doznań. Chyba trafiłem we właściwe miejsce. To twoja kolekcja? — Wskazał mieczem na stosy kości.

— Moja. Jeśli nie schowasz miecza, to zaraz do niej dołączysz — pogroził rachityk. W jego głosie pobrzmiawała wściekłość i szaleństwo.

— Mocne słowa jak na cherlawego starca, jednak póki co miecz pozostanie w mej dloni. W co się tutaj bawisz? Kanibalizm, kult śmierci czy po prostu jesteś zwykłym pojebem, który musi zabijać?

— Nie waż się mnie obrażać, prostaku. Jestem członkiem najstarszej, najznamienitszej organizacji Lotherbemm. Jestem Arad úš.

Gromki śmiech Jarmisa wypełnił ciemną grotę. Zabójca rechotał długo i mocno, nieuzbrojoną dlonią ocierając oczy, które szczypały od słonych łez i smrodu ekskrementów.

— Z czego tak rżysz, szaleńcze? Życie ci niemiłe?

— Z ciebie przyjacielu, z ciebie. Nawet nie masz pojęcia, jak mnie rozbawiłeś. — Jarmis sięgnął za pazuchę płaszczu i wyciągnął pióro Ziza. — Rozpoznajesz ten symbol?

Na widok pióra mężczyzna upuścił młotek, upadł na kolana i złożył Jarmisowi poklon.

— Tyle lat czekałem, aż wreszcie docenicie moje dzieło i oto nadszedł ten dzień — powiedział mężczyzna, nie odrywając twarzy od cuchnącej ziemi. — Wybacz mi moje kłamstwo, ale nie miałem pojęcia, kim jesteś, panie. Jestem gotów, by rozpocząć Służbę Krwi, ku chwale naszego boga Ugae. Gotów jak nigdy.

Jarmis znowu zaczął się śmiać, lecz tym razem był to gorzki śmiech. Dotarło do niego, że mężczyzna jest kompletnie szalony. Szaleństwo było czymś, czego się bał i nienawidził. Sam borykał się z nim na co dzień.

— Powstań, przyjacielu. Nie musisz mi się kłaniać.

Pomógł mężczyźnie wstać z ziemi.

— Dziękuję. Dziękuję, bracie. — Wariat objął Jarmisa i uścisnął z całych sił. W jego oczach pojawiły się łzy. — To najszczęśliwszy dzień w moim życiu.

— Tak, tak, nie wątpię. Cierpliwość popłaca. No, ale dość już tych czułości. — Odepchnął delikatnie starca. — Zobaczmy, co da się zrobić z tym żelastwem.

Wspólnymi siłami zaciągnęli zwłoki w pobliże chaty. Starzec, przekonany, że wkrótce dołączy do Arad úš, chciał przed opuszczeniem wądołu powiększyć swoją kolekcję o kości ostatniej ofiary. Rozebrał nieboszczyka do naga, po czym wziął się za jego ćwiartowanie. Jarmis siedział na ganku, obserwując i słuchając historii szaleńca.

Nazywał się Jim Gergack i od małego pragnął stać się Arad úš. Dużo ćwiczył, dbał o kondycję, polował na zwierzęta, aż w końcu przerzucił się na ludzi. Będąc jeszcze nastolatkiem, uznał, że jest gotowy wstąpić do Gildii, odwiedził więc najbliższą kapliczkę krwi, by nawiązać z nią

kontakt. Po roku bezowocnego czekania stwierdził, że musiało dojść do jakiejś pomyłki. Odnalazł inną kapliczkę i ponownie zaoferował bractwu swoje usługi. I tym razem nikt się z nim nie skontaktował. W późniejszych latach jeszcze kilka razy powtarzał rytuał, by wreszcie dać sobie z nim spokój. Nie mógł żyć bez zabijania, dlatego postanowił działać w pojedynkę. Udało mu się poznać lokalizację dawnej siedziby Zabójców i uczynił ją swoim mrocznym sanktuarium.

Starzec uporał się z rozczłonkowywaniem ofiary, a uzyskane kawałki ciała powrzucał do wielkiego sagana zawieszonego nad przygotowanym zawczasu paleniskiem. Następnie wszedł do chaty w poszukiwaniu wiadra, przy pomocy którego chciał napełnić kocioł wodą. Jarmis skorzystał z okazji, by zbadać lokum szaleńca od środka.

Nozdrza zabójcy zdążyły już odpocząć od smrodu, jakiego doświadczyły w jaskini, i znowu funkcjonowały jak należy. Po krótkiej chwili spędzonej wewnątrz szałuasu wychwyciły zapach, którego ich właściciel nie spodziewał się tu odnaleźć. Elizium. Źródłem woni był leżący w kącie izby płaszcz.

— Skąd to masz?

— Płaszcz? Należał do tego, którego zaraz będziemy gotować. Mój rozmiar, niezużyty, więc go zachowałem. Jeśli się bratu podoba, to z chęcią go odstąpię. Byłby to dla mnie prawdziwy zaszczyt.

Jarmis zaczął przeszukiwać kieszenie palta, nie odpowiadając ani słowem na propozycję mężczyzny. Ten, zdezorientowany, z wiadrem w dłoni, udał się do sadzawki pod jedną ze ścian wądomu.

Zabójca, nie znalazły nic w kieszeniach, wybiegł na zewnątrz i zabrał się za egzaminowanie reszty odzieży zamordowanego. Cuchnące, przesiąknięte krwią łachmany również emitowały delikatny zapach narkotyku, nie dostarczyły mu jednak żadnej dodatkowej wskazówki. Odrzucił je z powrotem na ziemię i podszedł do kotła, z którego wyciągnął nogę. Wiedział, że po śmierci krew spływa do dolnych kończyn, dzięki czemu są one najodpowiedniejszą częścią ciała do przeprowadzenia kolejnego badania. Obwąchał, a następnie polizał miejsce odcięcia. Krew nieboszczyka smakowała rozkładem, przez co nie był w stanie stwierdzić, czy zawierała w sobie elizium. Ponownie sięgnął do kotła, tym razem po głowę.

— Jeśli pozwolisz, to po wygotowaniu zabiorę czaszkę ze sobą. Będzie pamiątką po moim starym życiu. — Starzec wrócił z wodą i przyglądał się trzymającemu głowę nieboszczyka Jarmisiowi.

— Daj mi to. — Zabójca wyszarpnął mężczyźnie wiadro, wrzucił głowę do środka i zaczął ją obmywać z brudu.

— Nie bardzo rozumiem, co robisz. Ciało jest już stare, nie będziemy go jedli. Nie ma potrzeby go myć.

— Bądź cicho — burknął Jarmis.

— Tak jest. Przepraszam.

Zabójca przypatrywał się oczyszczonej głowie przez dłuższą chwilę. Było w niej coś dziwnego. Po pierwsze, była zbyt mało sina. Po drugie, miała obce rysy i nie wynikało to ze zwiotczenia mięśni ani licznych skaleczeń. Po trzecie: włosy czarne jak noc, wyjątkowo gęste i grube, niczym szczecina. Wszystko wskazywało na to, że Jarmis odnalazł członka szajki rozprowadzającej elizum. Niestety, nie mógł go już przesłuchać. Jim był ostatnią szansą na dowiedzenie się czegoś więcej.

— Gdzie go spotkałeś? — zapytał, wskazując na głowę, a potem wrzucił ją do kotła.

— Tam, gdzie wszystkich. Na drodze do Fellan. Kiedyś działałem na większym terenie, ale ostatnimi czasy nie zapuszczam się dalej.

— Opowiedz mi wszystko: dlaczego akurat on, jak go tu zaciągnąłeś, co mówił, jak się zachowywał. Nie spiesz się. Zależy mi na szczegółach.

— Niewiele mogę powiedzieć. Dziwnie mu z oczu patrzyło, cały był jakiś taki nietutejszy. Nawet chodził inaczej, lekko, jakby się skradł. Rzadko atakuję młodych mężczyzn, ale to była taka chudzina niewysoka, więc uznałem, że sobie poradzę. Potem wszystko potoczyło się jak zawsze.

Starzec wyraźnie się podniecił. Zaczął gestykulować, oczy miał rozbiegane, szalone.

— Trach pałką w tył głowy, wiązanie rąk, knebel w usta. Ma się to doświadczenie. — Uśmiechnął się zadowolony z samego siebie. — A kiedy się obudził, to nóż do pleców i prowadzenie gagatka na postronku. Nawet się nie stawał, trzeba przyznać, że był dzielny. Do czasu. Jak zobaczył moją kolekcję, to zmięktł. Wszyscy miękną, he, he. Zaczął kusić mnie złotem, klejnotami, bylebym go wpuścił, ale nie ze mną takie numery. Nie ma większego skarbu niż przychylność naszego pana, Ugae, a ta wymaga ofiar. Tydzień nad nim pracowałem, zanim wreszcie zaakceptował swój los. Zawsze ich do tego zmuszam. To dla ich dobra. Nie godzi się stawać w gniewie przed obliczem boga.

Starzec zamilkł w zadumie lub po prostu stracił wątek.

— Dawno to było? — dopytywał Jarmis.

— Przedwczoraj wieczorem. Wczoraj padało, a ja nie lubię moknąć, dlatego dopiero dziś wziąłem się za porządki.

— Wspominał coś o narkotykach, kryjówkach albo Białej Pani? Albo coś innego, co zapadłoby ci w pamięć? Postaraj się przypomnieć, to naprawdę ważne.

Jim zastanawiał się długo, a Jarmis co chwila kolejnymi pytaniami bezskutecznie próbował odświeżyć mu pamięć. W końcu zabójca dał za wygraną.

— No trudno. I tak mi bardzo pomogłeś. Chodź tu, niech cię uścisjam.

Starzec, ze łzami wzruszenia w oczach, objął Jarmisa.

— Jesteś dla mnie zbyt dobry, bracie.

— Masz rację. — Jarmis złączył ręce za plecami mężczyzny i napiął mięśnie. — Powinienem przykuć cię do ściany w jaskini i zostawić, ale nie chce mi się wracać do tego smrodu. Umrzesz tutaj.

Ścisnął starca z całej siły.

Nim Jim Gergack zdążył krzyknąć, jego żebra popękały, a przebite płuca zaczęły wypełniać się krwią. Zmarł uduszony czy może raczej utopiony, przez jedyną osobę, którą był w stanie darzyć szacunkiem, a nie pogardą.

Jeśli Trey nie wróci z Dżungli, pewnego dnia skończymy jak Jim: obłkani, w cuchnącej jaskini. Piękna była mocno poruszona spotkaniem z szaleńcem. Obawy o ich wspólny los, nieco stłumione wydarzeniami ostatnich tygodni, teraz znów zaatakowały ze wzmożoną siłą. Jarmis nie próbował jej pocieszać. Oszukiwanie pasażera było niemożliwe. W jego wyobrażeniach ich przyszłość rysowała się znacznie gorzej. Nie była to jednak pora na pogrążanie się w rozpaczy. Miał misję do wykonania.

Odnalazł szpiegów nieopodal miejsca, w którym się rozstali. Agenci rozpalali ognisko, szukając się na nadziejście nocy.

— I jak? Dorwałeś go? — Pierwszy dostrzegł go Dwight.

Zabójca wyciągnął z kieszeni futro wolpertingera i rzucił je chłopakowi.

— Macie jeszcze wino? Muszę się napić.

Kyle odstąpił Jarmisiowi swój bukłak, a ten opróżnił go duszkiem.

— Dzięki. Tego było mi trzeba. — Oddał skórzane naczynie i zaczął przygotowywać się do spania. — Dowiedzieliście się czegoś?

— Nie. Wiocha okazała się tak mała, że nawet nie było tam żadnego złodzieja — odpowiedziała Ignae. — Przepytaliśmy kilku chłopów, ale żaden nic nie wiedział. Strata czasu. — Agentka była wyraźnie zrezygnowana i zmęczona.

— Głowa do góry. Niedługo skończy się nasza tułaczka. Wypocznijcie dobrze tej nocy. Jutro z samego rana jedziemy do Fellan.

— Do Fellan? Przecież po drodze mamy do odwiedzenia jeszcze kilka wiosek.

— Nie będzie to konieczne. Jeśli mamy się czegoś dowiedzieć, to właśnie w Fellan — powiedział Jarmis, po czym zwrócił się do Dwighta. — Młody, miałeś rację. Złapanie wolpertingera rzeczywiście przynosi szczęście. Zatrzymaj futro. Niech będzie rekompensatą za wyśmiewanie się z twoich przesądów.

— Opowiesz nam, co takiego ci się przydarzyło? — zapytał Rick. — Dlaczego Fellan?

— Uwierzcie mi: nie chcecie znać tej historii. Idę spać.

Siódmy dzień dziewiątego obiegu Białego Karła. 272 dzień roku. Fellan. Popołudnie.

Kilkunastotysięczne Fellan miało wyjątkową lokalizację. Mieszkańcy leżącego u podnóża gór miasta nazywali je centrum Trójkrolestwa, gdyż stolice wszystkich prowincji Lotherbemm były od niego oddalone o niemal tę samą odległość. Nie istniało więc lepsze miejsce na siedzibę organizacji, która rozprowadzała narkotyki po całym kraju. Jarmis oraz szpiedzy nie mieli pojęcia, dlaczego wcześniej o tym nie pomyśleli.

Wjechali do miasta od wschodu. Od straży dowiedzieli się, że prowadzony przez Złodziei Dom Kupiecki znajduje się na drugim końcu miejscowości, mieli więc okazję popodziwić jej architekturę.

Fellan prezentowało się lepiej niż większość miast Lotherbemm. Wapienne budynki wzniesiono, trzymając się jednego stylu, ulice były brukowane, czyste i bardzo szerokie, dzięki czemu nie czuło się przytłoczenia. W oddali, na wzniесieniu za miastem, ogromnych rozmiarów młyn górował nad pozostałymi zabudowaniami.

Zajechawszy pod Dom Kupiecki, Rick i Ignae udali się na rozmowę z jego zarządcą, natomiast Jarmis wraz z pozostałą dwójką szpiegów postanowili zaczekać na zewnątrz. W razie gdyby agenci nie zdobyli żadnych informacji, zabójca był gotów ujawnić przed Złodziejami swoją tożsamość. Musiał mieć pewność, że nie próbują niczego zataić, a mało kto odważył się okłamywać Arad úš. Jednak póki co pióro Ziza pozostawało ukryte w jego płaszczu, zaś Gildia Złodziei miała szansę wykazać się współpracą po dobroci.

Mijały kolejne kwadrantse, a agenci nadal nie wracali. Szukając sposobu na zabicie czasu, Dwight przypomniał sobie o lokalnej atrakcji turystycznej.

— Skoro i tak musimy na nich czekać, to może rzucimy okiem na ten słynny, zaklęty miecz. Mijaliśmy kuźnię po drodze, to jakieś dwieście jardów stąd.

— O jaki miecz ci chodzi? — zapytał Jarmis.

— O Caledfilch...fitch, no ten, zaklęty w skale. Miecz Świątła.

— Caledfwlch — Kyle poradził sobie z trudnym słowem. — Chyba nie liczysz na to, że uda ci się go odczarować? Fakt, że nie potrafisz wymówić nazwy miecza, to mały problem. Gorzej będzie ze znalezieniem osoby o czystym sercu. Nie widzę nikogo takiego wśród nas.

— Żebyś się nie zdziwił. — Jarmis przemówił w imieniu Rubie. — Nie wiedziałem, że Miecz Świątła znajduje się w Fellan. Z chęcią go zobaczę. Chodźmy.

— Ja tu jednak zostanę, na wypadek, gdyby wrócili — zdecydował Kyle.

— Jak chcesz, twoja strata.

Kuźnia, nosząca tę samą, łamiącą język nazwę, co słynny miecz, z zewnątrz wyglądała niepozornie, lecz gdy weszli do jej wystawowej części, ich oczom ukazał się rzadko spotykany przepych. Pod jedną ze ścian podłużnego pomieszczenia wyeksponowano kolekcję pełnych zbroi

płyty, na przeciwniejszej leżał różnego rodzaju broni, w większości o przeznaczeniu bardziej ozdobnym niż użytkowym. Historię każdego przedmiotu opisywała srebrna, grawerowana tabliczka. Próźno było szukać na nich ceny. Nie był to bowiem sklep, tylko muzeum.

— W całym swoim życiu nie widziałem naraz tyle złota i srebra — powiedział Dwight do pilnującego wystawy jegomościa.

— Wezmę to za komplement. Axel Buric. Właściciel kuźni i opiekun Caledfwlch — przedstawił się mężczyzna zdecydowanie zbyt wątpliwy, by być kowalem.

— I gdzie ten magiczny miecz? — zapytał Jarmis. — Nigdzie go nie widzę.

— Caledfwlch znajduje się na podwórzu, za zakładem. Tutaj widzą panowie jedynie część drobiazgów z mojej prywatnej kolekcji.

— Ładne mi drobiazgi. Chciałbym zobaczyć człowieka zdolnego do walki taką siekierką.

— Zabójca wskazał na menstrualnych rozmiarów, dwusieczny topór. — Już się na nie napatrzeliśmy. Prowadź pan na podwórze.

— Oczywiście. Muszę jednak panów poinformować, że oglądanie Caledfwlch wiąże się z opłatą dziesięciu asów od osoby.

Jarmis zapłacił za ich obydwu i przez tylne wyjście zostali zaprowadzeni na niewielki dziedziniec. Na jego środku, ogrodzony niskim płotem, znajdował się głaz, z którego wystawało około stopy główni i złota rękojeść miecza. Orzeźwienie nie zachwyciło ich swym wyglądem. Większość broni z wystawy prezentowała się znacznie okazalej.

— Phi, liczyłem na coś więcej — skomentował Dwight. — No dobra, mniejmy to za sobą.

Kto pierwszy spróbuje szczęścia?

— Próba wyjęcia Caledfwlch jest dodatkowo płatna — wracił właściciel. — Korona od osoby.

— Teraz już wiem, skąd miałeś pieniądze na swoją kolekcję. — Jarmis znowu sięgnął do sakiewki.

— Daj spokój, to za drogo. Szkoda forsy — przekonywał młody szpieg.

— Mam jej dość, by kupić pół Fellan łącznie z kuźnią i kolekcją tego kutwy. Poza tym, martwy wolpertinger zapewnia mi fart przez kolejne dwa dni, więc czemu by tego nie wykorzystać? No dalej, młody. Ty pierwszy.

Na parterze Domu Kupieckiego panowała rejwach. Recepjonista wykłócał się z otyłym, czerwonym ze złości handlarzem wełny, podczas gdy dłuża kolejka zniecierpliwionych petentów głośno komentowała sprzeczkę. Kilkanaście kolejnych osób, w grupach rozproszonych po całym holu, przekrzykując hałas, dyskutowało o interesach. Nie chcąc tracić czasu, Ignae przecisnęła się na początek kolejki i podeszła do recepcji.

— Chcę się widzieć z waszym naczelnikiem. Gdzie go znajdę? — zapytała, wchodząc w słowo handlarza, który właśnie wygłaszał tyradę o skandalicznie wysokim opodatkowaniu wełny.

— Cóż to za maniery — oburzył się grubas. — Obowiązuje kolejka, zupełnie tak samo jak w burdelu. Wnosząc po twojej fryzurze, powinnaś coś o tym wiedzieć.

Kilka osób stojących za grubasem parsknęło śmiechem.

— Numer pokoju i piętro. — Ignae zignorowała obiegę.

— No patrzcie ją, nie może choć na chwilę zapomnieć o robocie. W jej głowie tylko numerki i pięterko.

Tym razem zaśmiali się wszyscy, oprócz Ricka, który pozornie niezainteresowany całą sytuacją, krążył po holu, starając się podsłuchać, czy przypadkiem ktoś nie rozmawia o elizium.

— Naczelnik ma teraz przerwę. Trzeba czekać. W kolejce. — Urzędnik choć w jednym zgadzał się z grubasem.

— Głucha jesteś kobieto? Idź stąd i nie przeszkadzaj porządnym obywatejom. — Handlarz chwycił ją za ramię i spróbował odciągnąć od kontuaru.

Agentka wyrwała się z uścisku, złapała grubasa za dłoń i wykręciła mu rękę. Następnie kopnęła go pod kolano, zmuszając do klęknięcia. Wszystko przebiegło błyskawicznie i gładko, pomimo iż mężczyzna był od niej znacznie większy. W pomieszczeniu zapanowała cisza.

— Dotknij mnie jeszcze raz, to zgnijesz w lochu.

Ignae puściła handlarza, nachyliła się nad kontuarem i pokazała recepcjonistce odznakę, starając się, by nikt inny jej nie dostrzegł.

— Trzeba było tak od razu. Proszę za mną.

Agenci zostali zaprowadzeni na drugie piętro, przed drzwiami naczelnika. Recepcjonista kazał im zaczekać, po czym wszedł do środka.

— Ty rozmawiaj z naczelnikiem, ja jestem zbyt rozjuszona. — Ignae zwróciła się do Ricka.

— W porządku.

— Jak zakończymy tę misję, biorę sobie półroczny urlop. Muszę z powrotem zapuścić te cholerne włosy, bo ciągle ktoś mnie przez nie zaczepia.

— A co, jeśli znowu będziesz musiała pracować pod przykrywką?

— Niech znajdą kogoś innego. Nie powinnam wykonywać takich zadań, w końcu jestem oficerem.

Zostali wezwani do środka. Recepcjonista wyszedł, zostawiając ich sam na sam z naczelnikiem. Był to starszy, szpakowy mężczyzna, którego przekrwione oczy zdradzały, że miał za sobą mocno zakrapianą noc. W trzęsących się dloniach kurczowo ściskał kubek z wodą.

— Ponoć przywiało was aż ze stolicy. Co mogę dla was zrobić? — zapytał z trudem, po czym nabrał pełne płuca powietrza, zwalczając nudności.

— Na wstępie muszę pana poinformować, że wykonujemy ściśle tajną misję i nic, co zostanie powiedziane w tym pomieszczeniu, nie może go opuścić.

Mężczyzna westchnął ciężko.

— Jestem tylko trybikiem w maszynie zwanej Gildią Złodziei. W naszym świecie osoba z pękającą sakiewką jest w stanie dowiedzieć się wszystkiego. — Wziął maleńki łyk wody. — Osobiście cenię sobie spokój i nie chcę podpaść Agencji, ale nie wszystko zależy ode mnie. Przykro mi.

— Cóż. Rozumiem. — Rick docenił szczerość i nie zamierzał dalej naciskać na poufność.

— Zatem przejdźmy od razu do konkretów. Jesteśmy na tropie szajki handlującej narkotykami. Czy nazwa elizium jest panu znajoma?

— Pierwsze słyszę. W Wyjącej Dolinie narkotyki oraz narkomani są rzadkością.

— Czy w Fellan mieszka ktoś o egzotycznej urodzie? Chodzi mi o osoby z ciemniejszą karnacją, nietypowych rysach albo nawet o kogoś wyglądającego zwyczajnie, lecz posiadającego dziwny akcent.

— Czy mieszka tu ktoś taki? Chyba nie. W każdym razie nikt nie przychodzi mi na myśl. Jesteśmy jednak w centrum Lotherebemm, co roku tysiące podróżnych przewijają się przez miasto. Czasami zjawi się ktoś z Sinmow lub Morsstand, bywa też, że zauroczony naszym miastem zostanie na dłużej.

— Interesuje nas ostatnie kilka miesięcy. Na pewno nie pojawił się nikt wyjątkowy, podejrzany? Cenna będzie każda, choćby najmniejsza poszlaka.

— Jako naczelnik jestem informowany jedynie o najważniejszych rzeczach, z oczywistych względów nie mogę zaprzątać umysłu każdej pierdołą. Ale jeśli chcecie, mogę zwołać moich podwładnych, może oni będą w stanie was pomóc.

— Sam nie wiem.

Rick spojrzał na Ignae, szukając rady. Gdyby przystali na propozycję naczelnika, każdy złodziej w Fellan poznałby cel ich wizyty. Ryzyko, że szajka stojąca za elizium zostanie ostrzeżona o ich obecności w mieście, było bardzo wysokie.

Agentka rozumiała obawy kolegi i podobnie jak on nie wiedziała, jak postąpić. Stała zamyślona, nieobecnym wzrokiem patrząc za okno i nie odzywając się ani słowem.

— Poruczniku? Wszystko w porządku? — Rick przywołał ją do rzeczywistości.

— Nie, yyy, znaczy tak. Zapatrzyłam się na młyn. Niesłychany widok. Nawet w Wartegall nie uświaddzi się podobnego kolosa.

— Doprawdy? — zdziwił się naczelnik. — Nigdy nie podróżowałem poza Wyjątą Dolinę, więc nie mam porównania. Młyn to nasza chluba. Otrzymywana w nim mąka jest rozwożona po cukierniach w całym królestwie. Ponoć wypieckone z niej ciastka nie mają sobie równych. Ja nie

mogę tego potwierdzić, bo nie przepadam za słodyczami. Słodkie nie pasuje do mojego ulubionego trunku.

— Mąka z Fellan jest rozwożona poza Dolinę? To się w ogóle opłaca?

— Najwyraźniej. Panna Revertier wyłożyła za młyn okrągłą sumkę trzy lata temu, ale ponoć już się wszystko zwróciło. — Nagle zmarszczył brwi. — Hmm, śmieszna sprawa. Właśnie sobie przypomniałem, że gdy panna Revertier się u nas pojawiła, to mówiła z akcentem, jakiego wcześniej nie słyszałem.

Ciszę, która na chwilę zapadła w pomieszczeniu, przerwała znów w pełni skupiona Ignae.

— Chcę wiedzieć o niej wszystko.

— Zatem zapraszam do archiwum. — Złodziej odstawił kubek i wstał z fotela. Rozmowa ze szpiegami pomogła mu dojść do siebie. — Ktoś tak wpływowym jak panna Revertier powinien mieć grubą kartotekę.

— Poddaję się — oznał Dwight po kilkunastu sekundach szarpania się z mieczem. — Najwyraźniej moje serce nie jest dość czyste, bym mógł zdjąć zaklęcie. Może tobie pójdzie lepiej — skinął na zabójcę i odstąpił od kamienia.

Jarmis przeszedł przez furtkę w płocie, strzelił kośćmi palców i chwycił oburącz rękojeść. Pociągnął z całej siły. Miecz nawet nie drgnął. Nie tracąc rezonu, zaparł się nogą o głaz i spróbował ponownie. Znowu nic. Wyglądało na to, że bez pomocy Bestii się nie obejdzie. Zabójca przywołał Behemota z czerwienią umysłu, w której go więził. Ich wspólny mózg momentalnie zaczął produkować ogromne ilości hormonów zwiększających moc mięśni. Jarmis nabrał pełne płuca powietrza, po czym przystąpił do trzeciej próby. Szarpał na wszystkie strony, ale Caledfwlch nadal pozostawał na swym miejscu. W końcu zabójca stanął pewnie na ziemi i zaczął od dołu napierać na rękojeść. Po chwili głaz, w którym tkwił miecz, zaczął pomału wychodzić z ziemi.

— Panie, co pan robisz! — zawała Axel Buric. — Złamiesz ostrze!

Jarmis zignorował jego krzyki. Zdjął jedną dłoń z rękojeści i włożył ją pod krawędź kamienia, następnie to samo zrobił z drugą.

— Młody, pomóż mi.

— Przestańcie natychmiast albo zawałam straże.

Dwight doskoczył do zabójcy i wspólnymi siłami, po krótkiej walce, wydobyli kamlot z ziemi.

— Zaklęty miecz, psia jego mać! — zaklął zdyszany Jarmis, otrzepując rękawice z piachu. — Ładnie to sobie wykombinowałeś.

Wywrócony spodem do góry kamień zdradził swój sekret. Jego środek był wydrążony i zalany żelazem, w którym poprzez szczelinę w górnej części głazu zatopiono zdobiony złotem miecz. Wyciągnięcie broni było niemożliwe.

— To nie ja! Caledfwlch należy do mojej rodziny od pięciu pokoleń. Nie miałem pojęcia, że to oszustwo — zapewniał Axel Buric.

Był prawdziwie szokowany, lecz nie dało się stwierdzić, czy dlatego, że legenda Caledfwlch okazała się oszustwem, czy też bał się o utratę źródła dochodów.

— Chciałbym ci wierzyć, ale mam z tym problem. Tylu oszukanych ludzi, coś okropnego. Strach pomyśleć, co o tobie pomyślą, gdy dowiedzą się prawdy.

— Nie musicie im o niczym mówić. Możemy się jakoś dogadać.

— Co o tym myślisz, młody? — Jarmis uśmiechnął się porozumiewawczo.

— Szkoda byłoby niszczyć legendę, lecz niestety z natury jestem gadatliwy. Musiałbym dostać dobry powód, by trzymać gębę na kłódce.

Po krótkich negocjacjach opuścili przybytek Caledfwlch bogatsi o pięć suwerenów. Chociaż to głównie Jarmis przyczynił się do odkrycia tajemnicy, uzyskanymi pieniędzmi podzielili się po połowie.

— Nie mogę w to uwierzyć — powiedział Dwight, gdy wracali w stronę głównej ulicy Fellan. — Taka kupa forsy! Co z tym robić? Mógłbym chlać dzień w dzień przez kilka lat albo kupić sobie jakąś ładną posiadłość.

— Pierwsza opcja wydaje mi się dużo bardziej ciekawa — odparł Jarmis. — Jak to mówią: *łatwo przyszło, łatwo poszło*. Jednak nie ma co się zbytnio podniecać. Kiedyś jednego dnia udało mi się zarobić ponad sto suwerenów. Do dzisiaj mam w pamięci kaca po imprezie, jaką wtedy urządzyliśmy.

— He, he, nie wątpię.

Wychodząc z bocznej uliczki na główny trakt, omal nie zderzyli się z trójką szpiegów.

— O, w końcu jesteście. Nie uwierzycie, co nam się przydarzyło. — Dwight szybko zapomniał o dopiero co złożonej obietnicy milczenia.

— Nie ma czasu na twoje historyjki. — Ignae sprowadziła podwładnego na ziemię. — Mamy ich. A właściwie ją.

Szli uliczkami Fellan, kierując się w stronę młyna. Po drodze Ignae streszczała to, co jej i Rickowi udało się dowiedzieć w Domu Kupieckim.

— Mona Revertier pojawiła się w Fellan przed trzema laty, podając się za szlachciankę z Południa. Już tutaj pojawiają się moje wątpliwości. Spędziłam ponad pół roku w Dumserlan i okolicach, w tym kilka miesięcy jako podstawiona służka na dworze jednego hrabiego i nazwisko Revertier nigdy nie obiło mi się o uszy. Na dodatek miała niespotykany akcent, którego z czasem udało się jej pozbyć. Zarządcą nie był w stanie określić, skąd ów akcent może pochodzić, mimo iż przez Fellan przewijają się ludzie z całego Trójkrolestwa i nie tylko. Pierwszym, co zrobiła po przybyciu do miasta, było zakupienie młyna.

— Trochę to dziwne. Pojawia się znikąd i od razu decyduje się na taką inwestycję? — zauważył Dwight.

— Bardzo dziwne — zgodziła się agentka. — Założę się jednak, że była to przemyślana decyzja. Musiała upatrzyć go sobie wcześniej lub ktoś inny zrobił to za nią. Z tym młynem to w ogóle jest dziwna historia. Należał do jednej rodziny przez kilka pokoleń, do czasu, aż trzy lata temu został przegrany w karty. Z ciekawości sprawdziliśmy kartotekę starego właściciela. Gość nie był żadnym nałogowcem. Lubił pograć, ale nigdy nie stawał więcej niż kilka srebrników. Aż tu nagle bach: ryzykuje cały majątek i oczywiście przegrywa.

— A kto go wygrał? — zapytał Kyle.

— Tego nie byliśmy w stanie ustalić. Przypuszczam, że jakiś figurant. Po kilku tygodniach od wygranej sprzedał młyn Revertier i ślad po nim zginął. Revertier z powrotem zatrudniła większość starych pracowników młyna, lecz zmieniła model biznesowy, który sprawdzał się przez dziesięciolecia. Przestała zaopatrywać w mąkę Fellan i północną część Doliny. Zamiast tego założyła sieć cukierni o nazwie *Marzenie Mony*, której placówki znajdują się w Wartegall, Welfare i Rodawnzarze. To do nich rozwożona jest cała produkowana mąka.

— Jeśli to w ogóle jest mąka — wtrącił Dwight.

— Czasami kupuję ciastka w Marzeniu Mony i muszę przyznać, że faktycznie są dobre. Nie zauważałem jednakże, by było w nich coś dziwnego — powiedział Rick.

— Dowiedziałaś się o tej Monie czegoś więcej? — Jarmis nie był zainteresowany mąką ani ciastkami. — Jak wygląda? Rozumiem, że mieszka przy młynie, skoro tam nas prowadzisz. A może ma jakieś inne posiadłości w Fellan? Nie możemy jej spłoszyć, zjawiając się we młynie pod jej nieobecność.

— Wysoka, szczupła blondynka o niebieskich oczach. Tak opisał ją zarządca. Mieszka w dworku koło młyna, ale nie ma pewności, że ją tam znajdziemy. Podobno kocha góry i często urządza sobie po nich kilkudniowe wędrówki, nawet jeśli jest mróz i zawierucha. Ponoć to dla gór osiadła w Fellan, ale my wiemy lepiej. — Agentka zamilkła na chwilę zamyślona. — Uważam, że najlepiej będzie objąć młyn obserwacją. Prędzej czy później Revertier się pojawi i wtedy ją dorwiemy.

— Tak. To będzie wasze zadanie — zadecydował zabójca. — Ja nie zamierzam czekać.

Wyczekali nadziejca zmierzchu ukryci na skraju lasu okalającego młyn szerokim półkolem. Wówczas, korzystając z osłony mroku, zakradli się bliżej; czwórka szpiegów, rozdzieliwszy się, otoczyła posiadłość z każdej strony, natomiast zabójca podszedł pod same zabudowania.

Posługując się węchem, próbował ustalić, czy Mona przebywa w środku. Wyczuł zapach kilkunastu osób, w tym także paru kobiet. Byli to pracownicy młyna wraz z rodzinami, którzy zamieszkiwali zachodnią i środkową część dworku. Wszyscy pachnieli podobnie, zwyczajnie.

Jarmis, choć nie miał całkowitej pewności, uznał, że właścicielka młyna powinna przynajmniej nieznacznie różnić się zapachem od swoich podwładnych. Zaczął więc obwąchiwać wschodnie skrzydło dworu, lecz to okazało się puste. Na koniec sprawdził zabudowania gospodarcze, gdzie wreszcie natrafił na coś interesującego: jeden z magazynów był przesiąknięty zapachem elizum. W końcu miał niezbity dowód na to, że Revertier jest zamieszana w śmierć Raya.

Poinformował Ignae o rezultacie przeszpiegów i nakazał jej oraz reszcie agentów pozostać na stanowiskach, sam zaś wrócił na tyły magazynu, do miejsca, gdzie odkrył nikły ślad ścieżki prowadzącej w góry. Poprawił płaszcz, zawiązał mocniej sznurowadła i zaczął biec.

Początkowo szlak wiódł łagodnie pomiędzy zboczami gór, by po około dwóch milach zacząć piąć się stromo po grani jednego ze szczytów. Następnie raz po raz opadał i wznosił się, na przemian wijąc się skrajami skalistych urwisk i niknąć wśród iglastych drzew bądź kosodrzewiny. Co jakiś czas Jarmis przystawał, aby upewnić się, że nie zboczył ze ścieżki, a dwa razy musiał się cofać, by ją odnaleźć. W końcu, po dwóch godzinach morderczego biegu, dotarł na dno kotliny porośniętej rzadkim lasem. W oddali, na jej drugim końcu, dostrzegł strużkę dymu unoszącą się nad czubkami drzew. Przysiadł na kamieniu, dysząc ciężko ze zmęczenia.

Odzyskawszy nieco sił, ruszył niespiesznie poprzez las. Po kwadransie ujrzał źródło dymu. W oknach sporej, kamiennej chaty migotała poświata paleniska, a z wnętrza budynku dobiegały roześmiane głosy. Zabójcy od razu wydały się one dziwne, ale dopiero gdy podszedł bliżej, pojął dlaczego. Ich właściciele rozmawiali w języku podobnym do starożytnej mowy z Thenorafrein, tej samej, której Arad úš używał w swoich rytuałach.

Serce Jarmisa zaczęło łomotać, co nie zdarzało się z byle powodu. Przykucnął pod jednym z okien, podsłuchując, o czym rozmawiają. Ich akcent był twardy i nie rozumiał wszystkiego, lecz szybko doszedł do wniosku, że gadają o bzdurach. Nos podpowiedział mu, że jest ich trzech i są podpici, a na kolację mieli dziczyznę. Woń kwaśnego wina i przypalonego mięsa nie były jednak dominującymi zapachami w chacie. Był nim natomiast nieuchwytny dla ludzi, ale wyczuwalny dla Bestii zapach elizum.

Skołowany, długo zastanawiał się, co zrobić. Najgorsze było to, że nie miał pojęcia, z kim ma do czynienia. *Czy to możliwe, by powstała nowa Gildia Zabójców, która chce się pozbyć konkurencji?* Wydawało mu się to nieprawdopodobne, lecz póki co, wszystkie dowody na to wskazywały. Śmierć Raya, próba skłucenia Arad úš i Agencji, zaawansowana magia krwi, rozbudowana siatka placówek udających cukiernie. Nie ulegało wątpliwości, że przeciwnik jest dobrze zorganizowany i niebezpieczny, postanowił więc nie działać pochopnie. Wycofał się w stronę lasu i ruszył w drogę powrotną do Fellan.

Zaczynało już świtać, gdy w końcu w oddali ujrzał obracające się leniwie łopaty młyna. Ściągnął szpiegów z posterunków, zebrał ich razem i opowiedział o swoim odkryciu oraz planach. Zamierzał zaatakować mieszkańców górskiej chaty kolejnej nocy, lecz najpierw musieli porządnie

wypocząć. W starciu z tajemniczym przeciwnikiem nie można było pozwolić sobie na błędy z przemęczenia, niemniej ktoś nadal musiał obserwować młyn, na wypadek gdyby pojawiła się Mona. Ignae i Dwight zdecydowali się wziąć pierwszą wartę, zaś Jarmis, Rick oraz Kyle udali się do zajazdu położonego na skraju Fellan, z dala od zgiełku miasta.

Przed snem zabójca objadł się gulaszu z baraniny i opił drogim winem z Dumserlan, by Behemot nie zakłócił mu odpoczynku. Wstał dopiero późnym wieczorem, obudzony pukaniem do drzwi. To dwójka młodych szpiegów zdążyła już wyspać się po swym czerwieniu i była gotowa do akcji.

Zmierzając w stronę młyna, zabójca zastanawiał się, kogo zabrać ze sobą w góry, a kogo zostawić na obserwacji. Jedynie co do Kyla nie miał żadnych wątpliwości: zaawansowany wiekiem szpieg tylko spowalniałby ich w górach, musiał więc zostać. Narwany Dwight był najsprawniejszy z całej czwórki, lecz brakowało mu doświadczenia. Z kolei Rick przeżył dość, by zachować spokój w każdej sytuacji, ale on również najlepsze lata miał już za sobą. Jednak prawdziwy dilemat Jarmis miał z Ignae. Nie chciał jej narażać, dlatego początkowo myślał, by ją zostawić, lecz rozważając różne scenariusze, ostatecznie uznał, że będzie bezpieczniejsza u jego boku. Nie miał wątpliwości, iż w razie niepowodzenia misji, próbowałby złapać Revertier na własną rękę, co nie mogło skończyć się dobrze.

— Kyle, młody, zostańcie tutaj, a nasza trójka uda się w góry — oznajmił, gdy zebrali się razem. — W razie gdybyśmy nie wrócili do południa, wezwijcie posiłki i spróbujcie dorwać Revertier i jej szajkę.

Dwightowi nie spodobała się ta decyzja, lecz swoje niezadowolenie wyraził jedynie poprzez przyjęcie gniewnej miny i skrzyżowanie rąk na piersi.

— Mamy wezwać posiłki z Agencji czy z twojej Gildii? — zapytał Kyle.

— Z Agencji. Gildia potrzebowałaby zbyt dużo czasu, by zająć się sprawą. — Zabójca wyciągnął z kieszeni zwinięty kawałek materiału, wewnątrz którego znajdował się drugi, zakrwawiony. — W razie mojej śmierci wrzućcie to do jednej z kapliczek krwi. Dzięki temu Arad úš będą wiedzieli, kto jest wrogiem, a kto przyjacielem i być może oszczędzą was niepotrzebnych nieprzyjemności.

Nieufny wobec magii krwi Kyle zawałał się przez chwilę, po czym schował zwitek za pazuchę.

— Dziękuję. Mam nadzieję, że się nie przyda.

— Dobra, ruszajmy. Przed nami długa droga.

Szpedzy, lekko wystraszeni faktem, iż Jarmis brał pod uwagę własną śmierć, zaczęli się ze sobą żegnać i życzyć nawzajem powodzenia. Gdy skończyli, Rick i Ignae musieli podbiec, by dogonić oddalającego się szybkim krokiem zabójcę.

Trasę, która poprzedniej nocy zajęła Jarmisowi dwie godziny, teraz pokonali w cztery, a mimo to, gdy dotarli do kotliny skrywającej chatę towarzyszy Revertier, szpiedzy z trudem łapali powietrze w płucu. Zabójca polecił im odpocząć, sam zaś poszedł wybadać, co dzieje się w kryjówce. Obszedł ją dookoła dwa razy, nasłuchując z uwagą, lecz ze środka nie dochodziły żadne dźwięki. Zapach mężczyzn posługujących się starożytnym językiem nadal był wyczuwalny, ale słaby, stłumiony. *Czyżby uciekli?* Jarmis zaczął się denerwować. Podszedł do drzwi, by sprawdzić ich solidność. Wykonane z grubych, nieheblowanych desek, osadzone były na trzech masywnych zawiasach i zamknięte od zewnętrz na kłódkę. *Kurwa mać. Uciekli! – pomyślał.*

Wściekły zabójca wygrzebał z kieszeni zestaw wytrychów i spróbował sforsować zamknięcie, jednak to było tak topornie wykonane i zardzewiałe, że łamał drucik za drucikiem. Bliski furii, zrezygnował z subtelnych rozwiązań. Zdjął rękawice i pazurami wygrzebał wystający z ziemi nieopodal ganka kamlot wielkości dużego arbuzu. Stanął naprzeciw wejścia, uniósł oburącz głaz nad głowę i cisnął nim z całych sił.

Drzwi rozleciały się w drzazgi; pomiędzy zawiasami i kłódką nie ostała się żadna deska. Jarmis, któremu akt destrukcji trochę ulżył, wszedł do środka.

Jeden rzut oka wystarczył mu, by stwierdzić, że chata została opuszczona w pośpiechu. Stół w głównej izbie był zastawiony brudnymi naczyniami, podłoga lepiła się od rozlanego miodu, a jedna z okiennic nie została zamknięta od wewnętrz. Przechodził już na tył chaty, licząc, że znajdzie coś przydatnego w poszukiwaniach zbiegów, gdy zjawili się szpiedzy zaalarmowani hukiem pękających drzwi.

— Co się stało? Gdzie oni są? — Rick nadal dyszał ciężko, ale był gotów do walki, o czym świadczył trzymany w dłoni miecz.

— Uciekli. Ktoś musiał ich ostrzec. Pewnie ci jebani Złodzieje.

— Jesteś pewien, że uciekli? To miejsce nie wygląda na opuszczone. — Ignae również zdążyła wyciągnąć swe niewielkie ostrze. — Spójrz, na ścianie wiszą płaszcz. Mieli czas, by zamknąć drzwi na kłódkę, ale nie zabrali płaszczu?

Jarmis już miał nazwać ją przemądrzałą gówniarą, gdy wtem jego uszy wychwyciły dobiegający spod ziemi szmer. Przystawił palec do ust, dając szpiegom do zrozumienia, by zachowali milczenie, a drugą dlonią wskazał na podłogę. Agenci wnet pojęli, o co mu chodzi, i cała trójka zaczęła się dokładnie rozglądać po posadzce.

Pomimo iż wewnętrz chaty oświetlało jedynie wpadające przez wyrwę w drzwiach światło Księcia i szpiedzy nie dostrzegali zbyt wiele, to Ignae jako pierwsza zauważała niewielki otwór w jednej z desek podłogi. Delikatnie stąpając, podeszła bliżej, wsunęła weń dwa palce i uniosła klapę skrywającą zejście do podziemi.

U podstawy stromych schodów migotał wzburzony powstały nagle przeciągiem płomień oliwnej lampy. Agentka stawała już pierwszy krok w dół, kiedy nagle silne szarpnięcie

pociągnęło ją do tyłu. Spojrzała na Jarmisa, który bezgłośnie skomentował jej zachowanie, pukając się palcem w głowę. Zabójca odsunął szpiegów na bok, przykłekał przy otworze i szybko wsunął weń głowę. Rozległ się świsz wypuszczanej strzały. Jarmis błyskawicznie odchylił głowę, dzięki czemu grot jedynie musnął jego włosy, po czym wbił się w ścianę.

— Uciekają wyjściem na drugim końcu tunelu — oznajmił szpiegom, zamkając klapę. — Zostańcie tutaj. Ja się nimi zajmę.

Rick i Ignae nie oponowali. Pogoń za przeciwnikiem uzbrojonym w łuki, na dodatek w środku nocy, niezbyt im się uśmiechała. Zupełnie inaczej miała się sprawa w przypadku Jarmisa. Ciemność była jego sprzymierzeńcem, a bliskość ofiary wyostrzała zmysły i wywoływała podniecenie. Sługa Krwi znów znalazł się w swoim żywiole.

Pognał na tyły chaty, w ślad za uciekinierami. Było ich trzech, tak jak ustalił poprzedniej nocy. Dwóch zdążyło już zniknąć pomiędzy drzewami, lecz trzeci, ten, który strzelał z łuku, pozostał w zasięgu wzroku. Zabójca gnał, ile sił w nogach, z łatwością omijając przeszkody, które spowalniały jego przeciwników.

Łucznik wreszcie zrozumiał, że nie uda mu się uciec, postanowił więc walczyć. Na jego nieszczęście zapędził się już głęboko w las, którego drzewa blokowały większość rzucanego przez Księcia światła. Naciągnął cięciwę i czekał w nadziei, że w ostatniej chwili uda mu się dojrzeć cel i wystrzelić.

Jarmis widział go dokładnie. Zwolnił, wyciągnął sztylet i zaczął zakradać się półkolem, aż znalazł się za plecami przeciwnika, który był już mocno zdenerwowany czekaniem. Rozglądał się na wszystkie strony, nie skupiając wzroku w jednym miejscu na dłużej niż uderzenie serca, przez co nie widział kompletnie nic. Zabójca podpełzł cichutko na odległość trzech jardów, po czym w dwóch susach doskoczył do ofiary i zdzielił ją pięścią w ucho. Nie chciał jej zabijać, na razie.

Zostawił nieprzytomnego łucznika i ruszył za zapachem jego kompanów. Ci potrafili biegać naprawdę szybko, zyskali też sporą przewagę, gdy zabójca rozprawiał się z ich druhem, lecz nie wystarczyła im ona na długo. Zostali dogonieni, jeszcze zanim dotarli do końca kotliny.

— Šàabarra àm Ķas, níg mah Ķas. Nu šudag.¹⁴

Gdy zabójca znajdował się już bardzo blisko, starszy z mężczyzn zatrzymał swego towarzysza. Obaj wyciągnęli niespotykane w Lotherebemm, zakrywione miecze. Byli gotowi do walki.

— Lú na me nu šudag ta Arad úš.¹⁵ — zawała zuchwale Jarmis.

W dłoniach trzymał noże do rzucania, które wyciągnął jeszcze podczas pogoni.

14 – Skurwiel jest szybki, zbyt szybki. Nie uciekniemy.

15 – Nikt nie ucieknie przed Sługą Krwi.

— Arad úš? — powtórzył z niedowierzeniem starszy mężczyzna. Zaciekłość na jego twarzy została zastąpiona rezygnacją. — Zeu ġiri nu že zišáňa¹⁶ — powiedział cicho i bez chwili wahania podciął sobie gardło.

Drugi uciekinier z przerażeniem przyglądał się, jak jego kamrat upada na ziemię, tryskając dookoła krwią. Wiedział, że powinien pójść jego śladem, ale zabrakło mu odwagi. Stał nieruchomo, sparaliżowany strachem.

Jarmis nie zamierzał czekać, aż młodzian wreszcie się namyśli. Rzucił go nożem w dłoń, wytrącając z niej falcatę, a następnie ogłuszył jednym uderzeniem. Schował noże, obszukał nieprzytomnego, sprawdzając, czy nie ma gdzieś ukrytej broni, po czym dźwignął go z ziemi i przerzucił sobie przez ramię. Chłopak nie mógł ważyć więcej niż dziesięć kamieni, co zabójca przyjął z zadowoleniem. Do chaty była przeszło mila, a przecież po drodze musiał zgarnąć jeszcze łucznika.

— Na całe szczęście nasi przyjaciele zbytnio nie wyrośli — powiedział Jarmis, zrzucając wciąż nieprzytomnych mężczyzn u stóp Ricka i Ignae. Był zmęczony, lecz zadowolony. Na jego twarzy pojawił się nawet niewielki uśmiech. — Niepotrzebnie się ich obawiałem.

— Myśleliśmy, że już nie wrócisz. — Ignae po raz pierwszy ucieszyła się na widok zabójcy.
— Dobrze, że nic ci nie jest.

— Gdzie trzeci z nich? — zapytał rzeczowy jak zawsze Rick.

— Gdy dowiedział się, że jestem z Arad úš, postanowił odebrać sobie życie. Ten tutaj też się nad tym zastanawiał. — Jarmis mocnym kopniakiem wskazał, o kogo mu chodzi. — Jednak jeszcze nie jest tak źle z naszą reputacją. Zwiążcie ich, a ja sprawdę, co skrywa piwnica.

Po zejściu schodami znalazł się na początku długiego korytarza, po którego każdej ze stron znajdowało się sześcioro drzwi. Połowa z nich prowadziła do niewielkich, aczkolwiek wygodnie urządzonych sypialni. Pomieszczenia w głębi korytarza mieściły spiżarnię, warsztat, magazyny oraz więzienie z metalowymi klatkami. Wszystkie posiadały klapy w sufitach, które po otwarciu spełniały rolę świetlików, a także zapewniały wentylację.

Wreszcie, na samym końcu piwnicy, odhalazł to, co interesowało go najbardziej: laboratorium. Nie ulegało wątpliwości, że to tutaj wytwarzano elizium. Czerwony proszek zalegał w niedostępnych zakamarkach i wypełniał szczeliny w kamiennej podłodze. Alchemiczna aparatura ustawniona na środku laboratorium również była nim pokryta. Na stojącym w kącie regale dostrzegł kilkanaście ksiąg, które postanowił zabrać ze sobą na Wyspę po tym, jak upora się z Revertier i jej szajką.

16 – Służą Krwi? Nie dam złapać się żywcom.

Gdy wrócił na góre, okazało się, że obaj mężczyźni odzyskali już przytomność, zaś agenci rozpoczęli ich przesłuchiwanie. Jako że zarówno Rick, jak i Ignae, nie znali pradawnej mowy, przebiegało ono w języku Lotherbemmczyków.

— Wiemy, że współpracujecie z Revertier? To ona jest szefem czy ktoś inny?

Ignae siedziała na odwróconym do góry dnem wiadrze, z którego woda posłużyła do ocucenia spiskowców. Jej głos był spokojny, a oczy wpatrywały się w twarze przesłuchiwanych, sondując, czy ci nie próbują kłamać.

— Powiem wam gówno, pieprzone bieluchy. — Łuczniczka zaledwie dukał po lotherbemmsku. Oczywiście najlepiej akcentował przekleństwa.

— Na co ta złość? Uwierz mi, przedżej czy później i tak zaczniesz gadać. Nie lepiej oszczędź sobie bólu, a nam czasu?

— Lotherbemmczykowie są słabi, nie mają lojalności. My się nie złamać!

— Właśnie. My, czyli kto? Skąd jesteście?

— Pieprz się, dziwko. — Łuczniczka zaciągnął wargi i nie odpowiadał już na żadne pytania, choćby inwektywami. Jego kompan również milczał.

Ignae wstała z wiadra, podeszła do jeńców i stanęła na rannej dłoni młodszego z nich. Przekruciła obcasem kilka razy, dociskając go mocno do ziemi. Chłopak wykrzywił twarz w bólu, ale nie wydobył z siebie choćby najchichszego dźwięku.

— Napałę w kominku. Może rozgrzane żelazo rozwiąże im języki — powiedział Rick, po czym rzeczywiście wziął się za rozpalanie ognia.

Miał głęboką nadzieję, że sama groźba zastosowania tak bestialskich tortur zmusi jeńców do mówienia. Okrucieństwa, jakich był świadkiem w czasie wojny, sprawiły, że starał się unikać przemocy.

— Szkoda na to czasu.

Jarmis, który do tej pory przyglądał się wszystkiemu z boku, postanowił wziąć sprawy w swoje ręce. Choć na wojnie widział znacznie gorsze sceny niż Rick, w przeciwieństwie do szpiega nie stał się przez to bardziej wrażliwy. Wręcz przeciwnie.

— Będzie lepiej, jeśli wyjdziecie — zwrócił się do agentów. — Nie powinniście tego oglądać.

Rick posłuchał jego rady, natomiast Ignae zdecydowała się zostać, czego już wkrótce miała żałować. Zabójca zrzucił płaszcz i ściągnął rękawice.

— Widzisz te pazury — zwrócił się do młodzika, machając mu dłonią przed oczami. — Jestem kimś znacznie gorszym niż zwykłym Arad úš. — Wyszczerzył kły, które od ich usunięcia na Milfgardzie zdążyły już urosnąć na ponad trzy czwarte cala. — Ĝe àm ur zúraah.¹⁷

17 – Jestem pożeraczem dusz.

Kły i pazury nie zrobiły specjalnego wrażenia na chłopaku, który wychował się w Byhrid, pośród zwierzoludzi wszelakiego rodzaju. Jednak, kiedy zabójca przemówił w starożytnym języku, zaczął trząść się ze strachu. Obezwładniającego przerżenia nie wywołały same słowa, lecz sposób, w jaki zostały wypowiedziane, bowiem Jarmis nie wymówił ich swoim głosem, ale głosem Pięknej. Był to głos delikatny, dziewczęcy, groteskowo kontrastujący z fizjonią zabójcy, a co gorsza, potwierdzający prawdziwość jego słów. Nawet Ignae przeszył zimny dreszcz, mimo iż nie miała się czego obawiać ani nie zrozumiała, co powiedział Jarmis.

Sługa Krwi przez chwilę napawał się strachem więźnia, po czym przystąpił do głównej części przedstawienia. Zakneblował łucznika, zaciągnął go przed młodzika i obalił na podłogę. Następnie usiadł mu na piersi, oswobodził jego lewą rękę i jednym cięciem miecza obciął ją na wysokość łokcia. Mężczyzna zaczął wierzgać jak opętany, ale był zbyt słaby, by zrzucić z siebie dwa razy cięższego zabójcę. Krew tryskała z rany na wszystkie strony. Jarmis, patrząc prosto w oczy przerażonego chłopaka, zaczął obgryzać odrąbane ramię jego kompana. W tym momencie Ignae poczuła, że traci kontrolę nad własnym żołądkiem i wyleciała z chaty niczym bełt z kuszy.

Jarmis pożarł mięso z przedramienia w niecałą minutę, a dłoń wraz z gołą kością odrzucił w kąt izby. Nadeszła pora, by zmusić milczącego do tej pory młodziana do mówienia.

— Zaraz rozpoczęnę rytaał. Jeśli twój przyjaciel ma zachować duszę, lepiej, żebyś zaczął gadać — powiedział, po czym rozpoczął inkantację.

Allá Xul

Dingir Xul

Čigim Xul

Čidim Xul

Utuk Xul

Uggae !!!

Ana harrani ša alaktasa la tárát

Ati mé petá bábka

Eli baltüti ima" idu mitüti

Peta bábkama lurúba anaku¹⁸

¹⁸ Złe Bóstwo

Zły Boże

Zła Duszo

Zły Duchu

Zła Duszo

Boże Śmierci !!!

— Przestań. — Chłopak zmięknął w momencie, gdy Jarmis szykował się do podcięcia własnych żył. — Powiem wszystko, tylko przestań.

Zabójca odłożył miecz, sięgnął po linę i zawiązał ją mocno dookoła kikuta łucznika. Nie mógł pozwolić mu się wykrwawić, dopóki młodzian nie skończy zeznawać. Zwołał też Ignae oraz Ricka i gdy ci się pojawiili, wznowił przesłuchanie.

— Zaczniemy od początku. Revertier jest waszą szefową?

— Tak. Nie tylko naszą. Jest jedną z trojga władców I'rrever'te. Nazywamy ją Białą Panią, a jej prawdziwe imię brzmi Merist.

— I'rrever'te? Co to jest I'rrever'te? — zapytała Ignae.

— Chodzi mu o Dżunglę — wytłumaczył Jarmis. — Nasi przyjaciele pochodzą z Dżungli.

Zabójca od razu pomyślał o Treyu, ale póki co, nurtowały go inne pytania.

— Gdzie jest teraz Merist? W Fellan?

— Nie. Tydzień temu wyjechała do Wartegall.

— Po co?

— Żeby... — Chłopak zawahał się przez chwilę — Żeby zabić króla.

*Droga, której szlak nie zwraca
Strażniku Bramy, otwórz swe wrota przede mną
Umarłych będzie więcej niż żywych
Otwórz Bramę, bym mógł w nią wkroczyć*

Rozdział dwudziesty pierwszy – Banici z Sendderet

Ostatni dzień piątego obiegu Bliźniaków. 145 dzień roku. Południowe Krańce.
Peachsout. Wieczór.

Wyszkolenie zdobyte w Ogrodach Harmonii po raz kolejny okazało się zbawienne. Tylko dzięki niemu Iryk był w stanie porozumieć się z Pierwotnymi oraz wytrzymać całonocną jazdę na koribalach pomimo wyczerpania, jakie wywołało zauroczenie wojowników. Jego żal do Niebieskich Braci nie zelzał z tego powodu, ale przynajmniej przestał uważać czas spędzony w Zakonie za stracony.

Na postój zatrzymali się dopiero późnym rankiem, nad brzegiem niewielkiego jeziora. Bestie wyglądały już na wycieczone i Głupcy bali się zmuszać je do dalszego wysiłku. Zresztą oni sami też potrzebowali odpoczynku. Pozwolili sobie na trzy godziny snu w cieniu przybrzeżnych zarośli, po których ruszyli pieszo w dalszą drogę, zostawiając koribale samopas. Nie wiedzieli, czym się żywią, mięsem czy roślinnością, i woleli nie ryzykować stania się posiłkiem dla wygódzonych hybryd.

Tym razem nikt nie zważył na zakwasły i odciski; wszyscy chcieli jak najszybciej znaleźć się na statku. Wieczorem trzeciego dnia od wizyty w Testegaab, która całkowicie pozbawiła ich entuzjazmu do pomocy Victorii, dotarli na obrzeża Peachesout. Przez nękające ich dilematy nieomal zapomnieli, że opuścili miasto w dwóch grupach i nie mogą wrócić razem, nie uniknawszy konfrontacji z podejrzliwym nadzorcą portu. Byli zmuszeni poczekać na nastanie nocy i dopiero wtedy wrócili na statek: sześcioro z nich przez miasto, pozostała czwórka szalupą.

Większość z nich czuła się zbyt zmęczona, by choćby myśleć o kolacji i od razu udała się do tózek. Jedynie dwójka marynarzy zeszła do mesy, gdzie od razu została zasypana pytaniami o przebieg wyprawy. Z ponurymi minami odpowiedzieli, że nie zamierzają zdawać żadnej relacji, dopóki nie zrobi tego kapitan, po czym zabrali talerze ze strawą i udali się na swoje pryczce. Wśród Głupców nie biorących udziału w ekspedycji zaczęły rodzić się rozmaite domyślty.

Iryk, dzielący kajutę z Victorią, obudził się około południa. Dziewczynka nadal spała. Mnich w samotności zjadł obfite śniadanie, po czym udał się do Szalonego. Wiele spraw wymagało wyjaśnienia i chciał mieć to wszystko jak najszybciej za sobą. Dotarłszy pod drzwi kapitańskiej kabiny, usłyszał dochodzące z wewnętrz, podniesione głosy. To Szalony kłócił się z Pierwszym Głupcem. Iryk postanowił poczekać aż skończą.

Po kilku minutach głośnej awantury ktoś zaczął walić ręką w stół, ścianę lub coś innego. Zaraz po tym Pierwszy opuścił kajutę, zatrzaskując za sobą drzwi z donośnym hukiem. Był czerwony ze złości i oddychał głęboko.

- Masz ochotę na pogawędkę z kapitanem? — zapytał, zauważwszy mnicha.
- Miałem. Pokłóciłeś się o Victorię?

— O Victorię? Nie, mój drogi. — Pierwszy uśmiechnął się nieprzyjemnie. — Pokłóciliśmy się o ciebie, Namawiaczu.

Twarz Iryka wykrzywiła się w niekontrolowanym grymasie.

— Później porozmawiasz z tym starym durniem. Teraz pojdziesz ze mną.

Najpierw udali się do mesy, skąd zabrali duży dzban z winem i mniejszy z rumem, a następnie Pierwszy zaprowadził mnicha do znajdującego się na dziobie składu z zapasowym olinowaniem i żaglami. Głupiec wybrał to miejsce, aby nikt im nie przeszkadzał ani nie podsłuchiwał.

Zamknąwszy drzwi na skobel, Pierwszy pociągnął rumu i położył się na stercie popłatających, starych lin. Iryk usiadł pod ścianą, między nogami trzymając dzban z winem.

— Na początku muszę ci podziękować za uratowanie nam skóry — rozpoczął Sage Pajem.

— Do spotkania z Pierwotnymi uważałem cię za pełnego obaw, nie znającego świata i życia, gówniarza z pięknymi ideałami. Właściwie to dalej cię za takiego uważam, ale teraz przynajmniej wiem, że nie jesteś głupi i potrafisz zachować zimną krew.

— Postaram się uznać to za komplement.

— I ten twój dar. — Pierwszego nie obchodziło, jak zostały odebrane jego słowa. — Na łaskę oceanu, z nim wszystko wydaje się możliwe. To przerażające, wiesz? Mógłbyś w tej chwili zejść ze statku i wyrzucić pół Peachsout, nawet nie brudząc sobie rąk.

— Wiem. Między innymi dlatego zdecydowałem się wstąpić do Zakonu. Liczyłem, że praca nad własnym ciałem i umysłem pozwoli mi powstrzymać się przed używaniem tego, jak to określiłeś, daru. I udawało mi się to, dopóki nie spotkałem Victorii.

— Czyli nie przeszysz, że używałeś go na nas? — Pierwszy spojrzał Irykowi prosto w oczy.

— Na was? Oczywiście, że nie!

— Nie podnoś głosu. Oddalasz się od harmonii. — Sage uśmiechnął się złośliwie, lecz zaraz jego twarz znowu spoważniała. — Wiesz, szczerze mówiąc, to sam również nie zauważałem, żebyś nami sterował. Tylko niestety chyba na tym polega ta twoja sztuczka, że się nie ma o tym pojęcia.

— Owszem, nie ma się o tym pojęcia, ale to działa jedynie przez krótki czas. A z wami spędziłem już ponad miesiąc. Zresztą, sam widziałeś, ile wysiłku kosztowała mnie kontrola nad Pierwotnymi.

— Dobra, dajmy już temu spokój. Powiedzmy, że ci ufam. Pytanie brzmi: co dalej? Co zamierzasz? Nadal chcesz szukać rodziców Victorii?

— Chcę dostać się do Lotherbemm — odparł Iryk po chwili zawahań.

Wiedział, że jego następne słowa potwierdzą słuszność pierwotnej, niepochlebnej opinii Pierwszego na jego temat, lecz już go to nie obchodziło.

— Chcę spróbować zapobiec wojnie albo chociaż zmniejszyć liczbę ofiar po obydwu stronach. Przy okazji może uda mi się odnaleźć rodziców Victorii.

— Więc nie zamierzasz dać sobie z nią spokoju? — zapytał Sage, chociaż wcale nie czuł się zdziwiony. — Nie byłoby lepiej zostawić ją tutaj, w Peachsout, pośród ludzi, którzy dzielą jej przekonania?

— Jeśli tu zostanie, nigdy się nie zmieni. Może jeśli zobaczy inne, lepsze miejsca, to z czasem się odmieni?

— I dlatego chcesz ją zabrać w sam środek wojny? Brak w tym logiki.

Iryk pociągnął duży łyk wina. Po raz pierwszy w życiu pił alkohol. Nie zasmakowało mu, ale czuł, że jeszcze zdąży się przyzwyczać.

— Przecież nie będę ciągał jej po polu bitwy. — Skrzywił się, gdy poczuł kwaśny posmak trunku. — Masz rację. Brak w tym logiki, bo nie miałem czasu dobrze wszystkiego przemyśleć. Zresztą i tak nie widzę w tym celu, bo nie wiem, co spotka nas w Lotherbemm. Będę musiał improwizować.

— Będę trzymał za ciebie kciuki. — Pierwszy zacisnął pięść w geście potwierdzającym jego słowa, po czym znowu łyknął rumu. — Nawet pomogę wam dostać się do Lotherbemm.

— Naprawdę?

— Tak, ale...

— Spodziewałem się, że będzie jakieś *ale*. — Mnich przerwał Pierwszemu.

— W prawdziwym świecie niemal zawsze jest. Przyzwyczajaj się.

Próbuje napić się po raz kolejny, Pierwszy zachłysnął się i opluł sobie koszulę. Nie zrażony tym faktem przeszedł z pozycji leżącej w siedzącą i kontynuował:

— Pomogę ci, ale najpierw musisz wysłuchać mojej opowieści. Pamiętasz, jak po raz pierwszy spotkaliście się z Szalonym? A dokładniej to, jak powiedział, że oszalał z nudów?

— Pamiętam.

— To prawda, ale tylko częściowo. Pozwól jednak, że zacznę od początku.

Znamy się z Bartem od dziecka, a to za sprawą naszych ojców. Obaj byli urzędnikami w naszym rodzinnym mieście, Sendderet. Mój kapitanem portu, zaś ojciec Barta nadzorcą skarbcia, czyli po ludzku mówiąc, miejskim skarbnikiem. Ze względu na pełnione funkcje czasami musieli się odwiedzać w celach służbowych i w końcu się zaprzyjaźnili. My również. Mieliśmy wtedy po siedem, osiem lat.

Właściwie to nie wiem, jakim cudem się polubiliśmy. Stało się to chyba na zasadzie przyciągania przeciwnieństw. Ja byłem urwisem. Odwiedzając ojca w pracy, często wysłuchiwałem niestworzonych opowieści marynarzy, z którymi się spotykał, i chciałem być taki, jak oni. Znikałem z domu na długie godziny i szlajałem się po porcie lub wzduż brzegu, skakałem z klifów

i łowiłem z nich ryby. Raz, próbując wyciągnąć z wody coś naprawdę dużego, nieomal spadłem na skały. Gdy miałem dziesięć lat, sam zrobiłem sobie niewielką łódkę i zacząłem żeglować, oczywiście blisko brzegu, żeby zdążyć do domu przed kolacją, ale jak teraz o tym pomyślę, to i tak było to cholernie niebezpieczne. Prądy wokół Sendderet są strasznie zwodnicze, a ja byłem jeszcze gówniarzem. Nie chwalitem się rodzicom swoimi wyczynami i choć kilka razy wróciłem do domu po zmroku czy nawet nad ranem, nie robili mi awantur i jakoś to było.

Jak wspomniałem, Bart był moim przeciwnikiem. Spokojny z natury i na dodatek miał bardzo zaborczych starych. Planowali mu każdy dzień od rana do wieczora, głównie była to nauka oraz pomoc w domowych obowiązkach. Tylko raz w tygodniu miał czas, żeby się ze mną spotkać, ale nawet wtedy nie mógł się wyszaleć. Nie wolno mu było skakać po drzewach, walczyć na kije, grać w berka, nic, przy czym można by sobie zrobić choćby najmniejszą krzywdę. Puszczanie kaczek było najbardziej ekstremalną, dozwoloną rozrywką. Dlatego, gdy się widzieliśmy, najczęściej opowiadałem mu o swoich przygodaach i o tych zasłyszanych od marynarzy, zaś on słuchał i marzył. I na marzeniach zawsze się kończyło.

Później, gdy miałem piętnaście lat, zaciągnąłem się na swój pierwszy statek, niewielką łódź rybacką. Chociaż życie na łajbie nie okazało się tak fascynujące, jak myślałem, nie widziałem dla siebie innej drogi. Uczyłem się szybko i jeszcze szybciej awansowałem. Z rybaków przeniosłem się najpierw na statki handlowe, by w końcu trafić do marynarki. W wieku dwudziestu dwóch lat zostałem pierwszym oficerem wojskowej galery, lecz prędko zrozumiałem, że na kapitańskie pagony przyjdzie mi poczekać ładnych parę lat. A ja nie chciałem czekać. Popływałem jeszcze rok, by odłożyć trochę pieniędzy, kazałem armii pocałować mnie w dupę i kupiłem starą, niedużą kogę. Zebrałem ekipę kilku niezłych obdartusów i mianowałem się ich kapitanem. W końcu pływałem, dokąd chciałem i kiedy chciałem. Bywało ciężko, ale czułem się szczęśliwy.

Życiem Barta nadal sterowali jego rodzice, nie mogę jednak powiedzieć, że miał źle. Odchodząc na emeryturę, jego ojciec przy pomocy swoich znajomości zrobił z Barta swojego następcę. Znalazł mu też żonę, naprawdę ładną dziewczynkę z dobrego domu, ale nie aż tak dobrego, by mogła pogardzić skarbnikiem Sendderet. Rok po ślubie urodził się im syn. Odwiedzałem go raz czy dwa razy w roku. Jego życie, w porównaniu z moim, wydawało się sielanką. Ciepłe posiłki, ciepłe łóżko, rodzina, spokój. Czy Bart był szczęśliwy? Trudno powiedzieć, gdyż nie miał w zwyczaju mówić o swoich uczuciach. Interesowała go tylko moje podróże.

Jesienią, czternaście lat temu, wróciłem do Senderret po naprawdę długim rejsie. Nie dowodziłem już rozlatującą się kogą, lecz nowutką, piękną karaką. Nazbierałem też kilka niezłych historii, którymi czym prędzej chciałem podzielić się z Bartem. Tak to już jest, jak się wróci z morza. Najczęściej spotkałeś się ze wszystkimi naraz i zalał w trupa ze szczęścia, że widzisz ich znajome, nienaznaczone solą twarze. Kupiłem dzban miodu, bo na rum już nie mogłem patrzeć i udałem się w odwiedziny do Barta. Otworzyła mi jego żona. Na wstępnie

oznajmiła, że męża nie ma w domu. Lekko się zdziwiłem, no bo gdzie mógł być Bart późnym wieczorem? Przecież nie w knajpie. Zapytałem o to Darlene, bo tak miała na imię, a ona na to, że Bart siedzi w areszcie. Szczęka mi opadła. Chciałem wyjaśnień. Darlene coś tam burknęła i zatrzasnęła drzwi. Mocno zdenerwowany poszedłem do rodziców Barta, ale nie zastałem nikogo w domu. Pozostało mi tylko jedno – udało się do aresztu. Zażądałem wizytacji, której odmówiono mi, zasłaniając się przepisami. Wtedy nie byłem już zdenerwowany, lecz wkurwiony. Spoliczkowałem nadzorę aresztu i po chwili siedziałem w celi razem z przyjacielem.

Bart został oskarżony o wyprowadzanie dużych ilości pieniędzy z miejskiej kasy i tak jak podejrzewałem, był niewinny. Został wroblowany przez jednego z radnych, niejakiego Waltera Kwala, oraz własną żonę, która miała z nim romans. Ich spisek był misternie zaplanowany, gdyż Bart nie był w stanie udowodnić swojej niewinności. Pogodzony ze swym losem czekał na rozprawę, nie przejawiając żadnych emocji. Nie był zły, zrozpaczony czy przestraszony. Po prostu nic. Wtedy nie wytrzymałem i dałem mu w ryj. Przyparłem go do ściany i krzyknąłem: „Ożyj idioto, ożyj w końcu”. Na moment w jego oczach pojawił się błysk i wyszeptał: „Pomóż mi”. Były to ostatnie słowa, jakie wymieniliśmy tego dnia w celi.

Opuściłem areszt nazajutrz, opłaciwszy śmiesznie niską grzywnę. Nie miałem jeszcze żadnego konkretnego planu. Nie znałem się na prawie i potrzebowałem czyjeś pomocy. Ponownie udało się do domu rodziców Barta i tym razem ich zastałem. Stary Norplent działał od momentu aresztowania syna, zasięgał porad, wykorzystywał swoje stare kontakty. Nie wskórał wiele. Jak wspomniałem, w żaden sposób nie szło udowodnić niewinności Barta, więc ten miał niewielki wybór: mógł jedynie przyznać się do winy lub nie. Wróciłem do aresztu, tym razem z góry opłacając grzywnę, dzięki czemu nadzorca nie dostał w twarz. Przedstawiłem Bartowi obydwie opcje oraz związane z nimi konsekwencje i pozostało nam tylko czekać na rozprawę.

Sąd, tak czy siak, musiał go skazać, więc Bart zdecydował się przyznać. W prawie Sendderet wyznanie winy oraz skrucha traktowane są jako pierwsze kroki na drodze ku harmonii, przez co zapewniają łagodniejszy wyrok. Za przestępstwa, o które był oskarżony, czyli malwersacje finansowe i przywłaszczenie publicznego mienia o dużej wartości, groziło mu długoletnie więzienie, lecz my nie chcieliśmy do tego dopuścić. Powołaliśmy się na zapis prawa, który pozwala sędziemu na wymierzenie kary zgodnej z jego własnym sumieniem i doświadczeniem, z uwzględnieniem jej pozytku dla ładu społecznego i ogólnie pojmowanej sprawiedliwości, pod warunkiem, że szkody wyrządzane przez skarżonego nie są nieodwracalne i skarżony jest im w stanie zadośćuczynić. Taka furtka dla wysoko sytuowanych złodziei, która tym razem mogła przysłużyć się komuś niewinnemu. No i się przysłużyła. Bart musiał oddać dwukrotność tego, co rzekomo ukradł, oraz nakazano mu raz na zawsze opuścić Sendderet. Mogłoby się wydawać, że wyrok nie okazał się surowy, lecz do zapłacenia było, bagatela, pięćdziesiąt sztuk złota i mieliśmy tylko miesiąc na ich zebranie.

Ojciec Barta, mimo iż zadłużył się, u kogo tylko się dało, zebrał jedynie piątą część sumy. Ja nie miałem żadnych oszczędności, żadnego majątku, nic z wyjątkiem statku. Sprzedałem go bez wahania. Dostałem za niego tyle pieniędzy, że po opłaceniu grzywny zostały mi trzy sztuki złota.

Gdy formalności stało się zadość, ratusz zorganizował ceremonię wygnania. W obstawie straży i herolda wykrzykującego przewiny skazanego, Bart przemaszerował przez całe miasto, aż wreszcie przekroczył północną bramę, którą za nim zatrzaśnięto. Towarzyszyłem mu podczas całego pochodu, próbując podtrzymać go na duchu. Na szczęście nikt nie rzucił warzywami ani go nie opluwał, jak ma to miejsce w Lotherbemm w podobnych sytuacjach. Gawiedź ograniczyła się do słów potępienia i wrogich spojrzeń. Nie miałem jej tego za złe, w końcu nikt nie wiedział, że Bart jest niewinny. Nikt z wyjątkiem Waltera.

Skurwiel miał czelność pojawić się na samym końcu trasy, nawet się uśmiechał z satysfakcją. Nie byłem w stanie tego znieść. Gdy Bart zniknął za bramą, ja poszedłem za Walterem. Dopadłem go w pustej uliczce. Stracił kilka zębów, pękło mu kilka żeber. Na szczęście powstrzymałem się przed morderstwem. Nie był tego wart. Niemniej samo pobicie było na tyle poważne, że tym razem nie miałem szans na wyjście z aresztu po opłaceniu grzywny. Dość już miałem przygód z sądami, więc zostawiłem Waltera tak jak leżała i pobiegłem za Bartem. Od tej pory staliśmy się banitami Sendderet.

Na piechotę doszliśmy aż do Rodawnzaru. Przez całe dotychczasowe życie Bart nie opuścił Sendderet i był zachwycony naszym antycznym, a obecnie lotherbemmskim miastem oraz samą wędrówką. Za trzy złote monety, które pozostały mi po opłaceniu grzywny, kupiliśmy marną krydę, bo statkiem nie dało się tego nazwać. Była znacznie gorsza od mojej pierwszej kogi, gorsza od wszystkich rybaków, na jakich płynąłem. Ale była nasza. Nazwaliśmy ją „Za garść monet” i tak rozpoczęła się nasza wspólna przygoda z morzem.

Sage zakończył opowieść, a kolejny tyk rumu wykończył zawartość dzbana. Mnich wysuchał historii z przyjemnością i w skupieniu, lecz jedna rzecz nadal pozostawała dla niego zagadką.

— Jak to się stało, że to Szalony jest teraz kapitanem, a nie ty?

— Faktycznie, zapomniałem o tym powiedzieć. Na początku to ja dowodziłem łajbą, a Bart się wszystkiego uczył, bo o płynowaniu wiedział tylko tyle, ile zapamiętał z moich opowieści. Robiliśmy krótkie rejsy pomiędzy Rodawnzarem, Virserand i Beittleled. Potem kupiliśmy kogę, która pozwalała na dłuższe wyprawy. Ja chciałem dalej zarabiać na handlu, lecz dla Barta to było za mało. Musiał odreagować te wszystkie lata, które spędził, siedząc na dupie. Był żądny prawdziwych przygód i w końcu mnie tą żądzą zaraził. Zaczęliśmy płynąć w miejsca, do których inni płynąć nie chcieli. Dopiero wtedy okazało się, który z nas powinien dowodzić.

Pierwszy zrobił pauzę, próbując ubrać myśli w słowa.

— Widzisz, tak naprawdę statek to nie kadłub i maszty, nie ster, luneta czy sekstans. Statek to ludzie, a z nimi Bart radził sobie znacznie lepiej niż ja. Nie znam nikogo innego, kto potrafiłby równie łatwo motywować załogę, podtrzymywać jej morale i odczytywać nastroje. Musiało to w nim siedzieć od zawsze, ale przebudziło się dopiero wtedy, gdy wyszedł do świata. Dlatego oddałem mu dowodzenie i nigdy nie żałowałem tej decyzji. Przez ostatnie czternaście lat przeżyliśmy wiele wspaniałych momentów, trochę smutnych i całą masę zabawnych, niestety, czas leci nieubłaganie i powoli robię się na to wszystko za stary.

W składzie z olinowaniem zapadła cisza, zakłóczona jedynie przez dochodzące z zewnątrz wrzaski mew. Pierwszy obserwował Iryka, który to z kolei wlepiął wzrok w naczynie z winem.

— Domyślasz się już, o co chcę cię poprosić? — zapytał w końcu Sage.

— Chcesz wrócić do Sendderet?

Pierwszy skinął głową.

— A co, jeśli Szalony się nie zgodzi?

Doszukiwanie się wszędzie problemów leżało w naturze mnicha.

— Musi się zgodzić. Jest mi to winien.

Iryk potrzebował czasu na poukładanie wszystkiego w głowie i podjęcie decyzji. Spędził go na pokładzie, obserwując ludzi krzątających się po porcie. Zajęci swoimi sprawami wyglądały zwyczajnie, niegroźnie, lecz mnich wiedział, jacy są naprawdę. Przynajmniej większość z nich. Chciał opuścić Peachsout i nigdy więcej tu nie wracać. Wczesnym wieczorem był gotów na rozmowę z Szalonem.

— Nie było cię na obiedzie oraz kolacji — powiedział z troską w głosie kapitan, gdy mnich zjawił się w jego kabinie. — Z pewnością nie jest ci łatwo pogodzić się z tym, czego ostatnio byliśmy świadkami, uwierz mi jednak, że niewiele jest spraw, dla których warto skazywać się na burczenie brzucha.

— To nie to — tłumaczył mnich. — Pierwszy raz w życiu piłem wino i bałem się ryzykować jedzenie czegokolwiek.

— Rozumiem.

— Rozmawiałem z Pierwszym.

Iryk przeszedł do konkretów. Nie było sensu odwlekać tematu.

— Wiem. W końcu jestem kapitanem, czyż nie? — Jego głos brzmiał spokojnie i smutnie.

— Domyślam się też, o czym rozmawialiście.

— Postanowiłem pomóc wam odzyskać dobre imię w Sendderet, ale nie chciałbym tego robić wbrew twojej woli.

— Nie uważasz, że gdybym chciał twojej pomocy, to sam bym o nią poprosił?

— Z całym szacunkiem, ale tu nie chodzi tylko o ciebie, kapitanie. Chodzi również o Pierwszego.

— Bzdura. Sprawa pobicia Waltera przedawniła się przed laty. Gdyby Sage chciał sam wrócić do Sendderet, zrobiłby to dawno temu. Chodzi tylko o mnie. Sage chce oczyścić mnie z zarzutów, bo dopiero wtedy będzie mógł uznać, że zrobił to, o co poprosiłem go w celi. Że mi pomógł. Taki to honorowy Głupiec z niego. Poświęcenie mi kilkunastu lat życia to według niego za mało. Musi doprowadzić sprawę do końca.

— A ty nie chciałbyś wrócić? Choćby na chwilę. Przecież nikt nie każe ci osiądać na lądzie.

— Oczywiście, że bym chciał. Ale się boję. Przez wszystkie lata na morzu robiłem szalone rzeczy, wszakże mój przydomek nie wziął się znikąd. Nieraz mogłem zginąć i nieraz się bałem, lecz nigdy tak bardzo, jak boję się powrotu do Sendderet. Nie tak bardzo, jak spotkania z synem. No bo co mu powiem? — Kapitan podniósł głos. — Tatuś miał dość odwagi, by opłynąć kontynent i przez trzy miesiące ścigać białego wieloryba, ale bał się odwiedzić swojego jedynaka?

— Mogli wsadzić cię do więzienia.

— No i chuj! — Kapitan nie był w stanie dalej udawać spokojnego. — Przynajmniej bym mógł spojrzeć mu w twarz.

Zapadła niezręczna cisza. Wzrok Szalonego jak zwykle przeskakiwał z jednego miejsca na drugie, twarz mnicha wykrzywiały nerwowe skurcze. Gdyby obserwował ich ktoś z zewnątrz, musiałby uznać, że do siebie pasują.

— To co w końcu postanowisz? — nie wytrzymał milczenia Iryk.

— Nic. Wszystko jest już postanowione. Sage nie dał mi wyboru. Płyniemy do Sendderet.

— Pytałem o nas. Mam ci pomóc czy nie?

— Tak, do jasnej cholery — wydusił kapitan i od razu poczuł się lepiej. Zupełnie jakby ktoś ściągnął mu z pleców uwierający ciężar. — Chcę, żebyś mi pomógł.

Szalony wyciągnął spod biurka wino i dwa kielichy. Nagadali się już dość, więc przez dłuższy czas siedzieli naprzeciw siebie, pijąc w milczeniu. Wreszcie kapitan dźwignął się z krzesła i przebrał w poplamione farbą szmaty. Następnie wygrzebał z szafy zestaw barwników oraz pędzli i zaniósł je pod pozbawiony malowideł fragment ściany. Iryk siedział, upijając się powoli i patrząc, jak powstaje kolejna część panoramy.

Około północy kapitan ukończył zarysy obrazu. Znalazł się na nim elegancki, drewniany dom, przed którym stał mężczyzna z małą dziewczynką, oboje z tatuażami na czołach, oraz dwa radosne ogary. Nieopodal domu, ustawieni w kręgu jeźdzcy na koribalach wpatrywali się w stojącego przed nimi, długowłosego, ubranego w niebieski habit mężczyznę. Na wszystko to spoglądała, a właściwie dopiero miała spoglądać, wychudzona dziewczynka o czarnych włosach. Póki co nie posiadała twarzy.

Wstawiony Iryk udał się do swojej kabiny, myśląc tylko o tym, by jak najszybciej położyć się do łóżka. Kręciło mu się w głowie oraz odczuwał niepokojące ruchy w żołądku; chciał wierzyć, że sen temu wszystkiemu zaradzi. Gdy dotarł pod drzwi, zauważył wydostające się ze szpary pod nimi światło świecy.

Victoria walczyła ze snem, układając pasjansa, której to rozrywki nauczył ją Pierwszy. Kiedy Iryk wszedł do środka, przerwała zabawę i zastąpiła mu drogę. Miała już dość bycia ignorowaną. Musiała się dowiedzieć, co się dzieje. Zadała pytanie. Mnich odsunął ją siłą i runął na łóżko, przykładając wirującą wewnątrz czaszkę do poduszki. Dziewczynka nie zamierzała dawać za wygraną; zaczęła ciągać go za nogę, a potem skakać po łóżku. W końcu Iryk zrozumiał, że będzie musiał przeprowadzić dzisiaj jeszcze jedną trudną rozmowę.

Opowiedział jej, co wydarzyło się w Testegaab, oraz postarał wytłumaczyć, jak on i Głupcy to przyjęli. Nie ukrywał przed nią niczego, a z powodu wypitego alkoholu jego język był nader dosadny. Przyznał się też do swego daru, bo dziewczynka była zbyt bystra, by uwierzyć, że przekonał Pierwotnych do oddania im koribali bez użycia magii. Na sam koniec powiedział, że zamierza pomóc Szalonemu w powrocie do Sendderet, by następnie udać się do Lotherbemm.

— A co ze mną? — zapytała, gdy mnich skończył mówić. W jej głosie pobrzmiewał strach.

— Nie wiem — odparł ze szczerością, na którą na trzeźwo by się nie odważył. — Możesz dalej podróżować ze mną, ale odnalezienie twoich rodziców nie jest już dla mnie najważniejsze. Nadchodząca wojna może dotknąć większość mieszkańców Miliphen i w jej perspektywie losy jednej, okrutnej rodziny są mało istotne.

Victorii zbierało się na łzy, jednak mnich tego nie widział, bo był zbyt pijany, a w pomieszczeniu było niewiele światła. Nie chcąc okazać po sobie słabości, dziewczynka wróciła do stolika i kontynuowała rozpoczęte rozdanie pasjansa. Nim skończyła, Iryk już spał.

Rankiem następnego dnia załoga Szalonego Statku Głupców zaczęła przygotowania do opuszczenia portu.

Dziesiąty dzień dziewiątego obiegu Władcy. 253 dzień roku. Morsstand. Sendderet.

Południe.

Pogoda im nie dopisywała. Ani kapitan, ani nawet Pierwszy Głupiec nie pamiętali, by kiedykolwiek wiatr był kapryśny przez tak długi czas. Zazwyczaj wiał w niekorzystnym kierunku, czasami kompletnie ustawał na kilka dni, a dwa razy w ciągu rejsu zamienił się w prawdziwy huragan, drąc kolorowe żagle na strzępy, przez co byli zmuszeni zwracać do najbliższego portu po nowy zestaw ożaglowania. Szalony, wciąż pełen obaw związanych z ich powrotem do Sendderet, zaczynał wierzyć, że to jakaś siła wyższa próbuje dać im do zrozumienia, by dali sobie spokój. Nie miał racji, ale też nie do końca się mylił. W całym Miliphen od pewnego czasu działały się dziwne rzeczy i nie miało to nic wspólnego z jedną, niewiele znaczącą karaką.

Władca zdążył okrążyć nieboskłon trzy razy, nim wreszcie dotarli do Sendderet. Jeden wiekowy pracownik portu, ujrzawszy niecodzienną nazwę statku, przypomniał sobie, kto jest jego kapitanem, i poinformował o tym władze. Gdy zeszli na ląd, kordon strażników już czekał. Szalony bez słowa protestu czy komentarza pozwolił aresztować się na oczach całej swojej ekstrawaganckiej załogi, która następnie odprowadziła go pod samo więzienie. Był już skazany, dlatego trafił od razu tam, a nie do aresztu. Kiedy zniknął za więzienną bramą, Głupców przeszył dreszcz niepokoju. Przeżyli z Szalonem zbyt wiele, by kiedykolwiek móc służyć pod kimś innym. Od teraz całą nadzieję pokładali w Iryku.

Mnich wraz z Pierwszym Głupcem bez zwłoki udali się do domu rodziców Szalonego. W porównaniu z lochami niektórych miast Loherbemm, więzienia Morsstand mogły uchodzić za luksusowe ośrodkie wypoczynkowe, mimo to wołeli, by ich przyjaciel nie spędził za kratami choćby jednego dnia dłużej, niż było to konieczne.

Ojciec Szalonego zmarł przed paroma laty, o czym kapitan dowiedział się od jednego ze swoich załogantów, który również pochodził z Sendderet i czasami odwiedzał rodzinne strony. Na szczęście sędziwa pani Norplent trzymała się całkiem nieźle. Od razu rozpoznała Sage'a i bardzo ucieszyła się na jego widok. Wyściaskała go jak własnego syna, a gdy Pierwszy przedstawił jej Iryka, oburząc uścisnęła mnichowi dłoń i potrząsała nią, dopóki nie rozbolał ją bark.

Zjawili się akurat w czasie popołudniowej herbatki. Dostali ładne, porcelanowe filiżanki i talerzyki od kompletu. Rozluźnieni ciepłym przyjęciem, sami nalali sobie herbaty i poczęstowali wybornym, korzennym piernikiem. Przez kilka minut Pierwszy i gospodyn wspominali stare, dobre czasy, te sprzed rozprawy Szalonego. Gdy kobiecina ochlonęła z podniecenia wywołanego niespodziewaną wizytą, Sage w końcu poinformował ją, że jej syn przebywa w miejskim więzieniu, a oni wiedzą, jak oczyścić go z zarzutów.

— Zrobię wszystko, by wam pomóc — oznajmiła, kiedy udało się jej zapanować nad kiełkującą w sercu nadzieję.

— Wszystkim zajmiemy się sami. Potrzebujemy jedynie informacji — powiedział Sage. — Czy wie pani, co dzieje się z Darlene?

— Nie wiem. Odkąd Tom wypłynał szukać ojca, przestała mnie cokolwiek interesować.

— Mały Tom szuka Barta? — Pierwszy zrobił wielkie oczy.

— Nie jest już taki mały. Ma osiemnaście lat. Wyrósł na wspaniałego młodzieńca. Na całe szczęście, gdy ten łotr Walter znudził się Darlene i porzucił ją oraz chłopca, przyszła tutaj, prosząc mnie i męża o pieniądze. Od wygnania Barta aż do tego momentu nie pozwalała nam widywać się z wnukiem. Dlatego daliśmy jej ultimatum. Albo Tom będzie odwiedzał nas co tydzień, albo nie dostanie złamanego miedziaka. Trochę się baliśmy, że nie przystanie na te warunki i nasz wnuczek skończy razem z nią w jakiejś paskudnej norze, ale w końcu się zgodziła.

Mówiła szybko, z pasją, przez co zaschło jej w gardle. Napiła się herbaty.

— Widzicie, przez tego Waltera stała się takim potwornym i chciwym babskiem, że nawet jej własna rodzina nie chciała jej znać i oprócz nas nie miała nikogo. Utrzymywaliśmy ją przez lata, choć nie było łatwo. Mąż musiał wrócić do pracy, ja również zaczęłam dorabiać, głównie na haftowaniu, najważniejsze jednak, że mieliśmy kontakt z Tomem. Wreszcie udało się nam wykorzenić kłamstwa na temat Barta, jakich matka nakładła mu do głowy, i chłopiec postanowił zamieszkać z nami. Od tamtej pory nie musielismy już płacić tej suce.

Pani Norplent zapomniała, że rozmawia z duchownym. Speszyła się lekko i zaczęła tłumaczyć.

— Brat wybaczy moje słowa, w całym swoim życiu nikogo innego nie nazwałam w podobny sposób. Nikogo, oprócz Waltera. Po prostu na Darlene nie znajduję innego określenia.

— Nic nie szkodzi. Zapewniam panią, że Niebieskim Braciom zdarzają się większe wykroczenia przeciwko harmonii — uspokajał Iryk.

— Przez pewien czas próbowałam ją nawet zrozumieć. — Kobieta kontynuowała opowieść. — Bart miał problem z wyrażaniem emocji. Hmm — żachnęła się. — Problem. On zdawał się w ogóle ich nie mieć. Teraz wiem, że to nasza wina, moja i męża, tego, jak go wychowywaliśmy. Wracając do Darlene: życie z kimś takim, jak Bart, nie byłoby łatwe dla żadnej kobiety, ale na łaskę harmonii, nie musiała go od razu posyłać do więzienia. Mogła po prostu odejść, lecz mamona była ważniejsza. Na szczęście harmonii stało się zadość i tak jak wspomniałam, najpierw odtrącił ją Walter, a potem Tom. Odkąd z nami zamieszkał, odwiedzał ją sporadycznie, aż w końcu w ogóle przestał.

— Jak dawno Tom wyruszył na poszukiwania ojca? — dopytywał Pierwszy.

— Dwa lata temu. Bałam się go puścić, jednocześnie wiedziałam, że nie mam prawa go zatrzymywać. Popełniłam grzech nadopiekuńczości w stosunku do Barta i nie mogłam powtórzyć tego samego błędu z Tomem. Wrócił po rocznym rejsie, posiedział w domu przez miesiąc i znowu ruszył na morze. Może akurat niedługo znowu zawinie do Sendderet i jego tułaczka się skończy.

Pierwszy był zdziwiony, że syn Szalonego przez dwa lata nie zdołał ich odnaleźć. Byli znani w całym Morsstand i nie tylko, na dodatek większość portów rejestrowała wizytę każdego statku w kronikach, więc nie powinno być to aż tak trudne. Postanowił zachować te przemyślenia dla siebie.

— A co z Walterem? Dalej jest radnym? Wie pani, gdzie mieszka?

— Zrezygnował z pracy w ratuszu dawno temu. Teraz zajmuje się hodowlą koni. Ma wielką willę na południowych obrzeżach miasta. Największą w całej dzielnicy. Znajdziecie ją bez problemu.

Korzystali z gościny pani Norplent jeszcze przez godzinę. Opowiadali o osiągnięciach jej syna i o tym, jak wspaniałym jest kapitanem. Nie musieli kłamać i kobieta chyba to czuła, bo ze

wzruszenia oraz dumy uroniła kilka łez. Gdy zbierali się do wyjścia, zapytała o to, jak zamierzają wydostać Szalonego z więzienia. Grzecznie, aczkolwiek stanowczo, odmówili odpowiedzi, po czym pożegnali się i wyszli.

Powoli robiło się ciemno, mimo to zdecydowali się jeszcze tego dnia złożyć wizytę Walterowi. Zmęczenie nie miało znaczenia; Szalony siedział za kratami i musieli jak najszybciej go uwolnić. Po kwadransie żwawego marszu dotarli do dzielnicy willowej. Pierwszy, który mieszkał tu przez całe dzieciństwo, stwierdził, że niewiele się zmieniło. Niektóre budynki zostały odnowione, lecz większość była dokładnie taka, jakimi je zapamiętał. Tylko jedna, olbrzymia posesja o pokolorowanym złoconą farbą dachu drastycznie kłóciła się z obrazami z jego pamięci. Skierowali się w jej stronę.

Z rozmowy z kimś w rodzaju odźwiernego czy może raczej lokaja, czego nie byli pewni, gdyż nie zapytali o jego funkcję, dowiedzieli się, że Walter wyjechał w interesach do Rodawnzaru i powinien wrócić, nim Władca po raz kolejny pojawi się na niebie. Z trudem ukryli przed mężczyzną swoje rozczarowanie. Wyglądało na to, że Szalony będzie miał dość czasu, by nauczyć się grypsery.

Od statku dzielił ich ładny szmat drogi, dlatego Pierwszy zaproponował, by odwiedzili jego rodzinny dom.

— Przynajmniej będę miał już to za sobą — stwierdził marynarz.

Po pięciu minutach stanęli u progu urokliwej, accz niezbyt imponujących rozmiarów willi.

Rodzice Sage'a zmarli, gdy ten uganiał się za Lewiatanem bądź innym morskim stworem i teraz dom zamieszkiwała najstarsza z jego czterech sióstr wraz z rodziną. Drzwi otworzył im najmłodszy z siostrzeńców Pierwszego, który po raz ostatni widział wujka, będąc berbeciem. Nic więc dziwnego, że go nie rozpoznał. Sage poprosił, by zawała matkę. Blisko pięćdziesięcioletnia kobieta zjawiła się po chwili. Ona również nie od razu domyśliła się, kto nachodzi jej dom tak późną porą.

— Cześć Kashmir. Nic się nie zmieniła — powiedział Pierwszy, jakby nie było go w domu kilka tygodni i dopiero wtedy poznała go po głosie. Chwilę później płakała jak małe dziecko.

Nie minęła godzina, gdy rodzeństwo Pajem znalazło się w komplecie. Siostry obskoczyły Sage'a i nie zanosiło się, by prędko miały go wypuścić. Iryk przyglądał się tej wzruszającej scenie, popijając wino razem ze szwagrem Pierwszego. Nie wzbudzał niczyjej uwagi, czemu wcale się nie dziwił i za co był wdzięczny. Kiedy opróżnili butelkę, położył się spać w jednym z wolnych pokoi.

Wrócili na statek dopiero następnego dnia wieczorem. Pierwszy, który tymczasowo przejął dowodzenie, nakazał trzymanie sekretnych wacht nieopodal willi Waltera. Nie mogli nadchodzić jego posiadłości dzień w dzień, nie wzbudzając podejrzeniów służby, z drugiej zaś strony musieli pilnować, by jej właściciel nie wyruszył w kolejną podróż, nim zdążą się z nim spotkać. Zresztą, poza piciem załoga i tak nie miała co robić. Przez całą dobę co najmniej dwie pary oczu

wypatrywały powrotu nikczemnika, przez którego najstyniejszy kapitan Morsstand siedział w marmrze. Kres nerwowego oczekiwania nastąpił trzy tygodnie później.

Siódmy dzień dziewiątego obiegu Białego Karła. 272 dzień roku. Morsstand. Sendderet.

Południe.

Iryk i Pierwszy zjawili się przed posiadłością Waltera Kwala, nim ten zdążył ochlonąć po podróży. Odźwierнемu mnich podał swoje prawdziwe nazwisko i powiedział, że jest mentorem, natomiast Pierwszy, który udawał hodowcę koni z Pasterot, na wszelki wypadek podał zmyślone dane. Zostali zaanonsowani i po chwili wpuszczeni do rozległego niczym sala balowa gabinetu. Gospodarz przywitał ich szerokim, sztucznym uśmiechem. Sztucznym nie tylko dlatego, że wydał się im fałszywy. Większość przednich zębów Kwala było wykonanych ze złota. Służący opuścił pomieszczenie, zostawiając ich sam na sam z Walterem. Nie zamierzali wdawać się w zbędną dyskusję, więc mnich od razu go zauroczył.

Za pośrednictwem gospodarza Iryk przywołał lokaja i polecił mu przygotować obiad. Nalali sobie wina, rozsiedli wygodnie w fotelach ze skóry czerwonej mantyki i dopiero wtedy Iryk rozkazał Walterowi opowiedzieć ze szczegółami, jak udało mu się wrobić Barta Norplenta.

Wszystko zaczęło się piętnaście lat temu, na dorocznym przyjęciu wyprawianym dla pracowników ratusza. To tam poznałem Darlene. Była piękna, podpita i narzekała na swojego męża. Uznałem ją za łatwy kąsek. W następnych tygodniach kilkakrotnie natrafiliśmy na siebie na targowisku. Oczywiście w tych spotkaniach nie było żadnego przypadku. Ja żartowałem i flirtowałem, ona śmiała się i marudziła na małżonka. Tak rozpoczął się nasz romans.

Było nam dobrze, lecz organizowanie potajemnych schadzek zaczynało robić się męczące. Wiedziałem, że nie może to trwać w nieskończoność. W czasie rozmów z Darlene w mojej głowie wykreował się dość wyraźny obraz Barta Norplenta. Wyglądało na to, że skarbnik Sendderet, osoba, przez której ręce przechodziła cała miejska kasa, jest oderwaną od rzeczywistości, aczkolwiek dbającą o szczególne pierdoły. Postanowiłem to wykorzystać. Zacząłem obmyślać plan.

Gdy wszystko miałem już dokładnie przemyślane, przeszedłem do działania. Pierwszą rzeczą, jaką zrobitem, było zgłoszenie w dziale zaopatrzeń ratusza zaginięcia mojej urzędniczej pieczęci.

Oprócz zasiadania w miejskiej radzie pełniłem jeszcze jedną, nie mniej prestiżową funkcję. Byłem głównym architektem Sendderet. Odpowiadałem za planowanie, kosztorysowanie i realizację wszystkich inwestycji budowlanych miasta. W tamtym czasie na skraju pól położonych na północny-wschód od miasta odkryto wyjątkowo wydajny ciek wody gruntowej. Dzięki niemu pojawiła się możliwość znacznego powiększenia terenów uprawnych i rada zleciła mi wykonanie odpowiedniego projektu melioracji.

Przedsięwzięcie miało przybrać ogromne rozmiary. Jego realizacja wymagała tysięcy godzin pracy ludzi i zwierząt oraz masę materiałów budowlanych. Sporządzenie kosztorysu zajęło mi ponad dwa tygodnie, a jego ostateczna kwota opiewała na przeszło pięćset sztuk złota.

W sumie wykonałem pięć egzemplarzy kosztorysu: dwa z prawdziwymi obmiarami i trzy z zawyżonymi. Z prawdziwymi udało się do Norplenta. Sprawdził wszystko dwa razy i nie znalazłszy żadnych błędów, złożył podpisy oraz przybił pieczętki. Jeden dokument był dla mnie, drugi trafił do jego archiwum.

Z rozpoczęciem prac trzeba było poczekać kilka tygodni, aż miną największe upały. Wykorzystałem ten czas na naukę podrabiania podpisu Norplenta. Nim nastąpała jesień, doprowadziłem tę umiejętność do perfekcji.

W końcu przyszła pora, by i Darlene się wykazała. Na sfałszowanych dokumentach brakowało jeszcze pieczęci Norplenta. Nie był to żaden problem. Jako skarbnik miał dużo papierkowej roboty, dlatego często musiał pracować w domu. Dałem Darlene kosztorysy, a ona podstemplowała je, gdy mąż smacznie spał. Tej samej nocy załatwiała jeszcze jedną rzecz. Przy pomocy gliny wykonała odcisk klucza do archiwum.

Glinianą formę zalałem roztopionym ołówkiem. Z tak uzyskanym kluczem dostałem się do archiwum i podmieniłem dokumenty. Na drugi dzień, w godzinach pracy, udało się do Norplenta po pieniędze na inwestycję. Wręczyłem mu drugi z podrobionych kosztorysów. Miał dobrą pamięć i coś mu się nie zgadzało, dlatego poleciął do archiwum sprawdzić własną kopię. Oczywiście liczby były identyczne i zaczął mnie przepraszać za zamieszanie. Z trudem powstrzymałem się od śmiechu. Wypłacił mi złoto i pod obstawą straży zaniosłem je do wydziału architektury, gdzie umieściłem je w pancernej szafie. Kiedy strażnicy odeszli i zostałem sam, wyjąłem z sejfu dwadzieścia pięć sztuk złota, czyli tyle, ile wynosiła różnica pomiędzy wyliczeniami w fałszywych i oryginalnych kosztorysach.

Została mi ostatnia rzecz do zrobienia – jeszcze jedna podmiana dokumentów. Tym razem jeden fałszywy kosztorys zastąpiłem drugim. Były niemal identyczne, różniły się tylko jednym szczegółem. Na tym, który został w archiwum, mój podpis był niewyraźny i krzywy.

Pod koniec roku nadeszła pora rewizji zasobności miejskiego skarbca. Norplent przygotował bilans przychodów oraz wydatków i przedstawił go radzie. Powołując się na własną pamięć, zakwestionowałem wysokość kwoty przeznaczonej na rozbudowę sieci melioracyjnej. Norplent zachowywał spokój, w końcu był przekonany, że może podeprzeć się dokumentami. Zarządzono krótką przerwę, w czasie której udał się do archiwum po kosztorysy. Po wznowieniu posiedzenia rady wręczył mi papier, a ja stwierdziłem, że mój podpis został podrobiony. Przewodniczący wezwał straż i Norplent został tymczasowo aresztowany. Nawet wtedy nie przejawiał żadnych emocji. Darlene miała rację: był pusty, pozbawiony wszelkich uczuć.

Wszczęto dochodzenie. Po przeszukaniu biura Norplenta śledczy udali się do jego domu. W gabinecie odnaleźli podrzucony przez Darlene oryginalny kosztorys oraz pieczęć, której zaginięcie zgłosiłem pół roku wcześniej. Więcej dowodów nie potrzebowali.

Dwa tygodnie po aresztowaniu doszło do rozprawy. Jako że udało mi się uniknąć choćby najmniejszego błędu, Norplent nie miał nic na swoją obronę i zdecydował się przyznać do winy. Nakazano mu zwrócić dwukrotność zaginiowej ilości złota oraz ogłoszono banitę Sendderet. Nie spodziewałem się, że uda mu się uzbierać tak astronomiczną sumę, w związku z czym zgnie w więzieniu. Jednak wstawił się za nim jego znajomy, który sprzedał swój statek i spłacił grzywnę. Jak to mówił: „prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie”.

Ten sam przyjaciel, kapitan bez statku, dotkliwie pobił mnie po ceremonii wygnania, której przyglądałem się z niemałą satysfakcją. Najwyraźniej wypatrzył mnie w tłumie i puściły mu nerwy. Zgłosiłem napaść, ale Pajem, bo tak się nazywał, przepadł jak kamień w wodę. Minęło kilka tygodni, nim wreszcie doszedłem do siebie i mogłem rozpocząć realizację drugiej części planu.

Byłem bogaczem, lecz nie mogłem swobodnie korzystać z mojego bogactwa bez wzbudzenia podejrzeń. Trzeba było jakoś temu zaradzić. Zacząłem rozpowiadać dookoła, że odkładam pieniądze, by rozpocząć własny biznes. Przez parę miesięcy obnowiłem się ze swoją oszczędnością, tak by nie umknęła ona niczyjej uwagi. Następnie zakupiłem wielki, stary magazyn w dzielnicy portowej. Moi znajomi chwytali się za głowy, mówili, że postąpiłem fatalnie, gdyż na magazynowaniu nie dało się wówczas zarobić. Wiedziałem o tym doskonale, właśnie o to mi chodziło. Zatrudniłem kilku pracowników, pozawierając trochę umów, by wszystko wyglądało w miarę wiarygodnie i tylko czekałem, aż magazyn zacznie przynosić straty.

Po trzech miesiącach straciłem około połowy zainwestowanych w porcie pieniędzy. Sprzedałem magazyn za jakąś śmieszna kwotę i zacząłem się wszystkim żalić, jaki to ze mnie głupiec i bankrut. Gdy już wszyscy w mieście wiedzieli o moim nieszczęściu, wziąłem miesiąc urlopu i wyjechałem do Rodawnzaru.

Na wszelki wypadek zakwaterowałem się w obskurnej gospodzie, której nazwy już nie pamiętam. Nie chciałem, by ktoś przypadkiem zobaczył mnie szastającego pieniędzmi. Przez tydzień zwiedzałem miasto i chodziłem na wyścigi konne, mimo iż hazard nic mnie nie interesował. Nie obstawiłem choćby jednej gony; zależało mi na nawiązaniu kontaktów.

Po powrocie do Sendderet znowu musiałem pobawić się w aktora, tyle że tym razem udawałem szczęśliwego. Rozpowiadałem dookoła, jak to pograniony w rozpacz po wpadce z magazynem zboczyłem ze ścieżki harmonii i postanowiłem oddać się hazardowi. To po to udało się do Rodawnzaru, tłumaczyłem, gdyż w Morsstand ciężko znaleźć kogoś, kto zaryzykuje utratę więcej niż kilku miedziaków. Szczęście mi sprzyjało, zapewniałem, i w krótkim czasie wielokrotnie pomnożyłem to, z czym wyjechałem. Wreszcie mogłem spokojnie wydawać ukradzione złoto,

które tylko potwierdzało moją historię. Uznałem też, że minęło już dość czasu od wygnania Norplenta, byśmy mogli zamieszkać razem z Darlene i jej dzieciakiem, nie wywołując niczyjego zgorszenia czy też podejrzliwości. Rozpoczęliśmy nowe życie.

Na początek zwolniłem się z ratusza i zakupiłem stadninę koni. Akurat ten biznes zawsze należał do dochodowych i szybko pojawiły się zyski. Nie było to jednak moje jedynie źródło dochodów. Masa mniejszej lub bardziej nadzianych naiwniaków, nasłuchawszy się historii o moim wzbogaceniu, również zaczęła myśleć o hazardzie. Przychodzili do mnie po porady, pytali jak rozpoznać zwycięskiego konia, jakim systemem obstawiać. Zgodnie z prawdą odpowiadałem im, że się na tym nie znam i odsyłałem do jednego gościa, którego poznałem podczas pobytu w Rodawnzarze. Zapewniałem, że jest to najlepszy znawca koni w całym Lotherbemm. Wdzięczni za pomoc, wręczali mi drogie prezenty. Oczywiście polecaný przeze mnie facet doradzał im tak, by przegrali jak najwięcej. On miał umowę z bukmacherem, ja z nim i wszyscy dzieliliśmy się zyskami. W ten sposób zarobiłem więcej, niż wyprowadziłem z miejskiego skarbca.

Kupowałem kolejne stadniny, aż wreszcie stałem się monopolistą w Sendderet i jednym z największych hodowców w całym Morsstand. Miałem tyle pieniędzy, że nie było sensu, bym dalej pracował. Zatrudniłem zarządców i księgowych, którzy do dziś prowadzą biznes za mnie, a sam skupiłem się na przyjemnościach.

Początkowo Darlene była zachwycona luksusem, w którym się pławiłyśmy. Dostawała wszystko, czego zapragnęła. Ja również niczego sobie nie żałowałem, co tylko rozbudzało moje żądze. Darlene, choć nadal piękna, najzwyczajniej w świecie znudziła mi się. Zacząłem otaczać się innymi kobietami, co oczywiście się jej nie spodobało. Ciągle robiła mi awantury, aż wreszcie wyrzuciłem ją na bruk. Odgrażała się, że doniesie władzom o tym, w jaki sposób dorobiłem się fortuny, lecz przecież sama była we wszystko zamieszana i nie bardzo się tym przejmowałem. Kochała syna i nie zniosłaby rozłąki z nim, a za numer, który wywinęliśmy, z całą pewnością trafiłaby do więzienia. Kilka lat później dowiedziałem się, że dzieciak sam się na nią wypiął i wypłynął szukać ojca. Dopiero wtedy się przestraszyłem, że porzucona przez wszystkich, rzeczywiście może zrobić coś głupiego. Skontaktowałem się z odpowiednimi ludźmi, którzy rozwiązały dla mnie ten problem. Szczegółów nie znam, ale ponoć skończyła jako pokarm dla rekinów.

Sage i Iryk usłyszeli więcej, niż się spodziewali. Pierwszy miał ochotę po raz kolejny pobić Waltera. Ostatecznie udało mu się nad sobą zapanować. Zarówno on, jak i mnich, nagle zaczęli żałować, że więzienia Morsstand nie są tak upiorne, jak te w Lotherbemm.

Z ponurej zadumy wyrwał ich lokaj, który w końcu pojawił się w gabinecie, pchając przed sobą ogromny stolik na kółkach, cały zastawiony półmiskami pełnymi wytrawnych potraw.

Zaskakująco szybko udało mu się nakryć do stołu, po czym pośpiesznym krokiem opuścił pomieszczenie.

Choć pod koniec opowieści Waltera Iryk i Pierwszy stracili apetyty, roznoszące się po pokoju zapachy były zbyt kuszące, by się im oprzeć. Zasiedli do uczty.

— My sobie teraz spokojnie zjemy, a ty znajdź sobie coś do pisania i zapisz wszystko to, co nam powiedziałeś — powiedział Iryk, przeżuwając pierwszy kęs mięsa, którego nie był w stanie przypisać do żadnego znanego mu stworzenia. — Pomiń tylko część o tym, jak zostałeś pobity przez kapitana.

Objedli się nieprzyzwoicie, mimo to półmiski nie zostały opróżnione choćby do połowy. Walcząc z ogarniającą ich sennością, sączyli wino i czekali, aż Walter skończy pisać. Gdy zeświadczenie w końcu było gotowe, cała trójka opuściła willę i udała się na główny posterunek miejskiej straży, gdzie Walter wręczył dyżurnemu oficerowi podpisany przez siebie dokument. Po zapoznaniu się z jego treścią, wstrząśnięty funkcjonariusz dokonał aresztowania.

Pół godziny później, siedząc już w celi, Walter wreszcie odzyskał kontrolę nad własnym umysłem. Nie mając pojęcia jak znalazł się za kratami, zaczął wrzeszczeć, wzywać strażników, żądając uwolnienia i wyjaśnień. Klawisze zignorowali go, uznawszy, że uwięzienie w ciasnym pomieszczeniu wyjątkowo szybko wyleczyło go ze skruchy.

Trzy dni później doszło do rozprawy. Dzięki niebieskiemu habitowi Irykowi udało się na chwilę spotkać z Walterem przed wejściem do gmachu sądu. Mnich wytłumaczył strażnikom, że jest mentorem oskarżonego i pragnie wskazać mu ścieżkę harmonii. Ci się zgodzili i Walter ponownie został zauroczony. W czasie procesu spokojnie odpowiadał na wszystkie pytania sędziego, których zresztą było niewiele, oraz potwierdził swoje wcześniejsze zezwania. Za zlecenie morderstwa Darlene Norplent wyrok mógł być tylko jeden – dożywocie. Kodeks karny Morsstand nie przewidywał kary śmierci.

Podczas tej samej rozprawy rozstrzygnięto także kwestię Szalonego, który w świetle zaistniałej sytuacji okazał się niewinny. Zdjęto z niego banicję, nakazano natychmiastowe wypuszczenie z więzienia, a także przyznano sto sztuk złota rekompensaty za poniesione straty moralne. Odszkodowanie miało zostać wypłacone z pieniędzy uzyskanych z licytacji majątku Waltera. Pozostałą część złota ze sprzedaży wartego znacznie więcej imperium nikczemnego hodowcy koni miał przejąć skarbiec miasta Sendderet.

Na oczyszczonego z win kapitana przed więzieniem czekała cała załoga Szalonego Statku Głupców, mnich oraz matka, której nie widział od czternastu lat. Najpierw bardzo się ucieślił na ich widok, lecz po chwili zorientował się, że kogoś mu brakuje w tym tłumie. Nie dostrzegł żadnego młodzika, który mógłby być jego synem. Pierwszy dostrzegł zmartwienie przyjaciela i wnet pojął, co je spowodowało. Do spółki z mnichem i panią Norplent opowiedział mu, co

wydarzyło się w czasie jego odsiadki, a także to, co stało się z Darlene i Tomem. Kapitan przyjął informacje zaskakująco spokojnie.

Piąty dzień dziesiątego obiegu Władcy. 278 dzień roku. Morsstand. Sendderet. Ranek.

Szalony spędził dwa dni na rozmowach z matką, odwiedził także grób ojca i kilka ulubionych miejsc w Sendderet, za którymi tęsknił podczas długich lat banicji. Rankiem trzeciego dnia po opuszczeniu celi, ubrany w nową kraciastą spódnicę i jaskrawo-żółtą marynarkę, stawił się u trapu swojej karaki.

— Nie miałem jeszcze okazji zapytać, jak było w kiciu.

Bosman Jon, który akurat pełnił wachtę, pomógł Szalonemu z tobołkami. Były ich sporo i Jon przeczuwał, że czeka ich długi rejs.

— Zupełnie jak na statku, tyle że nie bujało. Same twarde chłopy, monotonne żarcie i niewiele do roboty. Trochę się bałem, że komuś spodobają się moje blond loki i będę musiał nauczyć się chodzić jak kaczka.

Szalony, trzymający w rękach ciężkie pakunki, zakołysał się na boki jak wspomniane zwierzę.

— Na szeszeście wśród osadzonych było kilku marynarzy. Słyszeli o nas i o naszych przygodach, uznali więc, że muszę być w porządku gość i wzięli mnie pod swoją opiekę. Później przekonałem do siebie resztę więźniów. Sam wiesz, jak sobie radzę z najdziwniejszym elementem. Pod koniec odsiadki wszyscy jedli mi z ręki. Jedno moje słowo i byliby gotowi wszczęć bunt.

— Nie wątpię. — Dotarli do kapitańskiej kajuty i bosman z ulgą pozbył się ciężkich tłumoków. — Co teraz? Dokąd płyniemy?

— Pytasz, jakbyś mnie nie znał. — Kapitan udał oburzenie. — Muszę odnaleźć syna i to jak najszybciej. Pewnie na jego łajbie nawet nie można nosić sukienek!

— Czy na takim statku w ogóle da się służyć? — zapytał ubrany w skromną, Inianą sukienkę Jon.

Obaj zaczęli się śmiać.

— Najpierw jednak musimy dotrzymać złożonej obietnicy — oznajmił kapitan, gdy już się uspokoili. — Poinformuj Głupców, że płyniemy do Rodawnzaru.

Walter Kwal trafił do tej samej, zbiorowej celi, w której niemal cały obieg przesiedział Szalony. Jeszcze przed jego przybyciem reszta osadzonych dostała gryps, za co został skazany ich nowy towarzysz niedoli. Bardzo nie spodobała się im ta informacja. Do niedawna najbogatszy człowiek Sendderet prędko przekonał się, że za sprawą współwięźniów odsiadka w uchodzących za wyjątkowo znośne więzieniach Morsstand może zamienić się w koszmar.

Rozdział dwudziesty drugi – Prawdziwi artyści

Pierwszy dzień dziewiątego obiegu Władcy. 244 dzień roku. Rodawnzar. Twierdza Słońca. Wieczór.

Pierwszą osobą, z jaką Nick spotkał się po powrocie do rodzinnego miasta, był komes Fred Protbey, który pod nieobecność Wielkiego Księcia sprawował władzę nad Rodawnzarem i całą zachodnią prowincją. Prowincją, w której nie działało się najlepiej.

Komes nie próbował ukrywać, że nie radzi sobie z zaistniałą sytuacją, i gdy książę zaproponował, że zajmie się wszystkimi problemami sam, zgodził się bez chwili namysłu. Nie przeszkadzało mu nawet to, że Nick nie przywiózł ze sobą odpowiedniego upoważnienia od ojca. Kiedy będący świadkiem ich rozmowy Kisric zakwestionował legalność oddania władzy Nickowi, Protbey od razu znalazł rozwiązańe. Książę miał decydować, o czym tylko zechce, a jeśli ktoś odmówi wykonania jego rozkazów, wtedy Protbey wkroczy do akcji. Jak się wkrótce miało okazać, komes nie musiał interweniować zbyt często.

Zadowolony z faktu, że tak łatwo poszło mu z Protbeyem, Nick udał się na spotkanie, którego obawiał się znacznie bardziej. Służba poinformowała go, iż osobę, z którą chce się widzieć, znajdzie w zamkowych kuchniach. Godzina była późna i Nick trochę zdziwił się na tę wiadomość, niemniej poszedł we wskazane miejsce.

Napotkani po drodze gwardziści i służący byli zaskoczeni, ale i uradowani powrotem księcia, z którym zawsze można było pożartować i porozmawiać jak równy z równym. Teraz jednak nie miał czasu na pogawędkę. Szerokimi, mrocznymi korytarzami oraz krętymi schodami Nick i Kisric w końcu dotarli do głównej kuchni. Kucharze już dawno zakończyli swoją pracę, toteż w słabo oświetlonym pomieszczeniu panowała cisza. Jedyną obecną osobą był odwrócony do nich plecami potężny, krótko ostrzyżony mężczyzna, który wielką łycką wyjadał coś z parującego kociołka. Nick nie chciał mu przeszkadzać i zwrócił, by dalej szukać tego, z kim chciał się spotkać. Kisric zastąpił mu drogę i głośno chrząknął.

Mężczyzna przestał przejuwać i odwrócił się. Choć miał krótką, ciemną, gęstą brodę, jego twarz wyglądała młodo.

— Nick? — powiedział niewyraźnie, gdyż jego usta były pełne.

Książę nie od razu poznał młodszego brata. Gdy przed ponad dwoma laty opuszczał Rodawnzar, był on o głowę niższy, zaś jego zarost szczątkowy. Teraz okazał się wyższy od wcale niemałego Nicka, wyższy nawet od Wielkiego Czempiona i niemal tak samo szeroki w barach jak Mistrz Mieczy.

— Paul? — zapytał niepewnym głosem księcia. — To ty?

Paul wrzucił łyżkę do kociołka i dziarskim krokiem ruszył w stronę brata, po drodze wycierając ręce w koszulę. Nick spodziewał się, że zaraz dostanie w twarz albo w brzuch.

Należałoby mu się. Wyjechał z domu bez pożegnania i ani razu nie napisał, nie dał znaku życia. Dopiero przed pół roku Paul i reszta dowiedzieli się, że Nick żyje, lecz jest przetrzymywany przez piratów.

Paul podszedł do starszego brata i objął go z całych sił, po czym puścił, złapał oburącz za twarz i pocałował w czoło. Musiał się przy tym lekko schylić.

— I kto na kogo będzie teraz wołał *smyku*? — zażartował Paul.

— Chłopie, czym tyś się żywił? Czy to susza, czy może jednak to przez ciebie w mieście nie ma jedzenia?

Zaczęli się śmiać. Kisric również. Po chwili Paul i Wielki Czempion podali sobie dlonie i poklepali po plecach niczym najlepsi kumple. Następnie cała trójka przeszła do jadalni i zasiadła przy stole. Rozmawiali do późna. Gdy wreszcie skończyli i udali się do swoich komnat, Nick był zmęczony, lecz szczęśliwy. Jego mały-wielki braciszek nie żywił do niego urazy, co więcej, zdawał się rozumieć, dlaczego Nick opuścił Rodawnzar. Tej nocy książę spał spokojnym, błogim snem.

Nazajutrz po powrocie do Rodawnzaru Nick wydał dwa edyktyle. Pierwszy zakazywał surowego karania pospolstwa za kradzieże żywności. Zbyt wielu wygrodzonych desperatów zostało inwalidami lub nawet traciło życie z powodu podebrania kilku jajek z kurnika mściwego arystokraty bądź innej, równe błażej przyczyny. Drugi zezwalał chłopom zamieszkiwającym włości ogarnięte klęską głodu na porzucanie swoich panów oraz na swobodne podróżowanie po całym Lotherbemm. Sytuacja, jaka wydarzyła się w siole należącym do hrabiego Heisgrena, nie mogła się już powtórzyć.

Z kolejnymi decyzjami Nick wstrzymał się przez cztery dni. Pierwsze trzy poświęcił na spotkania z wszelakiej maści urzędnikami, którzy szczegółowo opisywali mu sytuację panującą w prowincji i przedstawiali możliwe rozwiązania prowadzące do jej polepszenia. Niektóre z rad były ze sobą sprzeczne, inne nie uwzględniały złożoności problemów księstwa, a spora część okazała się po prostu głupią. Na uformowanie konkretnego planu z wykorzystaniem tych sensownych Nick poświęcił czwarty dzień. Potem zaczął działać.

Najtrudniejszą przeprawę miał z wojskowymi. Dowódca garnizonu w Rodawnzarze za nic w świecie nie chciał się zgodzić na otwarcie spichlerzy, w których przechowywano zapasy na wypadek wojny. Tłumaczył, że wróg nigdy nie śpi, a okres po klęsce suszy jest najlepszym do przeprowadzenia niespodziewanego ataku. Zapytany, kto miałby być tym atakującym, nie umiał odpowiedzieć, mimo to wciąż obstawał przy swoim stanowisku. Nick nie miał wyjścia i musiał wysłużyć się Fredem Protbeyem, który po długiej, gorącej dyskusji wreszcie przekonał generała do otwarcia spichlerzy. Dowódca zobowiązał się także do oddelegowania większej liczby żołnierzy do pilnowania porządku w mieście.

Książę osobiście sporządził plan systemu rozdawnictwa żywności. Był on bardzo prosty, a jego główna przewaga nad tym obowiązującym dotychczas polegała na wyeliminowaniu przekrętów, za sprawą których cwaniacy pobierali zapomogę kilka razy dziennie, by następnie odsprzedawać wyłudzoną żywność po zawyżonych cenach, doprowadzając mniejszych zaradnych obywateli do finansowej ruiny. W miejsce trzech dużych punktów dystrybucji racji, działających od świtu do zmierzchu, wprowadzał kilkanaście mniejszych, czynnych jedynie przez godzinę. Ich otwarcie obwieszczały miejskie dzwonnice, a porządku w kolejkach pilnowali żołnierze.

Uregulowany został także handel żywnością nie pochodzącej z miejskich i wojskowych spichlerzy. Od tej pory wszystkie jej dostawy docierające do miasta mogły być kupowane jedynie przez wyznaczonych do tego celu urzędników. Książę, do spółki z głównym kwatermistrem Twierdzy Słońca, ustalili stawki, jakie miasto było gotowe płacić za poszczególne produkty. Dotychczas handlarze zjeżdżający do Rodawnzaru z innych prowincji Trójkrolestwa żądali absurdalnie wysokich cen za swoje towary, nie mając żadnych skrupułów przed pustoszeniem sakiewek tych obywateli, którzy chcieli zjeść coś lepszego niż czerstwy chleb rozdawany przez miasto.

Ósmy dzień dziewiątego obiegu Władcy. 251 dzień roku. Rodawnzar. Południe.

Po tygodniu ciężkiej pracy Nick pozwolił sobie na dłuższy odpoczynek i kiedy w końcu wstał, słońce stało już w zenicie. Zjadł skromne śniadanie, choć nie tak skromne, jakie jadała większość jego poddanych, po czym udał się na dziedziniec za zamkiem. Wiedział, że właśnie tam znajdzie Kisrica. Wielki Czempion nadal sumiennie wykonywał rozkaz Galilnaniego Brucondeisa i gdy księże opuszczał Twierdzę Słońca, nie odstępował go na krok. Nickowi przestało to przeszkadzać dawno temu i nawet nie myślał o tym, by potajemnie czmychnąć z zamku. Zaprzyjaźnił się ze spokojnym wojownikiem, a jego obecność była atutem w każdej sytuacji. Zwłaszcza tutaj, w Rodawnzarze, gdzie Kisric uchodził za prawdziwego bohatera, który przez pięć lat z rzędu nie pozwolił nikomu ze Wschodu wygrać najbardziej prestiżowej konkurencji Wielkiego Turnieju.

Choć panował niemiłosierny skwar, Kisric i Paul, jak co dzień o tej porze, ćwiczyli walkę na miecze. Nick przez chwilę przyglądał się im z ukrycia. Mieli podobne warunki fizyczne, te same ruchy i identyczny styl. Walczyli zażarcie, zostawiając sobie niewielki margines błędu. Co prawda używali stępiej, treningowej broni, lecz przy sile, jaką obaj dysponowali, nawet cios takim mieczem mógł mieć fatalne skutki. Obydwaj byli zlani potem, lecz to Kisric oddychał ciężej i częściej przyjmował defensywną postawę. Księże zastanawiał się, czy jego brat faktycznie jest taki dobry, czy też może Wielki Czempion nie wykorzystuje wszystkich swoich umiejętności. Jednego był pewien: każdy z nich pokonałby go w mgnieniu oka.

Pozwolił im dokończyć potyczkę i dopiero wtedy wyszedł z ukrycia. Kisric był tak zmęczony, że przez dłuższą chwilę nie miał siły się odezwać i tylko siedział w cieniu, dysząc ciężko. Mimo to zdawał się uśmiechać. Nick zlitował się nad starym druhem i przyniósł mu wiadro wody ze znajdującej się w rogu dziedzińca studni.

- Dziękuję — wyjęwszy głowę z wiadra, ledwo wydusił wojownik. — Dokąd dzisiaj?
- Dokąd? Ty co najwyżej dowleczesz się do wyra. Może dzisiaj Paul będzie mnie niaściął. Wygląda na to, że jest w lepszej formie od ciebie.
- Ma przewagę młodości. A ja zaraz dojdę do siebie, bez obaw.
- Może ty byś chciał ze mną chwilę potaćczyć, bracie? — zapytał Paul. — Pokazałbys mi kilka pirackich sztuczek.
- Od piratów można było co najwyżej nauczyć się picia rumu. A miecz w dłoni po raz ostatni miałem tak dawno temu, że już zapomniałem, za który koniec należy go trzymać.
- Tym bardziej powinieneś poćwiczyć — stwierdził Kisric.
- Może kiedy ojciec wróci i nie będę już mógł bawić się w zwierzchnika Zachodu, to będę miał czas o tym pomyśleć.
- A co on w ogóle tak długo robi w Wartegall? Powiedział wam? — zainteresował się Paul.

- Nick i Kisric pokręcili głowami.
- Dobra, koniec tego dobrego. — Czempion dźwignął się z ziemi. — Daj mi kwadrans, abym się odświeżył i możemy ruszać.
 - Niech jakiś służący pilnuje cię w łaźni, na wypadek, gdybyś zasłabł — zażartował Nick.
- W odpowiedzi Kisric pokazał mu środkowy palec.

Tego dnia miejscem otwierającym grafik Nicka był port. O ile handlarze docierający do Rodawnzaru drogą lądową zaakceptowali nowe regulacje bez większych sprzeciwów, obawiając się, że w przeciwnym wypadku ich towar się zepsuje i zostaną z niczym, tak hardzi i lepiej zorganizowani ludzie morza nie chcieli na nie przystać. Zarówno kapitanowie z Lotherebemm, jak i z Morsstand, trzymali się razem. Nie godzili się na z góry ustalone stawki, lecz nie zamierzali też opuszczać Rodawnzaru i ich statki blokowały rzekę od trzech dni. Książę musiał jakoś temu zaradzić.

Paul wyjątkowo zdecydował się towarzyszyć bratu w jego zmaganiach o lepszy byt ludu Zachodu. Nie liczył, że będzie mu się podobało, nie był też zbytnio zainteresowany całą sprawą. Po prostu panował tak niemiłosierny upał, że nie miał już ochoty na dalsze treningi, które zazwyczaj wypełniały mu dzień od rana do wieczora.

Skwar był dokuczliwy nawet dla ich sprowadzanych z Morsstand wierzchowców i po dotarciu na nabrzeże w pierwszej kolejności oddali je pod opiekę portowej strażnicy, by

ochlonęły w cieniu i ugasiły pragnienie. Oni sami również mieli ochotę wstąpić na kufelek zimnego piwa do którejś z mijanych knajp, lecz ostatnimi czasy książę oduczył się stawiać przyjemności ponad obowiązki. Bez dalszej zwłoki udali się do urzędu morskiego, gdzie mieli oczekiwac ich przedstawiciele zbuntowanych żeglarzy.

Gdy weszli do potężnego gmachu, przywitał ich przyjemny, chłodny powiew. Ściany budynku były na tyle grube, że jego wnętrze nie zdążyło się jeszcze ngrzać po nocy. Przystanęli na chwilę, by nacieszyć się rześkością powietrza, lecz zaraz podbiegł do nich jeden z urzędników. Podlizując się w tak nachalny i niewyrafinowany sposób, że cała trójka od razu zaczęła żywic do niego pogardę, zaprowadził ich do obszernej komnaty, w której miały odbyć się pertraktacje.

Przedstawicieli marynarzy było pięciu. Wszyscy ubrani w galowe mundury, w dłoniach trzymali kapitańskie czapy. Najstarszy z mężczyzn, wyłysiał i z siwą brodą, wysunął się nieznacznie naprzód.

— Książę. — Kapitan ukłonił się nieznacznie przed Nickiem. — Czempionie. — Tym razem ukłon był nieco głębszy. — Panie — zwrócił się neutralnym powitaniem do Paula, nie mając pojęcia, kim ten jest, w związku z czym wstrzymał się również od ukłonu. — Kapitan Adam Yrbans, zaszczony waszym przybyciem i możliwością reprezentowania marynarskiej braci.

— Witam, panie kapitanie. — Nick sklonił się nisko, mimo iż nie musiał kłaniać się w ogóle. — Witam was wszystkich, panowie. Pozwólcie, że przedstawię wam mojego brata, Paula, byście nie musieli zachodzić w głowę, kogo tu do was przyprowadziłem. Przyjrzyjcie się mu dobrze, bo być może już wkrótce i do niego będziecie się zwracać *czempionie*.

Paulowi udało się ukryć zakłopotanie wywołane niespodziewanym komplementem. Skinął lekko głową przed kapitanami, a oni odpowiedzieli tym samym gestem.

— No, dobrze. Wystarczy już tych powitań. Zasiądźmy do stołu, panowie — zaproponował Nick. — Jeszcze się w życiu nastoimy.

Dwie strony sporu zajęły miejsca naprzeciwko siebie. Książę milczał i sędziwy kapitan uznał, że to on powinien teraz zabrać głos.

— Wasza Księcia Mość, na wstępnie chciałbym wspomnieć o uldze, jakiej wszyscy doświadczyliśmy, kiedy pojawiła się wiadomość o waszym uwolnieniu. Mam też nadzieję, że Wasza Księcia Mość nie nabawił się uprzedzeń do wszystkich ludzi morza. Zapewniam Waszą Księczę Mość, iż nie ma na tym świecie nikogo, kto pogardałby piratami bardziej niż my, uczciwi marynarze.

— Nie zwykłem się uprzedzać do kogokolwiek, kapitanie. Jestem tu po to, by rozwiązać problem głodu w mojej prowincji. Ta sprawa spędza mi sen z powiek, dlatego mam nadzieję, że mi pomożecie.

— Oczywiście, Wasza Książęca Mość, rozumiemy waszą troskę o los prowincji, lecz tak samo jak ty starasz się o zapewnienie jej dobrobytu, tak my musimy zapewniać dobrobyt naszym rodzinom. Tylko i wyłącznie dlatego nie chcemy się zgodzić na nowe przepisy.

Pozostali kapitanowie pokiali głowami, popierając słowa mężczyzny.

— Panie kapitanie, zapytam prosto z mostu. Czy kiedykolwiek grzebał pan w rynsztoku w nadziei, że znajdzie ogryzek jabłka lub obierki po kartoflach, wyrzucone przez jakiegoś marnotrawnego arystokratę? — Mówił szybko i głośno, ale nie agresywnie. — Czy zabił pan kiedyś własnego psa, by nakarmić nim głodne dzieci? Czy pańska żona musiała się sprzedawać za kromkę czerstwego chleba?

Yrbans poruszył się nerwowo na krześle, jakby coś go ukłuło. Jego towarzysze, zadowoleni z faktu, że nie muszą zabierać głosu, znieruchomili jak posagi.

— Nie wydaje mi się — stwierdził książe, widząc, że nie otrzyma odpowiedzi. — I całe szczęście, na łaskę oceanu, jak to lubicie mówić, całe szczęście. Nie życzyłbym tego najgorszemu wrogowi.

Nick zrobił krótką pauzę, by po chwili kontynuować spokojniejszym głosem.

— Niestety, takie rzeczy dzieją się codziennie na całym Zachodzie i to nie wrogom, lecz moim poddanym. Dlatego proszę was, byście do czasu opanowania sytuacji zrezygnowali z części zysków i przystali na zaproponowane ceny.

— My, oficerowie, moglibyśmy obniżyć nasze wynagrodzenia, ale zwykli marynarze nie zarabiają dużo — niepewnym głosem argumentował kapitan. — A ich jest najwięcej i mogą się nie zgodzić. Może dojść do buntów.

— Kiedyś jeden marynarz powiedział mi, że kapitan na statku ma większy posłuch niż kapłan w świątyni czy generał na polu bitwy. Kilku innych potwierdziło jego słowa. Skądś się to bierze i jestem pewien, że przekonacie swoich ludzi, by postąpili, jak należy.

— Oczywiście, będziemy próbować...

— Świeśnie. — Nick przerwał, nim kapitan zdążył powiedzieć *ale*. — O nic więcej nie proszę. Dziękuję wam za wyrozumiałość i poświęcony czas.

Nick wstał z krzesła i podał dłoń tymu kapitanowi, a następnie czterem pozostałym. Paul, nie do końca wiedząc, jak się zachować, poszedł śladem starszego brata. Kisric, spokojny jak zawsze, mierzył marynarzy chłodnym wzrokiem. Na sam koniec książe uklonił się jeszcze niżej niż na początku spotkania i skierował ku wyjściu. Paul i Kisric ruszyli za nim. Pozostawieni samym sobie kapitanowie przez chwilę milczeli, a potem zaczęli się kłócić.

— Jak zwykle ładnie sobie poradziłeś, nie jestem jednak pewien, czy załogi wszystkich statków będą zadowolone z rezultatu spotkania. Nie dałeś im niczego utargować — powiedział Kisric, gdy zmierzali na zasłużone piwo.

— No i co zrobią? — odparł beznamiętnie książę. — Popłyną do Simmow, ryzykując, że po drodze zamarznie pół załogi? A może udadzą się w północny rejs na wschód naszego pięknego kraju, licząc, że nie natrafią na piratów?

— Mogą popłynąć do Morsstand.

— Gdyby mogli sprzedać swoje towary w Morsstand, to nigdy by do nas nie przyptynęli. Twoi rodacy lepiej płacą i robią mniej problemów. Ale na wszelki wypadek zabezpieczyłem się i przed taką ewentualnością.

— W jaki sposób?

— Wczoraj wieczorem byłem w kapitanacie portu i wydałem kilka poleceń. Każdy członek załogi statku, którego kapitan nie zdecyduje się sprzedać towaru, zostanie spisany i już nigdy żadna łajba, na której taka osoba będzie służyć, nie zostanie wpuszczona do Rodawnzaru. A te statki, które nadal będą blokowały rzekę, zostaną skonfiskowane wraz z ładunkiem.

— Dlaczego nie wspomniałeś o tym na spotkaniu? — zapytał Paul.

— Grałem zatroskanego, lecz łagodnego władcę. Nie chciałem ich straszyć. Na takich, jak oni, nie działa to zbyt dobrze.

— Cieszę się, że to ty jesteś starszy — stwierdził po chwili milczenia Paul. — Kiedyś będziesz wspaniałym Wielkim Księciem, a ja będę mógł w spokoju machać sobie mieczem.

— Za wcześnie, by suń takie plany. Jeszcze obieg temu myślałem tylko o tym, by podróżować, chlać i dziewczyny rwać. Kto wie, co będzie za miesiąc?

Kolejnym miejscem, które zaplanował odwiedzić Nick, była Katedra Światła, druga największa świątynia Trójkrólestwa. Najważniejsze miejsce kultu Sprawiedliwego na zachód od Górz Podziału było nieczynne od czterech lat za sprawą przedłużającego się remontu. Osobą odpowiedzialną za renowację katedry był Salomo Gladcry z Cuc, uważany za najwybitniejszego żyjącego artystę z Lotherebemm. Gdy mistrz Salomo zaoferował swoje usługi kapłanom pragnącym odrestaurować będącą w nie najlepszym stanie świątynię, ci byli zachwyceni. Kiedy oznajmił, że zrobi to za darmo, byleby tylko zapewniono mu potrzebne materiały, nieomal oszaleli ze szczęścia. Artysta wykorzystując ich rozkojarzenie, wręczył im umowę na wykonanie remontu, a ci podpisali dokument, ledwie rzuciwszy nań okiem. W ten sposób przeoczyli zapis mówiący o tym, że Salomo będzie prowadził prace tak długo, jak uzna to za stosowne, a w ich trakcie nikt inny nie będzie miał dostępu do katedry.

Przez pierwszy rok kapłani zachowywali spokój. *Budowa świątyni trwała ponad dziesięć lat, to i jej remont musi trochę potrwać*, myśleli. Nabożeństwa przeniesiono do znajdującego się po drugiej stronie placu zadaszonego targowiska, które kapłanom za darmo udostępniła Gilda Złodziei, będąca jego zarządcą. Złodzieje nie zdecydowali się na ten gest wyłącznie po to, by przypodobać się Wierze oraz mieszkańcom Rodawnzaru. Prawdziwą cenę stanowiła obietnica najwyższego kapłana zobowiązująca kler do chętniejszego dzielenia się z Gildią informacjami zasłyszanymi od wiernych podczas spowiedzi.

Pod koniec drugiego roku duchowni zaczęli się niepokoić, zwłaszcza wtedy, gdy Gilda po przeprowadzeniu bilansu zysków i strat, kazała poszukać im sobie innego miejsca do odprawiania modłów. Żadnego dogodnego miejsca nie znaleziono i wierni, którzy dotychczas przychodzili na targowisko, a jeszcze wcześniej do katedry, musieli rozproszyć się po innych świątyniach miasta.

W trzecim roku remontu kapłani uznali, że mają dość. Po krótkich, bezowocnych pertraktacjach, rozpoczęła się wojna. Próbowano przeróżnych sposobów, by wykurzyć mistrza Salomo z katedry. Nie było to zadanie łatwe. Artysta, spodziewając się takiego obrotu sprawy, zabarykadował się od środka. Jedyne wejście do świątyni stanowiły potężne, strzeliste wrota. Najpierw kapłani próbowali zdemontować je od zewnątrz, lecz okazało się to niemożliwe. Później rozważano opcję wysłuszenia się wojskiem, które dysponowało taranem odpowiednich rozmiarów do zniszczenia bramy, jednak ostatecznie uznano, że takie posunięcie ośmieszy Wiarę w oczach wiernych. Następnie próbowano zdobyć katedrę głodem. Wynajęte oprychy pilnowały, by służący podający artyście posiłki przez niewielką klapę we wrotach nie był w stanie wykonywać swoich obowiązków. Salomo był przygotowany i na taką ewentualność. Zawczasu porobił olbrzymie zapasy żywności, a wodę do picia i prac zapewniała mu studnia zlokalizowana w podziemiach świątyni. W końcu kapłani uznali, że oblężenie nie zakończy się sukcesem i przeprowadzili ostatnią próbę odzyskania katedry. Zlecili wykonanie podkopu. Przeprowadzona przez emerytowanych wojskowych inżynierów operacja zakończyła się fiaskiem i zawaleniem kilku budynków znajdujących się w pobliżu katedry. Na wieść o klęsce najwyższy kapłan dostał zapaści i o mało co nie odszedł na spotkanie ze Sprawiedliwym. Kapłani uznali to za znak do ogłoszenia rozejmu. Od tej pory Salomo znów pracował w spokoju.

— Pewnie odbijemy się jak od ściany — prorokował Paul, gdy podeszli pod bramę Katedry Światła.

Nick, nie zważając na pesymizm brata, zakołatał w wydzielone we wrotach drzwi. Po kilku minutach czekania usłyszeli zgrzyt metalu i w podłużnej klapie służącej za wizjer ujrzały twarz.

— Coś wcześniej dzisiaj... Czego chcecie? — zapytał nerwowo Salomo, który spodziewał się służącego z obiadem.

— Witaj, mistrzu Salomo. Jestem Nick Brucondeis, książę Zachodu i...

— Przykro mi książę, ale nie mam czasu — przerwał mu artysta i zatrzasnął klapę.

— No to by było na tyle — stwierdził Paul.

Nick poczuł się bezradny. Przez ostatnie kilka dni przeprowadził wiele trudnych rozmów i za każdym razem udawało mu się uzyskać to, czego żądał. Jego dobra passa się skończyła. Wzruszył ramionami i zrezygnowany odwrócił się, by jak najszybciej opuścić miejsce porażki.

— Poczekaj — powstrzymał go Kisric. — Ja spróbuję.

Znowu rozległo się kołatanie, a po znacznie krótszym czasie niż poprzednio, zgrzyt zasuwy.

— Mówiłem, żebyście dali mi... O, to ty, Kisricu. Nie zauważałem cię wcześniej. — Salomo zdawał się zakłopotany.

— Nic nie szkodzi, mistrzu — uspokoił go czempion, po czym od razu przeszedł do konkretów. — Jestem przyjacielem księcia, a ostatnio także jego ochroniarzem. Przychodzimy do mistrza w bardzo ważnej sprawie. Może moglibyśmy wejść do środka, by porozmawiać. Zaklinam się na moje miecze, że to nie jest żaden podstęp.

— Hmm. Komu jak komu, ale tobie nie mógłbym odmówić. — Salomo odpowiedział po chwili namysłu. — Dobrze. Wejdźcie.

Nick i Paul ze zdziwieniem spojrzeli na czempiona. Nim zdążyli zapytać o wyjaśnienia, drzwi się otworzyły.

Gdy tylko znaleźli się w zacienionej kruchcie, Salomo ponownie zaryglował wejście, stanął przed nimi i zdawał się czekać, aż coś powiedzą. Miał na sobie poplamione, znoszone ubranie, był blady i bardzo szcypyły. Nie ścinął włosów i nie golił się od bardzo dawna. Przypominał pustelnika. Nikt z całej trójki nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. Wzrok skupili na tym, co znajdowało się w głównej części kościoła. Niczym zahipnotyzowani, zaczęli iść przed siebie w milczeniu.

Światło wpadające przez smukłe okna umieszczone wysoko na południowej ścianie było odbijane i potęgowane przez skomplikowany system zwierciadeł sprawiający, że w katedrze było jaśniej niż na zewnątrz. Podobnego rozwiązania próżno szło szukać w jakimkolwiek innym budynku Lotherbemm, stąd też świątynia nazywała się tak, a nie inaczej. Jednak to nie blask tak bardzo zafascynował księcia i jego towarzyszy.

Przez cztery lata pracy Salomo Gladcry zamienił wnętrze katedry w jeden wielki obraz, prawdziwą panoramę historii Trójkrólestwa. Na ścianach bocznych naw widniały sceny przedstawiające najistotniejsze wydarzenia ostatnich dwudziestu sześciu stuleci, poczynając od przybycia trzeciej fali uciekinierów z Thenorafrein do Miliphen aż po ostatnią wojnę pomiędzy Lotherbemm i Sinmow. Ściana za ołtarzem była wielką i szczegółową mapą królestwa, zaś sufit mapą nocnego nieba z wyróżnionymi najważniejszymi konstelacjami. Czarny w centralnej części nieboskłon jaśniął ku brzegom i przechodził w błękit, pod którym rozgrywały się sceny na

ścianach. Dwa środkowe rzędy kolumn podtrzymujących strop pokrywały misterne płaskorzeźby, przy podłodze zielone i stopniowo przechodzące w szarość, biel, a na końcu w błękit, symbolizujące szczyty Górz Podziału. Boczne kolumnady zastąpiły gigantyczne posągi największych władców. Jedna z nich przedstawiała króla Visela, który przed siedmioma wiekami ponownie zjednoczył wojujące ze sobą Wschód i Zachód, dzięki czemu przez wielu uważany był za najważniejszego monarchę w historii. Ponieważ nie zachowały się żadne przedstawiające go portrety bądź rzeźby wykonane za jego życia, jako model do stworzenia posągu musiał posłużyć ktoś inny. Tym kimś był Kisric.

Trójka towarzyszy przez dwa kwadranse w ślimaczym tempie obchodziła świętynię, pragnąc nacieszyć oczy każdym detalem niesamowitego tworu. Salomo postanowił im nie przeszkadzać. Przez ostatnie dwa lata nie wpuścił do katedry nikogo, w związku z czym był ciekaw ich opinii. Był świadom swojego niesłychanego talentu, lecz po tak długim czasie pracy nad swym dziełem, obawiał się, że stracił do niego dystans i zdolność krytycznej oceny.

— Niesamowite. Po prostu niewiarygodne. Aż brak mi słów — odezwał się wreszcie Nick. Mówił cicho, jakby się bał, że podniesiony głos mógłby uszkodzić arcydzieło.

Paul nadal stał z rozdziawionymi ustami i powoli kiwał głową, dając do zrozumienia, że zgadza się ze słowami brata.

— A ty Kisricu? Co o tym sądzisz? — zapytał z nieskrywanym zainteresowaniem Salomo.
— Twojej opinii jestem najbardziej ciekaw.

— Zanim przybyłem do Lotherbemm, dane mi było ujrzeć Ogrody Harmonii — odpowiedział po dłuższej chwili czempion. — Pamiętam jak przytłoczył mnie ogrom klasztoru. Wszystkie twierdze, jakie zdążyłem odwiedzić do tego dnia, swobodnie zmieściłyby się w jego wnętrzu.

Kisric zamknął oczy, by łatwiej przywołać stare wspomnienia.

— Do Chilsund przybyłem późnym wieczorem, więc dopiero nazajutrz mogłem dokładnie przyjrzeć się budowli, w której przenocowałem. Kolorowe płaskorzeźby pokrywające zewnętrzne mury przedstawiały najróżniejsze rzeczy: zwierzęta, ludzi, przedmioty. Gdy nieco oddaliłem się od klasztoru, zauważyłem, że pojedyncze malowidła łączą się ze sobą, tworząc większe. Szedłem dalej i im dalej się znajdowałem, tym większy obraz byłem w stanie dostrzec. Wreszcie znalazłem się tak daleko, że ujrzałem całość: medytującego mnicha, po którego lewej stronie toczyła się wojna, a po prawej panowała harmonia. A była to tylko jedna z czterech ścian.

Otworzył oczy i spojrzał na Salomo.

— Gdy minął najsilniejszy zachwyt, pojąłem rozmiar pracy oraz geniuszu włożonych w stworzenie czegoś tak niesłychanego i dopiero wtedy poczułem się naprawdę mały. Teraz czuję to samo.

Przez ciało artysty przetoczyła się fala gorąca na tyle gwałtowna, że stracił on równowagę i gdyby nie filar, o który się oparł, upadłby na ziemię.

— Źle się czujesz, mistrzu? — zapytał zaniepokojony Kisric. — Czy cię uraziłem?

— Nie, przeciwnie — odparł z wysiłkiem Salomo, który na wszelki wypadek sam przysiadł pod kolumną. — Dzięki tobie wiem, że było warto. Dajcie mi chwilkę, bym ochlonął.

Nick, Paul i Kisric również usiedli na podłodze. Czuli się zbyt mali, by patrzeć na Salomo z góry.

— Jak to w ogóle możliwe, by jeden człowiek dokonał czegoś tak wielkiego? I to w cztery lata? — zapytał po dłuższej chwili Paul.

— Byłbym nieuczciwy, twierdząc, że to tylko moje dzieło — odparł Salomo, który zdążył już dojść do siebie. — Zdecydowana większość prac została wykonana w ciągu pierwszych dwóch lat, kiedy jeszcze nie musiałem przejmować się kapelanami. Wówczas w katedrze pracowało przeszło sto osób. Byli to artyści, głównie młodzi, którzy usłyszeli, że szukam pomocników do remontu katedry. Moja sława przyciągała ich z całego Lotherbemm, a także z Morsstand oraz Sinmow. To oni wyrzeźbili posągi i stworzyli większość malowideł. Ja tylko ich pilnowałem i wskazywałem, co należy poprawić. Kiedy wszystko było już niemal skończone, rozpoczęła się ta żenująca przepychanka z Wiarą.

— Więc to przez kapłanów remont wydłużył się o dwa lata? — zapytał Nick.

— No cóż, tak. Musiałem odesłać moich pomocników. Dawali z siebie wszystko, lecz nie mogłem wymagać, by zamieszki w katedrze. Prędzej czy później któryś z nich uznałby, że ma dość, a kapłani tylko czekali na najmniejszą okazję, by dostać się do środka i mnie przepędzić. Zostałem więc sam i sam musiałem wszystko dokończyć. Z jedzeniem i wodą nie było problemów, jedynie zima dała mi się we znaki. Widzicie tamtą czarną plamę na podłodze? — Salomo wskazał miejsce na środku katedry.

Słuchający pokiwali głowami.

— To sadza. W czasie najintensywniejszych prac pod wszystkimi ścianami stały rusztowania. Kiedy nadeszły mrozy, musiałem je spalić, by się nie pochorować z zimna. Trochę się obawiałem, że dym osiądzie na malowidłach i je zabrudzi, ale na całe szczęście sufit i tak jest praktycznie czarny, więc mu to nie zaszkodziło.

Zapadła cisza. Trójka towarzyszy wpatrywała się w sklepienie, zastanawiając się, jak będzie wyglądać w nocy, kiedy mroki katedry będzie rozpraszało jedynie światło świec.

— Nie powiedzieliście jeszcze, dlaczego zdecydowaliście się mnie odwiedzić. — Artysta wyrwał ich z zadumy.

— Przyszliśmy z prośbą, lecz po tym, co zobaczyłem, nie czuję się godzien prosić mistrza o cokolwiek — przyznał z pełną szczerocią Nick.

— Ależ proszę, powiedz, o co chodzi. Nie obieczę, że się zgodzę, ale co mi szkodzi posłuchać?

— Hmm, no dobrze. — Nick odzyskał nieco pewności siebie. — Nie wiem, czy mistrz wie o tym, że prowincję nawiedziła w tym roku straszliwa susza. Na niemal całym Zachodzie panuje głód, ludzie umierają, dochodzi do koszmarnych scen. Próbuje coś na to poradzić, chwytam się, czego tylko da się chwycić. Pomyślałem więc sobie, że gdyby otworzyć wreszcie katedrę, może podniosłoby to mieszkańców Rodawnzaru na duchu. Może zaczęliby myśleć, że skoro remont dobiegł końca, to jest szansa, by i inne problemy przeminęły. A w najgorszym wypadku zyskałbym trochę czasu, nim wybuchną poważne zamieszki.

— Jestem przekonany, że kiedy ludzie ujrzą wnętrze katedry, ponownie zwrócią się ku Sprawiedliwemu i w mieście zrobi się spokojniej, przynajmniej na jakiś czas. A my czasu potrzebujemy niemal tak samo, jak żywności. — Kisric poparł plan księcia.

— Zostało mi jeszcze trochę poprawek, a nie pracuję już tak szybko, jak na początku remontu — zaczął Salomo. — Muszę się wam przyznać, że jestem prawdziwie wykończony. Sami zresztą widzieliście. — Położył dłoń na zapadniętej piersi. — Ale gdybyście postawili przed katedrą straże, które trzymałiby kapłanów na odległość, to mógłbym znowu korzystać z pomocy innych. Myślę, że wówczas remont zakończyłby się w przeciągu miesiąca.

Nick objął słabą dłoń artysty swoimi dłońmi i powiedział pełnym wdzięczności głosem:

— Mistrzu, nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy. Jeszcze dziś przyślę tu gwardzistów z Twierdzy Słońca. Kapłani nie odważą się im podskoczyć. Każę też rozpowiedzieć, że ponownie szukasz pomocników. Dziękuję, dziękuję serdecznie. Rodawnzar ma u ciebie wielki dług.

— A może to ja mam dług u ciebie, książę? Gdyby nie wasza wizyta, pewnie spędziłbym tu jeszcze z rokiem, a kolejnej zimy mógłbym nie przeżyć. No, ale nie czas na posepne przemyślenia.

Salomo zaczął wstawać, ale nie szło mu to najsprawniej i Nick musiał mu pomóc.

— Odprowadzę was do wyjścia i pójdę położyć się spać. Muszę odzyskać siły, nim pojawią się pierwiści chętni do pomocy.

Opuściwszy świątynię, Nick stwierdził, że na dziś wystarczy im przeżyć. Nie chciał kończyć dnia kolejnym spotkaniem z jakimś nudnym urzędasem. Zamierzał zasnąć, mając przed oczami malowidła i posągi Katedry Światła.

Odebrali konie, których pilnowali strażnicy czuwający nad porządkiem na Placu Sprawiedliwego, i ruszyli w stronę Twierdzy Słońca.

— Jedna rzecz nadal mnie zastanawia — oznajmił Paul, gdy zbliżali się już do zamku. — Dlaczego Salomo postanowił nas wpuścić, kiedy cię zobaczył, Kisricu? No i dlaczego zrobił z ciebie króla Visela?

— Jest to dla mnie trochę krępująca sprawa, ale pewnie i tak nic was to nie obchodzi i nie dacie mi spokoju — zaczął wojownik. — Tak się złożyło, że podczas mojego pierwszego Wielkiego Turnieju Salomo akurat przebywał w Rodawnzarze i ktoś zaprosił go na arenę. Ponoć nigdy nie był entuzjastą przemocy, lecz z jakiegoś powodu dał się namówić. Po zawodach, które oczywiście wygrałem, w czasie Balu Zwycięzców podszedł do mnie i nawet się nie przedstawiając, zaczął prawieć mi komplementy. Twierdził, że nie widział nikogo, kto poruszałby się z podobną gracją, zachwalał proporcje mego ciała oraz rzeźbę mięśni. Sądziłem, że pewnie preferuje silnych chłopców, a jako że miał już lekko w czubie, przestał się ukrywać. Dawałem mu do zrozumienia, by zostawił mnie w spokoju. Bezskutecznie. W kótko pytał, czy zechcę dla niego pozować. *No tak, artysta zboczeniec, typowe*, pomyślałem. W końcu nie wytrzymałem, chwyciłem go za szmaty i wyprowadziłem z sali. Zrobiło się niezłe zamieszanie, bo już wtedy cieszył się dużym uznaniem. Na szczęście ktoś rozbawiły rozeznał się w całej sytuacji i udało mu się wszystko naprostować. Przeprosiłem Salomo, choć nie było to konieczne. On naprawdę był mną zafascynowany. Nie miałem serca dłużej odmawiać jego prośbom i zgodziłem się pozować. Wtedy jedynie namalował obraz. Kiedy cztery lata temu rozpoczął się remont katedry, pozowałem do posągu. Jednak nie miałem pojęcia, że ma to być posąg króla Visela. Koniec historii.

— Przykro mi to mówić, ale możesz wpakować się w niezłą kabałę. Wyobrażasz sobie, co będzie, gdy jakiś buc ze Wschodu zorientuje się, że jako model posągu króla Visela posłużył przybłąda z Morsstand? — Nick wyraził swoje obawy.

— I to czarnoskóry przybłąda — dodał Paul.

— No tak. Czarnuch z pustyni. — Kisric doskonale wiedział, jak za jego plecami określano go na wschodzie kraju. — Sporo ludzi zagotuje się ze złości. Ale mam ich w dupie. Mam pomnik, który przetrwa ich wszystkich.

Choć księże i jego kompani spędzili w Katedrze Światła ponad godzinę, nie ujrzaeli całego dzieła Salomo Gladarya. Artysta był bardzo skrupulatny podczas odtwarzania historii Loherbemm i starał się nie przegapić niczego istotnego. Istniała jednak pewna rzecz, z którą miał problem. Coś, co miało znaczny wpływ na losy Trójkrólestwa, jednak znacznie od niego starsze. Przez długi czas nie wiedział, gdzie umieścić odpowiedni malunek.

Ostatecznie zdecydował się wykonać go w katakumbach pod świątynią. Na jednej ze ścian, w ich najmroczniejszym zakamarku widniał prosty obraz przedstawiający dwie kamienne płyty. Na tej pionowej wyryty został napis: *Za czystą śmierć płaci się złotem*.

Czwarty dzień dziesiątego obiegu Władcy. 277 dzień roku. Rodawnzar. Plac Sprawiedliwego. Południe.

Działania podjęte przez Nicka póki co okazywały się skuteczne. W Rodawnzarze panował względny spokój, ludzie przestali umierać z głodu i tracić majątki. Do portowych pirsów codziennie przybijało kilka statków z żywnością z Morsstand, zaś gościńcami przybywały wozy ze Wschodu i Północy. Pogoda również dopisywała. Po ulewie zapowiedzianej przez tajemniczego kaznodzieję deszcz padał jeszcze kilkukrotnie, co w połączeniu z utrzymującą się wysoką temperaturą dawało nadzieję, że przed nastaniem zimy uda się jeszcze zebrać plony. Książę dziękował losowi za długi okres wegetacyjny zachodniej prowincji pozwalający na trzy zbiory w ciągu roku. Jego jedynym poważnym zmartwieniem była natomiast pogarszająca się z każdym dniem kondycja księcia skarbca, który to finansował większość wydatków spowodowanych suszą. Nick, choć nigdy nie lubił pożyczać pieniędzy, na poważnie zastanawiał się nad tym, czy nie poprosić o pomoc swojego wuja.

Ze względu na ułomność lotherbemmskiego kalendarza astrologowie co roku musieli ustalać daty świąt państwowych oraz kościelnych, a także początek i końców wszystkich kalendarzowych pór roku. Według ich wyliczeń tym razem zakończenie lata przypadało na czwarty dzień dziesiątego obiegu Władcy. Pożegnanie najcieplejszej pory roku świętowano hucznie w całym Trójkrolestwie. W Rodawnzarze z tej okazji zawsze organizowano turniej rycerski. Nie był on tak ważny, jak odbywający się trzy obiegi wcześniej Wielki Turniej, lecz i tak cieszył się na tyle dużym zainteresowaniem, że Arena Padavony pękała w szwach.

Tym razem, po raz pierwszy od niepamiętnych czasów, zrezygnowano z urządzania zawodów.

Tę trudną decyzję podjął Nick. Zarówno arystokracja, jak i pospółstwo, uwielbiali brutalne starcia wojowników w jednakowym stopniu i książę był świadom, że odwołanie turnieju wywoła spore rozczarowanie. Ludzi nie obchodził stan skarbca, chcieli chleba i igrzysk, a gdy tego brakowało, okazywali niezadowolenie. Jednak księcia się tym nie przejmował. Miał asa w rękawie. Asa, którym zamierzał wypełnić lukę powstałą w rodawnzarskim kalendarzu imprez. A właściwie to nie asa, lecz dwa jokery.

Mistrz Salomo zakończył remont Katedry Światła na tydzień przed świętym. Choć kapłani jakoś się o tym dowiedzieli, książę nie odwołał gwardzistów pilnujących wejścia do świątyni i ta dalej stała zamknięta. Nick zamierzał uczynić z jej otwarcia główny punkt obchodów święta pożegnania lata. Wnętrze katedry samo w sobie powinno sprawić, by lud zapomniał o zawodzie spowodowanym odwołaniem turnieju, lecz księcia postanowił dać mu więcej. Dać im coś, czego nie zapomną do końca życia. Potrzebował pomocy Garetha Tovesha.

Bard nie od razu zgodził się na koncert w katedrze. Nie uważał się za osobę uduchowioną, nie w znaczeniu odczuwania bliskości Stwórcy. Nie był nawet przekonany o jego

istnieniu, a o kapłanach miał nienajlepsze mniemanie. Nick wiedział, że muzykowi jak mało komu zależało na poprawie losu ludzi prostych, o czym mówiła większość jego nowych utworów. Zapewniał, że koncert w świątyni tylko się do tego przyczyni, mimo to Gareth obstawał przy swoim. Nie chciał mieszać sztuki z wiarą i już. Księciu pozostało tylko jedno: pokazał śpiewakowi katedrę.

Ujrzawszy dzieło mistrza Salomo, wrażliwy na piękno Gareth popłakał się ze wzruszenia. Powiedział Nickowi, że to już nie jest świątynia Sprawiedliwego, lecz świątynia sztuki i nie ma innego miejsca na ziemi, w którym bardziej pragnąłby zagrać. Kilkakrotnie dopytywał się, czy aby na pewno mistrz Salomo zgodził się na koncert w katedrze, bo bez jego pozwolenia nie osmieli się wystąpić. Mimo iż nie należał do najskromniejszych, w obliczu dzieła Gladcrys, podobnie jak wcześniej Nick czy Kisric, czuł się maluczki. Salomo nie miał żadnych obiekcji i już nic nie stało na drodze wielkiej niespodzianki szykowanej przez księcia.

Pogoda dopisała. Było ciepło, ale nie upalnie, a po niebie leniwie płynęły białe obłoki, chroniąc przed słońcem tłum zebrany na Placu Sprawiedliwego. Ludzi było tak wielu, że Gareth zamiast jednego, był zmuszony dać dwa występy. Nawet najżarliwi wyznawcy Miłosiernego nie byli w stanie oprzeć się ciekawości zobaczenia katedry.

Bard zrezygnował ze swych najbardziej wywrotowych utworów na rzecz tych mocno refleksyjnych, które lepiej pasowały do nietypowej sali koncertowej. Wszyscy bez wyjątku opuszczali świątynię poruszeni oraz natchnieni nadzieję i nikt nie pamiętał już o odwołanym turnieju.

Po koncertach kapłani odprawili mszę, a następnie komes Fred Protbey, jako formalny zarządcy prowincji, wygłosił krótką przemowę. Na sam koniec oficjalnej części obchodów herold ogłosił zakończenie lata i na placu rozpoczęła się wielka feta.

Arystokracja i najznamienitsi mieszczanie biesiadowali przy stołach ustawionych przy jednym z boków olbrzymiego dziedzińca. Od pospolstwa posilającego się na stojąco bądź siedząc na bruku, odgradzał ich kordon straży. Zarówno biedocie, jak i szlachcie, zaserwowało niemalże to samo menu: świeże pieczywo, ryby, trochę owoców i napitek. Jedyną różnicą było to, że wielmożowie zamiast solonych, jedli świeże ryby, które popijali białym winem, a nie słabym piwem. Wszystko to było zaplanowane przez Nicka. Motłoch nie był w stanie dostrzec różnicy, zaś szlachta, nienawykła do świętowania z kmiotkami, czuła się chociaż trochę wyróżniona.

O ile pospolstwa było całe zatruszczenie, arystokratów zjawiło się niewielu. Przybyło zaledwie kilku hrabiów, kilkunastu baronów i około setki zwykłego rycerstwa. Niektórym towarzyszyły małżonki, inni stawili się sami, licząc na jakąś łózkową przygodę bądź uznając, że czasy są zbyt niespokojne, by podróżować razem z kobietami. To właśnie strachem przed bandami grasującymi po gościńcach, z którymi nadal nie potrafiono sobie poradzić, Nick

próbował tłumaczyć niską frekwencję szlachty. Wiedział jednak, że był jeszcze co najmniej jeden jej powód: niezadowolenie z wprowadzanych przez niego zmian, które w istotnym stopniu ograniczyły przywileje i dochody panów.

Przy głównej ławie, na samym jej środku, zasiadał Nick ubrany w tunikę z wysztym godłem Rodawnzaru, białą wieżą, nad którą górowało słońce częściowo zaćmione przez Bliźniaki. Herb upamiętniał bitwę z wojskami Morsstand, po której zdobyto miasto. Wieża symbolizowała Rodawnzar z jego potężnymi murami, zaś zaćmienie przypominało o układzie ciał niebieskich, jaki miał miejsce podczas batalii.

Na lewo od księcia siedzieli Protbey i hrabiowie, na prawo Paul, Kisric i najważniejsi urzędnicy Rodawnzaru. Miejsca po drugiej stronie stołu zajmowali baronowie oraz kapłani. Salomo i Gareth, zafascynowani swoimi talentami, rozmawiali przy ławie przeznaczonej dla rycerstwa. Przyglądający się artystom książę żałował, że nie wymyślono jeszcze dziedziny sztuki, która pozwalałaby na połączenie ich niesłychanych talentów.

Zazwyczaj za wszelką cenę stroniący od jałowych dyskusji Nick zmusił się do rozmowy ze swoimi poddanymi. Chciał wybadać ich nastroje i spróbować przekonać o słuszności swoich działań. Grał najlepiej, jak potrafił, a był w tym całkiem niezły, lecz arystokraci ewidentnie mu nie ufali i prowadzili własną grę, toteż nie dowiedział się zbyt wiele. Najbardziej rozmowni byli ojcowie młodek na wydaniu, liczący na to, że uda im się wziąć w książeczą rodzinę. Ci zachwalali walkę Nicka z kryzysem, by po chwili oddalić się pod byle pretekstem i zostawić księcia sam na sam ze swoimi córkami. Mający doświadczenie w podobnych sytuacjach książę nie tracił głowy i grał dalej. Było jednak coś, co go zaskoczyło i trochę przeraziło. Dotychczas postrzegał kobiety wyłącznie jako potencjalne kochanki, zaś teraz mimowolnie oceniał, jak spełniłyby się w roli księżnej. Niepokojące spostrzeżenie nie dawało mu spokoju i po pewnym czasie wrócił na swoje miejsce przy głównej ławie. Napiwszy się wina, poczynił jeszcze jedną, nie mniej zatrważającą i w pewnym sensie sprzeczną z poprzednią obserwacją: niektóre szlachcianki były naprawdę ładne, lecz żadna nie mogła równać się z Etoin Jo'Keeffe.

Ucztowanie miało się ku końcowi. Część pospolstwa już opuściła plac w poszukiwaniu miejsca dogodnego do opróżnienia pęcherzy wypełnionych wypitym piwem. Arystokracja nie musiała się borykać z podobnym problemem, gdyż dla niej przygotowano ustępy w jednej z uliczek odchodzących od dziedzińca, mimo to i ona była już znużona. Na polecenie Nicka herold szykował się już do ogłoszenia zakończenia biesiady, kiedy nagle w tłumie, niedaleko kordonu straży, powstało zamieszanie.

Ktoś zaczął krzyczeć, ktoś inny zawodzić przeraźliwie, część pospolstwa próbowała uciec, inni, mocniej podpici, przez co i bardziej ciekawscy, starali się podejść bliżej. Kilku strażników ruszyło, by sprawdzić, co się dzieje. Ucztujący przy stołach zamilkli i zwróciли wzrok w stronę

poruszenia. Wtedy to, na oczach ich wszystkich, wydarzyło się coś kompletnie niespodziewanego.

Jeden z gwardzistów, ni z tego, ni z owego, uniósł swą halabardę i zadał potężny cios stojącemu obok kompanowi. Ostrze pod kątem przecięło obojczyk i zagłębiło się aż po mostek. Mężczyzna upadł na bruk, tryskając dookoła krwią. Przez plac przetoczyła się moc krzyków przerżenia. Wśród biedoty wybuchła panika, szlachcice poderwali się z siedzeń. Kilku strażników doskoczyło do swojego kolegi-mordercy i nie dając mu szansy na żadne tłumaczenia, zasypało śmiertelnymi ciosami.

Nim zbrodniarz wyzionął ducha, w innej części kordonu kolejny strażnik podniósł broń na swojego towarzysza, lecz ten zdołał odbić uderzenie i wywiązała się walka. Po krótkiej chwili ten, który zaczął, nagle stanął jak wryty, nawet nie próbując uniknąć nadchodzącego ciosu. On również zginął na miejscu.

Teraz chaos zapanował także wśród szlachetniej urodzonych. Mieszczanie uciekali poprzez aleję latryn bądź chowali się pod stołami. Rycerstwo, którego zakaz posiadania broni w mieście nie obowiązywał, dobyło mieczy, gotowe do obrony siebie i swoich kobiet.

Nick, otrząsnąwszy się z pierwszego szoku, przeskoczył przez stół, by znaleźć się bliżej wydarzeń i spróbować nad nimi zapanować. Paul dobył obydwu mieczy i ruszył za bratem. Kisric podążył tuż za nim.

Książę miał już zwołać, prosząc o zachowanie spokoju, gdy nagle drogę zagroził mu Leon O'Vamdees. Rosły, zawsze uśmiechnięty baron z kręconym wąsem, wyprowadził błyskawiczne pchnięcie, celując prosto w serce. Nick z szybkością, o jaką siebie nawet nie podejrzewał, ustawił się bokiem, unikając trafienia, po czym cofnął się o dwa kroki i dobył własnej broni.

Paul już szykował się, by wkroczyć pomiędzy brata i zdradzieckiego barona, gdy nagle ktoś chwycił go za kołnierz i pociągnął do tyłu. Tym kimś był Kisric, lecz Paul o tym nie wiedział. Odruchowo odwinął się łożkiem, trafiając czempiona prosto w nos. Uderzenie było tak silne, że Kisric aż przysiadł na ziemi.

— Co robisz? — krzyknął Paul, gdy zorientował się, kto próbował go powstrzymać. — Zwariowałeś?

Baron nie zwracał na nich uwagi. Był skupiony wyłącznie na Nicku. Książę, choć zwinny, miał niewielkie pojęcie o walce mieczem. Z trudem odbił pierwszy cios O'Vamdeesa, kolejny sparował na tyle nieporadnie, że ostrze barona zraniło go w udo. Na trzeci nie był w stanie odpowiedzieć w żaden sposób. Na jego szczęście Paul nie pozwolił O'Vamdeesowi wyprowadzić trzeciego ciosu. Dopadł do niego od tyłu i zaatakował bez zawahań. Mieczem trzymanym w prawej dłoni obciął uzbrojoną rękę barona w łożcu, zaś tym w lewej pozabawił go głowy, jeszcze zanim kończyna O'Vamdeesa upadła na ziemię.

Młodszy z książąt schował jeden z mieczy, objął rannego brata ramieniem, po czym razem ruszyli w stronę alejki, w której szlachta zostawiła swoje konie. Idąc, Paul mierzył do wszystkich wyciągniętym ostrzem, dając do zrozumienia, by nie próbowano go zatrzymywać. Kisric, którego nos był złamany i obficie krwawił, nie zważając na ból, szedł za nimi, również trzymając wszystkich na odległość miecza. Zszokowane rycerstwo wreszcie uznalo, że dalsze trwanie na placu nie jest najlepszym pomysłem i samo rzuciło się do ucieczki.

Wskoczyli na pierwsze lepsze wierzchowce i popędzili je w stronę zamku. Paul jechał na przedzie, gotów zabić każdego, kto zastąpi im drogę. Kisric ubezpieczał tyły. Po kilku minutach szaleńczego cwału przekroczyli bramę Twierdzy Słońca.

Nick wyhamował konia i krzyknął na pilnujących wrót, zdezorientowanych strażników:

— Zamknąć bramę!

Gwardziści bezzwłocznie wykonali polecenie, po czym biegiem wrócili przed oblicze krwawiącego księcia.

— Nie zbliżać się! — wrzasnął Nick, gdy podbiegli zbyt blisko. Księże nadal nie wiedział, kto odpowiadał za atak i komu można było ufać.

Strażnicy stanęli jak wryci, na baczność oczekując dalszych rozkazów.

— Słuchajcie mnie uważnie. — Nick jedną ręką trzymał wodze, a drugą dociskał krwawiącą ranę. — W twierdzy niemal na pewno są zdrajcy. Macie zbudzić całą zamkową gwardię. Od tej pory będziecie chodzić w przynajmniej czteroosobowych grupach i bacznie pilnować siebie nawzajem. Odbierzecie broń wszystkim gościom zamku, a wpuszczać ich będziecie przez boczne drzwi po szczegółowej rewizji. Tych, którzy są już w środku, zamknijcie w ich komnatach. Jeśli będą oponować, możecie użyć siły.

Wciąż mówił podniesionym głosem, stanowczo, jak nigdy wcześniej.

— Znajdziecie też szefa szpiegów, szefa złodziei i dowódcę gwardii. Mają jak najszybciej stawić się w sali tronowej. Ich też macie rozbroić. I jeszcze nadwornego medyka — dodał po krótkiej pauzie. — Medyk ma przyjść pierwszy. Wykonać!

— Tak jest!

— I pod żadnym pozorem nie otwierać bramy, choćby stanął pod nią sam król!

Gwardziści przez chwilę wahali się, od czego zacząć, po czym pobiegli w stronę strażnicy. Nick, Kisric i Paul ruszyli dalej brukowaną ścieżką wiodącą na zamek. Konno zajechali pod samą salę tronową, wypełniając korytarze stukotem podków uderzających o kamienną posadzkę. Zsiedli z wierzchowców, wesli do sali i zamknęli się od środka. Czekała ich długa, nieprzespana noc.

Rozdział dwudziesty trzeci – Witaj w mym koszmarze

Czwarty dzień dziesiątego obiegu Władcy. 277 dzień roku. Wartegall. Południe.

Szczegółowe przesłuchanie zajęło niecałą godzinę. Młody przybysz z Dżungli, przerażony przedstawieniem odegranym przez Jarmisa, wyśpiewał wszystko, co wiedział. Z jego długiego zeznania, co chwila przerywanego pytaniami, zabójca i szpiedzy dowiedzieli się, że Merist planowała zabić Lottara Sconda podczas obchodów z okazji końca lata, wysługując się kimś będącym pod wpływem elizium. A mógł to być każdy, gdyż od ponad miesiąca niewielkie ilości narkotyku były dodawane do wyrobów oferowanych w cukierniach należących do spiskowców.

Zginąć miał nie tylko król. W tym samym czasie dwóch wyszkolonych przez Merist pomocników miało przeprowadzić ataki w Rodawnzarze oraz Velfare i kontynuować falę mordu przez kolejny miesiąc. Biała Pani, w swojej krainie nosząca również przydomek Królowej Podstępu, pragnęła, aby chaos ogarnął całe Trójkrolestwo, a wszystko po to, by Lotherbemmczycy nie byli w stanie stawić czoła armii Dzikich, która miała zaatakować na początku następnego roku.

Szpiedzy byli zszokowani tymi rewelacjami. Wypytywali o szczegóły planowanych ataków oraz zbliżającej się wojny. Tym razem oboje robili notatki, gdyż sprawa była zbyt poważna, by zawierzać ją niedoskonałości ludzkiej pamięci. Chcieli znać liczby i daty, strategie oraz uzbrojenie wrogich wojsk, wszystko, co mogłoby się przydać, lecz ku ich złości i rozczarowaniu, chłopak nie wiedział zbyt wiele.

Jarmisa losy Lotherbemm i jego mieszkańców, wliczając w to rodzinę zabójcy oraz tę garstkę osób, do których żywił sympatię, obchodziły niewiele. Wychodził z założenia, że każdy przedzej czy później musi umrzeć, a czy stanie się to ze starości, choroby czy za sprawą strzały Dzikiego nie miało większego znaczenia. Nie zamierzał ratować życia niewinnych, choćby były ich miliony. Oni wszyscy i tak byli w lepszej sytuacji od niego. Gdziekolwiek udawała się ludzka dusza po śmierci, mieli pewność, że odejdą tam samotnie. Złączony duszami z Behemotem Jarmis, jeśli nie udałoby mu się ich rozdzielić, miał być przeklęty na całą wieczność.

Ignae i Rick nie protestowali, gdy po zakończeniu przesłuchania Jarmis podrzynał gardła Dzikich. Byli zbyt niebezpieczni, by puścić ich wolno. Pozostawieni w chacie, nawet związani, mogli uciec lub ktoś mógł ich uwolnić, a na eskortowanie ich do Fellan nie mieli czasu. Martwych zostawili tam, gdzie skonali, nie bawiąc się w zacieranie śladów. Na to też nie było czasu. Gdy opuszczali górską kryjówkę, przez głowę Ignae przewinęła się myśl, że ktokolwiek ją odnajdzie i zdecyduje się zjarzyć do środka, raz na zawsze wyleczy się z wędrówek po bezdrożach.

Do obchodów końca lata pozostało cztery i pół dnia. Ignae kalkulowała, że jeśli nie będą oszczędzać koni i przy ich częstych zmianach, powinno udać im się dotrzeć do Wartegall na czas.

Im, czyli szpiegom. Zabójca nie zamierzał pokładać nadziei w wytrzymałości zwierząt, za którymi nie przepadał i które na długich dystansach ustępowały mu szybkością.

Rozdzieliли się zaraz po opuszczeniu chaty. Nie zważając na prośby szpiegów, by pomógł im odnaleźć powrotną drogę w ciemnościach, Jarmis pognał przed siebie.

Do miasta, a dokładniej w okolice młyna, gdzie wciąż czekali Kyle i Dwight, dobiegł po dwóch godzinach. Krótkimi słowy zobrazował szpiegom nową sytuację, w jakiej się znaleźli. W jukach dźwiganych przez konie odnalazł swój łuk, strzały oraz zapasowy bukłak z wodą, po czym popędził dalej.

Najpierw skierował się na południe, ku centrum miasta i gościowi, który przezeń przebiegał. Znalazłszy się na ubitym trakcie, skręcił w lewo, na wschód. Opuszczając Fellan, po drodze minął tablicę informacyjną dla podróżnych, która głosiła: *Wartegall – 404 mile*.

Początek wyścigu szpiegów z czasem nie zapowiadał nic dobrego. Pozbawieni zdolności nocnego widzenia Rick i Ignae pogubili drogę, w związku z czym do wyczekującej ich dwójką towarzyszy dołączyli dopiero przed południem. Kolejne pół godziny stracili na dotarciu do miejscowości siedziby wywiadu i przekazanie informacji o planowanych zamachach. Oficer w stopniu kapitana, z którym przyszło im rozmawiać, nie dowierał ich rewelacjom, lecz ostatecznie dał się przekonać i zapewnił, że jak najszybciej wyśle gońców do Welfare i Rodawnzaru. Zdenerwowani jego początkową nieufnością szpiedzy opuścili budynek, wskoczyli na siodła i wyładowali swoją złość na koniach, mocnymi szturchnięciami w podbrzusze zmuszając je do galopu.

Szaleńcze tempo jazdy sprawiło, że byli zmuszeni zmienić wierzchowce w drugiej osadzie za Fellan. Stajenny był przeróżny stanem zwierząt i nie miał ochoty wypożyczać im kolejnych, lecz odznaka Agencji oraz srebro szybko przekonały go do współpracy. Choć od tego momentu szpiedzy już nie popędzali wierzchowców aż tak bezlitośnie, w ciągu kolejnych trzech dni zajechali na śmierć kilka najmniej odpornych zwierząt.

Oni sami też nie znajdowali się w najlepszym stanie. Od tygodni nie zaznali porządnego odpoczynku, a teraz byli zmuszeni niemal całkowicie z niego zrezygnować. Sypiali po trzy, cztery godziny na dobę, resztę czasu spędzając w siodle. Byli na skraju wyczerpania, lecz ich męczarnie nie poszły na marne. Na dzień przed końcem lata pozostało im do przejechania zaledwie sześćdziesiąt mil. *Zdążymy*, myślała cała czwórka i to przekonanie dodawało im sił.

Jarmis zaliczył dużo lepszy start niż szpiedzy. Przez pierwsze dwa dni pokonał dwieście czterdzieści mil i przy zachowaniu takiego tempa mógł liczyć na dzień odpoczynku przed konfrontacją z Merist. Nie zamierzał też informować nikogo o zamachu, albowiem sam chciał się rozprawić z Białą Panią. Wciąż pragnął zemsty, ale odkąd dowiedział się, kogo ściga, w grę wchodziło również coś dużo ważniejszego: jego dusza. Według jej sługusa, Merist była

uzdolnioną szamanką i posiadała obszerną wiedzę o magii krwi. Jarmis liczył, że dowie się od niej czegoś o rytuale rozdzielenia dusz.

Biegł około dwunastu godzin dziennie, resztę czasu przeznaczając na odpoczynek i posiłki. Jadał w karczmach lub na trasie, gdy udało mu się ustrzelić jakiegoś zwierza, który nieopatrznie postanowił paść się przy gościńcu. Odczuwał narastające zmęczenie, ale nie było to nic, czego by nie znał. Znalazł też taką długość kroku, przy której kręgosłup nie bolał go tak bardzo, jak podczas jazdy w siodle.

Za sprawą dobrego samopoczucia, trzeciego dnia postanowił pokonać dłuższy dystans, po to, by mieć więcej czasu na przygotowania przed, być może, najważniejszym spotkaniem od lat. Był to błąd. Po piętnastu godzinach biegu i pokonaniu stu czterdziestu mil serce Jarmisa zaczęło nagle kołatać jak nigdy przedtem. Zabójca zwolnił kroku, zszedł z gościńca i przystał pod drzewem, lecz to tylko pogorszyło sprawę. Zrobiło mu się ciemno przed oczami i upadł na ziemię, nieprzytomny.

Znalazł się wśród bezkresnej bieli. Nie dostrzegł żadnego źródła światła, nie było grawitacji, ścian, podłogi ani sufitu. Nic poza nim, Piękną i Bestią. Nie mieli ciał ani kolorów, przypominali szare obłoki, w jednych miejscach gęstsze, w innych rzadsze. Każde z nich stało w różnych rogach niewyznaczonego w żaden sposób trójkąta, spoglądając jednocześnie na obydwie współwięźniów tego dziwnego miejsca.

Bestia emanowała bezwarunkową agresją i nieskończoną nienawiścią. To jedno się nie zmieniło. Jednak w tym miejscu Jarmis nie mógł się upić, by stłamsić potwora, nie posiadał też ciała, które mógłby kontrolować. Kiedy spróbował się poruszyć, zamiast oddalić się od Bestii, poczuł jakby cała przestrzeń przesuwała się razem z nim. Chciał zapytać Pięknej, czy umarli, lecz nie był w stanie wydobyć z siebie głosu. Odczuwał jedynie jej strach, cierpienie i stopniowo przeradzający się w nienawiść żal, że sprowadził ją w to miejsce. Próbował objąć ją mentalną ochroną, tak jak robił to do tej pory, ale nie potrafił. Był bezsilny, zły, przytłoczony obecnością Behemota. Choć czas tu nie istniał, z każdą chwilą czuł się coraz słabszy.

W pewnym momencie biel zaczęła zachodzić szarością i pękać, odsłaniając czarne tło. Gdy zrobiło się kompletnie ciemno, odzyskał przytomność.

Leżał pod tym samym drzewem, pod którym upadł. Musiało padać, bo był cały mokry. Mokry i obolały w dziwnie przyjemny sposób. Poleżał jeszcze chwilę, ciesząc się fizycznym bólem, po czym usiadł i rozejrzał się dookoła. Nieopodal dostrzegł część własnych rzeczy, ułożonych starannie na kupce. Miecz, sztylet, kilka ampułek z trującą bądź leczniczą zawartością oraz mieszek monet. Na czworakach podpetał bliżej i zaczął chować przedmioty pod płaszczem, tam, gdzie było ich miejsce. Na sam koniec uniósł mieszek, pod którym leżało pióro Ziza i wszystko stało się jasne. Widocznie ktoś próbował go okraść, lecz rozmyślił się, gdy przetrzepując kieszenie płaszczu, natrafił na symbol Arad úš.

Wrócił na gościniec. Niebo było zasnute chmurami i panowała szarówka. Po orzeźwiającym chłodzie i śpiewie ptaków stwierdził, że jest ranek. Ustalenie kierunków świata zajęło mu więcej czasu. Wyrzucił puste bukłaki, poprawił na plecach łuk oraz kołczan i niespiesznym krokiem ruszył na południe.

Po kwadransie napotkał pierwszego podróżnego. Starszy mężczyzna prowadził na wodzy wychudzonego osiołka, który ciągnął za sobą prymitywny, skrzypiący z każdym obrotem kół wózek.

— Masz coś do picia, starcze? — zapytał napastliwym tonem.

— Mam wodę, panie — odparł przestraszony mężczyzna.

— Wodę? No trudno. Dawaj.

Spragniony zabójca duszkiem opróżnił bukłak i rzucił go niedbale na wózek.

— Jaki dziś mamy dzień? — Jarmis nie wiedział, jak długo leżał nieprzytomny.

— Czwarty dzień Władcy, panie. Ostatni dzień lata.

— A więc jeszcze jest czas. — Zabójca powiedział sam do siebie i bez słowa podziękowania ruszył dalej.

Zmusił obolałe ciało do truchtu. Szacował, że zostało mu do pokonania około dwudziestu, trzydziestu mil. Wiedział, że jeśli chce zdążyć do Wartegall przed zamachem, będzie zmuszony zwiększyć tempo, lecz najpierw musiał ocenić, jak się ma jego serce. Po pewnym czasie uznał, że chyba wszystko z nim w porządku i już zamierzał przyspieszyć, gdy poczuł zbliżających się jeźdźców. A *co się będę przemęcał*, pomyślał i wyciągnął kilka noży do rzucania.

Jeźdźcy nadjeżdżali z północy, gnani przez wiatr. Były ich czterech, w sam raz na dobrą rozgrzewkę przed głównym dniem w postaci Merist. Zabójca zaczął planować, jak wszystko rozegrać, gdy poczuł znajomy zapach krwi. Pokręcił z niedowierzeniem głową i schował noże.

Stał na środku gościańca, machając szeroko rozłożonymi rękoma, by zdążyli wyhamować konie. Szpiedzy rozpoznali jego sylwetkę z daleka i zwolnili. Gdy znaleźli się w odległości pięciu jardów od Jarmisa, konie zaczęły się boczyć i nie chciały postąpić ani kroku dalej.

— Znowu krwawisz kobieto — przywitał Ignae Jarmis. Odnalazł maść maskującą zapach Bestii i zaczął się nią nacierać.

— A jednak jesteś przed nami. — Agentka zignorowała jego uwagę. — Zakładaliśmy się o to na poprzednim postoju i tylko Dwight stawał na ciebie.

— Dzięki wielkoludzie. — Młody szpieg, choć skrajnie zmęczony, uśmiechnął się. — Znowu uczyniłeś mnie bogatszym.

— Nie wyglądasz najlepiej — ocenił Rick.

— Miałem małą przygodę i zmarnowałem jeden dzień. — Jarmis skończył się nacierać i konie się uspokoiły. — Dobra, koniec pogaduszek. Wyskakuj z siodła, Ignae. Będziesz jechała z Rickiem. Jego koń wygląda na najmniej zmęczonego.

— Ale... — Natura agentki kazała się jej zbuntować, lecz wygrał rozsądek i nie dokończyła. Posłusznie zsiadła z konia i oddała wodze zabójcy.

Obchody końca lata co roku zaczynały się w południe, pozostały im więc niecałe cztery godziny. Szpiedzy myśleli tylko o tym, by uratować króla, natomiast Jarmis przede wszystkim chciał dopaść Merist.

Nie planowali już kolejnej zmiany wierzchowców, a dla tych, których dosiadali, nie mieli litości. Jako pierwszy, po dwóch godzinach, zatrzymał się koń Jarmisa. Zabójca w porę pojął, co się dzieje, i zsiadł, nim pod zwierzęciem załamały się nogi. *Śmiej się z konia, on zaufał ludziom*, przypomniał sobie jedno z powiedzonek Silmera, gdy dobijał konające z przemęczenia stworzenie. Nagłe burczenie w brzuchu uświadomiło mu, że nie jadł od ponad doby. Pośpiesznie pożarł spory kawał koniny i zaczął biec za oddalającymi się szpiegami.

Godzinę później padł koń dźwigający Ricka i Ignae. Wierzchowce Dwighta i Kyla ledwo co wytrzymywały wolny kłus i nie było sensu, by szpiedzy nadal na nich jechali. Zostawili je przy drodze, mając nadzieję, że może uda się im jakoś wylizać. Od tej pory agenci byli zmuszeni biec za narzucającym silne tempo Jarmisem.

Po godzinie morderczego dla ludzi biegu, który dla Jarmisa był zaledwie przebieżką, dotarli pod mury Wartegall. Ignae dopadła do pilnujących bramy strażników, pokazała im odznakę i próbowała ostrzec o zamachu. Nie miała już siły biec i chciała, by dalej wszystkim zajęła się miejska straż, lecz gwardziści nie bardzo rozumieli, o co jej chodzi. Jej płuca były rozpalone i z trudem wypowiadała pojedyncze słowa. Dwight, który zachował najwięcej sił spośród szpiegów, wyręczył przełożoną i w kilku zdaniach zarysował sytuację.

— To niemożliwe — orzekł jeden ze strażników, wysłuchawszy relacji. — To są jakieś ćwiczenia czy robicie sobie z nas jaja?

— To nie są żadne ćwiczenia. To się zaraz wydarzy. Rusz dupę, człowiek — zdenerwował się Dwight.

— Uważaj na słowa, chłystku. Pewnie nawet nie jesteście z Agencji. Baba porucznikiem? Dobre sobie.

— Ta, dowcipnisie się znaleźli — poparł drugi z halabardników.

Dwight, Rick i Kyle niczym na zwołanie wyciągnęli swoje odznaki, co sprawiło, że strażnicy spoważnieli, a w ich głowach zrodziła się niepewność.

— Hmm, no dobra. Założmy, że wam wierzę — niepewnym głosem oznajmił starszy z mężczyzn. — Pojadę poinformować królewską gwardię, a wy w tym czasie macie czekać w strażnicy. Jeśli okaze się, że to jednak są jakieś jaja, to wy zawiśnietcie, a nie ja.

Zaprowadzono ich do wieży strażniczej, gdzie pod nadzorem dwóch strażników przysiedli pod ścianą, próbując dojść do siebie. Stary Kyle co chwila spluwał gęstą śliną, Rick starał się wyregulować oddech, zaś Dwight i Ignae z zamkniętymi oczami po prostu czekali, aż najgorsze

zmęczenie przeminie. Po niespełna kwadransie agentka otworzyła oczy, półprzytomnym wzrokiem rozejrzała się po ciemnym pomieszczeniu i zapytała na głos:

— Gdzie jest Jarmis?

Szpiedzy popatrzyli na nią zdziwieni. Przez dwa dni i dwie noce Ignae zastanawiała się, czy im powiedzieć, że udało jej się poznać tożsamość zabójcy. Dostrzegała kilka argumentów za i znacznie więcej przeciw, lecz nim podjęła decyzję, Jarmis udał się w pogoń za królewskim wolpertingerem, a gdy wrócił, skądś wiedział, że koniec ich poszukiwań odnajdą w Fellan. Od tego momentu wszystko działało się już bardzo szybko i nie miała czasu na dalsze przemyślenia oraz rozmowę z towarzyszami.

— Gdzie jest zabójca? — powtórzyła pytanie tak, by mogli zrozumieć. Była wściekła, iż zmęczenie podjęło decyzję zamiast niej.

— Jaki zabójca? — zainteresował się jeden ze strażników.

— Ostatni raz widziałem go, gdy staliśmy pod bramą — odpowiedział szefowej Dwight.

— Jaki zabójca, do cholery! — powtórzył głośniej strażnik i postąpił w kierunku Ignae. — Gadać, co tu się dzieje!

— Myślę... — zawała się przez moment. Miała złe przeczucia i kompletnie nie wiedziała, co robić. — Myślę, że wasz kolega może znajdować się w niebezpieczeństwie.

Po krótkiej, żywiołowej wymianie zdań, szpiedzy i dwójka strażników pobiegli w stronę Świątyni Świętych Rzek, gdzie odbywała się oficjalna część obchodów. Gwardziści czuli się bardzo niepewnie. Mieli do czynienia z przeszkolonymi agentami, którzy zachowywali się dziwnie i opowiadaли niestworzone historie. Na dodatek było ich tylko dwóch, gdyż większość miejskiej straży pilnowała porządku przed katedrą. Kiedy w połowie drogi do świątyni natrafili na włóczęcego się samopas, znajomego konia, przeszły ich chłodny dreszcz. Jeźdza, który był ich kolegą, odnaleźli kilkaset jardów dalej, w jednej z bocznych uliczek. Leżał w kałuży krwi, a na szyi miał ranę, w której szpiedzy od razu dostrzegli dzieło noża do rzucania.

— Kurwa mać! — krzyknął jeden z gwardzistów, po czym dodał łamiącym się głosem: — Patrzcie, coście narobili.

— Nie czas na lament — skarcił go starszy kolega. — Musimy złapać tego skurwiela. Potem policzymy się z nimi. — Wskazał wzrokiem na szpiegów.

Ruszyli dalej główną ulicą. Po kilku minutach dostrzegli tłum tłoczący się przy wejściu na plac przed katedrą. Gdy znaleźli się około stu jardów od gawiedzi, nagle jeden ze strażników się zatrzymał.

— Patrzcie tam, na dach. — Wskazał palcem na jeden z budynków przyległych do placu. Na jego szczycie stał niski krępy człowiek.

Szpiedzy od razu go rozpoznali.

— Biegnij po posiłki, a ja tu zostanę i będę pilnował, czy gdzieś nie ucieka — polecił koledze starszy gwardzista.

Rick spojrzał na Kyle'a i wykonał szybki gest dloni. Dwójka doświadczonych szpiegów niemal jednocześnie uderzyła gwardzistów krawędziami otwartych dloni w szyje. Jeden ze strażników od razu stracił przytomność, drugi, ten uderzony przez Kyle'a, jedynie zachwiał się na nogach, lecz nim zdążył cokolwiek zrobić, otrzymał prawy podbródkowy od Dwighta i również runął na ziemię.

- Co wy wyprawiacie!? — Ignae była zszokowana ich uczynkiem.
- Oszczędzamy im losu ich kolegi — wytłumaczył Rick. — I pakujemy się w niezłą kabałę.
- Dwight, pomóż mi ich ukryć — powiedział Kyle, po czym chwycił jednego ze strażników pod pachy i zaczął ciągnąć w kierunku najbliższej alejki.
- Przecież musimy ostrzec króla, a ze strażnikami byłoby łatwiej! — wściekała się agentka.
- Najwyraźniej zabójca ma inne plany. — Rick skinął głową w kierunku dachu budynku.
- A co to ma, kurwa, za znaczenie?! Chodzi o życie króla, do cholery!
- Chodzi o nasze życie, poruczniku! — Kapitan również podniósł głos. — Widziałaś, co zrobił ze strażnikiem. Do cholery! — krzyknął. — Widziałaś, co zrobił z Dzikimi i braćmi Paskkuro. Wolę tłumaczyć się przed Jo'Keffem i zaryzykować proces, niż mu się narazić.
- Rick ma rację, Claudine — nieco zawstydzonym głosem odezwał się Dwight, który zdążył już ukryć nieprzytomnego strażnika.
- Poza tym, co przed nami ukrywacie, poruczniku? Dlaczego w strażnicy nazwaliście go jakimś dziwnym imieniem? — dociekał Rick.
- On...to długa historia, a teraz nie mamy czasu — wykręciła się z niezręcznej sytuacji Ignae.

Czuła się zdradzona. Po szaleńczej gonitwie przez niemal pół królestwa, przed uratowaniem jego monarchy powstrzymywali ją koledzy z Wywiadu. *Żart. Ponury, kurwa, żart.*

— Idę z nim porozmawiać. Jeśli chcecie, mnie też możecie ogłuszyć. Mam to w dupie.
Agentka ruszyła w stronę budynku. Trójka towarzyszy podążyła jej śladem. Drzwi na klatkę schodową czterokondygnacyjnego, wielorodzinnego domu były otwarte. Weszli na ostatnie piętro i zatrzymali się pod drabiną prowadzącą na dach.

— Chcę z nim pomówić sam na sam. Pozwolicie mi na to, kapitanie? — zapytała ze złością Ignae.

Rick skinął głową.
— Będziemy pilnować, by nikt się tu nie kręcił.
Ignae wspięła się po drabinie, uniosła klapę i wyszła na dach. Jarmis rzucił na nią okiem i schował trzymany w ręce nóż.

— Musiałeś go zabijać?

— Kogo? — zapytał zdziwiony. Po ułamku sekundy rozjaśniło mu się w głowie. — A, gwardzistę. Musiałem. Nie mogłem ryzykować, mam zbyt wiele do stracenia.

— O czym ty mówisz?

— Już raz ci tłumaczyłem, że nie zdołasz mnie zrozumieć. Nie lubię się powtarzać.

Zabójca był spokojny. Stał za kominem, ukryty przed wzrokiem ludzi zgromadzonych na placu i wpatrywał się w otwarte wrota katedry.

— Pozwolisz jej zabić króla — stwierdziła. — Kiedy o tym postanowiłeś?

— Nie ma to większego znaczenia. Dużo masz jeszcze tych bezsensownych pytań?

— Wiem, kim jesteś, Jarmisie Reggicku, synu szewca — wypaliła agentka.

Prawa pięć Jarmisa zacięnęła się na krótki moment.

— I co zrobisz z tą wiedzą? — Jego głos pozostał spokojny. — Będziesz mnie szantażować przy pomocy rodziny, bym przestał zabijać? Doniesiesz Jo'Keffowi? Wy też macie rodziny, na których na pewno zależy wam bardziej, niż mi na mojej.

Sługa Krwi wypowiedziała groźbę od niechcenia, jak najwyklesze zdanie, co spowodowało, że zabrzmiała jeszcze bardziej złowieszczo. Na dodatek nawet na nią nie spojrzał, nadal zapatrzony w wejście do świątyni. Ignae wyobraziła sobie swoich rodziców zjadanych żywcem przez zabójcę i poczuła ból kurczącego się żołądka.

— A wojna? — zapytała po dłuższej chwili, zrezygnowana. — Nie obchodzi cię, kto wygra?

— Nie.

— Wszyscy przez ciebie zawiśniemy. Ja, Dwight, Kyle i nawet Rick, który powstrzymał mnie przed ostrzeżeniem króla. Dlaczego nie zabiłeś nas, gdy spotkaliśmy się pierwszy raz?

— Uznałem, że możecie być pomocni. I jeśli ma cię to pocieszyć, to przyznam, że byliśmy.

A teraz w końcu się zamknij i daj mi obserwować. Msza chyba się kończy.

Rossy cicho westchnęła z ulgą, gdy najwyższy kapłan Wartegall wreszcie zakończył nabożeństwo. Przez ostatnie pół roku zmieniła pogląd na wiele spraw, lecz nadal nie odnalazła w sobie wiary ani tym bardziej nie przekonała się do modlitwy. Nie ona jedna się męczyła. Zebrani w katedrze szlachcice i ważniejsi mieszkańców również z niecierpliwością oczekiwali, aż król Lottar Scord dokona rytuału oczyszczenia, by sami mogli do niego przystąpić i w końcu opuścić świątynię. Bogobojny monarcha całą mszę spędził na kolanach, przez co i oni musieli klęczeć. Król zawsze klęczał na mszach z poddanymi, więc byli na to przygotowani: wielu spośród nich kolana obwiązało puchatymi, miękkimi kawałkami materiału ukrytymi pod spodniami bądź sukniami, lecz mimo to mieli już dość. Strzegący bezpieczeństwa władcy królewscy gwardzisci jako jedyni

nie musieli klęczeć i z trudem ukrywali rozbawienie, o jakie przyprawiał ich widok grymasów na twarzach niektórych wymęczonych wielmożów.

Świątynia Świętych Rzek była niemal idealną, większą kopią pałacowej kaplicy. Najistotniejszą różnicę stanowiło to, że wrota katedry znajdowały się naprzeciw ołtarza, zaś sadzawka, do której spływała woda z trzech rynien symbolizujących największe rzeki Loherbemm, umieszczona była w połowie odległości pomiędzy bramą i wysokim na sześćdziesiąt stóp posągiem Sprawiedliwego.

Wreszcie nastąpił wyczekiwany przez tak wielu moment. Król uniósł się z klęczek. Podszedł do rynny symbolizującej rzekę Bawterlue, ukląkł ponownie i umył ręce, oczyszczając się z wszelkich niegodnych uczynków, jakich się dopuścił. Następnie symbolicznie obmył oczy i uszy, by móc dostrzec i usłyszeć wolę Sprawiedliwego, a na samym końcu usta, aby zawsze przemawiały głosem Boga. Król poklecał jeszcze chwilę, wstał i skierował się w stronę swojej ławki.

Szlachta musiała jeszcze poczekać, aż rytuał odprawi królewska rodzina. Na jej szczęście ta nie była w tym roku licznie reprezentowana. Oprócz Rossy pojawił się jedynie szwagier monarchy, Wielki Książę Zachodu, Galilnani Brucondeis.

Szli ramię w ramię, ubrani w odświętne stroje. Królewna miała spuszoną głowę, zaś jej wuj szedł dumnie wyprostowany, z piersią wręcz komicznie wysuniętą do przodu, lecz jako że był nędznej postury, zdawali się być tego samego wzrostu.

Zbliżali się do wracającego znad małej Bawterlue monarchy, kiedy nagle Rossy poczuła czyjś obecność w swojej głowie. Ułamek sekundy później jej świadomość została zmiażdżona i zepchnięta w głęb umysłu. Merist przejęła całkowitą kontrolę. Podniosła głowę i rozejrzała się nerwowo dookoła. Zatrzymała wzrok na rękojeści miecza przypasanej do prawego boku Galilnaniego. Błyskawicznie podjęła decyzję. Wyszarpnęła broń szybkim ruchem, odsepchnęła jej właściciela na bok i wbiła ostrze w podbrzusze króla. Władca, kompletnie zaskoczony, nawet nie zdążył zareagować.

— Śmierć wrogom Arad úš! — krzyknęła Merist ustami Rossy, po czym wyciągnęła miecz i wbiła go ponownie, tym razem w serce.

W katedrze zapanowała całkowita cisza. Nawet królewska gwardia była zbyt zszokowana, by się poruszyć. Król, patrząc z niedowierzaniem w dziwnie nieobecne oczy córki, po raz ostatni w życiu padł na kolana, a następnie bezwładnie runął twarzą na ziemię.

Wmieszana w tłum na placu Merist wycofała się z umysłu Rossy. Kolejnych zabójstw planowała dopuścić się dopiero za kilka dni, podczas królewskiego pogrzebu. Rada, że udało się jej przejąć kontrolę nad królewną i dokonać zbrodni, o której Loherbemm nigdy nie zapomni, zaczęła przedzierać się przez motłoch w stronę wyjścia z placu.

Odzyskawszy kontrolę nad własnym ciałem, Rossy wypuściła zakrwawiony miecz. W milczącej katedrze rozległ się dźwięk metalu uderzającego o posadzkę, który w końcu wyciągnął z osłupienia królewską gwardię. Rycerze w białych tunikach pośpieszyli w kierunku królewny. Nim ją pojali, Rossy zdążyła jeszcze objąć zwłoki ojca.

Budynek, na którego dachu stał Jarmis, znajdował się dwieście jardów od katedry i zabójca czuł się jak widz siedzący w ostatnim rzędzie największego teatru świata. Ale widział wszystko, a sztuka była z gatunku jego ulubionych. Niemniej przedstawienie dobiegło końca, a on musiał skupić się na odnalezieniu suflerki głównej aktorki.

Tłum na placu, odgrodzony od katedry szpalerem straży, nie od razu zrozumiał, co się stało. Dopiero po dłuższej chwili zaczęły rozlegać się okrzyki *Król nie żyje, Królewna zabiła króla* oraz *Arad úš zamordowało króla*. Gawiedź nie była przeróżona, raczej podniecona i zaciekawiona. Pierwsze rzędy zaczęły nawet napierać na straże, chcąc dostać się do katedry i zobaczyć zwłoki monarchy, lecz kilka ciosów twardych, drewnianych pałek szybko zaprowadziło porządek.

Motłoch ani myślał opuszczać placu i czekał na dalszy rozwój wydarzeń. Jedynie pojedyncze osoby kierowały się na zewnątrz dziedzińca, co czyniło je wyjątkowo łatwymi do wypatrzenia. Zwłaszcza z góry. Jedną z tych osób była ubrana na biało kobieta z kręconymi blond włosami.

Na twarzy Jarmisa pojawił się delikatny, złowrogi uśmiech. Zabójca śledził Merist wzrokiem, aż ta zniknęła w jednej z uliczek.

— Chcesz dokonać czegoś naprawdę wielkiego? — zapytał Ignae i nie dając jej czasu na odpowiedź, dodał: — Pomóż mi ją złapać, a pozwolę ci na przesłuchanie tak długie, jak będziesz chciała.

— A co będzie potem?

— Potem się rozstaniemy. I jeśli masz dość rozumu, nie spotkamy się nigdy więcej.

Zeszli z dachu po drabinie, zbiegli po schodach i opuścili budynek. Ignae streściła towarzyszom, co wydarzyło się w katedrze, i oznajmiła, że zamierza pomóc zabójcy w schwytaniu Białej Pani. Trójka szpiegów bez wahania postanowiła dołączyć do akcji.

Utrzymywali bezpieczny dystans, nie chcąc wzbudzić podejrzeń Merist. Jarmis nie obawiał się, że ją zgubi. W podziemnym laboratorium poznał jej zapach, który zgodnie z jego przypuszczeniami rzeczywiście był specyficzny. Dzicy pachnieli mniej intensywnie, a zarazem bardziej zwierzęco. Zabójcy zapach ten przywodził na myśl jakiegoś drapieżnika, lecz nie był w stanie przypomnieć sobie, jakiego.

Tym razem drapieżnik stał się ofiarą, która niczego nie podejrzewając, wiodła tropiącą ją watahę wprost do swojej kryjówki. Tą okazała się być cukiernia „Marzenie Mony” wraz z przylegającą do niej mieszkalną dobudówką.

— Zapukamy i zapytamy, czy zostało jeszcze trochę jabłcznika? — zażartował Dwight, zauważwszy, że cukiernia jest zamknięta. Nie wywołał śmiechu u nikogo.

Jedno z okien rozległej, dwupoziomowej dobudówki było uchylone. Jarmis przycupnął pod nim i przez dłuższą chwilę chłonął dochodzące z wewnętrz zapachy.

— Ma obstawę. Dwóch Dzikich w średnim wieku, jeden z zepsutymi zębami, drugi nieuleczalnie chory, ale pewnie o tym nie wie. Piją wino i jedzą jakieś ciasto, chyba makowca. Weźmiemy ich z zaskoczenia.

— A jabłcznik? Czy zostało trochę jabłcznika? — dopytywał Dwight, dla którego kiepskie żarty były sposobem na radzenie sobie z nerwami.

— Powiniensem mieć jakiś wytrych. Mogę spróbować po cichu otworzyć drzwi — oznajmił najbardziej spokojny ze szpiegów Kyle.

Jarmis skinął głową, dając mu swoje przyzwolenie. Upewniwszy się, że nikt ich nie obserwuje, Kyle wyciągnął zakrzywiony drut i w kilku ruchach uporał się z zamkiem. Przekręcił gałkę i drzwi otworzyły się z cichym skrzypnięciem.

Czujny, poruszając się na ugiętych nogach, zabójca wszedł do środka. Szpiedzy podążali kilka kroków za nim, z wyciągniętą bronią i oczami dookoła głowy. Idąc przyklejeni do ścian korytarza, dotarli do drzwi, zza których dochodziły odgłosy wesołej rozmowy. Jarmis położył dłoń na klamce, pchnął delikatnie drzwi i znalazł się oko w oko z rozbawionym mężczyzną.

— Nig sa...

Nim Dziki, który akurat postanowił wyjść za potrzebą, zdążył wyrazić swoje zaskoczenie, otrzymał potężny cios w twarz wielką niczym bochen pieśnią zabójcy i runął na podłogę, martwy. Jarmis przeskoczył nad zwłokami i znalazł się w obszernym, podłużnym pomieszczeniu. Na jego końcu Biała Pani i drugi z jej towarzyszy właśnie zrywali się z siedzeń.

Merist upuściła kielich z winem. Spanikowana ruszyła ku schodom prowadzącym na piętro. Jej ochroniarz próbował dotrzeć do broni, którą pozostawił pod ścianą, lecz w połowie drogi został trafiony nożem w policzek. Pęd pocisku był tak duży, że ten wybrał mu kilka spróchniałych zębów i obalił na podłogę. Sekundy później ostrze zabójcy przebiło serce mężczyzny.

Jarmisowi zależało na tym, by dostać Merist w jednym kawałku, dlatego udało się jej wbiec na górę i zniknąć za drzwiami. Podczas gdy Sługa Krwi dobijał Dzikiego, szpiedzy popędzili za uciekinierką. W kilku susach pokonali schody i wparowali do kolejnego, niemal równie dużego pomieszczenia.

Przysłonięte zasłonami okna wpuszczały niewiele światła. Przez środek pokoju rozciągała się ciemnozielona kotara, oddzielająca część sypialną od reszty pomieszczenia. To za nią musiała schować się Merist, gdyż szpiedzy nigdzie jej nie dostrzegali. Dwight chciał od razu wbiec za zaslonę, lecz został powstrzymany przez Ignae.

— Ostrożnie — szepnęła agentka. — Może mieć kuszę albo coś. Poczekajmy na zabójcę.

Jarmis znajdował się już na górze schodów, gdy kotara rozchyliła się nieznacznie i szpiedzy usłyszeli odgłos silnego dmuchania. Było zbyt ciemno, by mogli dostrzec chmurę czerwonego pyłu zbliżającą się w ich kierunku. Nim zabójca wreszcie do nich dołączył, znaleźli się w pułapce.

Merist osiągnęła taką wprawę w posługiwaniu się elizium, że przejęcie czyjegoś umysłu zajmowało jej mniej czasu niż mrugnięcie okiem. Jako pierwszego zaatakowała stojącego najbliżej kotary Dwighta. Młody szpieg przystawił krótki miecz do brzucha, cał poniżej linii żebier, i wbił go sobie aż po rękojeść. Krzyk Ignae nie zdążył jeszcze przebrzmieć, gdy Kyle zginął w identyczny sposób.

Rick już unosił sztylet do własnego gardła, kiedy stojący blisko niego Jarmis, zorientowawszy się w sytuacji, kopnął go w uzbrojoną dłoń. Ostrze wystrzelono w powietrzu i z doskonale znanym mu dźwiękiem wbiło się w drewniany sufit. Nie zwlekając, Jarmis jednym uderzeniem ogłuszył szpiego, by następnie doskoczyć do Ignae i ją również pozbawić przytomności. Pozostał sam na sam z Merist.

Biała Pani była zaskoczona jego zwinnością, lecz się jej nie zlekła. W końcu on również nawdychał się elizium. Skupiła się i wtargnęła do jego umysłu.

Była silna, znacznie silniejsza od Rubie. Od razu zajęła sporą przestrzeń wewnętrz głowy zabójcy. Zauważyła obecność Pięknej, schowanej za barierą roztoczoną przez Jarmisa, co po raz kolejny wprawiło ją w zdziwienie, ale nie osłabiło jej determinacji. Choć napotkała opór, co do tej pory się jej jeszcze nie przytrafiło, powoli, rozkoszując się triumfem, spychała Jarmisa coraz głębiej i głębiej. Kiedy była już gotowa przejąć kontrolę nad ciałem Arad úš, ten uwolnił Bestię.

Merist wrzasnęła i opuściła głowę Jarmisa tak nagle, jak się w niej pojawiła. Skupiona na mentalnym pojedynku z zabójcą, nie dostrzegła obecności Behemota i nie była gotowa na jego atak. Jednak nawet, gdyby się go spodziewała, nienawiść Bestii była zbyt przytaczająca, by mogła stawić jej czoła.

Jarmisowi zajęło chwilę, nim zdołał ponownie stłamsić Bestię i odzyskać władzę nad ciałem. Kiedy wreszcie tego dokonał, przeszedł przez kotarę i ujrzał kulącą się na szerokim łóżku Merist. Była bezbronna i przerażona do tego stopnia, że trzęsła się ze strachu.

— Co... co to? Ja... ja... jak to możliwe? — jąkała się, próbując zrozumieć, czego właśnie doświadczyła.

— Witaj w mym koszmarze. — Jarmis wyciągnął z płaszczu fiolkę z przezroczystym płynem, siłą rozwarł usta Merist i zmusił ją do wypicia specyfiku.

Po krótkiej chwili Biała Pani poczuła się senna i bezsilna na błogi, kojący sposób. Zapomniała o Bestii i z uśmiechem zamknęła oczy. Po kolejnej minucie zasnęła.

Ignae obudziła się na krześle. Jej nogi i ręce były skrępowane linami, zaś usta zakneblowane ciemnozieloną tkaniną. Odchyliła głowę do tyłu i uderzyła Ricka w potylicę. On również był związany, a ich krzesła zestawiono ze sobą oparciami.

Pod ścianą pomieszczenia, w którym dwójka jej podwładnych, a zarazem dobrych kolegów, odebrała sobie życie, Jarmis kończył związywać tą, która doprowadziła do tragedii.

— Widzę, że odzyskałaś przytomność — odezwał się zabójca, zauważając błysk jej oczu.
— To dobrze, obawiałem się, że mogłem uderzyć cię zbyt mocno.

Uratował jej życie, a w jego głosie rzeczywiście można było doszukać się troski, lecz mimo to Ignae była wściekła. Wściekła na niego, ale przede wszystkim na siebie.

— Starałem się nie wiązać zbyt mocno, ale jeśli będziesz się wiercić, to i tak narobisz sobie siniaków.

Skończył krępować nieprzytomną Merist i ułożył ją na zawczasu zdjętej kotarze.

— Będziecie musieli wytrzymać godzinę czy dwie, nim przyślę kogoś, by was uwolnił.

Ignae próbowała coś powiedzieć, lecz knebel jej na to nie pozwolił.

— Nie ma się co złościć, ponoć złość piękności szkodzi. W naszym świecie informacja bywa cenniejsza od złota i dlatego nie mogę pozwolić ci jej przesłuchać — tłumaczył, zawijając bezwładną Merist w ciemnozielony materiał. — Jestem egoistą, pijakiem, mutantem, złodziejem, zabójcą i ludożercą, a teraz przekonałaś się, że także kłamcą. Przypuszczam więc, że moje słowa niewiele dla ciebie znaczą, niemniej chcę ci powiedzieć, że masz naprawdę piękne oczy. Podziękuj za nie rodzicom, gdy będziesz miała okazję. Gdyby nie one, zabiłbym cię już dawno temu.

Przerzucił owinięte kotarą ciało przez ramię i wyszedł.

Gdy kilka godzin później Jarmis kładł się do łóżka, nie spodziewał się, że sen przyjdzie tak szybko.

Przyśnił się sobie taki, jaki był jeszcze przed pierwszym przeistoczeniem. Siedział w warsztacie ojca, gdzie wraz z bratem pracowali nad kolejną parą butów. Nagle z dworu doszedł ich niecodzienny zgiełk. Wyszli na zewnątrz i ujrzaли długi orszak arystokratów prowadzony przez piękną, młodą kobietę odzianą w biel. Zebrani wzdłuż drogi, rozradowani mieszkańcy Raddfort wiwatowali: *Biała Pani, Biała Pani*. Wtem spomiędzy budynków wyskoczyła Bestia i rozerwała kobietę na strzępy. W dalszej części snu wszystko było już po staremu.

Rozdział dwudziesty czwarty – Misja – Zbrodnia na duszy

Czwarty dzień dziewiątego obiegu Białego Karła. 269 dzień roku. Byhrid. Popołudnie.

Trey wracał do Leżyska niesiony na rękach oszalałych z radości, w większości nieznanych mu kotołaków. Był z siebie zadowolony, niemniej nie umiał się cieszyć, gdyż wciąż nie wiedział, czy szamanom udało się uratować Slya. Obawa o życie kolegi powstrzymywała go przed wyrwaniem się tłumowi i popędzeniem po wieści.

Jeszcze nim dotarli do dzielnicy Kotowatych, spotkali Eda, który wyszedł im naprzeciw. Doświadczony tygrysołak często zachowywał się teatralnie, lubił żartować i robić psikusy, lecz tym razem nie potrafił ukryć emocji. Gdy zbliżył się dostatecznie blisko, by móc ujrzeć jego twarz, Trey od razu odetchnął z ulgą. Promienisty uśmiech przyjaciela zdradzał, że Sly się wyliże.

— A jednak się myliłeś — krzyknął zabójca, wciąż niesiony na rękach.

— Z czym? — Ed nie wiedział, o co mu chodzi.

— Twierdziłeś, że ogon mu nie odrośnie, a jednak odrośnie.

— Hmm, no tak. — Tygrysołak się zadumał. — Naszła mnie śmieszna myśl. Co, jeśli Sly dał się tak stłuc tylko po to, byśmy musieli przeprowadzić rytyał, po którym jego kita będzie jak nowa?

— Haha, będziemy mogli się z niego śmiać, że dba o wygląd bardziej niż kocice.

— Ano, będziemy. Niech tylko dojdzie do siebie. A teraz opowiadaj, jak było. Ciebie przeciwnik nie próbował wbić w ziemię?

— Próbować próbował, ale takie numery to nie z Arad úš. Opowiem ci wszystko, gdy tylko mnie puszczą.

Puścili go dopiero na centralnym placu Leżyska. Odczekano kilka minut, tak by wszyscy, którzy byli nieobecni na arenie, zdążyli się zejść, i Trey rozpoczął relację z finału. Nie należał do najlepszych gawędziarzy, więc gdy skończył, bardziej wygadani świadkowie jego pojedynku zaczęli przedstawiać swoje wersje. Powoli znoszono też beczki z winem, antały z bambusowym bimbrem, jedzenie oraz drewno na ogniska. Początkowo spokojne świętowanie wypełnione rozmowami o turnieju, stopniowo przerodziło się w libację, podczas której alkohol nie brał żadnych jeńców.

Każdy chciał napić się z nameśdą, więc mimo iż pochodzący z Lotherbemm Trey był w stanie wypić więcej niż mieszkańcy l'rrever'te, zaprawił się dość prędko. Dopiero zaczynało się ściemniać, kiedy ujrzał samotnie siedzącą Cle'men'tin. Poczuł, że powinien jej podziękować za pozostanie na jego walce i gorący doping. Podszedł chwiejnie do kotołaczki, a gdy próbował koło niej usiąść, oblał jej kubrak winem. Odruchowo zaczął go wycierać, przez co nachylił się tuż nad dziewczyną. Ta miała plamę gdzieś, chwyciła jego twarz w dlonie i pocałowała w usta. Pijany

kotołak nie oponował. Całowali się przez dłuższą chwilę, po czym rozpaleni żądzą i alkoholem wpadli do pierwszej lepszej, pustej chaty i zrobili to na ziemi.

Obudził się z okrutnym kacem, obolały od spania na gruncie. Cle już nie było. Gdyby nie ocknął się w obcym szaśsie, w ogóle by nie pamiętała, że się przespali. Wyszedł na zewnątrz. Blask dnia zmusił go do zmrużenia oczu. Ogniska dawno już wygasły, lecz dookoła wciąż leżało mnóstwo nieprzytomnych kotołaków. Po długich poszukiwaniach udało mu się znaleźć wiadro z wodą. Wypił, ile mógł, a resztę wylał na głowę w nadzieję, że choć na chwilę załagodzi ból czaszki. Po pozycji słońca wnioskował, że jest przed południem. Przysiadł na jednej z nielicznych, nieokupowanych przez pijaków ławek, by zastanowić się, co robić. Czuł, że powinien porozmawiać z Cle, ale póki co nie miał na to sił. Minęło kilka minut, nim uświadomił sobie, że jest nameśdą, a cała ta pijatyka została zorganizowana na jego cześć.

Czaszka pulsowała mu, jakby miała się zaraz rozlecieć, i postanowił zająć się tym w pierwszej kolejności. Przyjaźń z Jarmisem sprawiała, że czuł się podobnie setki razy, dzięki czemu doskonale wiedział, co w takiej sytuacji pomaga mu najlepiej. Spacer. Przypomniał sobie, że o drugiej rozpoczynają się zawody Czystych, więc zdecydował się na nie wybrać. Dotarcie do Odkrywki w tym stanie powinno zająć mu minimum trzy godziny. Miał cichą nadzieję, że to wystarczy, by kac odpuścił.

Ubiór miał brudny od wina i piachu, dlatego najpierw zawitał do domu, by się przebrać. Zmienił koszulę oraz spodnie, a na wierzch, mimo iż na zewnątrz jak zwykle panował upał, zarzucił swój stary płaszcz z kapturem. Nie chciał, by ktoś zaczepiał go po drodze, a biorąc pod uwagę jego wczorajszy triumf, było to całkiem prawdopodobne. Włókł się w żółwim tempie, oddychał głęboko i zatrzymywał się przy każdej studni, by ostudzić pulsujący czerep oraz zwalczyć suszenie. Gdy wreszcie dotarł do areny, zbliżała się trzecia.

Nie było z nim Eda ani żadnego ważnego kotołaka, lecz od wczoraj to on był najbardziej znanym Sierściuchem, więc wpuszczono go bez problemów. Zajął miejsce w pustej loży Kotowatych, oparł łokcie na kolanach, chwycił się za skronie i skupił na walce.

Dwóch Czystych pojedynkowało się na krótkie, zakrzywione miecze. *Ciekawe, czy Will widział kiedyś taką broń.* Potyczka była wyrównana, ale nie stała na najwyższym poziomie. *Nawet teraz, na kacu, pochlastałbym tę dwójkę na kawałki.* W końcu jeden z zawodników potknął się niefortunnie i walcząc o zachowanie równowagi, zapomniał o obronie. Przeciwnik wykorzystał okazję, zranił go poważnie w udo, zmuszając sędziego do przerwania pojedyngu. Trey asekuracyjnie zasłonił uszy, spodziewając się głośnych wiwatów. Zamiast tego usłyszał jedynie niemrawe oklaski. Rozejrzał się po trybunach i poznał przyczynę. W przeciwnieństwie do poprzednich dni, widownia składała się głównie z Czystych. Nie wiedział, czy hybrydy nie

interesowały się zmaganiami ludzi, czy też przeznaczono dla nich mniej miejsc, bądź co bądź, widowisko zdecydowanie traciło z powodu braku ich żywego dopingu.

Nastąpiła dłuższa przerwa w zawodach. Zabójca, wciąż zmagający się z bólem głowy, przymknął oczy i wyciągnął się na krześle. Próbę zrelaksowania przerwało mu dochodzące z bardzo bliska, sugestywne chrząkanie. Rozchylił powieki i ujrzał niskiego mężczyznę ubranego w szaty typowe dla Czystych.

— Jego Wojowniczość Tazaar wraz ze swą ukochaną siostrą życzyliby sobie gościć Waszą Znamienitość w swojej loży.

Minęło kilka sekund, nim Trey poukładał sobie w głowie usłyszane słowa i zrozumiał ich treść. Sponiewieranemu umysłowi zabrakło słów, więc zamiast odpowiedzieć, kotołak jedynie skinął głowę. *Tylko tego mi, kurwa, brakowało*. Poczekał, aż posłaniec odejdzie, rzucił pod nosem jeszcze kilka niecenzuralnych wyrazów, po czym wstał, by wypełnić zachciankę władców Dżungli.

— Wasza Wysokość, Pani — przywitał się z królewskim rodzeństwem i poklonił się nisko.

— Witaj Lotherbemmczyku. Nie krępuj się i siadaj.

Tazaar wskazał mu wygodny fotel po swej lewej stronie. Verdish zajmowała miejsce po prawej, a dookoła nich, zachowując pewien dystans, siedziało czterech groźnie wyglądających gwardzistów i dwie młodzikie służki. Poza wymienionymi, loża była pusta.

— To dla mnie zaszczyt — powiedział Trey i spoczął na miękkim, materiałowym siedzisku.

— Darujmy sobie dworskie uprzejmości. Jesteśmy wojskowymi, rozmawiamy więc jak wojskowcy — zasugerował władca.

— W porządku.

— Jak na nameśdę niemrawo dziś wyglądasz. Ciężka noc?

— Ciężki poranek. Nocy nie pamiętam.

— Współczuję i zazdroszczę jednocześnie. Czasami też miałbym ochotę się upodlić, ale mi nie przystoi.

— Już tak nie biadol, braciszku — wtrąciła Verdish. — Zawsze możesz zamknąć się w swojej komnacie i pić do woli.

— Co to za picie w samotności? Gdzie muzyka, kobiety, śpiew?

— Nie przypuszczałem, że władca Dżungli musi przejmować się tym, co pomyślą inni — stwierdził kotołak.

— Za mało czasu przebywasz na prawym brzegu Zamony — tłumaczyła. — Czasami myślę, że zbyt wygodnie się ustawiśmy. Żyjemy z cła nakładanego na transportowane rzeką towary, przez co większość ludzi nie ma zbyt wiele do roboty. A kiedy się nudzą, zaczynają myśleć o polityce, intrygach. Trzeba dbać o wizerunek.

— I siać propagandę, po obu brzegach — kontynuował za siostrę Tazaar. — Dlatego wykorzystałem wczoraj twoją osobę, by uargumentować i usprawiedliwić nadchodzącą wojnę. Mam nadzieję, że nie masz mi tego za złe.

— Szczerze mówiąc, tak długo, jak nie mogę nic na to poradzić, mam to za przeproszeniem gdzieś.

— Zdrowa postawa. Oszczędza wielu problemów. Widzę, że nadawałbyś się na dowódcę i tak sobie myślę, czy nie zrobić z ciebie nowego lidera Kotowatych.

— A co z Edem? — zaniepokoił się Trey.

— Eedd'var'die za dużo się martwi i za dużo myśli. W Byrid nie stanowi to specjalnego kłopotu, lecz na polu bitwy? — Tazaar spojrzał na niego pytającco. — Moglibyśmy zrobić tak, że Ed zostały w Leżysku, a ty poprowadziłbyś kotołaki na wojnę. Co ty na to?

— Jestem zabójcą, a nie strategiem. Nigdy nie brałem udziału w dużej bitwie. — Trey próbowała się wymigać.

— Strategią się nie przejmuj. Tym zajmą się moi generałowie. Twoje zadanie polegałoby na zagrzewaniu wojsk do boju, a z estymą, którą jako namešda będziesz się cieszył, nie powinieneś mieć z tym problemów.

— Nie naciskaj na niego — przerwała im Verdish. — Gdy nadejdzie pora, na pewno podejmie słuszną decyzję, tymczasem teraz zapewne myśli tylko o tym, kiedy minie mu kac.

Strzeliła palcami, przywołując do siebie służbę.

— Czego byś się napił?

— Zakładam, że nie macie w ofercie Specjału, więc niech będzie lemoniada.

Służka pobiegła wykonać polecenie.

— Specjał? Co to takiego?

— Najlepsze piwo w Loherbemm. Jest dostępne tylko w północnej prowincji, dlatego jeśli musicie zaczynać tę wojnę, zdobądźcie od razu cały kraj, bym mógł się go ponownie napić.

— Twoje życzenie jest dla nas rozkazem — zaśmiała się Tazaar.

Chwilę potem zaanonsowano uczestników kolejnego pojedynku i ich rozmowa się urwała.

Ta walka także nie zrobiła na Treyu najlepszego wrażenia. Kiedy nareszcie dobiegła końca, zwrócił się do władcy, który wyraźnie znudzony, poprawiał swój imponujący irokez.

— To są wasi najlepsi wojownicy?

— Te niedojdy? Daj spokój — machnął pogardliwie ręką. — To tylko młode szlachciury, chcącwe wziąć udział w igrzyskach, by mieć się czym pochwalić przed dziewczętami. Żaden z nich nigdy nie walczył na śmierć i życie, to i niewiele potrafią. W całym turnieju jedynymi prawdziwymi wojownikami jest dwójka moich gwardzistów. Kazałem ich rozstawić tak, by spotkali się dopiero w finale. To będzie pierwszy i zarazem ostatni pojedynek wart obejrzenia.

— Nie startują żadni szeregowi żołnierze? W turnieju ludzi nie macie eliminacji?

— Nie ma eliminacji, bo i po co. Moi gwardziści nie mają sobie równych. Nie mogę pozwolić wszystkim na udział, bo jeszcze by się nawzajem pozabijali i zostałem bez ochrony. Dlatego wybrałem dwójkę według mnie najlepszych. Pozostali uczestnicy są wybierani zgodnie z potrzebami naszej wewnętrznej polityki. Jak trzeba pochlechać dumę jakiegoś rodu, pozwalamy im wystawić jakiegoś młodzika.

— A co, jeśli taki młodzian straci życie?

— Moi ludzie nie zrobią im krzywdy. Najwyżej ich trochę ośmieszą. A jeżeli jeden gówniarz zabije drugiego, to już nie moja wina. O patrz, o wilku mowa. — Tazaar wskazał wychodzącego z bramy wojownika. — To mój człowiek.

Trey spodziewał się krótkiego pojedynku, jednak gwardzista widocznie nie chciał upokoryczyć walczącego z nim nastolatka i postarał się, by potyczka wyglądała na wyrównaną. Gdy chłopak zaczął przejawiać zmęczenie, doświadczony wojak podstawił mu nogę, przewrócił na ziemię i zmusił do poddania.

Była to ostatnia potyczka pierwszej rundy turnieju, po której nastąpiła dwugodzinna przerwa. Służba naznoсиła do królewskiej loży masę rozmaitych, apetycznie wyglądających przekąsek i Trey znów pożarował wczorajszej libacji. Wciąż czuł się niepewnie i na wszelki wypadek jedynie skubał suche pieczywo. Czekanie na kolejny pojedynek wypełniła im rozmowa na rozmaite tematy. Kotołakowi dobrze dyskutowało się z Tazaarem, a Verdish była dla niego nadzwyczaj życzliwa, ale za to lubiła od czasu do czasu dogryźć bratu, co kilkakrotnie wywołało uśmiech na zmęczonej kacem twarzy zabójcy.

Królewskie rodzeństwo, mimo całej swej władzy, zdawało się być po prostu normalne. Jednakże na wszelki wypadek Trey starał się zbytnio nie spoufalać.

Przerwa minęła szybko, a druga runda zawodów jeszcze szybciej. Wojownicy Tazaara, zgodnie z jego przewidywaniami, spacerkiem zakwalifikowali się dalej. Władca Dżungli nie miał jednak racji, mówiąc, że mający odbyć się dopiero nazajutrz finał będzie jedynym wartym obejrzenia pojedykiem.

Ostatnia walka pierwszego dnia zawodów Czystych okazała się śmiertelnie emocjonująca. Starło się w niej dwóch ponadprzeciętnie uzdolnionych, młodych szermierzy. Chęć wygranej, młodociany zapał, a przede wszystkim podobny poziom umiejętności doprowadziły do tragedii. Jeden z chłopców, wyczerpany długą potyczką, w pewnym momencie nie zdążył z obroną i otrzymał cięcie w szyję. Rana okazała się na tyle poważna, że nie było szans na ratunek. Wykrwawił się w przeciągu sekund. Nawet Treyowi, który sam poderżnął niejedno gardło, zrobiło się go żal. Publiczność wychodziła z areny w minorowych nastrojach.

Opuszczał Odkrywkę w towarzystwie królewskiego rodzeństwa, kiedy to drogę zastąpił im jeden z gwardzistów Tazaara.

— Władco, w trakcie zawodów z północy przybył kapitan Piratów Słodkich Wód. Twierdzi, że ma ważne informacje. Przyjmiesz go w Pałacu Czystości czy wysłuchasz na miejscu?

— Na miejscu — zdecydował bez chwili z wahania Tazaar. Nie lubił odkładać na później ważnych spraw.

Czekający nieopodal pirat został wezwany przed oblicze władcy. Na co dzień, z powodu surowej urody i licznych tatuaży, musiał wyglądać groźnie, jednak teraz sprawiał wrażenie przestraszonego. Ukłonił się niemal do ziemi, po czym zamarł nieruchomo. W dłoniach nerwowo ściskał wielką czapę z pióropuszem.

— Długo będziesz tak stał, marnując mój czas? — Tazaar przywołał go do porządku. — Jakie to ważne informacje przywozisz?

— Wasza Drapieżność, ja... — Urwał, by po krótskiej chwili dokończyć niepewnym głosem.
— Straciliśmy kontrolę nad Zatoką Gryfów.

— Jakim cudem? — Twarz Tazaara przyjęła śmiertelnie poważny wyraz. — Jeszcze niedawno informowaliście mnie, że pojmailiście jakiegoś lotherbemmskiego księcia i ichnia flota boi się zrobić cokolwiek. Gdzie jest teraz ten książę? I dlaczego to ty mi o tym mówisz, a nie wasz przywódca? Czyżby obleciał go strach?

— Książę został odbity, a nasz przywódca zabity. Mnie wybrano na jego zastępcę. — Pirat, bojąc się spojrzeć na swojego rozmówcę, wbił wzrok w ziemię.

— Dlaczego książę uszedł z życiem? Daliście się zaskoczyć? Nie zauważycie zbliżających się statków?

— Nie było żadnych statków, Wasza Waleczność. Odbił go jeden człowiek, który potem zabił kapitana i spalił jeden z naszych galeonów.

— Jeden człowiek!? — Tazaar jeszcze bardziej podniósł głos. — Żarty sobie ze mnie stroisz?

— Zarzekam się, że tak było. Możliwe, że był to jakiś lotherbemmski szaman, gdyż walczył jak demon i opuścił wyspę wpław.

— Demon — powtórzył gniewnie Tazaar i odetchnął głęboko. — Zejdź mi z oczu. Później zdecyduję, co z tobą zrobić.

— Tak jest, Wasza Wielkość.

Pirat oddalił się czym prędzej, ciesząc się, że nie został stracony na miejscu. Trey i królewskie rodzeństwo ruszyli dalej, początkowo w milczeniu. Ciszę przerwała Verdish. Udało się jej trochę rozвесelić brata i wrócili do rozmowy, którą prowadzili przed pojawiением się korsarza.

Kotołak otrzymał propozycję spędzenia nocy w Pałacu Czystości, której odmówił najgrzeczniej jak potrafił. Nie był pewien, czy Tazaar na dobre pogodził się z utratą cennego zakładnika, a ponadto miał do pogadania z Cle. Kiedy wrócił do domu, pod drzwiami znalazła masę najróżniejszych podarków, głównie jedzenie, lecz nie brakowało też pieniędzy, biżuterii i rozmaitych, bezużytecznych pierdół. Poczuł się jak urodziwa panna, o której wzgłydy zabiegają anonimowi adoratorzy. Było to uczucie dziwne, ale przyjemne.

Żołądek już mu nie dokuczał i wreszcie mógł spożyć pierwszy tego dnia posiłek. Ze sterty prezentów wybrał oporzadzoną mangustę i zjadł ją na miejscu. Skończone, wniósł pozostałe dary do środka, a następnie udał się na plac, na którym wczoraj odbyła się balanga. Gdy dotarł na miejsce, ku swojemu przerażeniu przekonał się, że wielu kotołaków zdecydowało się kontynuować świętowanie. W obawie, że znów będzie zmuszony do picia, odwrócił się na pięcie i chciał wrócić do swej chaty, lecz wtedy drogę zastąpiła mu znajoma, choć nieco odmieniona postać. Sly.

— Ty skurwysynu, odebrałeś mi zwycięstwo! — Jaguarowy chwycił go za poły płaszczu, przyciągnął do siebie i złowrogo wyszczerzył kły.

— Pojebało cię? Przecież sam chciałeś, bym walczył za ciebie. — Zaskoczony Trey już miał zrzucić z siebie dlonie agresywnego kotołaka, ale nie zdążył. Sly sam go puścił, po czym chwycił w pasie i uniósł wysoko w górę.

— Dałeś się nabrać, nameśda. Cieszę się jak cholera, że wygrałeś.

Śmiał się i kręcił w kółko, wciąż trzymając Treya. Nagle stracił równowagę i obaj runęli na ziemię.

— Nic ci nie jest? — zapytał zabójca i pomógł mu wstać.

— Nie, ale chyba powiniensem posłuchać szamanów i się na razie nie przemęczać.

— No właśnie, jak się czujesz po rytuale? Widzę już pewne zmiany na twojej brzydkiej mordzie.

— Ta, miałem szczęście w nieszczęściu, bo akurat trzymaliśmy w klatce czarną panterę i to ją poświęcono, by mnie ratować. Póki co swędzi mnie trochę czaszka, więc pewnie zmieni mi się trochę kształt głowy. No i futro może mi ściemnieć. Za miesiąc, góra dwa, przemiana powinna się zakończyć.

— Oj, nie byłbym tego taki pewien. Mój kumpel z Lotherebemm przeszedł rytuał ponad dziesięć lat temu, a dlonie rosną mu do teraz. Już wyglądają jak patelnie i aż boję się pomyśleć, co to będzie za jakiś czas.

— On też jest kotołakiem?

— Nie, Be...yyy...tym no, niedźwiedziołakiem — Trey w ostatniej chwili ugryzł się w język i nie wspominał o Behemocie.

— Aha. Szkoda, bo pewnie porządnego z niego chłop.

— Czego ci jest szkoda, bo nie rozumiem?

— W razie gdyby się tu kiedyś zjawił, musiałby zamieszkać w Gawrach. Powinieneś już zauważać, że w Byhrid raczej nie bratamy się z innymi plemionami.

— Może jest to błąd.

— Przejdź się kiedyś do Barachła, a zrozumiesz, że to żaden błąd.

Trey od razu przypomniał sobie wizytę w dzielnicy Spaczonych i w myślach musiał przyznać mu rację. Nie powiedział jednak nic i tylko wzruszył niewinnie ramionami.

— Od tego gadania zaschło mi w gardle. Chodź, napijemy się — zaproponował Sly.

— Nie, nie, nie. Żadnego picia. Mam dość po wczorajszym.

— Ze mną się nie napijesz? — Sly spojrzał na niego spode łba.

— Nie wiedziałem, że w 'Irrever'te również używacie tego zwrotu jako argumentu ostatecznego. A skoro już padł, to cóż mogę począć?

— Pięknie powiedziane. Chodź. — Jaguarowaty skinął głową w kierunku placu i poszli.

Początkowo pili sami, potem zjawił się Ed i się do nich przyłączył. Wciąż mając w pamięci porannego kaca, Trey miał chociaż tyle silnej woli, by nie zgadzać się na picie poza kolejką z innymi kotołakami. Wytrwali do północy, rozpamiętując wydarzenia ostatnich kilku dni i snując wyobrażenia, jak to będzie na wojnie. Zanim rozeszli się do domów, umówili się na następny dzień, by wspólnie obejrzeć ostatni dzień igrzysk.

Zabójca nie był nawet w połowie tak pijany jak poprzedniego dnia, spędził przyjemnie czas z przyjaciółmi i mógłby zadowolony położyć się spać, gdyby nie przypomniał sobie, że nie porozmawiał z Cle. Popsuło mu to trochę humor, niemniej i tak było już za późno, by jej szukać, toteż tyknął sobie jeszcze kolejkę i wskoczył do łóżka.

Nazajutrz czuł się całkiem dobrze. Zmierzając na arenę, ani razu nie musiał zatrzymywać się przy studni. Po wejściu na trybuny poszedł przywitać się z Tazaarem i Verdish. Nieco obawiał się, że znów zaproponują mu, by zasiadł w ich loży, jednak przenikliwe rodzeństwo domyśliło się, że woli spędzić czas z kotołakami, i propozycja nie padła.

Zgodnie z zapowiedziami Tazaara walka o zwycięstwo rozegrała się pomiędzy jego wojami i stała na bardzo wysokim poziomie. Nie brakowało jej niczego. Była dłuża, dynamiczna i pełna zwrotów akcji. Pod koniec obaj gwardziści krwawili z wielu ran, aż wreszcie jeden z nich musiał się poddać. Trey był pełen podziwu dla ich wyszkolenia. Nie przypuszczał, by byli w stanie podołać Roniemu, ale on sam miał nadzieję, że nigdy nie będzie musiał się z nimi mierzyć. Przypomniał sobie nawet jedno z powiedzonek, które tak bardzo lubił Silmer: *Biada podrzędnym istotom, gdy wchodzą pomiędzy ostrza potężnych szermierzy*.

Po turnieju nastąpiło oficjalne przejęcie władzy przez Tazaara. Podczas ceremonii doszło do zabawnej sytuacji. Ze względu na swoją fryzurę, młody król nie był w stanie założyć korony, którą przekazała mu siostra. Zapanowała powszechna konsternacja, lecz nie na długo. Nowy

władca położył koronę na kamiennej ławie, wyciągnął miecz i z całej siły rąbnął w tylną część złotej obręczy. Następnie chwycił królewski symbol w ręce i wygiął na boki. W ten sposób korona zamieniła się w nietypowy diadem, któremu żaden irokez nie przeszkadzał. Zebrani na arenie nagrodzili jego pomysłowość śmiechem i brawami.

Gdy uroczystości dobiegły końca, kotołaki wróciły do Leżyska. Na nieszczęście Treya, znów wyprawiły libację, tym razem na cześć nowego króla. Zresztą, mniejsze bądź większe popijawy organizowano jeszcze przez kolejny tydzień i dopiero po tym czasie życie rozchwytywanego namešdy, który otrzymał nawet przydomki: *Chluba Lotherebemm* oraz *Chluba Leżyska*, w miarę wróciło do normy.

Czwarty dzień dziesiątego obiegu Władcy. 277 dzień roku. Byhrid. Wieczór.

Dopiero siedem dni po spędzonej wspólnie nocy udało mu się pomówić z Cle. Kocica ponoć musiała wybrać się na polowanie i dlatego nie mógł jej spotkać w Leżysku, ale Trey wiedział, że powód jej zniknięcia był inny. Podejrzewał, że wstydziła się tego, co między nimi zaszło. Był może bała się, że zabójca, kompletnie pijany tamtej nocy, uzna, iż go wykorzystała, bądź potraktuje wszystko jako jednorazową przygodę, podczas gdy ona liczyła na związek. Rozmowa pokazała, że jego przypuszczenia były słuszne. Trey starał się dobierać słowa tak, by Cle chociaż nie czuła się winna, gdyż o tym, że nie mogą być razem, wiedział już od wizyty na Wielkim Rynku. Jego sukces był połowiczny. Kocica co prawda nie rozpaczalała, czego obawiał się najbardziej, ale czuł, jak mocno wszystko to przeżywa, a na sam koniec odeszła bez słowa, nawet się nie żegnając. *Głupia górniora*, pomyślał wtedy mimowolnie, choć było mu jej trochę szkoda. Jednak w głębi duszy bardziej żałował siebie samego.

Wprawdzie nie minął jeszcze umówiony miesiąc od ostatniej wizyty u Lou'wily'deia, mimo to Trey zdecydował się go odwiedzić. Z powodu Cle był przybity, a mało co pomagało mu na złym stanu ducha tak, jak zajęcie się czymś naprawdę ważnym.

Była to jego trzecia wycieczka do Barachła i tak jak poprzednio, odbył ją po zmroku. Lou zdecydowanie naciskał na utrzymanie ich znajomości w tajemnicy. Trey zdążył już z grubsza poznać dzielnicę Spaczonych, a przynajmniej tę jej część, która rozpościerała się pomiędzy neutralnym traktem oraz zigguratem, toteż udało mu się nie zgubić czy też wpakować w kłopoty w jakimś ciemnym załku. Spotkał za to kogoś znajomego.

Zbliżając się do wejścia kamiennej piramidy, które jak zwykle stało otworem, Trey zauważał wychodzącego z niej Spaczonego. Był to jeden ze śmiałków, którzy napadli go podczas pierwszej wizyty w Barachle, ten o ptasich nogach. Szedł niezdarnie, podpierając się kulami, a na złamanej przez zabójcę nodze miał założone usztywnienie i bandaż. Dziwoląg minął kotołaka bez słowa, ze spuszczoną głową, jakby przestraszony.

Po chwili zamyślenia wywołanego niespodziewanym spotkaniem, Trey wszedł do środka piramidy. Zanurzył się w przytaczającym zapachu krwi oraz sącącej się z magicznych kaganków czerwonej poświacie. Mimo iż wiedział, czego może się spodziewać po tym miejscu, ciarki i tak przeszyły go dreszczem. Pochodził chwilę wokół basenu z krwią, czekając, aż zjawi się Alkin, który w jakiś sposób wyczuwał obecność gości. Chłopak wszedł do niego prędko, tylko po to, by z powrotem zaprowadzić go na góre. Gdy pokonywali wąskie schody, Trey zapytał:

- Możesz mi wytłumaczyć jedną rzecz, która męczy mnie od pierwszej wizyty?
- Oczywiście.

— Dlaczego to miejsce przypomina loch szalonego oprawcy, a nie szpital? Przecież niesiecie mieszkańcom pomoc, a chyba lepiej, zarówno dla pacjenta, jak i lekarza, robić to w jasnym, miłym pomieszczeniu.

— Oczywiście, że lepiej. Problem leży w mieszkańcach Barachła. Spora ich część to porywcze, groźne osobniki. Gdyby nasz ziggurat wyglądał jak jakiś przyjazny przytułek, przypuszczam, że dość szybko zostalibyśmy obrabowani, a może nawet zabici.

— Więc atmosfera grozy ma odstraszać zbirów, rozumiem. Ale czy tak samo nie odstrasza części pacjentów? Ten, którego minałem przed wejściem, był kompletnie przerażony, choć musiał być już u was nie raz.

— No tak, to ten, któremu złamałeś nogę. Przyszedł, bo myślał, że już czas, by zdjąć opatrunki. Biedak nawet nie rozumie, ile to jest „dwa miesiące”. Swoją drogą, śmieszne zrządzenie losu, że się tu dziś spotkaliście. — Alkin podrapał się po głowie. — A wracając do twojego pytania, to odpowiedź jest prosta. Jeśli ktoś naprawdę potrzebuje pomocy, to wola przetrwania przezwycięża lęk.

— A światło i tak musi być czerwone — dodał Lou, gdyż kończyli rozmowę już pod jego drzwiami, które były uchylone. — Istnieją zaklęcia magii krwi pozwalające na uzyskanie bardziej naturalnego koloru, ale za dużo z nimi roboty. A tak w ogóle, to witaj.

- I ja cię witam, Lou. Jak zdrowie?

Alkin zamknął drzwi i zostawił ich samych.

— Dobrze, dobrze, dziękuję. Przyznam, że ostatnio mam jakby więcej sił. Być może nasze wspólne, tak ważne zadanie, było czymś, czego potrzebowałem. Ale nie mówmy o mnie. Doszły mnie słuchy, że pewien kotołak z Lotherebemm wygrał igrzyska mieszkańców. Ciekawe, czy go znasz? — Mężczyzna uśmiechał się, lecz w jego głosie słyszać było delikatny wyrzut bądź obawę.

— Znam, ale chyba nie do końca. Szczerze mówiąc, to nie zamierzałem brać udziału w turnieju. Zmusiła mnie do tego sytuacja.

— Rozumiem. Najważniejsze, że jesteś cały i dalej chcesz pomóc swojemu przyjacielowi. Bo chcesz, prawda?

- Oczywiście! — Trey był wyraźnie zaskoczony tym pytaniem.

— Wybacz mi moje zwątpienie — Lou zaczął się tłumaczyć. — Po prostu pamiętam, jak to jest być młodym. Co prawda nigdy nie wygrałem żadnego turnieju i nie wiem, jak zachowałbym się po takim sukcesie, ale swego czasu też nie narzekałem na brak pokus. Daruję ci jednak nudne wspomnienia starego pryka i przejdę do konkretów. Mam wiadomości, i to dobre — powiedział z dumą.

— Świeście. Zamieniam się w słuch.

— Wszystko, co potrzebujemy wiedzieć, znajduje się w tej księdze. — Położył dłoń na leżącym na biurku woluminie. — Jesteś w stanie odczytać tytuł?

Trey nachylił się nad księgą. Musiała być bardzo stara. Litery na okładce wyryto ozdobnym, lecz trudnym do rozszyfrowania fontem. Kotołak wpatrywał się w napis przez dłuższą chwilę. Gdy wreszcie złożył litery w słowa, zrozumiał, że o pomyłce nie może być mowy.

— *Bestia, albo Behemota opisanie*. — Wziął ją w ręce, otworzył i zaczął powoli wertować kartki. Papier był pożółkły, a jego obrzeża wytarte i skruszałe. Brakowało spisu treści i nigdzie nie mógł znaleźć informacji o autorze. Niemniej opasłe tomiszcze było czytelne.

— Przeczytałeś całość? — zapytał zabójca.

— Nie, na razie skupiłem się na tym, co dla nas najważniejsze: rytuale wchłonięcia duszy i sposobie na jego odczynienie. Strona osiemdziesiąta.

Trey otworzył księgę we wskazanym miejscu. Rozpoczynał się tu nowy rozdział, a jego tytuł brzmiał: *Zbrodnia na duszy – Zbawienie*. Od razu przeskoczył do podrozdziału o zbawieniu. Poprzedzony kilkoma stronami wstępem znajdował się tu długi, skomplikowany rytuał. Zabójca nie rozumiał sporej części słów, nie był nawet pewien co do ich wymowy.

— Nie bardzo wiem, co tu jest napisane. Chodzi mi o sam rytuał. To słownictwo, język. Są jakby inne od reszty tekstu.

— Owszem, również to zauważylem. O ile większość książki napisana jest językiem sprzed czterystu lat, sam rytuał musi być o wiele starszy — objaśnił Lou.

— Przecież Behemoty stworzono właśnie cztery wieki temu, dlaczego więc rytuał jest starszy?

— Ciężko powiedzieć. Być może stworzono go na podstawie jakiegoś innego rytuału, na przykład dotyczącego rozdzielania dwóch ludzkich dusz. W każdym razie, w mojej ocenie zapiski wyglądają wiarygodnie. A o tym, czy to wszystko zadziała, tak czy siak dowiemy się dopiero wtedy, gdy je wypróbujemy.

— Cóż, chyba masz rację. Skoro i tak nie mamy innych opcji, trzymajmy się tego, co mówi księga.

— Pozostaje jeszcze kwestia tego, jak odnajdziemy twojego przyjaciela. Masz jakieś propozycje? — zapytał Lou.

— Zostałem nameśdą, ale nadal nie wolno opuszczać mi Byhrid. Dlatego uważam, że naszą jedyną szansą jest poczekanie, aż Tazaar wyruszy z armią na Lotherebemm. Już złożył mi propozycję, bym poprowadził w bój Kotowatych, więc muszę jeszcze wymyślić, jak ciebie zaciągnąć w kamasze.

— U was w Lotherebemm zaczęła się jesień, więc przypuszczam, że miną co najmniej cztery miesiące, nim Tazaar zdecyduje się ruszyć. Nie chcesz spróbować uciec wcześniej?

— Myślałem o tym, ale uważam, że byłoby to samobójstwo. Złapaliby nas raz dwa. Nie obraź się, ale...

— Tak, wiem, jestem zbyt chory — dokończył za niego Lou. — Wiem także, że nie przeżybym podróży przez dżunglę. Jest jednak inna droga, dłuższa, ale lżejsza i bezpieczniejsza. Mówię o Zamonie...

Lou'wily'dei przedstawił Treyowi swój plan ucieczki z Dżungli z wykorzystaniem rzeki. Kotołak musiał przyznać, że wszystko zostało dokładnie przemyślano i akcja miała spore szanse na powodzenie. Stary szaman oznajmił, że powinni wyruszyć najszybciej jak to możliwe. Po krótkiej dyskusji wspólnie ustalili, że opuszczą Byhrid za pięć dni.

Wracając do Leżyska, Trey czuł podniecenie, a jego umysł bił się z dziesiątkami myśli. Kiedy spotkał się z Lou po raz pierwszy, był w fatalnym nastroju, czuł się obco i gdy pojawił się pomysł pomocy Jarmisowi, przystał na niego bez wahania. Jednak od tego czasu wiele się wydarzyło. Jego przyjaźń z Edem, Slyem oraz innymi kotołakami znacznie się pogłębiła. Wygrał też igrzyska, dzięki czemu mógł cieszyć się szacunkiem całego Byhrid, na co najlepszym dowodem był fakt, że pozwolono mu zasiąść w królewskiej loży podczas turnieju Czystych. Co prawda nadal nie potrafił traktować kocic jako potencjalnych partnerek, ale miał cichą nadzieję, że z czasem się to zmieni. Poza tym w Lotherebemm i tak nie miał szans na żaden związek, więc z dwogaja złego wolałby wieść żywot pośród przyjaznych kotołaków, jako Chluba Leżyska. Dopóki nie byli w posiadaniu księgi, wizja ucieczki z Dżungli wydawała mu się czymś odległym i rzadko kiedy zaprzątał sobie nią głowę. Teraz, gdy znał już jej dokładną, tak bliską datę, uświadomił sobie, że wcale nie chce wyjeżdżać.

Kiedy dotarł do swej chaty wiedział, że sen nie przyjdzie łatwo. Wszakże była na to rada. Odkorkował nową beczułkę z winem i zaczął pić. Od razu pomyślał o Jarmisie, który przed pójściem spać upiął się prawie codziennie. Wtedy zrozumiał, że nie ma odwrotu. Dał słowo nie tylko Lou i Jarmisowi, ale przede wszystkim sobie. Nie miał krewnych, a udręczony Arad úš był jedyną osobą, którą mógłby uznać za swoją rodzinę. Teraz nadarzyła się szansa, by przyjść mu z pomocą. Pomocą, której cholernie potrzebował.

Nazajutrz rozpoczął przygotowania do wyprawy. Na dobrą sprawę nie miał wiele do zrobienia. Lou zobowiązał się zorganizować łódź i cały sprzęt, jakiego będą potrzebowali. We wszystkim miał mu pomagać Alkin, który zdecydował się płynąć razem z nimi. Kotołak był

odpowiedzialny jedynie za suchy prowiant, a ponieważ wciąż otrzymywał mnóstwo jedzenia od wdzięcznych fanów, musiał tylko wszystko sensownie zapakować. Rozejrzał się po zapasach zaledgających w spiżarni i rozdzielił to, co planował zabrać, od reszty żywności. Na oko ocenił, że wszystko powinno zmieścić się do plecaka i dwóch pokaźnych sakw. Samo pakowanie postanowił odłożyć na wieczór przed ucieczką. Ostatnio przyjmował wielu gości i nie chciał, by ktoś go wypytywał o wypchany plecak.

Do ucieczki nadal pozostawały cztery dni, a on był już gotowy i nie wiedział, co ze sobą począć. Wciąż prowadził szkolenie z szermierki, ale zajęcia kończyły się wraz z południowym deszczem i potem nie miał już nic do roboty. Spał więc po kilkanaście godzin dziennie, zabijając czas i zbierając siły przed długą wyprawą.

Przedostatniego dnia w Byhrid umówił się z Edem i Slyem na małą popijawę. Podczas spotkania czuł się strasznie nieswojo. Wiedział, że prawdopodobnie widzi przyjaciół po raz ostatni, lecz nie mógł im o tym powiedzieć. Upił się na smutno i szybko zasnął. Ed i Sly byli przekonani, że chodzi o Cle i nieprzyjemne plotki, jakie ostatnio zaczęły o nich krążyć.

Dziesiąty dzień dziesiątego obiegu Władcy. 283 dzień roku. Byhrid. Przed świtaniem.

Nadszedł czas, by opuścić Byhrid. Plecak i sakwy miał już wypełnione prowiantem, miecz i sztylet przytwierdzone do pasa, resztę drobiazgów pochowane w kieszeniach płaszczu. Na stole w głównej izbie pozostawił dwa listy. Pierwszy zaadresowany był do Eda. Pobieżnie wytłumaczył w nim, dlaczego odchodzi, podziękował za wsparcie i przyjaźń, nie wspomniał jednak nic o Lou ani o tym, że będą poruszać się rzeką. Drugi, znacznie krótszy, przeznaczony był dla Cle. Zawierał zapewnienie, że jego ucieczka nie ma z nią nic wspólnego i prośbę, by kotołaczka dobrze go wspominała.

Zabójca rozejrzał się po chacie po raz ostatni, zarzucił bagaż na plecy i wyszedł na zewnątrz. Chciał zamknąć drzwi na zasuwę, lecz okazało się to niemożliwe. Przypomniał sobie, że gdy poprzedniej nocy wracał pijany do domu, wyważył stawiające zaciekle opór drzwi kopniakiem, wyłamując przy tym rygiel oraz część zamka. Machnął ręką i zostawił drzwi lekko uchylone, po czym odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę rzeki.

Dotarł na miejsce spotkania jeszcze zanim Biały Książę pojawił się na niebie. Lou i Alkin już na niego czekali. Uścisnęli dłonie na powitanie, wrzucili torby Treya na łódź i sami weszli na jej pokład. Kotołak zakładał, że będą musieli wiosłować lub poddadzą się nurtowi rzeki, ale ku jego zaskoczeniu łajba posiadała żagiel. Zwinęli cumy i odbili od brzegu. Ich ucieczka się rozpoczęła.

Traf chciał, że trzy kwadranty po tym, jak Trey opuścił Leżysko, pijany w sztok Sly przechodził obok jego chaty. Kilkanaście godzin wcześniej jego siostra wydała na świat nowego potomka i dumni wujek oraz ojciec nie mieli wyjścia i musieli świętować. Szwagier Slya był

tygrysołakiem, co na początku ich znajomości bardzo przeszkadzało Jaguarowatemu, lecz z czasem dwa kotołaki odkryły, że łączy ich wspólne zamiłowanie do napoi alkoholowych i wszelkie zwady poszły w zapomnienie. Gdyby jego siostra dokonała innego wyboru, Sly nie znalazłby się o tej porze w tygrysiej części Leżyska i nie zainteresował uchylonymi drzwiami Treya.

Zataczając się na nogach, wparował do środka chaty. Z powodu zepsutego zamka spodziewał się nakryć włamywaczy na gorącym uczynku, lecz zamiast tego znalazł dwa listy. Skupił mętny wzrok i z trudem odczytał, do kogo były zaadresowane. Jego imię nie widniało na żadnym z listów, więc odłożył je na miejsce i skierował się z powrotem w stronę drzwi. Wtedy, przezwyciężając upojenie, zadziałał jego zwierzęcy instynkt. *Po cholerę te listy?* Wziął ten przeznaczony dla Eda i postanowił zabawić się w listonosza. Chwilę później znajdował się już w domu tygrysołaka i z niecierpliwością czekał, aż przyjaciel skończy czytać wiadomość.

— Idiota — stwierdził ze złością w głosie Ed. — Złapią go i zabiją. Chodź. — zwrócił się do Slya. — Może jeszcze nie jest za późno.

Wrócili do chaty Treya. Trzeźwy Kotowy zaczął wokół niej węszyć, próbując ustalić kierunek, w którym oddalił się zabójca. Na szczęście Lotherbemczyk miał specyficzny, inny od rdzennych mieszkańców Leżyska zapach i Edowi udało się wyczuć jego niknący już ślad. Bez słowa ruszyły tym tropem.

Biegli, gdyż ich przyjaciel był w niebezpieczeństwie, jednocześnie musieli też uważać, by nie zgubić prowadzącej ich woni, toteż co jakiś czas przystawali. Podczas postojów Ed weryfikował, czy trzymają się dobrego kursu, a osłabiony libacją Sly z trudem łapał powietrze w płuca.

Dotarcie z Leżyska do przystani zajęło im około godziny. Doświadczony Jaguarowy nie pamiętała, kiedy ostatnio czuł takie pieczenie w klatce piersiowej. Mimo wszystko przybyli za późno. Żagłówka z uciekinierami była już tylko maleńką plamką na tle srebrzejącej się w pierwszych promieniach dnia Zamonie. Zrezygnowany Sly przysiadł na deskach pomostu, lecz Ed jeszcze się nie poddał i nadal węszył.

Nagle wydarł się na towarzysza:

— Chodź no tu!

Zdziwiony wybuchem przyjaciela Sly wykonał polecenie.

— Wąchaj. Wąchaj uważnie, kurwa — syczał Ed. Odczekał kilka sekund i zapytał. — Czujesz to, co ja?

Sly podniósł na niego wzrok. Jeszcze przed chwilą jego przepite oczy chowały się głęboko w czaszce. Teraz były wielkie i lśniące niczym Biały Karzeł na bezchmurnym niebie. Jaguarowy momentalnie wytrzeźwił i zapomniał o zmęczeniu.

— Ja zwinę jakiś kajak i zacznę ich gonić. Ty załatw pomoc Wodniaków.

Ed tylko skinał głową i od słów przeszli do czynów.

Sly wiosłował z całych sił, mimo to bardzo powoli zbliżał się do pchanej przez wiatr żaglówki. Po kwadransie prześcignęli go zaalarmowani przez Eda Wodniacy. Ludzie-delfiny, w legendach Loherbemm zwani Syrenami, mknęli przez wodę jak pociski. Jaguarowy zaczął wierzyć, że jeszcze nie wszystko stracone.

Trey jako pierwszy zorientował się, że są ścigani. Nie miał pojęcia, skąd tak szybko dowiedziano się o ich ucieczce. Przywołał do siebie siedzącego przy maszcie Lou i wskazał mu na zmianę niknące i wynurzające się z wody grzbiety Wodniaków. Szaman zasępiał się na chwilę, po czym rzekł:

— Spodziewałem się pogoni, lecz nie tak szybko. Jestem w stanie się jej pozbyć, ale nie obędzie się bez ofiar. Decyzja należy do ciebie.

Trey nie chciał obciążać sumienia kolejnymi nieboszczykami, zdawał sobie jednak sprawę, że jeśli zostaną złapani, ciężko im będzie zachować życie. Zapytał:

— Bardzo będą cierpieć?

— Bardzo, lecz krótko — odparł z powagą Lou.

Trey skinął głową, wydając wyrok na Wodniaków. Szaman sięgnął do jednej ze swoich toreb i wyciągnął z niej niewielki słój z krwią. Wyciągnął korek, wyrecytował tajemnicze zaklęcie i wylał zawartość fiolki za burtę. Po krótkiej chwili, w miejscu wciąż będącym pod wpływem kilwateru, woda zaczęła się kotłować. Początkowo poruszenie w toni było nieznaczne, lecz kiedy Syreny dotarły w ten rejon, tafla rzeki wyglądała, jakby jednocześnie tysiące ryb rozpoczęły tarło tuż pod jej powierzchnią. Nie była to jednak godzina godów, lecz zabijania.

Pochłonięci goniącą Wodniacy nie dostrzegli zagrożenia i wpakowali się w śmiertelną pułapkę. Fiolka szamana zawierała krew ich pobratymców, a zaklęcie miało wzmacnić drapieżność i tak już z natury agresywnych piranii, których całe ławice zamieszkiwały Zamonę. Kilkaset stóp od żaglówki rozpętało się piekło. Oszalałe magią ryby rzuciły się na Delfinowatych, mimo iż ci nie znajdowali się w ich jadłospisie. Wodniacy nie mieli żadnych szans. Cała dziewiątka, która na prośbę Eda miała pochwycić uciekinierów, skonała w przeciągu minut, a jej ogółocone kości pograłyły się w mulistym dnie. Na krótką chwilę Zamona zmieniła barwę na czerwoną.

Kiedy Sly wpłynął w plamę krwi, nie było już kogo ratować. Wściekły kotołak zaryczał gniewnie, płosząc ptaki z drzew rosnących na oddalonym o milę brzegu. Wiedział, że nie ma szans na dogonienie zbiegów kajakiem, postanowił więc poczekać na Eda, który już zbliżał się do niego w niewielkiej żaglowce. Tygrysolak podpłynął na tyle blisko, by Sly mógł wskoczyć na jego łódź i w milczeniu kontynuowali pościg. Niestety, żaden z nich nie miał doświadczenia w żeglowaniu i stracili uciekinierów z oczu na kolejne cztery dni.

Trzynasty dzień dziesiątego obiegu Władcy. 286 dzień roku. Dorzecze Zamony. Ranek.

Wyglądało na to, że zgubili pogoń bądź jej zaprzestano. Żeglowali wartko, w dół rzeki, ani razu nie przybijając do brzegu. Lou i Alkin dzielili między siebie obowiązek utrzymania kursu i Trey nie miał nic do roboty. Gdy nie spał, wpatrywał się w odległy brzeg lub podziwiał mijające ich statki. Drugiego dnia ucieczki, kiedy zbliżyli się nieco do lądu, dojrzał wielkie obozowisko. Zdziwiło go to bardzo, gdyż był przekonany, że na odcinku od Byhrid do Mglistej Kaskady nie ma żadnych rzecznych osad. Lou wytłumaczył mu, iż obozowisko jest w rzeczywistości obozem jenieckim, a przetrzymywani w nim ludzie zostali pojmani na Południowych Krańcach podczas ostatniej ekspedycji Tazaara.

Rankiem trzeciego dnia od opuszczenia Byhrid dotarli do Mglistej Kaskady. Był to olbrzymi, wielostopniowy wodospad, przecinający Zamona na całej jej szerokości, która w tym miejscu liczyła ponad pięć mil. Większość statków omijała przeszkodę kanałem wykopanym wzdłuż prawego brzegu rzeki, lecz uciekinierzy zdecydowali się z niego nie korzystać. Każda jednostka pokonująca przepławę musiała uiścić opłatę, co wiązało się z kontrolą pasażerów i ładunku, a z oczywistych względów Trey i jego towarzysze wołeli tego uniknąć. Przybili więc do lewego brzegu, gdzie zamierzali chwilę odpocząć od kołysania i następnie ruszyć pieszo do najbliższej osady położonej poniżej Kaskady.

Porzucili łódź w przybrzeżnych zaroślach i wkroczyli w dżungłę. Przedzieranie się przez chaszcze szybko ich zmęczyło, zarządzili więc postój. Pożywili się suszonym mięsem, które targał kotołak i ułożyli się do snu, nie zapominając przy tym o warcie. Jako pierwszy czuwać miał najmłodszy z całej trójki Alkin. Trey był z tego zadowolony, gdyż jemu falowanie najbardziej dało się we znaki. Położył się na swym płaszczu, a pod głowę podłożył plecak. Zasnął momentalnie.

Kiedy się obudził, krępujące jego kończyny linę, przywiązaną do pobliskich drzew, utrzymywały go dwie stopy nad ziemią. Usta miał zakneblowane. W pierwszej chwili pomyślał, że wciąż śni, lecz narastający ból, zwłaszcza w rękach, był zbyt rzeczywisty. Rozejrzał się dookoła i ujrzał przyglądających się mu Alkina i Lou. Szaman uśmiechnął się paskudnie.

— Obudziłeś się, więc możemy zaczynać.

Trey zaczął się szamotać, ale więzy trzymały mocno.

— To na nic, mój drogi — Lou wyjął zza pazuchy krótki, zakrzywiony nóż i podał go swemu słuǳe, a sam ruszył w stronę kotołaka. — Tylko przysporzysz sobie dodatkowego bólu. Trzeba było być bardziej ostrożnym zawsze. Aż dziw, że członek Arad úš dał się tak wodzić za nos. — Mężczyzna położył się na ziemi tuż pod Treyem.

Alkin rozpoczął inkantację:

*Allá Xul*¹⁹

Dingir Xul

Čigim Xul

Čidim Xul

Utuk Xul

Uggae !!!

— Na pocieszenie powiem ci, że nie zaprzestanę poszukiwań twojego przyjaciela. Jeśli wszystko pójdzie po mojej myśli, spędzicie razem bardzo dużo czasu. Będziecie nierożłączni, na wieczność, o tutaj, w głowie potężnego Yer'flam'dina, bo tak nazywam się naprawdę.

Popukał się palcem w skroń, patrząc przy tym prosto w oczy Treya. Były to jego ostatnie słowa, które kotołak usłyszał przy pomocy uszu.

Alkin kontynuował:

Ana harrani sša alaktasa la tárát

Ati mé petá bábka

Eli baltüti ima" idu mitüti

Peta bábkama luruba anaku

Ušellá mitüti ikkálu baltüti

Uggae !!!

W tym momencie młodzieniec ukląknął i najpierw poderżnął gardło swojego pana, a zaraz potem Treya. Krew kotołaka lała się wprost w ranę starca. Alkin wypowiedział ostatni fragment rytuału:

Zi Dingir Anna Kanpa!

Zi Dingir Kia Kanpa!

Zi Dingir Mü Kanpa!

Zi Dingir Čírru Kanpa!

Zi Dingir Mitu Kanpa!

Zi Dingir Mitu Kanpa!

19 Tłumaczenie rytuału na końcu rozdziału

Nim Alkin wywołał boga umarłych po raz ostatni, Trey już nie żył, a jego mistrz stracił przytomność. Pokorny sługa wyciągnął szamana spod kotołaka i zaczął obmywać go z krwi. Kiedy skończył, usiadł pod drzewem i po prostu czekał. Był zmęczony i senny. Nie wiedział, jak długo Yer'flam'din pozostanie nieprzytomny. Przypuszczał, że krótko. Kotołak był czterdziestą trzecią istotą, której mężczyzna skradł duszę podczas swego trwającego od ponad czterystu lat życia. Musiał się już więc uodpornić na porytualny szok.

Koniec rozdziału

Tłumaczenie rytuału:

Złe Bóstwo

Zły Boże

Zła Duszo

Zły Duchu

Zła Duszo

Boże Śmierci !!!

Droga, której szlak nie zwraca

Strażniku Bramy, otwórz swe wrota przede mną

Umarłych będzie więcej niż żywych

Otwórz Bramę, bym mógł w nią wkroczyć

Wskrzesz umarłego, konsumując żywego

Boże Śmierci !!!

Duchu, Boże Niebios, pamiętaj !

Duchu, Boże Ziemi, pamiętaj !

Duchu, Boże Wody, pamiętaj !

Duchu, Boże Ognia, pamiętaj !

Duchu, Boże Umarłych, pamiętaj !

Epilog

Czwarty dzień dziesiątego obiegu Władcy. 277 dzień roku. Warleggall. Wieczór.

Oczekując na obiecane uwolnienie, Ignae rozmyślała nad tym, co zrobi, gdy stanie się ono faktem. Dostrzegała jedynie dwie opcje.

Pierwsza, bardziej kusząca, zakładała ucieczkę gdzieś daleko i rozpoczęcie nowego życia. Mogłaby wyjechać chociażby do Morsstand, gdzieś na wybrzeże. Znała język ludzi pustyni i była całkiem nieźle wykształcona, więc ze znalezieniem jakiegoś zajęcia nie powinna mieć problemów. Zamieszkałaby nad morzem, które tak bardzo urzekło ją w dzieciństwie. Z czasem zapomniałaby o całym szaleństwie, jakiego doświadczyła w ciągu ostatnich kilku tygodni. *Może jednak ojciec miał rację, twierdząc, że kobieta nie nadaje się na szpiega?*

Drugą możliwością było złożenie raportu Jo'Keeffowi i poddanie się jego osądowi. Byłoby to zgodne z jej poczuciem obowiązku, gdyż ostrzegłaby kraj przed zbliżającą się wojną. Może nawet wybaczono by jej to, że nie zdołała uratować króla. W końcu dobro Lotherbemm było ważniejsze niż życie jego władcy, a przecież gdyby sprzeciwiła się Jarmisowi, ten niechybnie by ją zabił i nikt nie dowiedziałby się o knowaniach Dzikich. I choć to wszystko było prawdą, tkwił w tym jeden, aczkolwiek znaczący problem. Nie ufała Jo'keeffowi. Jej zeznania postawiłyby go w trudnej sytuacji. Przeciwniacy arcyszpiega z pewnością zaczęliby pytać, dlaczego powierzył podejrzana sprawę próby skłucenia Arad úš i Wywiadu komuś tak niedoświadczonemu, jak Ignae. Nie miała złudzeń, że w rozgrywkach na szczytce Agencji życie jednego porucznika jest cokolwiek warte.

Czas zdawał się dłużyć w nieskończoność i próba rozwiązymania dylematu tylko przyprawiła ją o ból głowy. Kiedy zaczęła już myśleć, że zabójca znowu ją oszukał i żadna pomoc nie nadajdzie, w drzwiach stanął chłopiec. Był chudy, miał co najwyżej dziesięć lat, a w ręku trzymał nóż. Jak gdyby nigdy nic przeszedł obok zwłok Kyle'a, podszedł do Ignae i rozciął liny krępujące jej dłonie, po czym wręczył jej nóż i uciekł. *Pewnie poczekały ją złodzieje. Ciekawe, czy skończy tak, jak Jarmis.* Uwolniła siebie, a następnie Ricka, który również zdążył już odzyskać przytomność. Wciąż nie potrafiąc zdecydować, co powinna zrobić, postanowiła pozostawić decyzję kapitanowi. W końcu to on w najważniejszym momencie stanął po stronie zabójcy.

Chwilę później znajdowali się już w drodze do głównej siedziby Agencji.

Nie sądziła, że arcyszpieg szybko znajdzie czas, by się z nimi spotkać. Była w błędzie. Jo'Keffe zjawił się po niespełna godzinie i wysłuchał ich streszczonego raportu. Gdy skończyli, powiedział, że musi napić się czegoś mocnego i zostawił ich samych w gabinecie. Zamiast z gorzałą, wrócił ze strażą. Po raz drugi tego dnia zostali związani i zakneblowani.

Zaprowadzono ich do Studzienki, specjalnego więzienia Wywiadu Wewnętrznego. Przetrzymywano w nim osoby, które mogły się jeszcze przydać Agencji, lecz wiedziały zbyt dużo, by siedzieć w miejskim więzieniu.

Studzienka była częścią murów obronnych Wartegall. Z zewnątrz wyglądała na zwykłą wieżę strażniczą, lecz od wewnętrz bardziej przypominała wysoki komin. Jej ściany miały dziewięć stóp grubości, a na szczycie znajdowała się masywna, stalowa krata.

Strażnicy zeszli z nimi na sam dół. Przez środek kamiennej podłogi przebiegała rynna, w której leniwie płynęła woda.

— Tam pijecie — powiedział jeden ze strażników, wskazując kratę w ścianie, z której wypływała woda. — A tam wydalacie — wskazał drugi koniec rynny. — Żarcie serwujemy raz dziennie. Spuszczamy je w wiadrze, przez tę niewielką dziurę, o tam, wysoko. To wszystko, co musicie wiedzieć. Udanego pobytu.

Klawisze oswobodzili ich z więzów i wyszli, zatrzaszając za sobą ciężkie, metalowe drzwi. Rozległ się dojący huk, lecz nie na tyle dojący, by obudzić jedynego współwięźnia szpiegów. Łysy, ubrany w czarny płaszcz mężczyzna, spał twarzą do ściany, na przegnitych deskach, którymi wyłożona była część podłogi.

— Muszę cię przeprosić — powiedział Rick, rozmasowując obolałe nadgarstki. — Miałaś rację, powinniśmy byli spróbować uratować króla. Stając po stronie zabójcy po raz kolejny okazałem się tchórzem i właściwie to zasłużyłem, by się tu znaleźć. Przykro mi jednak, że ty również płacisz za moje błędy.

— Ciekawe, za co ten tu siedzi.

Ignae wskazała na śpiącego nieznajomego. Było zbyt wcześnie, by była w stanie przyjąć przeprosiny Ricka, dlatego zmieniła temat.

— Będziemy mieli dość czasu, by się dowiedzieć, więc dajmy mu pospać.

Noc była bezchmurna, a Księże w swej łaskawości postanowił ustawić się centralnie nad Studzienką, dzięki czemu na jej dnie było widniejsze niż pod wieczór, gdy zostali w niej osadzeni. Szpiedzy, choć wymęczeni, nie byli w stanie spać. Wizja spędzenia reszty życia w lochu wydawała się zbyt przerażająca, by w ciągu kilku godzin zdążyli się z nią pogodzić. Siedzieli w milczeniu, na przegnitych deskach, które były chociaż trochę wygodniejsze i nie tak chłodne jak kamienna podłoga.

Nagle rozległo się przeciągłe ziewnięcie i wyrwana z posępnego zamyślenia Ignae aż podskoczyła ze strachu. To łysy mężczyzna, będący najwyraźniej stworzeniem nocy, wreszcie się obudził. Minęła chwila nim spostrzegł, że nie jest sam.

— Witam — powiedział całkowicie spokojnym, radosnym głosem. — Nie ma się czego obawiać. Nie gryzę — zwrócił się do wystraszonej Ignae.

Książę dokładnie oświetlał twarz mężczyzn i chwilowe przeróżenie Ignae szybko przerodziło się w poważne zaskoczenie.

— To ty! Widzieliśmy cię w Verilloop, jak uratowałeś ludzi z płonącego budynku.

— W Verilloop? — Mężczyzna podrapał się po bródce. — To ta miejscina w Wyjącej Dolinie?

— Tak — przytaknęła Ignae.

— Verilloop. Porządne miasto z porządnymi mieszkańcami. Nie to, co tutaj. Widziecie, gdzie mnie zaprowadziły moje dobre uczynki? — Był rozbawiony, uśmiechał się szeroko, lecz w jego oczach Ignae dostrzegła coś niepokojącego. — A wy za co siedzicie?

Szpiedzy spojrzeli po sobie, niepewni, czy powiedzieć prawdę. W końcu Ignae skinęła głową, a Rick wzruszył ramionami.

— Wiemy, kto naprawdę zabił króla — powiedział szpieg.

— Król nie żyje? — Mężczyzna zrobił zaciekawioną minę. — A więc to dlatego przez pół dnia bito we wszystkie dzwony. Ciekawe, bardzo ciekawe. Mam nadzieję, że po drodze opowiecie mi wszystko ze szczegółami.

— Po drodze? — zdziwiła się Ignae.

— Tak. Już się tu nasiedziałem. Jeden dzień w lotherbemmskim lochu wystarczy mi w zupełności. A wy, jeśli chcecie, możecie iść ze mną.

Kaznodzieja Miłosiernego wstał, podszedł do drzwi i położył dłoń na zamku. Szpiedzy ustawiли się za jego plecami. Po chwili poczuli promieniujące od drzwi ciepło i dostrzegli, jak ich kolor zmienia się na pomarańczowy. Chwilę później metal zaczął się topić i spływać na podłogę. Wreszcie dłoń mężczyzny przeszła na wylot, a bolec ryglujący drzwi ustąpił.

— Panie przodem. — Kaznodzieja zwrócił się do Ignae i szarmanckim gestem zachęcił szokowaną agentkę do opuszczenia lochu.

Krętymi schodami wyszli na blanki. Rick wychylił głowę poza mur i spojrzał na znajdującą się pięćdziesiąt stóp poniżej ziemię.

— Wysoko. Jak jezdziemy na dół?

— Przychodzi mi na myśl co najmniej kilka sposobów, lecz najprościej będzie się spuścić po tamtej linie. — Wskazał palcem za plecy szpiega.

Przy niewielkim otworze w Studzience leżało wiadro, do którego przywiązanego był długi sznur, dość gruby by utrzymać człowieka. Obwiązali go dookoła jednego z merlonów i pojedynczo zeszli na dół. Prowadzeni przez kaznodzieję pośpiesznie opuścili obrzeża miasta, by następnie skierować się na północ.

Wiatr wiał im w plecy. Barretowi Hroldofowi wiatr zawsze wiał w plecy.

Ósmy dzień dziesiątego obiegu Bliźniaków. 294 dzień roku. Rodawnzar. Twierdza Słońca. Południe.

Dwa dni po szaleństwie, jakie rozegrało się na Placu Sprawiedliwego, do Twierdzy Słońca przybył posłaniec z Fellan. Dostarczone przez niego informacje wywołały u Nicka zaskoczenie, lecz przede wszystkim ulgę. Od czasu niezrozumiałego zamachu doszło do jeszcze kilku morderstw arystokratów i wysokiej rangi urzędników. Zabójstwa zostały dokonane przez osoby, po których nikt by się tego nie spodziewał, i wszyscy zachodzili w głowę, co jest przyczyną epidemii przemocy, jakiej pospółstwo nadało nazwę *Wrzenie Niebieskiej Krwi*.

Dowiedziawszy się, że wszystkiemu winne jest elizium oraz ludzie, którzy je produkują, książe natychmiast podjął odpowiednie kroki. W pierwszej kolejności nakazał zamknąć należącą do spiskowców cukiernię i przesłuchać wszystkich jej pracowników. Następnie wydał edykt rozkazujący by każdy mieszkaniec miasta, bez względu na pochodzenie, który w przeciągu ostatniego tygodnia zażywał narkotyk bądź jadł wyroby z feralnej cukierni, zgłosił się do miejskiej straży w celu poddania się trwającej siedem dni kwarantannie. Według informacji dostarczonych przez posłańca właśnie tyle czasu było potrzeba, aby ludzki organizm oczyścił się z resztek niebezpiecznej substancji. Ponadto, pod groźbą kary śmierci, zakazano sprzedaży i posiadania elizium. Rozpoczęto także poszukiwania niskiego osobnika o ciemnej karnacji i dziwnym akcencie, lecz nie przyniosły one żadnych rezultatów. Najwyraźniej zamachowiec miał dość oleju w głowie, by na czas opuścić miasto.

Książę po raz kolejny przekonał się, jak wielki wpływ na żywot ludzki, a nawet na losy całego królestwa, może mieć ślepy traf. Gdyby dowiedział się o elizium dopiero po powrocie do Rodawnzaru, być może sam byłby pod jego wpływem w czasie obchodów końca lata. Aż bał się myśleć, kto w takim wypadku zginąłby z jego ręki. Paul, Kisric, Protbey, a może nawet on sam? Postanowił pozostać przy sprawdzonych użytkach i nigdy więcej nie eksperymentować z niepewnymi substancjami.

Choć od ostatniej zbrodni pod wpływem elizium minęły dwa tygodnie, Kisric nalegał, by książe nie opuszczał zamku. Nick słuchał rady swojego wyjątkowego ochroniarza i zrezygnował z wycieczek na miasto, a wszystkie ważne spotkania z jego udziałem odbywały się w sali tronowej Twierdzy Słońca.

Tego dnia oczekiwali wizyty najwyższego kapłana Rodawnzaru, lecz ten jak zwykle się spóźniał. *Pan jest Sprawiedliwy, ale nierychliwy*, było ulubionym powiedzeniem starego klechy, który jednak szczególną uwagę przykładał tylko do jego drugiej części. Znudzony księciem wiercił się na tronie i zabijał czas, rozmawiając z Kisricem o głupstwach. Oprócz nich dwóch w ogromnej sali nie było nikogo.

Wreszcie drzwi się otworzyły, lecz zamiast kapłana, do środka wszedł gwardzista. Zatrzymał się dziesięć jardów od tronu, co także było zaleceniem czempiona, i oznajmił:

— Wasza Książęca Mość, najwyższy kapłan nadal się nie pokazał, lecz jest ktoś inny, kto chce się z tobą widzieć.

— Któż taki? — zapytał Nick, ziewając jednocześnie.

— Przybysz z Morsstand, Niebieski Brat, Iryk Edeleris. Towarzyszy mu dziewczynka, Victoria Daju, na oko dziesięcioletnia. Czy mam ich wpuścić?

— Niebieski Brat? — nagle ożywił się książę. — A to ciekawe. Co ty na to, Kisricu? Mają wchodzić pojedynczo czy w razie czego poradzisz sobie z mnichem i dzieckiem? — zażartowała z przezorności czempiona, który nie pozwalał, by do sali wchodziła więcej niż jedna osoba.

— Niebiescy Bracia są szkoleni w walce i uwierz mi, że nie chciałbym się z nimi mierzyć na pięści. — Mistrz Mieczy odpowiedział z pełną powagą. — Niemniej, jeśli nie ma ze sobą broni, to może wejść razem z dzieckiem.

— Słyszałeś opinię eksperta. — Nick zwrócił się do strażnika. — Wpuść ich.

— Tak jest, Wasza Książęca Mość.

Gwardzista opuścił salę i zamknął za sobą drzwi, które po krótkim czasie znów się otworzyły i do środka weszli Iryk oraz Victoria. Nieśmiało zbliżali się do tronu. Mnich nigdy nie miał do czynienia z nikim tak wysoko urodzonym, zaś dziewczynka była przytłoczona ogromem pomieszczenia.

— Nie ma potrzeby, byście podchodzili bliżej.

Kisric zatrzymał ich w bezpiecznej odległości przed tronem. Ustawił się pomiędzy księciem i jego gośćmi, lecz nieco z boku, tak by się widzieli.

— Witaj, książę. To dla nas zaszczyst. — Iryk uklonił się nisko. Zauważył, że Victoria nie poszła jego śladem, więc przynusił ją do tego pociągnięciem za rękaw.

— Witam was, wędrowcy. — Nicka rozbawiło zachowanie mnicha. — Nie ma potrzeby, byście bili przede mną pokłony. Na dobrą sprawę to jesteście u siebie w domu. W końcu to wasz lud wzniósł tę Twierdę, a jeśli pamięć mnie nie zawodzi, to zaprojektowali ją właśnie Niebiescy Bracia. Mam rację, Kisricu?

— Jak zawsze — odparł z przekąsem czempion.

— Co was do mnie sprowadza?

— Eee, sprawa jest nietypowa. Jakby to ująć, eee. — Mnich przez całą drogę z portu do zamku przygotowywał swoją wypowiedź, ale jak to bywa w takich przypadkach, gdy przyszło co do czego, zapomniał języka w gębie. — Przybywamy z ostrzeżeniem.

— Z ostrzeżeniem? Przed czym.

Nick uniósł się na tronie, coraz bardziej zaciekawiony.

— Nadchodzi wojna, panie. Pierwotni planują atak na Lotherbemm.

Nick i Kisric popatrzyli na siebie wielkimi oczyma. Słowa Iryka wydały im się kiepskim żartem, lecz z drugiej strony nie rozumieli, po co ktoś, a w dodatku mnich, miałby fatygować się z

Morsstand do Lotherebemm, by sprawić psikusa władcy Rodawnzaru. W wiadomości dostarczonej przez posłańca, a napisanej przez Ignae, nie było wzmianki o wojnie. Agentka uznała, że o tym fakcie powinna w pierwszej kolejności poinformować stolicę.

— Masz jakiś dowód na potwierdzenie swoich słów, mnichu? — Nick nagle stał się bardzo poważny.

— Niestety nie, panie. Jedyną namiastką dowodu mogą być poczynania Pierwotnych na Południowych Krańcach.

— Jakie poczynania?

— Pierwotni wzięli w niewolę przeszło sto tysięcy mieszkańców Południowych Krańców i chcą ich użyć w walce przeciwko wam.

Dzicy dopiero co dopuścili się ataku na Lotherebemm, wysługując się przy tym niewinnymi ludźmi, więc słowa mnicha zaczęły nabierać sensu.

— Czeka nas długa rozmowa mnichu, ale ostrzegam cię, że jeśli nas okłamujesz, będziesz mieć poważne problemy.

Nim Iryk zdążył cokolwiek odpowiedzieć, wrota otworzyły się z hukiem i do sali weszło dziewięciu uzbrojonych rycerzy ubranych w biało-niebieskie tuniki.

— Co do cholery? — zawała Kisric.

Intruzi zbliżali się pewnym krokiem. Wojownik błyskawicznym ruchem ściągnął z pleców obydwa miecze i postąpił w kierunku Iryka i Victorii.

— Użyj swojej magii — pisnęła dziewczynka. — Nie pozwól nas zabić.

Kisric bezceremonialnie odsunął na bok przybyszów z Morsstand i stanął pomiędzy tronem i rycerzami.

— Ani kroku dalej, jeśli wam życie miłe — krzyknął.

Rycerze podeszli jeszcze kawałek, po czym ustawiли się w półkolu i przykłęknęli. Dopiero teraz książe rozpoznał ich tuniki. Należeli do królewskiej gwardii.

— Wasza Wysokość, wybacz nam nasze najście, ale musimy odeskortować Waszą Wysokość do stolicy — przemówił Pierce O'Loca, dowódca gwardii.

— Jak zginął? — zapytał po chwili Nick.

Początkowo myślał, że jego poczynania w Rodawnzarze nie spodobały się ojcu i ten nakazał sprowadzić go do Wartegall, jednak gdy gwardzista przemówił, zrozumiał, iż stało się coś gorszego. Per Waszą Wysokość zwracano się tylko do króla oraz do Wielkiego Księcia Zachodu. Galinani Brucondeis musiał zginąć i teraz on, jego najstarszy syn, został władcą Zachodu.

— Zdradziecko zamordowany przez własną córkę — odparł O'Loca.

— Własną córkę? — Nick zgłębiał. — Przecież ja nie mam siostry!

Minęła chwila, nim dowódca zrozumiał, o co może chodzić Nickowi.

— Nie chodzi o waszego ojca, Wasza Wysokość. Galilnani Brucondeis ma się dobrze. Chodzi o twojego wuja, króla Lottara Sonda. Został zamordowany przez królewnę Rossy w trakcie obchodów końca lata. Królewna zabiła go na oczach zebranych w Świątyni Świętych Rzek i nazajutrz, po krótkim procesie, została skazana i stracona. Jesteś nowym władcą Lotherbemm, Wasza Wysokość.

— Umarł król, niech żyje król! — zawołało ósmiu pozostałych gwardzistów. — Niech żyje król Nick Brucondeis!

Ostatni dzień dziesiątego obiegu Bliźniaków. 295 dzień roku. Północny gościniec. Ranek.

— Wpakowałaś nas w niezłe bagno, nie ma co. Znowu rozpocznie się wielka obława i być może będziemy musieli poszukać sobie nowej kryjówki. Zlećen też będzie mniej, jeśli to w ogóle możliwe.

— Jakoś nie brzmisz na zmartwionego — zauważyła Merist.

— Mnie to już nie dotyczy — przyznał Jarmis. — Jeśli wszystko pójdzie dobrze, za rok o tej porze będę wąchał kwiatki od spodu. Musimy tylko dorwać tego Yer'flam'dina.

— Tłumaczyłam ci, że to nie będzie takie proste.

— Nic nie szkodzi. Lubię wyzwania. — Zabójca poprawił kaptur i naciągnął rękawy, ukrywając w nich olbrzymie dłonie. — Dobra, bądź cicho. Ktoś jedzie z naprzeciwka.

— Pochwalony, ojcze — pozdrowiła go dwójka podróżnych.

— Lony, Lony — odparł zabójca i niedbale zakreślił w powietrzu pofalowaną linię, symbol Sprawiedliwego.

Kobieta udała zgorszenie, zaś mężczyzna uśmiechnął się ukradkiem.

Opuściwszy cukiernię, Jarmis ukrył jej właścicielkę w stołecznej kryjówce Arad úš. Potrzebował trochę czasu i odpowiedniego miejsca, by przesłuchać ją na spokojnie. Musiał też uzupełnić zapas eliksirów i mazideł, załatwić trumnę oraz w końcu odpocząć.

Wyjechali z Wartegall dwa dni po śmierci króla i dzień po egzekucji jego córki. Jarmis przebrał się za klechę, natomiast Merist, leżąc w trumnie, udawała martwą. Właściwie to nie musiała udawać, gdyż zabójca nafaszerował ją kombinacją specyfików, które pozbawiły ją przytomności, obniżyły temperaturę ciała oraz drastycznie spowolniły bicie serca. Nawet gdyby któryś ze strażników wykazał się nadgorliwością i zajrzał do drewnianej skrzyni, nie byłby w stanie poznać się na oszustwie.

Podróżowali niewielką bryczką, ciągniętą przez starego, potężnego wałacha. Jarmis nie ufał swojemu więźniowi i od dwóch tygodni Merist wychodziła z trumny jedynie na noc lub za potrzebą. Nie poskarżyła się z tego powodu ani razu. Zabójca nie wiedział, czy tak bardzo

wystraszyła się Bestii, czy może próbuje uśpić jego czujność. A może po prostu jest jej wygodnie?, myślał, rozmasowując obolałe plecy, które zaczęły mu mocniej dokuczać wraz z nadaniem jesieni. Trumna z zewnątrz wyglądała na zbitą w pośpiechu skrzynię z nieoheblowanych desek, lecz w środku była wyłożona grubą warstwą puchu przykrytego aksamitnym materiałem. Jarmis potrzebował Merist całej i nie chciał, by dostała odleżyn.

Nocowali na szlaku, pod gołym niebem, bądź gdy dopisało im szczęście, w jakimś opuszczonym budynku. Tak było i tym razem. Zatrzymali się kilkadziesiąt jardów od gościńca, w zrujnowanej strażnicy pamiętającej czasy, gdy Północ nie była jeszcze częścią Lotherbemm. Zjedli prostą kolację, Jarmis przywiązał Merist do drzewa wyrastającego spośród kamotów stanowiących nigdyś posadzkę wieży i poszli spać.

Zabójca obudził się kilka godzin po świcie, a przynajmniej tak podpowiadał mu zazwyczaj niezawodny, wewnętrzny zegar. Leżąc na wznak, z wnętrza ruin przez dłuższą chwilę obserwował północno-zachodni fragment nieba. Coś było nie tak. Mimo iż nie dostrzegał żadnej, choćby najmniejszej chmurki, panowała szarówka. Podniósł się z ziemi i wyszedł na zewnątrz. Zadarł głowę do góry, spojrzał na wschód i ujrzał bezkresną, brązowo-szarą chmurę przysłaniającą pół nieboskłonu.

— *Na cycki świętej Doro, co to jest do cholery?* — bezgłośnie zapytał Rubie.

Piękna, która na rok przed śmiercią i zamieszkaniem w głowie zabójcy ukończyła akademię w Welfare, od razu rozpoznała niesłychanie rzadkie zjawisko.

— *Słońce w żałobie.*

Koniec

Bohaterowie powieści, ci żywi i nie tylko, powrócą w drugim tomie trylogii zatytułowanym „Słońce w żałobie”.

Spis treści

PROLOG	5
ROZDZIAŁ PIERWSZY – DEMONY PRZESZŁOŚCI	8
ROZDZIAŁ DRUGI – KONIEC DZIECIŃSTWA	17
ROZDZIAŁ TRZECI – ARAD ÚŠ	32
ROZDZIAŁ CZWARTY – BRZYDKIE KACZĄTKO	48
ROZDZIAŁ PIĄTY – PIĘKNA I BESTIA	58
ROZDZIAŁ SZÓSTY – HABIT CZY SPÓDNICZKA?	80
ROZDZIAŁ SIÓDMY – ZŁA RZEKA	98
ROZDZIAŁ ÓSMY – DOBRY, ZŁY I PIJANY	115
ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY – WITAJ W DŽUNGLI	142
ROZDZIAŁ DZIESIĘTY – NOWI, STARZY ZNAJOMI	163
ROZDZIAŁ JEDENASTY – MORSKIE OPowieści	190
INTERLUDIUM	203
ROZDZIAŁ DWUNASTY – CIĘŻKI POWRÓT DO RZECZYWISTOŚCI	205
ROZDZIAŁ TRZYNASTY – JEST TAKI SAMOTNY ZIGGURAT	223
ROZDZIAŁ CZTERNASTY – DUCH STERNIKA	237
ROZDZIAŁ PIĘTNASTY – ZWIASTUN BURZY	256
ROZDZIAŁ SZESNASTY – CZARODZIEJE, WAMPIRY I Czerwony Kapturek	276
ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY – POTWÓR Z POŁUDNIOWYCH KRAŃCÓW	294
ROZDZIAŁ OSIEMNASTY – NAMEŠDA	308
ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY – KONIEC BŁAŻENADY	321
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY – TAJEMNICE UKRYTE W SKAŁACH	339
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY – BANICI Z SENDDERET	369
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI – PRAWDZIWI ARTYŚCI	387
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI – WITAJ W MYM KOSZMARZE	405
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY – MISJA – ZBRODNIA NA DUSZY	418
EPILOG	436